Joanna Jax

Zemsta i przebaczenie

Tom IV

Morze kłamstwa

VIDEOGRAF

Joanna Jax

Zemsta i przebaczenie

Tom IV

Morze kłamstwa

VIDEOGRAF

Redakcja
Anna Seweryn

Projekt okładki
Joanna Jax

Layout okładki
Marek J. Piwko {mjp}

Ilustracja na okładce
© *Maksim Shmeljov / Shutterstock*

Redakcja techniczna, skład i łamanie
Damian Walasek

Opracowanie wersji elektronicznej
Grzegorz Bociek

Korekta
Urszula Bańcerek

Wydanie I, Chorzów 2017

Wydawca: Wydawnictwa Videograf SA
41-500 Chorzów, Aleja Harcerska 3C
tel. 600 472 609
office@videograf.pl
www.videograf.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: DICTUM Sp. z o.o.
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl
www.dictum.pl

© Wydawnictwa Videograf SA, Chorzów 2016
Tekst © Joanna Jakubczak

ISBN 978-83-7835-631-8

„Usta kłamliwe zabijają duszę” Mdr 1,11

Ukochanemu Tacie i Siostrom Ewie i Dorocie

1. Okolice Granady, 1943

Wpadające przez niedomknięte okiennice słońce zwiastowało kolejny upalny dzień. Jednak to nie pogoda była największym zmartwieniem leżącego na twardym sienniku Juliana Chełmickiego. Dla niego bowiem był to jeden z wielu poranków, które witały go tępym bólem głowy. Sięgnął, niemal odruchowo, po leżące na niskiej komodzie pigułki i popił je wodą z dzbanka, która w ciągu nocy zdążyła zrobić się ciepła. Miał nadzieję, że łomot w jego czaszce ucichnie, a on szybko powróci do równowagi, bo czekał go pracowity dzień. Nigdy nie pomyślałby, że jego niesamowite umiejętności jeździeckie pozwolą mu na zdobycie zajęcia polegającego na pędzeniu stada krów po wyschniętej o tej porze roku *praderze*. Musiał jednak z czegoś żyć, a przede wszystkim zdobyć pieniądze na powrót do Polski.

Człowiek, który uratował mu życie i dał dach nad głową, był zbyt ubogi, by mu pomóc, a i tak Julian był mu winien pieniądze za lekarstwa i wizyty doktora przyjeżdżającego do niego z Granady. Chełmicki miał też inne problemy. Pierwszym z nich był brak jakichkolwiek dokumentów. Ludzie, którzy chcieli pozbawić go życia, po prostu ogołocili go ze wszystkiego. Drugi problem był, zdaniem Juliana, dużo poważniejszy – Chełmicki nie pamiętał niczego, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku tygodni. Nie wiedział, jak ani po co znalazł się na terenie Hiszpanii, nie miał również pojęcia, kto mu tutaj pomagał, a wreszcie kto i dlaczego usiłował pozbawić go życia. Cała reszta wspomnień znajdowała się we właściwym miejscu jego umysłu i miał nadzieję, podobnie jak odwiedzający go doktor, że te ostatnie także powrócą. A musiały, zanim opuści Hiszpanię. Jednak im bardziej wysilał się, by przypomnieć sobie ostatnie wydarzenia, tym większą pustkę czuł w głowie. Ostatnie, co majaczyło mu się w umyśle, to jakaś kłótnia z Alicją. Nie wiedział jednak, czy doszło do pojednania przed jego wyjazdem, czy też ich związek już całkiem się rozpadł. Nie to jednak było najważniejsze, ale jego misja. To musiało być jakieś ważne zadanie, którego najpewniej nie wykonał. Nie wierzył, że znalazł się w tym miejscu, by podziwiać piękne andaluzyjskie widoki, podczas gdy w jego kraju nazistowski terror trwał w najlepsze. Nieznajomość hiszpańskiego utrudniała mu dodatkowo zadanie, ponieważ nie mógł nawet porozmawiać z gospodarzem domostwa, co zapewne wsparłoby jego pamięć. Był jednak pełen nadziei, podobnie jak

wiekowy, siwy doktor, którego specyfiki okazały się błogosławieństwem dla jego obolałej głowy.

Wstał z łóżka, ubrał się i wszedł do kuchni, witając się skinieniem głowy z gospodarzem, Eduardem Carlo. Po chwili udał się na podwórze, zdjął koszulę i umył się w wielkiej drewnianej balii. Woda była zimna, najwyraźniej Eduardo niedawno ją nabrał ze studni, i ożywiła spocone ciało Chełmickiego. Wrócił do kuchni, napił się mleka, chwycił pajdę chleba i kilka minut później siedział w siodle. Naciągnął na głowę nieco zniszczony cordovan i ruszył powoli w stronę zagrody dla krów. Nie było to pokaźne stado, ale jałowe o tej porze roku łąki sprawiały, że musiał pędzić bydło niekiedy bardzo daleko, by znaleźć miejsce na wypas. Jak zawsze dobrze czuł się w siodle, ale dręczył go fakt, że zajmuje się takimi przyziemnymi sprawami, zamiast być tam, gdzie jego miejsce – w okupowanej ojczyźnie. Postanowił, że bez względu na to, czy odzyska pamięć o ostatnich wydarzeniach, czy też nie, wyruszy do ambasady w Madrycie i spróbuje wrócić do kraju. Musiał tylko zarobić trochę grosza, a potem będzie się zastanawiał, jak bezpiecznie dotrzeć do Polski.

Tego dnia postanowił pojechać do Granady, gdy skończy swoje zajęcia w gospodarstwie Eduarda, i wysłać kartkę do Weroniki. Nie był pewien, czy przesyłka dotrze, ale łudził się, że może los okaże się łaskawy, jego przyjaciółka otrzyma wiadomość i ktoś zechce mu pomóc.

Powrócił z rozległych andaluzyjskich łąk późnym popołudniem, pożyczył od Eduarda zdezelowaną furgonetkę i ruszył do Granady, by udać się na pocztę. Najpierw jednak postanowił odwiedzić dobrodusznego doktora. Lekarz nie tylko dostarczał mu pokrzepiających wieści na temat swojego stanu zdrowia i podawał leki przeciwbólowe, lecz był jedyną osobą, z którą Julian mógł się porozumieć. Doktor Franco Salazar posługiwał się bowiem angielskim w stopniu umożliwiającym nawiązanie jakiejkolwiek konwersacji.

– O, „Boląca Głowa” – przywitał go serdecznie Salazar, uśmiechając się szeroko.

– Dzień dobry, doktorze – odpowiedział Julian i dodał ze smutkiem: – Dzisiaj myślałem, że już po mnie, tak mnie łupało w czaszce.

Lekarz pokiwał głową i podrapał siwą, krótką brodę, co czynił zawsze, gdy się nad czymś intensywnie zastanawiał. Podszedł do Juliana i zaczął

wpatrywać się w jego źrenice, wspomagając się niewielką lupą, którą nosił w kieszeni fartucha.

– Przejdzie… – mruknął od niechcenia i począł obmacywać Chełmickiego, zginając mu kark, przekręcając głowę to w przód, to w tył, a następnie założył mu na rękę nieco brudny mankiet uciskowy.

– Panie doktorze… – Chełmicki chciał indagować lekarza dalej, ale ten założył słuchawki na uszy i nakazał Julianowi milczenie.

– Wracasz do formy, „Boląca Głowo” – uśmiechnął się Salazar. – A twoje dolegliwości niebawem powinny ustąpić.

– Mam nadzieję – mruknął Julian.

– Pamiętaj, jeśli boli, oznacza to, że żyjesz – zarechotał doktor.

– A co z moją pamięcią?

– Nasz mózg to niezbadany organ. Ja, chłopcze, mam kapitalną pamięć, ale nie do wszystkiego. Mój umysł nie jest w stanie zapamiętywać imion i Bóg mi świadkiem, że niekiedy muszę się wysilić, by nie pomylić imienia żony. Zatem postanowiłem nadawać ludziom przydomki i w ten sposób pogodzić się ze swoją przypadłością. Nie zjednuje mi to przyjaciół, mój drogi, kiedy witam pacjentów „senior Czyrak” albo „seniora Hemoroida”. – Roześmiał się, po czym dodał: – Utrata pamięci z ostatniego czasu przed urazem nie jest niczym niezwykłym i najczęściej mija, gorzej byłoby, gdybyś nie wiedział, jak się nazywasz i skąd pochodzisz.

– Wiem, doktorze, ale przypomnienie sobie tych kilkunastu ostatnich dni przed atakiem jest dla mnie bardzo ważne. Kiedy był pan u mnie jakiś czas temu i dowiedziałem się o śmierci naszego generała, przed oczami stanęła mi twarz pewnej pięknej kobiety, ale do tej pory nie wiem, czy istniała ona w rzeczywistości, czy była jedynie sennym marzeniem. Dało mi to jednak nadzieję, że powoli przypomnę sobie wszystko, tymczasem wciąż mam pustkę w głowie – żalił się Chełmicki.

– Gdyby ktoś był przy tobie i opowiedział, co się wydarzyło albo zaprowadził w miejsca, gdzie przebywałeś, niewątpliwie byłoby łatwiej, ale w tej sytuacji jesteś zdany jedynie na siebie – westchnął doktor.

– Prosiłem wiele razy Eduarda, żeby zaprowadził mnie do miejsca, gdzie leżałem nieprzytomny, ale on tylko kręcił przecząco głową – burknął Julian.

– Bo ktoś cię w ten łeb uderzył i zapewne nie był to twój sprzymierzeniec. Myślę, że Eduardo obawia się, iż ten ktoś zechce zrobić to ponownie, a on przy okazji też oberwie. Ja również próbowałem coś od niego wyciągnąć,

żeby dowiedzieć się, kim jesteś, ale milczy jak zaklęty. – Salazar machnął ręką.

– Tak… – Julian pokiwał głową. – Niedługo pojadę do Madrytu, do konsula, i spróbuję powrócić do kraju. Nic tu po mnie, szybciej czegoś się dowiem w Polsce, poza tym jest wojna, a ja jestem żołnierzem.

– Trochę wybrakowanym póki co. – Doktor roześmiał się ponownie i pożegnał swojego pacjenta, którego nazywał „Bolącą Głową”, co było zdecydowanie sympatyczniejszym określeniem niż „Czyrak” czy „Hemoroida”.

Chełmicki udał się do niewielkiego budynku o kamiennej elewacji, który wskazał mu doktor, i dość długo wpatrywał się w kartki pocztowe na drewnianym stojaku. Postronny obserwator mógłby sądzić, iż Julian intensywnie zastanawia się nad wyborem karty, nie mogąc się zdecydować, czy lepsze wrażenie zrobi zabudowa starej Granady, czy też andaluzyjskie połoniny. Chełmicki jednak miał inny dylemat. Co będzie, jeśli owa kartka dostanie się w niepowołane ręce? Czy miejscowy personel nie zacznie interesować się adresem w odległej Polsce? I wtedy kartka w ogóle nie opuści Granady, a ci, którzy chcieli pozbawić go życia, dowiedzą się, że wciąż tu jest? Nie miał pojęcia, ilu Polaków można było spotkać w Andaluzji, zapewne gdyby było ich wielu, natknąłby się na jakiegoś w Granadzie, tymczasem nie spotkał żadnego. Po kilkunastu minutach zrezygnował z nadania kartki albo depeszy i opuścił chłodny gmach niewielkiej poczty. Wsiadł do furgonetki i pojechał do *finki*. Postanowił, że powróci do swojego pierwotnego planu i po prostu zarobi u Eduarda na swój wyjazd do kraju.

2. Moskwa, 1943

Igor Łyszkin stał nieruchomo, niemal wstrzymując oddech, gdy zastępca szefa sztabu, Antonow, wpinał mu w mundur odznaczenie państwowe za zasługi dla Związku Radzieckiego i walkę w wielkiej wojnie ojczyźnianej. W istocie, Łyszkin mógł być z siebie dumny. Kiedy tylko zakończył swoją misję w Katyniu, został oddelegowany w okolice Kurska, by wywęszyć plany Hitlera. Jak zwykle udał się tam pod postacią Ottona Kriegego, ale i tak najwięcej informacji zdołał uzyskać od pewnego oficera Wehrmachtu, którego podstępem pojmał jako jeńca i oddał w ręce radzieckich „śledczych". A oni już sprawili, że ów niemiecki oficer wyśpiewał im wszystkie plany dotyczące zajęcia Łuku Kurskiego, jak również przekazał informacje, dlaczego Hitler wciąż zwleka z ofensywą, której Rosjanie spodziewali się już od marca 1943 roku. Tego jednak można było się domyślić nawet bez informacji od jeńca. Armia niemiecka poniosła klęskę pod Stalingradem i straciła mnóstwo sprzętu, a produkcja nowego musiała trochę potrwać. Poza tym w tej ogromnej bitwie miały pojawić się najnowsze osiągnięcia niemieckiej technologii militarnej, czołgi tygrysy, którym nie dorównywały żadne dotychczas wyprodukowane. Ta zwłoka w ataku, jak również rozpoznanie planów wroga sprawiły, że Związek Radziecki mógł dobrze się przygotować, zaplanować strategię, zrobić setki kilometrów okopów, a wreszcie cierpliwie czekać na atak i z rozwagą i sprytem rozpocząć kontrofensywę. Generał Antonow bardzo skrupulatnie zbierał od swoich wywiadowców informacje na temat operacji „Cytadela" i nawet udało mu się przekonać Stalina, że lepsza będzie niejaka powściągliwość w działaniu niż zmasowany atak.

Pierwsze uderzenie nastąpiło z początkiem lipca i nic nie zapowiadało, aby miało się szybko zakończyć. Jednak dzięki dobremu przygotowaniu Armii Czerwonej, istniała nadzieja, że to Związek Radziecki odniesie sukces w tym starciu, a Igor Łyszkin był jedną z osób, która się do tego przyczyniła. Całą dumę i radość z otrzymanego odznaczenia zepsuła mu jednak myśl, że owo wyróżnienie otrzymał także za Katyń i za zdobycie materiałów, które mogły być prawdziwym problemem dla radzieckiej dyplomacji. Zapewne i to napawałoby go zadowoleniem, gdyby nie fakt, że pewnego dnia na Gibraltarze zginął najważniejszy polski generał, Władysław Sikorski. Igor nie wierzył w splot okoliczności, który doprowadził do nieszczęśliwego

wypadku generała, zwłaszcza że w tym samym czasie gościem gubernatora Gibraltaru był także Iwan Majski i kilku agentów NKWD. Nie wiedzieć czemu nikt nie chciał mu powiedzieć, co wówczas się wydarzyło i to potęgowało frustrację Igora. Gdyby chodziło o niemieckiego lub włoskiego generała, nawet nie zatrzymywałby się nad tym na dłużej, ale Polska była mu bliska, w końcu sam był Polakiem. Wystarczająco podle czuł się, biorąc udział w zamiataniu pod dywan całej tej historii spod Smoleńska, ale nie sądził, że przez to zginie najważniejszy dla Polski człowiek. Wiedział od Waltera von Lossowa, że ambasador niemiecki w Ankarze ma przekazać wszystkie dokumenty dotyczące mordu na polskich oficerach i rezerwistach Sikorskiemu, gdy ten będzie robił przegląd wojsk polskich na Bliskim Wschodzie. Łyszkin sądził, że rozpęta się wówczas medialne i dyplomatyczne piekło, ale miał nadzieję, iż to będą jedyne konsekwencje. W końcu Polska nie była graczem pokroju Stanów Zjednoczonych czy Wielkiej Brytanii, a na ataki tego typu radziecka dyplomacja była, właśnie dzięki niemu, dobrze przygotowana. Tymczasem raporty Niemców gdzieś przepadły, a generał Sikorski zginął w rzekomym wypadku lotniczym. Nie dawało to spokoju Łyszkinowi.

Oprócz odznaczenia, licznych pochwał i niewielkiej gratyfikacji finansowej Igor otrzymał także kilka dni wolnego, które mógł, a nawet musiał, spędzić w dobrze mu już znanym ośrodku pod Moskwą. Z uwagi na stan wojny panowała tam duża rotacja. Nikt nie mógł sobie pozwolić, by dawać długie urlopy, gdy krew radzieckich żołnierzy lała się strumieniami, terror na okupowanych terenach był niewyobrażalny, a wielki dyktator – Stalin – wciąż obawiał się utraty wpływów na świecie. Przechadzając się wokół krystalicznie czystego jeziora, które podczas upalnych lipcowych dni kusiło, by w nim popływać, natknął się na człowieka, który wraz z nim odbierał odznaczenie.

– Widzę, że obaj dostaliśmy taką samą nagrodę – powiedział Igor do stojącego na brzegu mężczyzny, który właśnie wyszedł z wody i dokładnie wycierał się grubym ręcznikiem. Był wysoki, o nieco pucołowatej twarzy, jasnych włosach i niemal szczupłej sylwetce.

– I kilku innych. – Mężczyzna roześmiał się i podszedł do Igora, wyciągając dłoń. – Mów mi Alosza.

– Prawdziwe? – Igor puścił do niego oko.

– Prawdziwe. A co to, mało chłopaków o takim imieniu? Chętnie z kimś pogadam, nikogo tu nie znam, ruch jak na Dworcu Kazańskim. – Pucołowaty chłopak ponownie się roześmiał.

– Ja też bym się z kimś napił wódki, bo samemu to tak nieswojo. Mam na imię Iwan – powiedział Łyszkin. Ukrywanie prawdziwego imienia weszło mu tak bardzo w nawyk, że nawet temu sympatycznemu chłopakowi postanowił go nie ujawniać. Zresztą jakie to miało znaczenie, skoro za kilka dni ich drogi się rozejdą.

***

Wieczorem w sali restauracyjnej raczyli się najlepszą radziecką wódką, którą zagryzali elegancko podanymi śledziami w słodkawej marynacie. Kompan Igora najwyraźniej zapałał sympatią do nowego towarzysza, bo przestał być dyskretny, uznając, że jeśli obaj otrzymali tak wysokie odznaczenia państwowe i są godni zaufania najwyższych władz, to mogą także polegać na sobie nawzajem.

– Wiesz, Iwan, czy jak ci tam… pułkownik Komarenko mówił, że zdobyłeś raporty katyńskie już kilka miesięcy temu. To była naprawdę… – Alosza czknął głośno. – …dobra robota. No, nie mówiąc już o tym majorze z Wehrmachtu.

– Robię tylko to, co do mnie należy – odpowiedział lakonicznie Igor.

– No tak, no tak… Ale wiesz, cały czas sądziłem, że to nasi chłopcy je zdobyli… Jak byliśmy z Majskim na Gibraltarze – wymamrotał nieco zawiedzionym głosem Alosza.

– Byłeś wtedy z Majskim? Jak zginął Sikorski? – Igor zainteresował się opowieścią pijanego kompana.

– Byłem. – Alosza uderzył się w pierś. – E tam… zginął. Ktoś go załatwił.

– Ty? – zapytał Łyszkin, czując, że trzeźwieje pod wpływem emocji. Gdyby w istocie to jego rodacy zabili Sikorskiego, stałoby się to przez niego oraz przez informacje, jakie uzyskał od Lossowa i przekazał zwierzchnikom.

– Ja? Nie… To nie ja – bąknął Alosza.

– A kto? – Igor poczuł, że serce zaczyna mu mocniej bić.

– A kto to wie, *drugu* mój – westchnął kompan od kieliszka.

– Ale to nasi? – nie dawał za wygraną Łyszkin.

– Jeśli to ktoś od nas, to zapewniam cię, że nie było go na rozdaniu odznaczeń. Ale jeśli nie nasi, to kto? – prawie retorycznie zapytał Alosza. – Te maminsynki, Angliki?

– Sam się nad tym zastanawiałem – mruknął Igor. – Co prawda ostatnio nasze stosunki z Polską nie są zbyt braterskie, ale w końcu ten kraj jest w obozie naszych sojuszników.

– Sra-ta-ta-ta… – Coraz bardziej pijany Alosza machnął ręką. – Jestem blisko i Mołotowa, i Majskiego. Każdy gra na swoich zasadach, a niewygodnych się usuwa, ot i cała filozofia. Jak pewnego dnia okażę się mało przydatny, to ktoś będzie za mną płakał? Albo za tobą? Chociaż my jesteśmy Rosjanami. Nikt. Ja ci to mówię, pies z kulawą nogą nie będzie pamiętał o nas i o tych zasranych medalach. Wykorzystają, przeżują, a potem wyplują, a nasze zasługi już ktoś sobie przypisze. Byłem tam i byłem dumny, ale jak nocą paru poszło w teren, to kazali mi siedzieć na dupie i udawać, że nic nie widziałem i nic nie słyszałem. A jak wrócili, bracie, to mówili, że mają kwity, a ja dostanę medal. No i dostałem, oni nie. A potem się dowiedziałem, że te tajne dokumenty już dawno ty im na tacy podałeś, więc wiesz, jak się teraz czuję… jak ostatni głupek, co to go uciszyli medalem, żeby za dużo nie myślał o wypadku tego generała.

Igor uznał, że była w tym jakaś logika. Zwłaszcza że Alosza co prawda był świetnym oficerem, ale nie umiał trzymać języka za zębami. Do pewnego momentu robił to, co mu kazali, a potem odsunęli go i na osłodę dali wyróżnienie. Alosza, z tego, co opowiadał, nie dość, że był znakomitym radiotelefonistą, to na dodatek dobrze władał angielskim, ale w istocie język miał stanowczo za długi, szczególnie jak na agenta do zadań specjalnych.

Rozstali się późno po północy. Alosza zataczał się tak bardzo, że Igor musiał podtrzymywać go, żeby nie spadł ze schodów. On zaś nie czuł się pijany prawie wcale. Bardzo chciał się upić tego wieczoru, ale zdawało mu się, że wódka przelatuje przez niego jak zwykła woda i w pewnej chwili już nie mógł nawet jej w siebie wlewać.

Następnego dnia już nie powrócili do tego tematu. Być może Alosza nawet nie pamiętał, co mówił Igorowi przy kieliszku i chyba tak było lepiej dla nich obu.

3. Magnuszew, 1943

Lato było ulubioną porą roku Hanki. A zadecydowały o tym względy praktyczne – nie musiała palić w piecach, Nadia cały czas bawiła się na podwórku, nie narzekając na nudę, a na stole częściej pojawiały się warzywa i owoce, co w znacznym stopniu urozmaicało ich proste i mało wykwintne posiłki. Jednakże Hanka Lewin nie mogła powiedzieć o sobie, że jest szczęśliwa i chciałaby na wsi spędzić resztę życia. Jedyną pozytywną stroną jej prostej egzystencji i mieszkania z dala od ludzkich siedzib było względne bezpieczeństwo. Nie potrafiła jednak, tak jak to było zaraz po wyjściu z Pawiaka, cieszyć się tylko tym, że żyje, a jej dzieci są zdrowe i radosne. To nie był jej świat i nawet odwiedziny Ireny nie dawały jej poczucia, iż znalazła swoje miejsce na ziemi.

– Coś taka skwaszona, Hanka? – pytała „Wariatka", gdy przyłapała Hankę na beznamiętnym patrzeniu w przestrzeń.

– Wydaje ci się, Irenka – burczała wtedy pod nosem Hanka, nie chcąc przyznać się do swoich tęsknot i rozterek.

Nie chodziło nawet o to, że Irena nie była godna zaufania, ale czy byłaby w stanie zrozumieć pewne sprawy? Nie chciała także, aby „Wariatka" martwiła się o nią. Dla niej bowiem każdy frasunek Hanki był także jej problemem. Bez względu na to, czy chodziło o poważne kwestie, czy zwykłe kobiece humory.

– Przecie widzę, ślepa nie jestem. Gęba skwaszona jak po niedojrzałych śliwkach i mało co gadasz. A kiedyś to ci się buzia nie zamykała. Przyznaj się, to przez te urzędowe listy… – prychnęła Irena.

– Te listy… to nic ważnego – skłamała Hanka i chcąc odwrócić od nich uwagę, postanowiła zdradzić przyjaciółce tylko część prawdy. – Smutno mi. Tyle czasu na wsi siedzę, a ja jestem miastowa dziewczyna. Mój mąż za granicą, sama jak ten kołek w płocie zostałam. A kogo ja widuję, oprócz ciebie i dzieciaków? I za sceną tęsknię, bo jedynie w polu i w lesie mogę śpiewać. Jeszcze trochę i głos mi na zmarnowanie pójdzie.

– W dupie ci się poprzewracało, Hanka. – Irena machnęła ręką i dodała: – Masz co jeść, dzieci żadnej zarazy nie przywlekły i nawet Niemcy cię do roboty nie chcą. A chłopa to sobie innego znajdziesz, jak twój mąż przepadnie. Tego kwiatu to pół światu.

Tak, dla Ireny „Wariatki” szczęście było proste, a zadowolenie czerpała z każdego przeżytego dnia. Jakże Hanka jej zazdrościła takiego podejścia do życia. Irena tak niewiele wymagała od losu i dlatego wszystko ją cieszyło. Cóż z tego, że Kazio, jej małżonek, był pijakiem i leniem, ale miała go przy boku i to wystarczyło, by dziękować Bogu, że go zesłał. Hanka jednak posmakowała innego życia, w luksusie i spełnieniu, zaznała szalonej miłości, więc jak mogła przywyknąć do szarej i wypełnionej ciężką pracą egzystencji. Byle przetrwać, byle się najeść i zasypiać w ciszy. Próbowała być szczęśliwa. Starała się radować z tego, co ma, bo inni mieli gorzej. Chciała się tym pocieszać i patrzyć na otaczający ją świat łaskawym wzrokiem. Jednak po pewnym czasie spostrzegła, że oszukuje samą siebie. Tak naprawdę trzymała ją w ryzach nadzieja, że życie w końcu się zmieni, karta się odwróci, a ona poczuje, że jest właśnie tam, gdzie być powinna. Ale im dłużej trwała wojna, tym bardziej była zniecierpliwiona i przygnębiona. Alicja zrozumiałaby ją. Ona także pragnęła wyciskać życie jak cytrynę, nawet za cenę tak zwanego świętego spokoju. Miały inne cele i tak różne marzenia, ale obie nie chciały stać w miejscu, tylko dążyć do ich realizacji.

Hanka niekiedy wracała myślami do nocy spędzonej z Hermannem. Sądziła, że będzie dławić ją poczucie winy, wyrzuty sumienia i będzie oczekiwała kary boskiej za zdradzenie tak pięknego uczucia, jakie połączyło ją z Igorem. Nic takiego nie nastąpiło. Było jej tej nocy dobrze, po wielu miesiącach nareszcie poczuła się jak kobieta, piękna i pożądana. Niekiedy ze złością patrzyła w niebo i kłóciła się z Panem Bogiem, jakby uprzedzając jego ruch pogrożenia jej palcem i zesłania w ramach kary jakiegoś nieszczęścia.

Wciąż pisywali do siebie, ale na wschodzie sytuacja była niepewna i Hermann Ritz nie pojawił się u niej od tamtego czasu. A może uznał, że popełnili błąd? Potrafiła sobie wyobrazić, jak dopadają go wyrzuty sumienia za tamten spontaniczny przyjazd. Jednak jego listy wciąż były pełne ciepła i tęsknoty i miała nadzieję, że pewnego dnia zjawi się u niej kolejny raz, a ona rzuci mu się w ramiona. Nie chciała czekać wciąż na Igora, który zdawał się ułudą, pięknym wspomnieniem, a może nawet nie było go już wśród żywych. Tkwił w jej sercu, ale im więcej czasu mijało, tym bardziej traciła nadzieję, że pewnego dnia znowu go zobaczy.

– Ty nie słuchasz, co gadam. – Irena szturchnęła Hankę łokciem.

– Przepraszam, zamyśliłam się – odpowiedziała bezwiednie.

– Tyś się, Hanka, czasem nie zakochała? – podejrzliwie zapytała „Wariatka”.

– A w kim? – Hanka wybuchła śmiechem, bo w istocie wokół niej panowała istna ludzka pustynia.

– A bo ja wiem. Może w tym szkopie, co ci czekoladki przynosił. – Wzruszyła ramionami.

Hanka rozejrzała się dookoła i powiedziała złośliwie:

– Tak, pewnie siedzi w krzakach i czeka, aż sobie pójdziesz. Puknij się w głowę, Irka. Powiedziałam ci: nie chcę tak żyć i męczy mnie to wszystko. Nawet muchy mnie denerwują. Wszędzie pełno tego paskudztwa. Smród obory mnie drażni, wychodek na podwórku i to, że jak furmanka obok drogą przejedzie, to piach mam nawet w zębach. – Hankę zaczynała irytować ta rozmowa.

– Jak to na wsi. – Irena, ignorując rozterki Hanki, perorowała dalej, nie zważając, że jej rozmówczyni myślami jest zupełnie gdzieś indziej. – No i, proszę ciebie, Zawiejkowa w ciąży. Ja tam w rachowaniu dobra nie jestem, ale mówiła mi Zośka z piekarni, że to dziecko to Zawiejkowa chyba z młodym wikarym sobie zmajstrowała, bo to już rok, jak Antka na roboty wzięli. A młody wikary chodził do niej, niby jej z darów ubrania dla dzieci przynosił, i tak się nią zaopiekował, że do wyrka poszli. Ja tam nie wiem, ale coś na rzeczy musi być, bo proboszcz na mszy powiedział, że na parafię przyjedzie nowy ksiądz, bo tego przenoszą pod Lublin, czy gdzieś tam. To teraz Zawiejkowa zostanie z szóstką dzieci sama, ale może jak Antek wróci, to się nie doliczy i będzie dobrze.

Jeszcze do niedawna takie ploteczki, przyniesione z Magnuszewa, były dla Hanki odskocznią i słuchała ich z wypiekami na twarzy, jednak ostatnio nie bawiły jej ani trochę, jak zresztą wszystko, co składało się na jej egzystencję. Kiwała jednak głową jak zawsze i udawała zainteresowanie, żeby tylko Irena nie nękała ją pytaniami na temat jej melancholijnej miny i niechęci do rozmów.

– A ten nowy, co przyjechał po Ritzu, to porządny jakiś czy znęca się nad ludźmi? – zapytała Hanka, byle zapytać o cokolwiek.

– A jak kiedy. Ale i tak wszyscy mówią, że takiego jak Ritz to już Magnuszew mieć nie będzie. Teraz to, proszę ciebie, nie wiadomo. Ostatnio na rynku zaaresztowali młodego Kunicza. Że niby z partyzantami coś knuje.

Zawinęli, do Kozienic wywieźli i tyle o nim wiadomo. A za Ritza to strach był tylko, jak kto obcy przyjeżdżał – powiedziała Irena.

– O proszę, jak to teraz Hermanna kochają. A wcześniej to go od czci i wiary odsądzali. Bo Niemiec. Mnie też wyklinali, że się z nim zadawałam, a teraz, jak im się dupy palą, to Ritza pod niebiosa wychwalają… – mruknęła Hanka.

– No widzisz, to tak jak z tobą. Jęczysz, że muchy, że kurz i nie masz do kogo gęby otworzyć, ale jakby cię znowu do więzienia wzięli albo na roboty do bauera wywieźli, to od razu byś do tych much i drewnianego wychodka zatęskniła – roześmiała się Irena.

Tak, ta prosta i nieco ułomna kobieta uświadomiła Hance tak oczywistą prawdę. Należy cieszyć się z tego, co jest, bo jutro może już tego nie być. Lewinówna przeżyła Pawiak i życie, jakie obecnie wiodła, zdawało się rajem na ziemi w porównaniu ze śmierdzącą uryną celą, codzienną niepewnością, czy ów dzień, który nadszedł, nie okaże się ostatnim. A jednak nawet to, co powiedziała Irena, nawet ta głęboka i oczywista prawda, nie sprowadziła Hanki na ziemię. Uznała, że ma prawo mieć marzenia i tęsknić za życiem pełniejszym i piękniejszym. Nie chciała rezygnować z pragnień śpiewania na wielkiej scenie, życia w luksusie i w otoczeniu wielbicieli. Marzyła także o mężczyźnie, tym jedynym, który będzie stał przy jej boku. Może los okaże się łaskawy i tym człowiekiem będzie Igor Łyszkin, a może ktoś, kto będzie wyglądał jak on, mówił jego głosem i kochał ją taką szaloną miłością. Nie wiedziała, jak pogodzić marzenia o bogactwie i życiu z Igorem, bo były to dwie sprzeczności, ale uznała, że nie będzie się nad tym zastanawiać. W końcu ludzie się zmieniali, więc może i Łyszkin po trudach wojennego życia zapragnie odrobiny blichtru i zrozumie, że umartwianie się należy pozostawić ascetom.

Gdy pożegnała się z Ireną i ułożyła do snu zmęczone całodziennymi harcami dzieci, usiadła przy stole w kuchni i wydarła z brulionu kolejną kartkę, by przelać swoje smutki na papier. Hermann był w stanie ją zrozumieć bardziej niż Irena „Wariatka”, która rozterki Hanki umiała jedynie kwitować stwierdzeniem „fiu-bździu” albo mawiała, że od czytania tych książek w głowie jej się poprzewracało. Gdyby tak mogła napisać list do Alicji albo porozmawiać z nią, wyrzucić swój żal i tęsknotę, opowiedzieć o swoich pragnieniach, nie pomijając niczego… Tak, Alicja zrozumiałaby wszystko,

a na pewno zaakceptowałaby fakt, że jej przyjaciółka wciąż marzy o innym życiu, by mogła robić to, co kochała najbardziej.

4. Kleine Seedorf/Natać Mała, 1943

–No i jak? – niemal krzyknęła Gertrude Lagendorf, widząc zmierzającego w stronę furtki Waltera.

Lossow nie czuł się zbyt komfortowo, okłamując tę dobroduszną kobietę, ale po prostu nie miał wyjścia. Niemal cały dzień błąkał się po lesie, kąpał w jeziorze albo leżał na ciepłej trawie, wpatrując się w bezchmurne niebo i wsłuchując w świergot ptaków, szum liści i chlupot wody obijającej się o drewniany pomost. Jednak pani Lagendorf oznajmił, że oto musi stawić się na komisję lekarską, która orzeknie, czy może powrócić do służby wojskowej, czy też jego stan to wyklucza. Nic więc dziwnego, że pani Lagendorf z niecierpliwością czekała na wieści z nadzieją, że zyska lojalnego pracownika, a kto wie, może i zięcia.

– Nie nadaję się do wojaczki. – Walter uśmiechnął się szeroko, nie wdając się w medyczne szczegóły, które co prawda wymyślił podczas spacerów po okolicy, ale nie chciał bardziej okłamywać Gertrude, niż było to konieczne.

– Franz… Jakże się cieszę. Znowu by cię na front wzięli, a podobno pod Kurskiem bitwa jakich mało. Znowu tysiące naszych chłopców albo nie wróci wcale, albo jako poranione kaleki. Mało im było Stalingradu? Cały wschód jest nasiąknięty niemiecką krwią. Szaleńcy… Szaleńcy.

– Kochana pani Gertrude, co my możemy? – zapytał retorycznie Walter i rozłożył ręce w geście bezradności, nie chcąc wdawać się w podobne dyskusje.

Znowu musiałby oszukiwać. A miał już serdecznie dosyć kłamstw. Wystarczająco dużo ich wypowiedział ostatnimi czasy. On także uważał, że wojna jest kompletnie niepotrzebną stratą ludzi i pieniędzy, ale był czas, nawet w nie tak odległej przeszłości, gdy zagrzewał młodych chłopców do walki, pisał oratoria na temat wielkiej Rzeszy i barbarzyństwa Rosjan. Zakłamywał rzeczywistość, by żołnierze Wehrmachtu i innych jednostek szli do boju z uśmiechem na ustach, wierząc, że to, co robią, jest wzniosłe, potrzebne i ma jakiś głębszy sens.

– Pewnie głodny i zmęczony jesteś. Zostało trochę eintopfu z obiadu, to ci przygrzeję. Brygidka jeszcze w polu, pilnuje Władka i Janka, bo to wiadomo, co im do łba strzeli? Zwłaszcza Janek wyrywny i patrzy na mnie spode

łba, jakbym ja go tu kazała zamykać. Ale muszę, bo inaczej kara, jak uciekną. A ja nie jestem taka, jak inni gospodarze, co trzymają przymusowych gorzej jak świnie. U mnie normalne łóżka mają i strawę jadają jak my, a że muszę ich zamykać i kraty w oknach mieć, to już nie mój wymysł. Toż jakby do obozu trafili, co stoi tam dalej w lesie, to by przecież gorzej im było jak u mnie. W końcu to ludzie, Polacy, a my to jakby jedną nogą w Polsce – tłumaczyła się Gertrude.

– Nie wszyscy tak myślą… – mruknął Walter.

– Oj, widzę, że i tobie mózg wyprali przez tę propagandę. A ludzie głupie są i tyle. Nazywa się jeden z drugim Gąska albo Kowalski, ale dzieciom nadają imiona Helmuth albo Adolf. My to z dziada pradziada Lagendorfy, ale nie pysznimy się i nie patrzymy, kto Polak, kto Niemiec. My jesteśmy Mazurzy i swój rozum mamy – upierała się Gertrude.

– Pani Lagendorf, ja tam myślę, że człowiek to albo mądry, albo głupi. Albo dobry, albo zły. A niech on będzie nawet Anglikiem albo Rosjaninem. – Uśmiechnął się, bo w istocie nigdy nie był ksenofobem.

– Ruskich to ja bym tak nie wychwalała, zwłaszcza głośno, bo podobno to dziki naród – powiedziała cicho Gertrude i zamieszała w garnku, nie odzywając się już ani słowem.

Walter von Lossow uważał niegdyś tak samo. Jednak będąc w Leningradzie, zmienił nieco swoje nastawienie. W istocie Stalin zrobił z Rosjan ogłupiały naród, ale były wśród nich prawdziwe intelekty, uzdolnieni artyści i osoby tak wrażliwe i mądre, jak piękna Olga Iwanowna, której obraz, podobnie jak Holly Evans, czasami do niego powracał.

***

Kiedy wkładał do ust kolejne kęsy jedzenia, w drzwiach stanęła Brygide. Miała zaczerwienioną od słońca twarz i potargane włosy. Przywitała się z matką i Walterem, po czym bez słowa wyszła na podwórko, by w ogromnej misce umyć się po polowych pracach. Walter przyglądał się przez kuchenne okno, jak namydlała swoje potężne, mlecznobiałe uda, a gdy nachylała się, jej duży biust kołysał się ponętnie. Pomyślał o dwóch młodych chłopcach odpoczywających po ciężkim dniu pracy w polu, którzy zapewne snuli marzenia o tym, by jędrne ciało Brygide mogło zaspokoić ich żądze. Zdawało mu się, że dziewczyna robi to celowo. Musiała mieć świadomość,

że mężczyźni na nią patrzą, bo obmywała się przy studni, na widoku i bez żadnego skrępowania.

Odwrócił wzrok, bo poczuł, że skronie mu pulsują, a spodnie robią się ciasne w okolicach rozporka. Dokończył gęstą zupę z ziemniakami i kawałkami mięsa, po czym udał się do swojego pokoju na strychu. Lipcowy upał nie ominął także jego kwatery. Powietrze było duszne, a leżąca na łóżku pościel zdawała się go parzyć. Do tego powracały przed jego oczy białe uda Brygide i jej jędrne piersi. Myśli Waltera zrobiły się frywolne, a potem coraz bardziej perwersyjne. Dotychczas miewał kobiety drobne i delikatne, i takie właśnie mu się podobały. Nawet Renate Zoll zdawała się przy nich dobrze zbudowana, ale Brygide była po prostu jak żywcem wyjęta z obrazu Rubensa. Wydawało mu się, że nawet brutalne zabawy, które w tej chwili podpowiadała mu wyobraźnia, nie byłyby w stanie zrobić jej krzywdy.

Zerwał się z posłania i zszedł do kuchni.

– Wypłynę na jezioro, pani Lagendorf. Może jakieś rybki złowię – powiedział na wdechu, chcąc jak najszybciej opuścić domostwo i zająć się czymś innym.

Ryby łowił dosłownie kilka razy w życiu i było przy tym więcej śmiechu niż ryb, ale pomyślał, że przynajmniej odwiedzie swoje myśli od szerokich bioder Brygidy, które zapowiadały swym wyglądem zmysłową i szaloną rozkosz. Nie podobała mu się, normalnie nie zwróciłby na nią uwagi. Tak samo, jak na Holly. Jedna była zbyt zwalista, druga zbyt chuda i płaska, jednak obie doprowadziły go do stanu wrzenia.

Pani Lagendorf wyciągnęła z komórki stare wędki i słoik na robaki, po czym wręczyła Walterowi i powróciła do swoich zajęć. Gdy zbliżał się do furtki posesji, usłyszał głos Brygide:

– Franz? Płyniesz na ryby? – zapytała słodko.

Walter przeklął w duchu.

– Tak, nie jestem co prawda mistrzem wędkarstwa, ale chyba czas nabrać wprawy. – Wyszczerzył zęby w nienaturalnym uśmiechu.

– Wybiorę się z tobą, pokażę ci miejsca, gdzie najlepiej biorą szczupaki. Płyń na tamtą wyspę – powiedziała, mrużąc jasne oczy otoczone równie jasnymi rzęsami i machnęła ręką w kierunku gęstwiny wyłaniającej się pośrodku jeziora.

„Diabli nadali”. – Walter zacisnął zęby, po czym pomyślał, że właściwie zachowuje się nieracjonalnie. Ta dziewczyna sama pchała mu się w ramio-

na, a i on nie miałby nic przeciwko temu, żeby pouży wać sobie z nią na jednej z kilku wysepek znajdujących się na ogromnym jeziorze. Już słyszał w wyobraźni jej jęki i niemal czuł na ciele łaskotanie wysokich traw porastających wyspy.

Podeszli do pomostu, gdzie przycumowana była łódź Lagendorfów. Walter zwinnie wskoczył do środka, wyjął spod brezentu wiosła i wyciągnął dłoń w kierunku Brygide. Ta jednak roześmiała się jedynie i równie wprawnie co on wsiadła do chyboczącej się łodzi. Jej piersi kolejny raz zafalowały, zapowiadając uciechy, jakich Lossow nie zaznał od dawna. Tak, właśnie w tym momencie zdobył pewność, że tego wieczoru jego napięcie zniknie, a on da upust swojej żądzy. Od czasu do czasu jakiś wewnętrzny głos szeptał mu, żeby uważał, jeśli nie chciał powtórki sytuacji z Renate Zoll, ale im bardziej wpatrywał się w rowek pomiędzy piersiami Brygide, tym ów wewnętrzny głos stawał się cichszy. Nie patrzył na twarz swojej towarzyszki, jakby jej w ogóle nie miała, ale składała się jedynie z jędrnego ciała, zachęcającego do tego, by je dotykać, ściskać, a wreszcie wsunąć się na nie i ulżyć zwierzęcemu pożądaniu.

– Franz? – zagadnęła niskim, zmysłowym głosem.

Popatrzył na nią spłoszony, jak gdyby za chwilę miała zadać mu pytanie o jego myśli, wypełnione żądzą spodnie, a potem dać przyzwolenie i krzyknąć, że czuje to samo i nie wytrzyma ani chwili dłużej.

– Dlaczego okłamałeś moją matkę? – zapytała bez cienia kokieterii.

To było jak kubeł zimnej wody. W jednej chwili podniecenie minęło, a on powrócił z nieba na ziemię.

– Nie wiem, o czym mówisz – bąknął, głośno przełykając ślinę.

– Franz… Nie byłeś na żadnej komisji, w ogóle nie pojechałeś do Neidenburga, tylko błąkałeś się po okolicy. Chyba że w leśniczówce była jakaś komisja lekarska, ale stary Gumiński nic o tym nie wie – zadrwiła.

Walter milczał, bo nie wiedział, co powinien teraz zrobić. Nie odpowiedzieć, tylko wrócić do brzegu i spakować manatki, czy może utopić tę wścibską dziewczynę w jeziorze, by jego tajemnica była bezpieczna. Nie był jednak pewien, jakie zamiary miała Brygide. Po kilku minach niezręcznej ciszy postanowił sprawdzić intencje córki Gertrude Lagendorf.

– Masz rację, nie pojechałem na komisję. Stchórzyłem, bo czuję się tak naprawdę w pełni zdrów. Byłem na wschodzie i za nic w świecie nie chcę

tam wracać. Równie dobrze mogę sobie strzelić w łeb tutaj, na miejscu. Przynajmniej będzie szybko i bezboleśnie – powiedział z goryczą w głosie.

Nie miał jednak zamiaru ujawniać wszystkiego, łącznie ze swoim prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Już raz stał się zakładnikiem kobiety i nie skończyło się to dla niego dobrze.

Po chwili dodał:

– No… A teraz idź i powiedz komu trzeba, że macie w domu dezertera.

Brygide uśmiechnęła się.

– Ależ, Franz, nie mam najmniejszego zamiaru cię wydawać. Moja mama bardzo cię lubi i przydajesz się nam, ale chciałabym też ci coś powiedzieć i mam nadzieję, że połączy nas wspólna tajemnica.

Walter uspokoił się, a myśli o wspólnych igraszkach powróciły. Postanowił postawić sprawę jasno.

– Tak, domyśliłem się. Dzisiaj po popołudniu – powiedział uwodzicielskim głosem.

– Tak bardzo to widać? – zapytała, spuszczając wzrok.

– Bardziej, niż ci się wydaje. Myślę, że się dogadamy i spędzimy razem niezapomniane chwile. – Walter przeciągał sylaby, żeby ich rozmowa nabrała charakteru gry wstępnej, a potem jedynie zakotwiczenie łódki będzie ich dzieliło od pełnego aktu seksualnego, bez zbędnych pieszczot i umizgów.

– O czym ty, do cholery, mówisz, Franz? – Brygide zmarszczyła czoło, a jej głos zrobił się oschły.

– O tym, moja Brygide, że gdy tylko dopłyniemy do wyspy, zerwę z ciebie ubranie i zaspokoję twoje żądze. Swoje zresztą też. – Lossow był coraz śmielszy.

Głośny śmiech Brygidy rozniósł się echem po całym jeziorze.

– Franz… – powiedziała, poważniejąc nagle. – Ja jestem z Jankiem. To z nim wymykam się wieczorami nad jezioro, to z nim pływam na wyspę, żeby się kochać, i gdy wojna się skończy, chcę zostać jego żoną. Dlatego chciałabym, żebyś go szanował i nie nękał nadmiernie. I, broń Boże, nie mówił *mutti*, jeśli zobaczysz nas razem. Moja matka boi się wszystkiego, a jak ci wiadomo, takie kontakty są surowo zabronione. I to jest ta tajemnica, którą chciałam się z tobą podzielić.

„A zatem tak się sprawy mają” – pomyślał Walter, czując z jednej strony zawód, a z drugiej coś w rodzaju ulgi. Nie będzie musiał bowiem mieć dy-

lematów, czy właściwe byłoby zrobić sobie kochankę z córki dobrotliwej pani Lagendorf. Brygida była zakochana w Janku Solskim spod Bydgoszczy i żaden inny mężczyzna nie budził w niej szczególnych emocji, a ów spektakl koło studni zapewne miał zrobić wrażenie tylko na jednym widzu, i nie był nim Walter. Jednak Brygide Lagendorf zmarnowała w Lossowie pożądanie, jakiego nie doznał od lat.

Tego wieczoru musiał zadowolić się jedynie pokaźnymi połowami i niezobowiązującymi rozmowami z Brygide. Gertrude przywitała ich w koszuli nocnej i z rozpuszczonymi włosami. Spojrzała znacząco na oboje, uśmiechnęła się triumfalnie i wzięła siatkę z rybami od Waltera. Z pewnością oczami wyobraźni widziała córkę w ślubnej sukni, a Lossowa w eleganckim garniturze, jednakże owe marzenia będą musiały pewnego dnia legnąć w gruzach, tak jak dzisiaj Walter zmuszony był zapomnieć o ruchach lędźwi pomiędzy udami Brygidy.

5. Okolice Kielc, 1943

To był dla Alicji Rosińskiej niezwykle trudny czas. Mimo że między nią a Julianem Chełmickim nie było dobrze ostatnimi czasy, myśl, iż mógłby zginąć, doprowadzała ją do rozpaczy. Jednak najgorsza była bezradność. Należała do ludzi czynu, siedzenie z założonymi rękami i oczekiwanie na wieści wywoływały u niej stan zbliżony do obłędu. Gdyby była w Warszawie, z pewnością zdołałaby ustalić szlak Juliana, a potem mogłaby ruszyć w jego ślady. Tak jak niegdyś. Jednakże wówczas do brawury pchała ją miłość, szalona i piękna, a w tym momencie trudno jej było orzec, jakimi pobudkami się kierowała. Jej Julian okazał się zupełnie inny, niż dotychczas sobie to wyobrażała. I mogłaby mu te wszystkie grzeszki wybaczyć, bo sama święta nie była, ale on ją zdradził. Nie tylko ciałem, bo to mogłaby przełknąć, ale także całą swoją duszą. Trudno jej było się z tym pogodzić, że serce Chełmickiego nie należało tylko do niej. Cóż z tego, że mogła pałać niechęcią do Weroniki Sarnowskiej, a nawet ją znienawidzić, jeśli niczego to już nie zmieni. Na jej miejscu mogłaby być każda inna, choć pewnie mało która byłaby tak zdeterminowana, jak ta napuszona doktorka. „Wielka pani, cholera jasna” – myślała ze złością Alicja, gdy tylko przypominała sobie jej czuły głosik, zatrwożone usta i spojrzenie żebrzące o jakiś łaskawszy gest. Jednak podobne rozważania postanowiła zostawić sobie na później, najważniejsze było życie Juliana, a potem… niech się dzieje, co chce.

Był jeszcze Sergiusz. Człowiek, o którym nie chciała myśleć, a jednak wciąż powracał jak bumerang we wspomnieniach. Często, gdy szła samotnie do lasu, by przeanalizować swoją przeszłość i przyszłość, łapała się na tym, że rozmawia z „Karym”. Tak jak niegdyś z Hanką. Teraz miała kolejnego przyjaciela, za którym tęskniła i który stawał jej się bliższy, niżby sobie tego życzyła. Bo był mężczyzną. Pociągającym, męskim i niekiedy szorstkim jak derka, którą jej wuj kładł na drewnianych ławach w ogrodzie. Stał się dla niej tak ważny, że nie chciała go już zwodzić, dopóki nie będzie pewna, że jest tym jedynym. Nie chciała zachowywać się jak Julian, przeskakujący z kwiatka na kwiatek w zależności od potrzeby serca. Tak było uczciwiej. Wobec Sergiusza, Juliana i wreszcie wobec siebie samej.

Niekiedy zastanawiała się nad tym, jak szybko przestała być nieobliczalną dziewczyną i stała się kobietą. Może ten moment nastąpił, gdy w jej życiu pojawił się ten najważniejszy mężczyzna – jej synek. Paradoksalnie to rów-

nież on uświadomił jej, że mimo pewnej dojrzałości wciąż w niej drzemie jakaś część małej, psotnej dziewczynki, która lubi przygodę i ciągłe zmiany. Mieszkając u wuja, gdzie dzień był podobny do dnia, czuła, że musi sprawić, by coś się działo. Budowała wraz z Mateuszkiem szałasy w lesie, puszczała własnoręcznie wystrugane łódki w małym strumieniu i bawiła się w Indian. Z pomalowaną truskawkami twarzą, gęsimi piórami wetkniętymi w przepaskę na włosy, biegała wokół ogniska, wydając z siebie dźwięki, które jedynie jej synowi wydawały się jak najbardziej na miejscu. Zapewne ktoś dorosły pomyślałby, że postradała zmysły, ale ona chciała poczuć, że robi coś więcej oprócz sprzątania, obierania ziemniaków i prania na tarze w ogromnej balii. Gdzieś tam daleko była wojna, jej kompani walczyli z wrogiem, ktoś ratował życie innemu człowiekowi, czyli robił wszystko to, co przez ostatni czas było jej udziałem. Tymczasem ona siedziała w bezpiecznym miejscu i jedynie nasłuchiwała z trzeszczącego radia wieści o kolejnych sukcesach i porażkach Hitlera.

Powinna rozkoszować się tym spokojem, którego tak bardzo jej dotychczas brakowało, porankami, gdy mogła w spokoju wypić kubek mleka i zjeść pajdę świeżego chleba pieczonego przez babkę, i popołudniami, gdy robiła przetwory, bawiła się z synem albo zażarcie dyskutowała o Stalinie, rządzie londyńskim i śmierci Sikorskiego. Miała dużo czasu dla siebie, bo Mateuszek, mimo że nie był jej biologicznym dzieckiem, zjednał sobie każdego z mieszkańców leśniczówki, a najbardziej dziadka Bronka, który cieszył się, że w końcu pojawił się w jego rodzinie potomek płci męskiej, dzięki czemu łatwiej mu będzie okiełznać trzy niesforne kobiety. Chłopczyk również lgnął do dziadka, bo pewnie brakowało mu „Karego”, który godnie zastąpił mu nieżyjącego już ojca.

Kiedy zapadał wieczór, siadała na werandzie, owinięta pledem, i popijała herbatę z kory oraz tartej marchwi, której aromat poprawiała odrobiną cykorii i słodkich malin. Często towarzyszyła jej Alutka, ale mówiły o mało ważnych sprawach, jakby babka uznała, iż jest jeszcze za wcześnie na rozmowy o tym, co naprawdę dzieje się w sercu jej wnuczki.

– Ciekawe, jak sobie Lewinówna radzi. Ostatnie lata przed wojną żyła jak wielka dama, a teraz i inwentarz musi oporządzać, i pewnie kawałek pola ma. No i dwójka małych dzieci to też masa obowiązków. Mateuszek ma nas pięcioro, a i tak mi się zdaje, że ciągle coś jest przy nim do roboty – zagadnęła pewnego wieczoru Alutka.

– Okazało się, że Hanka potrafi sobie bardzo dobrze radzić – uśmiechnęła się Alicja. – To dzielna kobieta. I ma tę wielką Irkę do pomocy, a uwierz, babciu, to tur, nie baba. Bardzo tęsknię za Hanką, jesteśmy jak siostry, a ona teraz tak daleko i nawet listu wysłać do niej nie mogę, bo nie wiem, gdzie mieszka. Irena za nic mi tego powiedzieć nie chciała, a siłą bym raczej z niej nie wydusiła.

– A ten jej mężulek paniczyk? – zapytała babka.

– Kto go tam wie… Siedzi w Anglii i ani myśli wracać, póki Niemcy siedzą w Polsce. Zresztą od trzydziestego dziewiątego Hanka nie miała o nim żadnych wieści. Myślę, że gdy wojna się skończy i jakimś cudem się odnajdą, to chyba tylko po to, żeby wziąć rozwód – z westchnieniem powiedziała Alicja.

– Nie dziwota, jak sobie z innym dzieciaka zmajstrowała – burknęła babka.

– Ten inny naprawdę ją kocha, a ona jego… Piękna miłość, piękna para, tylko przez wojnę rozdzielona – rozmarzonym głosem dodała Alicja, bo tak jak niegdyś Hanka zazdrościła jej idealnej i bezgranicznej miłości do Juliana, tak teraz sytuacja odwróciła się i to ona chciałaby znaleźć się na miejscu przyjaciółki.

– Wiesz, moja droga, czasami wszystko wygląda inaczej, niż nam się wydaje. Namiętność lubi zakładać na nos różowe okulary, zniekształcać obrazy, okłamywać nasze serca, dopiero prawdziwa i głęboka miłość zrzuca maskę, by człowiek mógł odróżnić jedno od drugiego – spokojnym tonem powiedziała babka.

Alicja nie była głupia, poza tym nazbyt dobrze znała babcię, by w mig zorientować się, do czego zmierza Alutka. Zapewne chciała wiedzieć, co kryje się w sercu jej wnuczki. Problem tylko polegał na tym, że ona sama tego nie wiedziała. Kurczowo trzymała się marzeń, chcąc nagiąć do nich rzeczywistość, zamiast dostrzec to, że życie ofiarowało jej coś znacznie piękniejszego. Modlitwy niekiedy są wysłuchiwane w przedziwny sposób. Nie mogła wszystkiego zrzucać na wojnę, uważała bowiem, że to właśnie w tym tragicznym czasie miłość powinna być najsilniejsza i najpełniejsza, bo każdy dzień mógł okazać się tym ostatnim.

– Nie wiem, co czuję, babciu – powiedziała cicho Alicja, w głosie której pobrzmiewała bezradność.

– Rozumiem, chociaż wolałabym, żebyś jednak obdarowała uczuciem Sergiusza, bo kocha cię ten szaleniec bezgranicznie. Pamiętaj jednak, że najczęściej doceniamy pewne rzeczy dopiero, gdy je naprawdę utracimy. Czy myślałaś, jak cennym darem jest wolność, dopóki Niemcy nie zajęli naszego kraju? Albo o tym, jak smakuje prawdziwy wiejski chleb z czystej mąki na prawdziwym zakwasie, albo jak miło jest biegać po łące ze świadomością, że nie nadepniesz na minę? Teraz ci się wydaje, że Sergiusz jest w zasięgu twoich rąk, wystarczy je wyciągnąć, by był cały twój, ale czy tak będzie wiecznie? Czy warto, moja droga, dla kaprysu albo, że tak powiem, dla zgubnej namiętności drażnić tak piękne uczucie? – perorowała Alutka, rezygnując ze swojego zwyczajowego, nieco kpiarskiego tonu.

– Babciu, to nie jest takie proste. Julian nie jest kaprysem, a i okres namiętności mam już chyba za sobą. Ale czuję, jakby był częścią mnie, bez względu na to, gdzie jest i co robi – burknęła nieco obruszona Alicja.

– Być może. Chociaż nigdy nie uważałam, że Chełmicki do ciebie pasuje. Jesteście ulepieni z innej gliny. Jego wewnętrzny świat jest poukładany według wzoru. A twój? Sama wiesz… Nigdy nie lubiłaś utartych szlaków, zawsze w ruchu, z głową pełną pomysłów. Jesteś jak ćma, musisz spalić sobie skrzydła, zanim coś pojmiesz. Popełniasz błędy, bo wtedy dopiero jesteś w stanie się przekonać, że błędami były, ignorując to, co mówią inni. To nie zarzut, tylko fakt. – Uśmiechnęła się dobrotliwie.

– I dlatego ciągle pakuję się w kłopoty… – z westchnieniem dodała Alicja.

– Na szczęście to ty powiedziałaś. – Babka roześmiała się i tego wieczoru nie powiedziała nic więcej.

Martwiła się o swoją wnuczkę, bo wiedziała, że nic i nikt nie jest w stanie poskromić jej charakteru. Ani synek, ani Julian Chełmicki. Jedynie Sergiusz Dargiewicz był niczym światełko w tunelu, bo chyba tylko on byłby w stanie ujarzmić ten dziki charakterek.

6. Warszawa, 1943

Renate Zoll była sama w mieszkaniu na Woli. I podobało jej się to. Emil załatwiał interesy w towarzystwie tego szemranego koleżki, Franka, mały Szymek jak zwykle gdzieś wyszedł, nie informując nikogo, a Karolek przebywał u sąsiadki. Lewinowi niezbyt podobało się to, że jego narzeczona nie chce zajmować się dziećmi, a zwłaszcza jego synem, jednak przed Renate czuł jakiś respekt i nigdy nie ośmielił się potraktować jej w obcesowy sposób czy zrobić awanturę. Nie do końca wiedział, jakimi uczuciami darzy tę kobietę, ale wydawało mu się, że są bardzo do siebie podobni, więc jeśli on nie znosił, gdy ktoś próbował nim rządzić, panna Zoll również mogła na takie zachowanie reagować złością. A on marzył o chwili świętego spokoju. Męczyła go wojna, ciągłe kluczenie i oszukiwanie kompanów, że losy jego kraju nie są mu obojętne, a on posiada jakikolwiek kręgosłup moralny. Musiał dobrze żyć z Frankiem i jego kumplami, bo bez nich prowadzony biznes nie miałby racji bytu. Oni zaś mieli swoje zasady i na pewne sprawy reagowali w sposób jednoznacznie negatywny. Był to dziwny świat pokątnych kanciarzy, paserów i złodziei, gdzie czasami dochodziło nawet do zbrodni, ale to wdawanie się w szemrane układy z wrogiem i kapowanie Niemcom było dla nich prawdziwą zmazą na życiorysie. „Diamentowa Rączka”, odkrywszy proceder szantażowania ludzi ukrywających Żydów, patrzył wciąż czujnym okiem na Emila. Sarkał także na jego związek z Renate i właściwie unikał jej jak mógł. Gdy była w domu, Franek nigdy tam nie zachodził, a gdy już musiał, załatwiał sprawę w kuchni, odmawiając wypicia kielicha czy szklanki herbaty.

Emil Lewin miał nadzieję, że pewnego dnia, gdy wojna się skończy, drogi jego i Franka rozejdą się, a on będzie w końcu mógł żyć i postępować według własnego uznania. Oczami wyobraźni widział siebie w roli eleganckiego biznesmena ze skórzaną, sygnowaną teczką w ręku i złotym zegarkiem na przegubie dłoni. Będzie robił legalne i wielkie interesy, a towarzystwo znajdzie sobie doborowe i inteligentne. Taki wspólnik jak Franek kompletnie nie pasował do tej wizji. Co innego Renate. Ona, gdy chciała, potrafiła zachowywać się jak prawdziwa dama i podobnie jak on marzyła o życiu w luksusie.

Tymczasem marzenia Renate, owszem, krążyły wokół bogactwa i splendoru, ale nie widziała w nich Emila przy swoim boku. Już jakiś czas temu

pogodziła się z utratą Waltera i Lewin przestał jej być potrzebny, ale tkwiła przy nim, by zdobyć oczekiwaną nagrodę – Ericha Vadera. Małżeństwo z nim zapewniłoby jej wszystko. Pozycję, wygodę i pieniądze. Dlatego czekała, aż wypełni powierzone jej zadanie i była coraz bardziej zniecierpliwiona. Kiedy zdawało jej się, że poszukiwaną Alicję Ross ma w zasięgu ręki i rychło otrzyma spodziewane wyróżnienie bycia ulubienicą Vadera, ta zapadła się pod ziemię. Nic także nie wskazywało na to, by miała szybko wyjść z ukrycia, dlatego w pewnym momencie jedyną nadzieją stała się siostra Emila, Hanka Lewin.

Renate patrzyła w brudną szybę okna i pomyślała o czymś jeszcze. Hanka Lewin, wielka diwa przedwojennej warszawskiej sceny, była nie tylko jej przepustką do lepszego życia, ale Renate Zoll miała z nią także swoje prywatne porachunki. Nie zapomniała upokorzenia, jakiego doznała pewnego dnia, gdy ta kobieta usiłowała ją zabić. Co gorsze, Renate nigdy nie odpłaciła jej za to. Bo cóż znaczyły kopniaki i bicie pałką w obliczu faktu, że mogła stracić życie. Oczami wyobraźni widziała scenę, gdy Lewinówna staje w drzwiach mieszkania Emila i z przerażeniem wpatruje się w Renate. Nie ma jednak wyjścia, musi skorzystać z gościny brata i usiąść z nią przy jednym stole. Renate nie wierzyła, że ta nagle odwróci się na pięcie i wyjdzie. A jeśli nawet, jedyną przyjaciółką, jaką miała w Warszawie, była Alicja Ross. I wtedy Hanka Lewin doprowadzi gestapo do tej kobiety, a ona zyska uznanie w oczach Vadera.

Niestety, minęło kilka tygodni, a ona nie miała o Lewinównie żadnych wieści. Nie przychodziły listy, nikt nie przyniósł żadnej wiadomości, a Emil jej pytania kwitował wzruszeniem ramion. Jedyną jej nadzieją był ten szczeniak, mały Szymek Wielopolski.

Zerwała się z krzesła i pobiegła do sąsiadki z naprzeciwka.

– Po Karolka przyszłam – powiedziała z szerokim uśmiechem.

– A to już? – mruknęła sąsiadka i popatrzyła na wiszący w przedpokoju zegar.

Dla niej każda godzina opieki na małym Karolkiem była cenna z uwagi na pieniądze, jakie dostawała w zamian. Lewin tym razem zapłacił jej za osiem godzin z góry, tymczasem nie minęły nawet cztery.

– Może pani zatrzymać pieniądze za cały dzień. – Renate machnęła ręką i dodała: – Dorzucę nawet pani sto złotych, ale chciałabym, żeby pani ugo-

towała najlepszy obiad, jaki tylko pani potrafi. Kupi pani na rynku wszystko, co potrzeba, a i pani co nieco zostanie.

Twarz sąsiadki wyrażała zdziwienie, ale odetchnęła z ulgą, bo pieniądze od Emila dała już synowi, by ten miał za co wykupić kartki. Poza tym, jeśli przygotuje garnek zupy na mięsie, a potem utłucze kotlety ze schabu, jej rodzina także posili się tym wspaniałym jedzeniem.

Renate zabrała Karolka, wręczyła kobiecie pieniądze i powróciła do mieszkania. Tego wieczoru będzie sama z Szymkiem, bowiem Emil musiał wyjechać po towar do Rzeszy. I to będzie dobry moment, by zaprzyjaźnić się z tym krnąbrnym gówniarzem, który nie okazywał jej ani szacunku, ani sympatii. Zachowywał się, jakby po prostu nie istniała, ale miała nadzieję, że niebawem się to zmieni.

Zanim Szymek Wielopolski powrócił, zmęczony całodziennym roznoszeniem lewego towaru, obiad już stał na kuchence w domu Lewina, a jego woń roznosiła się nawet na klatce schodowej. Szymkowi nawet nie przyszło do głowy, że owe smakowite zapachy wydobywają się z ich mieszkania, bo odkąd umarła Adrianna, jadał właściwie byle co. Pan Lewin stołował się na mieście, panna Zoll w swoim miejscu pracy, a on żywił się suchym prowiantem i niekiedy miską cienkiej zupy na Kercelaku albo Koszykowej. Na inne rarytasy nie wydawał pieniędzy, oszczędzając każdy grosz. Miał jasno określone dwa cele w życiu: pierwszym było zdobycie solidnego wykształcenia, a co za tym idzie, dobrze płatnej posady, drugim zaś zemsta na „Szmacie”, który zamordował mu przyjaciółkę. A za pieniądze mógł takiej wendetty dokonać, płacąc komuś, by ten zastrzelił oprawcę z byłego getta. Ta ostatnia myśl była dla Szymka tak wielką motywacją, że gdy przechodził obok straganów z pierogami albo domowymi obiadami, odwracał wzrok, przełykał głośno ślinę i szedł dalej, licząc w myślach pieniądze, które właśnie zaoszczędził.

Gdy dotarł pod drzwi, ze zdziwieniem stwierdził, że owe smakowite aromaty wydobywają się z ich mieszkania. Było to tym dziwniejsze, że pana Lewina miało nie być aż do następnego dnia. Wszedł do przedpokoju i zdjął trzewiki. Wziął jeden do ręki i ze złością stwierdził, że podeszwa całkiem się starła i pojawiła się dziura. Pomyślał, że czeka go kolejny zbędny wydatek.

– Trzeba by ci nowe buty sprawić – powiedziała czule Renate, stając w drzwiach kuchni. – Kto to widział, żebyś w dziurawych trzewikach cho-

dził.

– Z panem Lewinem to my taką umowę mamy, że sam muszę na wszystko zarobić. A mnie pieniędzy szkoda. Pokręcę się jutro po Różycu, może jakieś używane trafię na moją nogę – westchnął Szymek, nieco zdziwiony troskliwością panny Zoll.

– Porozmawiam z Emilem, żeby ci w prezencie kupił. – Uśmiechnęła się i dodała: – Chodź, obiad ci dam, może poweselejesz.

Szymek nie mógł uwierzyć w to, co słyszy, ale pomyślał, że może z panną Zoll jest tak, jak było kiedyś z panną Adrianną. Na początku panna Daleszyńska też go nie lubiła i nieraz słyszał, jak ciosa panu Emilowi kołki na głowie, że znajdę pod swój dach przyjął. Potem jednak opiekowała się nim, prawie jak własnym dzieckiem, więc może i w pannie Zoll nastąpiła jakaś cudowna przemiana.

Obiad w istocie był wyśmienity. Zupa tłusta, jednak nie od łoju, ale od prawdziwego mięsa, którego kawałki pływały w gęstej zawiesinie kaszy i warzyw. Prawdziwy krupnik, tak sycący, że gdy Renate postawiła przed Szymkiem talerz tłuczonych ziemniaków ze skwarkami i ogromnym kotletem obok, zaczął się obawiać, czy jego nieco skurczony żołądek to przyjmie.

– A po drugim daniu, jak trochę odpoczniesz, będzie ciasto drożdżowe. Należy nam się jakaś przyjemność, bo przez tę cholerną wojnę, nie mamy prawie żadnych. – Renate kolejny raz uśmiechnęła się do Szymka, po czym dodała, jakby od niechcenia: – O, i Hanki Lewinówny posłuchamy, ona tak pięknie śpiewa. Dobrze, że żyje. Szkoda byłoby takiego talentu. A i Emil bardzo ją kocha i za nią tęskni.

– A co ma nie tęsknić, jak to siostra jego – mruknął Szymek, napychając buzię kolejną porcją mięsa.

– A może by tak Emilkowi niespodziankę zrobić i mu Hankę sprowadzić? Pomyśl, wchodzi do domu, a tu ukochana siostra… – zaczęła delikatnie Renate.

– Pewnie by się ucieszył, tylko nie wiadomo, gdzie teraz pani Hanka mieszka. – Szymek wzruszył ramionami.

– Ale Emil to chyba wie… – podpytywała Renate.

– No przecie nawet nie wiedział, czy żyje, dopóki mu nie powiedziałem – bystrze zauważył Szymek.

– Ale mówił, że ponad rok jej nie widział, a wojna już wtedy była, więc może nadal mieszka tam, gdzie ostatnio? – indagowała niestrudzenie Renate.

– Może i tak. Ja tam tak dokładnie to się pana Lewina o siostrę nie wypytywałem.

– Ale mógłbyś się dowiedzieć, bo jak ja… – zaczęła niepewnie Renate.

– Wiem… To od razu zwącha, co pani kombinuje. – Szymon uśmiechnął się.

Renate Zoll struchlała. Czyżby jej podstęp z sutym obiadem i propozycją kupna nowych butów się nie udał i ten szczeniak ją przejrzał? Przełknęła ślinę, zastanawiając się intensywnie, jak wybrnąć z sytuacji, gdy nagle Szymek dodał:

– Dobrze, podpytam go którego dnia, żeby nie zmiarkował, że pani chce mu siostrę do Warszawy przywieźć. – Wyszczerzył zęby i uznał, że panna Zoll jest całkiem miłą osobą. Co z tego, że folksdojczką, ale była dobra dla pana Lewina, a teraz będzie taka również dla niego.

7. Kołyma, 1943

Zbudowany na wzgórzu drewniany dom z bali sprawiał wrażenie inscenizacji do bajki. A mogłaby zamieszkać w nim zła czarownica, która roztaczałaby wokół aurę niebezpieczeństwa i wrogości. Mieszkaniec owego domku nawet czuł się jak stara wiedźma, na widok której wszyscy pierzchali, ukrywając się za ścianami baraków czy konnymi wozami przywożącymi do zony materiały budowlane, jedzenie czy sprzęty. Stiepan Kaganowski wiedział jednak, że musi prowadzić obóz żelazną ręką. W tym regionie lato bywało bardzo krótkie, jeśli więc nie zdążą ze wszystkim, zanim nadejdą złowrogie mrozy, część ze skazańców będzie musiała mieszkać w namiotach, co może okazać się dla nich zabójcze. A on potrzebował ludzi, by wyrabiali wyśrubowane normy, narzucone *zonie* przez zwierzchników.

Dźwięk hamującego na kamieniach samochodu oderwał myśli Stiepana od rozterek, czy zdąży wybudować wszystkie baraki przed porą zimową. Wyszedł przed dom i ujrzał zisa 101, parkującego tuż przed drzwiami wejściowymi. Chwilę potem z samochodu wytoczyła się zwalista postać pułkownika Bieriezowskiego.

– Witajcie, pułkowniku – wyjąkał nieco przerażony wizytą Kaganowski.

– Przyjechałem sprawdzić, jak idzie budowa. Musimy trochę powiększyć to miejsce. Dostałem telefonogram, że za tydzień przypłynie do Magadanu statek z niemieckimi jeńcami. To zdrowi, silni żołnierze, więc będziecie mieli dodatkowe ręce do pracy, ale muszą gdzieś mieszkać, żeby nam przedwcześnie nie pozdychali – zachrypiał Bieriezowski.

– Ledwie wyrabiamy się z tym, co już zaplanowane, pułkowniku – jęknął Kaganowski.

Przeraził się nie tylko z uwagi na dodatkowe prace budowlane, niemieccy jeńcy bowiem zawsze wywoływali agresję wśród więźniów, zwłaszcza *błatników.* Ci ostatni świetnie potrafili utrzymywać dyscyplinę w obozie, budząc grozę już samym wyglądem. Ich ciała pokrywały nieudolnie zrobione *nakołki,* głowy mieli wygolone po bokach z niewielką kępką tłustych włosów na czubku, a swoje niezadowolenie okazywali poprzez bicie innych drewnianymi kijami, nazywanymi termometrami. Niekiedy te akty przemocy były zupełnie niepotrzebne i w zasadzie stanowiły jedynie sposób na zabawę dla tych kryminalistów. Nie żeby Stiepan żałował bitych nieszczęśni-

ków, ale wśród więźniów nie znalazł żadnego lekarza i najczęściej ofiara takiej napaści albo umierała, albo nie nadawała się do pracy. Zatem, gdy przybędą znienawidzeni „fryce”, krew może zacząć lać się strumieniami.

– Nasz obóz, pułkowniku, liczy już pięciuset więźniów, a nie mamy chociażby sanitariusza. Wybudowaliśmy barak dla chorych i rannych, tylko nie ma komu leczyć – delikatnie zagadnął Kaganowski.

Pułkownik poklepał go po ramieniu wielką jak bochenek chleba dłonią pokrytą czerwonymi plamami i kolejny raz wyszczerzył zęby w nienaturalnym uśmiechu.

– Nie martwcie się, towarzyszu. Pod Kurskiem spacyfikowaliśmy niemiecki szpital polowy, to i wam się trafi ktoś z personelu medycznego – powiedział niby pocieszająco, a jednak w jego głosie zabrzmiała ironia.

Bieriezowski dobrze wiedział, jak reagują więźniowie na niemieckich lekarzy w *zonach*. Już niejeden raz padali oni ofiarami rozwścieczonych nie tylko *błatników* – przestępców kryminalnych – ale także strażników i wozaków. Jednakże utrzymanie dyscypliny i ochrona personelu medycznego należały do komendanta, jak również znalezienie tłumaczy, którzy zrozumieliby mowę tych szubrawców.

Kaganowski oprowadzał wysłannika z Magadanu między gotowymi barakami, wyznaczonymi miejscami dla koni oraz innymi budynkami mającymi pełnić funkcję stołówek, punktów medycznych czy wreszcie stolarni, kuźni i zakładów krawieckich. Wszystko było nowe, czyste, a więźniowie sprawiali wrażenie zdrowych i zadbanych. Bieriezowski wiedział jednak, że za kilka miesięcy wiele się tutaj zmieni, bo praca przy budowie, gdy na dworze panowała przyjazna aura, była niczym wczasy w porównaniu z robotą w kopalniach odkrywkowych, kiedy na zewnątrz mróz dochodził do minus pięćdziesięciu stopni. Zamarzało wtedy wszystko. Woda w ujęciach, robotnicy, a nawet wypluwana ślina zamieniała się w lodową kulkę, zanim dotknęła ziemi. Pułkownik starał się w tym czasie nie opuszczać Magadanu, siedział głównie w ciepłym pokoju murowanego budynku centrali i wypełniał skrupulatnie setki formularzy, które następnie wysyłał do Moskwy. Podległe mu kopalnie i tartaki osiągały naprawdę niezłe wyniki, ale kolejne normy, które do niego docierały, były coraz bardziej wyśrubowane i Bieriezowskiemu zdawały się niemożliwe do osiągnięcia. Jednak rozsyłał je po kolejnych obozach, by jego podwładni realizowali plany przy pomocy wszelkich dostępnych metod. Ludzi na Kołymie nie brakowało, wciąż na-

pływali nowi i z ich stratą nikt się nie liczył. Polityczni i *bytownicy*, czyli niepolityczni, *błatnicy*, i jeńcy, wszyscy i tak kończyli jednakowo. Pozbawieni ubrań, z przyczepionymi do dużego palca u nogi *birkami*, kończyli w masowych mogiłach, przysypani kamieniami i żwirem. Leżeli tam pewnie do tej pory, ponieważ wieczna zmarzlina konserwowała ich ciała. Niemi świadkowie wielkiego przedsięwzięcia Bierzina, który zapoczątkował dzieło uprzemysłowienia Kołymy, a skończył stracony, jako japoński szpieg.

Pułkownik opuścił obóz pod wieczór, pochwalił nowego komendanta, zgłosił kilka uwag i ruszył swoim zisem do kolejnych miejsc, by sprawdzić, czy są gotowe na zimowe chłody. Stiepan powrócił do domu, gdzie znajdował się także jego gabinet, nastawił samowar i zaczął przeglądać karty więźniów. Tych, co już pracowali w obozie i tych, którzy dopiero mieli do niego przybyć. Potrzebował fachowców: cieśli, krawców, lekarzy i kucharzy. Jednak kolejne przekładane karty prezentowały ludzi, którzy nie tylko profesjonalistami nie byli, ale obawiał się, że niezbyt się nadają do jakiejkolwiek fizycznej pracy. Filozofowie, nauczyciele akademiccy, szewcy i mordercy. Złodzieje, szulerzy i poeci. Sprzedawcy i dziennikarze. Rolnicy i urzędnicy.

Przetarł zmęczone oczy, nalał sobie herbaty i odłożył jedną z kart na bok. Wykładowca niemieckiego z uniwersytetu we Lwowie. Przyda mu się jako tłumacz, gdy obóz zaleje fala „fryców”. Cóż z tego, że był politycznym z paragrafu 58, wrogiem ludu? A gdzie miałby znaleźć kogoś, kto biegle włada niemieckim? Przecież nie wśród morderców i złodziei. Miał dyrektywy dotyczące politycznych, ale uznał, że tutaj nie ma to już żadnego znaczenia.

Po kilku minutach kolejne karty wylądowały na stosiku osób przydatnych – aptekarza spod Murmańska i koniuszego z litewskiego majątku. Nadeszła pora inspekcji w obozie, a potem snu. Kiedy jednak położył się do łóżka, nie mógł zasnąć. Zapewne jego podopieczni daliby sobie wyrwać złote koronki za możliwość odpoczynku na prawdziwym, miękkim sienniku i w czystej pościeli, ale on nie myślał o tak przyziemnych sprawach. Jego pewne kwestie nie dotyczyły. Gdy nie był zajęty organizowaniem pracy w obozie albo raportami dla centrali w Magadanie, rozmyślał o swojej żonie, pięknej Elenie, która zniszczyła mu marzenia o dużej rodzinie i zgodnym małżeństwie trwającym do końca życia. Póki był kimś, Elena kochała go, gdy popadł w niełaskę – przestała. Niegdyś pogodna i chętna do wypeł-

niania małżeńskich obowiązków, nagle zmieniła się w jędzowatą, wiecznie niezadowoloną kobietę, by wkrótce obdarzyć wdziękami partyjnego dygnitarza. W pierwszym odruchu chciał obić gębę temu kacykowi, ale przyjaciel przekonał go, że źle skończy, jeśli to uczyni. Jednak nie to go powstrzymało. Pomyślał sobie, że ten mężczyzna jedynie skorzystał z okazji. Gdyby Elena kochała męża, nie tak rozwiązaliby tę sprawę. Tymczasem kochanek Eleny okazał swoją wspaniałomyślność i załatwił Stiepanowi synekurę na Kołymie, zamiast wsadzić jako politycznego do więzienia albo zorganizować proces zakończony wyrokiem śmierci. Elena, piękna Elena – zimna suka bez sumienia… Czasami pisała do niego listy, w końcu byli jeszcze małżeństwem, ale nie mógł ich czytać. Obłuda wylewała się z każdego napisanego przez nią zdania, a polityczne manifesty zapewne były wpływem zaangażowanego aparatczyka przy jej boku. Stwierdzenia o „budowaniu silnego kraju dla towarzysza i wodza Stalina", „bolszewickim podejściu do zagadnienia" czy „dziedzictwie Iljicza Lenina i Karola Marksa" doprowadzały go do mdłości. Zastanawiał się, czy mówi tak też do swojego kochanka, gdy ten zdejmuje z niej sukienkę, a potem bieliznę. Czy mówi do niego: „Towarzyszu, w ramach waszego bolszewickiego poświęcenia dla wodza Stalina, możecie mnie zerżnąć jak dziwkę"? W swoich myślach był coraz bardziej cyniczny, a miłość zdawała się jedynie pustym dźwiękiem, którego echo rozbrzmiewało wśród ogołoconych z roślinności wzgórz Kołymy.

8. Okolice Granady, 1943

Pora sjesty była chwilą, gdy wszyscy porzucali swoje zajęcia i udawali się na popołudniową drzemkę. W ciepłym klimacie okazywała się zbawienna dla regeneracji organizmu. W domach szczelniej zamykano okiennice, na werandach układano się w hamakach, na polach wsuwano się w małe namioty, a świat wokół zdawał się zamierać. Julian Chełmicki nie mógł do tego przywyknąć. W upalne dni w istocie praca we wczesnych godzinach popołudniowych była wyjątkowo uciążliwa, ale on o tej porze nie umiał zasypiać. Owszem, rozkładał grubą derkę w cienistym miejscu albo zamykał się w pokoju, ale sen nigdy nie nadchodził.

Tego dnia znalazł kępę dość dorodnych krzewów, obok których przepływał niewielki, ale wartki strumień. Obmył z potu swoje ciało, a potem kilka minut brodził w wodzie, czując ulgę od upałów, gdy chodził po chłodnych kamieniach. Później napoił konia, zostawił nad brzegiem stado i położył się w głębokim cieniu, spoglądając na błękitne niebo. Przymknął powieki i nagle kolejny raz przed jego oczami pojawiła się twarz kobiety. Piękna. Potem przyszedł następny obraz. Kręciła biodrami, miała długie, smagłe nogi i płaski brzuch. Do owych wizji dołączyło wspomnienie dźwięków. Melodyjny śmiech, ryk silnika samochodu, skrzypiący głos jakiegoś starca.

– Esperanza – powiedział na głos i zerwał się na równe nogi. – Ona miała na imię Esperanza. Nie była snem ani marzeniem. Ona istniała naprawdę.

Podbiegł do strumienia, by chłód wody przywrócił mu więcej wspomnień dotyczących dziewczyny, ale nagle znowu poczuł w głowie pustkę. Zawiedziony, usiadł z powrotem na derce i przestał wysilać umysł. Powrócił do chwil, które nazbyt dobrze pamiętał. I dwóch bliskich mu kobiet – Alicji i Weroniki. Oddalenie od nich na tak długi czas powinno być zbawienne dla jego targanego rozterkami serca, ale nie było. Wciąż miotał się między uczuciem do zwariowanej, pyskatej, ale słodkiej Alicji i dystyngowanej, spokojnej pani doktor. Zaczęło do niego docierać, że zachował się jak drań wobec każdej z nich. Będąc przy Weronice, tęsknił za Alicją, lecz, gdy tylko ta zjawiała się w pobliżu, miał ochotę uciec do mieszkania przy Hożej. Od najmłodszych lat wpajano mu pewne zasady i tkwiły w nim silnie i niezmiennie. To właśnie one pozwalały mu przez całe dorosłe życie funkcjonować w przekonaniu, że to, co robi, jest słuszne i właściwe. Potrafił dzięki temu w jasny i klarowny sposób oceniać czyjeś poczynania, odróżniać do-

bro od zła, honor od jego braku i podłość od szlachetności. Tymczasem gdy pojawiły się w jego życiu uczucia, wszystko legło w gruzach. Nie chodziło o ocenę postępowania Alicji ani Weroniki, ale o niego samego. Nagle znalazł się w sytuacji, gdy powinien osądzić własne poczynania. Gdyby patrzył na innego mężczyznę zachowującego się jak on, jego opinia byłaby jednoznaczna – facet bez honoru, z wątłym kręgosłupem moralnym, bawidamek i podły egoista. Zatem musiał spojrzeć prawdzie w oczy i siebie ocenić w ten sam sposób. Ale istniało serce, dusza czy gdziekolwiek człowiek posiadał siedlisko uczuć i sprawa już nie była taka klarowna. Postanowił jednak, że musi z tym skończyć. Nie chciał już ranić swoim niezdecydowaniem żadnej z tych kobiet, ale siebie także nie chciał oszukiwać. Zatem mógł zrobić tylko jedno, gdy kiedyś uda mu się powrócić do kraju: nie będzie ani z Alicją, ani z Weroniką. Bez względu na wszystko. Niech chociaż one mają szansę na szczęście, on skupi się tylko na walce, bo tam wszystko było jasne i oczywiste. Z wrogiem trzeba walczyć, dobro ojczyzny było najważniejsze i był gotów za to umrzeć, ani przez chwilę nie mając dylematów, czy to, co robi, jest słuszne.

Pod wieczór dotarł ze stadem do zagrody *finki* i udał się na posiłek do kuchni. Eduardo postawił przed nim talerz parującej, sycącej zupy i podał pajdę chleba.

– Esperanza – powiedział głośno Julian, wpatrując się badawczo w twarz Eduarda w nadziei, że jego wybawcy to imię coś powie.

Starszy człowiek spojrzał na Chełmickiego spłoszony, a trzymana w jego dłoni łyżka zaczęła drżeć. Odłożył ją na stół, po czym wzruszył ramionami, tym samym dając do zrozumienia, że wypowiedziane przed chwilę imię nic mu nie mówi. Ale Julian był przekonany, iż to nieprawda. Nie wiedział jednak, czy ta dziewczyna jest kimś bliskim dla Eduarda, czy kimś, kogo należało się wystrzegać.

– Powiedz, proszę. Kto to jest? – zapytał Julian, bo tyle po hiszpańsku już umiał powiedzieć.

Kolejne wzruszenie ramionami i uciekający wzrok. Jeśli Julian mógł mieć jakieś wątpliwości, w tym momencie zniknęły zupełnie.

– Eduardo, proszę – jęknął Chełmicki.

Starszy człowiek wstał zza stołu i przeszedł do niewielkiego, ciemnego saloniku. Otworzył jedną z okiennic i wpuścił do środka strumień jasnego światła. Podszedł do ciężkiej komody, otworzył jedną z głębokich szuflad

i wyjął skórzany, powycierany na narożnikach album. Pokiwał ręką do Juliana, by ten do niego podszedł. Usiedli na kanapie pokrytej kolorowym suknem, którego wzór zdradzał wpływy mauretańskie w tej części Hiszpanii, i Eduardo zaczął nerwowo przerzucać grube karty albumu. W końcu znalazł to, czego szukał i popukał palcem w czarno-białą fotografię, przedstawiającą smukłą kobietę o długich ciemnych włosach. Na Juliana Chełmickiego spoglądała kobieta z jego wspomnień. Piękna Esperanza.

– *Hija* – niemal wyszeptał Eduardo.

Chełmicki zerwał się z kanapy, wybiegł do sieni, chwycił wiszące na gwoździu kluczyki do furgonetki i wzniecając tumany kurzu, ruszył z impetem do Granady.

***

O tej porze doktor Salazar już nie przyjmował pacjentów, dlatego Julian udał się wprost do jego domu, znajdującego się na tyłach przychodni.

– O, „Boląca Głowa” – przywitał go doktor.

– Musi pan ze mną pojechać. Natychmiast. Proszę. To ważne. – Julian wyrzucał z siebie słowa, niemal bez przerwy na oddech.

– Coś się stało Eduardowi? – zapytał zatroskanym głosem Salazar.

– Nie, doktorze, ale przypomniałem sobie tę kobietę. To córka Eduarda. Tyle zrozumiałem. Ale bez pana, doktorze, nie dowiem się niczego więcej – błagalnym tonem powiedział Chełmicki.

– Mówisz o „Migdałowych Oczach”, młody człowieku? – zapytał Salazar, bo zwyczajowo imię nic kompletnie mu nie mówiło w przeciwieństwie do określenia „córka Eduarda”. Jego imię wszak pamiętał, ponieważ znali się od dzieciństwa.

– A ile córek ma Eduardo? – zapytał Chełmicki.

– Jedną. To najmłodsze jego dziecko. Żona zmarła w połogu, straszna tragedia, byłem przy tym. Synów zaś wykończyli komuniści. Walczyli w szeregach generała Franco.

– A Esperanza? – zapytał niepewnie Julian.

– Eduardo za wszelką ceną chciał ją ochronić. Błagał, by w nic się nie wdawała, bo tylko ona mu została na świecie. Ale gdzie tam… Pewnego dnia opuściła dom i ojca i powiedziała, że będzie walczyć z Hitlerem. Eduardo obawiał się, że wyjedzie do Francji albo do Włoch, bo w Hiszpanii

było spokojnie, ale nie. Od czasu do czasu widywałem ją w Granadzie, ojca także odwiedzała. Ale już od kilku miesięcy jej nie widuję.

– A dla kogo pracuje? Coś pan wie?

– Na pewno nie dla koleżków generała Franco z Abwehry. – Salazar uśmiechnął się, po czym dodał: – Jedźmy, jedźmy, może Eduardo coś nam powie.

***

Eduardo siedział na werandzie, palił fajkę, patrząc na rozciągające się przed jego oczami andaluzyjskie krajobrazy, i niemal bez zdziwienia powitał doktora. Domyślił się, że jego gość zechce zadać mu kilka pytań i usłyszeć na nie odpowiedzi, ale bez pomocy doktora nie dałby rady.

– Nie widziałem córki od tygodni… – jęknął starszy człowiek.

– A dla kogo pracuje? – zapytał Salazar.

– Na pewno nie dla Niemców… – mruknął Eduardo.

– Dla komunistów? – Doktor ciągnął gospodarza za język, bo ten zdawał się niezbyt chętny do dłuższych opowieści na temat swojej córki.

– Broń Boże! – Eduardo przeżegnał się. – Komuniści zabili mi synów, jej braci.

– Z pewnością nie przyjechałem tutaj, by spotykać się z komunistami czy niemieckimi wtyczkami. Myślę, że musiał być to ktoś z alianckiej strony. Może byłem w drodze na Gibraltar? Tylko po co? Jeśli miałbym się spotkać z kimś z naszego rządu, po diabła kazano by mi jechać tutaj, a nie do Londynu? – głośno zastanawiał się Julian.

– Nie wiem, kim są ci ludzie. Ale przez nich nie widuję mojej małej córeczki! – Eduardo zaczął łkać. – Nie wiem, w co oni ją wciągnęli, ale przestała mówić mi cokolwiek.

– Ale ty mnie znalazłeś, ugościłeś, a ja wcześniej spotkałem twoją Esperanzę, więc powiedz prawdę – niemal wykrzyknął Julian.

Salazar przetłumaczył owo zdanie znacznie spokojniejszym tonem, ale Eduardo musiał wyczuć złość Chełmickiego. Przez kilka chwil na werandzie zapanowała niemal grobowa cisza, przerywana jedynie odgłosami cykad.

– Przybiegła do mnie. Płakała. Powiedziała tylko, żebym z nią poszedł w góry. Błagała, żebym się tobą zaopiekował, a potem zniknęła. Uratowała

ci życie, a teraz może sama jest w niebezpieczeństwie – Eduardo w końcu pękł.

– Muszę ją odnaleźć… – powiedział cicho Chełmicki.

– Nie wiem, gdzie ona jest. Nie wiem… Moja mała córeczka… Moja mała Esperanza. – Eduardo rozpłakał się na dobre, nie było więc sensu kontynuować tej rozmowy, zwłaszcza że najwyraźniej staruszek nic nie wiedział o losach swojej córki.

Chełmicki odwiózł doktora Salazara do Granady, a gdy powrócił, zamknął się w swoim pokoju. Położył się na łóżku i kierując wzrok na sufit, pytał siebie:

– Kim jesteś, dziewczyno? Gdzie się teraz podziewasz? Jesteś moim wrogiem, czy moim aniołem stróżem?

Po kilku minutach zasnął z nadzieją, że niebawem przypomni sobie dużo więcej niż tylko postać pięknej Esperanzy.

9. Zamość, 1943

Odkąd Igor Łyszkin dowiedział się, że kolejnym miejscem jego pobytu będzie Zamość, prześladowała go myśl o Hance. Zadania, które wykonywał, były niebezpieczne i ważne, ale odnalezienie ukochanej stanowiło w tej chwili priorytet. W mundurze oficera SS mógł sobie pozwolić na więcej i poszukać Hanki Lewin sposobem najprostszym. Oczywiście, pewna rozwaga i czujność były wskazane, ale nadmierne zdystansowanie mogło wzbudzić podejrzenia. Dlatego, gdy tylko zadomowił się w nowym miejscu i nawiązał stosowne kontakty, bez skrępowania udał się do siedziby gestapo.

Młody oficer oddał mu honory, zaproponował wypicie prawdziwej kawy, na co Łyszkin skwapliwie przystał, po czym zapytał życzliwie:

– To, co pana do nas sprowadza, *Obersturmführer* Kriege*?*

– Szukam pewnej kobiety, spotkałem ją jeszcze przed wojną i oczywiście widziałem się z nią, zanim trafiłem na wschód. Chciałbym wiedzieć, co teraz się z nią dzieje – powiedział spokojnie Igor.

– Najpierw sprawdzimy nasze rejestry, a jeśli nam nie podpadła, mogę wysłać zapytanie do biura Kreishauptmannschaftu – życzliwie odpowiedział oficer.

– Tylko jest mały problem… Ona nigdy nie mieszkała w tej okolicy. Pochodzi z Warszawy, ale teraz może mieszkać gdziekolwiek. Pojechałbym tam, ale, sam rozumiesz… – Łyszkin zerknął na tabliczkę stojącą na biurku, informującą, kto pełni dyżur. – …Horst, obowiązki… I zostawmy te stopnie, mam na imię Otton. – Łyszkin zmniejszył dystans, zwracając się do młodego oficera po imieniu.

– Któż ich nie ma. – Uśmiechnął się. – Oczywiście, puścimy telefonogram do Warszawy. Ale uprzedzam, to może potrwać, mają tam ręce pełne roboty, bo sabotażyści grają im na nosie. Władze mogły zrobić to, co tutaj. Za mordy wszystkich i wysiedlić. Od razu byłoby spokojniej.

– W rzeczy samej, ale Warszawa to ogromne miasto… – mruknął Igor, po czym zapisał na małej karteczce swój numer telefonu domowego. Miał świadomość, że popełnia nieostrożność, ale czuł się już na tyle pewnie w roli niemieckiego oficera, iż postanowił zaryzykować.

***

Po kilku dniach Łyszkin w istocie otrzymał telefon od swojego nowego znajomego.

– Poruczniku, o przepraszam, Ottonie, mam pewne informacje na temat pani Niechowskiej. Otóż jeszcze do niedawna rzeczywiście była w kręgu zainteresowań gestapo, ale obecnie została wykreślona z listy poszukiwanych – powiedział Horst, nieświadomy zapewne, że Hanka została z oficjalnej listy wykreślona celowo, by uśpić czujność Alicji Ross i innych poszukiwanych osób, na wypadek gdyby mieli kogoś zaufanego lub przekupionego w tym miejscu. Po chwili dodał: – Zaraz idę do biura Kreishauptmannschaftu, mam tam sprawę do załatwienia, więc zlecę im pogrzebanie w listach meldunkowych, rejestrach kenkart i takich tam biurokratycznych gównach.

– Horst, jestem ci niewymownie wdzięczny. Wiem, że mógłbym sam to zrobić, ale gestapo zawsze działa na urzędników motywująco. – Igor roześmiał się, po czym zaproponował młodemu oficerowi spotkanie przy wódce i dobrym jedzeniu. – Ja stawiam.

– Pewnie, że chętnie skorzystam – powiedział młody oficer i rozłączył się.

Horst pomyślał, że dawno nie trafił na kogoś, kto byłby tak uprzejmy, jak porucznik Kriege. Owszem, miał kumpli, ale ci wyżej postawieni oficerowie zawsze zachowywali się wyniośle, a wspólna rozrywka z niższymi rangą była dla nich wręcz obraźliwa. Dostawał najbardziej parszywe zadania, a kiedy wykonał je i dumny przekazywał swoje osiągnięcia zwierzchnikom, ci nawet nie raczyli mu powiedzieć „dobra robota”. Tymczasem ten porucznik nie dość, że był uprzejmy, to jeszcze zaprosił go na wyszynk do najlepszej knajpy w mieście. To prawda, że w zasadzie prośba była prywatna, ale załatwiał wiele takich, a i tak pies z kulawą nogą mu nie podziękował.

W biurze ewidencji ludności panowało zamieszanie. Dzwoniły telefony, a zewsząd dochodził stukot maszyn do pisania Olympia. Podszedł do stolika Anne Siebert, osoby najważniejszej w pokoju, bo to ona rozdzielała zadania, wysyłała korespondencję i decydowała, czy powierzona sprawa należy do kompetencji jej urzędu. Anne dobiegała trzydziestki i nie była zbyt atrakcyjną kobietą. Jednak jak każda lubiła komplementy, nawet jeśli miała świadomość, że nie do końca są prawdziwe.

– Anne, Anne, wyglądasz dzisiaj jak bogini. Byłabyś w stanie oczarować nawet samego Zeusa – powiedział Horst.

Roześmiała się cicho.

– Widzi mi się, Horst, że masz coś pilnego do załatwienia.

– W rzeczy samej, piękna Anne. Jedną sprawę służbową i jedną prywatną – odpowiedział Horst.

– No to mówże, zamiast mnie czarować – z udawaną złością powiedziała Anne.

– Tutaj masz wykaz osób wysiedlonych, które powinny się zarejestrować w nowym miejscu pobytu. Sprawdź, czy to uczyniły, czy chowają się po lasach. I masz tu dane pewnej kobiety. Sprawdź, czy taka mieszka w naszym starostwie, a jeśli nie, wyślij zapytanie do innych dystryktów. – Puścił do niej oko.

Anne przesunęła wzrok po nazwisku Hanki, przełknęła ślinę i zapytała:

– A po cóż szukasz tej kobiety? Zakochałeś się? – zapytała, niby od niechcenia.

– To dla kumpla z SS. Jest porucznikiem, ale chodzimy razem na wódkę – powiedział dumnie Horst, chociaż to stwierdzenie było mocno naciągane.

– W takim razie przyjaciel się zakochał. – Roześmiała się.

– Ależ, Anne, czy zawracałbym ci głowę jakimiś romantycznymi historiami? Pewnie coś narozrabiała – odpowiedział zupełnie poważnie, aby jego rozmówczyni bardziej się postarała.

– Dobrze… – mruknęła.

– A tu mam dla ciebie prezencik. Prosto z Berlina. – Horst położył na biurku kobiety czekoladę Sucharda.

Anne już nic nie powiedziała, tylko machnęła dłonią, jakby chciała przepędzić intruza, który co prawda był bardzo miły, ale przeszkadzał jej w pracy.

Kiedy tylko młody oficer zniknął za drzwiami biura, kobieta zerwała się jak oparzona i wybiegła z pokoju. Rozejrzała się po holu gmachu, upewniając się, czy Horst już opuścił budynek, i szybko weszła schodami na pierwsze piętro, gdzie swój gabinet miał Hermann Ritz. Lubiła go, bo był szarmancki, życzliwy i zawsze dawał jej wolne, gdy o to poprosiła. Burknęła coś pod nosem w sekretariacie i nie czekając na reakcję otyłej kobiety w okularach, wtargnęła do pokoju Hermanna. Ten popatrzył na nią zdziwiony, ale nie był zły. Anne była w starostwie najlepszym pracownikiem i zaufaną powiernicą. To ona także wysyłała ze swojego działu listy do Hanki, opatrzone urzędowymi pieczęciami. Anne również dostarczała listy, które

przychodziły do Hermanna i była przekonana, że tych dwoje łączy jakaś niezwykle romantyczna relacja. Chociaż sama podobnych przygód nie przeżywała, uwielbiała takie historie, zwłaszcza jeśli dotyczyły zakazanych związków. A ten musiał być wyjątkowo pikantny. On był żonaty, a ta kobieta najpewniej miała męża, dwa nazwiska i była Polką. Tymczasem ten układ mógł za chwilę się skończyć, bo kobietę intensywnie poszukiwał inny niemiecki oficer. Swoją drogą Hanna Lewin-Niechowska vel Stefania Koniuszko musiała mieć wielką słabość do niemieckich mężczyzn. Nie wierzyła, że ta kobieta mogła zrobić coś złego, wtedy bowiem na jej biurko trafiłoby pismo z biura gestapo, a nie zapisana ołówkiem kartka. Nie była jednak do końca pewna, w końcu zameldowana była pod innym nazwiskiem. Być może zadecydowały o tym względy bezpieczeństwa, a może było tak, jak twierdził Ritz i chodziło o ukrycie ich romansu.

– Przepraszam, że ośmieliłam się tak nagle wtargnąć do pana biura, ale mam bardzo ważną sprawę. Chodzi o tę kobietę, do której wysyła pan listy. Otóż okazuje się, że nie tylko pan się nią interesuje, ale również jakiś oficer SS. Szuka bardzo intensywnie Hanny Lewin-Niechowskiej – powiedziała szybko.

Twarz Hermanna zbladła. Nie miał pojęcia, o co może chodzić. Nazwisko Hanki zniknęło z rejestru poszukiwanych, a teraz nagle dopytywał o nią jakiś oficer SS. Co dziwniejsze, robił to w urzędzie, w którym on pełnił służbę.

– Czy powiedziała mu pani o nowej tożsamości pani Niechowskiej i o moich listach? – zapytał zatrwożony.

– Nie, skądże. Najpierw chciałam porozmawiać z panem, bo nie wiem, co robić. Owa prośba była taka… powiem szczerze, prywatna. Mogę odmówić albo zwlekać, ale wolałam, żeby pan o tym wiedział – powiedziała Anne.

– Jestem ci ogromnie wdzięczny. Sama rozumiesz… A kim był ten oficer, który poprosił cię o te dane? – zapytał.

– To młody oficer z gestapo, Horst Wolf, ale podobno wyświadcza przysługę niejakiemu *Obersturmführerowi* Ottonowi Kriegemu, oficerowi SS z Einsatzgruppen, który dotychczas służył na froncie wschodnim – wyrecytowała dumnie Anne, ciesząc się, że tak dokładnie wypytała o szczegóły młodego Horsta.

– Hm… To dziwne – mruknął jakby do siebie Hermann Ritz. – Jeszcze raz dziękuję, Anne, za czujność. Jeśli nie proszę o nazbyt wiele, powiedz

temu młodzieńcowi, że zajmiesz się sprawą, ale potrwa to około dwóch tygodni. Obawiam się, że jeśli odmówisz, ów zasłużony na froncie wschodnim oficer zechce poprosić o przysługę kogoś ważniejszego. Ja tymczasem napiszę do pani Niechowskiej. Może w istocie to jakaś stara, niewinna znajomość sprzed wojny.

– Dobrze, szefie, i… dzisiaj zabierają pocztę o piętnastej. Proszę nie zwlekać. – Anne uśmiechnęła się porozumiewawczo i opuściła biuro. Miała także nadzieję, że gdy poprosi o podwyżkę, Ritz nie odmówi jej poparcia.

Hermann po wyjściu Anne zamyślił się. Właściwie powinien spać spokojnie, bo i tak Hanki Lewin nie znaleziono by pod adresem, pod którym ostatnio była zameldowana, a zapewne nikt nie wpadnie na to, by powiązać jej osobę ze Stefanią Koniuszko. Jednak Hanka mieszkała tak blisko Magnuszewa, że pojawienie się w nim osoby, która bardzo chciała ją odnaleźć, mogło stanowić dla niej zagrożenie. Jeśli zaś w istocie ów Kriege był jedynie dobrym znajomym, zatroskanym o jej los, nie będzie musiała uciekać.

Kim, u licha, był Otton Kriege? Może jej dawnym kochankiem? A może jakimś podejrzliwym oficerem, który chciał dzięki niej schwytać jej przyjaciółkę albo tego szemranego komunistę? Miał nadzieję, że rychło uzyska na to odpowiedź.

10. Magnuszew, 1943

Jak zwykle Hanka ogromnie się ucieszyła, gdy zobaczyła w skrzynce na listy kopertę z Kreishauptmannschaftu w Zamościu. Rozerwała ją niecierpliwie, uśmiechnęła się, gdy zaczęła czytać pierwsze zdania, lecz kilka chwil potem jej twarz zrobiła się kredowobiała. Patrzyła w jeden punkt na ścianie i nie miała pojęcia, co dalej robić. Jedno było pewne. Musiała opuścić te okolice i miała na to zaledwie dwa albo trzy tygodnie. Tylko gdzie, do diabła, miała uciec? Alicja była Bóg wie gdzie, jej rodzina także opuściła Chełmice, a ona oprócz brata nie miała nikogo. Kiedyś mogłaby poszukać azylu u dobrotliwego profesora Litwina, ale on nie żył. Chyba jednak nie miała wyjścia i jedyną drogą ucieczki była Warszawa i dom jej brata.

– Kim, do diabła, jest Otton Kriege? – zapytała na głos Hanka.

Nie poznała nikogo takiego, ani przed wojną, ani w jej trakcie. Była o tym przekonana. I zapewne ów człowiek nie miał dobrych zamiarów. Być może był kolejnym niemieckim oficerem chcącym z niej zrobić przynętę na radzieckiego szpiega, Igora Łyszkina. Jakie jeszcze konsekwencje będzie miał dla niej ten romans i jak długo będą ją szpiegować, poszukiwać albo wabić podstępem? Minęły dwa lata, odkąd ostatni raz widziała Igora. Może już nawet nie żył, a oni niczym pijawki przyssali się do niej. A może nie chodziło o Łyszkina, tylko o Alicję? Na Boga, o niej też niewiele wiedziała. Miała sobie przyczepić kartkę do pleców, że straciła z tymi ludźmi kontakt? Jeszcze nie tak dawno utyskiwała, że musi mieszkać na wsi i narzekała na muchy i smród obory. I proszę, Bóg postanowił wprowadzić do jej życia trochę zamieszania. A może w istocie ukarał ją za romans z Hermannem? Musiała także pomyśleć o Irenie. Były sobie bardzo bliskie, jak rodzina, ale miejsce „Wariatki” było tutaj, w Magnuszewie. Poza tym jej nikt nie szukał, mogła dotrwać w spokoju do końca wojny. A potem? Kto wie, co będzie.

Pod wieczór była już pewna swojej decyzji. Wyjedzie do Warszawy z dziećmi, zaś inwentarz i psa pozostawi pod opieką Ireny. Przez moment przyszła jej do głowy myśl, żeby na jakiś czas powierzyć dzieci Irenie, przygotować w Warszawie miejsce do życia, a potem po nie wrócić, jednak nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby je stracić z oczu nawet na kilka dni. Już kiedyś przeżyła rozstanie z Nadią i przypłaciła to załamaniem nerwowym. Drugi raz do tego nie dopuści. Dzieci były dla niej najważniejsze.

Wyciągnęła z szuflady papier i zaczęła pisać list do Hermanna. Napisała prawdę. Nigdy nie słyszała o Ottonie Kriegem i jest pełna trwogi, że znowu ktoś ją szuka. Dodała także, że w ciągu dwóch lub trzech tygodni opuści dom koło Magnuszewa, uda się do Warszawy, a on, jeśli ma taką moc sprawczą, niech przez ten czas zwodzi tego niemieckiego oficera i broń Boże nie zdradza jej miejsca pobytu. A najlepiej niech wymyśli jakiś fikcyjny adres, dzięki czemu zyska na czasie.

Po tygodniu, gdy Hanka przez cały poranek wypatrywała listonosza, niczym czułego kochanka, nieoczekiwanie późnym wieczorem zjawił się Hermann Ritz we własnej osobie. Hanka szykowała się już do snu, miała na sobie koszulę nocną i rozpuszczone włosy, gdy poznała odgłos zatrzymującego się samochodu. Wyjrzała przez okno, nieco wystraszona, ale gdy ujrzała wysiadającego Hermanna, odetchnęła z ulgą. Otworzyła zasuwę drzwi i stanęła w progu, czekając na człowieka, który teraz był jej jedyną nadzieją.

– Haniu, kochana moja… – powiedział, niemal wbiegając po schodkach do sieni.

Przytulił ją mocno i zaczął wodzić palcami po delikatnym batyście jej koszuli nocnej, którą miała jeszcze z czasów przedwojennych i która przypominała Hance, że kiedyś żyła w luksusie i dostatku. Nie w głowie jej były jednak czułości, była kompletnie rozbita i przerażona. Wtuliła twarz w mundur Hermanna i rozpłakała się. Już tak dawno nie wylewała łez, żyjąc w przeświadczeniu, że to, co najgorsze, już za nią, a teraz kolejny raz przekonała się, iż nic nie jest dane na zawsze.

– Haniu, nie płacz – pocieszająco szeptał Hermann. – Nie pozwolę ci zrobić krzywdy. Coś wymyślę. Moja Anne, pisałem ci o niej, już szuka dla ciebie jakiegoś lokum. To szalony pomysł, byś miała teraz powrócić do Warszawy. Tam nie będziesz bezpieczna. Ani w Zamościu. W grę wchodzi tylko jakieś odludne miejsce. Kochana moja, wiem, że wolisz miasto, że chciałabyś być na scenie, ale jeśli coś ci się stanie, żadne z tych marzeń się nie ziści. Ten Kriege to jakiś podejrzany typ. I należy do formacji, która nauczona jest, by nie mieć skrupułów. Niby taki przyjazny i uprzejmy, ale nie od dziś wiadomo, że na wschodzie to każdy dziczeje. A on podobno spod Kurska przyjechał, gdzie naszym wcale nie jest łatwo i obawiam się, że powtórzy się Stalingrad. Może w istocie nasze władze są zdesperowane i próbują odnaleźć tego całego Łyszkina. A że gestapo nie popisało się w tym wzglę-

dzie, to wysłali prawdziwych morderców. Nie wiem, naprawdę nie wiem, a boję się wypytywać o niego zbyt mocno, bo nie chcę, by ktoś zaczął węszyć. – Hermann mówił spokojnie, ani na chwilę nie wypuszczając Hanki z objęć.

– Boże, dlaczego ja? Hermannie, żebym miała jutra nie dożyć, nigdy nie pakowałam się w żadne podejrzane historie. Dlaczego wciąż na mnie polują? Nie mam pojęcia, gdzie jest Igor Łyszkin ani Alicja Ross i przysięgam ci na swoje dzieci, nie wiem, kim jest Otton Kriege. Tak się ucieszyłam, gdy napisałeś mi, że już nie jestem poszukiwana, sądziłam, iż za miesiąc, dwa powrócę do normalnego życia i własnego nazwiska – łkała Hanka.

Tak, nareszcie mogła wyrzucić z siebie swoje żale. Starała się być silna, przez ostatnie dwa lata nie robiła nic innego, tylko była silna, ale miała wrażenie, że doszła do ściany i nie może już bardziej się starać. Teraz był przy niej Hermann, wróg, ale i człowiek, dzięki któremu trzymała się jakoś, oraz osoba, która pomogła jej w chwili, gdy zdawało się, że znowu skończy na gestapo.

Ritz odsunął Hankę od siebie, wyciągnął chusteczkę i zaczął wycierać jej łzy. Pozwalał, by łkała i wyrzucała z siebie całą złość na wojnę, Niemców i los, który nie chciał okazać jej żadnej łaskawości. Nie mówił nic, gdy wyzywała jego nację od najgorszych barbarzyńców i gdy życzyła wszystkim Niemcom, aby smażyli się w ogniu piekielnym. Cóż miał jej powiedzieć? On też nie chciał tej wojny i starał się, mimo nasilonej propagandy, po prostu pozostać człowiekiem. Wiedział, że ludzie na niego pluli, tak jak w Magnuszewie, ale co z tego? Nie był ani święty, ani tak podły, jak niektórzy jego rodacy, ale tak jak i oni, miał ludzką krew na rękach.

Tej nocy nie kochali się. Leżeli przytuleni aż do świtu i niewiele mówili, a jedynie chłonęli swoją obecność. Gdy wzeszło słońce i nadszedł czas odjazdu Hermanna, ten powiedział rzeczowo do Hanki:

– Czekaj na mój list. Znajdziesz w nim nowy adres zamieszkania. I proszę, wybij sobie z głowy Warszawę. Tam na pewno cię dopadną.

– Dobrze – zgodziła się cicho i z niejaką ulgą, że kolejny raz Ritz zajął się jej sprawami.

– Haniu… – zaczął niepewnie Hermann, gdy stał już w drzwiach wyjściowych. – Chciałbym ci coś powiedzieć.

– Mów… – wyszeptała.

– Kocham cię, Haniu. Wiem, że nigdy nie będziemy razem, bo ty masz męża, a ja nie zdobyłbym się na to, by porzucić swoją rodzinę, ale chciałbym, żebyś to wiedziała. Być może pewnego dnia to minie, ale teraz po prostu tak jest. Wiem, że ty mnie nie kochasz, ale to nieważne. Cieszę się, że jesteś. To pozwala mi wiele znieść. Sama świadomość, że mogę się tobą zaopiekować, napisać do ciebie list i powiedzieć ci, że po prostu cię kocham… – Hermann spuścił głowę, jakby wstydził się własnych uczuć, a jednocześnie tego, że mimo miłości niczego jej nie może obiecać.

Hanka nie mogła powiedzieć Ritzowi tego samego. Owszem, bardzo go lubiła, szanowała i pociągał ją, ale nie było w niej uczuć, jakimi on darzył ją. Nie chciała go okłamywać.

– Wiesz, to piękna rzecz być kochaną przez takiego mężczyznę. – Uśmiechnęła się delikatnie i pocałowała Hermanna w policzek. Po chwili dodała: – To dobrze, że nie chcesz porzucić swojej rodziny, byłoby mi bardzo przykro, gdybyś to uczynił.

Kiedy tylko samochód Ritza odjechał sprzed domu, Hanka poczuła ogromną pustkę i samotność. Ale bała się już znacznie mniej. Jeśli Hermann ją kochał, to na pewno nie pozwoli, aby ktoś ją skrzywdził. Zajęła się codziennymi obowiązkami i już do końca dnia myślała jedynie o tym, jak zareaguje Irena na wieść, że tym razem Hanka wyprowadzi się znacznie dalej niż kilka kilometrów od Magnuszewa.

11. Kleine Seedorf/Natać Mała, 1943

Czas żniw był wyjątkowo męczący dla Waltera von Lossowa. Nigdy nie pracował w polu, właściwie fizyczne zajęcia były mu obce, może oprócz rutynowych ćwiczeń wojskowych dla oficerów. Nie były to jednak uciążliwe i męczące treningi, ponieważ od oficerów propagandy nie wymagano ani żelaznej kondycji, ani stalowych mięśni. Walczący na froncie żołnierze często z pogardą patrzyli na kompanię propagandową, nazywając ich „złotoustymi specjalistami do spraw paniki i entuzjazmu". Dlatego gdy Walterowi przyszło posługiwać się kosą, wiązać snopki i wrzucać je na wóz, czuł każdy mięsień, pot lał się z niego strumieniami i chwilami miał wrażenie, że to kara boska za wszystkie złe uczynki, jakich się dopuścił.

– A wiesz, kto jest prawdziwie niemieckim człowiekiem? – Walter usłyszał głos Janka.

– No mów – odpowiedział mu Władek.

– Ten, co urodził się w Austrii, nosi angielski wąsik, udaje Napoleona i wita się jak włoski faszysta – zarechotał Janek.

– Dobre… – zawtórował mu kolega.

Walter struchlał. Pole, na którym właśnie pracowali, przylegało do głównej drogi prowadzącej do wsi. Jeździły po niej furmanki, mieszkańcy ciągali wózki z kankami mleka albo przechodzili ze swoich pól i pastwisk. Wystarczyło, żeby któryś z nich usłyszał dowcipy Janka i doniósł na posterunek, wtedy wszyscy mieliby kłopoty. Oparł kosę o pryzmę zebranego zboża i podszedł do Janka. W jednej chwili Brygide przestała wiązać snopki, z czujnością wpatrując się w Waltera, a Władek odwrócił głowę, jakby udając, że jest zajęty wyłącznie pracą.

Nie był to pierwszy raz, kiedy Janek głośno opowiadał dowcipy o Niemcach i Hitlerze albo złorzeczył na „szwabskich skurczybyków". Walter nie zwracał na to uwagi, udając, że nie słyszy, póki byli we własnym gronie i raczej było mało prawdopodobne, żeby ktoś ich usłyszał, miał to w nosie. Teraz jednak Janek zachowywał się po prostu nieodpowiedzialnie.

– Zamknij się, jasne? – warknął Walter po polsku z nieco twardym akcentem.

– Bo co? – odpyskował mu chłopak. – Polecisz z pyskiem na posterunek?

– Bo żreć dzisiaj nie dostaniesz. W swojej oborze możesz gadać, co ci się podoba, ale jak ludzie obcy łażą, masz mordę zamknąć. – Walter zdenerwował się bezczelnością Janka.

– Szwabska menda. Żeby was wszystkich Ruskie jak wszy na kołnierzu wybili – mruknął pod nosem Janek i powrócił do pracy. Na szczęście posłuchał Waltera i w ogóle przestał się odzywać.

Kilka minut później, gdy Walter wrzucał ostatnie snopki na wóz, podeszła do niego Brygide. Podparła dłonie na swoich rozłożystych biodrach i wysyczała:

– Nie taka była umowa, panie dezerterze.

– Nie bardzo rozumiem, o czym mówisz.

Walter zdenerwował się kolejną interwencją Brygide. „Nie każ mu nosić wody, bo doniosę", „Puść go wcześniej z pola, bo matce powiem" i tym podobne historie. Już to kiedyś przerabiał. Z Renate Zoll. Być może gdyby wtedy ostro zareagował, nie musiałby spędzić wielu miesięcy na froncie wschodnim. Dlatego postanowił, że Brygide Lagendorf ostatni raz potraktowała go w ten sposób.

– Idź! – warknął. – Leć i rozgadaj wszystkim, że nie stawiłem się na komisję. Dadzą mi może pakę, może znowu wyślą na front, ale jeśli powiem komu trzeba, że twój kochaś kombinuje z partyzantami, to postawią go pod ścianą i będzie po kochasiu. Nie mówiąc już o tym, co będzie, jak się matka dowie.

Zarumieniona twarz Brygide zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Nie tego spodziewała się po kulturalnym, nieco wystraszonym najemniku. Dotychczas spełniał jej życzenia dotyczące Janka, a teraz nagle postawił się i odpłacił jej pięknym za nadobne.

– A może tyś zazdrosny jest o niego, co? Że to on mnie ma, a nie ty? – zapytała złośliwie.

– Posłuchaj, Brygide. Nie wiem, co ty masz w głowie, ale zastanów się, czy pobłażając Jankowi nie narażasz go bardziej ode mnie. Sądzisz, że jeśli ten twój kawaler będzie chlapał, co mu ślina na język przyniesie i któryś z twoich sąsiadów to usłyszy, będzie równie wyrozumiały, co ja? – Walter próbował po dobroci przetłumaczyć oczywiste, zdawałoby się, kwestie.

– Ale straszysz go, że mu jeść nie dasz – burknęła.

– W porządku, już nie będę. Po prostu następnym razem skopię mu dupsko – warknął Walter i powrócił do swojego zajęcia, uznając, że powiedział

już wszystko w tym temacie.

Brygide chciała jeszcze coś dodać, ale zobaczyli na polu Lilly, narzeczoną po poległym bracie Brygide, Rudolfie. W przeciwieństwie do swojej przyjaciółki Lilly była drobna, niewysoka, miała długie jasne włosy i delikatną urodę. Dziewczyna podeszła do nich i zapytała:

– Dzisiaj przy jeziorze Gąski robią ognisko. Przyjdziecie?

– Oczywiście, Lilly. – Walter uśmiechnął się, bo dziewczyna budziła w nim niemal ojcowskie instynkty i chyba nie mógłby jej niczego odmówić.

– Ty, oczywiście, też będziesz? – zwróciła się do Brygide i puściła do niej oko.

– Na początku na pewno. – Zachichotała Brygide, dając przyjaciółce do zrozumienia, że później wymknie się z imprezy, by pobyć w towarzystwie Janka.

– Dopiero dzisiaj dostrzegłem, że Lilly jest taką śliczną kobietą – powiedział z westchnieniem Walter, gdy dziewczyna oddaliła się w stronę piaszczystej drogi.

– Widzę, że tobie to się każda podoba – mruknęła Brygide, co było zapewne przytykiem do jego propozycji sprzed kilku tygodni.

Walter już nic nie odpowiedział, tylko wsiadł na kozioł i wolno ruszył wozem w kierunku stodoły Lagendorfów.

Pod wieczór ubrał się w białą, płócienną koszulę, która należała niegdyś do Rudolfa, syna Gertrude, oraz skropił się kilkoma kroplami wody kolońskiej. Brygide również postarała się, aby wyglądać tego wieczoru ponętnie. Gertrude popatrzyła na nich, gdy opuszczali domostwo i stwierdziła:

– Piękna z was para. A ty, Franz, jak z gazety wycięty. Moja Brygidka to pracowita dziewczyna. I ugotować potrafi, i w polu zasuwa jak chłop. Ale jak się wymaluje i kieckę porządną założy, to jak prawdziwa dama się prezentuje.

Brygide odwróciła wzrok i Walter zauważył, że ostatkiem sił powstrzymuje śmiech. Jego też bawiły zabiegi Gertrude. A może po prostu dała im do zrozumienia, że w pełni zaakceptuje ich zażyłość? Zapewne najchętniej od razu pobiegłaby do kościółka w Seehag, by dać na zapowiedzi. Nie miała pojęcia, że na związek tej dwójki szans nie ma żadnych. Brygide była wręcz nieprzytomnie zakochana w Janku, a Walter po okresie przykrych doświadczeń nagle ożywił się, gdy spotkał na swojej drodze kruchą Lilly

Berg, niedoszłą żonę Rudolfa, którego koszulę tak starannie odprasowała mu Gertrude.

By jeszcze bardziej zmylić matkę, Brygide wsunęła dłoń pod ramię Waltera i uśmiechnęła się do niego czule. Walterowi nie przeszkadzałyby z pewnością te aktorskie popisy dziewczyny, ale jeśli uda mu się uwieść Lilly, jak to później wytłumaczy dobrodusznej gospodyni?

Dotarli na niewielką plażę, gdzie miejscowi chłopcy, najczęściej nieco poturbowani na wojnie, dzięki czemu mogli powrócić z frontu, strugali patyki do pieczenia kiełbasek. Pośrodku plaży płonęło ognisko, wyrzucając w niebo iskry. Jezioro spowiła mgła, zapowiadająca, że kolejny dzień będzie równie słoneczny i bezchmurny, jak poprzedni.

Walter niemal od razu dostrzegł Lilly. Stała oświetlona przez płomienie i w różowej sukience prezentowała się naprawdę słodko. Włosy związała w koński ogon i przypominała raczej małą dziewczynkę aniżeli dorosłą kobietę. Już miał do niej podejść, gdy dostrzegł kulejącego chłopaka ze zmierzwioną fryzurą i kuflem piwa robionego domowymi sposobami. Wziął Lilly pod rękę, ale ta delikatnie odsunęła się od niego i zmieniła wyraz twarzy z radosnego na nieco przygnębiony. Walter momentalnie znalazł się przy parze i udając, że niczego szczególnego nie zauważył, ukłonił się dziewczynie, a potem wyciągnął dłoń w kierunku chłopaka.

– Nazywam się Franz – powiedział, uśmiechając się sztucznie.

– Hans – mruknął chłopak i dodał, marszcząc czoło: – Jestem przyjacielem Rudolfa, narzeczonego Lilly. Zanim umarł w lazarecie, poprosił mnie, żebym zaopiekował się jego ukochaną.

„To chyba niezbyt dobrze się nią zaopiekowałeś, jeśli chciała utopić się w jeziorze” – pomyślał z przekąsem Walter.

– Jak dobrze, że przyszedłeś, Franz. – Lilly uśmiechnęła się i dodała: – Zaostrzysz mi patyk na kiełbaskę?

– Oczywiście, Lilly. Będziesz miała najpiękniejszy patyk do kiełbasek w całej Seedorf. – Również się uśmiechnął, dając tym samym do zrozumienia, że tego wieczoru to on wystąpi w roli opiekuna Lilly.

Jednak Hans nie dawał za wygraną. Zapewne wypił już za dużo chmielowego napoju, bo złapał za rękaw Waltera i odsunął na bok.

– Ty, Franz, to głuchy jesteś? Lilly jest ze mną – wybełkotał.

– Hans, przestań, upiłeś się. Nie przyszłam tutaj ani z tobą, ani dla ciebie – warknęła Lilly i zwróciła się do Waltera: – Ta impreza przestaje mi się

podobać, zwłaszcza że Brygide na pewno zaraz ucieknie. Przejdziemy się?

Ta wizja zdecydowanie bardziej przypadła do gustu von Lossowowi niż użeranie się z pijanym kaleką. Próbowali dyskretnie odsunąć się od towarzystwa i zniknąć na ciemnej drodze wiodącej w głąb wsi, ale pijany Hans wyrósł przed nimi jak spod ziemi.

– Lilly… Chyba nie będziesz się zadawać z tym przybłędą? – zapytał.

– Hans, jesteś pijany. Odejdź, nie chcę robić ci krzywdy – spokojnie powiedział Walter.

– Mam kumpla, co to w administracji Wehrmachtu pracuje, już on cię zlustruje, ptaszku – warknął Hans.

Lilly tym razem nie wytrzymała i mimo że sprawiała dotychczas wrażenie nieco mimozowatej panienki, wymierzyła Hansowi siarczysty policzek.

– Natychmiast zejdź nam z drogi! – zażądała. – I nie strasz mojego przyjaciela, bo zapewne nie o taką opiekę chodziło Rudolfowi, gdy cię o nią prosił. I zostaw mnie w spokoju. Nie wyjdę za ciebie. Nigdy. Bez względu na to, czy Rudolf życzyłby sobie tego czy nie.

Hans momentalnie zamilknął, odwrócił się i pokuśtykał w stronę ogniska, wyśpiewując pijackim bełkotem jakieś lokalne przyśpiewki.

Walter wraz z Lilly dotarli do drogi i szli w niemal kompletnych ciemnościach. Prawie nie rozmawiali, jakby chcieli przetrawić w sobie ostatnią scenę z Hansem. W pewnej chwili Lilly złapała Waltera za rękaw koszuli i wciągnęła na wąską ścieżkę, którą dotarli do kładki nad brzegiem jeziora. Usiedli na drewnianym pomoście, rozkoszując się widokiem połyskującego w blasku księżyca akwenu. Od czasu do czasu słyszeli plusk wody, jakieś poruszenie w szuwarach czy szum liści poruszanych delikatnymi podmuchami wiatru. Niekiedy tę sielankę przerywał dobiegający z oddali śpiew zgromadzonych przy ognisku osób, ale i tak nie popsuło im to romantycznej atmosfery, która ich otaczała.

– Zapewne już słyszałeś, że chciałam się utopić w jeziorze – powiedziała z westchnieniem Lilly, przerywając chwilę błogiej ciszy.

– Coś tam słyszałem, ale nie za wiele. Nie lubię plotkować – mruknął.

– Tutaj wszyscy plotkują. I ty się tego nauczysz. – Zaśmiała się.

– Wolę radia posłuchać niż opowieści o innych ludziach. – Walter jakby próbował dać do zrozumienia dziewczynie, że w przeciwieństwie do innych mieszkańców nie uważa jej za osobę szaloną.

– Wiesz, ja nie chciałam się zabić, bo zginął Rudolf… – zaczęła niepewnie.

– Nie dlatego? – zdziwił się Walter.

– Nie chciałam się zabić, bo zginął Rudolf, ale dlatego, że przeżył Hans – jęknęła i zaczęła płakać.

Walter nie bardzo wiedział, jak ma się zachować pod wpływem wyznania dziewczyny, dlatego jedyne, na co się zdobył, to położenie dłoni na jej ramieniu. Pragnął ją przytulić, powiedzieć coś pokrzepiającego, ale ta drobna dziewczyna onieśmielała go. Dotychczas nie miał takich problemów, z każdej sytuacji potrafił zrobić element uwodzenia, ale nie tym razem. Nawet Holly Evans nie była w stanie wprawić go w taką bezradność.

– Powiesz dlaczego? – zapytał cicho.

– Kocha się we mnie, odkąd skończyłam dwanaście lat. I nie odstępuje ani na krok. Gdy zaczęłam spotykać się z Rudolfem, od razu stał się jego najlepszym przyjacielem. Łaził z nami dosłownie wszędzie. Próbowałam tłumaczyć Rudolfowi, że ten chłopak ma nieczyste intencje, a jego przyjaźń jest fałszem, ale nie wierzył mi. Jednak mój narzeczony był dla mnie podporą i dzięki niemu Hans mógł mnie kochać, jedynie patrząc na mnie albo przebywając w pobliżu. Gdy poszli razem na wojnę i Hans powrócił z niej sam, nie rozpaczał po śmierci kompana, ale mówił jedynie o tym, że teraz już nic i nikt nie stoi nam na przeszkodzie. Dlatego chciałam ze sobą skończyć. To był najgorszy rodzaj zniewolenia, bo nikt mi nie wierzył. Nawet Brygide. Przecież Hans to taki dobry chłopak, taki uczynny i taki nieszczęśliwy, bo już do końca życia zostanie kuternogą. Ale ja go nie kocham, nie chcę go, a jego ciągła obecność, podobno podyktowana troską, bym sobie czegoś nie zrobiła, sprawia, że czuję się jak w więzieniu. Ty jesteś tu nowy, Hans nie zdążył cię jeszcze omamić swoją dobrocią… Boże, jak ja mam tego dość – zakończyła, zasłaniając twarz rękoma.

– Mnie okazał jawną wrogość, raczej nie uznałbym go za dobrego człowieka. A ty, Lilly, masz prawo być wolna i wybrać takie życie i takiego narzeczonego, jaki ci odpowiada. Nie martw się, póki tutaj będę, zaopiekuję się tobą – powiedział z troską, a jednocześnie z zadowoleniem, że będzie mógł spędzać czas w towarzystwie tej uroczej dziewczyny.

Martwiła go jednak postawa Hansa. Jego zaborczość w stosunku do Lilly stanowiła dla niego chyba sens życia. Zapewne gdy dostrzeże, że rywal cieszy się sympatią jego wybranki, zacznie węszyć i nie wiadomo, co może

wywęszyć, a to mogło oznaczać kłopoty. Gdyby zaś Walter zdecydował się uciec, by poszukać sobie innego miejsca na ziemi, musiałby zostawić Lilly na pastwę tego człowieka, który zdawał się bardziej szalony niż dziewczyna, która pewnego dnia postanowiła zakończyć swój żywot, topiąc się w jeziorze.

Tego wieczoru, gdy Lilly opowiedziała mu swoją tajemnicę, zawarli swoisty niepisany pakt. Od tej chwili Walter wiedział, że bez względu na wszystko będzie opiekował się małą Lilly, nie bacząc na grożące mu niebezpieczeństwo. Postanowił, że jeśli takowe nadejdzie i w istocie będzie musiał uciekać, zabierze ją ze sobą, aby nigdy więcej nie musiała się czuć zniewolona uczuciami człowieka, którego nie kochała.

Rozumiał ją. Bardziej niż ktokolwiek inny. On też kiedyś znalazł się w podobnej sytuacji. Wówczas, gdy oblepiła go zaborcza miłość Renate Zoll. A może to wcale nie była miłość, a jedynie chęć posiadania kogoś na własność? Dla Waltera największym dowodem prawdziwej miłości było podarowanie ukochanej osobie wolności, a każda forma zniewolenia była jej przeciwieństwem.

12. Okolice Kielc, 1943

Tego ranka, jak codziennie po przebudzeniu, Alicja wsłuchiwała się w odgłosy domowej krzątaniny. Śmiech babci, dźwięk naczyń i niski, spokojny głos wuja. Mateuszek jeszcze spał, więc dziewczyna rozkoszowała się letnim porankiem, pozwalając sobie nie myśleć o niczym. Ani o Julianie, ani o Hance czy Sergiuszu. Jednak po chwili do jej uszu dotarł męski głos, który nie należał ani do dziadka, ani też do wuja. Rozpoznała go i zerwała się na równe nogi. Chciała wybiec, tak jak stała – rozczochrana i w koszuli nocnej. Jednak tuż przy drzwiach zatrzymała się i spojrzała w lustro. Nie mogła tak pokazać się przybyszowi. Przygładziła włosy, zdjęła koszulę i włożyła sukienkę. Czuła, że za chwilę serce wyskoczy jej z piersi. Jeszcze moment i zobaczy Sergiusza. Nie myślała, jakie wieści jej przywozi ani jak zareaguje na jej widok, po prostu chciała go jak najszybciej ujrzeć.

„Kary" stał w kuchni na szeroko rozstawionych nogach i uśmiechał się do babki Alutki. Odwrócił się gwałtownie, gdy usłyszał, jak Alicja zbiega ze schodów, i przestał się uśmiechać. Patrzył na nią smutnymi oczami. Alicja pomyślała, że ów wzrok nie wróży nic dobrego.

– Coś wiesz o Julianie? – wydukała zamiast powitania.

Alutka posłała jej spojrzenie pod tytułem „kompletna idiotka", po czym rzuciła trzymany w ręku nóż na blat stołu i wyszła z kuchni.

– Nie… nadal się nie odezwał. Ale wiem, jaką drogą trafił do Hiszpanii. Za kilka dni ruszę jego śladami. Może po drodze albo na miejscu uda mi się dowiedzieć czegoś więcej. A tak w ogóle… dzień dobry – powiedział spokojnie „Kary".

– Boże… – Alicja przewróciła oczami. – Okropna jestem. Dzień dobry…

Podeszła do Sergiusza i pocałowała go w policzek. Wyraz jego twarzy nie zmienił się. Rozejrzał się dookoła i zapytał:

– Możemy porozmawiać gdzieś na osobności? Wiesz, żeby nikt przypadkiem nie usłyszał?

– Chcesz mi się znowu oświadczyć? – zapytała ciepło.

– Broń Boże… Nie podejmę już kolejnej próby – mruknął.

– Sergiusz, właściwie dlaczego chcesz jechać przez pół świata, żeby go odnaleźć? – zapytała Alicja. – Tylko dlatego, żebym ja tego nie zrobiła? Przecież to twój…

– Rywal? Tak, ale nie życzę mu śmierci. Już ci kiedyś powiedziałem, nie interesuje mnie bycie plastrem na twoje zranione serce. Nie chciałem, żeby Mateuszek został bez matki… Alicja, proszę, musimy porozmawiać. – Sergiusz wciąż miał poważną minę.

Wyszli na zewnątrz i Alicja zaprowadziła „Karego” na tyły starej drewutni. Sergiusz ujął jej dłonie i niemal wyszeptał:

– Zamknęli „Sokoła”. I kilkunastu chłopaków. Dowództwo jest zdesperowane. Wpadli najlepsi ludzie. Jest rozkaz, żebyś wróciła do Warszawy i zajęła się nowym zespołem. Zapewnią ci bezpieczne lokum, ale… syna nie możesz zabrać.

– Boże… – Alicja zakryła twarz rękoma. – Jak to się stało, do licha?

– Andrzej się żenił, poszli na ślub do kościoła… a tam już na nich czekali – odpowiedział, wyciągnął z marynarki zalakowaną kopertę i podał Alicji. – Próbowałem powiedzieć pułkownikowi, że to zły pomysł, aby ciebie ściągać, ale jesteś jedyną osobą, która może na nowo zbudować siatkę. Nie patrz tak na mnie… Nie, nie należę do was, po prostu znam pułkownika. Jeśli mógł mi powierzyć dostarczanie broni, to wiadomość dla ciebie także.

Alicja drżącą dłonią rozerwała kopertę i przeczytała zaszyfrowany rozkaz, jakby chciała się upewnić, że Sergiusz nie żartuje. Po chwili wyciągnęła z kieszeni sukienki zapałki i podpaliła kopertę.

– Co ja powiem Mateuszkowi? – zapytała jakby siebie.

– Jeśli chcesz, ja z nim porozmawiam. Powiem, że się tobą zaopiekuję… – Sergiusz pogłaskał Alicję po głowie. – Jest mi równie bliski.

– Zrobisz to dla mnie? – wydukała.

– Nie, zrobię to dla niego. Boję się, że ty się rozkleisz, a ja z nim pogadam jak mężczyzna z mężczyzną.

– Sergiusz… Dziękuję – wyszeptała i zaczęła płakać.

– Nie płacz, do cholery. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby cię zobaczył w takim stanie – burknął Sergiusz.

Kolejny raz zobaczył Alicję w odsłonie bezradnej istoty. Macierzyństwo sprawiło, że ta gruba skorupa, pod którą się ukrywała, po prostu pękała. Niestety, podobnie było, gdy w grę wchodził Julian Chełmicki. Był ciekawy, czy kiedykolwiek on będzie w stanie spowodować u niej taką czułość. Miał ochotę ją przytulić, powiedzieć coś pokrzepiającego, ale miał świadomość, że dla niej będzie jedynie ramieniem do wypłakania, gdy tymczasem on zapisałby duszę diabłu, żeby pokochała go tak mocno, jak Chełmickie-

go. Dlatego jedyne, na co się zdobył, to przyjacielskie poklepanie po ramieniu. Zostawił ją samotnie za drewutnią i poszedł poszukać Mateusza. Zastał go w kuchni, gdy ten pałaszował owsiankę.

– Kali. – Chłopiec uśmiechnął się szeroko, pokazując brak przednich mleczaków.

– Witaj, chłopaku. – Sergiusz uścisnął go serdecznie. – Dobrze ci tutaj…

– Dobze, chodzę z wujkiem do lasu i na pociągi… Bawię się w Indianów i babcia Ala piece mi ciastecka z tluskawkami – powiedział Mateuszek.

– Ale wiesz, że jest wojna, a ja i twoja mam jesteśmy żołnierzami? – zapytał niewinnie.

– Jak to? Pseciez nie macie mundulów. – Mateuszek patrzył wielkimi, zdziwionymi oczami na „Karego”.

– Nie wszyscy żołnierze mają mundury, ale każdy ma pistolet albo karabin – odparł Sergiusz.

– Aha… – mruknął bez przekonania chłopczyk i wrócił do pałaszowania owsianki.

– I jak jest wojna, to żołnierze muszą walczyć – ciągnął temat Sergiusz.

– No pseciez wiem, Kali – prychnął Mateuszek.

– Mama i ja też musimy iść na wojnę… – powiedział niepewnie „Kary”, bo wbrew pozorom ta rozmowa kosztowała go bardzo wiele. Dzieciak ledwie co stracił prawdziwą matkę, a gdy pokochał Alicję, los kolejny raz chciał mu zabrać kogoś bliskiego.

– Ja tes pójdę z wami na wojnę. Tylko kalabinu nie mam – zatroskał się chłopczyk.

Sergiusz przewrócił oczami. Czekało go najtrudniejsze.

– Dzieci nie walczą na wojnie. Ty zostaniesz z babcią i dziadkiem, i dalej będziesz mógł chodzić do lasu i na pociągi. A mama wróci tak szybko, jak tylko będzie mogła. Dobrze? – W końcu wyrzucił to z siebie.

– Wujek nie umie bawić się w Indianów – prychnął Mateuszek.

– Ale zna inne zabawy.

– Ale wlóci? – zapytał w końcu, wyginając usta w podkówkę.

– Obiecuję… – wyszeptał Sergiusz i przełknął ślinę. Nawet on, zdawałoby się, twardy facet, powoli zaczął się rozklejać.

– A ty? – Padło kolejne pytanie.

– Popatrz na mnie… Czy ja bym dał sobie zrobić krzywdę? Jestem duży, silny i mam pistolet. Żaden Niemiec do mnie nie podejdzie.

„Kary” roześmiał się, żeby odegnać cisnące mu się do oczu łzy. Nie wiedział, czy Alicja wróci i nie miał pojęcia, czy on przeżyje. Miał jednak nadzieję, że chociaż mały Mateuszek będzie miał taką szansę, żyjąc w leśnej głuszy w otoczeniu ludzi, którzy pokochali go całym sercem.

***

Wyjechali o świcie, gdy chłopczyk jeszcze smacznie spał. Wieczór spędzili we trójkę, a Mateuszek zdawał się pogodzić z losem. W chwilach, gdy zbierało mu się na płacz, Sergiusz zaczynał powtarzać mu niczym mantrę, że jest dzielnym chłopcem, a prawdziwi mężczyźni nigdy się nie rozklejają. Alicja była tak przejęta, a jednocześnie pełna podziwu dla „Karego”, że nie traci zimnej krwi, gdy tymczasem jej już kilka razy przyszło do głowy, żeby nie wykonać rozkazu i pozostać z synem. Jednak to wszystko nie było takie proste. Gdyby każdy z takich powodów dezerterował, ta wojna mogłaby się nigdy nie skończyć.

Ten wieczór dał jej również do myślenia. Czyżby zaczynała darzyć Sergiusza prawdziwym i głębokim uczuciem? Było jej tak dobrze, gdy siedział w pobliżu, czuła się bezpieczna i szczęśliwa. Mogła zachowywać się naprawdę swobodnie, bo akceptował ją razem z jej usposobieniem. Alicja nigdy nie była letnia, a jej zachowanie przypominało karuzelę. Moc emocji i ciągły ruch. Taka była. Jak powiedziała jej babka, musiała się sparzyć, żeby coś zrozumieć. A w ten ostatni wieczór we troje zrozumiała, że nie byłaby w stanie pogodzić się z utratą Sergiusza. Nie miała jednak pojęcia, co poczuje, gdy Julian ocaleje i pewnego dnia zechce odzyskać jej miłość. Dlatego musiała zaryzykować i poczekać, aż jej skrzydełka zaczną płonąć. Wolała skrzywdzić siebie niż człowieka, który okazał im tyle ciepła i miłości.

Dojeżdżali do Kozienic, gdy Alicja, oderwawszy się od myśli o synku, zapytała nieśmiało:

– Sergiusz, czy moglibyśmy na chwilę zajechać do Magnuszewa, do Ireny? Zostawię jej wiadomość dla Hanki. I jeśli pozwolisz, adres twojej pralni, na wypadek gdyby potrzebowała pomocy.

– Myślisz, że naprawdę coś jej grozi? – zatroskał się „Kary”.

– Wciąż usilnie chcą mnie dopaść. A każdy wie, że ja i Hanka jesteśmy jak siostry. Poza tym z Igora Łyszkina pewnie też nie zrezygnowali – wes-

tchnęła.

– Dobrze, zajedźmy. Spotkanie z pułkownikiem masz jutro po południu – odpowiedział bez zbędnych komentarzy.

„Kary” również chciał, żeby Alicja chociaż na chwilę oderwała się od wyrzutów sumienia i obaw o pozostawionego w leśniczówce synka oraz ponurych myśli o zaginionym Julianie. Tak, Sergiusz bardzo chciał go odnaleźć. Najlepiej żywego i zdrowego. A wtedy, gdy wrócą do Warszawy, Alicja będzie musiała dokonać wyboru. Nie pomiędzy martwym Chełmickim i żywym Dargiewiczem, ale pomiędzy dwoma mężczyznami. Nie chciał już dłużej się zastanawiać, co dzieje się w sercu jego ukochanej. Podobnie jak kiedyś pomógł jej uporać się z utratą dziecka, by mogła pójść do przodu, tak teraz on pragnął wypuścić na wolność swoją miłość do Alicji. Jeśli będzie pewien, że nie ma o co walczyć, po prostu zniknie z jej życia, lecz dopóki Julian Chełmicki był zaginiony, nie będzie mógł się o tym przekonać. Poza tym jeśli on tego nie zrobi, nie uczyni tego nikt inny, bo wszyscy jego przyjaciele siedzieli w więzieniu albo zginęli.

Wiedział jednak, że jeśli pewnego dnia Alicja wybierze jego, nigdy więcej nie zrani jego uczuć. Być może zrobi wiele innych paskudnych rzeczy, ale w jej sercu będzie tylko on. A o to warto było zawalczyć i narażać życie, by przyprowadzić jej Chełmickiego. Po to, by mogła rzucić go dla Sergiusza.

13. Warszawa, 1943

– Zrąbany jestem jak po świniobiciu – mruknął Franek, gdy ciężarówka wypełniona wiktuałami dojeżdżała do Warszawy.

– A mnie się ten typek, Gruber, wcale nie podoba. Jakiś taki opryskliwy był, a przecież zarabia na nas kupę forsy – odpowiedział zdegustowany Lewin.

– Dajże spokój, Emil. My im śmierdzimy jak onuce ruskiego żołdaka. Tylko szmal nie śmierdzi, to sprzedaje nam towar. Zresztą w białku stoi napisane, że to dla jego rodaków w stolicy wieziemy. Inaczej od razu by nas zakapował. – Franek machnął ręką.

– Lepiej kierownicę trzymaj, bo na koniec to do jakiego rowu się wpakujemy i będzie po interesie. A widzisz, tak narzekasz na moją Renatkę, a to dzięki niej te wszystkie legalne dokumenta mamy. – Emil uśmiechnął się, zapominając na chwilę o nieprzyjemnym partnerze w interesach, Gruberze, i zaczął liczyć w myślach pieniądze, jakie uda mu się zarobić.

– Ja tam ci już rzekłem kiedyś: folksdojczki bym nie chędożył i nie nawijaj mi tu makaronu na uszy, że ona taka akuratna. Ale co tam, mnie ganc pomada, byle tylko ta szantrapa nam parku sztywnych nie załatwiła. Ostatnio jakaś taka wazelina była, że mucha nie siada. Tutaj niby kawka, ciasteczko, a tak mnie na spytki brała, żem cykora zawiaczył, aż mi to jej ciasteczko w cherchelu się zaklinowało. Ty coś wiesz, co ona taka? – zapytał „Diamentowa Rączka”.

– Miła chciała być dla ciebie, no co chcesz. I Szymkowi zaczęła matkować. A że o Hankę pyta… Pewnie martwi się o przyszłą bratową. Ale ty jej lepiej nie mów, że Hanka w tym Magnuszewie mieszka, a wiadomo, czy nie chlapnie czego w robocie albo gdzieś. Baby to co w głowie, to na języku, a ty potem się martw, chłopie.

Nie podejrzewał Renate o żadne złe intencje, Szymek nawet mu wygadał, że chciała Hankę zaprosić do ich mieszkania. Jednak w istocie już raz przez niego siostra na Pawiaku wylądowała, więc wbił sobie do głowy, że nikomu słowa nie powie, gdzie Hanka zakotwiczyła na czas wojny. Teraz bywało różnie. Wścibscy sąsiedzi, ploteczki i już mogłoby to stanowić publiczną tajemnicę. I jeszcze Hanka miała dwójkę małych dzieci na karku. Gdy widział ją ostatni raz, była w zaawansowanej ciąży, a przecież Nadia też ledwo co z pieluch wyrosła.

Dziwił się jedynie, że Renate wypytywała Franka o cokolwiek, bo z reguły wyrażała się o nim mało pochlebnie. Nie lubiła Polaków, ale lubiła jego, i sądził, że być może dlatego starała się być miła dla jego przyjaciół. Mylił się. Renate lubiła jedynie siebie. I robiła wszystko, żeby zadowalać własną próżność, karmić siebie uczuciem władzy i brakowało jej do szczęścia tylko majątku i dobrze sytuowanego małżonka. Panna Zoll przeszła kolejną przemianę, zmieniając się z kobiety ceniącej sobie wolność i święty spokój na krwiożerczą lwicę, gotową rozszarpać każdego, kto stanie jej na drodze, po to tylko, by mogła osiągnąć to, czego pragnęła. Miłość okazała się tylko frazesem, a droga ku władzy i bogactwu mogła wieść jedynie poprzez małżeństwo. Nie chciała więc zadowalać się byle czym, jeśli to, od czego niegdyś tak pragnęła uciec, okazało się nieuniknione.

Kiedy kolejny raz przekraczała próg biura Vadera, już oczami wyobraźni widziała go siedzącego w gabinecie ich przepastnego domu, gdy tymczasem ona będzie plotkowała w salonie z koleżankami, które będą zazdrościły jej wszystkiego.

– I cóż, panno Zoll? Wciąż jesteśmy w punkcie wyjścia – mruknął Vader, nawet nie podnosząc głowy znad papierów.

– Niestety… – bąknęła, nieco zmieszana chłodnym przywitaniem.

– Ale… doceniam starania. – W końcu podniósł głowę i obdarzył Renate uśmiechem.

– Dziękuję – powiedziała cicho, bo ów uśmiech na ustach szefa gestapo niekoniecznie musiał oznaczać sympatię i aprobatę, a na przykład złośliwość.

Erich wstał zza biurka, podszedł do Renate, po czym złożył pocałunek na jej dłoni i oznajmił:

– Pojedziemy za miasto. Na porządny obiad. Znam pewną cichą gospodę z pokojami gościnnymi na piętrze.

– Teraz? – zdziwiła się.

– Tak. Zaraz wydam odpowiednie dyspozycje i ktoś będzie musiał dzisiaj zastąpić cię w pracy na dłużej niż na godzinę… – Vader uwodzicielsko przeciągał sylaby.

„A więc to tak się sprawy mają” – pomyślała Renate. Jeszcze nie dalej jak rok temu zapewne nie miałaby żadnych obiekcji, by zjeść dobry obiad z przystojnym mężczyzną, a potem pójść z nim do zacisznego pokoju, by

uprawiać seks. Jednak w związku z Vaderem miała inne plany. Nie mogła sobie pozwolić, by traktował ją jedynie jako zabawkę do łóżka.

„Gospoda” – jak to określił szef gestapo – była uroczą, klimatyczną restauracją, znajdującą się w barokowym pałacyku położonym kilkanaście kilometrów od Warszawy. Niegdyś ów obiekt należał do znamienitej polskiej arystokratycznej rodziny, jednak wraz z wybuchem wojny zmienił nie tylko nazwę na niemiecką, ale także właściciela. Przyjeżdżali tu na krótki odpoczynek ważni oficerowie, zwłaszcza ci, którzy mieli ochotę na szybki i niezobowiązujący romans. Jedzenie było wyśmienite, pokoje schludne, a wokół rozciągał się park, w którym stały fikuśne ławeczki. Gdzieniegdzie połyskiwała w słońcu niewielka sadzawka albo wkomponowana była w krajobraz ozdobna fontanna. Prowadzący ten przybytek Ulrich Mainz twierdził jednak, że ów park jest jedynie ozdobą pałacu, wszak nie widział jeszcze, aby któryś z oficerów ciągnął do niego swoją wybrankę na spacer.

Usiedli przy oknie wychodzącym na dziedziniec pałacu i zamówili posiłek oraz butelkę wina. O tej porze dnia było prawie pusto, na kamienistym podjeździe stał jedynie samochód służbowy Vadera, a obok, na niewielkim parkingu, zaledwie trzy auta. Ten środek lokomocji był w zasadzie jedynym, jakim można było przybyć w to miejsce. Chyba że ktoś miał ochotę przyjechać pociągiem i zrobić sobie kilkunastokilometrowy spacer, jednak tacy śmiałkowie raczej się nie zdarzali.

– Jesteś taką atrakcyjną kobietą, Renate… Dlaczego jeszcze żaden mężczyzna cię nie usidlił? Wybacz mi śmiałość, ale trochę się już znamy, atmosfera jest taka przyjemna i niezręcznie mi mówić do ciebie „panno Zoll”. Ja również nie będę miał nic przeciwko temu, abyś zwracała się do mnie po imieniu – zaproponował niskim głosem Vader.

– Oczywiście, Erichu, będzie mi bardzo miło. Mogłabym zadać ci podobne pytanie… – Spuściła wzrok, odgrywając rolę spłoszonej dziewicy.

– Całkowicie poświęciłem się pracy i karierze. Przed wojną mieszkałem w Berlinie. Mój ojciec był komisarzem w policji kryminalnej, najlepszym… Bardzo chciałem mu dorównać i wciąż mi się zdawało, że to nigdy nie nastąpi. Nie były mi w głowie kobiety, a potem nadeszła wojna, oddelegowano mnie do Polski i teraz tylko patrzę, żeby bandyci nie odstrzelili mi łba. To wciągająca gra. Czy oni mnie, czy ja ich… Keniga zgubiło to wszystko, co wiąże się z wysokim stanowiskiem. Pochwały, luksus i przeświadczenie, że może wszystko, a i tak nikt mu nic nie zrobi. Ja jestem

inny. Ja jestem ambitny i nie odpuszczę. Czy wiesz, że udało mi się zatrzymać najważniejszych ludzi z warszawskiego ruchu oporu i tego całego ich komendanta? Dokonałem tego… Jednak nie było wśród nich ani Juliana Chełmickiego, ani Alicji Ross. I chociaż powinienem być dumny, ta dwójka uwiera mnie jak za ciasne buty. Zamordowali niemieckiego oficera i powinni za to zawisnąć na stryczku. Dlatego jestem cierpliwy, jak myśliwy ukryty w gęstwinie, by w końcu wypatrzyć ofiarę i oddać strzał. Wszyscy dookoła się cieszą, że urwałem łeb hydrze, a ja nie potrafię się z tego cieszyć, bo sprawa tej dwójki nie daje mi spokoju… – powiedział Vader.

Renate nieco się rozzłościła. Zaprosił ją na romantyczny obiad i zamiast prowadzić z nią flirt, cały czas ględził o pracy i polskich bandytach. Oczywiście, dając jej do zrozumienia, że bardzo liczy na jej pomoc.

– A ja nie wyszłam za mąż, bo okazywało się, że każdy z kandydatów chce mnie wykorzystać do własnych celów. Nie kochali mnie, ja im byłam jedynie potrzebna – wycedziła, patrząc na Vadera zimnym wzrokiem.

Spłoszył się nieco i pomyślał, że źle zaczął. Nie miał pojęcia, do jakich celów mógł wykorzystać Renate ten młody oficer z propagandy, sądził, że po prostu uciekł od zaborczej narzeczonej.

– Opowiesz mi o tym…? – zapytał głosem psychiatry, który zwraca się do zagubionego pacjenta.

– Nie. To nie ma kompletnie żadnego znaczenia, co, kto i dlaczego mi to zrobił. Jedyne, co jest ważne, to fakt, że nigdy więcej nie dam się na to nabrać. Albo miłość, albo przysługi – warknęła. – Więc wybieraj, Erichu.

Vader przez chwilę się zastanawiał. Żadna odpowiedź nie wydawała mu się dobra. Jeśli okłamie ją i powie, że chodzi mu o ich prywatną relację, Renate opuści Emila Lewina i ostatnia szansa dorwania tej dwójki diabłów po prostu zostanie stracona. Jeżeli zaś oznajmi jej, że zależy mu wyłącznie na jej pracy, nie dość, że straci szansę na pikantny romans, to jeszcze Renate nie będzie się zbyt mocno starała, by pomóc mu osiągnąć cel. Panna Zoll wcale nie była taką łatwą zdobyczą jak mu się na początku wydawało.

– Zależy mi i na jednym, i na drugim. Sądziłem, że uda nam się pogodzić sprawy służbowe z prywatnymi – bąknął niepewnie, udzielając dyplomatycznej odpowiedzi.

„Chyba że zostałabym twoją żoną” – pomyślała Renate.

– Erichu, pewnie można by było. Ale wtedy nigdy nie dowiem się, czy zależy ci na mnie, czy na mojej pracy i zadaniu, które mi powierzyłeś. Rów-

nież jestem ambitna i także chciałabym ci podać na tacy tych morderców, ale nie chcę żyć ze świadomością, że twoje zauroczenie minie wraz z zakończeniem mojej misji – powiedziała zdecydowanie.

Szef gestapo zniecierpliwił się. Nie był przyzwyczajony do tak stanowczych odmów. A Renate nawet nie próbowała owijać w bawełnę.

– Powiedz, Renate, co ci naprawdę zrobił ten cały von Lossow i dlaczego czmychnął na wschód? – zapytał zimno.

Kobieta straciła cały animusz. Pewnie, najchętniej poskarżyłaby się na Waltera. Opowiedziałaby, jak ją wykorzystał i porzucił. Jednak nie mogła. Musiała chronić Lossowa, jeśli chciała uchronić siebie przed konsekwencjami, których nawet nie potrafiłaby przewidzieć. Wznosząc się na szczyty swoich aktorskich umiejętności, machnęła od niechcenia dłonią i powiedziała:

– Chciałam, żeby się ze mną ożenił. I nagle okazało się, że nie jestem dla niego wystarczająco dobrą partią. Pochodzę z ubogiej górniczej rodziny, jestem zaledwie wachmajstrem w więzieniu i nigdy nie należałam do tej całej towarzyskiej śmietanki. A Walter jest wykształcony, pochodzi z jakiegoś arystokratycznego rodu i taka żona jak ja po prostu do niego nie pasowała.

– Głupiec. – Vader uśmiechnął się i dodał: – I nie wiadomo, czym się chełpi. Jego ojciec robił interesy z Żydami, podpadł władzom, bo zaciekle ich bronił i teraz mieszka w zrujnowanym dworku z małżonką i niezbyt urodziwą córką. Mają trochę pola, to nie głodują, ale nagle wielki pan arystokrata i przedsiębiorca w jednym musiał zakasać rękawy i stał się zwykłym chłopem. A wymuskany synalek pojechał na front wschodni, dał się złapać Ruskim i umarł w radzieckim obozie jenieckim.

– Walter nie żyje? – zapytała, blednąc.

Życzyła temu bydlakowi wszystkiego najgorszego, ale nie śmierci. Liczyła, że kiedyś odwdzięczy mu się za to, jak ją potraktował, widziała oczami wyobraźni, jak się łasi i błaga o wybaczenie, ale nie chciała, by zginął. Może w głębi duszy wciąż liczyła, że kiedyś go zobaczy, bo tkwił w jej sercu niczym drzazga. Nienawidziła go i kochała. Chciała, żeby wrócił i chciała, aby cierpiał. A teraz dowiedziała się, że nie żyje. Od mężczyzny, który miał go zastąpić i sprawić, by nigdy więcej Lossow nie pojawiał się w jej myślach. Już nie musiała udawać trudnej do zdobycia. Pragnęła zostać sama i pożegnać się w duchu z jedyną, jak dotychczas, swoją miłością.

Przez resztę obiadu Renate albo milczała, albo odpowiadała półsłówkami. Vader był przekonany, że panna Zoll wiedziała o śmierci swojego byłego kochanka i nie spodziewał się, iż będzie tym, który przekaże jej te hiobowe wieści. Miał świadomość, że tego dnia już nic nie wskóra, bo jego partnerka pogrążyła się w żałobie po innym mężczyźnie. Swoją drogą nie spodziewał się, że Renate Zoll tak mocno przeżyje informację o śmierci człowieka, który zrobił z niej pośmiewisko na całą Warszawę.

Ona natomiast nie miała pojęcia, dlaczego ta wiadomość tak bardzo ją dotknęła. Zdawało jej się, że ten etap życia ma już za sobą, a zranione serce stanowi jedynie mgliste wspomnienie. A jednak z żalem odkryła, że pod tą powłoką cynicznej i egocentrycznej maski, jaką zakładała, kryje się normalna kobieta, która kocha, tęskni i cierpi. Okłamywała wszystkich, jednak okazało się, że najtrudniej jest oszukiwać samego siebie.

14. Kołyma, 1943

Stiepan Kaganowski przetarł zmęczone oczy. Odkąd przybyli kolejni więźniowie, w tym niemieccy jeńcy, niewiele spał. Jadał w swoim biurze i tylko na chwilę je opuszczał, by skontrolować postęp prac wykonywanych przez łagierników. Za tydzień eldorado więźniów miało się skończyć. Większość z nich pójdzie do pracy do *zaboju*, reszta zaś będzie pełniła funkcje pomocnicze na terenie obozu. Uznał, że pozostawi tam głównie kobiety, ponieważ praca w kopalniach odkrywkowych była ciężka i wyczerpująca. Miały pracować jako pielęgniarki, kucharki i szwaczki roboczych ubrań. Nie był to jego pomysł, tak robiono w większości obozów, dlatego koedukacja w łagrach nie służyła jedynie uciechom dla wyposzczonych brygadzistów i *smotritieli*. Problem polegał jednak na tym, że wiele przybyłych do obozu kobiet nie miało pojęcia o pracy, jaką zamierzał wyznaczyć im Stiepan.

– Za co tu trafiliście? – zapytał młodej kobiety o szarych wystraszonych oczach i cienkich włosach, spiętych niedbale wsuwkami.

– Za niewinność – burknęła.

– Natasza Pakunina – mruknął. – Nauczycielka w żeńskim gimnazjum. Podżegaczka i buntowniczka. I na dokładkę kolaborantka. Cieszcie się, że tutaj trafiliście, za konszachty z wrogiem z reguły dostaje się karę śmierci.

– Niczego mi nie udowodniono, oprócz tego, że przetłumaczyłam kilka ulotek zrzuconych przez Niemców na miasto. Chcieliśmy wiedzieć, kiedy to się skończy – mruknęła.

– I chcieliście się tego dowiedzieć z ulotek podrzucanych przez wroga? Przecież im tylko o to chodziło, żeby trafić na takie jak wy – stanowczo powiedział Kaganowski, ale postanowił jeszcze porozmawiać z kobietą, ponieważ natychmiast potrzebował tłumacza, a ten, którego kartotekę odłożył sobie wcześniej, miał tak zaawansowaną gruźlicę, że właściwie przybył do „Raju” tylko po to, żeby umrzeć.

– Towarzyszu Kaganowski, w Leningradzie jest piekło. Ludzie nie mają co jeść, mieszkańców dziesiątkuje dystrofia, choroby zakaźne, a zimą zabija mróz i głód. To trwa już tyle czasu, ludzie tam tkwią jak w więzieniu. A nasze władze wywożą tylko rzekomych wywrotowców, zamiast dzieci i starców. – Natasza podniosła głos.

– Zapominacie się, Nataszo Pakunino! – wykrzyknął Kaganowski.

Po chwili jednak zmienił ton, bo uznał, że dyskusje na temat przewinień więźniów politycznych są bezcelowe. Każdy z nich miał swoją historię i każdemu z nich zdawało się, że został niewinnie oskarżony i niesprawiedliwie osądzony. Miał jeszcze jedną kandydatkę na tłumacza, także kobietę z Leningradu, ale tamta zdawała się jeszcze bardziej podejrzana

– Przepraszam, towarzyszu.

Natasza Pakunina spuściła głowę i przestała dyskutować. Była wykończona wielodniową podróżą, w perspektywie miała pracę w kopalni złota przy kilkudziesięciostopniowym mrozie, więc doszła do wniosku, że lepiej być posłuszną i uległą. W końcu nie przybyła do kurortu, ale do obozu pracy.

– Pójdziecie ze mną. Będziecie pielęgniarką. – Stiepan wstał zza biurka.

– Jestem nauczycielką, nie mam pojęcia o zajmowaniu się chorymi. Jedyni, z jakimi miałam do czynienia, to moja matka, babcia i brat. Wszyscy zresztą już nie żyją – wydukała kobieta.

– Ale chyba to nie wasza opieka pozbawiła ich życia – złośliwie powiedział Kaganowski, po czym dodał: – Nie martwcie się, będziecie mogli się wszystkiego nauczyć pod okiem wykwalifikowanego personelu.

Wyszli z komendantury i zeszli kamienną ścieżką do obozu, który już był prawie skończony. Prace trwały jedynie przy barakach dla niemieckich jeńców, którzy mieli być odgrodzeni od reszty więźniów. Nie z obawy przed ucieczką, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że lokalni *urkowie* zgotują im piekło na ziemi, a on tego nie chciał. Potrzebował każdej pary rąk w *zaboju*, bo normy, jakie mu narzucono, były drakońskie. Minęli stołówkę i kuchnię, gdzie jak zwykle kręciło się kilka osób w nadziei na jakieś resztki jedzenia albo przydział do mycia kotłów. Chętnych do tego zajęcia było tak wielu, że niekiedy dochodziło do bójek między oczekującymi. Stiepan wkrótce odkrył, dlaczego akurat do tego zajęcia jest tak wielu chętnych, chociaż do innych prac należało więźniów wyznaczać niemal siłą. W ogromnych kotłach, gdzie gotowano kaszę, pozostawało sporo ziaren przyklejonych do ścianek, najczęściej była to tylko przypalona mamałyga z rozgotowanych resztek. Skrobiąc taki kocioł, więzień miał prawdziwą ucztę, bowiem racje żywnościowe przydzielane osadzonym nie mogły w najmniejszym stopniu zaspokoić ich głodu.

Minęli magazyny żywności i zasobniki z wodą pitną, po czym stanęli przed drewnianym barakiem, który wciąż pachniał żywicą. Nie był, jak wiele innych, zbudowany z modrzewiowych desek, które zdawały się nigdy

nie wysychać, ale takich najwięcej im dostarczano. Drewno sosnowe Kaganowski wykorzystał więc na budowę magazynów żywnościowych, żeby jedzenie nie zgniło w wilgoci, na swój dom, budynki administracji i właśnie ambulatorium. Przynajmniej na tę część, gdzie znajdowała się *słabosilka*, bo istniała szansa, że jej pacjenci rychło powrócą do pracy. Zaś *aktirowka*, w której jedynie czekano na śmierć, zbudowana była z takiego samego drewna jak baraki. Na razie to miejsce było puste, ale Stiepan wiedział, że za kilka miesięcy, podobnie jak w innych obozach, zapełni się półżywymi więźniami.

Natasza weszła do baraku i od razu zapragnęła zostać pielęgniarką, bez względu na to, co robiła wcześniej. Było tutaj dużo przestronniej niż w pomieszczeniach mieszkalnych, nie śmierdziało też tanią machorką i przepoconymi ubraniami.

– Przyprowadźcie tego lekarza z *pieriesylnego*. – Stiepan zwrócił się w kierunku lekko zgarbionego mężczyzny z dziwną twarzą, która Kaganowskiemu przywodziła na myśl postać Quasimodo.

– Oczywiście – odpowiedział usłużnie mężczyzna i opuścił ambulatorium.

Tymczasem Natasza przechadzała się po pomieszczeniach, zaglądała do szafek i dotykała palcami prawdziwej czystej pościeli. Potem jakby zawstydziła się i cofnęła zniszczoną dłoń z poduszki. Kaganowski nic nie powiedział, jedynie uśmiechnął się pod nosem i pomyślał, jak niewiele trzeba, by sprawić komuś radość.

Po kilku minutach w progu baraku stanął wysoki mężczyzna o wychudzonej posturze, zapadniętych oczodołach i gęstym zaroście. Wyglądał, jakby miał być pierwszym pacjentem nowego ambulatorium, ale Stiepan skinął głową i krótko oświadczył:

– To jest lekarz. On cię wszystkiego nauczy.

Natasza odwróciła głowę i uśmiechając się do przybysza, powiedziała:

– Jestem kompletną ignorantką. Będziecie mieli ze mną sporo kłopotu.

Kaganowski pokręcił głową i zwrócił się do dziewczyny:

– On jest frycem. Nie rozumie po rosyjsku. Musisz mu to samo powiedzieć po niemiecku, chociaż proponowałbym bez tego uśmiechu.

Jej wyraz twarzy zmienił się w jednej chwili. Zbladła, a uśmiech zniknął w okamgnieniu. Podbiegła do wychudzonego lekarza i po prostu rzuciła się na niego, drapiąc mu twarz, kopiąc i plując na niego. Kaganowski nie spo-

dziewał się takiej reakcji, zdążył jedynie pomyśleć, że jeśli dziewczyna zechce użyć nożyczek leżących na blacie stolika, ponownie zostaną bez doktora.

– Andriusza! – krzyknął Stiepan. – Zabierzcie ją do BUR-u!

Mężczyzna jakby ocknął się i podbiegł do Nataszy. Chwycił ją za ręce i brutalnie wykręcił je do tyłu. Ta jednak wciąż wierzgała nogami, pluła i zachowywała się jak opętana przez samego diabła.

– Wy skurwysyny! – krzyczała Natasza, to po niemiecku, to po rosyjsku. – Wszystkich mi zabiliście, z głodu jak bezpańskie psy pozdychali, parszywe gnoje. Przez was zostałam sama jak palec. Zabiję cię, gnido, zabiję cię!

Andriusza wzmocnił uścisk i popchnął kobietę w kierunku drzwi wejściowych, by zaprowadzić ją do baraku karnego *usilennogo reżima*, w skrócie nazywanego „burem”.

Niemiecki więzień stał wciąż w tym samym miejscu i zakrywał dłońmi podrapaną twarz. Mimo że był wyjątkowo chroniony, by nie stać się ofiarą *urków* i tak w końcu został zaatakowany. I to przez kobietę, która trafiła do łagru jako *biełoruczka*, czyli polityczna, a ci, jak wiadomo, nie byli groźni.

Kaganowski milczał. Był zły na Nataszę, bo wydawało mu się, że mają rozwiązany problem, gdy tymczasem znowu będzie musiał szukać nowej tłumaczki. Miał w zanadrzu jeszcze jedną dziewczynę, po uniwersytecie, i ta zdaje się mówiła perfekcyjnie po niemiecku, ale była jakaś kompletnie przygaszona, jakby już cierpiała na pelagrę, chociaż wciąż miała i włosy, i pełne uzębienie. Może więc jej zachowanie było jedynie wynikiem złego stanu psychicznego. Nie miał wyboru, więc gdy tylko powrócił Andriusza, nakazał mu przyprowadzić tę drugą. Kolejną dziewczynę z Leningradu – Olgę Iwanownę.

Kilka minut później do baraku szpitalnego weszła wymizerowana młoda kobieta, w której tliły się resztki urody zabranej przez trudne warunki życiowe. Miała duże jasne oczy i wydatne usta, teraz spierzchnięte i blade.

– Umiecie mówić po niemiecku? – zapytał Kaganowski.

– Tak – odpowiedziała cicho.

– Ten człowiek tutaj… – Wskazał dłonią na niemieckiego lekarza. – … jest jeńcem i doktorem z lazaretu. Będziecie jego oczami i uszami.

Przez chwilę obserwował Olgę w obawie, czy nie powtórzy się sytuacja sprzed kilkunastu minut, jednak dziewczyna nie wykazywała żadnej agresji.

Wręcz przeciwnie, była apatyczna, podobnie jak niemiecki jeniec. Powoli przytaknęła i zapytała cicho:

– Co mam robić?

– Odpowiadaj na jego pytania, słuchaj jego wytycznych. Za kilka godzin przyjdą tutaj pierwsi pacjenci. Pracowałaś kiedyś z chorymi? – tłumaczył oschle Stiepan.

– Nie, byłam nauczycielką, ale poradzę sobie.

– Andriusza, pilnujcie ich i meldujcie, jeśli pojawią się problemy – mruknął komendant i wyszedł z baraku.

Andriusza przysunął sobie stojące obok biurka krzesło, rozsiadł się i baczenie przyglądał się parze. Rychło jednak stracił zainteresowanie, ponieważ nie rozumiał ani słowa z tego, o czym mówili. Niekiedy prosił Olgę o przetłumaczenie jakiegoś fragmentu rozmowy, ale okazało się, że dyskutują o jakichś medycznych pierdołach, które kompletnie go nie interesowały. Mógł oczywiście założyć, że Olga Iwanowna kłamie, ale cóż mógł zrobić. Lekarz był im potrzebny, bo liczyły się każde ręce do pracy, a z wycieńczonymi i chorymi były tylko problemy. Jeśli więc istniała szansa, że któryś z więźniów jest w stanie wydobrzeć i powrócić do swoich zajęć, należało wykorzystać ten fakt, nawet zatrudniając „fryca”. Poza tym choroby miały to do siebie, że nie zważały na paragrafy i ich ofiarą padali także strażnicy i brygadziści.

– Mam na imię Ernst i wolałbym nie żyć – powiedział w końcu lekarz do Olgi i były to pierwsze słowa niezwiązane z medycyną, z jakimi zwrócił się do dziewczyny.

– Mam na imię Olga – odpowiedziała cicho i powróciła do przeglądania fiolek z medykamentami. Na szczęście wiele z nich miało także łacińskie napisy, więc Ernst bez trudu je rozpoznawał i kiwał znacząco głową.

– Tran – powiedziała w pewnym momencie Olga. – Używamy go do natłuszczania butów.

– Ten pewnie jest oczyszczony – odpowiedział lekarz, po czym nalał do małej miarki trochę tłustego płynu i podał Oldze. – Wypij, wyglądasz bardzo marnie.

Połknęła tran i skrzywiła się z niesmakiem. Jej grymas wywołał na twarzy doktora ledwo uchwytny uśmiech, jedyny tego dnia, jakim obdarzył Olgę. W ogóle Ernst nie umiałby sobie przypomnieć, kiedy ostatnio się uśmiechał. Wydawało mu się, że było to bardzo dawno temu, jeszcze zanim trafił

do sowieckiej niewoli, a i wcześniej nie było mu do śmiechu. Zwłaszcza gdy przywożono jego kompanów z urwanymi kończynami, z dziurami w brzuchu albo z ranami tak ciężkimi, że amputacja zdawała się niewinnym zabiegiem.

Po godzinie zaczęto przyprowadzać pierwszych chorych i wkrótce wszystkie łóżka były zajęte. Ernst badał przybyłych, starając się mówić jak najmniej, jedynie Olga mówiła dużo, tłumacząc dolegliwości, jakie towarzyszyły pacjentom. Z reguły byli już tak zmęczeni bólem albo trawieni wielodniową gorączką, że nawet nie oponowali, gdy Ernst ich badał, dotykał czy opatrywał, mimo że dobrze wiedzieli, z kim mieli do czynienia. Było im jednak wszystko jedno. Chcieli jeszcze zawalczyć o życie, animozje pozostawiając na potem.

To zajęcie pomogło także Oldze. Pracując fizycznie przy sprzątaniu łaźni i kuchni, miała zajęte jedynie ręce, więc mogła myśleć o różnych sprawach. Niestety owe myśli były tym straszniejsze, im więcej czasu mijało. Przeklinała los, który nie oszczędzał jej, odkąd skończyła dwadzieścia lat. Z jednego piekła wpadała w kolejne i nie było w niej już nadziei, jak niegdyś, że pewnego dnia zdoła odmienić swoje życie. Teraz nie pracowała ciężko fizycznie, ale musiała być skoncentrowana, by dobrze zrozumieć Ernsta i właściwie przetłumaczyć jego słowa. Po prostu nie miała ani chwili wytchnienia, by móc powracać do swojego mentalnego grobowca. Gdy nadchodziła noc, padała na łóżko i nie myślała o niczym, tylko o tym, co będzie musiała zrobić następnego dnia. Nawet nie zdołała pomyśleć, że jej mały pokoik przylegający do izby chorych był niemal królewską komnatą w porównaniu z barakiem, w którym ostatnio mieszkała, czy z obrzydliwymi pomieszczeniami statku, jakim przybyła do Magadanu.

Doszła do wniosku, że ludzka zdolność do emocji i przemyśleń, odróżniająca ten gatunek istot od zwierząt, pozwalająca tworzyć, komponować czy wreszcie budować wynalazki, była w pewnym momencie utrapieniem i niekiedy lepiej było owych zdolności w ogóle nie posiadać.

15. Granada, 1943

– Słyszałeś, „Boląca Głowo”, że Niemcy dostają łupnia pod Kurskiem? – zapytał doktor Salazar, odkładając gazetę na biurko.

– Może słyszałem, ale nie zrozumiałem – trochę niegrzecznie odpowiedział Chełmicki.

– Już choćby z nudów mógłbyś się w końcu nauczyć naszego pięknego języka – złośliwie zauważył lekarz. – Każde ćwiczenie mózgownicy może okazać się zbawienne dla twojej pamięci.

– Ale doktorze… – Julian zerwał się z krzesła i zaczął nerwowo chodzić po gabinecie. – Dobija mnie to czekanie, nie jestem w stanie skupić się na niczym innym, tylko na próbie przypomnienia sobie faktów albo znalezienia sposobu, by się stąd wydostać. A pan jeszcze mi mówi, że jestem zdrowy jak koń.

– Twój ogólny stan jest bardzo dobry, a i ty sam przyznajesz, że bóle głowy zdarzają się coraz rzadziej. Więc nic ci nie dolega. Teraz właściwie robię za twojego psychiatrę, bo jako internista niewiele mam do roboty. Zatem jako lekarz tego drugiego fachu mówię ci, abyś skupił się na innych kwestiach intelektualnych, a pewnego dnia być może doznasz olśnienia i wszystkie wspomnienia powrócą na swoje miejsce – tłumaczył cierpliwie doktor, po czym dodał: – A, właśnie… ja chyba też zaczynam mieć problemy z pamięcią. Widziałem dzisiaj w Granadzie „Migdałowe Oczy”.

Julian odwrócił się gwałtownie w stronę Salazara.

– Gdzie pan ją widział? Rozmawiał pan z nią? Była sama? – zarzucił pytaniami sędziwego doktora.

– Młody człowieku, bardzo narwany jesteś… Widziałem ją rano, gdy wracałem ze sklepu tytoniowego „Starego Cygara”. Wychodziła z apteki. Miała koszyk i była sama. Nawet chciałem do niej podejść i poprosić, aby zajechała do ojca albo spotkała się z tobą w innym miejscu, ale zanim dotarłem na drugą stronę ulicy, wsiadła na rower i odjechała.

– Dokąd? – zapytał zrezygnowanym głosem Chełmicki, bo miał nikłą nadzieję na uzyskanie odpowiedzi.

– Na południe… – odruchowo odpowiedział Salazar. – Tak jakby w kierunku wzgórz. Ale na pewno nie była to ta strona świata, w której mieszka jej ojciec.

– Cholera! – syknął Julian, po czym jego ton złagodniał i poprosił błagalnie doktora: – Może w tej aptece coś wiedzą? Może wcale nie przyjechała po lekarstwa? Doktorze… proszę.

– Nie wydaje mi się to sensownym posunięciem, ale w takim razie poczekaj, aż zbadam pannę „Zapalenie Stawów” i możemy iść – mruknął doktor i machnął dłonią, jakby poddał się naciskom Juliana, ale uznał, że niczego nowego to nie wniesie. Esperanzę znało wiele osób, a zapewne w owej aptece po prostu robiła sprawunki i niespecjalnie chwaliła się aptekarzowi, dokąd się potem udaje.

Mała apteka miała łukowe sklepienia i niewielkie okna. Bardziej sprawiała wrażenie małej winiarni aniżeli sklepu z medykamentami. Regały z towarem były drewniane i zakończone fikuśnymi ornamentami. Kontuar także wykonany był z ciemnego drewna, a za nim krzątała się zwalista postać Antonia Rodrigueza.

– Co pana do mnie sprowadza, doktorze? – zapytał aptekarz i pociągnął palcem po sumiastym wąsie, odruchowo zakręcając go ku górze.

– Interesy – stanowczo powiedział doktor i od razu przeszedł do rzeczy. – Ten młodzieniec, mój gość z dalekiej Polski, zapałał uczuciem do córki Eduarda, wiesz której?

– Znam z dziesięciu Eduardów – roześmiał się Antonio.

– Esperanza – podpowiedział Julian.

– Ach, to boskie stworzenie – westchnął aptekarz. – Ale co ja mam z tym wspólnego? Za stary jestem dla niej, zresztą nawet gdybym nie był, moja Juanita obdarłaby mnie ze skóry za amory z inną.

– Była dzisiaj u ciebie… – niepewnie zaczął Salazar.

– W rzeczy samej. Kupiła dziesięć rolek bandaży, aspirynę i jodynę. Nawet pytałem, po co jej tyle tego, ale uśmiechnęła się jedynie i wybiegła z apteki. Płacąc uprzednio – wyjaśnił Rodriguez.

– Nie mówiła, dokąd się udaje? – zapytał doktor.

– Nie… W ogóle była mało rozmowna, chociaż normalnie to buzia jej się nie zamykała – powiedział Antonio.

Julian wraz z doktorem opuścili małą, ciemną aptekę i przez całą drogę do domu Salazara snuli teorie na temat tego, gdzie mogła udać się Esperanza, z kim się spotykała i po co jej było potrzebne tyle bandaży oraz litrowa butelka jodyny. Następnie Julian pożegnał życzliwego doktora, z którym zdążył się już zaprzyjaźnić, i powrócił do *finki*.

Eduardo przysnął na kozetce w kuchni, a Chełmicki wszedł cicho do ciemnego salonu i ponownie sięgnął po oprawiony w skórę album. Włożył go pod pachę i udał się do swojego pokoju, gdzie przy zachodzącym słońcu oglądał kolejne fotografie przedstawiające historię życia Eduarda i jego rodziny. Nie patrzył tylko na sylwetki i twarze, ale także na otoczenie w nadziei, że jakiś na pozór nic nieznaczący drobiazg przykuje jego uwagę i wróci mu pamięć. Jednak kolejne zdjęcia nie mówiły mu nic. Mógł jedynie obejrzeć sobie dokładnie Esperanzę w różnych stadiach rozwoju, począwszy od niemowlęctwa, gdy towarzyszyli jej bracia, aż po czas niedawny, gdy z pucołowatej dziewczynki wyrosła smukła, przepiękna kobieta.

Jedna z fotografii przedstawiała kilka osób zgromadzonych wokół długiego prostego stołu, usytuowanego w pobliżu oliwnego drzewka. Był na niej Eduardo i piękna Esperanza, oprócz tego siedziało tam kilka osób w różnym wieku, między innymi mężczyzna o krzaczastych brwiach, który jako jedyny nie uśmiechał się do obiektywu. Kolejny raz pewna myśl przemknęła przez głowę Chełmickiego. Jakiś błysk w mózgu, który podpowiadał mu, że już kiedyś widział tę twarz. Nic więcej nie umiał sobie przypomnieć, jedynie towarzyszące mu uczucie palenia w gardle. Tak jakby ów mężczyzna kojarzył mu się z jakąś ostrą potrawą. Julian wyrwał to tajemnicze zdjęcie z albumu, jak również inne, przedstawiające jedynie Esperanzę, i odniósł album na miejsce. Miał zamiar pokazać fotografię doktorowi Salazarowi, zaś zdjęcie kobiety postanowił zachować, by jej obraz nie ulotnił mu się z pamięci. Żywił również nadzieję, że poczciwy Eduardo nie zapała w najbliższym czasie chęcią oglądania rodzinnych pamiątek, a Chełmicki zdoła rozwiązać zagadkę swojego pobytu w Hiszpanii, zanim Eduardo kolejny raz otworzy album.

***

Doktor Salazar przyjrzał się fotografii, uśmiechnął się i głośno westchnął.

– Tak, wtedy Eduardo był szczęśliwy. Ci dwaj młodzieńcy, podobni do siebie jak dwie krople wody, to jego synowie. Bóg mi świadkiem, że ich nie odróżniałem, chociaż nie byli bliźniakami. No i piękna córeczka tatusia. Eduardo po tylu latach pogodził się ze stratą małżonki i był naprawdę pogodnym człowiekiem. W przeciwieństwie do jego brata, tego ponuraka, na którego mówię „Smutas”. Też stracił żonę, podobnie jak Eduardo, ale, nie-

stety, nie doczekał się potomstwa i tak zazdrościł bratu przychówku, że wiecznie chodził obrażony na cały świat, a najbardziej na własnego brata – powiedział.

– Wydaje mi się, że gdzieś go widziałem – powiedział niepewnym głosem Chełmicki.

– Może widziałeś, a może wcale nie widziałeś. Eduardo i „Smutas" są do siebie podobni, a ostatnio nawet bardziej niż kiedyś. Bo jakkolwiek Eduardo sprawia teraz wrażenie ponuraka, tak niegdyś lubił się pośmiać i pożartować, a „Smutas" taki już się chyba urodził. Ponury i wiecznie niezadowolony.

– A wie, doktor, gdzie mieszka ten cały „Smutas"? – zapytał Julian.

– Tak dokładnie to nie wiem, ale ma niewielką *finkę* u podnóży gór. Ot, mały spłachetek ziemi i kilka sztuk bydła. Musiałbyś zapytać Eduarda… A prawda, przecież ty po hiszpańsku ani me, ani be, ani kukuryku – z sarkazmem zakończył doktor i dodał z westchnieniem: – Dobrze, już dobrze, nie gap się tak na mnie, „Boląca Głowo". Jutro podjadę do Eduarda i zapytam go o brata.

– Dziękuję, doktorze, ale proszę mu nie mówić, że ta wiedza jest potrzebna mnie – powiedział Chełmicki.

– Chłopcze, mogę uczynić, o co prosisz, ale Eduardo nie jest idiotą. Od razu się domyśli, że robię to dla ciebie, bo nigdy nie uwierzy, że pytam o „Smutasa" z życzliwości. Ale spróbuję udawać, że kieruje mną ciekawość, a nie troska. A kiedy już się dowiem, gdzie dokładnie mieszka, co zamierzasz? – zapytał zaciekawiony doktor. – Pojedziesz do „Smutasa", zapukasz, a potem staniesz przed nim i zaczniesz mu się przyglądać? Pojechałbym z tobą, ale nie lubimy się zbytnio i obawiam się, że może się moimi odwiedzinami zdziwić jeszcze bardziej niż Eduardo faktem, że pytam o jego brata.

– Najpierw pojadę i rozejrzę się. A jego po prostu poproszę o szklankę wody…

– „Boląca Głowo"… – westchnął doktor. – O konspiracji to ty nie masz pojęcia. Jakeś ty się uchował w tej biednej Polsce…

– Czuję się jak młody Indianin stojący przed obliczem wodza. – Julian roześmiał się w końcu, bo w istocie przydomki nadawane ludziom przez Salazara brzmiały jak imiona plemienne.

Chełmicki spostrzegł jednak, że i poczciwego doktora zaczęła wciągać ta tajemnicza historia i sam był ciekaw jej rozwiązania. Dla Juliana było to życiową koniecznością, dla Salazara czymś w rodzaju łamigłówki, której rozwikłanie przyniesie mu satysfakcję.

***

Nazajutrz późnym popołudniem zastał starego doktora na werandzie Eduarda, z którym popijał orszadę i gwarzył, zdawałoby się, beztrosko o sytuacji geopolitycznej. Nie było w tym nic dziwnego, cała Europa prawiła o wojnie, układzie sił i posunięciach najważniejszych graczy, jakimi byli Niemcy, Rosjanie i Brytyjczycy otrzymujący wsparcie zza oceanu. Salazar przywitał się z Chełmickim, zamienił z nim kilka zdawkowych słów, po czym powrócił do dyskusji z Eduardem. Gdy jednak nastał zmierzch i doktor szykował się do powrotu do Granady, zaczepił Juliana, siedzącego na ławeczce przed budynkiem.

– Jutro „Smutas” będzie na rynku w Granadzie. Nie będzie go w *fince* od świtu aż do sjesty. Musisz coś wymyślić, żeby niepostrzeżenie urwać się ze swoich zajęć. Pojedziemy tam i jeśli okaże się, że rozpoznajesz to miejsce, wtedy pomyślimy, co zrobić ze „Smutasem” – powiedział konspiracyjnym szeptem doktor.

Chełmicki pokiwał głową.

– Zostawię stado nad strumieniem, jakąś godzinę drogi od podnóża Sierra Nevada. Wbiję pale, a sam konno pojadę we wskazane miejsce. Bo rozumiem, doktorze, że już pan wie, gdzie dokładnie mieszka brat Eduarda? – równie cicho powiedział Chełmicki.

– Masz mnie za durnia, „Boląca Głowo”? Pewnie, że wiem. Narysuję ci mapkę, jak dojechać do miejsca, w którym się spotkamy. Zostawisz tam konia, u jednego mojego znajomego, i dalej pojedziemy moim samochodem. „Duszący Kaszel” to poczciwy człowiek, konia ci przypilnuje, a Eduarda i jego brata to zna bardzo słabo, jak wszystkich zresztą, bo straszny z niego odludek – tłumaczył Salazar.

Chełmicki kolejny raz pokiwał głową i pożegnał doktora, wracając do swojego pokoju z nadzieją, że kolejne wspomnienia z jego pobytu w Hiszpanii powrócą na swoje miejsce.

16. Zamość, 1943

– Ottonie, naprawdę bardzo mi przykro, że tyle to trwa, ale jeśli nie chcesz, aby twoja znajoma występowała w charakterze poszukiwanej, musisz uzbroić się w cierpliwość. Nasza administracja ma ręce pełne roboty, bo większość zleceń wymaga natychmiastowej interwencji. Może jednak wrzucę pannę Niechowską na oficjalną listę poszukiwanych i skrócę ten czas? – Młody oficer gestapo wił się niczym piskorz, gdy tłumaczył Igorowi Łyszkinowi tak długi czas oczekiwania na adres Hanki, który to miał zorganizować w błyskawicznym tempie.

– Rozumiem, Horst, ale wiesz jak to jest. Gdzieś zostanie ślad i będą nachodzić Bogu ducha winną kobietę. Wybacz, ale nie mam o gestapo najlepszego mniemania – mruknął Igor.

– Tak, wiemy, że nie lubicie gestapo, bo uważacie nas za nieudaczników. – Horst uśmiechnął się nieszczerze.

– Dajże spokój, przyjacielu. Przecież nie wszystkich. – Łyszkin, mimo że był już zły z racji długiego czasu oczekiwania na wiadomości o miejscu zamieszkania Hanki, postanowił nie zrażać do siebie młodego oficera. Starał się, żeby ostatnie zdanie wypowiedzieć z życzliwością w głosie, po czym poklepał Horsta po plecach i dolał mu koniaku do kieliszka.

Siedzieli w luksusowej restauracji, na obiad w której Łyszkin wydał fortunę i miał nadzieję, że uda mu się jakoś zakamuflować ten wydatek przed zwierzchnikami, zwłaszcza że Horsta gościł na podobnej biesiadzie już trzeci raz. Łyszkinowi jednak tego typu problemy wydały się błahe w porównaniu z tym, że miał bardzo mało czasu. Poprzedniego dnia otrzymał meldunek. Za tydzień do Zamościa miał przybyć *SS-Oberführer* Walter Huppenkothen, szef komórki kontrwywiadu gestapo, który następnie zamierzał jechać na wschód. A zadaniem Łyszkina było zamordowanie go. Potem jednak musiał być przygotowany na ewakuację. Zatem pozostało zaledwie kilka dni, by znajomość z Horstem przyniosła oczekiwane efekty.

W czasie, gdy jego młodszy kolega raczył się kolejnymi kieliszkami wybornego koniaku, Łyszkin myślał intensywnie nad następnymi krokami. Udawał, że rozgląda się po lokalu i zachwyca sztukateriami na sufitach, adamaszkowymi zasłonami udrapowanymi niemal jak w arystokratycznych pałacach i kutymi, złoconymi żyrandolami.

– Na wschodzie nie mieliście takich luksusów. – Horst beknął, a potem jakby się zreflektował, że podobne zachowanie nie przystoi w tak eleganckich wnętrzach, i szybko zakrył dłonią twarz.

– Zdziwiłbyś się. Sowieci miłują wszystko, co złote albo kryształowe. Nawet ta cała czerwona hołota, co się dochrapała stanowisk, lubi blichtr. Niekiedy tandetny, rozumiesz, byle się błyszczało albo było kolorowe. Brud za paznokciami miał jeden z drugim i nawet dobrze czytać nie potrafił, ale wzorzysty dywan w gabinecie musiał mieć i złocone żyrandole – zakpił Łyszkin i przez moment zatęsknił za ojczyzną i niekiedy dziwacznymi kontrastami, jakie widywał w swoim kraju.

Po chwili jednak przyszedł mu do głowy inny pomysł. Nie gwarantował co prawda stuprocentowego sukcesu, ale mógł być jakimś punktem zaczepienia.

– Wiesz, Horst, ta moja znajoma miała brata. Emil Lewin się nazywa i wiem na pewno, że współpracował z gestapo. Zapewne znajdował się na waszej liście płac. Więc może on mógłby mi pomóc, w końcu kto jak kto, ale rodzony brat powinien wiedzieć, gdzie mieszka jego siostra – zasugerował Igor.

– E… no to trzeba było tak od razu. Jeśli w istocie z nami współpracował, wystarczy, że wyślę telefonogram. A wiesz, w jakim mieście to było? Wtedy mógłbym załatwić sprawę jedną rozmową – dumnie powiedział Horst.

– W Warszawie… – niemal wyszeptał Łyszkin.

To miasto zawsze wywoływało w nim wspomnienia. Zarówno te dobre, jak i te złe. W nim przeżył krótkie, chociaż piękne momenty z Hanką, w tym miejscu niegdyś mieszkali jego rodzice, a wreszcie w Warszawie ledwie uszedł z życiem przed kolegami Horsta. A udało mu się to dzięki przyjacielowi Polakowi – Julianowi Chełmickiemu. Zawdzięczał mu życie, spotkanie z Hanką i to, że mógł uciec do Związku Radzieckiego. Miał nadzieję, że pewnego dnia będzie mógł mu się odwdzięczyć.

Około północy Łyszkin powrócił do swojej kwatery, zasłonił szczelnie okna i wyciągnął z pawlacza radiostację. Niemal do trzeciej nad ranem wysłuchiwał meldunków i wiedział, że przyjazd szefa kontrwywiadu jest sprawą pewną, a on będzie musiał wykonać zadanie i zabić go. Jednak pewnym pocieszeniem była informacja, że *SS-Oberführer* Walter Huppenkothen przesunął swój przyjazd o tydzień i dzięki temu Igor będzie miał więcej czasu, by zdobyć informacje o miejscu pobytu Hani.

***

Horst dotrzymał słowa i w istocie następnego dnia Igor Łyszkin był w posiadaniu dokładnego adresu Emila Lewina.

Igor spakował niewielką walizkę, wykupił bilet na pociąg do Warszawy i był gotów na wizytę w mieście, w którym nie będzie mógł się czuć bezpiecznie, dopóki trwała wojna.

Kiedy pociąg drastycznie zwolnił przed warszawskim dworcem, serce Igora Łyszkina zdawało się walić jak oszalałe. Nie obawiał się, że zostanie rozpoznany, w końcu nikt nie przyglądał się zbyt wnikliwie oficerom SS. Poza tym mówił swobodnie po niemiecku, chodził pewnie i nawet jeśli ktokolwiek skojarzyłby jego twarz z radzieckim szpiegiem, z pewnością uznałby to jedynie za łudzące podobieństwo. Igor obawiał się tego, co poczuje, gdy będzie przechadzał się po znajomych uliczkach, ujrzy miejsce, w którym niegdyś śpiewała Hanka, albo restauracje, do których niekiedy chadzali z Lossowem i Chełmickim. Przypomniał sobie dylematy, jakie mu wówczas towarzyszyły. Ślepa wiara w równość i braterstwo obok luksusu i rozrywki, jaką zapewniały duże pieniądze. Nie przeszkadzało mu chodzenie w kufajkach i starych trzewikach, gdy krzewił idee komunizmu albo pracował z komsomolcami na socjalistycznych budowach, ale gdy przybywał do Warszawy, pragnął wyglądać jak prawdziwy dżentelmen. Zwłaszcza gdy pewnego dnia ujrzał w Gastronomii elegancko ubraną Hankę Lewin albo gdy wraz ze swoimi przyjaciółmi robił marszrutę po stołecznych burdelach.

Tego dnia, gdy minęło już kilka lat od tych swawolnych zabaw i pierwszego miłosnego zawodu, wciąż nie pozbył się tych dylematów. Tym bardziej że to, w co wierzył, nie było tak idealne, jak mu się wówczas zdawało. Kiedyś czynił sobie wyrzuty, że sprzeniewierzył się pięknym ideałom, teraz zastanawiał się nad własną głupotą. Przecież to nie była tylko kwestia młodości, gdy chce się czerpać z życia garściami i można sobie wybaczyć wiele grzeszków, ale ludzkie pragnienie piękna. Otaczanie się ładnymi rzeczami, wdychania woni subtelnych zapachów i smakowania potraw, które rozpływały się w ustach. Czy to było aż tak złe, jak niegdyś myślał? Nie było i ci, którzy rządzili w jego kraju, doskonale o tym wiedzieli oraz skwapliwie korzystali z dobrodziejstw, jakie niesie ze sobą posiadanie władzy.

Wbrew pozorom po wyjściu na ulicę z hali dworca nie oddał się ani wspomnieniom, ani rozważaniom na temat ludzkiej natury. Podszedł do sto-

jących przed gmachem riksz, wsiadł do jednej z nich i kazał zawieźć się na Wolę, pod dom Emila Lewina. Gdy dojeżdżali do dzielnicy zamieszkiwanej przez Lewina, Igor zapytał młodego rikszarza:

– Nie byłem tutaj od tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, ale wydawało mi się, że kiedyś było tu ładniej – powiedział po polsku.

Młody chłopak odwrócił się w kierunku Łyszkina, z lekkim przerażeniem spojrzał na epolety siedzącego oficera i odrzekł:

– W maju Sowieci nas trochę poturbowali. W Śródmieściu i na Woli zbombardowali najwięcej kamienic.

– Rosjanie to podobno teraz sprzymierzeńcy Polaków – powiedział jakby do siebie.

– Ja tam, panie oficerze, na polityce to się kiepsko znam, ale jak kto bombami nawala gdzie popadnie, to marny z niego przyjaciel. – Chłopak uśmiechnął się sztucznie.

Igor zamyślił się. Wiedział, że jego rodacy zrobili się śmielsi, ale z tego, co słyszał, celami nalotów radzieckich pilotów w amerykańskich maszynach B-25 Mitchell miały być obiekty wojskowe i lotnisko, z którego, jak wiadomo, korzystali Niemcy. Tymczasem ten młody chłopak opowiadał przedziwną historię o tysiącu polskich ofiar i dziesiątkach zbombardowanych budynków zamieszkiwanych przez ludność cywilną.

– Idioci – mruknął pod nosem po polsku, chociaż najchętniej przekląłby po rosyjsku.

– Święte słowa, panie oficerze – odpowiedział chłopak i dodał: – Pięć złotych się należy, panie oficerze.

Łyszkin wygrzebał z kieszeni dwie pięciozłotówki, wetknął w dłoń chłopakowi i podziękował grzecznie. Myśli o bezsensownych nalotach jego rodaków odpłynęły, bo właśnie stanął przed kamienicą, w której według informacji przekazanych przez Horsta mieszkał Emil Lewin. Nie miał jednak zamiaru iść do mieszkania i kulturalnie zadzwonić, ale postanowił rozeznać się w sytuacji i poczekać na brata Hanki w jakimś zacisznym miejscu. Najpierw jednak zapytał o dozorcę i udał się do jego mieszkania.

Mężczyzna, który mu otworzył, o mały włos nie przegryzł papierosa na pół, gdy zobaczył w drzwiach oficera SS. Igor wprawdzie nie był z gestapo, jednak widok każdego niemieckiego munduru wywoływał w Polakach konsternację i lęk.

Tym razem Łyszkin postanowił nie być tak miły, jak dla młodego rikszarza, tylko wszedł bez zaproszenia do przedpokoju mieszkania dozorcy i zapytał ostro:

– Lista lokatorów?

– Przecie wisi na klatce, panie poruczniku – dozorca głośno przełknął ślinę.

– A nie prowadzicie tutaj żadnych meldunków?

– Tak, chwileczkę… A chodzi o kogo konkretnego? Bo ja, panie poruczniku, to tutaj znam wszystkich – dukał dozorca.

– Lewin. Emil – burknął Łyszkin.

– A pewnie, że mieszka. – Dozorca odetchnął z ulgą, bo tajemnicą poliszynela było, że ten mężczyzna dobrze żył z władzami, a za narzeczoną miał folksdojczkę pracującą jako strażniczka na Pawiaku. Po chwili dodał: – Z narzeczoną mieszka, Renate Zoll, i dwójką dzieci. Ten starszy chłopaczek, Szymek, to tak ze dwanaście lat będzie miał, a ten mały, Karolek, to jeszcze osesek. Pod piątką mieszkają, na drugim piętrze, zaraz po lewej stronie od schodów.

„Jaka piękna, szczęśliwa rodzina” – pomyślał złośliwie Igor.

– Dobrze… A pracuje gdzieś ten Lewin? – zapytał Łyszkin.

– A tak, panie, rozmaicie. Czasami całymi dniami go w domu nie ma i muszę mu niekiedy w nocy bramę otwierać. Pewnie przepustki ma. A czasem to na miejscu jest i po domu albo po podwórku się kręci. Przeważnie to z tym małym kajtkiem. A czy pan Lewin to coś złego zrobił? – zaciekawił się dozorca.

– Nie… chyba nie, ale musimy być czujni. Dlatego ani słowa, że się o niego pytałem.

Dozorca pokiwał głową, ale Igor był przekonany, że ten człowiek i tak ostrzeże swojego lokatora, chociaż zapewne Emil bardziej bał się Polaków niż Niemców.

Wyszedł z mieszkania dozorcy i postanowił poczekać na Lewina. Przypomniał sobie, jak wiele problemów ten człowiek przysporzył jemu i Hance. Zasłużył sobie na śmierć, ale był bratem jego ukochanej i ta nigdy by nie wybaczyła Igorowi, gdyby go zabił. Poza tym najpierw musiał zmusić go do wyjawienia adresu siostry.

Tym razem Lewin najwyraźniej miał dzień wolny od swoich podejrzanych zajęć, bo zjawił się przed kamienicą już po godzinie. Wyskoczył z rik-

szy i zanim wszedł do bramy budynku, podszedł do niewielkiego kiosku z gazetami. Igor stanął tuż za nim, wyciągnął pistolet i wbił mu go pod żebro, po czym szepnął do ucha:

– Kup grzecznie gazetę, a potem idź do tej bramy po prawej stronie.

Lewin aż podskoczył ze strachu, a jednocześnie zaczął się intensywnie zastanawiać. Był przekonany, że w kolejce po gazety stoi za nim oficer niemiecki, tymczasem za plecami usłyszał język polski z nieco śpiewnym akcentem, który nieodparcie mu się kojarzył z kimś, kogo już spotkał w swoim życiu. Nie miał jednak zamiaru ani uciekać, ani szarpać się z nieznajomym, bo to mogło skończyć się dla niego tragicznie. Zacisnął usta i podążył w kierunku bramy wskazanej przez napastnika. Gdy znaleźli się w ciemnym przejściu, Igor pociągnął za rękę Lewina, odwrócił go i przycisnął do ściany.

– Poznajesz mnie? – wysyczał Łyszkin, starając się zapanować na chęcią poturbowania mężczyzny, o którym miał jak najgorsze zdanie.

Emil zmrużył oczy, jakby szukając w pamięci twarzy, którą miał przed oczami, i nagle jego obawa zamieniła się w przerażenie. Poznał te nieco skośne jasne oczy, przypomniał sobie także, gdzie słyszał ów dziwny akcent.

– Bolszewik Łyszkin – jęknął, a jego twarz zrobiła się kredowobiała.

Był pewien, że za chwilę umrze, bo wpakował Hankę w poważne kłopoty, naraził na śmierć nie tylko ją, ale także dziecko, zatem żadna siła nie powstrzyma tego czerwonego diabła, by zadać mu śmiertelny cios.

– Masz dobrą pamięć, Lewin. I cholernie paskudny charakter. Żeby własną siostrę na śmierć wysłać… to trzeba być prawdziwym skurwysynem.

– Nie chciałem… Nie Hankę. To moja jedyna rodzina. Chciałem ją ratować, dlatego wystawiłem ciebie… Nie miałem pojęcia, że mnie oszukają. Błagam, uwierz mi – nieskładnie tłumaczył Lewin, wiedząc, że tylko w ten sposób może się bronić. Łyszkin był od niego wyższy, silniejszy i posiadał najważniejszy atut – wycelowany w niego pistolet.

– Gdzie jest Hanka? – zapytał ostro Igor.

Emil postanowił, że nie wyjawi prawdy. Łyszkin nie był z pewnością osobą, która zechce skrzywdzić jego siostrę. W końcu był w niej zakochany już przed wojną. Lewin obawiał się jednak, że jeśli poda adres, już nic nie będzie powstrzymywało tego bolszewika, by go zabić.

– Nie wiem – powiedział niepewnie Emil.

Łyszkin z całej siły uderzył go w twarz. Lewin poczuł piekący ból i przez chwilę pomyślał, że ten bydlak właśnie złamał mu nos.

– Zostaw mnie, nie wiem, gdzie jest Hanka. I możesz mnie w dupę pocałować – niemal wyłkał Emil.

Kolejny cios Igor zaserwował mu w brzuch. Lewin zgiął się wpół, bo odebrało mu oddech, a kolejne uderzenie sprawiło, że osunął się na betonową posadzkę. Wiedział, że nikt mu nie pomoże, bo widok niemieckiego żołnierza znęcającego się nad Polakiem już na nikim nie robił wrażenia. Zresztą nawet jeśli, żadna z przechodzących osób nie odważyłaby się interweniować.

– Mów, do cholery! – Łyszkin nie dawał za wygraną.

Nie był wcale pewny, czy w istocie brat Hanki zna miejsce jej pobytu, ale w głębi duszy potrzebował pretekstu, by poturbować tego cholernego drania. Złapał Lewina za poły marynarki, podciągnął do góry, kolejny raz przycisnął do ściany i przyłożył mu lufę pistoletu, tym razem do gardła.

– Posłuchaj, gnoju, masz ostatnią szansę, by ujść cało z życiem. Powiesz – puszczę cię wolno, nie powiesz – zamilkniesz na zawsze – powiedział z wściekłością Łyszkin.

Emil zdał sobie sprawę, że ten bolszewik nie blefuje. Miał pięćdziesiąt procent szans. Postanowił zaryzykować.

– Magnuszew. Na południe od Warszawy. Wynajmuje mały drewniany dom od miejscowego felczera, przy głównej drodze. Każde dziecko ci go wskaże. Ale nie jestem pewny, czy wciąż tam mieszka. Rok temu mieszkała. Z taką wielką kobietą i córką, i była w ciąży. – W końcu to powiedział i zmrużył oczy, jakby czekając na najgorsze.

– W ciąży? Z kim, u licha?

– Boże, człowieku, a skąd ja mogę wiedzieć? – jęknął Lewin.

– Nie pytałeś siostry? – zdziwił się.

– Nie. W ogóle z nią nie rozmawiałem. Tylko pojechałem sprawdzić, czy nic jej nie jest. I widziałem, że ma brzuch pod samą brodę, więc pewnie w ciąży – wysapał Emil.

– Kiedy to było? – Igor jakby zreflektował się.

Lewin nie potrafił podać dokładnej daty, ale pamiętał rok i aurę, jaka wówczas panowała, gdy wraz Frankiem czatowali pod jej domem.

Uścisk Łyszkina zelżał, bo dotarło do niego, że Hanka mogła nosić jego dziecko. Boże, był ojcem i nigdy nie widział swojego potomka. Nagle po-

stać Lewina i chęć obicia mu mordy jeszcze bardziej, niż to uczynił, zeszła na dalszy plan.

– Wracaj do domu – warknął. – I pamiętaj, jeszcze raz wejdziesz mi w drogę, nie podaruję ci. Nie pomoże ci nawet fakt, że jesteś bratem Hani. Znajdę cię wszędzie. Zrozumiałeś?

Emil pokiwał głową. Igor nawet nie musiał mu tego mówić. Ten człowiek był jak kameleon. I wydawało mu się, że jest niezniszczalny. Dlatego wiedział, że od tej pory nawet nie będzie próbował mu zaszkodzić, bo następne ich spotkanie może okazać się ostatnim. Powłócząc nogami, wyszedł z bramy i zanim przeszedł na drugą stronę ulicy, wytarł chustką zakrwawiony nos, aby nie narażać się na dociekliwe pytania Renate. Zapewne mogliby niemal natychmiast uruchomić wszelkie służby i osaczyć Łyszkina, ale obawiał się, że i tym razem ten bolszewik wymknie się władzom niemieckim, a on przez resztę życia będzie musiał oglądać się za siebie. Miał wokół siebie wystarczająco wielu wrogów, kolejny nie był mu do szczęścia potrzebny. Nie zabił go, i to było najważniejsze. A że poznał miejsce pobytu Hanki? No cóż, zapewne Łyszkin nie miał wobec niej złych zamiarów, ale kto wie, czy mu się nie odmieni, jeśli okaże się, że jego siostra zafundowała sobie dzieciaka zupełnie z kimś innym. Ale jakie miał wyjście? Musiał jednak ratować skórę.

Obejrzał się jeszcze i popatrzył w światło bramy. Po Igorze Łyszkinie przebranym w mundur oficera SS nie było już śladu.

17. Magnuszew, 1943

Furgonetka Sergiusza Dargiewicza zatrzymała się przed domem Bednarków, gdy słońce dopiero wzeszło, co dawało Alicji nadzieję, że zastanie Irenę „Wariatkę", zanim ta wyruszy w pole.

– Może poczekam na ciebie w samochodzie? Jeszcze się jakimś drągiem na mnie zamierzy – powiedział cicho „Kary".

– Przestań. Jeśli będziesz ze mną, nic ci nie zrobi – parsknęła Alicja.

Sergiusz nie przestawał żartować. Całą drogę usiłował rozweselić przygnębioną dziewczynę, której myśli przestały co prawda krążyć wokół Chełmickiego, ale wciąż były blisko pozostawionego synka. Czy będzie tęsknił, co będzie myślał i czy będzie dzielny, tak jak jej to obiecał.

– Nigdy nie myślałem, że kiedyś krucha kobieta zostanie moim ochroniarzem – mruknął, niby zawiedziony.

– Posłuchaj… – Alicja spoważniała. – Jeśli przy tobie Irena nie będzie chciała rozmawiać, to nie dyskutuj z nią. Po prostu wyjdź, dobrze?

– Będę czuł się wzgardzony i poniżony – odpowiedział jej z udawaną powagą.

Alicja nic już nie powiedziała, tylko uśmiechnęła się pod nosem i wysiadła z samochodu.

Posesja Bednarków była czysta i zadbana, o ile w ogóle można było tak powiedzieć o miejscu, w którym drób chodził i paskudził, gdzie chciał. Uwiązany mieszaniec wyszedł z budy, szczeknął niemrawo dwa razy, po czym przestał zwracać na nich uwagę. Wystarczyło to jednak, by otworzyły się drzwi domu i ukazała się w nich potężna postać Ireny.

– Alicja! – Kobieta rozłożyła ramiona i przytuliła Rosińską, niemal odbierając jej oddech.

Po chwili wypuściła ją z objęć i spojrzała podejrzliwie na Sergiusza.

– A ten, to co za jeden? – zapytała ostro.

Alicja nie pamiętała, czy poprzednim razem, gdy „Kary" był w Magnuszewie, „Wariatka" go widziała. Nawet jeśli, to najwyraźniej nie zapamiętała, więc nie było sensu do tego powracać.

– To nasz przyjaciel, „Kary".

– Twój chłop? – zapytała wciąż podejrzliwa Irena.

– Tak, to mój narzeczony – z westchnieniem odpowiedziała Alicja, by „Wariatka" nabrała ufności.

Określenie Sergiusza jako narzeczonego pomogło, bo Irena podeszła do niego i również wzięła go w ramiona, jak kilka chwil wcześniej Alicję.

– Dobrze, że jesteś… – konspiracyjnie wyszeptała do Alicji. – Do chałupy później was wezmę, ale teraz muszę ci coś powiedzieć po cichu, żeby Kazek nie zmiarkował, o czym gadam, rozumiesz?

– Rozumiem, Irenka, rozumiem – przytaknęła Alicja.

Irena zaprowadziła ich kilka metrów za dom, gdzie w niewielkim sadzie ustawiony był zbity z surowych desek stół i ławy do siedzenia, wyścielane kraciastymi narzutami. Usiedli i Irena jakby zreflektowała się:

– Może mleka się napijecie albo jakieś jedzenie zrobię? – zapytała z troską.

– Nie jedziemy długo, nie jesteśmy głodni – odpowiedziała nieco zniecierpliwiona Alicja i poklepała „Wariatkę” po dłoni.

– Hanka znowu musi uciekać – jęknęła zatroskana Irena.

– Coś się stało? – Alicja w momencie pobladła.

– A bo to prawdę powie? Ale mi się widzi, że to przez tego szwaba albo te listy z pieczątkami. To urzędowe są – poinformowała Irena.

– Na Boga, nie rozumiem, co mówisz. Jakie listy z pieczątkami?

Alicja nie miała pojęcia, skąd mogły pochodzić owe tajemnicze listy urzędowe. Natomiast mówiąc o szwabie, Irena zapewne miała na myśli owego oficera odwiedzającego Hankę i przynoszącego jej czekoladę i inne dobra. Być może zmienił swoje nastawienie do jej przyjaciółki, może chciał od niej czegoś więcej niż tylko przyjaźni i wpakował ją w jakieś kłopoty. Najpierw Hanka musiała wyprowadzić się z Magnuszewa, a teraz kolejny raz coś zmuszało ją do ucieczki. Przyjaciółka na pewno powiedziałaby jej, o co chodzi, ale musiałaby się z nią spotkać. Postanowiła spróbować.

– Irenka, Hania najwyraźniej potrzebuje pomocy. Jeśli i tak musi wyjechać, może udałoby mi się z nią spotkać? – zaczęła delikatnie.

– A ten twój gach? – „Wariatka” zmarszczyła czoło.

Sergiusz uśmiechnął się, słysząc niezbyt ładne określenie swojej osoby, ale milczał. Z tą ogromną kobietą należało rozmawiać w specyficzny sposób, czego on z pewnością by nie potrafił. Niekiedy Alicja mówiła stanowczo, innym razem była przeraźliwie miła. Zapewne doskonale wiedziała, jak podejść do tej dziwnej kobiety, by uzyskać to, o co jej chodziło.

– Można mu ufać. Uratował mi życie – powiedziała z naciskiem Alicja i puściała oko do „Karego”.

Irena rozejrzała się na boki i wyszeptała:

– Dobrze, powiem wam, jak trafić do Hanki. Ale mówię ci, Alka, jak tu siedzę, teraz to ja z nią pojadę. Teraz to jest blisko, ale jak gdzie dalej będzie musiała uciekać, to Kazka zostawię i z nią będę – z naciskiem zadeklarowała Irena.

– To już twoja rzecz, ale jak męża zostawisz, może się rozzłościć i jakieś nieszczęście na Hankę sprowadzić – odparła jej Alicja.

– Niech spróbuje. W łeb dam i po krzyku. – Wzruszyła ramionami w sposób, który sprawił, że mimo nadchodzącego upału Alicji zrobiło się zimno.

Miała także nadzieję, że Sergiusz nie będzie miał nic przeciwko temu, aby mogła spędzić z Hanką trochę czasu. Co prawda plan był taki, by jedynie pozostawić list w domu Ireny, ale jeśli ta zgodziła się, by wskazać miejsce pobytu Lewinówny, Alicja po prostu musiała się z nią zobaczyć. Nawet jeśli miałaby dotrzeć do Warszawy pociągiem.

– Sergiusz… – zaczęła przymilnie Alicja, gdy pożegnawszy się z Ireną, zmierzali w kierunku samochodu.

– Najpóźniej jutro rano musisz stawić się w punkcie. A ja wyruszyć do Rzeszy. Sądziłem, że ten czas spędzimy na oswajaniu cię z nową rzeczywistością, ale wiem, ile dla ciebie znaczy Hanka – powiedział czule.

Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż patrzenie na twarz Alicji, gdy ta rozpromienia się i uśmiecha radośnie. Bez względu na okoliczności chyba nie byłby w stanie niczego jej odmówić. Zmiękczała go, sprawiała, że tracił animusz i pewność siebie, gdy o coś go prosiła. Był naprawdę gotowy na wiele, by uszczęśliwić tę krnąbrną istotę. Bywał zakochany, we wczesnej młodości nawet zabójczo, ale Alicja wyzwoliła w nim zupełnie nowe pokłady nieznanych mu dotąd uczuć. Pragnął być dla niej wsparciem, opiekować się nią i sprawiać, by na jej twarzy pojawiał się uśmiech, który uwielbiał. Jednocześnie chciał, żeby jej serce należało tylko do niego i nie było mowy o żadnych kompromisach. Nie wyobrażał sobie sytuacji, że kochają się, a ona myślami błądzi przy innym albo nie jest pewna swoich uczuć. To było dla niego ważne. I Alicja to wiedziała. Pewnego dnia, gdy spontanicznie zaproponował jej małżeństwo, liczył, że już stał się tym jedynym i najważniejszym mężczyzną w jej życiu, jednak szybko sprowadziła go na ziemię. Była po prostu uczciwa wobec niego i wtedy pokochał ją jeszcze bardziej.

– To chyba tutaj… Boże, to mała Nadia. Jak ona urosła – ze łzami w oczach powiedziała Alicja i dodała: – Nawet nie wiesz, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

– Chciałbym, żebyś kiedyś tak reagowała na mój widok – mruknął pod nosem, ale Alicja już nie słuchała. Czekała niecierpliwie, aż furgonetka się zatrzyma, a ona pobiegnie do swojej ukochanej przyjaciółki.

Najwyraźniej odgłos silnika dotarł do uszu Hanki, bo chwilę potem ona także pojawiła się przed domem, patrząc z trwogą na nadjeżdżający samochód. Jednak ujrzawszy Alicję, jej twarz rozpromieniła się. Gdy przytuliły się do siebie, obie zaczęły głośno płakać. Częściowo z radości, że los pozwolił im się zobaczyć, a częściowo dlatego, iż mogły w końcu wylać swoje smutki i żale bez kłamstw, którymi częstowały najbliższych.

Hanka bezwiednie przywitała się z „Karym”, zaprosiła przybyszy do domu, nawet przez moment nie wypuszczając dłoni Alicji, jak gdyby ta miała zaraz rozpłynąć się w opadającym kurzu wznieconym przez furgonetkę Sergiusza.

– Posiedzę na podwórku, popatrzę na dzieci. Idźcie pogadać. Tylko czy ten brytan nie wygryzie mi siedzenia? – zapytał ze śmiechem „Kary”, zerkając nerwowo na kręcącego się po obejściu Ziutka.

– Jeśli nie będziesz chciał dać klapsa Nadii, możesz być spokojny o swój tyłek – powiedziała Hanka, machnęła ręką i niemal wepchnęła Alicję do sieni, nie proponując Sergiuszowi ani strawy, ani niczego do picia.

W izbie, gdzie toczyło się rodzinne życie Hanki Lewin, kobiety usiadły na drewnianych krzesłach i zaczęły mówić jedna przez drugą. Miały sobie tyle do powiedzenia, tak wiele zmartwień i trosk do przekazania, i słów otuchy, którymi raczyły się wzajemnie.

– Otton Kriege? – zdziwiła się Alicja. – W życiu o nikim takim nie słyszałam. Słuchaj, Hanka, nie wiadomo, co to za jeden. Jeśli ten twój kochanek proponuje ci lokum, to zwijaj żagle i nawet się nie zastanawiaj. A w razie czego zostawię ci adres pralni „Karego”. Gdybyś miała kłopoty….

– Alicja… – jęknęła Hanka. – Jak ja mam już dość uciekania… Z jednej wioski do drugiej, z jednego odludzia na drugie. Zwariuję, po prostu dostanę świra. I jeszcze nie wiem, co z Igorem. Czy żyje, czy nie jest ranny i nie dogorywa w jakimś lazarecie? Dobrze, że mam Hermanna, ale to Niemiec. Rozumiesz? Niemiec! A ja poszłam z nim do łóżka, korzystam z jego pomocy i właściwie mogę liczyć jedynie na niego.

– Hanka, rozumiem cię. Ja musiałam zostawić synka, by wypełnić rozkaz. Kolejna matka go opuściła i nie wiadomo, czy kiedykolwiek wróci. Julian zaginął w Hiszpanii, też nie wiadomo, czy kwiatków od spodu nie wącha… Ale wierzę, że niedługo to wszystko się zmieni. Musisz być silna, bo jeśli się poddasz, nigdy już nie zaśpiewasz, nie poczujesz się bezpieczna i spokojna. – Alicja próbowała pocieszać przyjaciółkę. Po chwili dodała: – Ja sypiałam z Martinem, wielkie mi co. Nawet wtedy, gdy tak bardzo go zraniłam, nie chciał mi zrobić krzywdy. Chociaż pewnie święty nie był i miał gdzieś, że Polacy umierają, by jego Rzesza mogła rosnąć w siłę. Ale jest coś takiego w człowieku, gdy się zakocha, że ani rasa, ani narodowość czy wiek nie mają kompletnie żadnego znaczenia.

– Alicja, ale co na to powiedziałby Igor…? – westchnęła Hanka.

– Obdarłby cię ze skóry. – Alicja zachichotała i dodała pospiesznie: – Ale zapewniam cię, że byłby tak samo wściekły, gdybyś przespała się z radzieckim aktywistą. On po prostu szaleje za tobą…

– Nie bardzo mnie pocieszyłaś w tym momencie – burknęła.

– Posłuchaj, Hanka, przecież on nigdy się o tym nie dowie… – Alicja spoważniała.

– Miałabym go okłamywać? – naiwnie zapytała Lewinówna.

– Cały świat składa się z kłamstw i kłamstewek. Oszukujemy innych i siebie samych. Bo czasami inaczej się nie da. Ja za powiedzenie prawdy Julianowi zapłaciłam najwyższą cenę. Straciłam go. I jestem pewna, że wszystko, co wydarzyło się po moim wyznaniu, było pokłosiem właśnie tej chwili. Nadmierną szczerością zburzyłam jego świat i nasz związek. Prawda jest mocno przereklamowana… – tłumaczyła Alicja. – A myślisz, że ten twój bolszewik to nie ma żadnych grzeszków na sumieniu? Pewnie niejeden i zapewniam cię, iż nigdy ci o nich nie powie. Bo nie będzie chciał cię stracić. Oczywiście jeśli żyje, ale myślę, że diabli złego nie biorą.

– Ale wiesz, dobrze mi było… – rozmarzyła się Hanka. – Tylko boję się, że mnie Pan Bóg skarze za te swawole z innym.

– Ten twój czerwoniak to w Boga nie wierzy, a poza tym niech ten nasz Łaskawy to nie będzie taki mądrala. Gdzie był, jak bomby nam na kamienicę spadały albo jak mojemu dziecku matkę zabierały? Gorsze podłości dzieją się na tym świecie niż chwila słabości do mężczyzny. Było ci dobrze? Bardzo się cieszę i nie licz, że cię za to potępię. Nikt ci nie zwróci

tych lat, które musisz spędzić na tych zapyziałych wiochach – prychnęła Alicja.

– Jak mi ciebie brakowało… – Uśmiechnęła się smutno. – No, a ty?

Alicja wypuściła powietrze. Łatwo być ekspertem w cudzych sprawach, gorzej, gdy musiała podjąć decyzję w kwestii własnych uczuć.

– Uwielbiam „Karego” i cierpię, gdy go nie widzę… Ale wciąż Chełmicki tkwi w moim sercu. Nie wiem, cholera, chyba siłą przyzwyczajenia. Jest wpisany w moje życie, jak babka, matka czy ty. Ale każdego dnia mocniej dociera do mnie, że on nie jest dla mnie. A ja wcale nie chcę się zmieniać, by mnie kochał. Jeśli nie potrafi obdarzyć mnie bezwarunkowym uczuciem, to nic nie warta jest taka miłość. To fałszywy obraz, który malujemy w naszych sercach. A przecież albo się kogoś kocha takiego, jakim jest, albo nie kocha się wcale. Wiem, że trudno jest wybaczyć niektóre czyny ukochanej osoby, ale najważniejsze jest to, co tkwi w naszym wnętrzu. W jego jest Weronika i pewnie trochę ja, jednak ja się na to nie godzę. Nie będę przepychać się łokciami, żeby poczuć, iż jestem dla niego najważniejsza. Ty wiesz, że jeśli zjawi się Igor, ten twój Niemiaszek stanie się jedynie miłym wspomnieniem… Ja tego już nigdy nie będę pewna – perorowała Alicja, dostając wypieków z emocji.

– Alicja, a może przestań rozważać uczucia Juliana czy „Karego”, tylko zastanów się, co ty czujesz? Uciekasz od tego, to usprawiedliwiając Chełmickiego, to obwiniając. A przecież sama przed chwilą powiedziałaś, że miłość nie powinna rozmieniać się na drobne i powinniśmy kochać człowieka, jakim jest. Więc odpowiedz mi… Kochasz Juliana Chełmickiego? – spokojnie powiedziała Hanka.

Alicja wzruszyła ramionami.

– Hanka… Tobie jedynej mogę to powiedzieć… Ja… kocham ich obu. I czekam na ten moment, gdy będę pewna, że obdarzam miłością tylko jednego – cicho zakończyła Alicja, czekając na to, co powie jej przyjaciółka na takie wyznanie.

– Wiesz co, Alicja… – westchnęła Hanka. – Powiem jedno: masz przesrane…

Opuścili posesję Hanki Lewin późnym popołudniem. Alicja była szczęśliwa, że mogła zobaczyć przyjaciółkę, ale wciąż zastanawiała się, kim był ów niemiecki oficer SS poszukujący ją poprzez prywatne kontakty w gestapo i w biurze ewidencji ludności.

– Przestań tak dumać, bo i tak niczego nie wymyślisz. Lepiej naucz się porządnie nowych danych, bo to jest w tej chwili najważniejsze – mruknął „Kary”, obserwując pogrążoną w myślach Alicję.

– Bądź wyrozumiały… – jęknęła.

– Nie mogę, kochanie. Od tego zależy nasze życie. Jeśli odpowiesz poprawnie na wszystkie pytania, dam ci spokój. Chociaż nie… Nie dam. Będę cię nagabywał o to, co powiedziałaś o mnie Hance. – Puścił do niej oczko.

– O tobie? Hm… Same dobre rzeczy. – Uśmiechnęła się i dodała: – Dobrze, pytaj.

– Imię, nazwisko, miejsce urodzenia, takie tam… – stanowczo zaczął „Kary”.

– Ewa Szwoleżer… Matko Boska, język sobie połamią na tym nazwisku. – Roześmiała się.

– I o to chodzi. Dalej… – nie dawał za wygraną Sergiusz.

– Urodzona piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćset piętnastego roku w Łopianowie. Zamieszkała w Warszawie, przy ulicy Brzeskiej. Zatrudniona jako magazynierka w warszawskim Pafawagu. Rodzice: Anna, z domu Płonicka, i Jan Szwoleżer. Matka była kucharką w szpitalu Dzieciątka Jezus, ojciec także pracował w Pafawagu, w dziale montażu. Oboje zginęli we wrześniowych nalotach. Rodzeństwa brak. Narzeczony: Krystian Wołek, zginął w kampanii wrześniowej pod Mławą… Więcej grzechów nie pamiętam. Oprócz tego nie farbuję się już ani na czarno, ani na rudo – ostatnie zdanie dodała z lekkim sarkazmem.

– O tym ostatnim nie wspominaj – mruknął „Kary”. – Dobrze, to myśl sobie dalej. Pozwalam.

– Sergiusz… – zagadnęła niepewnie. – Boję się o ciebie. Hiszpania jest bardzo daleko, a wszędzie panoszą się Niemcy.

– Będziesz płakać, jeśli nie wrócę? – zapytał zupełnie poważnie.

– Umrę z żalu – odpowiedziała cicho.

– A jeśli wrócimy obaj? – ciągnął temat „Kary”.

– Wtedy nie umrę z żalu – dyplomatycznie odpowiedziała Alicja.

– Wiesz, że nie o to pytam…

Alicja odwróciła głowę w jego stronę i powiedziała stanowczo:

– Julian Chełmicki jest mi bliski. Był i będzie. Ale nasz związek to już historia. Jestem taka jak ty: nie lubię się dzielić i wyznaję zasadę, że albo dostaję wszystko, albo nie biorę niczego.

– Wiem, jaka jesteś. I nie pytam o twój związek z Julianem, ale o twoje uczucia. – Sergiusz zacisnął zęby, bo doskonale wiedział, że Alicja unika odpowiedzi.

A ona nie mogła i nie chciała wyznać mu prawdy. Gdyby to zrobiła, zapewne wyśmiałby ją, a potem nigdy więcej nie spojrzał w jej stronę. Nie chciała go stracić i nie chciała go ranić, dlatego postanowiła, że nie będzie kontynuowała tego tematu. Kiedy dotrze do Warszawy, zajmie się ważniejszymi sprawami, a potem zastanowi się, co zrobić dalej.

„Kary” zawiózł ją pod wskazany adres, przekazał informacje dotyczące spotkania, jakie miało odbyć się nazajutrz i żegnając się chłodno, odjechał swoją furgonetką. Miała nadzieję, że jeszcze kiedyś go zobaczy.

18. Kleine Seedorf/Natać Mała, 1943

Walter von Lossow nie pamiętał, kiedy ostatnim razem był taki szczęśliwy. Wszystko zdawało się układać po jego myśli. Brygide przestała go szantażować i stała się niejako jego partnerką w spisku, uciążliwe żniwa dobiegły końca, a romans między nim a małą Lilly kwitł. Oczywiście ich zażyłość owiana była tajemnicą i jedynie Brygide i Janek wiedzieli o łączącym ich uczuciu. Taka konspiracja i udawanie przed panią Lagendorf, że jest zainteresowany jej córką, były na rękę Walterowi, ponieważ wciąż nie dawał mu spokoju incydent z kulawym Hansem, który miał miejsce pewnego letniego wieczoru na plaży. Walter zdawał sobie sprawę, że ostentacyjne pokazywanie się w towarzystwie Lilly wzbudzi zazdrość tego młodego człowieka i w istocie zacznie węszyć, a wtedy rychło się wyda, że Lossow nie tylko jest dezerterem, ale na dodatek wcale nie nazywa się Franz Bauer. Dlatego wolał go nie drażnić. Lilly także nie chciała na razie wyjawiać swojej zażyłości z Walterem, nie chcąc się narazić na plotki i ostracyzm z powodu zbyt krótkiej żałoby po poległym w walce z wrogiem Rudolfie Lagendorfie.

Spotykali się wieczorami, gdy zapadał zmierzch, w zacisznych zakątkach lasu okalającego ogromne jezioro. Niekiedy wypływali łódką na jedną z wysepek, by czuć się bezpiecznie i nie myśleć, czy zostaną przyłapani na czułościach daleko wykraczających poza niewinną znajomość.

Lilly była doskonała w każdym calu. Począwszy od subtelnej urody, delikatnych dłoni i długich blond włosów, aż po drobną figurę zaokrągloną we właściwych miejscach. Walter nigdy nie przypuszczał, że idealną partnerkę znajdzie w głuchej wsi, a nie na salonach wielkich miast. Nie była może tak śmiała, jak niektóre kobiety, które spotykał, ani nie wyrażała się tak wyniośle, jak one, jednak miała w sobie naturalną subtelność w zachowaniu, powściągliwość w wyrażaniu sądów i zdawała się nieprzytomnie zakochana w Walterze. Słuchała wpatrzona w niego z zachwytem, gdy opowiadał jej o Paryżu, Berlinie czy przedwojennej Warszawie. Jednak kiedy pytała o jego wojenne życie, o walki na wschodzie, milknął. Nie chciał o tym mówić, nawet w myślach nie chciał wracać do oblężonego Leningradu, zbrukanej gwałtami Olgi i głodu, który nakazywał mu być potworem. Niekiedy,

gdy Lilly natarczywie dopytywała go o to inne życie, jakie wiódł – kłamał. Bagatelizował, kluczył i opowiadał historie wyssane z palca. Nie chciał, żeby widziała w nim egoistę, jakim kiedyś był, wyznawcę Wielkiej Rzeszy i idei, które niosła. Lilly była „swoja", ale pragnął jej się jawić jako mężczyzna nieskalany okrucieństwem i cynizmem. Bo cóż znaczył jego gest wobec Olgi albo wydostanie przyjaciela z więzienia, jeśli były w jego życiu sprawy, których powinien się wstydzić. Mógłby siebie rozgrzeszyć, gdyby jego wiara była prawdziwa, a nie podyktowana wygodnictwem i chęcią dogadzania sobie, nie bacząc na krzywdę innych. Pewnie wciąż w nim tkwił kawałek tego człowieka, którym był dawniej. Za wszelką cenę pragnącego szczęścia i spokoju. A wreszcie takiego, którego można i warto kochać. Kim jednak stałby się w oczach Lilly, gdyby był do końca szczery? Ułomnym człowiekiem, a on chciał uchodzić za takiego, który zawsze postępuje godnie i jest prawy. Nie tchórza, ale bohatera. Nie cynika, ale wrażliwego mężczyznę, mającego na uwadze nie tylko własne dobro, ale przede wszystkim los innych.

– Ożenisz się ze mną, gdy nadejdzie czas? – zapytała cicho Lilly, gdy Walter opowiedział jej kolejną historię, która niewiele miała wspólnego z rzeczywistością.

– Oczywiście, Lilly. Ożenię się z tobą, a gdy wojna się skończy, zabiorę cię do naszego majątku koło Poznania. Będziesz panią Lilly von Lossow – rozmarzył się.

– Kim? – zapytała zdziwiona.

Walter przeklął w duchu. Jak mógł być tak głupi i wyjawić małej Lilly swoje prawdziwe nazwisko?

– Lilly Bauer – odpowiedział z taką stanowczością, na jaką było go w tym momencie stać.

– Powiedziałeś Lossow. Von Lossow – upierała się Lilly. – Proszę, Franz, powiedz mi prawdę o sobie. Wiesz, że cię kocham i cokolwiek się wydarzyło, zanim mnie poznałeś, jest nieważne. Ale chcę znać prawdę.

– Nie rozumiem. Jaką prawdę? – Walter udawał zdziwionego.

– Franz, mam wrażenie, że nie mówisz mi wszystkiego. Kiedy opowiadasz o froncie wschodnim, twój głos się zmienia, łamie… – mówiła spokojnie.

– Bo nie chcę tego pamiętać, Lilly. Twój narzeczony tam zginął i jego brat, więc pojmujesz, że to było piekło, do którego nie chcę wracać nawet

w myślach. – Walter brnął w kłamstwa, coraz bardziej zdeterminowany, by ukryć przed Lilly prawdę o sobie.

– Kochany mój, wiem, rozumiem, ale… to nazwisko… Ono padło, a nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek zapomniał, jak się nazywa. Wiem także, że coś ukrywasz. A Hans węszy i twierdzi, że cię sprawdził. Powiedział, że żaden Franz Bauer nie stawił się na komisji lekarskiej w Neidenburgu i że w ogóle nikogo takiego nie ma na liście. Ostrzegał mnie przed tobą. Oczywiście nic mu nie mówiłam o naszych spotkaniach, ale obawiam się, że gdy prawda o nas wyjdzie na jaw, on ściągnie tutaj policję czy jakąś inną służbę. Więc błagam, Franz, powiedz mi prawdę.

Lossow zatrwożył się. Więc jednak ten chłystek nie zostawił go w spokoju, tylko węszył. I, niestety, odkrył, że Walter kłamie. Zapewne podejrzewał go o dezercję, a za to mogła spotkać go tylko jedna kara. Zatem wyeliminowanie konkurenta raz na zawsze mogło okazać się dla Hansa prostsze, niż myślał. Jednak w tym momencie ważniejsza była Lilly, która oczekiwała odpowiedzi. A on miał dwa wyjścia: powiedzieć całą prawdę o tym, jak i dlaczego się znalazł w tym miejscu, albo wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo. Postanowił, że powie jedynie część prawdy, którą i tak niechcący ujawnił.

– Lilly… – westchnął. – Naprawdę nazywam się Walter von Lossow, służyłem w kompanii propagandowej, dostałem się do radzieckiej niewoli i z niej uciekłem. I nie chcę już wracać na front, nie chcę być kolejny raz jeńcem albo mięsem armatnim. Ot i masz całą prawdę. Możesz mnie potępić albo mnie wydać, ale nie byłaś tam i nie wiesz, co oznacza wojna na wschodzie.

Lilly pogłaskała go po dłoni.

– Straciłam Rudolfa i przyjaciół. Nienawidzę wojny, bo zabrała mi tak wiele, więc jak mogłabym cię potępiać? Czy kogokolwiek, kto zrobiłby tak jak ty. Wolę żywego dezertera niż martwego bohatera. – Uśmiechnęła się i przytuliła do Waltera.

Ulżyło mu. W końcu ktoś znał choćby jego prawdziwe imię. Za każdym razem, gdy Lilly mówiła: „Kocham cię, Franz”, miał wrażenie, że ma na myśli innego mężczyznę. Nie wyznał wszystkiego i nie czuł się winny. Lilly nie musiała wiedzieć, że zajmował się dużo poważniejszymi rzeczami, nie powinna nawet znać jego historii, gdy pomógł wydostać się z więzienia swojemu przyjacielowi, który był Polakiem, a sam znalazł się w tym miej-

scu, bo otrzymał wsparcie od przyjaciela Rosjanina. Niepokoił się jednak tym gnojem, kulawym Hansem. To była kwestia czasu, gdy wszyscy dowiedzą się o uczuciu, jakie połączyło go z Lilly, a wtedy kuternoga nie będzie miał skrupułów. Postanowił, że z nim porozmawia. Jak mężczyzna z mężczyzną. A potem niech się dzieje, co chce.

***

Walter wyczekał na moment, gdy zaopatrzony w wędki Hans udał się do miejsca, skąd wypływał na połów. Szło mu się ciężko, jego kalectwo od razu rzucało się w oczy. Hans nie miał w sobie nic, co mogłoby olśnić kobietę. Miał jasne, lekko kędzierzawe włosy, małe szare oczy i twarz pokrytą piegami. Wszyscy w okolicy uznawali, że jest dobrym człowiekiem, chociaż nieco za dużo pije, ale Walter był pewien, że Hans przybierał jedynie maskę, a tak naprawdę był opryskliwy, uparty i mściwy, co z pewnością miało maskować jego kompleksy.

Ostatnio Lilly stała się dla Hansa wyjątkowo miła, bo chciała odwrócić jego uwagę od faktu, że w jej sercu zagościł inny mężczyzna. Bała się o Waltera, zwłaszcza po tym, co jej wyznał. Przecież gdyby w istocie Hans poszedł do władz, nigdy więcej nie ujrzałaby ukochanego. Albo stanąłby przed plutonem egzekucyjnym, albo zgniłby w więzieniu. Męczyła ją jednak ta sytuacja, a i Walter nie chciał wciąż żyć podszyty lękiem, że pewnego dnia zjawi się żandarmeria i jego piękny świat runie. Mógł uciec, wyjechać do kolejnej odludnej wsi na Mazurach, gdzie nikt go nie znał i przetrwać tam do końca wojny, ale przyrzekł Lilly, że nie zostawi jej samej. Ona zaś nie chciała słyszeć o wyjeździe, dopóki nie zostanie prawowitą małżonką Waltera, co na tę chwilę nie wchodziło w grę. Lossow poczuł się jak w potrzasku, a winny całej tej sytuacji właśnie szedł przed nim, kuśtykając i odpoczywając co chwilę.

Kiedy dotarli do brzegu, Walter zawołał:

– Witaj, Hans.

Chłopak odwrócił głowę i popatrzył złowrogo na przybysza.

– A… to ty, Franz. Czego chcesz? – przywitał się oschle.

– Pogadać chcę… – niepewnie zaczął Walter.

– Nie będę z tobą gadał – burknął i wsiadł do łodzi.

Lossow jednak nie odpuszczał. Wskoczył do łódki za Hansem i chwycił jedno z wioseł. Łódka zachybotała się, Hans stracił równowagę i z impetem usiadł na burcie.

– Będziesz – wysyczał Walter. – A teraz bierz drugie wiosło i machaj. Popłyniemy do tamtej wysepki i porozmawiamy. Chyba że się boisz? Może tylko w gębie jesteś taki bohater, a w duchu robisz w majtki?

– Też mi coś – prychnął Hans, wziął w dłoń drugie wiosło i zaczęli płynąć w kierunku niewielkiej wysepki, przy której podobno można było złowić najlepsze okazy.

Kiedy dobili do brzegu, wysiedli z łodzi, a Hans warknął w kierunku Lossowa:

– No to gadaj, czego chcesz…

– Podobno bardzo się mną interesujesz, Hans. Możesz zdradzić mi tę słodką tajemnicę i powiedzieć dlaczego? – z sarkazmem powiedział Walter.

– Ponieważ pchasz łapy po coś, co nie należy do ciebie – burknął. – Zostaw Lilly w spokoju, najlepiej wyjedź stąd, a nikomu nie stanie się krzywda.

– Lilly Berg nie jest rzeczą. Żyje, myśli i czuje. I najwyraźniej, Hans, ani nie myśli o tobie, ani nic do ciebie nie czuje, oprócz sympatii i szacunku. Wszyscy wiedzą, że jesteś w niej zakochany, ale czy kochasz ją naprawdę? Pozwól jej żyć własnym życiem, dokonywać wyborów i kochać, kogo będzie chciała, a wtedy uwierzę, że to prawdziwe i głębokie uczucie. – Walter spróbował po dobroci, chociaż stwierdzenie Hansa bardzo go rozzłościło.

– Słuchaj, Franz. Jesteś tutaj obcy i zawsze tak cię będą traktować. Zwykła przybłęda, która nie ma pojęcia, jak ludzie tutaj żyją. My tutaj znamy się od dziecka, każdy wie o innych bardzo wiele i nie lubimy, jak ktoś wściubia nos w nasze sprawy – powiedział spokojnie Hans.

– Jak na razie to ty węszysz, próbując mnie zdyskredytować w oczach mieszkańców albo najlepiej stąd przepędzić na zawsze. To ty zmuszasz Lilly swoimi umizgami, żeby była z tobą, chociaż ona nie ma na to najmniejszej ochoty. – Lossow wciąż starał się zachować spokój.

– Obiecałem Rudolfowi, że się nią zaopiekuję, i tak będzie – z naciskiem stwierdził Hans.

– Nie będzie! – nie wytrzymał Walter. – Lilly nigdy za ciebie nie wyjdzie, bo cię nigdy nie kochała i nie pokocha. Bez względu na to, co obiecałeś Rudolfowi na łożu śmierci. Wiedz, że wyjadę stąd, ale tylko z Lilly. I nie boję

się ciebie, bo szukasz wiadomości o mnie nie tam, gdzie powinieneś. A teraz możemy wracać do Seedorf, bo nie sądzę, byś był w stanie opanować drżenie rąk i coś złowić.

Lossow odwrócił się i zaczął iść w stronę łodzi, gotowy nawet sam odpłynąć i zostawić tego typka na wyspie aż do następnego poranka. Być może wówczas ochłonąłby trochę i przemyślał swoje postępowanie wobec małej Lilly.

– Już jeden chciał mi ją zabrać. A teraz nie żyje. Myślisz, że będę miał opory, żeby zrobić to kolejny raz? – wysyczał Hans.

Walter odwrócił się gwałtownie na te słowa, nie dowierzając, że ten chłopak był zdolny do tego, żeby zabić przyjaciela tylko dlatego, że pragnął jego narzeczonej. W zachodzącym słońcu Lossow dostrzegł błysk noża, który trzymał w dłoni Hans. Na jego twarzy malowało się szaleństwo. Walter nie zdążył pomyśleć, czy chłopak naprawdę zechce go zabić, czy jedynie postraszyć, bo ten gwałtownie rzucił się na Lossowa, usiłując wbić ostrze prosto w brzuch. Walter niemal odruchowo chwycił go za rękę i odepchnął. Hans jednak nie dawał za wygraną, wyszarpnął dłoń z uścisku i kolejny raz zamierzył się, tym razem skutecznie. Ostrze przecięło Lossowowi koszulę na przedramieniu, a chwilę potem z rany zaczęła sączyć się krew. Syknął z bólu i z całej siły kopnął Hansa w jego okaleczoną nogę. Ten stracił równowagę, krzyknął jakieś przekleństwo, a nóż wypadł mu z ręki. Walter wykorzystał to i chwycił rękojeść kozika.

– Uspokój się, Hans. Nie chcę cię skrzywdzić, bo jesteś chorym człowiekiem – wysapał Lossow.

– Nie jestem chory, ona po prostu jest moja – wyjęczał, po czym podniósł się z trawy i rzucił się na rywala.

Lossow nie spodziewał się tego i kilka sekund później obaj leżeli na ziemi. Hans uderzał pięściami na oślep, jakby był w kompletnym amoku. Usiadł na brzuchu Lossowa i bił, dopóki jego twarz nie zamieniła się w krwawą miazgę. Mimo kalectwa i niewielkiego wzrostu chłopak był silny jak tur i Walter poczuł, że w tym starciu jest bez szans, a Hans zatłucze go na śmierć. Ścisnął mocniej rękojeść noża i z całej siły wbił chłopakowi w serce. Nie celował w to miejsce, w ogóle nie zastanawiał się ani nie widział, co robi, chciał jedynie, aby ten gnojek przestał go bić. Ciosy ustały.

Walter leżał przez chwilę, przygnieciony ciałem Hansa, zanim dotarło do niego, że pierwszy raz w życiu kogoś uśmiercił. Wojna trwała już cztery

lata, był na wschodzie, ale to właśnie w tym spokojnym zakątku Prus Wschodnich zabił człowieka i nie miał pojęcia, jak będzie z tym żył.

19. Paryż/Gibraltar, 1943

Sergiusz Dargiewicz im bliżej był granic Hiszpanii, tym bardziej optymistycznie patrzył na swoją misję. Jednakże spotkanie z Marcelem Pascalem nieco ostudziło jego nadzieje. Sprawa zrobiła się jeszcze bardziej tajemnicza.

– Ten wasz człowiek ponoć był na Gibraltarze i spotkał się z generałem. Takie dostałem informacje z Perpignan – powiedział Pascal i otarł chusteczką zroszone potem czoło.

– Czyli według twoich informatorów Jedynka szczęśliwie wylądował w Granadzie, przedostał się przez Sierra Nevada na Gibraltar i spotkał się z Sikorskim, tak? Więc gdzie jest teraz? – „Kary" upewniał się, czy dobrze zrozumiał Marcela, którego angielski był równie tragiczny, co francuski Sergiusza.

Pascal wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Samolot czekał na niego w umówionym miejscu, ale Jedynka nie pojawił się.

– Mógł napotkać po drodze jakieś przeszkody, a wy po prostu odlecieliście? – zirytował się Sergiusz.

– Nie mogliśmy czekać. Ale był przecież plan awaryjny. Dom Luisa Carlo. Gdyby nie zdążył na samolot, miał się tam udać, a Carlo zawiadomić nas. Ale nie było go – nieskładnie tłumaczył się Marcel.

– Cholera… – mruknął „Kary".

Musiał zmienić plany. Z tego, co mówił Pascal, nie miał po co lecieć do Granady. Wszystkie ślady wiodły na Gibraltar i tam powinien rozpocząć poszukiwania. Stacjonowali tam jeszcze polscy żołnierze, może coś wiedzieli, może poznali Chełmickiego? Tylko co dalej?

– Marcel – powiedział Sergiusz – załatw mi lot najbliżej granicy. Nie będę pałętał się bez sensu po Granadzie. Jeśli Jedynka dotarł na Gibraltar, ktoś musiał coś widzieć.

– Jedynka załatwił wam generała – prychnął Pascal.

– Bzdura – odpowiedział Sergiusz z pełnym przekonaniem.

– Wiesz… Różnie gadają. Nie wszyscy Polacy kochali tego waszego generała – spokojnie powiedział Marcel. – Przenocujesz u mnie, bo ten hotelik, w którym spał Jedynka, jest spalony. Moja żona niebawem wróci z pracy, to sobie pogadacie.

Na to liczył również Dargiewicz. Żona Marcela była Polką, jednak nie udało jej się nauczyć męża rodzimego języka. Może dlatego, że zostali małżeństwem dopiero rok temu. Ale ten czas wystarczył Anieli, by namówić Marcela na pomoc potrzebującym rodakom. W końcu walczyli z jednym wrogiem, a Pascalowie czynnie w tej walce uczestniczyli.

Gdy zmęczona pracą w kawiarni Aniela pojawiła się w drzwiach paryskiego mieszkania Pascalów, Sergiusz niemal od progu zarzucił ją pytaniami o krążące wśród francuskiego ruchu oporu plotki.

– Co to za bzdury opowiadacie? Że Jedynka załatwił Sikorskiego? I w ogóle, że Polacy maczali w tym palce?

Aniela zdjęła pantofle, odgarnęła z czoła grzywkę i usiadła z impetem w głębokim fotelu.

– Te upały mnie wykończą… Nie opowiadamy bredni, tylko takie dostaliśmy informacje. Jedynka dotarł na Gibraltar, spotkał się z generałem, odebrał od niego jakąś teczkę, najpewniej z dokumentami, po które przyjechał, a potem kręcił się przy samolocie. Zrozum, gdyby te papiery ujrzały światło dzienne, wszystkie sojusze szlag by trafił, a Niemcy byliby na najlepszej drodze, by wygrać tę wojnę. I u nas panuje przekonanie, że sprawę Katynia należy po prostu przemilczeć. – Aniela mówiła zmęczonym głosem.

– Nigdy w to nie uwierzę – mruknął Sergiusz.

– Ja też nie chciałam, ale śledztwo… – zaczęła Aniela, ale „Kary” nie pozwolił jej skończyć.

– Śledztwo prowadzone przez Anglików? Dobre sobie. Zapewne będzie bardzo wiarygodne – zakpił, po czym pożegnał gospodynię i udał się do gościnnego pokoju na wypoczynek.

Nie mógł jednak zasnąć po słowach, które usłyszał. Nie znał zbyt dobrze Juliana Chełmickiego, ale był pewien, że ten nigdy nie zrobiłby podobnej rzeczy. Prędzej sam zginąłby, niż podniósł rękę na polskiego oficera. Co zatem się wydarzyło owego feralnego dnia, gdzie są dokumenty i gdzie, u licha, podział się Julian Chełmicki?

***

Na Gibraltarze panował niemal sielski spokój. Stacjonujący tam żołnierze leniwie przechadzali się wokół siedziby brytyjskiego konsula, słońce świeciło jasnym blaskiem, a palmy zdawały się niemal nieruchome. Sergiusz był

wykończony podróżą, ale wiedział, że odpocznie dopiero po opuszczeniu przylądka. Wyciągnął nieco wymiętoszone zdjęcie Chełmickiego, które wszył pod podszewkę marynarki, i udał się do kantyny, gdzie – jak się dowiedział – zwykle jadali polscy żołnierze. Miał nadzieję, że któryś z nich rozpozna Juliana i powie co nieco o dniu, który zapewne wrył się w pamięć każdego z nich. Jednak minęło wiele tygodni od tamtego czasu i „Kary" obawiał się, że pamięć co do wyglądu Chełmickiego może ich nieco zawodzić. Ile czasu mógł w tym miejscu przebywać Chełmicki? Jeden, może dwa dni?

W kantynie dopiero przygotowywano lunch, słychać było brzękanie sztućców i roznosił się apetyczny zapach. Od poprzedniego dnia Sergiusz nie miał nic w ustach, dlatego zaburczało mu w brzuchu. Głośno przełknął ślinę, ale miał teraz na głowie inne sprawy niż zaspokojenie swojego apetytu. Zaczepił jednego z żołnierzy, ubranego w biały fartuch, i zapytał o tych, którzy byli w otoczeniu generała w dniu wypadku.

– Boże, Polak – ucieszył się żołnierz. – Przyjechałeś z kraju?

– Tak, zostałem oddelegowany przez polskie państwo podziemne, by dowiedzieć się czegoś więcej o śmierci naszego generała – skłamał Sergiusz. – No wiesz, tak mniej oficjalnie.

Młody żołnierz od razu pomyślał, że jego krajan musi być głodny, bo pobiegł jak oparzony na zaplecze kantyny i chwilę potem powrócił z tacą pełną jedzenia. „Kary" uśmiechnął się i podziękował Bogu za staropolską gościnność rodaków.

– Jak przyleciał generał, to był raut w domu konsula. Zaproszono polskich oficerów i kilku szeregowych żołnierzy. Ze swoją córką przyleciał. A potem… To był czarny dzień dla Polski. Szef naszej morskiej misji widział to wszystko… Straszne, straszne. Do tej pory nie mówi się o niczym innym – powiedział zatroskany żołnierz.

– A gdzie ja tego szefa znajdę? – zapytał „Kary" z buzią pełną chleba.

– Wyjechał do Londynu. Z tych, co tu byli, tylko Władek Marchwica jeszcze stacjonuje na Gibraltarze, resztę z misji morskiej oddelegowano gdzie indziej. No i kilku naszych zginęło w tym wypadku. Ciał do tej pory szukają, chociaż przy brzegu woda ma zaledwie siedem metrów głębokości. Tylko ten Prchal ocalał, pilot generała, ale jego już też nie ma na Gibraltarze – westchnął żołnierz.

– A powiesz mi, gdzie ja znajdę tego Władka? – zapytał Sergiusz.

– Za pół godziny obiad podajemy, to i pewnie Władek przyjdzie. Pokażę ci który to. A teraz jedz, jak ci mało będzie, to jeszcze przyniosę. Co jak co, ale Anglicy dobrze nas tu karmią, a i dla zbłąkanego wędrowca coś zostanie. A powiedz mi… właściwie to nawet nie wiem, jak ci na imię… jak jest teraz w naszej ojczyźnie?

– Mów mi „Kary” – odpowiedział Sergiusz.

– Ja mam na imię Jerzy, ale mówże… Nie widziałem Polski od trzydziestego dziewiątego roku. Matkę i piątkę rodzeństwa tam zostawiłem, bo ojciec zginął we wrześniu. – W oczach Jerzego pojawiły się łzy.

– Co ja ci będę bajki opowiadał, Jurek. Jest ciężko, jest źle. Getto w Warszawie zrównane z ziemią, w obozach giną setki tysięcy naszych i gdzie się nie obejrzysz – szkopy – powiedział ze smutkiem Sergiusz.

– Jak zginął generał, to tutaj już przestaliśmy wierzyć w wolną Polskę. Jak nie Niemcy, to Ruscy przyjdą i tyle nam z tej wolności pozostanie. A jak Ruskie przyjdą, to ja do kraju nie wracam. Ledwo im spod lufy uciekłem, bo ja spod Lwowa jestem i tam nas czerwoni załatwili, mojego ojca do więzienia zamknęli, a tydzień później kwit do domu przyszedł, że ojciec na zawał umarł. Chłop był jak dąb i zdrowy, więc ja sobie tak myślę, że go Ruskie załatwiły, i tyle. Spakowałem plecak i prysnąłem przez Rumunię na zachód – ze smutkiem relacjonował Jurek.

– Mnie też Ruskie za skórę zalazły, nie tylko szwaby. Taka to już nasza dola, długo się z wolności nie cieszyliśmy – z westchnieniem odparł Sergiusz i zamilkł, bo w kantynie zaczęli się pojawiać pierwsi żołnierze.

Jurek powrócił do swoich zajęć, ale po kilku minutach podszedł do „Karego” i szepnął mu do ucha:

– Tam, pod oknem, trzeci od lewej. Władek Marchwica.

Po chwili znowu pobiegł, by wydawać posiłki. Sergiusz przyjrzał się Władkowi, po czym wyszedł przed kantynę i czekał, aż ten skończy posiłek i opuści salę jadalną. Gdy tylko pojawił się w drzwiach, „Kary” podszedł do niego i bez ogródek powiedział, po co i skąd przybywa. Władek zerknął na stary zegarek i mruknął:

– Mamy tylko pół godziny. Chodź na kawę.

Usiedli w kawiarnianym ogródku i Władek zaczął opowiadać o dniu, gdy na Gibraltar przybył generał.

– Zrobiło się małe dyplomatyczne piekiełko. No, wiesz, tutaj Sikorski, a za ścianą Majski. Konsul nawet poprosił generała i pannę Zosię, znaczy

córkę generała, żeby nie wychodzili do miasta i w ogóle, żeby się publicznie nie pokazywali, dopóki ten radziecki dyplomata nie opuści miasta. Panna Zosia chyba nie usłuchała, bo ją mój kolega woził samochodem po sklepach, ale generał w istocie jedynie odwiedził naszą misję, a potem powrócił do domu konsula. Później była kolacja, piliśmy wino, dowcipkowaliśmy, a potem wielu obecnych na tej kolacji już nie żyło – mówił Władek.

– A czy był na tej kolacji kurier z Polski? – zapytał Sergiusz.

– Tak, był. Janek. Gralewski albo Gajewski, jakoś tak. Pamiętam, bośmy wszyscy się na niego rzucili, żeby nam o kraju trochę poopowiadał.

– I opowiadał? – zapytał podejrzliwie „Kary".

– Niespecjalnie. W ogóle taki mrukowaty był i mało co gadał. – Marchwica wzruszył ramionami.

To zastanowiło Sergiusza. Chełmicki był z natury otwartym i życzliwym człowiekiem, postawa mruka kompletnie do niego nie pasowała. Wyciągnął wymięte zdjęcie Juliana i podał Władkowi.

– To ten? Janek Gralewski? – zapytał, bo w istocie pod tym nazwiskiem Julian miał się znaleźć na Gibraltarze.

Żołnierz wziął do ręki fotografię i zaczął wnikliwie się jej przyglądać.

– Cholera, słabo trochę widać. Podobny jest, ale to chyba nie on. Tamten miał blisko osadzone oczy i brwi prawie mu się stykały na czole… Nie, to raczej nie Janek. Zresztą zginął, jak inni, chociaż ciała nie odnaleziono – powiedział Władek.

To była kolejna zagadka. Jeśli kurier z Polski miał odebrać od generała dokumenty i przetransportować ukradkiem do kraju, po jaką cholerę wsiadał z generałem do liberatora, by lecieć z nim do Londynu? Przecież równie dobrze mógł odebrać te dokumenty na Wyspach, a nie tłuc się przez całą Europę do Hiszpanii. Nie taki również był plan. Przecież w Hiszpanii czekał na niego samolot do Francji. Poza tym najpewniej Julian Chełmicki nie był tym Janem Gralewskim, który dotarł na Gibraltar. Zatem istniała nadzieja, że wciąż żył. Tylko kim był podmieniony kurier i dla kogo pracował?

Sergiusz powęszył jeszcze trochę, zagaił kilku Brytyjczyków obsługujących ową pamiętną kolację i zdobył pewność, że Julian Chełmicki nigdy nie dotarł na wyspę jako Jan Gralewski, a jego miejsce zajęła inna, nikomu nieznana osoba. Pożegnał się z Jerzym i Władkiem, podziękował im za pomoc i ruszył do Hiszpanii, by tam odnaleźć kolejne ślady Chełmickiego.

A pierwszym punktem miała być *finca* niejakiego Luisa Carlo, znajdująca się pod drugiej stronie gór Sierra Nevada. Wiedział jednak, że zanim tam dotrze, musi znaleźć miejsce na nocleg.

20. Warszawa, 1943

Alicja była zdruzgotana wiadomościami. Wszyscy jej przyjaciele, wreszcie „Sokół”, albo nie żyli, albo wpadli w łapy gestapo. A teraz miała przed sobą kilkunastu młodych ludzi, których nie znała, i miała z nich zrobić oddział najlepszych żołnierzy. Nie miała pojęcia, dlaczego powierzono jej tak ważne zadanie, ale czuła ogromny ciężar odpowiedzialności. Gdyby chociaż odnalazł się Julian, mógłby być jej mentorem albo doradcą, ale na razie musiała sobie radzić sama. Poczuła się bardzo samotna, a jedyna znajoma osoba, z którą mogła, a nawet musiała nawiązać kontakt, była jej niechętna. Jednak Weronika Sarnowska i jej koneksje po prostu były jej potrzebne, dlatego Alicja skryła głęboko swoje żale i zamierzała zaraz po spotkaniu udać się do szpitala, w którym pracowała jej rywalka.

– Pamiętajcie – powiedziała gromko do zgromadzonych osób – to nie jest las. Tutaj wyciągacie broń albo podczas zaplanowanej akcji, albo w wyjątkowych sytuacjach.

Po chwili zwróciła się do jednego z młodych mężczyzn:

– „Zielony”, do czwartku chcę mieć dla wszystkich nowe kenkarty i ausweisy. Zamieszkasz u Amelii Wiaderskiej, adres masz na kartce, zapamiętaj i spal. Blankiety dostarczy ci „Sowa”, jeszcze dzisiaj.

Chuda, wysoka dziewczyna w okularach pokiwała głową.

– Grupa „Montera” i „Stolarza” zrobi rozpoznanie w okolicach Szucha. Ja spróbuję się dowiedzieć, gdzie osadzili „Sokoła”. Jeśli jednak nie zdołam, to tam będziemy musieli rozpocząć naszą akcję. „Róża” uruchamia kontakt na Szucha. Chcę wiedzieć wszystko. Kiedy zmienia się warta, jakie jest zabezpieczenie transportu i jakim samochodem przewożą więźniów. Spotkanie jutro o tej samej porze. – Alicja starała się, żeby jej głos brzmiał pewnie i stanowczo. Nie chodziło wcale o podkreślenie, że jest ich dowódcą, ale chciała, żeby nowicjusze poczuli, iż znaleźli się w dobrych rękach.

Miała nadzieję, że nazajutrz będzie miała wszystkie niezbędne informacje i wówczas dokładnie zaplanują akcję odbicia „Sokoła”. A może przy okazji uda się uratować kogoś jeszcze? Bała się niemiłosiernie. Wiele razy uczestniczyła w podobnych spotkaniach, udzielała nawet kilku cennych uwag, które później wykorzystano, ale nigdy nie była odpowiedzialna za całą akcję. Miała świadomość, że jakakolwiek pomyłka może kosztować życie nie

tylko aresztanta, ale także tych młodych ludzi, którymi kazano jej dowodzić.

Pożegnała się ze wszystkimi, po czym opuściła starą stolarnię na Pradze i udała się do szpitala Dzieciątka Jezus. Nie czuła strachu, że zostanie zatrzymana i rozpoznana ani przed przypadkową łapanką. Nawet nie myślała o tym, że za chwilę stanie twarzą w twarz z kobietą, która odebrała jej mężczyznę, ale o tym, czy uda jej się zaplanować akcję w sposób gwarantujący zarówno skuteczność, jak i bezpieczeństwo.

Bez żadnych przeszkód dotarła do szpitala, zapytała, czy doktor Sarnowska ma dyżur i chwilę później zapukała do drzwi jej gabinetu. O mały włos nie rozpoznałaby w tej wychudzonej kobiecie z podkrążonymi oczami Weroniki, gdyby ta się nie odezwała.

– Alicja… – jęknęła.

– Życie lubi sprawiać niespodzianki – mruknęła. – Jesteś na coś chora? Wyglądasz…

Weronika jedynie machnęła ręką, spuściła głowę, a potem wyciągnęła z kieszeni fartucha chusteczkę i przetarła nią oczy. Alicja dopiero teraz zrozumiała, że mizerny wygląd i smutek wyrysowany na twarzy spowodowane są zniknięciem Juliana. Po Alicji nigdy nie było widać cierpienia, Weronika była niczym otwarta księga. Nie miała jednak siły pocieszać jej, bo sama potrzebowała wsparcia.

– Wiesz, że zamknęli „Sokoła” i wpadło kilkudziesięciu naszych chłopców?

– Oczywiście, wiem. Cholerny świat, cholerna wojna… – Weronika kolejny raz załkała.

– Posłuchaj, pani doktor, musisz wziąć się w garść. Jesteś nam potrzebna – stanowczo powiedziała Alicja.

– Teraz? Po co? Komu? Wszystko szlag trafił – jęknęła.

– Dopóki któryś z nich żyje, dopóty jest nadzieja. Uruchom swoje kontakty i sprawdź, czy „Sokoła” trzymają na Pawiaku, czy gdzieś indziej. Jeśli uda ci się dowiedzieć, kiedy będą go wieźli na przesłuchanie na Szucha, będzie znakomicie. Poza tym zorganizuj jakąś zaciszną salę… To chyba wszystko – powiedziała niemal rozkazującym tonem Alicja.

Weronika otworzyła buzię, po czym jak automat pokiwała głową. Naprawdę wyglądała rozpaczliwie.

– Dobrze, postaram się – odpowiedziała cicho i po chwili wahania zapytała: – Wiesz coś o… Julianie?

– Nie wiem. Ale „Kary” pojechał go szukać. Wkrótce powinniśmy wiedzieć, co się zdarzyło w Hiszpanii… – bąknęła.

– „Kary” pojechał szukać Juliana? – zdziwiła się lekarka.

– Tak. Ja też się o niego martwię – z naciskiem powiedziała Alicja.

– Posłuchaj… Podobno na Gibraltar przybył polski kurier, spotkał się z generałem, a potem wsiadł razem z nim do liberatora i zginął. Boże… Odchodzę od zmysłów, po prostu straciłam nadzieję, gdy mi o tym powiedziano – wyszeptała Weronika.

– A ja nie stracę jej, dopóki nie nabiorę pewności. Gdyby nie żył, czułabym to – odpowiedziała jej Alicja, chociaż informacje przekazane przez Sarnowską były mało pokrzepiające.

– A ja mam przeczucie, że już nigdy więcej go nie zobaczę. – Weronika kolejny raz się rozkleiła.

– Przestań się mazać! Będziesz miała jeszcze czas, żeby go opłakiwać. A teraz weź się w garść i zrób, o co proszę. Trzeba ratować, kogo się da, bo nas wytępią jak wszy.

Sarnowska popatrzyła na nią, nieco zdziwiona ostrym tonem, po czym wydobyła z siebie coś na kształt uśmiechu i powiedziała:

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Przyjdę do ciebie jutro w południe. Mam nadzieję, że coś już będzie wiadomo.

– To diabelnie mało czasu… – jęknęła Weronika.

– W istocie… Mamy cholernie mało czasu – westchnęła Alicja i opuściła gmach szpitala.

Wracając do swojego mieszkania przy Brzeskiej, wciąż myślała, jak rozegrać całą akcję. Nie zastanawiała się nad tym, że relacje między nią a dowódcą były, oględnie mówiąc, chłodne. Nie wracała także pamięcią do chwili, gdy podjął decyzję, aby zostawić ją na pastwę losu. W tej chwili było to bez znaczenia. Ona nie miała zamiaru pozostawić go w rękach gestapo. Nie tylko dlatego, iż był dowódcą, ale dlatego, że był człowiekiem. I jeśli istniał chociaż cień szansy na uratowanie mu życia, musiała podjąć ryzyko.

Wizyta Alicji w szpitalu Dzieciątka Jezus podziałała na Weronikę jak kubeł zimnej wody. Poczuła, że nie może dłużej rozczulać się nad sobą i opła-

kiwać Chełmickiego, ale musi działać i ratować to, co jeszcze się da. Uruchomiła swoje kontakty, zorganizowała w piwnicy szpitala dwie sale z niezbędnym sprzętem ratującym życiem i robiła to w takim pośpiechu, że nawet nie miała zbyt wiele czasu na rozdrapywanie ran. Poza tym zapaliła się w jej wnętrzu iskierka nadziei. Jeśli „Kary” pojechał do Hiszpanii szukać Juliana, najwyraźniej miał ku temu jakieś przesłanki. Nie narażałby życia dla nieboszczyka. Swoją drogą była szczerze zdziwiona jego postawą. Dotychczas uważała go za szemranego cwaniaka, dorabiającego się na polskim podziemiu, a okazało się, że zdolny jest również do czynów zasługujących na najwyższe uznanie. Tym bardziej iż Julian Chełmicki był rywalem i jego śmierć byłaby mu bardzo na rękę.

***

Trzy dni później Alicja wraz z kompanami pochylała się nad ręcznie narysowaną mapką.

– Tu samochód będzie skręcał z ulicy Długiej. – Alicja popukała palcem w plan. – Grupa „Montera” wchodzi pierwsza do akcji. „Lutek” i „Baryton”, obrzucacie szoferkę butelkami z benzyną, „Poeta” i „Makaron” strzelają do strażników siedzących z tyłu samochodu i wypuszczają więźniów. „Szofer” czeka w furgonetce, zaraz za zakrętem. Gdyby nie powiodło się, grupa „Zielonego” atakuje stenem pojazd. Wolałabym, żeby do tego nie doszło, bo przy okazji możemy zabić również kogoś z więźniów. Najgorsza i ostatnia opcja to wysadzenie silnika ciężarówki granatami. To grupa „Doktora”. Sygnałem do rozpoczęcia akcji będzie gwizdek.

Alicja starała się mówić spokojnie, ale pewnie, jednak w środku cała dygotała. Robiła w swoim życiu niebezpieczne rzeczy, ale przeważnie działała sama albo z Julianem. Tutaj odpowiadała za życie wielu osób. Do całej akcji postanowiła wykorzystać furgonetkę „Karego” i miała nadzieję, że jej to wybaczy. Zmieniła jednak w niej tablice rejestracyjne, a na bokach namalowała czerwone krzyże. Była gotowa. Weronika także. Sarnowska, oprócz powierzonych jej zadań, wykazała się również inicjatywą i zorganizowała lokal, gdzie będzie można przewieźć „Sokoła”, gdyby w szpitalu zrobiło się zbyt niebezpiecznie. Alicja przez chwilę wyrzucała sobie, że o tym nie pomyślała, ucieszyła się jednak z pomocy Sarnowskiej, animozje i niechęć pozostawiając na później.

21. Kołyma, 1943

– Podaj jodynę. Trzeba to przemyć, ale tej ręki i tak nie uratuję – Ernst zwrócił się do Olgi.

Ta bez słowa odkręciła butelkę i nasączyła gazę, po czym podała ją doktorowi. Ręka więźnia naprawdę wyglądała paskudnie i nawet ona, jako laik, mogła stwierdzić, że konieczna jest amputacja.

– Ten szwab chce mi obciąć rękę, *jebanyj sobaka* – jęknął mężczyzna.

– To konieczne – spokojnie odparła Olga.

– Nie pozwolę na to. Niech wezwą radzieckiego lekarza! – warknął pacjent i po chwili wykrzywił twarz w grymasie bólu.

– To po co pchaliście rękę pod piłę mechaniczną? – Ton Olgi wciąż był łagodny.

– *Do kurwy matieri*! Byłem złodziejem, a nie jebanym drwalem. Skąd mogłem wiedzieć, że to gówno, co się ciągle zacina, nagle odpali i poharata mi rękę? – Mężczyzna wciąż był wściekły. Po chwili wrzasnął: – Niech ten fryc mnie nie dotyka!

– Wykrwawicie się, a to dobry lekarz. Ręki wam nie uratuje, ale życie na pewno. – Głos Olgi zrobił się stanowczy.

– Odmawiam. Nie dam sobie niczego ucinać. Niech sobie łapy poucina! – darł się wniebogłosy więzień.

– Co tu się dzieje? Co to za awantury? – Andriusza stanął w drzwiach ambulatorium.

– Pacjent nie chce, żeby Ernst amputował mu rękę. W ogóle nie chce, żeby go dotykał – zameldowała Iwanowna.

Andriusza nie był taki wyrozumiały jak Olga i lekko oszołomiony doktor.

– Nie chce? Należy uszanować jego wolę – złośliwie powiedział Andriusza. – Do *aktirowki* z nim.

– Tylko nie do *aktirowki*, ja chcę naszego lekarza. Radzieckiego! – wrzeszczał pacjent, ale Andriusza już wezwał dwóch więźniów i nakazał im przynieść nosze.

– Poczekajcie… – powiedział Ernst. – Wykrwawi się.

Olga przetłumaczyła zdanie, ale Andriusza zdawał się nie słyszeć.

– Zabierajcie go. Ratujemy swołoczy życie, a on wybrzydza. Nie chce doktora fryca, zdechnie. Proste.

Więzień jakby zaczął miękнąć, widząc, że nie ma wyboru i albo podda się leczeniu przez niemieckiego lekarza, albo w istocie wykrwawi się w umieralni wraz z tymi, których stan nie rokował żadnych nadziei. Nie zrobiło to jednak na Andriuszy wrażenia i już nie słuchał, co miał do powiedzenia więzień, tylko nakazał wynieść zakrwawionego pacjenta w miejsce, gdzie najpewniej czekała go rychła śmierć.

Gdy krzyki umilkły, Ernst usiadł na krześle i zakrył twarz rękoma.

– Boże… Powinienem go uśpić eterem, zanim zaczął się drzeć. Może wtedy uratowałbym mu życie… – jęknął.

– To nie twoja wina. Tutaj codziennie ktoś umiera, a gdy nadejdzie zima, ofiar będzie jeszcze więcej. Nasłuchałam się opowieści strażników, gdy płynęliśmy statkiem do Magadanu. To inny, gorszy świat. – Olga poklepała Ernsta po ramieniu.

Był Niemcem, przedstawicielem narodu, którego nienawidziła z całego serca, ale był też człowiekiem. I to wcale nie najgorszym. Miała już okazję spotkać takiego w miejscowości, z której uciekła do Leningradu. Czasami o nim myślała i życzyła mu w duchu, żeby w miarę bezboleśnie przeszedł przez piekło wojny. Kochał sztukę i piękno, a jednak trafił w miejsce, gdzie próżno było tego szukać. Pamiętała, jak wsłuchiwał się w symfonię Szostakowicza i gdy ze zgrozą patrzył na zrujnowane zabytki Leningradu. Szarmancki i pełen kultury – porucznik Walter von Lossow.

Dzień pracy Olgi zbliżał się ku końcowi. Umyła lekarskie utensylia, pocięła gazę na waciki, a potem podeszła do okna, na którym stała doniczka, a w niej rachityczna sadzonka mięty. Urwała kilka listków, a potem zaparzyła napój dla siebie i Ernsta. Lubiła go, chociaż nie tak bardzo, jak Waltera von Lossowa. Może dlatego, że niemiecki doktor właściwie z nią nie rozmawiał na inne niż zawodowe tematy. Próbowała naciągnąć go na jakieś zwierzenia, poznać jego stosunek do tej okrutnej wojny, ale odpowiadał jej zdawkowo, jakby nie chciał nawiązać z nią żadnej bliższej znajomości.

Podała mu kubek i zapytała:

– Nie lubisz mnie tak ogólnie czy dlatego, że jestem Rosjanką?

Popatrzył na nią pustym wzrokiem.

– Nie chcę cię polubić. I nie zmieniłbym zdania, nawet gdybyś była Niemką. Nie bierz tego do siebie, ale ja nie chcę nikogo lubić. Wiem, że tu zdechnę i nigdy nie zaznam normalnego życia, więc nie chcę zdychać z żalem, iż kogoś tutaj zostawiam. Nie myślę już nawet o swojej rodzinie ani

o przyjaciołach. I jest mi z tym dobrze. Ratuję ludzkie życie i przeżywam, gdy mi to nie wychodzi, ale robię to, bo tego się uczyłem. Gdybym był architektem, tak samo ubolewałbym, gdyby zaprojektowany przeze mnie most się zawalił. Nie chcę nic ponadto odczuwać. Nie chcę ani kochać, ani lubić, ani nigdy więcej opłakiwać utraty bliskich. Jestem pusty w środku. Czekam jedynie na moment, gdy znajdę w sobie siłę, aby zrobić sobie zastrzyk, po którym się już nigdy nie obudzę. Widziałem w oczach moich pacjentów śmierć, patrzyłem na ten moment, gdy uchodziło z nich życie i słyszałem ich ostatnie słowa. I zawsze było tak samo – żal, że się opuszcza bliskich. A ja chcę odchodzić z myślą, że nikogo i niczego nie zostawiam. – Głos Ernsta był cichy i monotonny, przerywany jedynie siorbaniem gorącego naparu.

– A gdybyś prowadził praktykę na urokliwych przedmieściach, miał żonę, potomstwo i dożył w spokoju dziewięćdziesiątki, umierając, także byś kogoś zostawił. Dzieci, wnuki, przyjaciół…

Olga nie mogła zrozumieć, dlaczego Ernst nawet nie stara się uczynić swojego życia odrobinę znośniejszym. Ona, odkąd zaczęła pracować w ambulatorium, poczuła się lepiej. Przestała karmić demony siedzące w jej głowie i szepczące, że jedynym rozwiązaniem jest śmierć. Teraz znowu chciała żyć. Jadała lepiej niż inni więźniowie, miała czyste łóżko i nie była narażona na „nocne łowy”, jakie urządzali sobie *urkowie*. Nie zniosłaby chyba kolejnych gwałtów, zwierzęcych aktów, które sprowadzają kobietę na dno. Niekiedy do ambulatorium trafiały młode dziewczyny po zbiorowych uciechach brygadzistów, okaleczone, czasami z rozbitym nosem albo siniakami na twarzy i waginami, które nosiły ślady barbarzyńskich popisów gwałcicieli. Jednak najbardziej okaleczone były ich dusze, oczy pełne skargi i przerażenia, drżące usta i to, czego nie było widać, a z pewnością w nich tkwiło. Zapewne wiele z nich niebawem okaże się brzemiennymi i to pogłębi ich frustrację. Będą musiały nosić dziecko spłodzone ze znienawidzonym oprawcą, a gdy je w końcu zdołają pokochać, zmuszone zostaną, by je oddać na „farmę”, gdzie w straszliwych warunkach przebywały dzieci więźniarek i miały wiele szczęścia te maleństwa, jeśli udało im się przeżyć.

– Ale nie mieszkam w ładnym białym domku z ogródkiem, w otoczeniu rodziny, tylko tutaj. Można zapłacić taką cenę, gdy miało się udane życie, a ja już jestem w piekle, więc nie chcę cierpieć bardziej, niż muszę. – Ernst zrobił się nieprzyjemny.

– W porządku, nie wściekaj się. Wydawało mi się, że będzie nam się milej pracowało i żyło, jeśli odrobinę się polubimy. – Olga była prawie obrażona.

Nie myślała o żadnym romansie ani innych damsko-męskich relacjach, ona po prostu rozpaczliwie chciała mieć przy boku kogoś bliskiego. Kto troszczyłby się o nią, rozmawiał z nią i tak po ludzku lubił. Odkąd wyjechała z Leningradu, a jej rodzice zostali wywiezieni do łagru, wciąż czuła pustkę wokół siebie i ogarniała ją przeraźliwa samotność. Ten łańcuch przerwał dopiero Walter von Lossow, zabierając ją do Leningradu, gdzie spotkała swoich przyjaciół. Nie trwało to jednak długo, bo po kilku miesiącach została zatrzymana, a potem przetransportowana tutaj. I wraz z jej aresztowaniem pojawiła się znowu samotność. Głęboka i przykra. Wtłaczająca w jej duszę okropne myśli, dławiąca ją o poranku, gdy się budziła, i wieczorami, gdy zasypiała. A potem trafiła do obozowego szpitala i miała nadzieję, że ten stan już minął. Tymczasem ten uprzejmy człowiek, z którym pracowała, był zimniejszy niż mrozy, które niebawem miały nawiedzić ten rejon świata.

22. Magnuszew, 1943

Igor przybył do Magnuszewa niemal w samo południe. Pot spływał mu po plecach i marzył o tym, żeby poczuć chociaż niewielki powiew wiatru. Pierwsze swoje kroki skierował wprost do magistratu, gdzie natychmiast uraczono go zimną lemoniadą i kawą, a następnie zaprowadzono do człowieka, który sprawował władzę w miasteczku i był następcą Hermanna Ritza.

– W czym mogę pomóc, *Obersturmführer*…? – zapytał uczynnie przybysza.

– Kriege. Szukam kogoś – mruknął Łyszkin.

– Ta osoba mieszka w naszej gminie? – padło kolejne pytanie.

– Podobno. Hanna Lewin-Niechowska. Śpiewaczka. – Igor przybrał oficjalny ton.

Mężczyzna zmarszczył czoło, jakby szukał w pamięci podobnego nazwiska, po czym pokręcił przecząco głową.

– Nic mi to nazwisko nie mówi, ale oczywiście zaraz przejrzymy rejestry. Zresztą moja prawa ręka, Polka, panna Latkowska, która się tym zajmuje, pracuje tutaj dłużej niż ja i na pewno będzie mogła coś więcej panu powiedzieć. Być może skojarzy nazwisko tej kobiety. A Obersturmführer szuka jej prywatnie czy służbowo? – zaciekawił się. – Bo jak dotychczas takie pytania otrzymywałem jedynie z gestapo.

– Nie mogę powiedzieć – warknął Łyszkin, by zniechęcić urzędnika do dalszych dociekań.

– Wobec tego chodźmy do panny Latkowskiej… – oficjalnie odpowiedział mężczyzna i wskazał Igorowi drzwi.

Przeszli krótkim korytarzem i weszli do jasnego pokoju, gdzie przy maszynie do pisania siedziała około pięćdziesięcioletnia kobieta w okularach i w przeraźliwie wysoko upiętym koku, co dodawało surowości jej wyglądowi.

– Czy będę jeszcze potrzebny, *Obersturmführer*? – chłodno zapytał mężczyzna.

– Nie – odpowiedział Igor i uśmiechnął się czarująco do siedzącej w pokoju kobiety, dopytując o adres Hanki.

– Hanna Lewin-Niechowska? Tak, oczywiście, że ją pamiętam. Przez tę swoją stukniętą przyjaciółkę miała tutaj niemałe kłopoty. I nie tylko przez

nią… Wyprowadziła się jakoś na jesieni. Dokąd? Nie wiem – powiedziała kobieta.

– Jakie kłopoty? – zapytał zdziwiony Łyszkin.

– A bo to wielkie babsko to strasznie awanturujące było i pani Hanka wiecznie się za nią wstydzić musiała, no a potem… Co będę panu mówić. Jak Polkę widzą z Niemcem, to od razu się wielka afera robi wśród miejscowych. Więc się pani Hanka wyprowadziła, pewnie kochanek jej w tym pomógł i wiją sobie gniazdko, gdzie nikt ich nie zna. A ta „Wariatka" przy mężu, tym pijusie Bednarku, została. Chociaż ostatnio to i jej nie widuję nawet – perorowała kobieta w koku, która była niesamowicie podekscytowana przekazywaniem kolejnych plotek.

Igor przełknął ślinę, a jego serce zaczęło walić jak oszalałe. Jego Hania i „fryc"? Nie mógł w to uwierzyć. A może była zmuszona do oddawania się jakiemuś niemieckiemu mętowi, by ratować życie własne i dzieci.

– A kim był ten człowiek? Ten kochanek pani Hanki? – zapytał, niemal się jąkając.

– Poprzednik pana Gebera. Hermann Ritz. Został przeniesiony do Zamościa, jak to się mówi, oczko wyżej. Zresztą tutaj wyżej nie poszedłby, bo prowincja, a tam… miasto większe, stanowisko poważniejsze. No to tak ludzie gadają, że i kochankę zabrał ze sobą. Pewnie musiał się trochę nagimnastykować, bo wziął ją z tą małą… takie ruskie imię miała. I z Grzesiem, co się już u nas urodził. Na początku gadali, że ten mały to Ritza dzieciak, ale z rachuby wychodziło, że nie. A Ritz to taki był zapatrzony w panią Lewin, że ciągle jej czekoladki, kawkę albo dobrą herbatę kupował. Ludzie… – Kobieta w koku gadała jak nakręcona, ale Łyszkin nie mógł już dłużej tego słuchać. Miał ochotę zacisnąć dłonie na obwisłej szyi kobiety, żeby przestała i aby cofnęła wypowiedziane wcześniej słowa. Musiał ochłonąć.

– A ta kobieta, co z Hanką mieszkała, ta duża, to gdzie ją znajdę? – wydukał.

Kobieta podała mu adres i wskazała drogę. Podziękował jej chłodno i chwiejnym krokiem opuścił pokój i budynek urzędu. Wciąż nie docierało do niego to, co usłyszał. Jego Hania i inny mężczyzna? Nie mieściło mu się to w głowie, a jego serce trawił fizyczny ból na samą myśl, że jego ukochana mogłaby się związać z kimś innym, i w dodatku Niemcem.

Dotarł do zabudowań Bednarków, ale jedynie pies go przywitał niemrawym szczeknięciem. Zapukał do drzwi domostwa, ale odpowiedziała mu

cisza. Nacisnął klamkę, wszedł do środka, jednak nikogo nie zastał. Zajrzał do obory i stodoły, ale tutaj również nikogo nie było.

Nagle usłyszał kobiecy głos dobiegający z drugiej strony płotu.

– A pan oficer to kogo szuka? – zapytała podejrzliwie kobieta.

– Ireny Bednarek – powiedział Łyszkin.

Kobieta pokręciła głową.

– A gdzie jest? – zapytał po polsku Igor.

– A kto ją, panie, tam wie. Toż ona trochę nie tego… Ale że uciekła, to nie dziwota. Bednarek już się całkiem zapuścił. Chla na umór, nic nie robi. To i poszła – odpowiedziała kobieta i wróciła do swoich zajęć, nie chcąc wdawać się w dyskusje z niemieckim oficerem.

Igor był zmęczony i miał świadomość, że powinien odpocząć, zanim wyruszy w drogę do Zamościa, ale adrenalina nakazywała mu, by natychmiast tam powrócił i odnalazł Hermanna Ritza. Cóż to była za ironia losu, że wysłano go w miejsce, gdzie urzędował kochanek jego Hani. Jeśli była to prawda… Nawet nie wyobrażał sobie, co zrobi temu bydlakowi. A ona? Wychowywała jego syna, Grzesia, z Niemcem. To wszystko było jak jakiś ponury żart, chichot losu. Coś, w co nie mógł uwierzyć. Przecież Hankę spotkało tyle złego, tak wiele wycierpiała z rąk tych oprawców, jak to możliwe, że z własnej woli miałaby się związać z jednym z nich? Jedno wiedział: ten człowiek zapłaci mu za to, a Hanka… Najpierw będą musieli odbyć bardzo szczerą rozmowę. Dopiero wtedy postanowi, co dalej.

Wracał pociągiem, którego stukot dudnił mu w głowie na przemian z czarnymi myślami. Był tak blisko odnalezienia Hanki, tak niewiele go od niej dzieliło. Jechał do Magnuszewa podekscytowany i szczęśliwy, że za chwilę weźmie ją w ramiona i przytuli swoje dziecko. Grzegorz, mały Grześ, dostał imię po nim. Kiedyś był Grzegorzem, na początku wojny, gdy pełnił swoją misję w Warszawie, wtedy kiedy mieszkał z Hanką i Nadią i wówczas gdy pierwszy raz się kochali. Tak bardzo pragnął, żeby to wszystko, co usłyszał, było nieprawdą. Zaklinał los, bo miłość do Hanki była jedynym jasnym punktem w jego wojennym życiu, jedynym celem i jedyną radością. Nie wyobrażał sobie, że nagle to wszystko okaże się kłamstwem, złudzeniem i mrzonką, która nigdy się nie ziści. Nie wierzył w Boga i nigdy się nie modlił, więc w myślach mówił do Hanki Lewin. Błagał ją w duchu, żeby nie zostawiała go z niczym i nie przestawała kochać. Gdziekolwiek rzuci ich los.

Dotarł do Zamościa późnym wieczorem i pierwszy raz od niepamiętnych czasów upił się niemal do nieprzytomności. Nawet pamiętał, kiedy to zrobił ostatnim razem. Wtedy, gdy zginęła Marina. Wówczas też znieczulał się wódką, najpierw jeden dzień, a potem kolejny. Wkrótce zrobiły się z tego tygodnie i dopiero rozkaz wyjazdu do Witebska, a potem do Smoleńska postawił go do pionu. Teraz jednak nie wiedział, czy cokolwiek będzie w stanie powstrzymać go przed upijaniem się. Chyba tylko zemsta na Hermannie Ritzu, który zbrukał mu kobietę swoimi szwabskimi łapami.

Każdy kieliszek, który w siebie wlewał, coraz bardziej oddalał złe myśli, tak jakby rozpływały się w mocnym trunku. Wkrótce zniknęły zupełnie, a on padł na łóżko, kompletnie zamroczony, z nadzieją, że wszystko, czego się dowiedział, okaże się nazajutrz jedynie złym snem.

23. Okolice Studzianek, 1943

– Lepiej wyglądał wychodek u nas, w Magnuszewie, niż ta chałupa – burknęła Irena, zdejmując długą szczotką kolejną pajęczynę z sufitu.

Hanka Lewin siedziała na tobołkach w ich nowym domu, karmiła Grzesia i ze zgrozą patrzyła na brudne ściany, zniszczone sprzęty i meble przeżarte przez korniki. Nie miała jednak siły się martwić, podróż wozem z uwiązaną Maryśką i marudzącymi dziećmi wykończyła ją. I chociaż było to wysoce niechrześcijańskie, dziękowała Bogu, że Irena postanowiła zostawić męża pijaka i pojechać razem z nią. Dotarłszy na miejsce, to właśnie „Wariatka" wypakowała większość manatków z wozu uczynnego sąsiada, który nie wziął dużo za przejazd, ale nie zamierzał jeszcze targać klamotów kobiet. Potem Irena zaczęła gruntowne porządki i Hanka, patrząc na nią, pomyślała, że sama skończyłaby sprzątanie tego zaniedbanego domostwa wraz z końcem swojego żywota.

Chałupa była drewniana z dachem pokrytym omszałym eternitem i prezentowała się jak obraz nędzy i rozpaczy. Lewinówna pomyślała, że gdyby Hermann zobaczył jej nowe lokum, zapewne nigdy nie pozwoliłby jej w nim zamieszkać, ale Hanka nie chciała mu przysparzać więcej problemów. Wnętrze domu nie prezentowało się lepiej, ale przynajmniej piec i kuchenka węglowa były sprawne. Oprócz kuchni w domu znajdowały się jeszcze dwie izby. Jedna obszerna i dość widna, druga zaś ciemna, wąska i mała. Stała tam jedynie szafa z urwanymi drzwiami i zdezelowane łóżko. Irena od razu stwierdziła, że będzie to jej lokum, bo ona nie potrzebuje niczego więcej do szczęścia, oprócz wyrka, a z obecnością okropnej szafy się pogodzi. A potem przystąpiła do dzieła odnowy gospodarstwa. Na szczęście sienniki przywiozły własne, więc nie musiały się martwić o przetrwanie nocy.

Prace porządkowe trwały do bardzo późna i tego dnia nawet nie ugotowały sobie nic ciepłego do jedzenia. Kiedy dzieci usnęły, usiadły na nieco spróchniałej ławeczce przed domem i żuły kawałki chleba, popijając mlekiem.

– Brzydko tu jak u diabła w drewutni – mruknęła Irena.

– To zdecyduj się. Jak w wychodku czy jak w drewutni? – Hanka po raz pierwszy tego dnia uśmiechnęła się.

– A wszystko jedno. Paskudnie i tyle, ale może nikt cię tutaj szukać nie będzie. W złotych kieckach latałaś po pałacach, a teraz jak najgorsza wiejska hołota. – Irena machnęła ręką i dodała: – Trochę mi żal tego murowanego domu w Magnuszewie, ale co tam.

– Irenka, a może ty wróć do Kazia? Przecie to twój ślubny. Co innego tydzień, dwa być poza domem, ale tak na zawsze? – zapytała z troską Hanka, chociaż nie była w stanie sobie wyobrazić, że zostaje na tym odludziu sama z dwójką małych dzieci i Ziutkiem.

– No i co z tego, że ślubny. Mówiłam nieraz: „Kaziu, nie chlaj tyle i weź się za jaką robotę, bo do innego pójdę”. Nie usłuchał, to poszłam.

– Ale do innego nie poszłaś… I tam to jak królowa żyłaś w porównaniu z tym o… – Hanka wskazała brodą spróchniały, połamany płot i wysokie na metr pokrzywy okalające studnię.

– Królowa! – prychnęła „Wariatka”. – Tyrałam za dwoje, a jak Kazek zapił, to nieraz go musiałam na plecach do chałupy targać. A żeby mi chociaż w wyrku dogadzał, ale gdzie tam… On się nawet już do tej roboty nie nadawał.

Hanka zachichotała. I nie powiedziała już nic więcej. Zastanawiała się, jak długo przyjdzie jej mieszkać w tym miejscu, gdzie wszędzie było daleko, a obejście i dom odstręczały. Jednak wiedziała, że musi godzić się na tę żałosną egzystencję, bo znowu ktoś usiłował ją znaleźć. Jakiś przeklęty esesman, Otton Kriege. Czego od niej chcieli, jeśli jedyne, co robiła, to oporządzała Maryśkę i zajmowała się dziećmi. Teraz nawet nie miała kawałka pola i zamartwiała się, że nie będą mieli z czego żyć, a od Hermanna nie przyjęłaby żadnych pieniędzy, zwłaszcza po tym, jak spędziła z nim noc. Czułaby się jak te prostytutki z Powiśla, które oddawały swoje ciało za obiad i kufel piwa. Koło Magnuszewa było inaczej. Miała skrawek ziemi, gdzie uprawiała kartofle, buraki i kapustę. A obok domu niewielki ogródek, gdzie rosły nowalijki i inne warzywa. A i Irena, gdy wpadała z wizytą, zawsze coś ze swojego gospodarstwa przyniosła. Masło, twaróg czy mąkę. Teraz „Wariatka” była w takiej samej sytuacji jak ona. Bez pracy, bez ziemi i bez pieniędzy.

Nie mogła jednak się poddać. Alicja wlała w nią nadzieję, że kiedyś jej życie odmieni się na lepsze. A mając kury, króliki i krowę, z głodu nie zdechną. Niedaleko był las i Irena od razu uwidziała sobie, że jeśli jest kawałek zagajnika nieopodal, to pewnie są w nim grzyby, jagody czy maliny.

Największym zmartwieniem był chleb, ale doszła do wniosku, że za kilka jaj zawsze ktoś jej odda kilogram mąki albo trochę grosza, żeby mogły ją kupić.

„Jakoś to będzie” – powiedziała w duchu Hanka i pomyślała, że tryb życia, jaki obecnie wiodła i jakiego nienawidziła, zapewne bardzo spodobałby się Igorowi. Żałowała, że nie ma go obok. Jedyne odludne miejsce, które jej się podobało, to było Bocianowo, chociaż nie miała tam żadnych luksusów. Ale był przy niej mężczyzna, przy którym czuła się szczęśliwa i spełniona.

A potem nadeszło coś, czego się spodziewała i miała świadomość, że pewnego dnia dojdzie do głosu. Jej zdrada. Bo to była zdrada. Mogła mieć dziesiątki usprawiedliwień, całą masę wymówek, jednak nadszedł w końcu dzień, gdy siedząc na ruinach swojej egzystencji, poczuła się jak ostatnia świnia. Już kiedyś tak się zachowała, gdy wydała Igora w ręce Niemców, niemal na pewną śmierć, ale wówczas po prostu nie miała wyboru. Teraz jednak sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Mogła przyjaźnić się z Ritzem i korzystać z jego hojności bez włażenia mu do łóżka i pisania czułych listów. Skrzywdziła ich obu – Igora podłą zdradą, Hermanna nadzieją. Ritz zakochał się w niej, a ona, niestety, nie. Stanowił odskocznię od samotności i jedyne, co mogła mu zaoferować, to przyjaźń. Wyrzucała sobie, że niepotrzebnie dała się wciągnąć w te frywolne listy, erotyczne podteksty i wreszcie czułe wyznania. Nie minęło tak wiele czasu, odkąd rozstała się z Łyszkinem, przyrzekając mu dozgonną miłość i to, że będzie na niego czekała, dopóki wojna się nie skończy. Tymczasem tak szybko zapomniała o swoich obietnicach i o tej pięknej miłości, która ich połączyła. Zastanawiała się, jak spojrzy mu w oczy, gdy pewnego dnia zjawi się przed nią, pełny ufności, że to, co jest między nimi, wciąż pozostało czyste i nieskalane żadną podłością. A jeśli mu powie? Przyzna się, iż było jej ciężko i straciła nadzieję? Co zrobi Igor? Czy zdoła jej to wybaczyć?

Teraz jednak nie było go przy niej, a ona musiała żyć i myśleć o kolejnym dniu naznaczonym niepewnością, lękiem i biedą. I jeśli nawet nigdy więcej nie zobaczy Łyszkina, miała przecież dzieci – najważniejsze istoty na świecie. Już sama nie wiedziała, czy lepiej by jej było, gdyby karmiła się nadzieją, czy może łatwiej, gdyby zyskała pewność, że już nigdy więcej go nie ujrzy. Miała obok siebie jego część, małego Grzesia, na którego przelała uczucia nie tylko macierzyńskie, ale także te do ukochanego mężczyzny, jakby jej syn mógł jej zrekompensować nieobecność Igora.

***

Przez kolejne dni jej wyrzuty sumienia nieco przycichły, bo zajęła się sprzątaniem i upiększaniem nowego gospodarstwa. Zależało jej na tym, by Nadia przywykła do kolejnej zmiany, bo na małym Grzesiu owe przeprowadzki nie robiły jeszcze wrażenia. Córeczka natomiast potrafiła już ocenić sytuację, chociaż robiła to z perspektywy czteroletniej, nieco osamotnionej dziewczynki, dla której jedynym przyjacielem był pies Ziutek i króliki, które niebawem miały skończyć jako pieczyste.

Kiedy podjechały furmanką przed nowy dom, Nadia zapytała rozbrajająco:

– Cy tu mieska Baba-Jaga?

Irena roześmiała się, ale Hance wcale nie było do śmiechu, bowiem i jej ten dom kojarzył się z chałupą jakiejś nieprzyjemnej wiedźmy i miała jedynie nadzieję, że nie nawiedzają go duchy. Postanowiła jednak, że weźmie się w garść i jej córka już nie zada podobnego pytania. Chociaż tyle mogła dla niej zrobić. Serce jej bowiem pękało, gdy widziała Nadię, pozbawioną towarzystwa rówieśników, która rozmawiała ze zwierzętami, jak z ludźmi, a gdy niekiedy spotykała dziewczynki w swoim wieku, od razu chciała za nimi biec i proponować im zabawę. Lewinówna miała świadomość, że jej córeczka niebawem wejdzie w wiek, w którym zawiązuje się pierwsze dziecięce przyjaźnie, a zabawa z dorosłymi nie zastąpi jej rówieśników. Tak bardzo chciała, żeby jej dzieci miały inne dzieciństwo. Obiecała sobie, że zrobi wszystko, by były szczęśliwe, zrekompensuje im ten czas ponurej i samotnej egzystencji, nawet gdyby miała zrezygnować z własnego szczęścia.

Ona pamiętała swoje smutne dzieciństwo, biedę i ciężką pracę, odkąd skończyła siedem lat. Przypominała sobie niekiedy, jak zazdrościła Julianowi Chełmickiemu drogich zabawek, Alicji Rosińskiej pięknych sukien, a siostrom Jakuba Mozela lalek mówiących „mama” po dotknięciu brzuszka. A gdy była starsza i inne dzieci bawiły się nad strumieniem albo w lesie, ona szorowała podłogi w chałupie albo tłukła ziemniaki w parniku, by potem targać ciężkie wiadro do chlewa. Za nic w świecie nie chciała, by jej dzieci spotkał podobny los. Teraz były jeszcze małe, a i porównywać nie miały się z kim, ale pewnego dnia i one zrozumieją, że można żyć inaczej.

I właśnie tego pragnęła dla nich Hanka Lewin. Tego, czego sama nigdy nie zaznała w dzieciństwie.

24. Kleine Seedorf/Natać Mała, 1943

Walter von Lossow wyczołgał się spod ciała kulawego Hansa i pierwsze, co zrobił, to sprawdził, czy go zabił, czy jedynie zranił. Kilka razy badał mu puls, w panice przykładał ucho do piersi i otwierał powieki. Wpadł w totalną panikę, mimo że czyn, którego się dopuścił, był jedynie obroną przed atakami sfrustrowanego wielbiciela Lilly. Jednak pierwszy raz kogoś zabił i poczuł się tak, jakby świat przewrócił mu się do góry nogami. Chwilę potem przyszła mu do głowy kolejna myśl. Jeśli zawiadomi posterunek, że zranił śmiertelnie Hansa podczas bójki, w końcu nosił ślady ataku tego kaleki, rychło wyjdzie na jaw, że jest po prostu oszustem. Rozpocznie się śledztwo. Dezerter i morderca – tak będzie brzmiał wyrok, jaki zostanie na niego wydany. Szanowanemu *Obersturmführerowi* Walterowi von Lossowowi uwierzono by, ale kto będzie się liczył z przybłędą, Franzem Bauerem, który zabił powszechnie lubianego, choć nieszczęsnego kalekę, Hansa. A jeśli okaże się w dodatku, że nie jest tym, za kogo się podaje, będzie jeszcze gorzej.

Nastał zmierzch, ale Walter wciąż siedział skulony na trawie i nie miał pojęcia, co powinien zrobić. Trząsł się cały w środku i nie był w stanie wykonać żadnego sensownego ruchu. Chwilami nawet wmawiał sobie, że nic nie zaszło i takie wydarzenie nigdy nie miało miejsca, ale obolały nos i zakrzepła krew sprowadzały go na ziemię i nie mógł dłużej się oszukiwać. Musiał podjąć decyzję.

Zerwał się na równe nogi, zdjął z siebie ubranie i wskoczył do jeziora. Obmywał sobie twarz, dłonie i mimo że było ciemno, starał się robić to dokładnie i skrupulatnie. Następnie wziął swoje ubrania i zanurzył w wodzie. Płukał je, pocierał intensywnie i w końcu doszedł do wniosku, iż lepiej nie będzie w stanie tego zrobić. Zastanowił się jeszcze przez chwilę, czy na łące nie pozostały jakieś widoczne ślady krwi i podbiegł do stojącej przy brzegu łódki Hansa. Jeśli kuternoga wybierał się na nocny połów, zapewne miał ze sobą latarkę. Obmacał dno łodzi i natrafił na płócienny plecak. Znalazł w nim latarkę, powrócił do miejsca, gdzie leżał martwy Hans i poświecił. Sekundę potem zgasił światło, bo patrzyły na niego wytrzeszczone oczy zabitego chłopaka, na powrót wprawiając Waltera w nerwowy stan.

Lossow chwycił Hansa za nogi, przeciągnął po łące, a potem, ledwie dysząc, wsunął ciało do łodzi. Dopiero wtedy powrócił na miejsce zbrodni i obejrzał je w świetle latarki. Nie dostrzegł żadnych większych plam mogących wzbudzić podejrzenie osób, które zamierzałyby następnego dnia przypłynąć na wyspę, założył na siebie swoje mokre ubranie i wskoczył do łodzi. Postanowił wyrzucić ciało Hansa do wody, a następnie wyskoczyć z łódki i wpław dotrzeć do brzegu. Musiał jednak zbliżyć się do niego, ponieważ uznał, że nie da rady pokonać tak znacznej odległości.

„Powinienem czymś obciążyć ciało” – kolejna myśl przyszła mu do głowy. Wrócił na wyspę i zaczął szukać jakiegoś sporego kamienia. Wkrótce znalazł taki, upchnął go do plecaka, a następnie przywiązał troki do nogi Hansa. Zaczął płynąć w kierunku brzegu i kołatały mu w głowie wszystkie kryminalne opowieści, które czytał albo oglądał w kinie, a w których to zawsze morderca wpadał przez jakiś pozornie nieistotny szczegół. Dopóki nie znajdą ciała, nie będzie zbrodni, a sama łódka dryfująca po jeziorze będzie raczej sugerowała nieszczęśliwy wypadek. Był przekonany, że nikt go nie widział, zanim wypłynęli, ale przecież nie mógł tego wykluczyć. Tylko co wtedy? Słowo przeciwko słowu. Potrzebne mu zatem będzie alibi. A te dostarczyć mu mogła jedynie Lilly. Do diabła, tylko co on jej powie? Czy uwierzy, że nie chciał zabić tego durnia, tylko się bronił? W końcu nosił ślady jego ataku. A właśnie, twarz. Krew zmył, ale nazajutrz pojawią się obrzęki, sińce i ślad rozcięcia na wargach. Najlepiej byłoby uciec i niech szukają sobie Franza Bauera. Ale co z Lilly?

Dopłynął do miejsca, gdzie w oddali majaczyły się kontury domostw i wypchnął ciało Hansa do wody. Przez moment dryfowało po powierzchni, ale wkrótce zniknęło pod wodą. Odpłynął jeszcze kawałek i wyskoczył z łódki. Źle wymierzył odległość, bo zdawało mu się, że płynie bardzo długo. Powoli zaczął opadać z sił i co chwilę musiał odpoczywać, kładąc się nieruchomo na wodzie. W końcu dobrnął do brzegu i mógł w końcu poczuć grunt. Ostatkiem sił przedarł się przez szuwary i postawił nogi na suchym lądzie. Miał ochotę paść na trawę, uspokoić oddech i dać odpocząć obolałym mięśniom, ale wiedział, że musi jak najszybciej znaleźć się na kwaterze, przebrać i spotkać się z Lilly. Miał nadzieję, że jej miłość zwycięży wszystkie obawy i po prostu razem znikną z malowniczego Kleine Seedorf.

Dotarł do zabudowań Gertrude Lagendorf i przeszedł na tyły domu. Odnalazł okno pokoju poległych synów gospodyni i popchnął je delikatnie do

wnętrza. Na szczęście skrzydła okna były zaledwie przymknięte, więc bez trudu dostał się do środka. Cały dom tonął w ciemności. Wyszedł do korytarza i usłyszał głośne chrapanie gospodyni, dobiegające przez niedomknięte drzwi jej sypialni. Najciszej jak mógł wszedł po schodach na strych i dopiero wtedy odetchnął z ulgą. Wiedział, że ten stan nie potrwa długo, ale mógł chociaż zdjąć z siebie mokre ubranie i obejrzeć twarz w lustrze. Kiedy to zrobił, poczuł, że już opadł z sił tak bardzo, iż nie da rady na powrót wymknąć się z domu i udać do Lilly. Pomyślał, że ma jeszcze trochę czasu, zanim ktoś zaalarmuje mieszkańców o zaginięciu jednego z nich. Położył się na swoje legowisko i wydawało mu się, że nie zmruży oczu, jednak wyczerpanie fizyczne dało o sobie znać i Walter usnął niemal natychmiast.

***

Obudził się dość późno, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

– Ale sobie pospałeś dzisiaj – zaświergotała Brygide. – Wstawaj, trzeba mleko zawieźć do Neidenburga. To kawał drogi, a pewnie w mleczarni kolejka długa.

– Już się zbieram – mruknął bez zbędnych wyjaśnień.

Wstał i podszedł do szafy, w której zamocowano lustro. Zapewne minęło za mało czasu, od kiedy dostał ciosy od Hansa, bo jego twarz wyglądała normalnie, a opuchnięte oczy mogły być wynikiem zbyt dużej dawki snu. Ubrał się, zapakował na wóz kanki i niemal bez słowa opuścił posesję.

– A co ty, Franz, tak bez śniadania?! – krzyknęła gospodyni i podbiegła do niego, by wręczyć mu pakiet kanapek.

Podziękował zdawkowo i ruszył drogą w kierunku wsi. Spoglądał co chwilę na spokojną taflę jeziora, ale nie dostrzegł ani łodzi, ani niczego, co mogło uchodzić za unoszące się na wodzie ciało. Dojechał do zabudowań, zatrzymał konia i pobiegł do domu Lilly. Zastał ją w sadzie, gdzie zrywała wiśnie, stojąc na opartej o drzewo drabinie. Jak zwykle wyglądała świeżo, słodko i pociągająco.

– Jadę do Neidenburga, do mleczarni, zdać mleko. Pojedziesz ze mną? – zapytał beztrosko.

Lilly zawahała się przez moment, po czym uśmiechnęła szeroko i pobiegła na podwórko przed domem, krzycząc dość donośnie:

– Mutti, Franz Bauer od Lagendorfów wiezie mleko do Neidenburga i zaproponował, że i nasze może wziąć! Zabiorę się z nim!

– Hans też miał jechać i zabrać cię ze sobą, ale późno już, a on ciągle się nie pojawia. Pewnie znowu zapił i wstanie w południe. To jedź, Lilly. Zaraz powiem ojcu, żeby kanki załadował – odpowiedziała gromko jej matka, tak samo szczupła i drobna, jednak nie tak piękna, jak jej córka.

– Nie trzeba, pani Berg – życzliwie odpowiedział Walter. – Sam załaduję, proszę tylko powiedzieć, gdzie stoją.

Pani Berg podeszła do Lossowa i powiedziała:

– Dobry chłopak z ciebie, Franz. I nie taki pijus jak Hans. A piwo i gorzałka to już niejednego mężczyznę sprowadziły na złą drogę. Trochę to ja go nawet rozumiem, nigdy urodziwy nie był, jak na przykład Rudolf, świeć Panie nad jego duszą, a i jeszcze wojna z niego kalekę zrobiła. Szkoda, żeś ty Brygidki, bo takiego zięcia jak ty to w Seedorf ze świecą szukać.

„Tak, pani Berg – pomyślał Walter. – Drugi pretendent do ręki Lilly, który okazał się mordercą”.

Ruszyli ocienioną leśną drogą. Gdyby nie ostatnia noc, to byłby taki piękny dzień. Nie było zbyt gorąco, ale słonecznie, a las pachniał igliwiem i jeziorem, którego blask przenikał między drzewami. Lilly spoglądała uśmiechnięta to na lazur nieba, to na Waltera i zapewne nie spodziewała się, że za chwilę ten cudowny poranek zamieni się w koszmar.

– Lilly… – zagadnął niepewnie Walter. – Czy ty mnie kochasz?

Spoważniała.

– Oczywiście. Bardzo, bardzo – odpowiedziała.

– A ufasz mi? – Padło kolejne pytanie.

– Teraz, gdy powiedziałeś mi prawdę o sobie, już tak – odparła stanowczym głosem.

– Ja też cię kocham, Lilly. I dlatego teraz jestem tutaj, jadę z tobą do Neidenburga, a nie błąkam się po innych mazurskich wsiach – zaczął Walter z westchnieniem.

– Opowiadasz mi bajki. A bo to ci źle w Kleine Seedorf? Robotę masz u Lagendorfów dobrą, Gertrude prawie jak syna cię traktuje i wszyscy cię tutaj lubią, oprócz Hansa, ale on zdaje się nie lubi żadnego przystojnego mężczyzny. Zapewne z zazdrości – odpowiedziała Lilly.

– Ale mam kłopoty… – wydukał.

– Dajże spokój. Hans nie doniesie na ciebie, dopóki będę dla niego miła i nie będę za często pokazywała się w twoim towarzystwie. – Lilly poklepała czule dłoń Waltera.

Lossow przełknął ślinę. Lilly Berg była taka słodka i niewinna. Tak bardzo, że nawet, gdy pozwalała mu na pieszczoty, robił to delikatnie i tak powoli, jakby była porcelanową lalką, którą może uszkodzić, jeśli zbyt mocno ją przytuli do siebie. Jakże mógł teraz jej powiedzieć, że jest mordercą? Być może zgodziłaby się milczeć, a nawet przystałaby na to, by dać mu alibi na poprzedni wieczór i noc, ale wówczas uwikłałby tę niewinną istotę w rzecz straszną i zrobiłby z niej swojego wspólnika. A kto wie, może ten idealny obraz, jaki sobie zbudowała, nagle okazałby się nieprawdziwy i już nigdy nie ujrzałby w jej oczach takiego zachwytu, jak teraz.

Nie powiedział nic więcej. A gdy zapytała o ranę na ustach, po prostu skłamał. Nie był w stanie wydobyć z siebie prawdy, która mogła zdjąć z niego ciężar ponurej tajemnicy. Cóż z tego, jeśli owym ciężarem obarczyłby Lilly. Postanowił, że jeśli poczuje zagrożenie – ucieknie z Kleine Seedorf, a kiedy sprawa przyschnie, powróci do tego miejsca, by zabrać ze sobą Lilly Berg i uczynić z niej swoją żonę. Przyrzekł jej kiedyś, tego pierwszego wieczoru, gdy się do siebie zbliżyli, że ochroni ją przed zaborczą i chorą miłością Hansa. Zrobił to bardzo skutecznie, ale nie w sposób, którego oboje mogli się spodziewać.

25. Warszawa, 1943

Alicja już nie czuła strachu. Była skoncentrowana na zadaniu, które ją czekało, ale bez zwyczajowej beztroski towarzyszącej jej niegdyś przy podobnych akcjach, kiedy to patrzyła bezczelnie życiu w twarz i wmawiała sobie, że jest dzieckiem szczęścia, więc nic złego jej nie spotka. Doświadczenia ostatniego roku kazały jej nieco zmienić stosunek do podobnego poglądu, jednak skupienie się na sprawie pozwalało w dalszym ciągu odsunąć od siebie uczucie strachu. Dochodziła do tego jeszcze adrenalina, która sprawiała, że Alicja Rosińska nie odczuwała także głodu i potrzeby snu.

Każdy szczegół akcji miała ułożony w głowie. Widziała oczami wyobraźni wszystkie jej elementy i była przygotowana na różne okoliczności. Oprócz tych, których, niestety, nie dało się przewidzieć. Upewniła się, że Weronika również jest gotowa i skupiona na zadaniu oraz wzięła się za siebie, zamiast chlipać po kątach za Julianem Chełmickim. Nie kierowała się jednak troską o jej dobre samopoczucie, ale chciała, żeby podczas akcji dała z siebie wszystko i zapewniła odbitym z transportu więźniom maksymalne bezpieczeństwo.

Weronika wkurzała ją swoim zachowaniem rozmazanej pannicy. Sprawiała wrażenie, jakby ta cała sprawa nie dotyczyła Alicji. Jak gdyby ta już całkiem została skreślona z życia Juliana i nie było w niej żadnych uczuć do człowieka, którego darzyła miłością, odkąd wyrosły jej piersi, jak to kiedyś określił August, jej kompan z brytyjskiego wywiadu. Cierpiała również i martwiła się o Juliana, ale była wojna i tysiąc spraw, którymi należało się zająć, mimo że w sercu coś bolało i uwierało. Tak jak niegdyś wypuściła swój ból po stracie dziecka w przestworza, tak i teraz unosił się gdzieś poza nią. Poza tym był jeszcze Sergiusz, który podjął się niełatwej misji odnalezienia Chełmickiego, ryzykował życiem i mogło się zdarzyć, że straci ich obu. Nawet nie chciała o tym myśleć. „Kary” był dla niej jak opoka. Gdyby go zabrakło, jej świat mógłby runąć, bo okazałoby się, że nie jest tak silna, jak się jej dotychczas wydawało. Zwłaszcza gdy w jej życiu pojawiła się osoba, o którą musiała się zatroszczyć. Jej synek.

Wyznaczonego dnia ubrana w letnią sukienkę i białe sandałki wolnym krokiem szła ulicą Długą, jakby rozkoszowała się ciepłym popołudniem. Była jednak czujna i kątem oka obserwowała zarówno przejeżdżające samochody, jak i posterunki obsadzone jej nowymi podopiecznymi. Nie byli

to zupełni nowicjusze, ale niektórzy z nich nigdy wcześniej nie walczyli w mieście. Prowadzili akcje dywersyjne na przedmieściach i drogach, a mieszkali w lesie.

O godzinie podanej przez informatora Weroniki Alicja dostrzegła jadącą ciężarówkę renault, w której miał znajdować się „Sokół”. Wyciągnęła z torebki gwizdek i dmuchnęła w niego z całej siły, tak jak to było umówione. Postronni przechodnie nie bardzo wiedzieli, co się dzieje, ale jakby instynktownie zaczęli wchodzić do pobliskich bram i sklepików. Samochód zwolnił przed zakrętem i powoli wjeżdżał w kolejną przecznicę, gdy z pobliskiej kamienicy wybiegli jej kompani i zaczęli obrzucać szoferkę ciężarówki butelkami z benzyną. Dwaj kolejni podbiegli na jej tył i kilkoma strzałami zdjęli strażników.

– Kto ma siły, niech ucieka! – krzyknął „Makaron” i wspiął się na pakę ciężarówki.

Więźniowie odsunęli się, niektórzy od razu wyskoczyli z samochodu i Alicja zajrzała do wnętrza. Na podłodze siedział skulony człowiek w brudnym ubraniu. Rozpoznała w nim swojego dowódcę.

– Ma pan siłę wstać? – zapytała.

„Sokół” podniósł głowę i nawet przy wpadającym do wnętrza samochodu świetle można było ledwie rozpoznać rysy twarzy majora.

– Nosze! – krzyknęła Alicja i chwilę potem zjawiło się dwóch chłopaków z prowizorycznymi noszami.

Powoli położyli na nich „Sokoła”, ściągnęli z ciężarówki i wsunęli do furgonetki.

– Ewa, szybciej! – wrzasnął ktoś do Alicji, widząc, że ta pomaga wstać jakiemuś obcemu człowiekowi, który podobnie jak major, nie był w stanie wstać o własnych siłach.

– Jedźcie – rozkazała. – Spotkamy się na punkcie.

Alicja wiedziała, że ma mało czasu i wiele ryzykuje. Z oddali słychać było już dźwięk nadjeżdżających samochodów. A to mogli być tylko Niemcy. Niemal siłą wyciągnęła pobitego mężczyznę z samochodu i prawie niosąc go na plecach, weszła do najbliższej bramy. A tam stał jej kolega z rikszą, która miała ją zabrać, na wypadek gdyby nie zdążyła wsiąść do furgonetki.

– Ruszamy – powiedziała, sadzając więźnia na siedzisku rikszy.

– Z boku leży koc. Przykryj go, bo zatrzyma nas pierwszy patrol – jęknął „Pawełek”, z trudem pedałując po nierównym podwórzu.

Jednak ten pomysł nie wydał się Alicji najlepszy. Przytuliła do siebie więźnia, tak aby jego twarz była niewidoczna, i udawała zakochaną kobietę, całującą swojego wybranka. Koc położyła jedynie na jego nogi, żeby podarte na kolanach spodnie nie rzucały się zanadto w oczy.

– Gdzie mamy z nim jechać? – zapytał wciąż lekko spanikowany „Pawełek”.

– Na Mokotów, do domu profesorostwa – zaordynowała, nie mając pojęcia, kim był ów człowiek, któremu tak skwapliwie udzieliła pomocy.

Przez całą drogę Alicja czuła, jak wali jej serce, a każdy mijany patrol przyprawiał ją o mdłości. Tak, to była taka właśnie niespodziewana sytuacja, na którą kompletnie nie była przygotowana.

Na szczęście bez przeszkód dotarli na miejsce i mężczyzną zajęła się wykwalifikowana pielęgniarka.

– A co z majorem? – zapytała zatroskana profesorowa, gdy zamiast „Sokoła” ujrzała nieznajomego.

– Pojechał do „Dzieciątka”. Weronika go opatrzy i jeśli stan zdrowia pozwoli, w nocy przewieziemy go tutaj.

– Przygotowałam tylko jedno miejsce… – Złapała się za głowę.

– Ten tutaj jest w lepszym stanie. Opatrzymy go, przebierzemy i zabiorę go stąd – powiedziała Alicja.

Zostawiła profesorową w salonie i weszła do niewielkiego pokoju, w którym zasłonięto okna i paliła się jedynie niewielka lampka. Pielęgniarka przemywała rany mężczyźnie, który wykrzywiał twarz w bólu, ale nie wydawał z siebie żadnych dźwięków. Poczekała, aż zostanie opatrzony, a pielęgniarka opuści pokój. Nie chciała, żeby ktokolwiek wiedział, że naraziła wiele osób, by uratować kompletnie obcego i nikomu nieznanego człowieka.

– Ja się pan czuje? – zapytała z troską.

– Jak to po przesłuchaniach na gestapo. – Próbował się uśmiechnąć, ale po chwili zrezygnował z tego. – Dziękuję pani, będę się za panią modlił.

– A co pan, ksiądz? – zaśmiała się Alicja.

– Tak. Jestem księdzem. Capnęli mnie za fałszywe akty zgonu… Ale przytulanie się do pani było całkiem przyjemne… Postaram się nie naduży-

wać pani gościnności i opuścić ten dom, który zapewne nie dla mnie miał być azylem.

– Da ksiądz radę, ma ksiądz gdzie się ukryć? – zapytała Alicja, nieco spłoszona faktem, że ma do czynienia z osobą duchowną.

– Udam się do sióstr Wizytek. One zawsze mają miejsce dla potrzebujących, choć Bóg mi świadkiem nie mam pojęcia, w jakim charakterze mnie tam ukryją. Może jako ogrodnika… Nie wiem tylko, czy zdołam tam dotrzeć o własnych siłach, a szkoda byłoby marnować taką okazję, gdy już dobry Bóg pozwolił mi się wyrwać z rąk tych diabłów. – Uśmiechnął się słabo.

– Zawiozę księdza, jak już tutaj księdza doprowadzimy do porządku. I niewykluczone, że znowu będę zmuszona do aktów niejakiej czułości, bowiem dysponuję jedynie rikszą jako środkiem transportu. – Alicja również się uśmiechnęła.

– Jest pani moim aniołem. Bóg ich zsyła czasami pod postacią pięknych kobiet – szarmancko odpowiedział ksiądz.

– Ja aniołem? Ojciec duchowny raczy żartować… Gdyby się tak dobrze przyjrzeć, to tylko mi rogów i ogona brakuje. – Spuściła wzrok.

– Moje dziecko, nie ma większej radości w oczach naszego Pana, gdy widzi, że ktoś poświęca życie dla innych. Nawet jeśli masz na sumieniu jakieś grzeszki, zapewne Bóg ci je wybaczy. Jezus oddał za nas życie, więc jesteś jego naśladowczynią, choć życzę, żebyś dożyła bardziej sędziwego wieku.

– Proszę księdza, ale ten cały Bóg to ciągle stawia przede mną przeszkody, wciąż każe wybierać, a u mnie niekiedy z decyzjami krucho… – mruknęła Alicja.

– Każe ci wybierać, żebyś potrafiła odróżniać dobro od zła, ziarna od plew, a miłość od miłosierdzia. Gdyby decydował za ciebie, być może nigdy nie umiałabyś docenić rzeczy wielkich i radować się tymi małymi.

– Mądrze ksiądz prawi, tylko mnie się już te dylematy znudziły i chciałabym budzić się ze świadomością, że to, co robię, jest właściwe.

– Kieruj się sercem, ono wskaże ci drogę. – Ksiądz z pobłażliwym uśmiechem pokiwał głową.

– Kieruję się, ale cóż z tego, jeśli serce mnie do dwóch pcha z podobną siłą. – Alicja machnęła ręką.

– Wsłuchaj się w nie, a popchnie cię tylko we właściwą stronę.

Po chwili nie mogli już rozmawiać, bo zrobiło się zamieszanie. Profesorowa przyniosła ubranie, ktoś wysłał „Pawełka” po lewe dokumenty dla księdza, a pielęgniarka krzątała się, zbierając zużytą gazę i puste strzykawki. Wszyscy przygotowywali się na przybycie majora i zachowywali się tak, jakby jak najszybciej chcieli się pozbyć obcego uciekiniera.

– Odwiozę tego człowieka w bezpieczne miejsce – powiedziała Alicja, żegnając się z zebranymi.

– Nie zaczekasz tutaj na majora? – ze zdziwieniem zapytała profesorowa.

– Jeśli coś niepokojącego się wydarzy, chłopcy wiedzą, jak mnie zawiadomić. Zrobiłam, co trzeba, nie jestem tu potrzebna – odparła Alicja i wyszła z księdzem przed dom, by wsiąść z nim do rikszy, przekazać dokumenty i odwieźć go do zgromadzenia sióstr Wizytek.

Tak, zrobiła swoje. A nawet więcej. Nie widziała powodu, by czekać na „Sokoła”, który nigdy nie traktował jej z szacunkiem. Zupełnie inaczej niż ten kompletnie obcy ksiądz.

26. Warszawa, 1943

Mężczyźni przeciskali się przez tłum warszawiaków, spragnionych towarów deficytowych i myszkujących po zacisznych straganach Kercelaka. Franek czuł się w tym miejscu jak u siebie w domu, ale Lewin, mimo że ostatnimi czasy przebywał tu równie często, co on, był rozdrażniony, gdy ktoś się o niego ocierał albo poszturchiwał go. Drażniły go zapachy kapusty, smarów i skóry. Wszystko wymieszane ze sobą. Kociołki z zupą obok części rowerowych, francuskie figi rozwieszone obok cynowych wiader i skórzane paski wiszące koło chleba własnego wypieku.

A tego dnia był wyjątkowo rozdrażniony. Nie minęło wiele czasu, odkąd spotkał na swojej drodze Łyszkina i czuł jeszcze ból szczęki po jego silnych ciosach. Tymczasem Franek zakomunikował mu, że oto jakiś tajemniczy człowiek chce się z nim spotkać w bardzo ważnej sprawie i lepiej byłoby dla Lewina, żeby na owe spotkanie przybył. W przeciwnym razie jego intratny interes może okazać się wielką klapą.

– Franek, nie pędź tak – wysapał do ucha „Diamentowej Rączce”.

– Ja tam się wolę na spotkanie nie spóźnić – wysapał.

– Przecie to ja mam się z tym człowiekiem spotkać, nie ty – warknął Emil.

– Tak nawijał, że aż mi się w gaciach ciepło zrobiło. – Machnął ręką i zaczął przeciskać się przez tłum ludzi.

Dotarli w końcu do jednej z drewnianych bud i Franek wskazał mu drzwi.

– Tylko jak będzie kozaczył i chciał działę, to się potarguj trochę, Lewin. W końcu to my dupy nadstawiamy – powiedział i zaczął poprawiać krawat przy koszuli Emila.

– Coś ty, „Rączka”? Zdurniał? Co mnie tu macasz jak pederasta jakiś – burknął Lewin i odsunął rękę kompana.

– Dobra jest. Drzyj zelówy i załatw franta dyplomacyją – odpowiedział Franek i wycofał się pod sąsiednie stoisko, z wyrobami drewnianymi.

Mężczyzna siedzący na zydelku rzeczywiście mógł budzić respekt. Wysoki, dobrze ubrany i miał twarz człowieka bez skrupułów.

– Lewin jestem. Pan zdaje się jakiś interes ma do mnie – zaczął hardo.

– Panowie to za sanacji byli – mruknął mężczyzna i od razu przeszedł do rzeczy. – Ty, zdaje się, koleżkom z AK za skórę zalazłeś, Lewin?

Emil zmrużył oczy. Czyżby go dopadła boska ręka sprawiedliwości i skończy z kulką w głowie jako zdrajca ojczyzny? Nie odpowiedział.

– Nie musisz odpowiadać, Lewin. My to wiemy. Ale nie zamierzamy cię wydać w ręce podnóżków rządu londyńskiego. Mamy interes do ciebie. Zgodzisz się, włos ci z głowy nie spadnie, nie zgodzisz się – skończysz jak konfident. To co? Dogadamy się? – stanowczo przemawiał mężczyzna.

– Chyba tak… – wyjąkał Emil.

– Żyjesz z taką jedną francą z Pawiaka – oznajmił nieznajomy.

– Tak… – wybełkotał Emil. – Ale…

Mężczyzna przerwał mu:

– To dobrze. To bardzo dobrze. Bo my, Lewin, nikogo nie mamy, co by nam grypsy przenosił i informacje nadawał. To znaczy nie mieliśmy… do dzisiaj. – Wyciągnął z kieszeni marynarki małą karteczkę. Po chwili dodał: – To są nazwiska. Niech się dowie, czy jeszcze żyją i czy w ogóle tam są. A jeśli są, to kiedy jeżdżą na przesłuchania. Tylko tyle chcemy. Na razie. Pojutrze w tym samym miejscu. Aha… Lewin, nagroda cię nie minie, za to kara na pewno.

Emil zbladł. Nie miał pojęcia, jak przekona Renate, by wyjawiła mu takie informacje albo przenosiła grypsy. A jeśli odejdzie od niego, ci tutaj go załatwią. Jeżeli doniesie Niemcom, nie będzie miał spokoju przez resztę życia.

– Kim jesteście? – zapytał.

– Gwardia Ludowa – mruknął mężczyzna. – A tak w ogóle to Polacy jesteśmy.

– Nie wiem, czy zdołam… – zaczął asekuracyjnie Lewin.

– Lepiej, żebyś zdołał. Jeśli jednak będzie się opierała, przypomnij jej pewną noc, gdy na Pawiak przyjechała sanitarka po jednego z więźniów. Byli tam dwaj sanitariusze, lekarka i pewien oficer SS. Jeden z tych sanitariuszy to nasz człowiek. A teraz idź już, bo muszę znikać. I ani słowa swojemu koleżce – mruknął.

Lewin opuścił budę, chwiejąc się na nogach. Poczuł, jakby nagle szczęście go opuściło. Najpierw dostał w mordę od ruskiego szpiega, a teraz czerwoni zmuszali go do współpracy pod groźbą kary śmierci. Do licha, wierzył im, bo wiedział, do czego są zdolni komuniści.

– I jak? – zagadnął zdenerwowany oczekiwaniem Franek.

– Dogadałem się – bąknął Emil.

– Wyglądasz, stary, jak kot srający na puszczy, więc chyba nie była to bułka z masłem – zagadywał Franek.

– Skądś ty tego gościa wytrzasnął? – warknął rozzłoszczony Lewin.

– Boże, uchroń mnie przed takimi cylindrami. Zaczepił mnie, skurkowaniec, jak z Edkiem „Klawiszem” gadałem, klamkę pod żeberko wcisnął i do tej budy nakazał drałować. Żem ze strachu czkawki, panie, dostał, tak mnie ten absztyfikant wystrachał. I nawija mi, żebym cię sprowadził, bo nam obu drewnianą jesionkę załatwi albo we Wiśle będziemy za wyżerkę dla ryb robić. To co miałem robić? – nieskładnie tłumaczył się Franek. – I co on za jeden, puścił farbę?

– Puścił, ale lepiej dla ciebie, żebyś ty nie wiedział – mruknął Lewin.

– Tylko mi nie mów, że to świagier od wujka Stalina? – Franek zbladł.

– Nic ci gadać nie będę. Muszę sam załatwić tę sprawę – westchnął.

– A żeby cię… Czerwoni – domyślił się „Diamentowa Rączka”. – No to, stary, w gównie stoimy po pachy.

Lewin nic już nie odpowiedział. Pożegnał się z Frankiem i poszedł w stronę domu, cały czas się zastanawiając, jak wybrnąć z sytuacji, w której się znalazł.

27. Kołyma, 1943

Miejsce zwane potocznie umieralnią albo aktirowką było dla Olgi niczym przedsionek piekła. Najgorsze momenty dnia to te, kiedy musiała wejść do baraku, gdzie leżeli ranni nierokujący nadziei na wyzdrowienie. Czekali jedynie na śmierć, niekiedy w stanie agonalnym, trawieni gorączką, bólami i głodem. Ta grupa więźniów dostawała najmniejsze racje jedzenia. Władze uznały bowiem, że nie ma sensu karmić osób, które są kompletnie nieprzydatne i niebawem umrą. Gdy tylko otwierała drzwi sali szpitalnej, witał ją fetor niemytych i gnijących za życia ciał. Wstrzymywała wówczas oddech i snuła się między pryczami, by od czasu do czasu nachylić się nad którymś pacjentem i sprawdzić, czy jeszcze oddycha. Dla tych ludzi nie było też lekarstw, środków uśmierzających ból, a nawet bandaży czy gazy. Nie było niczego. Niekiedy myślała, czy nie bardziej miłosiernym aktem byłoby po prostu rozstrzelanie tych istot.

Podeszła do kolejnego łóżka.

– Siostro… – wycharczał mężczyzna z zapadniętymi policzkami i szklistymi oczami.

Nie potrafiłaby nawet ocenić jego wieku. Równie dobrze mógł mieć lat trzydzieści, jak i sześćdziesiąt.

– Słucham? – zapytała Olga i nachyliła się nad pacjentem. Jednak odór wydobywający się spod zgrzebnego koca sprawił, że momentalnie się wyprostowała, udając, że poprawia chustę na głowie.

– Czy mogłaby siostrzyczka coś dla mnie zrobić? – zapytał słabym głosem.

Wielu ją o to pytało. O lekarstwo na ból, o kawałek chleba. A ona nie mogła zrobić nic. Jedynie wysłuchać prośby.

– Niech mnie siostrzyczka zabije i skróci moje cierpienia – błagał mężczyzna.

Odsunęła się od niego gwałtownie. Rozumiała go, ale była wstrząśnięta jego prośbą.

– Spróbujcie zasnąć. – Poklepała go po chudym, wystającym spod koca ramieniu. – Jutro przejdą wam złe myśli.

– Ja, siostro, mam już tylko jedną myśl… By umrzeć – wycharczał mężczyzna i zamknął powieki.

Po jakiejś godzinie Olga opuściła barak. Tego wieczoru nikt nie pożegnał się z tym światem i chyba pierwszy raz pomyślała, że to wcale nie tak dobrze. Cokolwiek istniało po śmierci, musiało być bardziej godziwe niż ta agonia w kompletnej samotności, jedynie w towarzystwie własnych ponurych myśli. Wiedziała, jak koszmarny jest to świat, który buduje się w umyśle. Miejsce, z którego chciałoby się uciec, ale brakuje odwagi, by zadać sobie śmierć. A gdy dochodzi się do punktu, że jest to jedyne pragnienie, najczęściej nie wystarcza już sił, by targnąć się na własne życie.

Przygnębiona powróciła do baraku i usiadła przy stole. Ernst palił papierosa, co czynił niezwykle rzadko, i wypuszczał kłęby dymu przed siebie.

– Mamy jeszcze tę trutkę na szczury? – zapytała niewinnie.

Ernst popatrzył na nią i przełknął ślinę.

– Szczury się pojawiły? To coś nowego. Wydawało mi się, że tutaj tylko komary i meszki, bo reszta nawet gdyby się pojawiła, to od razu by ją zjedzono – zdziwił się.

– A może tak mi się tylko zdawało… Słyszałam coś wczoraj w swoim pokoju, tak jakby jakieś żyjątko miotało się pod podłogą – powiedziała Olga, nieco się jąkając.

– Czasami to drewno, gdy wysycha, wydaje z siebie takie jęczące odgłosy. Ale w razie czego to trutka jest w tej szafce zamykanej na klucz, w magazynku, w tej za zasłoną – odparł Ernst i powrócił do obserwowania kółek z dymu, które wypuszczał po każdym zaciągnięciu się papierosem.

– Ernst… – zagadnęła niepewnie. – Zabiłeś kiedy człowieka?

– Tak. Zabiłem. Nawet kilku. To byli radzieccy żołnierze. Podeszli za blisko lazaretu, zrobiła się jatka… Cóż było robić? – beznamiętnie stwierdził Ernst.

– Myślisz czasami o nich? – ciągnęła temat Olga.

– Niespecjalnie. Nie widziałem, kogo raniłem. Grzebaniem ich zwłok zajął się ktoś inny. Czy teraz rzucisz się na mnie, jak twoja rodaczka, gdy dowiedziała się, że jestem… Jak wy tutaj mówicie? Frycem? – powiedział z lekką ironią.

– Nie, Ernst. Nie rzucę się na ciebie z pazurami, bo lekarz jest tutaj potrzebny, a ty jesteś jedynym – wycedziła z lekką ironią w głosie.

– Jak dobrze być użytecznym – mruknął pod nosem, ale nie powiedział nic więcej.

Tak, z Ernstem nie można było normalnie porozmawiać. Olga coraz częściej myślała, że po prostu go nie lubi. I wcale nie dlatego, że był Niemcem. Zdawało jej się niekiedy, że ten człowiek zamiast duszy ma kamień. Znała kiedyś jego rodaka, Waltera, ale tamten potrafił rozmawiać, wzruszał się i okazywał jakiekolwiek ludzkie uczucia. Ernst, niestety, nie. I tak jak to miało miejsce już wiele razy i teraz nie zdołała porozmawiać z nim na temat, który tak bardzo ją nurtował.

Chciała popełnić zbrodnię. I nie dlatego, że miała krwiożercze instynkty. Myślała o tym, żeby ulżyć człowiekowi w cierpieniu. Już kiedyś chciała zabić. Z zimną krwią i wcale nie kierowały nią miłosierne odruchy. Pragnęła z całego serca śmierci tych, którzy używali jej ciała, by się zabawić. Nie liczyli się z jej odczuciami, nie interesował ich jej ból. Teraz jednak sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Chciała komuś pomóc. Nie pierwszy raz widziała wycieńczonych ludzi, ten obraz często towarzyszył jej w Leningradzie, ale teraz coś w niej pękło. Może to była bezradność, że nie może od tego uciec i jest zmuszona przyglądać się tym, którzy wciąż żyli, a jednak jakby już umarli. Jeśli zrobi ten krok i pomoże umrzeć jednemu z tych ludzi, to poczuje ulgę, czy jeszcze bardziej będzie przeżywała każde wyjście do *aktirowki*? Zrobi krok i nie będzie odwrotu. A jeśli w istocie istnieje Bóg, czy wybaczy jej ten czyn?

Weszła do magazynku, otworzyła szafkę kluczem wiszącym na gwoździu i sięgnęła po słój z jakże wymownym rysunkiem ukazującym trupią czaszkę. Przez gazę chwyciła odrobinę granulatu i wrzuciła do metalowego kubka. Dodała mięty i zalała wrzątkiem. Pomyślała, że dla tego człowieka będzie to ostatni napój w życiu, i starała się, aby chociaż smakował należycie. Wzięła kubek w dłoń i cicho wyszła z ambulatorium. Powoli stawiała kroki, nie chcąc wylać naparu, a może po prostu instynktownie chciała odwlec moment, gdy stanie się coś nieodwracalnego.

Drzwi „umieralni” zaskrzypiały, a ona poczuła dobrze jej znany odór. Nie zapaliła naftowej lampy, wiszącej tuż przy drzwiach, tylko niemal po ciemku podeszła do pryczy mężczyzny.

– Jak się czujecie? – zapytała kurtuazyjnie.

– Tak samo, jak dwie godziny temu, siostro – wyszeptał.

– Nie zmieniliście zdania? – zapytała równie cicho.

– O nie, siostro. Musiałaby siostra pozbawić mnie mózgu, żebym zmienił zdanie. Bo duszy już nie mam od dawna. „Przez łąki, przez gaje, idę do cie-

bie, moja ukochana” – mężczyzna zanucił jakiś fragment rosyjskiej pieśni, ale chwilę potem zamilkł, nie mając już siły wydobyć z siebie głosu.

– A kimże jest ta ukochana? Może warto dla niej zawalczyć o życie? – zapytała Olga, chociaż wiedziała, że tę walkę mężczyzna już przegrał.

– Moja ukochana? To śmierć… Nie mogę się doczekać, kiedy weźmie mnie w ramiona – wyjęczał.

– Napijcie się mięty. – Olga przytknęła kubek do ust mężczyzny.

Z trudem przełykał, ale jakby przeczuwając, co go czeka, powiedział do Olgi:

– Pamiętaj, siostro, zrobiłaś teraz najlepszą rzecz w swoim życiu.

Po chwili zaczął jęczeć, a jego ciało ostatkiem sił wiło się pod drapiącym kocem. Nikt jednak nie zwrócił uwagi na te odgłosy, słyszano je tutaj nader często.

Po kilkunastu minutach opuściła barak i powróciła do ambulatorium. Wyparzyła kubek, którego przyrzekła sobie nigdy więcej nie dotknąć, i usiadła na swoim zgrzebnym łóżku, podkulając nogi. Nie chciała myśleć o tym, czego się dopuściła, bo wciąż powracały do niej słowa człowieka, któremu odebrała życie. Jednak jakieś dylematy i wyrzuty sumienia pchały się do jej głowy, szydząc z niej i jej łaskawości. Bo nie jej prawem było zabierać życie, nawet jeśli w tym zakątku świata nic nie znaczyło.

Usłyszała pukanie do drzwi i po chwili ujrzała w nich Ernsta.

– Coś się stało? – zapytała zmieszana, jak gdyby swój czyn miała wypisany na twarzy i jedno spojrzenie doktora spowoduje odkrycie jej ponurej tajemnicy.

Wszedł do pokoiku i zamknął za sobą drzwi. Usiadł obok niej na łóżku, które niebezpiecznie zaskrzypiało, i powiedział:

– Czasami, Olgo, nie ma dobrych rozwiązań.

Milczała, bo nie wiedziała, do czego zmierzał. Po chwili dodał:

– Pytałaś mnie dzisiaj wieczorem, czy kogoś zabiłem. Powiedziałem ci o radzieckich żołnierzach i była to prawda. Ale nie cała. Pewnego dnia trafił do lazaretu młody chłopak. Gustuję w kobietach, ale obiektywnie muszę stwierdzić, że był po prostu pięknym młodym mężczyzną. Idealne rysy twarzy i tors, jakiego mogliby mu pozazdrościć greccy herosi. Stracił obie nogi, miał uszkodzone kręgi lędźwiowe. To było dla niego gorsze od śmierci. Kiedyś, gdy go badałem, zaczął płakać jak dziecko. Błagał mnie, żebym pomógł mu odejść z tego świata. Chciał być zapamiętany jako ten najpięk-

niejszy w miasteczku, za którym szaleją dziewczyny, a mężczyźni patrzą na niego z zazdrością. Następnego dnia sytuacja się powtórzyła i wtedy coś we mnie pękło. Zrobiłem mu zastrzyk, po którym już nigdy więcej się nie obudził… Do tej pory nękają mnie wyrzuty sumienia, ale gdzieś tam, w głębi siebie, czuję, że postąpiłem właściwie. Tak, Olgo, czasami nigdy nie dowiemy się, czy wybraliśmy słusznie, ale tak podyktowało nam serce. Więc nie zadręczaj się już. Dostaliśmy do pomocy młodą dziewczynę spod Moskwy. Będzie przychodziła nam pomagać na kilka godzin dziennie, bo gdy nadejdą pierwsze mrozy, będziemy mieli pracy pod dostatkiem. Jej niemiecki jest opłakany, ale była niegdyś pielęgniarką w szpitalu dla gruźlików, niejedno w życiu widziała. Teraz ona będzie chodziła do umieralni…

Olga popatrzyła na Ernsta i chyba po raz pierwszy ujrzała w nim przyjaciela. Tak bardzo chciał odizolować się od ludzi, emocji i uczuć… Jednak był człowiekiem, a to zawsze zwyciężało. Przynajmniej tak wydawało się Oldze, która w swoim życiu zdążyła już się napatrzyć na ogrom ludzkiego cierpienia. I nie zastanawiała się nad tym, że są takie miejsca na ziemi, w których pewnego dnia człowieczeństwo usypia, by z czasem całkiem zaniknąć. A ona będzie miała okazję się przekonać, że właśnie do takiego miejsca trafiła.

28. Okolice Granady, 1943

– I co, „Boląca Głowo”? Coś ci się rozjaśniło w umyśle? – zapytał Salazar, gdy Julian Chełmicki kręcił się niespokojnie po podwórku Luisa Carlo, nazywanego przez doktora „Smutasem”.

– Tak… Wydaje mi się, że byłem tutaj. Tam. – Wskazał dłonią drzewo oliwne i stojącą obok drewnianą ławę. – Jadłem zupę. Bardzo ostrą. A potem leżałem na kocu z Esperanzą i patrzyłem na jej płaski brzuch.

– Co do zupy jestem gotów ci uwierzyć, ale jesteś pewien, że ten brzuch nie jest wytworem twojej wyobraźni? Mówisz chyba o ciele „Migdałowych Oczu”, a uwierz, każdy mężczyzna, który ją ujrzy, ma potem wizje jej nagiego ciała – naigrawał się doktor Salazar.

– Doktorze… – Julian mimowolnie uśmiechnął się. – Gdyby to była mrzonka, zapewniam, że raczej wyobrażałbym sobie inne części jej ciała.

– To znaczy, że jesteś zwykłym świntuchem, „Boląca Głowo”, a nie romantycznym kochankiem – wytknął mu lekarz.

– Jestem po prostu mężczyzną, doktorze – mruknął Chełmicki, udając nieco urażonego podobnym stwierdzeniem Salazara.

– A czyż ja twierdzę, że nie jesteś? – odpowiedział doktor i dodał: – Może chcesz zajrzeć do środka? Drzwi od patio są otwarte.

Chełmicki zgodził się, chociaż był niemal pewien, że gdy gościł w *fince* Luisa Carlo, ten nie zaprosił go do domu. Chodził powoli po niewielkim saloniku, przeszedł do obszernej kuchni, zajrzał nawet do spiżarki, ale nie rozpoznał nic, co mogło świadczyć, że kiedykolwiek tu był. Już miał wychodzić z powrotem na patio, gdy ujrzał na drewnianej komodzie opartą o świecznik kartę pocztową przedstawiającą Big Bena i fragment londyńskiej ulicy. Odwrócił ją i zobaczył znaczek z wizerunkiem królowej brytyjskiej i stemplem londyńskiej poczty. Podszedł do Salazara i poprosił, aby ten przetłumaczył mu krótki tekst napisany po hiszpańsku.

– Młody człowieku, masz życzenie, żebym łamał tajemnicę korespondencji? – zapytał, a potem dodał: – No dajże szybciej tę kartkę. Międlisz ją w rękach, jakbyś miał ją zamiar zaraz zjeść.

Chełmicki ocknął się z chwilowego zamyślenia i podał pocztówkę doktorowi.

– No wiesz? Dwa zdania, a ja tu miałem nadzieję odkryć nie lada spisek i listę ludzi czyhających na twoje życie. – Salazar skrzywił się i zaczął gło-

śno tłumaczyć krótki tekst: – „Bliźniak” jest w drodze. Wszystko przygotowane. Szykujcie niespodziankę.

– I co z tego wynika? – westchnął Julian.

– Albo Luis podejmował tutaj kogoś ważnego, albo ktoś miał cię zamienić. Bo nie sądzę, aby ów człowiek miał podobny problem do mojego i nie był w stanie zapamiętywać imion – bystrze zauważył Salazar.

– Chryste Panie… – jęknął Chełmicki i aż przysiadł na ławeczce znajdującej się na patio.

– „Boląca Głowo”, ty mi się tutaj nie rozsiadaj, czas nam się skończył. Wracamy. – Lekarz zerknął na wiekowy zegarek z dewizką, po czym poklepał Chełmickiego po ramieniu.

– Ja jeszcze tu wrócę. Muszę porozmawiać ze „Smutasem” – bąknął Julian, ale podniósł się z ławki i niczym skazaniec ruszył za doktorem w stronę samochodu.

– Ciekawe w jakim języku? – zarechotał Salazar. – Ja się na twojego tłumacza nie piszę. „Smutas” nie tylko jest smutasem, ale bywa niekiedy bardzo opryskliwy i nieprzyjemny, a ja nie lubię się zanadto irytować. Ciśnienie mi wówczas rośnie, puls przyspiesza, same przykrości.

– A zna pan kogoś, doktorze, kto by się dogadał z Luisem Carlo i jeszcze znał angielski albo francuski? – zapytał bez większej nadziei Julian.

– On tylko lubił „Migdałowe Oczy”, ale ona będzie starała się unikać spotkania z tobą, tak jak to robiła do tej pory. Myślę, że tracisz czas, chłopcze. Lepiej zbieraj pieniądze na powrót do kraju… – Doktor machnął ręką.

Juliana jednak dręczyła notka wypisana kanciastym pismem na karcie pocztowej. Jeśli w istocie ktoś go zamienił, to dlaczego i po co to zrobił?

Dotarł nad strumień, żegnając się niezbyt wylewnie z doktorem, pogrążony w myślach i wspomnieniach, których było coraz więcej, jednak nie układały mu się w żadną logiczną całość.

***

Był już późny wieczór, gdy Sergiusz Dargiewicz zbliżał się do zagrody Luisa Carlo. Drogę przebył, jadąc zdezelowanymi autobusami, ciężarówkami wiozącymi owoce na targ i furmankami, które chwiały się na kamienistych dróżkach. Po tych spartańskich warunkach podróżowania czuł niemal każdy centymetr swojego ciała, a w dodatku nie był pewien, czy znajdzie

nocleg w domostwie, do którego właśnie przybył. Na dodatek nie znał zbyt dobrze hiszpańskiego i nie był pewien, czy gospodarz zrozumie, w jakim celu do niego przyjechał.

Gdy idąc marszowym krokiem, wpatrywał się w mdłe światło w oknach gospodarstwa, usłyszał dźwięk nadjeżdżającej ciężarówki. Minęła go z jakąś ogromną prędkością jak na warunki drogowe panujące w okolicy i wznieciła przy tym chmurę kurzu, który „Kary” poczuł głównie pod powiekami. Przeklął w duchu piekielnego kierowcę, ale spostrzegł, że pojazd zatrzymał się w pobliżu domu, do którego właśnie zmierzał, i wysiadła z niego młoda kobieta.

– *Buenas tardes!* – krzyknął. – Mówi pani trochę po angielsku?

– Niewiele – burknęła dziewczyna, która z bliska prezentowała się niezwykle urodziwie.

– Dostanę nocleg w tym domu? – Wskazał ręką zagrodę Luisa Carlo.

– To nie hotel – warknęła.

– Wiem, ale zmierzam do Granady, a to jeszcze kawał drogi. Dobrze zapłacę – powiedział „Kary”.

Dziewczyna zawahała się, ale nie odmówiła. Weszli na posesję. Na patio, przy niewielkim płomieniu naftowej lampy, siedział osowiały mężczyzna o nieco zwalistej sylwetce. Młoda kobieta przywitała się z nim i zaczęła mówić po hiszpańsku, żywo przy tym gestykulując. Sergiusz miał nadzieję, że mężczyzna nie wyciągnie nagle flinty i nie wyceluje w niego, a żywa i głośna rozmowa nie oznacza wcale wrogich zamiarów. W istocie, dziewczyna odwróciła się i powiedziała:

– Mój wuj da panu nocleg. Ale tylko dzisiaj. Mam na imię Esperanza i pokażę panu pokój, w którym będzie pan dzisiaj spał.

– Pani tutaj mieszka? – zapytał z nadzieją „Kary”, bowiem z tą dziewczyną byłby w stanie porozmawiać i być może miała świadomość, że hacjenda jej wuja służy francuskim partyzantom jako punkt przerzutowy, przeważnie do krajów Afryki Północnej.

– Nie… – odpowiedziała Esperanza, ale jakby niepewnie.

Sergiusz uznał, że jeśli nawet nie skłamała i w istocie nie mieszkała u wuja, zapewne była tutaj częstym gościem. Postanowił jednak zapytać ją o pewne sprawy, jak już nieco odpocznie.

– A do jutra pani zostanie? – zagadnął niepewnie.

– A czyżby pan pielgrzym szukał rozrywki na noc? – odpowiedziała pytaniem, w którym pobrzmiewał nieskrywany sarkazm.

– Gdybym nie był tak zmęczony, z pewnością spróbowałbym panią uwieść, bo jest pani niezwykle piękna, jednak wybaczy pani, że dzisiaj sobie odpuszczę. Mam nadzieję, iż nie poczuje się pani urażona z tego powodu. – Uśmiechnął się szelmowsko.

– Dobrze pan mówi po angielsku, czyżby pochodził pan z tego kraju? – zapytała niewinnie.

– Pani również, a nie wygląda mi pani na Angielkę. One z reguły są blade i nieco mdłe, a mnie pociągają kobiety z ognistym temperamentem – powiedział spokojnie „Kary”.

– Nie odpowiedział pan na moje pytanie – burknęła Esperanza.

– Widocznie nie chciałem – stwierdził niezbyt przyjemnym tonem, po czym pożegnał się chłodno i udał się do pokoju wskazanego przez dziewczynę.

Ta była tak oszołomiona nieco obcesowym zachowaniem przybysza, że jeszcze przez kilka chwil stała z szeroko otwartymi ustami, jakby nie dowierzała, iż ktoś tak po prostu jest w stanie zrezygnować z jej towarzystwa.

Mimo zmęczenia Sergiusz nie mógł zasnąć i wiercił się niespokojnie na łóżku. Być może sprawiła to upalna noc, a może dziwny niepokój, jaki odczuwał, będąc w tym domu. Esperanza nie podobała mu się. Oczywiście nie z wyglądu, pod tym względem nie miał do niej najmniejszych zastrzeżeń, ale zachowywała się nieco sztucznie. Jakby chciała dowiedzieć się o nim więcej, niż sam zechce jej zdradzić.

W końcu, po jakiejś godzinie, zasnął, bo jednak długa wędrówka w trzydziestostopniowym upale dała mu się we znaki.

***

Następnego ranka czekała na niego mocna kawa i kruche rogaliki, przypominające te, które jadł we Francji. A oprócz śniadania towarzystwo naburmuszonego mężczyzny i smakowicie pięknej Esperanzy.

– Jak się panu spało? – zapytała słodko.

– Dobrze – odpowiedział, uśmiechając się. – Bardzo dziękuję za śniadanie, to było doprawdy zbyteczne, zjadłbym coś w Granadzie. A czuję się, jakbym nadużywał państwa uprzejmości.

– To w zamian proszę powiedzieć, co pana sprowadza w te strony – zagadnęła, niby niewinnie i beztrosko, ale głos miała drżący, a oczy uciekały gdzieś w przestrzeń.

– Szukam Luisa Carlo – powiedział stanowczo Sergiusz, nie chcąc przedłużać niepewności swojej i obecnych przy stole osób.

Mężczyzna i Esperanza wymienili krótkie spojrzenie.

– To ja nazywam się Luis Carlo – odpowiedział mężczyzna niskim, nieco chrapliwym głosem. – A po co mnie pan szuka?

– Pana adres podali mi koledzy w Paryżu. Zapewne pan ich zna… Jeden z nich prowadzi niewielką kafejkę przy Rue du Bac – odpowiedział „Kary”.

– A… Marcel Pascal. O, przepraszam, chyba nie powinienem wymieniać jego prawdziwego nazwiska, ale skoro pana do mnie przysłał, to znaczy, że musi panu ufać – odpowiedział Luis, ale dodał coś jeszcze: – No dobrze, przybył pan od Marcela, a teraz proszę powiedzieć dlaczego.

Sergiusz wyjął zdjęcie Juliana Chełmickiego, położył na stole i bacznie obserwował reakcję Luisa i Esperanzy. Mimo ciemnej karnacji dziewczyna zrobiła się prawie blada, ale Carlo nie stracił zimnej krwi.

– Tak, widziałem go. Jan? Janek? Jakoś tak. Polak. Zatrzymał się u mnie na zupę, a potem wyruszył w góry. – Mężczyzna machnął ręką w kierunku Sierra Nevada. – Zdaje się, że chciał dostać się na Gibraltar. Potem miał się pokazać, gdy już będzie wracał, ale nigdy już się nie pojawił. Najpewniej odleciał samolotem do Perpignan…

– Jest pan pewien, że dotarł do Gibraltaru? – zapytał Sergiusz.

– No oczywiście, że tego nie wiem. Po prostu zakładam, że jeśli nie skorzystał z mojej gościny w drodze powrotnej do Polski, to znaczy, iż udał się tam zgodnie z pierwotnym planem. Samolotem – mruknął Luis.

Esperanza przez cały czas milczała, ale wpatrywała się w wuja, jakby sprawdzała, czy każde wypowiadane przez niego słowo jest zgodne z jej oczekiwaniami. Gdy zakończył swój wywód, jakby odetchnęła i chcąc jak najszybciej pozbyć się intruza z *finki* Luisa Carlo, zaproponowała:

– Jadę do Granady, mogę pana zabrać. Ale muszę wyjechać za dziesięć minut, więc… – Rozłożyła ręce, dając tym samym do zrozumienia „Karemu”, że ma szybko spakować swoje rzeczy i nie będzie miał czasu na dalsze dociekania.

Sergiusz pokiwał głową, chwycił za plecak i kilka minut później oboje siedzieli w zdezelowanej ciężarówce. Chwilę potem Esperanza ruszyła

z impetem spod domu Luisa Carlo. Po kilku kilometrach szalonej jazdy w wykonaniu ślicznej Hiszpanki Sergiusz jęknął:

– Przepraszam panią najmocniej, ale muszę udać się za potrzebą. Wypiłem za dużo kawy, ale była tak pyszna, że nie mogłem się oprzeć.

Esperanza odwróciła się w jego stronę, uśmiechnęła się i zatrzymała samochód w cieniu rozłożystych krzewów oliwnych.

– Tutaj będzie w sam raz – powiedziała ze śmiechem.

Sergiusz wysiadł z samochodu, udał się w zarośla i poczekał dwie minuty. Wracając do ciężarówki, zobaczył, że dziewczyna korzysta z chwili postoju i beztrosko zaplata warkocz, siedząc na sporym kamieniu stojącym przy drodze. „Kary” chwycił ją za rękę, podniósł z kamienia, a potem siłą zawlókł w miejsce, z którego przed chwilą wrócił. Przycisnął ją do siebie i wyszeptał:

– A teraz powiesz mi grzecznie, co się stało z Jankiem Gralewskim albo skręcę ci ten twój piękny smagły kark.

Popatrzyła na niego przerażonymi oczami. Chwilę potem przymknęła powieki i zbliżyła twarz do ucha Sergiusza. Nie powiedziała jednak nic, tylko wysunęła język i zaczęła nim muskać jego szyję. Wiła się przy tym zachęcająco. W innych okolicznościach zapewne „Karemu” schlebiałoby, że tak atrakcyjna kobieta go pożąda, ale miał świadomość, iż chce po prostu uśpić jego czujność. Przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej, aż jęknęła, a potem odsunął od siebie na długość rąk.

– Masz mnie za idiotę, Esperanzo? – wysyczał.

Milczała.

– Posłuchaj, zazwyczaj nie używam przemocy wobec kobiet, ale dla ciebie zrobię wyjątek. Wiesz dlaczego? Bo cholernie mi zależy na tym, żeby odnaleźć kuriera z Polski. A ty mi powiesz, gdzie on teraz jest albo co się z nim stało. – Jego głos robił się coraz bardziej stanowczy.

Dziewczyna zaczęła w panice rozglądać się dookoła, jakby szukając ratunku, po czym wyrwała się Sergiuszowi i próbowała przedrzeć się przez zarośla, by dotrzeć do samochodu i uciec. Starał się ją złapać, ale zdołał jedynie chwycić jej bluzkę, która pod wpływem gwałtownego szarpnięcia rozerwała się, ukazując drobne, szpiczaste piersi Esperanzy, zakończone ciemnymi sutkami. Odruchowo zasłoniła je rękami i tę chwilę wykorzystał Sergiusz. Złapał ją wpół i wrzucił jak szmacianą lalkę w gęste krzaki. Krzyknęła przerażona i leżąc między drapiącymi gałęziami, syknęła:

– Oszalał pan?

– Mówże, do cholery, bo naprawdę zrobię ci krzywdę. I będzie bolało bardziej niż ten upadek – ostrzegł.

– I co mi zrobisz? – zapytała, wydymając wargi.

– Dostaniesz tak w skórę, że przez kolejne dwa tygodnie będziesz musiała podkładać poduszkę pod dupsko, żeby nie wyć z bólu – powiedział, uśmiechając się.

Esperanza powoli podniosła się, wyciągając z włosów liście i kawałki trawy. Stanęła wyprostowana przed Sergiuszem, podparła ręce na biodrach i powiedziała, mrużąc swoje migdałowe oczy:

– Dobrze. Zbij mnie.

– Esperanzo. – Pokręcił głową i jakby się zreflektował: – Boisz się kogoś?

– Posłuchaj, dżentelmenie z bożej łaski, ty mnie tylko spierzesz, a oni zabiją – warknęła.

– A kim są ci oni? – zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– A cholera ich wie… W każdym razie ten Polak żyje i nic mu nie jest, oprócz tego, że dostał w głowę i nieco szwankuje mu pamięć – mruknęła.

– Gdzie teraz przebywa?

– W bezpiecznym miejscu – burknęła. Po chwili jednak machnęła ręką i dodała: – No mogę ci powiedzieć. Oni chyba odpuścili, bo kręci się po Granadzie jak po własnym podwórku, więc gdyby mieli mu coś zrobić, to już dawno by to zrobili. Chyba uwierzyli, że nie żyje…

– A dlaczego chcieli go zabić? – zapytał Sergiusz z zaciśniętymi ustami, bo sytuacja robiła się jeszcze bardziej tajemnicza.

– To proste: nie chcieli, żeby dotarł na Gibraltar. Dlaczego? Nie wiem, ale zagrozili, że mi wuja zamordują, jeśli nie wystawię tego Polaka. W górach trzasnęli go w głowę i po krzyku. Powiedziałam, że nie żyje, więc zostawili go w rozpadlinie. Oni poszli dalej, a ja… pobiegłam do swojego ojca i poprosiłam, żeby go zabrał do siebie i ukrył. Nie chciałam, żeby zginął. Nie był szwabem ani komunistą, tylko miłym, pięknym mężczyzną, który nienawidził Niemców i kochał swój kraj. Miałam nadzieję, że wydobrzeje w *fince* ojca i wyjedzie, ale on musiał rozum stracić… Jakbym mało miała problemów przez niego… Wskażę ci drogę i idź do samego diabła.

Esperanza zaczęła płakać. Sergiuszowi z jednej strony żal było tej dziewczyny, która pewnie żyła podszyta strachem, z drugiej – nie ufał jej na tyle,

by wysłuchać jakiejś bajeczki i puścić ją wolno.

– Wybacz, łzy kobiece bardzo mnie rozklejają, ale jeszcze przez jakiś czas będziesz zmuszona przebywać w moim towarzystwie. Odnajdę tego człowieka i wówczas puszczę cię wolno – obiecał łagodnie.

– Teraz to i tak mi jest wszystko jedno – załkała.

– Posłuchaj, wiem, że się boisz, ale sama chciałaś, żeby ten Polak stąd zniknął. Więc go zabiorę, a ty nie będziesz musiała się już bać – pocieszająco powiedział Sergiusz.

– A bo ja wiem, coś ty za jeden? Jeszcze go zabijesz i tyle będzie z mojego poświęcenia. Ale trudno, mam dosyć. – Esperanza otarła dłonią łzy i ruszyła w stronę furgonetki.

Sergiusz szedł tuż za nią i mimowolnie spoglądał na jej krągłe pośladki. Odetchnął z ulgą, że nie musiał używać drastyczniejszych metod, by wymusić na niej powiedzenie prawdy, ponieważ świat nie wybaczyłby mu, gdyby na tych pięknych kształtach pojawiły się ślady jego agresji.

29. Zamość, 1943

Tym razem Igor Łyszkin swoją przygodę z pijaństwem zakończył zdecydowanie szybciej niż wtedy, gdy zginęła Marina. Przede wszystkim czekało go zadanie do wykonania, mieszkał i funkcjonował wśród wrogów, a poza tym Hanka żyła i z tego, co usłyszał, miała się całkiem dobrze i była otoczona opiekuńczymi skrzydłami oficera niemieckiej administracji. Jakaż to była ironia losu, że on i kochanek Hanki żyli tak blisko siebie, nic o sobie nie wiedząc. Jednak po sprawie Waltera von Lossowa gotów był już uwierzyć w każdy zbieg okoliczności.

Postanowił, że wytrzeźwieje, butelkę odstawi na bok i zanim załatwi tę fiszę z kontrwywiadu, po prostu rozmówi się z Hermannem Ritzem, a potem oczyści świat z jeszcze jednego nazisty.

Następnego dnia usadowił się na ławeczce dokładnie naprzeciwko wejścia do Kreishauptmannschaftu i pilnie obserwował wychodzących z budynku pracowników. Zarówno mundurowych, jak i cywilnych. Sprawdzenie, jak wygląda mężczyzna, który zajął jego miejsce, było banalnie proste. W holu tego nobliwego urzędu widniały bowiem fotografie wszystkich szefów referatów, jak również tego najważniejszego, Hermanna Ritza. Igor z przykrością musiał stwierdzić, że Ritz miał niezwykle interesującą twarz, która zapewne musiała robić wrażenie na kobietach. Niestety, ten fakt spowodował, że coraz mniej wierzył w wersję, którą z niemałą nadzieją przyjął na samym początku. Że Ritz zmusił Hankę do tego, by została jego kochanką. Po co miałby to czynić, jeśli mógł mieć prawie każdą kobietę?

Minęła siedemnasta, gdy Hermann Ritz opuścił gmach Kreishauptmannschaftu i wsiadł do czekającego przed wejściem opla. „Miałem nadzieję, że chociaż jest niski i gruby” – pomyślał z przekąsem Łyszkin, po czym wsiadł na rower i pojechał za samochodem Ritza, licząc, że po wąskich, brukowanych uliczkach opel będzie jechał wystarczająco wolno, aby nie stracił go z oczu. Tak też się stało i wkrótce Igor poznał miejsce zamieszkania Hermanna Ritza. Była to obszerna willa z białą elewacją i wysokimi oknami przyozdobionymi niewielkimi markizami. Budynek zaś okalał wysoki płot wykonany z fikuśnie powyginanych prętów.

Łyszkin najpierw pomyślał o tym, komu te przeklęte „fryce” zniszczyły życie, by Ritz mógł zamieszkać w ich domu, a potem przyszła mu do głowy inna myśl. Co zrobi, jeśli okaże się, że w tej eleganckiej willi bywa także

jego ukochana Hania? Może miała dość tułania się po wiejskich chałupach i zamieniła ich romantyczną miłość na praktyczne pieprzenie się z niemieckim oficerem? Nie pierwszy i nie ostatni byłby to przypadek, ale Igor nie chciał w to wierzyć. Mimo że przed wojną Hanka również wybrała blichtr i bogactwo, zamiast jego gorącej miłości, żywił nadzieję, że to, co ich połączyło, było prawdziwe, szczere i piękne.

Odczekał do wieczora, po czym otworzył furtkę posesji, stanął przed rzeźbionymi dębowymi drzwiami i po prostu nacisnął dzwonek. Po jakiejś minucie w progu stanął Hermann Ritz, ubrany w lekkie płócienne spodnie i jasną koszulę. Popatrzył bez specjalnego zdziwienia na przybysza. Niejednokrotnie przyjeżdżano po niego, by wydał polecenia przeszukania list meldunkowych czy innych akt personalnych poza godzinami urzędowania.

– Czym mogę służyć, *Obersturmführer*? – zapytał nieco znudzonym głosem.

– Mogę wejść? Mam pilną sprawę – powiedział stanowczo Igor i chwilę potem znalazł się w obszernym holu wyłożonym połyskującym parkietem.

– Proszę mówić – mruknął Ritz, nie zamierzając zapraszać obcego oficera do salonu czy biblioteki.

– Bardzo przepraszam, jeśli ma pan gości… To nie potrwa długo – zablefował Igor.

– Nie, *Obersturmführer*… – Ritz ziewnął. – Jestem sam. Przepraszam, ta dzisiejsza pogoda…

– No to już pan ma gościa, *Obersturmführer* Ritz. Musimy porozmawiać – z westchnieniem odparł Łyszkin.

– Moi goście mają w zwyczaju przedstawiać się – warknął Hermann.

– Kriege. *Obersturmführer* Otton Kriege – powoli powiedział Igor.

Pobladła nagle twarz Hermanna Ritza pozwoliła mu domyślić się, że to nazwisko nie jest obce gospodarzowi domu i wiedział już, dlaczego ustalenie adresu Hanki Lewin nastręczyło młodemu, rzutkiemu oficerowi tyle trudności.

– A my się znamy? – zapytał Hermann niewinnie.

Łyszkin nie wytrzymał i kolejny raz w ciągu ostatniego tygodnia jego pięść wylądowała na twarzy innego mężczyzny. Tym razem był to Ritz. Hermann zachwiał się i oparł o ścianę, po czym chwycił się za twarz i zapytał:

– Co jest grane? Kurwa, uderzyłeś mnie, człowieku.

Igor chwycił go za poły koszuli.

– Oberwałeś, bo pieprzyłeś moją kobietę. A teraz mi powiesz, gdzie ona jest – wycedził.

– Doprawdy… To jakaś pomyłka… – wyjęczał Hermann.

Kolejny cios rozbił Ritzowi łuk brwiowy. Łyszkin wiedział, że postępuje niefrasobliwie. Atak na oficera mógł spowodować, że wydział wewnętrzny zacznie się nim interesować, a wówczas zamach na *SS-Oberführera* Waltera Huppenkothena może stanąć pod znakiem zapytania. Jednak emocje, jakie nim w tym momencie targały, były silniejsze niż jakiekolwiek ryzyko. Postanowił, że jeśli będzie musiał, po prostu zabije od razu tego drania. Zanim jednak to uczyni, ten musi mu wyjawić miejsce pobytu Hanki.

– Już teraz sobie przypomniałeś? – wysyczał Łyszkin.

– Będziesz miał kłopoty, duże kłopoty – powiedział Ritz, wycierając krew z czoła.

– Może… Ale zaufaj mi, najpierw ty je będziesz mieć – ze spokojem powiedział Igor i ponowił pytanie: – To gdzie jest teraz Hanna Lewin-Niechowska?

Hermann Ritz popatrzył na Łyszkina zimnym wzrokiem.

– Możesz mnie zabić, a i tak ci nie powiem. Będę ją chronił za wszelką cenę. Rozumiesz? Rozumiesz, gnoju?! – powiedział ostro Ritz.

– Nie chcę jej zrobić krzywdy – żachnął się Igor.

– Tak jak nie chciałeś zrobić jej mnie? Nie wierzę ci… Ona cię nie zna. A może nie chce znać, więc zostaw ją w spokoju. Zresztą… nigdy jej nie odnajdziesz. Rozumiesz? – Hermann był coraz bardziej wściekły. Zarówno atakiem tego niezrównoważonego oficera, jak i myślą, że ten bydlak może zrobić krzywdę Hance.

I nagle do Łyszkina dotarła prosta prawda. Hermann Ritz także kochał Hankę Lewin. Tak bardzo, że był gotów umrzeć, by była bezpieczna. Nie wiedział bowiem, kim jest Kriege, podobnie zresztą jak nieświadoma jego przybranej tożsamości Hanka, a on nie mógł mu tego powiedzieć. Puścił Hermanna, wygładził mu nawet koszulę, po czym spuścił wzrok i zapytał cicho:

– Nie obchodzi mnie, czy ją kochasz. Interesuje mnie jedynie, czy ona kocha ciebie.

Ritz pokręcił przecząco głową.

– Wiesz co, miałbym wielką ochotę powiedzieć ci teraz, że tak, że kocha i jest nam razem cudownie. Ale to nie byłaby prawda. Hania nigdy nie była we mnie zakochana, nadal nie jest. Traktuje mnie jak… przyjaciela. To wszystko.

– Ale pieprzyłeś ją? – padło kolejne pytanie z ust Igora.

Hermann popatrzył na Łyszkina i ponownie pokręcił przecząco głową. Doszedł do wniosku, że powiedzenie prawdy o pewnej namiętnej letniej nocy nikomu nie przyniesie pożytku. Skłamał, ale uznał, iż tak będzie lepiej dla wszystkich, a zwłaszcza dla Hanki, jeśli kiedyś ten szaleniec ją odnajdzie.

– Możesz to zgłosić do wewnętrznego – bąknął Łyszkin i ruszył w stronę drzwi wyjściowych.

– Kriege… – odezwał się Hermann.

Igor odwrócił głowę i w tym momencie poczuł na twarzy cios Hermanna Ritza.

– A to za słowo „pieprzyłeś” – powiedział.

Łyszkin pomyślał, że zasłużył na to. Nieważne było, że oberwał od „fryca”. Po prostu dostał w mordę od zakochanego mężczyzny, który stanął w obronie honoru kobiety. Paradoksalnie była to kobieta będąca miłością jego życia.

30. Okolice Studzianek, 1943

– Żeby tak wnyki gdzie dorwać – mruknęła Irena, przedzierając się przez gęste zarośla i ciągnąc za sobą zdezelowany wózeczek, w którym siedziała mała Nadia i jej brat.

– A skąd ja ci wnyki wezmę, Irena? Trzeba się cieszyć, że ci ten Sitek robotę dał w gospodarstwie, to choć na mąkę i kaszę mamy. A i ziemniaków zawsze trochę przyniesiesz – powiedziała Hanka.

– Gnój całymi dniami przerzucam za garstkę nadgniłych kartofli i parę groszy. – Irena machnęła ręką i zabiła kolejnego komara.

– Nie ma wyjścia, Irenka, bo całkiem jeść nie będzie co – mruknęła Hanka i schyliła się, by oberwać jagody z kolejnego krzaczka.

Szły niespiesznie, zbierając dary, jakie mógł im ofiarować las, gdy usłyszały głos:

– Ręce do góry!

Zatrzymały się i uniosły ramiona. Chwilę potem stanął przed nimi młody chłopak o gęstym zaroście, wychudzonej sylwetce i w brudnym polowym mundurze.

– Macie jakieś jedzenie? – zapytał.

– Tylko tyle jagód, cośmy zdążyły nazbierać. – Hanka pokazała garnuszek z owocami.

– Gdzie mieszkacie? – zapytał ostrym głosem chłopak.

Kobiety popatrzyły na niego i zastanawiały się, co zrobić. Wyjawienie prawdy mogło oznaczać, że zostaną ograbione ze swoich lichych zapasów pożywienia, milczenie zaś niechybną śmierć.

– A tyś Polak? – zapytała hardo „Wariatka”.

– Polak, a bo co? – burknął.

– I do Polaków celujesz? – zapytała z nutką pogardy w głosie Hanka.

– No przecie bym nie zabił, ino głodny jestem. I pomocy szukam. – Wzruszył ramionami.

– Ty, gnojku, jak cię zara za łeb capnę, to ci się odechce z dubeltówką na porządnych ludzi się zasadzać! – ryknęła Irena.

Chłopak zmieszał się i opuścił broń.

– A bo ja wiedziałem, że wy Polki? – prychnął.

– A kto, bawarskie księżniczki? – mruknęła Hanka. – Chcesz, to weź te jagody. Nie mamy nic więcej, same mało z głodu nie pozdychałyśmy.

– Paniusia to chyba nie wie, co to głód. A blisko mieszkacie? – zagadnął.

– Niedaleko – westchnęła Hanka. – Zaraz za zagajnikiem, jak droga gościńcem do Studzianek leci.

– No po co gadasz? – zrugała ją Irena.

– Głodnego należy nakarmić, a spragnionego napoić – filozoficznie odpowiedziała Hanka.

– Mamy inszy problem, pani ładna – powiedział chłopak. – Kolega mój na zwiady do wsi poszedł i go szwaby dziabnęły, jak uciekał. Gorączkę ma i ledwo dycha. Jakie posłanie by się przydało i trzeba by doktora do niego sprowadzić. A do lasu to żaden nie przyjdzie.

– Jeszcze nam tylko tego brakowało. Won mi stąd, ani się waż do naszej chałupy zbliżać, bo psa spuścimy i temu twojemu koleżce już wtedy ksiądz będzie potrzebny, a nie dochtor – warknęła ze złością Irena.

– Spokojnie, Irenka. – Lewinówna dotknęła ramienia „Wariatki”. Poczuła się w obowiązku pomóc rannym partyzantom, którzy walczyli, aby ona kiedyś mogła być szczęśliwa.

„Wariatka” milczała, ale widać było, że nie jest zadowolona z uprzejmości, jaką okazała Hanka.

Kiedy powróciły do chałupy, Hanka zaczęła przygotowywać posłanie w pokoju Ireny, a ta tymczasowo miała przenieść się do kuchni. Tymczasem „Wariatka” wyniosła zapasy jedzenia do małej komórki, gdzie trzymały Maryśkę, i zakamuflowała pod pryzmami siana.

– Przestań, Irka, to nasi. Nie przyjdą, żeby nas okraść – jęknęła Hanka, widząc zabiegi „Wariatki”.

– Ale głodni. Widziałaś tego w lesie. Wyglądał jak trzy dni przed śmiercią… No, jeszcze tylko słoiki z ogórkami i wszystko pochowane. – Otrzepała dłonie.

Pod wieczór zjawił się chłopak z lasu wraz ze swoim kompanem, który wyglądał równie marnie, co jego kolega. Trzymali w dłoniach nosze zrobione z grubych gałęzi i starego koca, na których leżał ich ranny kompan.

– Połóżcie go tutaj. – Hanka wskazała pokój, po czym zwróciła się do Ireny: – Zrobię coś do jedzenia, dzieci spać położę, a ty idź do Studzianek po felczera. Tylko, broń Boże, nie mów, po co ma tu przybyć, bo wystraszy się i nie przyjedzie.

Irena pokiwała głową, posłała ostre spojrzenie w kierunku partyzantów i opuściła domostwo.

Obecnym w domu osobom wydawało się, że nie ma jej całe wieki. Zdążyli posilić się cienką zupą i kaszą, nawet próbowali nakarmić rannego kolegę, a Irena wciąż nie wracała. Ani z lekarzem, ani sama. Lewinówna zaczęła się już mocno niepokoić, gdy przed dom podjechała furmanka. Ogromna postać „Wariatki" przysłoniła wejście do chałupy, a za nią pojawił się siwy, niewysoki mężczyzna z sakwojażem w dłoni.

– Gdzie ten knur? – zapytał doktor.

Partyzant, którego kobiety spotkały w lesie, zerwał się od stołu i wygrażając pięścią, powiedział ostro:

– Panie… Panie… Licz się pan ze słowami.

Siwy mężczyzna poprawił na nosie okulary i nieco zmieszany popatrzył na chłopaka.

– W takim razie… gdzie jest ten… – Szukał właściwego słowa, ale nic nie przychodziło mu do głowy, więc powiedział: – Ten… wieprz.

– No nie, no ja mu dam zaraz po mordzie – żachnął się chłopak, ale Hanka postanowiła przejść do rzeczy, by nie płoszyć nobliwego doktora, który mógł kiedyś przydać się jeszcze jej i dzieciom.

– W pokoju, doktorze – powiedziała uprzejmie.

– W pokoju? – zdziwił się felczer i ponownie poprawił okulary.

– No, a gdzie? – Hanka także straciła cierpliwość. – W chlewie?

– Zazwyczaj świnie chowa się w chlewie, łaskawa pani – odpowiedział doktor i dopiero w tym momencie dotarło do Hanki, że siwy felczer nie miał zamiaru nikogo obrażać.

– A pan przyjechał do… zwierzęcia? – zapytała.

– Jestem weterynarzem, łaskawa pani, zatem pani spostrzeżenie jest słuszne. Ta pani… – Wskazał na Irenę. – …powiedziała, że do chorego wieprzka mam przyjechać.

Partyzanci i Hanka skierowali spojrzenia w stronę Ireny. Ta jedynie wzruszyła ramionami.

– Innego dochtora nie ma, to wzięłam jaki był. A co miałam powiedzieć? – burknęła i szepnęła do Hanki: – O krowie wolałam nie mówić, bo jeszcze ta hołota nam ją zabierze. A tak może nie będą węszyć w komórce.

Lewinówna pomyślała, że jednak nie ma wyjścia, podobnie jak obecni w chałupie partyzanci.

– Mamy rannego, potrzebujemy lekarza – powiedziała stanowczo. – Myślę, że nam pan trochę pomoże.

– Postaram się. Odkąd zamordowali nam felczera, muszę leczyć i zwierzęta, i ludzi – powiedział weterynarz i w końcu udał się do pomieszczenia, gdzie leżał ranny partyzant.

Wyszedł stamtąd po ponad godzinie.

– Wyjąłem kulę, przemyłem ranę i zrobiłem opatrunek. Powinien jeszcze z tydzień poleżeć i wtedy zobaczymy, czy nie wdało się zakażenie.

– Musimy go stąd zabrać, doktorze – westchnął chłopak z lasu. – I przepraszam za moje zachowanie, alem myślał, że pan o tych z Gwardii Ludowej tak mówi.

Kiedy lekarz się oddalił, cała czwórka zasiadła z powrotem przy stole, by się naradzić.

– Dzisiaj niech zostanie – zarządziła Hanka. – Może żadne szwaby się do jutra tu kręcić nie będą.

– Mają inne zmartwienia. Dostają w dupę od Rosjan, a front prze na zachód – powiedział drugi z mężczyzn.

– Żeby się tylko Ruscy za bardzo na ten zachód nie zapędzili – mruknęła Hanka, dla której Związek Radziecki był takim samym najeźdźcą jak i Niemcy.

– Jedyna nadzieja w Rosjanach i towarzyszu Stalinie, miła pani – kontynuował mężczyzna.

Lewinówna popatrzyła na niego. A więc Gwardia Ludowa to byli komuniści. Kolejni cholerni komuniści, którzy stanęli na jej drodze. Widocznie takie było jej przeznaczenie. Jednak byli Polakami, jak ona i Irena, i należało im pomóc. Na szczęście „Wariatka” nie znała się na polityce i jedynym jej zmartwieniem było ukrywanie zapasów przed wygłodniałymi partyzantami.

31. Kleine Seedorf/Natać Mała, 1943

Lilly Berg wbiegła na podwórko Lagendorfów, niebywale czymś poruszona. Gertrude, jej córka i Walter siedzieli przed domem, przy małym ogrodowym stoliczku, i grali w karty. Janek i Władek oporządzali krowy, ale także zwrócili uwagę na nieco podenerwowaną Lilly.

– Znaleźli łódź Hansa – wysapała. – Ale nie było w niej żadnych ubrań ani plecaka, który zawsze zabierał ze sobą.

Walter zaklął w duchu. Nie pomyślał o tym, żeby rozebrać Hansa, zanim wrzuci go do wody. Wówczas każdy, kto natknąłby się na łódź, mógłby wysnuć wniosek, że chłopak chciał zażyć kąpieli, a że być może był pijany, po prostu utonął. Jednak teraz było już za późno.

– I co teraz? – z zaciekawieniem zapytała Brygide.

– Być może nie zacumował łodzi i odpłynęła, ostatnio burze były, a on pływał przy którejś z wysp i się utopił. Jeśli ktoś natrafi na jego ubranie, to już nie będzie chyba żadnej nadziei, że przeżył – powiedziała Lilly.

– A tak to niby jest? – prychnęła Gertrude Lagendorf i dodała: – Dobry był z niego chłopak, ale pijus. I jeszcze z tą nogą ciągle miał problemy. Wypłynął na wyspę, chciał popływać i szlag go trafił. Cała filozofia.

Lossow był niezwykle wdzięczny pani Lagendorf za stanowcze głoszenie podobnych teorii, czego oczywiście nie okazał. Wstał z krzesła i powiedział:

– Pójdę z panną Berg do wsi. Może trzeba będzie pomóc w poszukiwaniach.

– Chcesz, to idź. – Gertrude wzruszyła ramionami.

Irytowała się za każdym razem, gdy w towarzystwie Franza Bauera pokazywała się Lilly Berg, która wdzięczyła się do niego, trzepotała rzęsami i nie zwracała uwagi, że Walter miał się ku jej Brygidce. A przecież były przyjaciółkami. Zaś jej córka, jakby kompletnie oślepła, bo broniła Lilly Berg niczym lwica swojego potomstwa.

Kiedy tylko Lilly i Walter opuścili posesję, Gertrude zwróciła się do swojej córki:

– Nie widzisz, co ona robi?

Brygide ziewnęła, jakby temat tej dwójki kompletnie jej nie interesował i powiedziała znudzonym tonem:

– Dajże spokój, mutti, lubią się. To wszystko.

– A mnie się wydaje, że Lilly jest zauroczona Franzem, a i on nie pozostaje obojętny na jej wdzięki – nie dawała za wygraną Gertrude.

– A nawet jeśli… zakochają się w sobie, to co ja będę mogła zrobić? Nic – wspaniałomyślnie stwierdziła Brygide, uznając, że lepiej będzie, jeśli powoli przygotuje matkę na taką okoliczność.

W istocie Franz Bauer i Lilly Berg wyglądali jak para gołąbków i coraz trudniej było im ukryć przed światem wzajemną fascynację. Brygide nie była z tego zbytnio zadowolona, Franz Bauer był jej potrzebny, aby ona mogła ukrywać swój romans z Jankiem, ale miała świadomość, że są takie sytuacje, w których bardzo trudno jest udawać. Wiedziała to z własnego doświadczenia, gdy nadchodziły chwile, że obok niej znajdowali się matka i Janek. Starała się być wówczas oschła i zdystansowana wobec swojego chłopaka, ale sama uznawała, że wypada to na tyle sztucznie, iż nie należy do takich momentów w ogóle dopuszczać.

– Swojego trzeba pilnować – skwitowała matka, zawiedziona naiwnością Brygide.

– Franz nie jest psem, żebym miała go łańcuchem do budy przywiązać – burknęła Brygide. – Ty wychodzisz, Franz już pewnie nie wróci, dokończmy partyjkę.

Kiedy Walter wraz z Lilly dotarli do centralnego punktu wsi, niemal wszyscy jej mieszkańcy już byli zgromadzeni w jednym miejscu i podekscytowani dyskutowali o zaginięciu Hansa. Ku przerażeniu Lossowa przybyli także dwaj funkcjonariusze z posterunku w Seehag.

– Proszę państwa – powiedział policjant – wszystko wskazuje na nieszczęśliwy wypadek albo dobrowolne opuszczenie wsi przez Hansa Gąskę. Nie możemy wszcząć oficjalnego śledztwa, dopóki nie odnajdziemy jakichkolwiek śladów, że osoby trzecie mogły mieć coś wspólnego z jego zniknięciem.

– Ale chyba możecie nam pomóc – jęknęła matka Hansa, przysadzista kobieta o nalanej, piegowatej twarzy, po której Hans odziedziczył niezbyt atrakcyjną urodę.

– Frau Gąska, jest nas tylko dwóch, a nie mamy żadnych argumentów, by ściągnąć posiłki z Neidenburga. Tymczasem odnotowaliśmy zaginięcie i ro-

zesłaliśmy telefonogramy do jednostek ościennych. Nic więcej nie możemy zrobić. – Policjant nie tracił zimnej krwi, mimo że wśród mieszkańców dało się odczuć podenerwowanie.

Walterowi było bardzo na rękę, że policjanci nie mają zamiaru zajmować się tą sprawą, i niemal odetchnął z ulgą, gdy nagle jeden z mieszkańców wykrzyknął:

– Trzeba tych Polaczków sprawdzić, co do pracy do Seedorf przyjechali! Słyszałem nieraz, jak nas wyklinali.

Walter przeklął w duchu. Jeszcze tego brakowało, żeby policja zaczęła przesłuchiwać przymusowych, których w okolicy nie brakowało. Byli też więźniowie z obozu pracy znajdującego się w głębi lasu. A nuż któryś z nich widział go z Hansem i zechce podzielić się tą wiedzą z policją.

Funkcjonariuszom jednak nie uśmiechało się takie zajęcie, więc drugi z nich odrzekł:

– Pilnowanie polskich robotników należy do mieszkańców. Jeśli któryś z nich zrobiłby coś złego, gospodarz, u którego pracuje, może ponieść odpowiedzialność.

Wśród mieszkańców zrobiło się cicho. Spoglądali jeden na drugiego i chyba doszli do wniosku, że lepiej będzie, aby nikt się nie wtrącał do tego, co dzieje się w ich wiosce. Przestali nagabywać policjantów i nie powiedzieli ani słowa, gdy ci wsiedli na motocykl i odjechali.

– Będziemy przeczesywać wyspy i cały brzeg jeziora. Kto jest chętny? – zapytał sąsiad Hansa Gąski, wiekowy mężczyzna z sumiastym wąsem.

Taką wolę wyrazili wszyscy mieszkańcy, w tym również Lilly Berg i Franz Bauer. Ten ostatni miał nadzieję, że silne ulewy, które nawiedziły okolicę, skutecznie zmyły ewentualne ślady jego zbrodni.

Szedł z Lilly brzegiem jeziora w kierunku Kaltenborn. Walter niespecjalnie rozglądał się po okolicy, wiedział bowiem, że i tak nie znajdą ani plecaka, ani ubrań Hansa, bo te najpewniej leżały na dnie jeziora, razem z ich właścicielem. Miał także nadzieję, że ciało było obciążone wystarczająco dobrze, by nie wypłynęło i nie zostało odnalezione. W przeciwnym razie rychło okazałoby się, że Hans wcale nie utopił się po pijanemu, ale ktoś skutecznie mu w tym pomógł.

Obawa, że sprawa się wyda, była tak silna, że Walter von Lossow nawet nie myślał o moralnych aspektach tej zbrodni. Jego wola przetrwania i ukrycia swojego czynu była tak ogromna, iż wyrzuty sumienia po prostu

zniknęły. Uznał zresztą, że ten codzienny strach, który mu towarzyszył, nerwowość, gdy widział policję, i ucisk w dołku, kiedy ktoś rozprawiał o Hansie, była karą okrutną i dotkliwą. Gdyby mógł cofnąć czas, nie popłynąłby z tym szaleńcem na wyspę ani nie drażnił rozmową o Lilly, tylko wyjechał, zabierając dziewczynę ze sobą. Nieważne, że nie mógłby jej zapewnić ani dachu nad głową, ani utrzymania, ale nie musiałby się budzić co rano z czołem zroszonym potem i z lękiem, że jego sekret się wyda.

– To dziwne uczucie myśleć, że Hansa już nie ma – westchnęła Lilly.

– Tęsknisz za nim? – zapytał Walter.

– Wiesz, żałuję go. Jak każdego człowieka, który umiera… Bo myślę, że już nie ma nadziei i on po prostu nie żyje. Ale… – Nie dokończyła.

– Ale? – dociekał Walter, chcąc wiedzieć, co czuje Lilly. A pragnął to wiedzieć na wypadek, gdyby pewnego dnia musiał się jej przyznać do tego, co zrobił.

– A nie pomyślisz o mnie źle? – zapytała.

– Jakże bym mógł kiedykolwiek źle o tobie pomyśleć, Lilly. – Głos Waltera był łagodny i zachęcający do zwierzeń.

– Wiesz, Walterze, może to okrutnie niechrześcijańskie i niemoralne, ale myśl, że Hans nie żyje i nigdy więcej go nie zobaczę, sprawia, iż mam ochotę tańczyć, śpiewać i śmiać się radośnie, jak w dniu, gdy tata przywiózł mi z Allenstein pierwszą w życiu lalkę. Gdy wszyscy martwią się, modlą za Hansa, ja mam ochotę wrzeszczeć, że w końcu jestem wolna. Nie wiem… ale chyba to samo czują skazańcy, gdy wychodzą na wolność. Czy wobec tego jestem złym człowiekiem? – zakończyła Lilly, spuszczając wzrok, jakby wstydziła się tego, co czuje.

Tak to już było, że gdy ktoś umierał, od razu w oczach ludzi robił się szlachetniejszy, lepszy i milszy niż za życia. Od razu wybaczano takiej osobie wszystkie grzeszki i niegodziwości. I ona czuła podobnie. Kiedy zmarła babka Hilda, którą Lilly niezbyt lubiła, od razu stwierdziła, że staruszka nie była wredna, a jedynie miała trudny charakter. Tymczasem po zniknięciu Hansa poczuła ulgę. I dopiero wówczas pomyślała, jakie piekło zgotował jej ten człowiek za życia. Przypomniała sobie jego zaborczość, czujny wzrok i nieodstępowanie niemal na krok podczas tańców, świąt i innych uroczystości. Pamiętała jego dłonie obłapiające ją, gdy pływała w jeziorze i jak bezwstydnie dotykał swojego krocza, gdy zdejmowała sukienkę

i w kostiumie wchodziła do wody. A nawet te sytuacje, gdy patrzył wilkiem na Rudolfa, gdy ten ją przytulał albo całował niewinnie.

– Nie jesteś, Lilly. To on był złym człowiekiem. Przynajmniej dla ciebie. – Walter przytulił dziewczynę, by dać jej do zrozumienia, że nie potępia jej za reakcję po zniknięciu Hansa Gąski.

Jemu także ulżyło. Być może swoim haniebnym czynem właśnie wyświadczył Lilly Berg największą przysługę w życiu.

32. Warszawa, 1943

Major „Sokół” dochodził do siebie w podwarszawskiej wsi, z dala od toczących się akcji dywersyjnych i niemieckich represji. Któregoś dnia Alicja pojechała do niego, bo otrzymała informację, że chciałby się z nią spotkać. Nie była z tego faktu zadowolona, bo nie darzyła go specjalną sympatią, jednak potraktowała to jako rozkaz.

Major wciąż wyglądał źle, może dlatego, że był wychudzony, miał ogromne sińce pod oczami i blizny po brutalnych aktach przemocy w wykonaniu gestapo. Alicja przywitała się z nim chłodno i usiadła naprzeciwko fotela, w którym siedział, przykryty kraciastym kocem.

– Przede wszystkim dziękuję i gratuluję udanej akcji – powiedział „Sokół” niepewnie, widząc minę Alicji, która zdradzała niechętny stosunek do niego.

Kiwnęła jedynie głową, słysząc te kurtuazyjne słowa. Postanowił, że o ich wzajemnych relacjach porozmawiają później, gdy już poprawi jej nastrój dobrymi wiadomościami.

– Mam ci do przekazania dwie wiadomości – wyznał wolno.

– Niech będzie najpierw ta zła… A jeśli obie są złe, poproszę tę gorszą – mruknęła.

– A jeśli obie są dobre? – Uśmiechnął się do niej.

– Nie wierzę… – Również się uśmiechnęła. Jednak bardziej do siebie, bo poczuła ulgę, że nie usłyszy złych wieści.

– A jednak… Pierwsza to taka, że zostałaś kapitanem, co zaraz ci oficjalnie oznajmię, a druga, że Julian Chełmicki żyje i niedługo obaj z „Karym” powrócą do kraju.

Alicja zakryła twarz rękoma i wyszeptała:

– Boże… Dziękuję ci…

Po jej policzkach popłynęły łzy, jakby całe napięcie tej sytuacji nagle z niej zeszło.

– Pani kapitan – powiedział pobłażliwie „Sokół” – to nie wypada, żeby osoba w tej randze wojskowej się rozklejała, bo domyślam się, że owe podziękowania kierujesz ku Bogu za ocalenie życia Juliana, a nie z powodu awansu.

– Co tam awanse, co tam… – Alicja machnęła ręką.

Żałowała, że major widział jej łzy, ale była taka szczęśliwa. Obaj ocaleli i niebawem miała ich zobaczyć. Nie zastanawiała się nad tym, co wówczas zrobi, powie czy jak się zachowa. A wreszcie co poczuje w sercu na widok każdego z nich.

– No dobrze, dość tej ckliwości. Mamy jeszcze kilka spraw do omówienia – z westchnieniem podkreślił major.

Alicja wyprostowała się na krześle, spoważniała i wpatrywała się z uwagą w „Sokoła”.

– Potrzebujemy pieniędzy – poinformował major.

– Zawsze potrzebowaliśmy. To nic nowego – mruknęła Alicja.

– Ale teraz wiemy, jak je zdobyć. I ty się tym zajmiesz. Chełmicki, mam nadzieję, że jest cały i zdrów, pomoże ci przeprowadzić całą akcję. Jesteście teraz równi stopniem, liczę więc, że się dogadacie. – Major mówił wolno, jakby otwieranie ust sprawiało mu trudność.

„Sokół” zapewne miał dobre intencje, proponując Alicji współpracę z Julianem, ale ona poczuła lekki niepokój. Obawiała się zarówno swoich uczuć, jak i reakcji Sergiusza. Co on powie na to, że Chełmicki i Alicja będą niemal nierozłączni? Po chwili pomyślała także o Weronice Sarnowskiej, ale jej odczuciami Alicja nie przejmowała się ani trochę.

– Zatem słucham, majorze – spokojnie powiedziała Alicja.

– Z uwagi na ostatnie wypadki i wpadki ludzi z „Osy” Julian Chełmicki obejmie dowództwo nad akcją „Góral”. Ty będziesz jego prawą ręką – zakomenderował „Sokół”.

– Więc jednak to Julian będzie moim dowódcą – nieco złośliwie stwierdziła Alicja.

– Tak, w tej akcji on będzie dowodził. Przygotowywał ją od wielu miesięcy, zanim udał się do Hiszpanii. Powiem więcej, to był jego pomysł, „Grot” wyraził zgodę. Dlatego misja Juliana na Gibraltar, jako kuriera, miała być ostatnią, a on miał objąć dowództwo w Kedywie na terenie Warszawy. Potem sprawy bardzo się skomplikowały, jak sama wiesz. Teraz jednak, gdy okazało się, że nie straciliśmy go, wraca do gry. Że tak to ujmę – perorował major.

– A co z krążącymi plotkami na temat jego udziału w zamachu na generała? – z przekąsem zapytała Alicja.

– Chełmicki nigdy nie dotarł na Gibraltar. Tego jesteśmy pewni. Reszta jest przedmiotem śledztwa… Mam do Juliana pełne zaufanie. Przy tobie

mogę mówić o jego prawdziwej tożsamości, bo i tak Robert Jaworski odchodzi w niebyt, a on otrzyma nowe dokumenty. Zanim jednak wróci, musisz skontaktować się z „Rudym”. On przedstawi ci plan „Górala”. To będzie naprawdę coś, więc musisz być przygotowana najlepiej, jak to tylko możliwe – zakończył „Sokół”.

– Tak jest, majorze – odpowiedziała i wstała z krzesła, by opuścić spotkanie.

– Alicja… – niemal szeptem powiedział major.

Odwróciła się i popatrzyła na niego zimnym wzrokiem.

– Słucham, majorze? – zapytała sucho.

– Wiem, że masz do mnie żal… za Grossa. Za rozkaz, który wydałem…

– Mam, majorze, ale to nie ma już żadnego znaczenia. Jestem żołnierzem Armii Krajowej i nie dyskutuję z rozkazami. Bez względu na to, jak bardzo mi się one nie podobają. Nie będę jednak ukrywać, że gorszego wydać pan nie mógł.

– Na swoje usprawiedliwienie… – zaczął „Sokół”.

– Nie ma potrzeby się usprawiedliwiać, to już się stało – warknęła.

– Jednak musisz przyznać, że moja decyzja odniosła pożądany skutek i przeżyłaś… – Uparł się, by przekonać Alicję Rosińską, że postąpił słusznie.

– Majorze… Tak, przeżyłam. Ale nie dzięki panu – bąknęła.

***

Dotarła do Warszawy dość późno i w pierwszej chwili skierowała swoje kroki ku Brzeskiej. Jednak nagle zatrzymała się i pomyślała o Weronice. Ona zapewne nie wiedziała jeszcze, że Julian przeżył. „No i co mnie to obchodzi” – powiedziała do siebie w duchu i ruszyła w stronę swojego mieszkania. Jednak po kilkudziesięciu metrach zawróciła i ruszyła do szpitala Dzieciątka Jezus.

– Niech cię szlag, doktor Sarnowska – szepnęła do siebie.

Weszła do szpitala i postanowiła, że jeśli Weronika nie ma dyżuru, to znaczy, iż los tak chciał i pani doktor dowie się o Julianie innym razem. Nie zamierzała iść do jej domu, bo budził w niej najgorsze skojarzenia. To tam umarła miłość Juliana do niej i narodziło się uczucie do Weroniki. Właśnie w tym eleganckim mieszkaniu jej świat idealnej miłości legł w gruzach.

W dyżurce poinformowano ją, że pani doktor, owszem, dyżur ma. Alicja weszła na piętro i odnalazła jej gabinet. Zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka. Weronika siedziała za biurkiem i wypisywała karty pacjentów. Podniosła głowę i nie zdążyła niczego powiedzieć, bo Alicja oznajmiła krótko:

– Julian żyje. Nic mu nie jest. Niedługo wróci do Warszawy.

Nie miała ochoty na dłuższe pogawędki z Sarnowską, nie chciała widzieć jej rozanielonej twarzy, gdy się dowie, a nawet nie miała chęci, by na nią popatrzyć. Spełniła swój miłosierny uczynek i nie stać jej było na nic więcej. Odwróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu. Schodząc ze schodów, usłyszała za sobą stukot pantofli.

– Zaczekaj… – wysapała Weronika.

– Śpieszę się – burknęła Alicja i podążyła dalej.

– Chciałam ci tylko podziękować – obruszyła się lekarka.

– Nie trzeba było się fatygować – złośliwie odpowiedziała Alicja i opuściła gmach szpitala, zła na siebie, że w ogóle tutaj przyszła.

Teraz musiała złapać tramwaj i mocno się pośpieszyć, by wrócić do domu przed godziną policyjną. Poza tym powróciły niechciane wspomnienia, ból i żal tak ogromny, że pękało jej serce. Wiedziała, że przez tę kobietę między nią a Julianem już nigdy nie będzie jak kiedyś. Cokolwiek postanowi i bez względu na to, jak potoczą się ich wspólne losy, Weronika Sarnowska już zawsze będzie stała między nimi.

Pomyślała o Sergiuszu. A jeśli i on pewnego dnia zauroczy się inną kobietą? Jeśli uzna, że Alicja Rosińska nie przystaje do jego ideału? Jeżeli nie sprosta jego oczekiwaniom? Po kilku minutach doszła do wniosku, że i tak nigdy nie będzie ideałem i na pewno nie ma zamiaru spełniać czyichś oczekiwań. Nie była święta i nie była potępiona. Ot, zwykła dziewczyna z prowincji, która pragnęła zaznać prawdziwej miłości.

33. Warszawa, 1943

– Coś ty za jeden? – warknął mężczyzna do Szymka Wielopolskiego i szybkim ruchem przykrył obrusem leżące na stole rzeczy.

Szymek dostrzegł jednak, że jest to wszelkiej maści broń i amunicja.

– To chłopak od prowiantu. Swój – spokojnie powiedział drugi z mężczyzn.

– To musiał włazić do pokoju? – Był nieco oburzony niefrasobliwością kompanów.

– Daj spokój, „Pcheła”. Jutro nas już tutaj nie będzie – powiedział ze spokojem jego kolega, po czym zwrócił się do Szymka: – I co tam nam dzisiaj dobrego przyniosłeś?

– Kiełbasę, tak jak pan sobie życzył – uprzejmie odpowiedział chłopak i wyciągnął zza pazuchy luźnej marynarki pęto.

Człowiek nazywany „Pchełą” przytknął nos do wędliny i westchnął.

– Boże, jak to przepięknie pachnie. Chyba z rok kiełbasy nie jadłem.

– To bądź miły dla Szymka, może będzie cię zaopatrywał po normalnych cenach. – Puścił oko do „Pchełły”.

Szymek nie brał udziału w dyskusji, tylko wpatrywał się w zakryty obrusem stół. W końcu zebrał się na odwagę.

– Panie Kaliciński, a opchnąłby mi pan takie cacko? – Wskazał brodą stół.

Mężczyźni popatrzyli na siebie. Chłopak i tak za dużo zobaczył. Nie było sensu ukrywać leżących na stole pistoletów, jeśli i tak zostali nakryci przez tego gówniarza.

– E, młody, a po co ci pistolet? – zapytał „Pcheła”.

– A tak tylko… Wie pan, czasem mnie kto okantować chce i w niebezpieczne miejsca się zapuszczam, a jak taki jeden z drugim kopytko zobaczy, to od razu mu rura zmięknie – tłumaczył Szymek, chociaż miał plan zgoła inny.

Kaliciński popatrzył na niego i stwierdził:

– Pewnie i trochę racji masz, ale za mały jesteś, żeby z bronią chodzić. Jeszcze sobie co zrobisz i będę miał cię na sumieniu.

Szymek Wielopolski obruszył się.

– Gada pan, jakby mnie nie znał. A ja to dzieci na własnych plecach z getta wyprowadzałem.

– Tak, mówiłeś już o tym… No dobrze, dasz pięćdziesiątkę i sprzedam ci jakiegoś straszaka. – Puścił do niego oko.

– Panie Kaliciński, straszaka to se mogię z drewna wystrugać, i to za darmochę – twardo negocjował Szymek, jednak wyszedł z mieszkania Kalicińskiego z niczym.

Żałował, że nie sprzedano mu jakiegoś visa albo parabellum. Tylko co potem? Jak odnalazłby „Szmatę”, jeśli getto już nie istniało? Może ten wyjechał znęcać się na Żydami gdzieś indziej? Swoją drogą, skąd Kaliciński i ten drugi brali te wszystkie pistolety? Przecież teraz to był złoty interes. Jakby tak ze dwie sztuki miał i je opchnął, to jakby miesiąc biegał z kiełbasami po domach.

Usłyszał jakieś głosy na klatce schodowej, zbiegł szybko na dół i schował się za drzwiami piwnicznymi. Nie lubił rzucać się w oczy, dlatego jak ognia unikał kontaktu z obcymi. Przecież gdyby wpadł, miałby nie lada kłopoty, a pójście do pryjuta byłoby najmniejszym z nich.

– A na Powązkach jeszcze coś zostało? – Usłyszał głos Kalicińskiego.

– Tak, jeszcze sporo – ściszonym głosem odpowiedział człowiek o pseudonimie „Pcheła”.

– To jutro o dziewiątej – odpowiedział Kaliciński i mężczyźni wyszli z budynku, rozchodząc się każdy w inną stronę.

„A więc to stąd biorą broń” – pomyślał Szymek, który nasłuchał się opowieści, jak to po kapitulacji Warszawy żołnierze i cywile ukrywali broń, zakopując ją w lasach albo grobach. On jednak nie miał pojęcia, czy to nie była jedynie legenda, rozpowszechniana wśród cwaniaków z Kercelaka. Poza tym co by mu to dało, gdyby okazało się prawdą, jeśli nie miał pojęcia, na którym cmentarzu i w którym grobowcu ukryto broń. Teraz jednak sytuacja się zmieniła, a on postanowił, że nazajutrz poobserwuje swoich znajomych, którzy kupowali od niego jedzenie.

***

Następnego ranka kręcił się przy bramie głównej cmentarza w nadziei, że niebawem zjawi się pan Kaliciński i jego kolega. W istocie kilka minut przed dziewiątą „Pcheła” wszedł przez bramę na teren cmentarza. Szymek podążył za nim, od czasu do czasu przystając przy jakimś grobie, aby nie został zauważony. „Pcheła” skręcił w boczną alejkę, a potem przeszedł mię-

dzy grobami i stanął przed jednym z nich. Udając, że się modli, wypatrywał Kalicińskiego, który zjawił się kilka minut po dziewiątej.

– Stań na świecy, a ja odsunę płytę – powiedział „Pcheła” do Kalicińskiego. – Dzisiaj ładna pogoda, to się będą ludziska kręcili po cmentarzu.

Kaliciński posłusznie powrócił na boczną alejkę i bacznie się przyglądał przechodniom. Tymczasem Szymek siedział w kucki za jednym z pomników i obserwował „Pchełę”, który uklęknął przy grobowcu, odsunął nieznacznie boczną płytę i wyjął z wnętrza grobowca kilka pistoletów zawiniętych w płócienne szmatki. Schował je do eleganckiej aktówki, przysunął z powrotem płytę i nie mówiąc ani słowa do pana Kalicińskiego, ruszył w kierunku wyjścia. Po kilku minutach Kaliciński również opuścił teren cmentarza. Wszystko trwało zaledwie dziesięć minut i zapewne dlatego mężczyźni zdecydowali się przyjść po broń w ciągu dnia.

Szymek wstał zza pomnika i rozglądając się bacznie, podszedł do grobowca. Czuł, że serce wali mu jak oszalałe, bo przypomniały mu się wszystkie straszne opowieści o duchach i wychodzących z grobów trupach. A on planował teraz odsunąć płytę i być może nawet wsunąć się do środka, aby dosięgnąć pistolet. Gra była jednak warta świeczki. Taka okazja, by zdobyć broń, chociażby po to, żeby ją dobrze sprzedać, mogła się już nigdy nie zdarzyć.

Chwycił za płytę i popchnął ją na bok. Była ciężka i Szymek musiał bardzo się wysilać, żeby odsunąć ją chociaż na kilka centymetrów. A w każdej chwili ktoś mógł nadejść. Żeby chociaż miał łom, mógłby zrobić dźwignię, ale wokół nie było niczego, co mogło zastąpić mu to narzędzie. Odpoczął chwilę i kolejny raz popchnął płytę. Szczelina zrobiła się nieco większa i Szymek mógł włożyć rękę do środka. Z obrzydzeniem uczynił to, obmacując wnętrze grobowca. W końcu trafił na jakiś przedmiot i wyciągnął go. Nie sprawdził nawet, jaki pistolet udało mu się wydobyć, schował go od razu pod serdak i po przesunięciu z powrotem płyty niemal biegiem opuścił cmentarz.

Wrócił do domu i zamknął się na skobel w łazience. Dopiero wtedy zobaczył, że jego łupem padł dziewięciomilimetrowy vis. Taki sam, jaki miał pan Lewin w swojej szufladzie i z którego niegdyś zastrzeliła się panna Adrianna. A to rozwiązywało kolejny problem Szymka Wielopolskiego – zdobycie naboi. Brak pistoletu pan Emil zauważyłby od razu, ale jeśli podkradnie mu kilka sztuk amunicji z pewnością nie zauważy braku. Schował broń

w rezerwuarze toalety i podekscytowany wyszedł z łazienki. Teraz czekało go kolejne zadanie – odnalezienie „Szmaty”. Nie zastanawiał się, co się stanie, jeśli dopisze mu szczęście i w istocie odszuka mordercę swojej przyjaciółki, Noemi. Ani nad tym, jakie konsekwencje może ponieść, gdy już zdobędzie się na odwagę i strzeli. Po prostu chciał to zrobić. Dla Noemi i dla ich pięknej przyjaźni.

Lewin siedział w salonie i czytał gadzinówkę, racząc się ciepłą herbatą. Ostatnio pan Emil chodził osowiały i przygnębiony, ale nie mówił, co go trapi. Szymek podszedł do niego i zagadnął:

– A nauczy mnie kiedy pan Lewin strzelać?

Emil uśmiechnął się smutno do Szymka, po czym zmierzwił mu włosy i odparł:

– Pewnie. W końcu już niedługo staniesz się mężczyzną, a każdy mężczyzna musi umieć strzelać. W niedzielę pojedziemy za miasto i postrzelamy.

– Dziękuję, panie Lewin. Jest pan… najlepszym człowiekiem, jakiego znam – powiedział Szymek, uśmiechając się szeroko.

Lewin nie odpowiedział, chociaż te słowa sprawiły mu przyjemność. W końcu ktoś uważał go za dobrego człowieka.

34. Okolice Granady, 1943

– Święci pańscy! – wykrzyknął Julian Chełmicki na widok Sergiusza Dargiewicza. – „Kary”!

Sergiusz jednak był mniej wylewny. Pozwalał się obściskiwać Julianowi, jakby byli najlepszymi kompanami, a sam jedynie poklepał Chełmickiego po plecach i delikatnie odsunął od siebie.

– Zbieraj się, chłopie – powiedział z westchnieniem. – Dość się nabyczyłeś na hiszpańskiej ziemi.

– Bóg mi świadkiem, że nie myślałem o niczym innym niż o powrocie do kraju. Tylko… Jak by ci to powiedzieć… – Julian zawahał się.

– Po prostu dostałeś w cymbał i ci co nieco ze łba wyleciało. Wiem, Esperanza mi wszystko wyśpiewała – wyjaśnił „Kary”.

– Esperanza… To przez nią dostałem w głowę, ale dzięki niej się uratowałem. Życie składa się jednak z paradoksów. Mógłbym się z nią zobaczyć przed wyjazdem i porozmawiać? – zapytał cicho Chełmicki.

Sergiusz zerknął na zegarek.

– Nie. Za dwie godziny odlatuje samolot do Francji, a my musimy znaleźć się na jego pokładzie. Nie mamy transportu, więc sam rozumiesz, że to może być bardzo długa droga. Poza tym… mało ci? Zostawiłeś w kraju dwie zatrwożone twoim losem sikoreczki, chciałbyś i tutaj jedną zostawić? – nieco złośliwie zauważył „Kary”.

– Nie martw się, poproszę doktora Salazara z Granady, to nas odwiezie, gdzie potrzeba. Alicja, Weronika? Wszystko u nich w porządku? – zapytał niepewnie Julian, ignorując docinek Sergiusza.

– Kiedy wyjeżdżałem, Alicja była cała, zdrowa i przeniosła się z powrotem do Warszawy, a o tej drugiej nic nie wiem… – bąknął „Kary”. – Pogadamy w drodze powrotnej. Naprawdę mamy mało czasu.

Doktor Salazar trochę żałował, że Julian wyjeżdża, bowiem zdążył się już zaprzyjaźnić z „Bolącą Głową”, poza tym miał nadzieję na rozwiązanie największej zagadki tego roku, a mianowicie śmierci generała Sikorskiego. Z pewnością ostatnie wydarzenia dodały nieco pikanterii jego spokojnemu i nudnemu życiu.

– Uważaj na siebie, „Boląca Głowo” – powiedział ze łzami w oczach doktor, żegnając Chełmickiego na rozległym pastwisku, na którym za kilkanaście minut miał wylądować niewielki samolot wysłany przez francuski ruch

oporu. – I pamiętaj, utrata pamięci może mieć niekiedy zbawienne skutki dla naszych poglądów.

– Przydałoby się – mruknął „Kary”.

– A ty – zwrócił się do Sergiusza – wybacz, że nie pamiętam twojego końskiego imienia, uważaj na tego młodzieńca, bo naszpikowany jest ideałami jak Hiszpania agentami Abwehry. W polityce i na wojnie liczy się zręczność i ograniczone zaufanie, a twój przyjaciel zdaje się nie bardzo to rozumie.

„Kary” uśmiechnął się. Poczciwy doktor zdołał dobrze poznać Chełmickiego i swoim spostrzeżeniem trafił w dziesiątkę.

– W rzeczy samej, „Bolącą Głowę” cechuje ślepa wiara w ideały – powiedział.

Powrót do Francji odbył się zgodnie z planem. Wystartowali bez przeszkód, o wyznaczonej godzinie pozostawiając w dole piękne andaluzyjskie widoki, i nie mieli pojęcia, że byli żegnani nie tylko przez dobrotliwego doktora, ale także przez „Migdałowe Oczy”, która z oddali obserwowała start samolotu.

– Nie mogę uwierzyć, że mógłbym być posądzony o śmierć Sikorskiego – westchnął Julian.

– Ja nigdy nie uwierzyłbym w taką wersję wypadków. Byliście w niego zapatrzeni niczym w obraz Matki Boskiej Częstochowskiej – z sarkazmem stwierdził Sergiusz.

– Bo to był wielki mąż stanu i… – zaczął Chełmicki, ale „Kary” mu przerwał.

– Wybacz, kolego, ale nie umiem się tak bardzo zachłystywać rządem londyńskim, jak ty, i opuszczenie tego kółka wzajemnej adoracji przez Sosnkowskiego uważam za posunięcie słuszne. Ani na jotę nie wierzę Brytyjczykom, że zależy im na naszej wolności – burknął „Kary”.

– Komuś trzeba wierzyć – westchnął Julian. – Sami nie damy rady Niemcom. Teraz dostają łupnia od Rosjan i dobra nasza.

Dargiewicz wybuchnął śmiechem.

– Albo jesteś naiwny jak dziecko, albo wyprali ci mózg w tym SOE. Co gorsza, w łeb dostałeś, a i to ci nie pomogło.

– Nie lubisz mnie, „Kary”. – Julianowi nie było do śmiechu. – Więc po co tutaj przyjechałeś? Po mnie…

– To czy cię lubię, czy nie, nie ma żadnego znaczenia. Ja nie pamiętam niemieckiej agresji, ale pamiętam sowiecką. Rodziców mi zabili, jak ostatnie ścierwo potraktowali. Majątek nam skonfiskowali i z siostrą żeśmy cudem przedostali się do Warszawy. Ona pojechała dalej, ja zostałem. Ale dla mnie wrogiem byli i są także Ruscy, a wy ich wspieracie i w dupę włazicie bez mydła, bo tak każą Brytole, którzy mają gdzieś Polskę. Proponowano mi udział w „Wachlarzu". Wiesz, elita elit z tamtych ziem. I po co? Po to, byśmy Ruskich wspierali i nastawiali za nich głowy. Nie godzę się na to. Cieszysz się jak niedorozwinięte dziecko, że Szwaby łupnia dostają na wschodzie, a to wcale nie jest dla nas dobrze. Dla nas lepiej byłoby, gdyby się wzajemnie wykrwawili i nie mieli już siły Polski się czepiać. Postawiliśmy się Hitlerowi za pasek autostrady i jeden Gdańsk, ale Sowietom oddaliśmy pół Polski, ot tak. – Sergiusz pstryknął palcami.

– Nigdy nie pomyślałbym, że jesteś tak zaangażowany politycznie – złośliwie wytknął Chełmicki. – Jednak wydaje mi się, że krytykujesz moje poglądy z pobudek czysto osobistych.

Dargiewicz odwrócił się w jego stronę i stwierdził:

– Z pobudek osobistych to dostałbyś ode mnie po mordzie.

– Ty, „Kary", to po coś po mnie przyjechał? – zdenerwował się Chełmicki. – Mógłby to zrobić któryś z moich kolegów. Prawdziwych przyjaciół.

– Nie, nie mógłby. Większość z nich siedzi na Pawiaku albo już nie żyje. Gestapo zatrzymało „Grota", „Sokoła" i nikt nie miał głowy, żeby się tobą zajmować. Tym bardziej że wedle oficjalnych informacji zginąłeś wraz z Sikorskim w liberatorze. Albo zdradziłeś i uciekłeś – z westchnieniem powiedział Sergiusz.

– Boże… – Julian zakrył twarz rękoma.

W zaledwie dwa miesiące sytuacja tak bardzo się zmieniła. A on marnował czas, bawiąc się w kowboja. Poza tym jego podejrzewano o maczanie palców w śmierci Sikorskiego. No tak, kto uwierzyłby w taką intrygę, że ktoś postanowił go podmienić i wysłać na Gibraltar zupełnie innego człowieka. Kto za tym stał? Niemcy nie byli zainteresowani takim stanem rzeczy. Jedynie Rosjanie i kraje sprzymierzone. A może naprawdę to był tylko wypadek? Jeśli tak, to co robił w tym miejscu podstawiony Jan Gralewski? Pytania kołatały mu w głowie, ale prawda mogła okazać się zbyt przygnębiająca. Wówczas stałoby się jasne, że podobnie jak w 1939 roku znowu

zostali sami, bo ktoś ich kosztem i za ich plecami załatwiał swoje interesy. A generał Sikorski swoją tajemnicę zapewne zabrał ze sobą do grobu.

Milczeli do końca podróży samolotem. Niewiele mówili także w drodze do Paryża, którą postanowili odbyć bez żadnego odpoczynku. Po prostu byli zbyt zmęczeni, by prawić sobie złośliwości albo rozmawiać o różnicach w poglądach.

Jednak im bliżej byli Polski, tym większy czuli niepokój. Każdy z nich miał swój powód. Julian nie miał pojęcia, co zastanie po powrocie, kto przejął stery w Armii Krajowej i jakie nastroje panują po śmierci generała i aresztowaniach najlepszych żołnierzy polski podziemnej. „Kary" zaś myślał jedynie o swojej zranionej duszy i wielkiej miłości, jaką była dla niego Alicja. Uważał, że Polska już tę wojnę przegrała i nie było sensu nadstawiać karku za tych, którzy prowadzili swoje rozgrywki polityczne. Dlaczego tak niewiele osób widziało tę przebiegłą grę Stalina i Churchilla? Dlaczego nikt nie powiedział tego wprost, że ta wojna jest już dla Polski przegrana, że to już koniec…

***

W Paryżu zatrzymali się u znanych im Anieli i Marcela Pascalów i ponownie rozgorzała burzliwa dyskusja na temat losów Polski. Marcel był raczej biernym słuchaczem tychże awantur z uwagi na to, że kompletnie nie rozumiał, o czym rozmawia jego żona z przybyszami z Hiszpanii.

Podróż przez Rzeszę przebiegała niemal w całkowitym milczeniu. Nie mogli sobie rozprawiać po polsku i musieli być czujni. Papiery Sergiusza, jak i te, które przemycił dla Chełmickiego, były doskonałe, ale polityczne dyskursy nie wchodziły w grę. Milczenie panujące między mężczyznami było nieznośne, bo każdy z nich obawiał się zadać pytania, które powinny paść, zanim obaj powrócą do Warszawy. Pierwszy pękł Julian, gdy przekroczyli granicę Generalnej Guberni.

– Kochasz ją? – zapytał.

– Tak – odpowiedział krótko Sergiusz, ciesząc się, że w końcu padło nieuniknione pytanie.

– Posłuchaj, „Kary", źle cię oceniałem i nie ukrywam, że nie darzyłem specjalną sympatią, ale wiedz, że macie moje błogosławieństwo – powiedział ze spokojem Chełmicki.

Sergiusz Dargiewicz parsknął śmiechem.

– Chłopie, my nie potrzebujemy twojego błogosławieństwa. Jestem jedynie ciekaw, czy podejmiesz męską decyzję, czy będziesz zachowywał się jak dziewica przed pierwszym razem, czyli „chciałabym i boję się”?

– Tak, podjąłem decyzję i nie będę wam stał na drodze – odparł nieco urażony Julian.

– Mam nadzieję, że ona również podejmie podobną decyzję – mruknął Sergiusz i skupił wzrok na krajobrazie przesuwającym się za oknem.

Właściwe, co mu dała ta rozmowa? Przecież nie chodziło tak naprawdę o stosunek Chełmickiego do Alicji, ale jej uczucia względem Juliana. Cóż z tego, że nie będzie stawał im na drodze, jeśli Alicja Rosińska sama postawi na tej drodze mur. Swojej miłości do Juliana Chełmickiego.

Wysiedli na warszawskim dworcu i nagle Julian odezwał się, jakby kompletnie zdezorientowany:

– Boże, nawet nie wiem, dokąd pójść… – powiedział bezradnie, bo przecież adresy chłopaków mogły, a nawet na pewno były spalone i nie miał pojęcia, co dzieje się z Weroniką. Jeśli ktoś zdradził i ona mogła mieć kłopoty albo być pod obserwacją gestapo.

Sergiusz wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i podał Chełmickiemu.

– Jedź do mojego mieszkania, Floriańska trzy. Wejdź przez pralnię, teraz nikogo tam nie ma.

– A ty? – zapytał Julian.

– Ja? Zatrzymam się na Brzeskiej… – powiedział z uśmiechem.

Z ulgą pożegnał Chełmickiego, gdy znaleźli się po drugiej stronie Wisły i poszedł pod kamienicę, w której teraz mieszkała Alicja. Zadarł głowę i wpatrywał się w jej okna, jakby zastanawiając się, co zrobić. Wiedziała już, że obaj żyli, bo nadał meldunek przez Paryż i Berlin, ale jak go powita? Rzuci mu się w ramiona czy zapyta o Chełmickiego?

Po chwili pomyślał, że obecnie nie to jest najważniejsze. Po prostu pragnął ją zobaczyć.

35. Zamość, 1943

Kolumna samochodów dostojnie wjechała na główną ulicę Zamościa. Pomiędzy ciężarówkami z niemieckimi żołnierzami i motocyklami z obstawą poruszał się wypolerowany mercedes z *SS-Oberführerem* Walterem Huppenkothenem w środku. Igor obserwował wszystko przez lornetkę, siedząc na dachu jednej z kamienic, osłonięty przez ubrudzony sadzami komin. Zastanawiał się, po co komu taka manifestacja, zwłaszcza że kontrwywiad starał się być niewidzialny. Być może była to strategia mająca na celu ukrycie porażki Niemiec na terenie Związku Radzieckiego? Dlatego każdy dygnitarz jadący na wschód, zapewne ze ściśniętym ze strachu gardłem, chciał pokazać, że Wielka Rzesza ma się dobrze, a ów wyjazd jest tylko po to, by umocnić jej siłę. Nie była to prawda, ale Niemców nie należało lekceważyć. W innych miastach polskich dywersję szerzono rękami polskich partyzantów, jednak Zamość był pod tym względem dość wyjątkowy. Owszem, wysadzono pociąg z bronią, jadący na wschód z hasłem przewodnim „Odwet za Zamojszczyznę", ale samo miasto było enklawą Niemców. Wysiedlono wszystkich mieszkańców i zrobiono z Zamościa wzorcowe nazistowskie miasto na ziemiach okupowanych. Może dlatego też wysocy funkcjonariusze z Berlina upodobali sobie to miejsce, wszak nigdzie indziej nie mogli się czuć bezpieczniej.

„No to pomylili się" – mruknął do siebie Łyszkin i zsunął się do włazu, którym wszedł na dach.

Huppenkothen nie był oryginalny i ulokował się w ekskluzywnym hotelu, zwanym przed wojną Centralką. Zapewne miał tam przestronny, luksusowy apartament do dyspozycji i obsługę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Igor nie spodziewał się żadnych rautów powitalnych i bankietów z uwagi na fakt, że Huppenkothen nie był dygnitarzem tego pokroju.

W swojej kryjówce wykąpał się, skropił wodą kolońską, założył mundur SS i wyszedł na ulicę, by udać się na rekonesans do hotelu, w którym zatrzymała się jego ofiara. Wszedł do foyer, rozejrzał się i już miał udać się w kierunku eleganckiej restauracji hotelowej, gdy zatrzymał go portier.

– Proszę wybaczyć, *Obersturmführer*, ale dzisiaj restauracja jest nieczynna. Wieczorem mamy imprezę zamkniętą – powiedział uprzejmie człowiek w liberii.

– No masz ci los. – Igor roześmiał się. – A cóż to za święto mamy?

– SS-Gruppenführer Odilo Globocnik wraz z zaproszonymi gośćmi będą świętować udaną akcję „Werwolf”, Obersturmführer – odpowiedział niemal z dumą portier.

– Hm… W takim razie obiad zjem gdzieś indziej – odpowiedział z zawodem w głosie Łyszkin i opuścił hotel.

Jego kompani ze służb wywiadowczych najwyraźniej nie popisali się. Jak można było pominąć tak ważną informację? Przecież Globocnik był najlepiej strzeżonym dygnitarzem na tym terenie, zwłaszcza że po odejściu gubernatora Zönera sprawował niemal władzę absolutną. Jednak sobie także wyrzucał brak czujności. Oni mieli prawo nie odkryć pewnych faktów, ale on powinien zrobić dokładne rozpoznanie. Przecież taka impreza musiała być tajemnicą poliszynela, a może nawet żadną, skoro portier w hotelu chełpił się nią bez specjalnego zażenowania. No tak, trudno mu było skupić się na zadaniu, skoro był zajęty Hermannem Ritzem i swoim złamanym sercem. Cholera, kolejny raz przez kobietę tracił głowę, i wciąż przez tę samą. A teraz okazało się, że „przyjaźniła się” z niemieckim oficerem służby administracyjnej. Nawet jeśli w istocie ze sobą nie spali, postąpiła haniebnie. Kochał ją, wciąż i niezmiennie, a jednak na razie nie był w stanie wybaczyć jej słabości do Ritza.

Doszedł do wniosku, że pora na podobne przemyślenia jest wyjątkowo nietrafiona, bo miał zaledwie kilka godzin, by obmyślić nowy plan zabicia gościa z Berlina. A gdyby tak przy okazji zasadzić się na tego potwora w ludzkiej skórze, Globocnika, sukces byłby pełny. Jednak on był sam jeden, a oni dwaj i zapewne otoczeni przez kilkadziesiąt osób chroniących tych bydlaków. Najlepszym rozwiązaniem byłoby zdobycie zaproszenia na ów raut, bo dzięki niemu będzie mógł kręcić się po hotelu zupełnie legalnie, dotrze do pokoju Huppenkothena i tam poczeka, aż ten wróci po imprezie. A wówczas sprawa będzie już prosta. Tylko skąd, u licha, miał wytrzasnąć zaproszenie?

Przechadzał się, udając, że ogląda secesyjną fasadę budynku, gdy przed hotel podjechał opel i wysiadł z niego kapitan SS. Chwilę potem kierowca podał bojowi hotelowemu walizkę. Łyszkin nie zastanawiał się zbyt długo. Pobiegł za oficerem i gdy ten stał przy windzie, zagadnął, uśmiechając się szeroko:

– Peter… Cholera, Peter Lupus we własnej osobie!

Mężczyzna obejrzał się, jakby nie był pewien, czy to na pewno do niego kierowane są owe słowa, bowiem nie nazywał się ani Peter, ani Lupus, a roześmianego oficera widział pierwszy raz na oczy.

– Pan mnie chyba z kimś pomylił – bąknął.

– No jak to?! – Igor wszedł razem z nim do windy. – Przecież chodziliśmy razem do szkoły w Berlinie. Obaj z Prus Wschodnich…

– Niestety… Pochodzę z Hamburga i w Berlinie jestem dopiero od roku – ze spokojem wyjaśnił oficer.

Łyszkin musiał zyskać na czasie, dopóki nie dotrą do pokoju oficera, a boj hotelowy nie zostawi ich samych.

– To niemożliwe! A może mieliście w tamtych stronach jakąś rodzinę? Peter, no ten mój kolega… No po prostu skóra zdjęta.

– Nie przypominam sobie żadnej rodziny z tych stron. – Oficer był najpewniej zmęczony długą podróżą i nie miał zbytniej ochoty na rozmowę z obcym człowiekiem.

Stanęli przed pokojem, boj otworzył drzwi, postawił walizkę, po czym, otrzymawszy napiwek, ruszył korytarzem w stronę windy.

– W takim razie bardzo przepraszam. – Igor wyciągnął rękę w kierunku mężczyzny. – Otton Kriege.

Oficer SS, nieco zmieszany, także wyciągnął dłoń i wymamrotał:

– Hubert Lahm.

Łyszkin ścisnął dłoń Huberta Lahma, po czym wykręcił ją i wepchnął oficera do pokoju. Nogą zatrzasnął drzwi, drugą ręką wyciągnął z kieszeni cienką metalową linkę i zadzierzgnął na szyi Lahma. Twarz oficera zrobiła się czerwona, przez chwilę miotał się, usiłując zdjąć z szyi morderczą żyłkę, ale wkrótce rozległ się jedynie cichy charkot i Lahm osunął się podłogę.

Gdy Igor upewnił się, że nie żyje, przeciągnął go po dywanie, wysunął spod łóżka pojemnik na pościel i upchnął w nim ciało oficera. Otarł z czoła pot i pomyślał, że dużo bardziej ucieszyłby się, gdyby zrobił podobną rzecz Hermannowi Ritzowi. Po chwili jednak ocknął się z zamyślenia i zaczął plądrować rzeczy Lahma. Po kilku minutach natrafił na jakąś teczkę z dokumentami i zaproszenie na hotelowy raut.

– Dobra nasza – powiedział do siebie Łyszkin i postanowił nie ruszać się z pokoju, dopóki nie nadejdzie pora uroczystości.

Nie czuł się zbyt komfortowo, leżąc na łóżku, w którym znajdowały się zwłoki, ale postanowił nie skupiać na tym swojej uwagi.

Po dwóch godzinach usłyszał pukanie do drzwi. Pomyślał ze złością, że ów pracownik hotelu musi być wyjątkowo niekompetentny, jeśli niepokoi gościa z pokoju z zawieszką „nie przeszkadzać”. Wściekły, otworzył drzwi, jednak w progu nie zobaczył nikogo z obsługi, ale młodą kobietę, której uroda mogła przyćmić niejedną gwiazdę estrady. Miała na sobie kremową letnią sukienkę z dużym dekoltem, w którym można było dojrzeć rowek pomiędzy idealnie krągłymi piersiami.

– Hubert Lahm? – zapytała słodko, trzepocząc ciemnymi, długimi rzęsami, spod których spoglądały na Igora zielone, kocie oczy.

– Słucham? – mruknął niezbyt grzecznie, chociaż kobieta zrobiła na nim wrażenie. Nie wiedział jednak, kim jest i po co przybyła do Huberta Lahma.

Bez skrępowania weszła do pokoju, omijając potężną sylwetkę Łyszkina. Usiadła na krześle i założyła nogę na nogę, ukazując smagłe uda. Igor zamknął drzwi, usiadł na łóżku i badawczo przyglądał się nieznajomej.

– Niech pan oficer tak na mnie nie patrzy, wynajęłam pokój kilka numerów dalej, na raut będę gotowa i właściwie ubrana. – Roześmiała się słodko, ukazując rząd drobnych, białych zębów.

„Cholera jasna, jeszcze mi partnerki brakowało” – przeklął w duchu.

– To dobrze, spotykamy się… przed dwudziestą – wydukał, licząc, że kobieta zaraz wstanie i wyjdzie.

W istocie podniosła się z krzesła, jednak nie wyszła z pokoju, ale podeszła do Łyszkina i rozpięła mu koszulę. Zaczęła całować jego tors i zachęcająco mruczeć. Igor pomyślał, że gorzej byłoby, gdyby przystawiała się do niego jakaś niezbyt pociągająca *Frau* i postanowił, że nie odmówi sobie igraszek z tą śliczną Niemką, chociażby w odwecie na Hance za przystojnego Hermanna Ritza. Chwycił ją za ciemne włosy sięgające niemal ramion i przyciągnął jej twarz do swoich ust. Całował ją łapczywie, jednocześnie dość brutalnie zdzierając z niej letnią sukienkę. Zamruczała kolejny raz.

– Ostro się pan kapitan zabiera do rzeczy. – Odsunęła się nieznacznie od niego i zapytała: – A nie chce pan kapitan wiedzieć, jak mi na imię?

– Nie. – Pokręcił przecząco głową. – Chcę cię pieprzyć, a nie konwersować.

Rzucił ją na łóżko i położył się na niej. Jedną rękę przesuwał po jej ciele, a drugą rozpiął spodnie. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz tak agresywnie potraktował kobietę w łóżku. Zachowywał się, jakby każda była zdradziecka, podła i niewarta traktowania z czułością, a stanowiła jedynie kawałek mię-

sa, by mężczyzna mógł się wyżyć i dać upust swojemu zwierzęcemu instynktowi. Miłość była dobra dla frajerów, a Igor niedawno boleśnie się przekonał, że i on się do tego grona zalicza. Miotał się między wiarą w coś pięknego i niepowtarzalnego a poczuciem, że został oszukany. On także nie był święty, ale Hanka przekroczyła granicę. Nie miał pojęcia, jak daleko zaszła jej relacja z tym Niemcem, ale fantazja Łyszkina szalała. Wyobrażał sobie, że ten cały Ritz robił z nią w łóżku to, co on teraz z tą obcą kobietą, najpewniej dziwką, której imienia nawet nie chciał poznać.

Całując gorące usta swojej partnerki, czuł, jak smakuje zemsta. Za każdym razem, gdy jęknęła pod wpływem jego ruchów, myślał o satysfakcji, jaką ma, z pełną premedytacją zdradzając Hankę. To już nie była ucieczka przed krwawymi obrazami i emocjami, jakie nim targały, gdy widział połacie Ukrainy usłane trupami, ani rozładowanie napięcia, towarzyszące mu w Katyniu. To była świadoma cielesna rozkosz, by ukarać Hankę za związek z Hermannem Ritzem, czy jakkolwiek to nazwać.

Mokrzy od potu i ciężko dysząc, odsunęli się w końcu od siebie. Dziewczyna uśmiechnęła się i powiedziała:

– Niezły jesteś…

– Tylko niezły? – zapytał Łyszkin, podpalając papierosa jej i sobie. – Mogę jeszcze potrenować.

– O, nie… Wystarczy. – Roześmiała się i dodała czule: – Poleżę chwilkę, a potem pójdę do siebie. Ty się zdrzemnij.

– Żebyś wiedziała – odparł i pomyślał, że uprawianie seksu na łóżku, w którym schowany był trup Huberta Lahma, zakrawa na grubą perwersję. Jednak dziewczyna była warta tego, by na chwilę o tym zapomnieć.

Zgasił papierosa, przymknął powieki. Jak przez mgłę widział ubierającą się kochankę, potem usłyszał trzaśnięcie drzwi i już wiedział, że za chwilę zapadnie w drzemkę. Po chwili jednak jakby ocknął się, bo poczuł mdłości na myśl, że będzie zasypiał w takim miejscu, i ujrzał, że dziewczyna wcale nie opuściła pokoju, tylko jest w korytarzyku i pochyla się nad rozbebeszoną walizką Huberta Lahma, intensywnie czegoś szukając. W jednej chwili wyskoczył z łóżka i dopadł dziewczyny. Złapał ją za przegub dłoni i siłą wprowadził z powrotem do pokoju.

– Tak… Teraz chciałbym wiedzieć, kim jesteś, jak się nazywasz i czego szukasz – wycedził.

– Helga… – odpowiedziała zalotnie.

– Nie odpowiedziałaś na resztę… – Ton Łyszkina zrobił się ostrzejszy i kompletnie nie zrobiło na nim wrażenia cielęce spojrzenie niedawnej kochanki.

– Hm… Jestem prostytutką i po prostu chciałam ci ukraść trochę pieniędzy, bo cena, jaką mi zaproponowałeś za udział w raucie, nie zadowala mnie – powiedziała słodko, ale Igor wiedział, że dziewczyna kłamie.

Sięgnął po kaburę wiszącą na krześle, wyjął z niej pistolet i przyłożył do skroni dziewczyny.

– Mów! – nakazał.

Milczała. Wpatrywała się w okno, jakby czekając na wyrok.

Łyszkin nie zamierzał robić w pokoju krwawej jatki ani w ogóle zabijać dziewczyny. Wystarczającym kłopotem był trup Huberta Lahma. Jednak musiał się dowiedzieć, co ona takiego kombinuje. Wykręcił jej boleśnie rękę. Odruchowo krzyknęła.

– Zostaw mnie, do cholery…

W jej reakcji nie byłoby niczego dziwnego, gdyby nie to, że owo zdanie wypowiedziała po polsku, po czym zamknęła powieki, zapewne przeklinając siebie w duchu za popełnienie tak szkolnego błędu. Puścił jej rękę, nigdy nie lubił stosować przemocy wobec słabszych, i wybuchnął śmiechem.

– A już chciałem ci powiedzieć, że jak na Niemkę jesteś wyjątkowo urodziwa. – To zdanie również wypowiedział po polsku, choć zapewne z charakterystycznym śpiewnym akcentem.

Złapała się za ramię i usiadła na łóżku.

– Nie jesteś zbyt delikatny – warknęła.

– Wydawało mi się, że podobało ci się to jeszcze całkiem niedawno. – Uśmiechnął się, po czym spoważniał i dodał: – No to teraz zagramy w otwarte karty, piękna Helgo.

– Helena. Naprawdę mam na imię Helena, a ty? – westchnęła.

– Piękne imię, pasuje do ciebie. Mnie możesz nazywać Grzegorzem – odpowiedział.

– Prawdziwe? – zapytała z przekąsem.

– Tak samo prawdziwe, jak i twoje – mruknął.

– Nieważne… Powiedz mi tylko, co się, u licha, stało z Hubertem Lahmem? – zapytała.

– Siedzisz na nim – szepnął.

Zerwała się jak oparzona.

– Oszalałeś? – zapytała, robiąc wielkie oczy.

Pokręcił przecząco głową.

– Muszę się dostać na dzisiejszy raut i musiałem pozbyć się Huberta Lahma. A ty w jakim celu tak bardzo chciałaś się z nim zaprzyjaźnić? – Ostatnie słowo wymówił z sarkazmem.

– Lahm ma plany dalszej akcji wysiedleńczej na Zamojszczyźnie. Dlatego został zaproszony. Jutro miał przekazać je Globocnikowi. Tego szukałam w jego walizce – ze smutkiem odpowiedziała Helena. – I moje poświęcenie, żeby pójść z obcym mężczyzną do łóżka, szlag trafił.

– A jak ty w ogóle na niego trafiłaś?

– Jedna znajoma prowadzi tutaj burdel. Lahm dobrze ją zna, więc zadzwonił przed przyjazdem, żeby zorganizowała mu jakąś elegancką folksdojczkę, z którą mógłby się zabawić, a potem pokazać na raucie. Znam niemiecki, brzydka nie jestem, więc postanowiłam wykonać zadanie – powiedziała Helena.

– Wykonałaś je po mistrzowsku. – Uśmiechnął się szelmowsko i pocałował ją w usta. Po chwili powiedział zupełnie poważnie. – Jestem w połowie Rosjaninem, w połowie Polakiem, ale dzisiaj mamy różne priorytety. Ty chcesz kopię planu, a ja chcę dostać Huppenkothena. Żywego albo martwego. Myślę jednak, że w tym Himmlerlandzie – raczej martwego. Więc zrobimy tak… Pójdziesz na raut i zadzwonisz z recepcji, gdy Huppenkothen będzie opuszczał przyjęcie. A kiedy skończysz swoje zadanie, dam ci plany i nasze drogi się rozejdą. W porządku?

Helena zmrużyła oczy, jakby przez chwilę zastanawiała się nad propozycją. Rozważała wszystkie za i przeciw. Po chwili zauważyła luki w tym doskonałym planie.

– A jeśli ktoś zna tutaj Lahma? I będzie się zastanawiał, dlaczego nie przybył na przyjęcie? – zapytała.

– Powiem, że źle się czuję i spóźnię się albo w ogóle nie zejdę, jeśli moja obstrukcja wciąż będzie mnie trzymała. – Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie boisz się, że doniosę na ciebie?

Popatrzył na nią przenikliwie. Tak, w istocie mogła to zrobić, jeśli go okłamała. Jednak to było mało prawdopodobne. A teraz mogli po prostu sobie pomóc.

36. Warszawa, 1943

Alicja usłyszała ciche pukanie do drzwi. Nie przestraszyła się jednak, bowiem odbyło się to według ustalonego wcześniej sygnału. Dwa stuknięcia, przerwa, a potem trzy. Była przekonana, że to któryś z chłopaków, ich wizyty stanowiły niemal codzienność. Jednak na wszelki wypadek zwinęła mapę Warszawy z rozrysowanymi punktami i wcisnęła ją w specjalną skrytkę, znajdującą się pod podłogą pokoju.

Alicja padała z nóg i doszła do wniosku, że bycie dowódcą to ciężki obowiązek, a decyzje należy podejmować niemal bez wytchnienia. To, oczywiście, odbiło się na jej wyglądzie. Zeszczuplała, jej cera nabrała ziemistej barwy, a wokół oczu miała ciemne obwódki, zdradzające nie tylko brak snu, ale także problemy, z jakimi musiała się borykać. Nie zwracała jednak na to najmniejszej uwagi, bo jej mężczyźni przetrwali. Obaj. Niekiedy zastanawiała się nad tym, co by było, gdyby nagle ktoś ją zapytał: „Który z nich ma przeżyć?”. Doszła do wniosku, że gdyby istotnie miała podobny dylemat, chciałaby ocalić życie Sergiusza. Chociażby za to wszystko, co zrobił dla niej i Mateuszka. Na szczęście obaj przeżyli, a ona wciąż zdawała się zdezorientowana w swoich uczuciach. Jednak to za „Karym” tęskniła bardziej i postanowiła, że gdy powróci z Hiszpanii, po prostu mu o tym powie… Oczywiście, będzie wówczas wyglądała jak bogini, będą się kochać i będzie absolutnie romantycznie.

Nie sądziła, że los spłata jej figla i nie zdąży przygotować się na tę podniosłą chwilę. Otworzyła drzwi i zamarła, widząc stojącego w drzwiach Sergiusza. On także wyglądał na bardzo wyczerpanego.

– Mogę wejść? – zapytał, uśmiechając się delikatnie, bo Alicja stała jak słup soli.

Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła Sergiusza do środka. Wciąż milcząc, po prostu podeszła do niego i przytuliła się. Objął ją ramionami i stali tak dłuższą chwilę, nie mówiąc ani słowa.

– Pozwolisz mi się wykąpać? – zapytał w końcu cicho.

– Przepraszam. – Odsunęła się od niego i dodała: – Idź do łazienki, ja przygotuję coś do jedzenia.

– Nie zapytasz o Juliana? – zapytał nieco złośliwie „Kary”, otwierając drzwi łazienki.

– Wiem, że żyje i nie jest ranny. Nic więcej nie muszę wiedzieć. – Wzruszyła ramionami. – Nie chcesz chwilę posiedzieć, napić się herbaty?

– Nie… – odparł. – Chcę się z tobą kochać, a mam za sobą trzydniową podróż…

Popatrzyła na niego, z jednej strony zachwycona pomysłem, z drugiej pełna jakichś dziwacznych obaw o ten pierwszy raz z Sergiuszem. Stali tak przez chwilę, gdy powiedziała stanowczo:

– Błagam, pośpiesz się… Czekałam na ciebie tak długo.

– Ja czekałem na ciebie całe życie, więc ty możesz poczekać pół godziny. – Puścił do niej oko.

Alicji wydawało się, że owe dwa kwadranse zamieniły się w wieczność, skazując ją na męki oczekiwania. Próbowała zająć się czymś, przygotować kolację albo herbatę, ale wciąż zerkała na drzwi łazienki i wsłuchiwała się, czy woda przestała już lecieć. To znowu podchodziła do lustra, przygładzała włosy i przygryzała wargi, by wydawały się bardziej ponętne. W końcu otworzyła szafę, chcąc założyć coś frywolnego, ale z żalem stwierdziła, że już nie posiada takich rzeczy.

W końcu nadeszła ta chwila. Sergiusz stanął w drzwiach łazienki, przepasany jedynie ręcznikiem, i przeczesywał mokre włosy.

– Chodź tu do mnie, kochana moja, bo strasznie się za tobą stęskniłem…

Podeszła do niego. Zaczęli się całować, zachłannie, łapczywie, jakby chcieli w końcu poczuć uchodzące z nich napięcie. Sergiusz nerwowo rozpinał jej bluzkę, mamrocząc pod nosem, że mogła zdjąć ją, zanim wyszedł, dotykał jej włosów, to znów szarpał się z guzikami.

I wtedy usłyszeli pukanie do drzwi. Dwa razy, przerwa, trzy razy. Po chwili sygnał powtórzył się, ale nie był już cichy i subtelny, ale głośny i natarczywy.

– Cholera ciężka! – warknęła Alicja, odsuwając się od Sergiusza. – Diabli nadali. Nie ubieraj się, kochanie, zaraz do ciebie wrócę.

Szybko zapięła bluzkę i otworzyła drzwi. W progu stali „Makaron” z „Pawełkiem” i podtrzymywali ranną „Sowę”. O nic nie pytając i nic nie mówiąc, weszli do korytarza, a potem do pokoju i ułożyli dziewczynę na tapczanie. Tym samym, na którym miała przeżyć szaloną noc z Sergiuszem i jedynym, jaki stał w jej mieszkaniu. „Kary” czmychnął do łazienki i po kilku minutach wyszedł z niej kompletnie ubrany, posyłając Alicji spojrzenie pełne zawodu, że nie tym razem spędzą upojne chwile.

– Co się stało? – zapytała zatrwożona Alicja.

– Zatrzymali ją i skontrolowali. Miała przy sobie fałszywe kenkarty. Rzuciła się do ucieczki, ale trafili ją w udo. Jakoś dotarła do miejsca spotkania… Do ciebie było najbliżej – wysapał „Makaron”.

– W łazience jest gaza i wszystko, co potrzeba. Ja zorganizuję lekarza. Boże, tylko kogo? Gdzie mieszkają nasi studenci medycyny? – zapytała.

„Pawełek” wzruszył ramionami.

– Przedwczoraj zmienili lokal, bo gestapo deptało im po piętach. Spotykamy się tylko na zebraniach i akcjach.

– Jesteś rikszą? – zapytała.

Pokiwał głową.

– Dobrze, pojedziemy po jedną lekarkę, na Hożą. Albo do „Dzieciątka”. „Kary”, ty pomóż chłopakom… – zaordynowała.

– Może ja pojadę? – zadeklarował Sergiusz dość niepewnie, słysząc rozkazujący ton Alicji.

– Ty zostań, trzeba ją opatrzyć, a ty się lepiej na tym znasz niż ja – odpowiedziała stanowczo.

Sergiusz zacisnął zęby i nic nie powiedział, bo sytuacja była poważna, ale miał nadzieję, że w normalnych okolicznościach Alicja nie będzie mówiła do niego podobnym tonem. Po chwili przemknęła mu przez głowę myśl, że być może Alicja pojechała do Weroniki Sarnowskiej sama, bo pragnęła spotkać Juliana Chełmickiego. Szybko jednak odegnał te insynuacje. Jego Alicja taka nie była…

***

Weronika Sarnowska była w domu. Na szczęście jej syn spędzał wakacje u dziadków, w Bełchatowie, więc bez namysłu i zbędnych dywagacji chwyciła swój lekarski sakwojaż i wybiegła za Alicją. Ta zdziwiła się, że Sarnowska ten wieczór spędza sama. Była przekonana, że w mieszkaniu jest Julian i była gotowa na spotkanie w miejscu, gdzie żył ze swoją kochanką. Myśl, że kilka kilometrów dalej czeka na nią cudowny mężczyzna, który kocha ją całym sercem, dodawała jej sił.

Przez całą drogę nic nie mówiły. To nie był ani czas, ani miejsce. Zresztą cóż mogłyby sobie powiedzieć, jeśli pałały do siebie nieskrywaną niechęcią, mimo przysług, jakie sobie wzajemnie wyświadczały. Między nimi stał

Julian Chełmicki i przez to nigdy nie miały okazji, by zostać serdecznymi przyjaciółkami.

Dotarłszy na Brzeską, Weronika Sarnowska od razu przystąpiła do badania „Sowy”. Stwierdziła, że została draśnięta, kuli nie ma w środku, a rana jest dość powierzchowna. Zaserwowała jej zastrzyk i nakazała, by ta przez kilka dni nie ruszała się z łóżka, dwa razy dziennie mierzyła temperaturę i brała przyniesione przez Weronikę lekarstwa. Dodała do tego regularne zmiany opatrunku, po czym zebrała do sakwojaża swoje narzędzia i wstała z krzesła.

Dopiero w tym momencie dostrzegła w drzwiach kuchni Sergiusza. Zatrzymała się w pół kroku, jakby nie rozumiejąc, skąd „Kary” wziął się w Warszawie. Podeszła do niego, lekko pobladła, i zapytała:

– A Julian? Gdzie jest Julian?

Alicja przewróciła oczami i patrzyła czujnie na „Karego”. Sama była bardzo ciekawa, gdzie jest Chełmicki, jeśli nie zastała go u Weroniki.

– Jest u mnie. Proszę się nie martwić, na pewno jutro się z panią skontaktuje. Nie był pewien, czy pani jest domu… – powiedział niepewnie, drżącym głosem.

– Aha… – Weronika spuściła głowę i dodała: – A pan jednak zaryzykował i odwiedził Alicję.

– Mieszkam blisko, dwie ulice stąd. Ja mogłem zaryzykować. To była naprawdę męcząca podróż. Julian był bardzo zmęczony, a w ogóle to przyszedłem dosłownie… – Sergiusz jąkał się, jak mały chłopiec przyłapany na kłamstwie.

– Rozumiem – powiedziała Weronika, przerywając wywód „Karego”, chyba tylko dlatego, by ten już bardziej się nie pogrążał w nieudolnej próbie wytłumaczenia Chełmickiego.

Sam nie wiedział, dlaczego tak bardzo go broni. Chyba dlatego, że mina Weroniki Sarnowskiej wyrażała ogromny zawód.

Gdy „Makaron”, „Pawełek” i Weronika opuścili mieszkanie, Alicja podeszła do Sergiusza i powiedziała:

– Mieliśmy kochać się jak szaleni przez dwie doby, a nawet nie mamy gdzie spać.

– Nie wyrzucaj mnie… Nie zniosę ani jednej godziny więcej w towarzystwie Juliana – burknął.

– W takim razie zapraszam na królewskie posłanie… na podłodze. – Uśmiechnęła się.

– Z tobą mógłbym spać nawet na madejowym łożu – odpowiedział cicho, bo zobaczył, że „Sowa” zasnęła, zapewne pod wpływem środków zaaplikowanych jej przez Weronikę.

Posłanie na podłodze nie było ani wygodne, ani romantyczne, zwłaszcza że tuż obok, na tapczanie, spała ranna „Sowa”, ale Alicja już dawno nie czuła się tak dobrze. Oplatały ją twarde jak stal ramiona Sergiusza, słyszała jego szept tuż przy uchu i mogła znowu poczuć się bezpiecznie. Nie chciała psuć tej wyjątkowej nocy informacjami, że niebawem będzie spędzała z Julianem niemal każdą chwilę. Nawet nie miała pojęcia, jak mu o tym powie. Najchętniej nie rozstawałaby się z nim ani na sekundę, by nie mieć dylematów i by w końcu poczuć się pewnie.

Nie mogli zasnąć, zarówno z uwagi na chrapanie „Sowy”, jak i dlatego, że musieli czuwać na wypadek, gdyby jej stan się pogorszył. Drzemali jedynie na zmianę, tuląc się do siebie jak para kociąt i opowiadając sobie, co się wydarzy, gdy wreszcie będą mogli być tylko sami.

Gdy nastał świt, a wąskie smugi słońca wdarły się przez szparę w zasłonach, „Kary” powiedział cicho:

– To była dziwna noc, ale najpiękniejsza w moim życiu.

– To nie była najpiękniejsza noc w twoim życiu. Ta najpiękniejsza jest jeszcze przed nami – dodała Alicja i zachichotała cicho, by nie obudzić „Sowy”.

37. Warszawa, 1943

– Oszalałeś, Emilu! – krzyczała Renate, nie przebierając w słowach. – Jak śmiesz, polski śmieciu, w ogóle mi coś takiego proponować. Zaraz pójdę na gestapo, to i tobie, i twoim koleżkom odechce się podobnych praktyk.

Lewin na początku ze spokojem znosił krzyki Renate, ale nazwanie go polskim śmieciem rozsierdziło go. Nie chcąc jednak wpaść w amok, jak wówczas, gdy dokonał zbrodni na Adriannie, policzył w myślach do dwudziestu i spróbował jeszcze raz.

– Renate, nie rozumiesz, że oni mnie szantażują? Mój interes może po prostu upaść, a jeśli doniosą tym drugim, że chodzę sobie po Kercelaku jak po własnych włościach, dostanę kulkę.

– Gówno mnie to obchodzi! Nie pójdę na to, bo ty robisz w majtki za każdym razem, gdy słyszysz o polskich bandziorach, pieprzony tchórzu!

W przeciwieństwie do Lewina Renate Zoll była z minuty na minutę coraz bardziej wzburzona. Do tego stopnia rozzłościła ją propozycja Emila, że nawet nie pomyślała o tym, iż on może ją po prostu wyrzucić z domu, a wówczas jej droga do tej piekielnej dwójki morderców stanie się jeszcze dłuższa.

Lewin postanowił, że nie będzie się nad nią użalał i też posłuży się szantażem. Ten człowiek z Kercelaka dał mu atut do ręki, ale nie chciał go wykorzystywać, bo nie był przekonany, czy jest prawdziwy. Emil podszedł więc do Renate, złapał ją za ramiona i popatrzył prosto w oczy, by dobrze widzieć jej reakcję, gdy powie jej to, co usłyszał z ust szantażującego go mężczyzny.

– Posłuchaj. Bardzo uważnie. – Lewin przeciągał sylaby. – Ten człowiek wie o tym, co zdarzyło się pewnej nocy, gdy jeden z więźniów opuścił Pawiak, by rzekomo udać się do szpitala… I nigdy z niego nie wrócił. Obecny był wtedy pewien oficer SS i… – Nie dokończył zdania, bo Renate popatrzyła na niego w taki sposób, że nabrał pewności, iż takie zdarzenie miało miejsce naprawdę, a panna Zoll jest w tym umoczona po uszy.

Jej krzyki umilkły w jednej chwili. Stała wciąż nieruchomo, nie mówiąc słowa. Wiedziała, że w tej sytuacji po prostu nie ma wyjścia.

– O, widzę, że moja Renatka wcale nie jest taka święta, za jaką chciałaby uchodzić – z sarkazmem powiedział Lewin.

Chciał jeszcze coś dodać, odwdzięczyć się za te ostre słowa i wyzwiska, jakimi go raczyła przez ostatnie pół godziny, ale Renate była tak przerażona, że zrezygnował z tego. Nie chciał jej dobijać, bo wiedział, jak błędy przeszłości potrafią prześladować człowieka. Nawet nie pytał, kim był ten człowiek, któremu pomogła. To nie miało dla niego znaczenia.

– Ktoś mnie po prostu oszukał, a teraz ja muszę wciąż jeszcze za to płacić – wyznała, jąkając się, co nigdy jej się nie zdarzało.

– Renatko – powiedział ciepło Lewin – popatrz na to praktycznie.

– Nie rozumiem – wydukała, wciąż oszołomiona, że będzie zakładniczką polskich komunistów.

– Rzesza dostaje w dupę na wschodzie, dobrze o tym wiesz. Już mało kto wierzy, że naprawdę się dźwignie i zwycięży. A wiesz, kto nastanie po nazistach? Bolszewicy. Uwierz, przyjdą tutaj i każdego, kto im się nie spodoba, powieszą na najbliższej latarni. Jeśli jednak okaże się, że jeden z drugim żyje dzięki tobie, darują ci i jeszcze medal dorzucą. Główka pracuje, Renate, trzymaj się Lewina, a nie zginiesz – zaczął pocieszać ją Emil.

– Ty nie rozumiesz, Emilu, że jeśli wpadnę, czeka mnie w najlepszym razie wschód, a w najgorszym kara śmierci za zdradę ojczyzny? – zapytała cicho.

– Mnie też, i co? Musisz być po prostu sprytna. I nie oglądaj się na ojczyznę, bo i ona się nie będzie na ciebie oglądać. W każdej sytuacji trzeba się ustawić w odpowiedniej pozycji. – Lewin starał się mówić spokojnym, kojącym tonem.

Robił to nie tylko dlatego, że Renate Zoll była mu bliska, ale bardzo chciał zdjąć sobie z karku czerwonych. Poza tym uważał, że jeśli przysłuży im się, wtedy mogą go ochronić przed wyrokiem polskiego podziemia.

***

Następnego dnia Renate zaniosła na Pawiak swój pierwszy w życiu gryps. Przykleiła go do miski z zupą, którą podawała więźniarce.

Emil Lewin miał rację. Nie powinna mieć żadnych skrupułów. Ją także wykorzystywano. Najpierw Walter, teraz Vader. Bez względu na pobudki, jakie nimi kierowały, po prostu zrobili z niej swoje popychadło. Właśnie ta sytuacja, paradoksalnie, uzmysłowiła jej, że dla mężczyzn nie była nikim innym, tylko śmieciem, który budzi sympatię na tyle, na ile jest przydatny.

Pomyślała także o tym, że nie da się zwieść Vaderowi i jego słodkim słówkom. Doprowadzi go do Chełmickiego i Ross, ale cena, jakiej zażąda, nie będzie mała. Jeśli Erich Vader uważał, że ma do czynienia z głupią gąską, co da się nabrać na „możemy połączyć jedno z drugim", to w życiu się tak nie pomylił. A ci cholerni komuniści, którzy szantażem zmusili ją do współpracy, także pewnego dnia jej za to zapłacą. Będzie kluczyła, oszukiwała każdego, aż w końcu to ona stanie się panią sytuacji. Za rok, dwa czy pięć.

Przez kolejne dni nie tylko przemycała grypsy, ale także donosiła o godzinach przesłuchań na Szucha, nowych więźniach i o tym wszystkim, co chciał wiedzieć ów tajemniczy mężczyzna. Nalegała, by go poznać, ale Lewin odmawiał kategorycznie.

– A może ty mi, Emil, nie mówisz całej prawdy? – zapytała prowokacyjnie.

– Ale że niby co mam zmyślać? A po jaką cholerę mi się babrać w jakichś podejrzanych sprawach? Chyba zwariowałaś! Zarabiam pieniądze, dogaduję się z władzami, miałbym sobie sznur na szyję kręcić? – prychnął.

– Jak na razie to ja sobie ten sznur kręcę – wytknęła mu.

Postanowiła jednak pewnego dnia, że pójdzie za Emilem i obejrzy sobie tego typka spod ciemnej gwiazdy. A potem sprawdzi, co wie o nim gestapo. Musiała mieć jakiegoś asa w rękawie, na wypadek gdyby jednak nie mieli skrupułów wobec niej.

Włożyła znoszoną sukienkę, naciągnęła na głowę kapelusz, a potem niczym zazdrosna kochanka nakazała młodemu rikszarzowi, by pojechał za Emilem. Na Kercelaku zaś wmieszała się w tłum i trzymając stosowną odległość, podążyła za nim. Lewin wszedł do jednej z bud, posiedział w niej zaledwie kilka minut, po czym wyszedł i ruszył w stronę wyjścia. Ale Renate czekała cierpliwie kolejny kwadrans, udając, że ciekawią ją drewniane taborety, sita i wałki do ciasta. Kupiła nawet jakiś drobiazg, by nie zirytować handlarza i w końcu ujrzała w drzwiach baraku młodego, całkiem przystojnego mężczyznę, który szybkim krokiem opuścił rynek i kilka przecznic dalej wszedł do lekko poharatanej przez pociski kamienicy. Renate Zoll zanotowała w głowie adres i wróciła do domu.

Zamierzała następnego dnia uzyskać listę wszystkich lokatorów, by w końcu mieć cokolwiek na mężczyznę, który ją szantażował. Chciała mieć go w garści. Nie tylko z powodu noszenia grypsów, ale także dlatego, by

pewnego dnia pójść do Vadera i wyciągnąć swojego asa z rękawa. Bo cóż będzie znaczyło słowo tych drani, jeśli już będą tylko więźniami na Szucha. Nie będą mogli na nią donieść jako lojalni obywatele III Rzeszy albo zrobić to za pośrednictwem człowieka, kto za kogoś takiego uchodził. Wtedy będą mogli mówić, co im ślina na język przyniesie, bo i tak nikt im nie uwierzy. A Walter von Lossow już nie żył i nie mogliby doprowadzić do konfrontacji. Był jednak warunek: musiała sprawić, że nie tylko ten przystojny młodzieniaszek wpadnie, ale także jego kompani, w tym sanitariusz, który tej strasznej nocy przyjechał karetką. Zaczęła zastanawiać się, kto jeszcze tam był. Jakaś lekarka. Miała gładko uczesane włosy, była szczupła, ale Renate Zoll bardzo kiepsko ją pamiętała. Gdyby jednak ów sanitariusz zdradził, z jakiego szpitala przyjechała sanitarka, wówczas zadanie byłoby dużo prostsze.

38. Warszawa, 1943

Mimo pewności, że to z Sergiuszem chciałaby spędzić resztę życia, a w każdym razie dużą jego część, i mimo wielu innych problemów, jakie miała na głowie Alicja, jej serce łomotało jak oszalałe, gdy zbliżała się do starej stolarni na spotkanie grupy osób, które miały niebawem wziąć udział w najbardziej bezczelnej akcji polskiego podziemia, o kryptonimie „Góral". Jednak jej niepokój wywoływała obecność tylko jednej osoby – Juliana Chełmickiego. Nie widzieli się od tak dawna, ona zdołała się już pogodzić z jego utratą, ale nie miała pojęcia, co poczuje, gdy stanie przed nim. Co się wydarzy, kiedy popatrzy mu w oczy, które kiedyś wydawały jej się najpiękniejszymi na świecie.

Zatrzymała się przed obdrapanymi drzwiami i wzięła głęboki oddech. „Jeśli nawet jeszcze coś czujesz, masz wyglądać, jakbyś nic nie czuła" – nakazała sobie w duchu. Tak bardzo chciała nie mieć dylematów, wiedzieć na pewno, że w jej sercu jest miejsce tylko dla jednego mężczyzny. Pragnęła czuć się jak kiedyś, gdy dla tej najważniejszej miłości była gotowa niemal na każde szaleństwo.

Otworzyła drzwi. Kilku młodych mężczyzn, dobrze jej znanych, pochylało się nad dużą mapą i palcami przesuwało po papierze, głośno przy tym dyskutując. Przy szczycie stołu stał Julian Chełmicki i coś zawzięcie tłumaczył „Makaronowi". I wszyscy jak na komendę podnieśli głowy, by spojrzeć na wchodzącą do wnętrza osobę. Po chwili jednak znowu powrócili do swojego zajęcia, oprócz jednego obecnego na spotkaniu mężczyzny, Juliana Chełmickiego. Patrzył na Alicję z nieodgadnionym wyrazem twarzy, jakby widywali się codziennie i nie było między nimi tych ostatnich miesięcy rozłąki. Alicja zaś poczuła, jakby czas się cofnął do chwili, gdy byli dla siebie całym światem. Jednak kilka sekund później jak bumerang powróciły jego słowa, gdy zapytała o Weronikę: „Nie wiem, co czuję". Alicja momentalnie odzyskała i władzę w nogach, i mowę. Przywitała się ze wszystkimi, po czym podeszła do Chełmickiego, cmoknęła głośno w policzek, niczym ulubionego kuzyna, i powiedziała krótko:

– Witaj w domu.

Julian był nieco zdziwiony takim zachowaniem. Zawsze pełna emocji, tym razem zdawała się zupełnie opanowana.

– Ja też się cieszę, że cię widzę – powiedział z lekkim sarkazmem.

– Nad czym pracujecie? – zapytała.

– Gdybyś się nie spóźniła, tobyś wiedziała – burknął Julian.

Może gdyby nie przywitała się z nim tak chłodno, byłby bardziej pobłażliwy dla jej spóźnienia, ale jego męska duma została wystawiona na ciężką próbę, mimo solennej obietnicy, którą dał samemu sobie, że nie będzie ani z Alicją, ani z Weroniką, a „Karemu" dał nawet błogosławieństwo, by ten mógł żyć sobie spokojnie z Alicją u boku. Jednak ciężko mu było pogodzić się z myślą, że ta kobieta, która przemierzyła niemal całą Europę i popełniła masę głupstw, by być z nim, nagle nie będzie na każde jego skinienie. Że już go po prostu nie kocha i nie będzie mógł schronić się w tym oddaniu i uczuciu, które niekiedy było balsamem w trudnych chwilach żołnierskiego życia.

– Łapankę musiałam ominąć – skłamała i włączyła się do dyskusji.

Po dwóch godzinach każdy z uczestników spotkania znał na pamięć najdrobniejszy szczegół ich zuchwałego planu.

– Alicja, ty odpowiadasz za ubezpieczenie. Po akcji wsiadasz do furgonetki ze studentami i jedziesz prosto na Żoliborz. A jeszcze dzisiaj spotkamy się z Kamilem Grotowskim. Wtedy ustalimy dzień i godzinę akcji – stanowczym głosem zwrócił się do niej Julian.

Pokiwała głową. Ona również znała każdy szczegół planu, wiele z nich zresztą sama wymyśliła.

Mężczyźni zaczęli opuszczać magazyn, wychodząc pojedynczo i w dziesięciominutowych odstępach. Oboje patrzyli, jak stolarnia powoli pustoszeje i wiedzieli, że niebawem zostaną sami. Potem przyjedzie po nich „Pawełek" i udadzą się do Grotowskiego. Jednak ten kwadrans oczekiwania spędzą tylko we dwoje i będą mieli siebie na wyciągnięcie ręki. Bez względu na to, co się stało, ich wzajemna namiętność tliła się w nich, ponieważ zawsze w chwilach napięcia wpadali sobie w ramiona, kochając się jak szaleńcy i nie zważając, czy akurat obok stoi łóżko czy brudny stół. A teraz atmosfera była tak gęsta, że można ją było kroić nożem, i zapewne tylko owa namiętność, która ich niegdyś łączyła, pozwoliłaby rozładować to napięcie. Najgorsze było to, że oboje pamiętali doskonale, jak wtedy było im dobrze, a świat, bez względu na to, jak bardzo był ponury i okrutny, po prostu znikał.

Zaskrzypiały drzwi i ostatni uczestnik spotkania opuścił stolarnię. Milczeli przez chwilę, stojąc nieruchomo i bojąc się zrobić krok, wykonać gest czy

powiedzieć cokolwiek. Tę ciszę pierwszy postanowił przerwać Julian.

– Przepraszam cię – powiedział cicho. – Po stokroć. Przepraszam, że zniszczyłem naszą miłość.

– Ja też cię przepraszam, Julianie. Nigdy nie powinnam dopuścić do tego, byś ją zniszczył.

– Wiem, że już niczego nie uda się uratować, ale wybacz mi. – Jego głos wciąż drżał.

Ona nie była wcale taka pewna, czy w istocie już wszystko umarło. Gdyby chcieli, uratowaliby siebie i swoją miłość. Jednak problem polegał na tym, że mimo uczuć, jakie jeszcze igrały w ich sercach, nie chcieli zaczynać od początku, bo wiedzieli, że już nigdy nie odnajdą tego, co ich kiedyś połączyło.

– Wybaczyłam ci w chwili, gdy dowiedziałam się o twoim zniknięciu. Modliłam się, żebyś przeżył, i złożyłam obietnicę, że jeśli ocalejesz, ja ci wybaczę… Ale masz rację, niczego już nie da się uratować. Nie ma sensu reanimować trupa.

Ostatnie zdanie powiedziała ze śmiechem, żeby wnieść nieco humoru w ten grobowy nastrój, jaki między nimi zapanował. Tak, to spotkanie miało w sobie coś z pogrzebu. Oboje godnie pożegnali ich uczucie i zerwali ostatnie więzy, jakie ich łączyły.

– O, „Pawełek” przyjechał. Zwijamy się – powiedział rzeczowo Chełmicki, chwycił przewieszoną przez metalowe krzesło marynarkę i oboje opuścili magazyn.

Żadne z nich nie czuło się zbyt komfortowo, gdy siedzieli w rikszy tak blisko siebie, że niemal czuli swoje oddechy.

– Cholera, patrol! – syknął nagle „Pawełek”, odwracając się w ich stronę.

Oboje byli wyszkoleni i wiedzieli, co mają robić w takich sytuacjach. Udawać zakochaną parę. Julian objął ramieniem Alicję, po czym nachylił się nad nią, by udawać, że oto jedzie rozochocona parka, której nie należy przeszkadzać. Jednak Julian, gdy zbliżył usta do warg Alicji, nie wytrzymał i zaczął ją całować. Tak jak kiedyś i w sposób, który bardzo lubiła.

– Błagam, przestań – jęknęła, bo dotyk ust Juliana przypomniał jej te wszystkie piękne chwile, które razem przeżyli.

– Nie mogę… Nie mogę przestać – wyszeptał i wciąż muskał jej usta, czekając, aż Alicja podda się temu i odda pocałunek.

Na ziemię sprowadził ich głos „Pawełka”:

– To tutaj. I nie zapomnijcie mi zapłacić. – Puścił do nich oko.

Wyskoczyli z rikszy jak oparzeni, byle jak najszybciej się od siebie oddalić. Nie czuć swoich zapachów, tak bardzo niegdyś znanych, i nie czuć ciepła, które koiło i dodawało sił. Nawet na siebie nie spoglądali, gdy wchodzili do bramy kamienicy, w której mieszkał Kamil Grotowski.

– To dziwne… Sprawdziłaś dobrze tego człowieka? Z reguły nasi współpracownicy nie chcą, żeby przychodzić do ich domów. Mnie też nie wydaje się to dobrym pomysłem – ściszonym głosem powiedział Julian.

– Tak, sprawdziłam go dobrze i pierwszy raz zaprosił mnie do domu. Po prostu ma gorączkę, a bardzo chce wydobrzeć, gdy nadejdzie pora na naszą akcję – stanowczo odparła Alicja.

Chełmicki zaczął ją irytować. Nie było go tutaj, gdy objęła dowództwo i gdy przygotowywała akcję, umierając z niepokoju, że o czymś nie pomyślała, kogoś nie sprawdziła czy coś przeoczyła. Kiedy wrócił, musiał się dowiedzieć, że stanęła na wysokości zadania i jest równie dobra, co on. No, może prawie tak dobra.

– Mam nadzieję, że masz rację – mruknął.

Weszli na pierwsze piętro kamienicy, nie mówiąc już ani słowa. Zadzwonili do drzwi i chwilę potem ukazał się w nich Kamil Grotowski, ubrany w szlafrok, mimo że była dopiero dziewiętnasta. Miał zaczerwieniony nos i widać było, że nie czuje się najlepiej.

– Wybaczcie mi, moi drodzy, ale czuję się fatalnie – powiedział.

– My się chyba nie znamy, mam na imię Piotr. Ewę pan już zna – Julian przedstawił się jednym z wachlarza imion, którymi się posługiwał, i wyciągnął dłoń w kierunku mężczyzny.

– Kamil Grotowski. Proszę, wchodźcie, nie będziemy przecież rozmawiać w korytarzu.

Usiedli wokół solidnego okrągłego stołu, wykonanego z dębowego drewna i przykrytego dzierganą serwetą. Ponad ich głowami zwisała kuta lampa z ozdobnym abażurem.

– W moim domu była podobna i też wisiała nad stołem. – Julian uśmiechnął się smutno, wspominając rodzinny dworek, który w tej chwili świecił pustkami.

– To moja świętej pamięci żona wybrała tę lampę. Miała doskonały gust. Wie pan, to była prawdziwa dama i jednocześnie bardzo sprytna gospodyni. Myślę, że nigdy nie spotkam już doskonalszej kobiety. I piękniejszej – wes-

tchnął Grotowski. – Transport wyjeżdża za trzy dni, dwunastego sierpnia, rano potwierdzę godzinę telefonicznie. Będzie kierował się w stronę dworca wschodniego. Muszą przejechać Senatorską, Miodową i skierować się na most Kierbedzia.

– Znamy trasę przejazdu. Pamięta pan hasło? – zapytała „Ewa”.

– Oczywiście. „Ciocia zajechała” – powiedział Grotowski i pociągnął nosem.

Omówili wszystkie szczegóły i mieli już wychodzić, gdy Julian dostrzegł na komodzie duże zdjęcie w złoconej ramce.

– Adrianna…? – zapytał cicho.

– Znał pan moją żonę? – zdziwił się Grotowski.

– Tak, znałem. Wyrazy współczucia… – zmieszał się Chełmicki.

– Odkąd zniknęła, nie zależy mi już na życiu. Jeśli mogę coś pożytecznego zrobić dla kraju, nie zawaham się zaryzykować, bo nie mam już nic do stracenia. Myślę, że gdyby żyła, wróciłaby. Po prostu zatłukli ją, parszywe gnoje. – Ostatnie słowa Grotowski powiedział, niemal łkając.

Alicja i Julian wymienili zdziwione spojrzenia. Czyżby mąż Adrianny nie wiedział, że ta popełniła samobójstwo w mieszkaniu swojego kochanka i ojca swojego syna, Emila Lewina? Postanowili jednak, że przemilczą to. Taki fakt niczego już nie zmieniłby w życiu Kamila Grotowskiego.

39. Zamość, 1943

– Jeszcze raz powtórz, co masz zrobić, jak już znajdziesz się na bankiecie – zdecydowanym tonem powiedział Igor.

– Nie przesadzaj, nie jestem amatorką – obruszyła się Helena.

– W pewnych rzeczach na pewno – uśmiechnął się Łyszkin.

– To prawda, wyrwało mi się, ale to nie powód, żebyś mnie traktował jak kompletną idiotkę. – Helena wciąż była obrażona, że Igor naigrawa się z niej za ów nieszczęsny krzyk po polsku. Miała świadomość, że gdyby nie trafiła na Łyszkina, albo by już nie żyła, albo wylądowała na gestapo.

– Po prostu obawiam się, to wszystko. Ale wiesz co, wyglądasz bajecznie i szczerze żałuję, że nie mogę ci towarzyszyć – dodał ugodowo i puścił do niej oczko.

– Daj spokój, dobrze, że ze mną nie idziesz. Jesteś narwany i zaraz zacząłbyś strzelać. A tam nie miałbyś gdzie schować trupa i oboje mielibyśmy problemy – odcięła się.

Kiedy Helena udała się na raut, Igor nie mógł znaleźć sobie miejsca. Wyrzucał sobie, że powierzył zbadanie terenu kompletnie nieznanej mu kobiecie. Jednak jego pierwotny plan miał luki i Helena dosłownie spadła mu z nieba. W końcu ktoś mógł znać Lahma, zapytać o niego portiera czy recepcjonisty i wówczas wydałoby się, że ktoś podszywa się pod Huberta.

Po dwóch godzinach usłyszał ciche pukanie do drzwi i kiedy zapytał, kto śmie go niepokoić, usłyszał ściszony głos Heleny.

– To ja, otwórz.

Zrobił to i od razu zgromił ją wzrokiem, bo nie taka była umowa. Helena miała pokręcić się po sali bankietowej i obserwować Waltera Huppenkothena, po czym zadzwonić do niego z recepcji, gdy ten będzie wracał do swojego pokoju. A gdy on pójdzie zapolować pod drzwi swojej ofiary, ona weźmie dokumenty Lahma i zniknie.

– Co jest grane? – zapytał.

– Zmieniłam nasz plan – powiedziała beztrosko.

– To znaczy?

– To znaczy, że *SS-Oberführer* Walter Huppenkothen jest psem na baby. Od razu zwrócił na mnie uwagę i zaczął mnie adorować. Nie zajęło mu wiele czasu, by zaproponować mi wspólne spędzenie nocy. Zatem do jego

pokoju dotrzemy razem. Wtedy zostawię was samych, ale pod warunkiem, że najpierw dasz mi papiery – powiedziała dość stanowczo.

– Heleno, sądziłaś, że chcę cię wykiwać? Po co? Te dokumenty mnie nie interesują – zdziwił się.

– Obawiałam się, że nie zdążę, jeśli Huppenkothen podniesie alarm – mruknęła.

Igor patrzył na piękną Helenę i jak bumerang powróciły do niego wspomnienia z podobnej akcji. Tylko wtedy przynętą była Marina i niestety zakończyło się to dla niej tragicznie.

– W takim razie, Heleno, ja rezygnuję. – Wyjął z walizki dokumenty, które chciała zdobyć dziewczyna, i podał jej. – Proszę. A teraz znikaj.

– Kiedy ja chciałabym ci pomóc… Dla mnie każdy niemiecki trup to powód do radości – powiedziała, uśmiechając się.

– Jednego ci podarowałem w prezencie. Leży w skrzyni na pościel. Bierz te dokumenty i wynoś się, do cholery!

Dziewczyna spuściła głowę, przez chwilę milczała, po czym podeszła do Igora i pocałowała go w policzek.

– Dobrze, będzie jak zechcesz. Spławię go, zanim wsiądzie do windy i zadzwonię – zapewniła potulnie.

– Nie musisz tego robić – mruknął. – Masz to, na czym ci zależało, nie musisz już dawać się obmacywać jakiemuś szwabowi.

– Poradzę sobie. – Puściła do niego oko i wyszła.

***

Telefon zaterkotał grubo po północy.

– Pokój dwieście pięć. Wchodzi do windy i… Żegnaj – powiedziała cicho do słuchawki Helena i rozłączyła się.

Igor jednym susem znalazł się w wąskim hotelowym korytarzu i pobiegł na drugie piętro, by czatować na *SS-Oberführera*. Skrył się za filarem i chwilę potem Huppenkothen ukazał się w drzwiach windy. Lekko zataczając się, podszedł do swojego pokoju, wyciągnął klucz i próbował trafić do zamka. Igorowi wydawało się, że sprawa jest prosta. Pijany człowiek ma przeważnie kiepską koordynację ruchów, słabą czujność i staje się łatwym celem. Gdy tylko Huppenkothen otworzył na oścież drzwi, Łyszkin podbiegł do niego i wepchnął do środka. Już wyciągał dłoń ze stalową linką, by

jego ofiara skończyła swój żywot, jak Hubert Lahm, gdy pijany Niemiec wydobył broń, odwrócił się gwałtownie i wystrzelił. Igor kompletnie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Zachwiał się jedynie, gdy padł strzał. Został raniony w prawe ramię, momentalnie stracił czucie w ręku i nawet nie próbował sięgnąć po pistolet, tylko spłoszony wybiegł z pokoju. Pijany oficer ruszył za nim i zaczął, nieco na oślep, oddawać strzały.

Igor wiedział, że za chwilę w hotelu zrobi się prawdziwe piekło, chociażby dlatego, że ruszą do akcji psy Globocnika. W żadnym wypadku nie mógł wyjść z hotelu głównym wyjściem albo udawać zatrwożonego oficera SS, bo jego mundur zdążył już nasiąknąć krwią. Gdyby zabił Huppenkothena, mógłby powiedzieć, że po prostu oberwał od sprawców napadu na niego, ale wiedział, że za chwilę może stanąć z nim twarzą w twarz i wówczas wszystko się wyda. Otworzył jedno z okien w korytarzu i wyskoczył na ulicę. Na szczęście była głęboka noc i nikogo w pobliżu, ale miał świadomość, że za chwilę ciszę nocną rozerwie stukot wojskowych butów, a cały hotel i sąsiednie ulice zostaną otoczone.

Jakaś zdezelowana furgonetka zatrzymała się przy trotuarze i Igor usłyszał głos Heleny.

– Wsiadaj, żołnierzu, tylko szybko…

Wskoczył do samochodu i dziewczyna ruszyła z impetem.

– Wiedziałam, że trzeba cię przypilnować, bo spaprzesz sprawę – powiedziała nieco złośliwie.

– Skąd się tutaj wzięłaś? – jęknął.

– Pomyślałam, że gdy zabijesz tego skurwiela, przyda ci się jakaś droga ewakuacji – odparła beztroskim tonem.

– Tylko co teraz? – zapytał dosyć bezradnie.

Nie chciał jechać do swojej kwatery, bo gdyby ktoś spostrzegł przesiąknięty krwią mundur, na pewno wszczęłby alarm. Nawet jeśli miałby dobre intencje i chciał jedynie pomóc, zainteresowanie jego osobą byłoby bardzo w tym momencie niepożądane.

– Pojedziemy do madame Isabel – zarządziła. – Tam nie będą cię szukać, a jeśli nawet, nikogo nie zdziwi oficer niemiecki leżący rozebrany w łóżku.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek mnie widział. – Igor czuł się coraz gorzej, a krwi wciąż przybywało.

– Zaufaj mi – mruknęła.

– Chyba nie mam wyboru – powiedział cicho i stracił przytomność.

***

Ocknął się, gdy już ostre słońce wdzierało się przez zasłony i łaskotało mu twarz. Wokół było bardzo cicho i pachniało lawendą. Rozejrzał się po dziwacznie urządzonym pokoju, przywodzącym mu na myśl damski buduar w renesansowych pałacach. Nad głową miał baldachim z grubego sukna, pokryty brokatem, a poduszka obszyta była kilkoma rzędami koronek. Zasłony w oknach także połyskiwały, jak również stojąca w głębi pokoju kanapa. Zapewne ów apartament w burdelu madame Isabel należał do tych najbardziej luksusowych i zapraszano do niego jedynie najznamienitsze osoby. Pomyślał, że to nie było najlepsze rozwiązanie, by umieszczać go w tak ekskluzywnym pokoju. Po chwili doszedł do wniosku, że najwyraźniej wypadek przy pracy Heleny naprawdę był ewenementem i dziewczyna dobrze wiedziała, co robi.

Obolały zwlókł się z ogromnego łoża i ostrożnie otworzył duże białe drzwi. Ujrzał kubły z farbą, pędzle i rozłożone stare gazety. Pod ścianą stała oparta drewniana, pobrudzona farbą drabina. Od razu pojął, że to piętro zostało wyłączone z użytku na czas remontu i dlatego mógł się wylegiwać na tym królewskim łożu, w otoczeniu barokowych sztukaterii.

„Czy ja zawsze muszę lądować w burdelu?” – pomyślał ze złością Igor, wspominając podobny przybytek w Kijowie.

Powrócił na swoje wytworne posłanie i spróbował poruszyć postrzeloną ręką. Od razu poczuł niewymowny ból, a na jego czole pojawiły się krople potu. Tak, było zdecydowanie za wcześnie, by opuścić ten przybytek. Miał jednak nadzieję, że niebawem to nastąpi, musiał bowiem nadać meldunek do Moskwy, iż koncertowo spieprzył sprawę.

Po kilku godzinach patrzenia w sukno baldachimu doszedł do wniosku, że tacy jak on nigdy nie powinni się zakochiwać. Bo tracą czujność. Najpierw dał się złapać gestapo z powodu swojej miłości do Hanki, a teraz oberwał, bo zamiast maksymalnie skoncentrować się na zadaniu, powracał myślami do niej i Hermanna Ritza.

Pod wieczór ujrzał swoją wybawicielkę. Musiał przyznać, że Helena naprawdę była piękna i pociągająca. „Musiałem zdurnieć. Jest tyle pięknych kobiet. I chętnych, by je zaspokajać, a ja wciąż wzdycham do dziewczyny z rumiankiem we włosach” – pomyślał.

– Przyniosłam ci obiad i butelkę pierwszorzędnego wina. Niestety, wpadłam tylko na chwilę, ale jutro znowu przyjdę – powiedziała ze śmiechem.

– Nie zostaniesz ani chwili ze mną? – zapytał żałośnie. – Świra dostanę…

– Nie mogę. – Wydęła usta i rozejrzała się po pokoju. – Ale wiesz co, włączę ci gramofon. Żebyś nie czuł się taki samotny.

Podeszła do lakierowanej szafki i otworzyła wieko. Wsunęła na talerz płytę i delikatnie położyła na niej ramię gramofonu. Igor usłyszał charakterystyczny szum przesuwającej się po płycie igły, a potem nieco chrapliwy głos Hanki Lewin: „Uliczkę znam w Barcelonie, bardzo lubię chodzić po niej…”.

Nie pamiętał, kiedy wyszła piękna Helena i czy się z nią pożegnał. Przymknął powieki i przypomniał sobie pewien wieczór w Bocianowie, gdy Hanka stała przed nim, z niedbale upiętymi włosami, ubrana w prostą sukienkę, i śpiewała tę piosenkę tylko dla niego. Poczuł, że coś ściska go za gardło, a łzy zbierają się pod powiekami. I wiedział już, że bez względu na to, ile pięknych kobiet jeszcze spotka na swojej drodze i jak bardzo będzie starał się oszukiwać samego siebie, to teraz pragnie tylko jednej, jedynej kobiety na świecie… Hanki Lewin.

40. Warszawa, 1943

Alicja była bardzo zdenerwowana przed akcją „Góral”. I powodem było nie tylko ogromne ryzyko, jakie niosła, ale fakt, że „Kary” po prostu postanowił zniknąć z jej życia. Uznała, że ten stan zapewne nie potrwa długo, ale minęło już kilka dni, a on wciąż się u niej nie pokazywał. A ona musiała być skupiona i czujna, by wszystko poszło jak trzeba, więc ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała, to awantury z Sergiuszem. I to w chwili, gdy zdawało się, że wszystko jest jasne, a między nimi jest lepiej niż kiedykolwiek.

Mimo całej sympatii dla „Sowy” chciała, by ta jak najszybciej opuściła mieszkanie na Brzeskiej albo żeby Julian w końcu zdecydował się na powrót pod czułe skrzydła pani doktor. Pragnęła, aby w końcu zostali sami. Ona i Sergiusz. Tymczasem jedyne, co im pozostawało, to ukradkowe pocałunki i drobne czułości chwytane w tych nielicznych chwilach, które spędzali razem.

Alicja starała się nie myśleć o spotkaniu z Chełmickim i incydencie w rikszy. Dla niej temat był zamknięty, a rozważania, czy wciąż go kocha, po prostu odfrunęły. Z pewnością fakt, że pracowali nad najbardziej bezczelnym napadem w tym stuleciu, pomagał jej skupić się na innych sprawach.

Oto został wyznaczony dzień, kiedy mieli dokonać skoku na samochód przewożący pieniądze z Banku Emisyjnego przy Bielańskiej do bocznicy kolejowej Dworca Wschodniego. Po napadzie ciężarówką wypełnioną banknotami miał odjechać Julian. Drugą furgonetkę będącą w dyspozycji kompanii – obstawa, którą ona dowodziła. Zaś sygnałem o wyruszeniu konwoju powinien być telefon wykonany przez Kamila Grotowskiego do jednej z kawiarni, gdzie uczestnicy napadu czekali na sygnał do rozpoczęcia akcji.

Na tę okazję postanowiono sprezentować członkom kompanii nowe steny i visy. Oczekiwali na te dary w starej stolarni, wciąż rozprawiając o wszelkich przeszkodach, jakie mogą napotkać. Alicja jednak była o to spokojna. Uwzględniła niemal wszystko…

Nie przewidziała jednego. Czegoś kompletnie banalnego i oczywistego. Tego, że nowiutką broń służącą do skoku stulecia dostarczy nie kto inny, tylko stały dostawca, „Kary”. I nie byłoby w tym nic dramatycznego, gdyby nie to, że gdy stanął w drzwiach stolarni, od razu skierował swój wzrok na stojącą parę, która uśmiechała się do siebie i żywo o czymś dyskutowała.

I dopiero wówczas, gdy Alicja zobaczyła ostry wzrok Sergiusza, dotarło do niej, że popełniła błąd, ukrywając przed nim bliską współpracę przy tej akcji z Julianem. Miała zamiar jakoś delikatnie go o tym poinformować, najlepiej po upojnej nocy, gdy uwierzy, że pragnie być tylko z nim, ale do cholery jasnej, wszystko sprzysięgło się przeciwko nim i przez ten czas, odkąd „Kary" powrócił z Hiszpanii, nie mieli ani jednej chwili intymności.

– Pomóżcie mi wypakować skrzynie – powiedział zduszonym głosem Sergiusz i nie obdarzył zgromadzonych ani dowcipem, co czynił zawsze, ani szerokim uśmiechem, co robił bardzo często.

Dwóch chłopaków od razu podbiegło do wyjścia, by pomóc przy rozładunku. Sergiusz wyszedł razem z nimi na zewnątrz, nawet nie odpowiadając na powitanie Chełmickiego. Alicja stała jak zamurowana i nie miała pojęcia, czy lepiej będzie wybiec od razu i spróbować z nim porozmawiać, czy odczekać, aż ochłonie i dopiero wówczas pokazać mu się na oczy.

Pomyślała również, że źle to rozegrała. Po kilku minutach jednak zrobiła się nieco zła. Zwłaszcza gdy do stolarni powrócili ze skrzyniami sami chłopcy z grupy, a „Kary" odjechał, z nikim się nie żegnając. „Cholerny zazdrośnik. Przecież powinien się domyślić, że Chełmicki nie będzie siedział z założonymi rękoma, tylko rzuci się do walki i nawet ubytki w pamięci go nie powstrzymają".

Zastanawiała się, gdzie teraz uda się Sergiusz. Na pewno nie przyjdzie na Brzeską, by spędzić z nią kolejną noc na podłodze, a jeśli powróci do siebie, będzie musiał znowu przebywać w towarzystwie Chełmickiego.

– Czy to już wszystko? – zapytała drżącym głosem, chcąc jak najszybciej opuścić stolarnię i zastanowić się, co zrobić.

– Ty idź, my musimy jeszcze przygotować wózek, żeby przypadkiem nie sprawił nam żadnej niespodzianki. Podobno ostatnio lubiło od niego odpadać kółko. – Chełmicki uśmiechnął się do niej.

Był tak pochłonięty akcją, że nawet nie zwrócił uwagi na takie niuanse jak wkurzona mina „Karego". Być może nawet nie pomyślał, że może być powodem takiego zachowania, a nawet jeśli, niespecjalnie się tym przejął.

Pogrążona w myślach Alicja wyszła ze stolarni i tak jak niedawno poradził jej pewien duchowny, wsłuchała się w głos serca. A ono jej powiedziało, że ma iść prosto do pralni Sergiusza.

W niewielkim okienku sutereny, gdzie mieściła się pralnia Czyścioszek, paliło się mdłe światło. Ze ściśniętym gardłem Alicja otworzyła drzwi. Było

pusto, ale usłyszała jakieś dźwięki na zapleczu. Weszła do pokoju, gdzie niegdyś ona i Mateuszek dostali od Sergiusza schronienie i zobaczyła go, jak gmera śrubokrętem w ciężkim żelazku na prąd, którego używano do prasowania marynarek i innych okryć wierzchnich.

– Sergiusz… – powiedziała cicho.

Nie podniósł głowy i nie odezwał się słowem.

– To nic nie znaczy… – jęknęła.

Popatrzył na nią zimno.

– Gdyby nic nie znaczyło, powiedziałabyś mi o tym. To proste, nawet dla takiego zakochanego durnia jak ja – powiedział spokojnie, z lekkim zawodem w głosie.

– No wiem, powinnam od razu ci powiedzieć, ale wiesz, jakoś nie było okazji. – Postanowiła zbagatelizować całą sprawę, ale to tylko rozzłościło Sergiusza.

Chwycił rączkę żelazka i z impetem rzucił nim o ścianę. Ciężki przedmiot trafił w wiszącą po przeciwnej stronie szafkę z witryną, która runęła z hukiem na podłogę. Szkło rozprysło się po całym pomieszczeniu.

– Wynoś się! – wysyczał.

Alicja jednak wciąż stała oniemiała. Nie wiedziała, czy bardziej była skonsternowana roztrzaskaną szafką i dziurą w ścianie, czy słowem, jakiego nigdy wobec niej nie użył.

– Nie słyszałaś?

– Kocham cię – wyszeptała.

Tym razem padło na metalowy dzbanek z wodą, którą zwilżano ubrania podczas prasowania. Do dziury w ścianie dołączyła mokra plama.

– A ty słyszałeś? – zapytała spokojnie. – Kocham cię.

Podszedł do niej i wpił się w jej usta, by po chwili odsunąć się i powiedzieć:

– To masz problem, moja mała, przebiegła Alicjo. A teraz idź już… zanim zdemoluję sobie całą pralnię.

– Wiesz, że gdybym tego nie czuła, nie powiedziałabym… – załkała.

– Ależ ja ci wierzę… Twój problem nie polega na tym, że mnie kochasz, ale na tym, że nie przestałaś kochać jego – powiedział cicho.

– To nie tak… Sergiusz, to nie…

Nie dokończyła. Nie było już sensu tego dnia rozmawiać z „Karym” o czymkolwiek. A może dotarło do niej, że on ma rację i gdzieś na dnie jej

serca Julian wciąż był obecny.

***

Chełmicki i Alicja siedzieli w kawiarni i w napięciu czekali, aż zadzwoni stojący na kontuarze telefon. Kilka minut po dziewiątej w istocie aparat zaterkotał, a krzątająca się za barem kobieta podniosła słuchawkę. Rozmowa trwała bardzo krótko i barmanka popatrzyła w kierunku pary siedzącej przy stoliku. Podeszła do nich z drewnianą tacą i stawiając na niej puste filiżanki, szepnęła:

– Ciotka zajechała.

– Dziękuję pani – powiedział dość głośno Julian i położył na stole banknot. – Reszty nie trzeba.

Następnie wstał powoli i odsunął krzesło swojej towarzyszce. Opuścili kawiarnię nieśpiesznie, jakby w istocie przyszli tu jedynie, by napić się kawy. Wsiedli na pakę stojącej nieopodal kawiarni furgonetki i poczekali, aż reszta chłopaków opuści lokal i do nich dołączy. Po chwili Chełmicki dał sygnał, by ruszali.

Dotarli do Miodowej i ustawili się na swoich pozycjach. Jeden z chłopaków wypchnął zza bramy drewniany wózek wypełniony jarzynami i owocami. Reszta ukryła się na klatkach schodowych budynków stojących wzdłuż ulicy i czekała na sygnał od dwóch dziewcząt spacerujących po Senatorskiej, że oto konwój zbliża się do Miodowej.

Około godziny jedenastej konwój powoli zbliżył się do przecznicy. Ogromna ciężarówka marki Mercedes, pomiędzy motocyklem i gazikiem z obstawą. Jedna z dziewcząt zdjęła z głowy słomkowy kapelusz. I wtedy „Brązowy” wypchnął na jezdnię, tuż przed nadjeżdżającą ciężarówkę, wózek z jarzynami. Zrobił to szybko i tak gwałtownie, że kierowca pojazdu odruchowo wcisnął hamulec i ze zgrzytem zatrzymał się na brukowanej ulicy. W tym momencie z jednego z budynków wybiegli Julian, „Makaron” i „Pawełek” i zaczęli najpierw ostrzeliwać szoferkę, a potem dwóch z nich pobiegło na tyły ciężarówki i odstrzeliło plombę na ciężkich metalowych drzwiach. Musieli uważać, bo wewnątrz znajdowali się nie tylko niemieccy strażnicy bankowi, ale także polscy pracownicy.

Julian wypchnął z szoferki zabitego kierowcę i sam zasiadł za kierownicą. Odpalił silnik i w lusterku obserwował tyły. Ubezpieczeniem zajęła się gru-

pa dowodzona przez Alicję i wkrótce cała ulica wypełniła się hukiem strzałów. Wszystko trwało zaledwie dwie i pół minuty, kiedy Chełmicki zobaczył w lusterku „Makarona”, dającego sygnał do odjazdu. Stalowy kolos ruszył powoli przed siebie. Julian był nieco przerażony, bo pierwszy raz prowadził tak ogromny samochód, ale docisnął gazu i udał się w kierunku mostu Kierbedzia.

Polscy bankierzy siedzący w ciężarówce z pieniędzmi rozpierzchli się w bramach i zaułkach, a pozostałe osoby leżały na jezdni, w kałużach krwi. Nastała kompletna cisza, a ulica opustoszała. Alicja wraz z chłopcami stanowiącymi obstawę wskoczyła na pakę samochodu, którym przyjechali, i ruszyli z impetem w stronę mostu.

– Poczekajcie! – krzyknęła Alicja, jednocześnie stukając w szybę szoferki. – Zatrzymaj się, do cholery! Tam został „Pawełek”.

Ciężarówka zatrzymała się. Trzech chłopców wyskoczyło z samochodu. Podbiegli do leżącego „Pawełka” i przenieśli do pojazdu. Alicja dała sygnał, że mogą ruszać. Rannym od razu zajęli się studenci medycyny i rychło stwierdzili, że konieczna jest natychmiastowa operacja, w przeciwnym razie ich kompan nie przeżyje.

– Co robimy? – zapytał jeden ze studentów. – Możemy pojechać na Wolską, do profesora. Zapewne nie odmówi pomocy, jednak mamy rozkaz, żeby dotrzeć na Żoliborz najszybciej jak to możliwe.

– Tutaj ja wydaję rozkazy – powiedziała Alicja i krzyknęła do chłopaka w szoferce: – Jedziemy do szpitala, na Wolską.

Kierujący samochodem pokiwał głową na znak, że zrozumiał, i ruszył w stronę szpitala.

– Stój! – krzyknęła kolejny raz. – Jeszcze jeden.

Siedzący w samochodzie mężczyźni rozejrzeli się wokół siebie i jeden z nich zapytał ze zdziwieniem:

– Wszyscy już są. Kogo brakuje?

– To człowiek, który nadał nam sygnał. Stoi tam, pod ścianą, i chyba dostał w nogę – powiedziała szybko.

Kilkadziesiąt sekund później obok niej siedział z wykrzywioną z bólu twarzą blady Kamil Grotowski.

– Dziękuję – wyszeptał – że pani wróciła.

– Teraz jest pan jednym z nas. – Uśmiechnęła się do niego.

– Wydawało mi się, że już mi na niczym nie zależy. Moje żony, syn – wszyscy odeszli. A jednak tak bardzo chce mi się żyć – powiedział powoli i po chwili stracił przytomność.

Wyglądająca przez okno szpitala na Wolskiej siostra szarytka ujrzała na dziedzińcu wjeżdżającą z piskiem opon ciężarówkę i pomyślała, że wydarzyło się coś złego. Mimo znacznej tuszy przebiegła szybko po salach szpitalnych i przegoniła spod okien wyglądających przezeń pacjentów, nakazując natychmiastowe mierzenie temperatury. Następnie równie szybko udała się do gabinetu ordynatora i zakomunikowała mu, że przed szpital podjechała dość mocno podejrzana furgonetka, a w niej znajdują się jacyś młodzi ludzie, w których rozpoznała dwóch jego studentów.

– Proszę zejść na dół. Zawołam sanitariuszy i też zaraz przyjdę – zaordynował.

Siostra zbiegła na dół, wydała komendę innym zakonnicom i wyszła przed szpital. Nos jej nie mylił. Na pace samochodu siedziało kilkunastu młodych ludzi z karabinami maszynowymi w dłoniach i dwaj ranni. Jeden w brzuch, drugi w udo. Siostra przeżegnała się i rozejrzała dookoła. Wbiegła z powrotem do szpitala i minutę później w drzwiach pojawiły się dwie młode zakonnice, trzymające w dłoniach ogromny wiklinowy kosz wypełniony brudną bielizną.

– Ale te cacka, moi drodzy, to wrzucać mi tu szybciutko. Chyba nie chcemy mieć tutaj na głowie całego gestapo – rozkazała.

– Oczywiście, siostro – powiedział jeden ze studentów. – Któż śmiałby się z siostrzyczką spierać.

– Ty nie bądź taki hop do przodu – burknęła z udawaną złością zakonnica. – Jeszcze jakie nieszczęście na profesora sprowadzicie. I jeszcze raz zobaczę, że mi nowicjuszki bałamucicie i bezeceństwa opowiadacie, to jak mi Bóg miły, za próg nie wpuszczę.

– Jakie bezeceństwa? – zaperzył się drugi ze studentów. – Jak tylko siostrzyczce Klarysie powiedziałem… Powiedziałem tylko, że chętnie bym zobaczył wisienki…

Pulchna zakonnica zatkała dłońmi uszy i uciekła, speszona.

– Zawstydziłeś siostrę Bonawenturę. Nieładnie – mruknął jego kompan, ale chwilę potem nie było już czasu na żarty, bo należało zająć się rannymi.

Wszyscy czekali w szpitalnej pralni na wynik operacji. Musieli potem zabrać rannych do pewnej kryjówki, bo wiedzieli, że za kilka godzin rozpęta

się w Warszawie piekło. Zapewne gestapo zrobi kipisz w każdej medycznej placówce, by znaleźć rannych i dobrać się do skóry winnym napadu na konwój.

Po dwóch godzinach w pralni pojawił się lekarz i powiedział stanowczo:

– Jednego możecie zabrać. Na szczęście kula nie uszkodziła tętnicy udowej. Ale ten drugi… Jego stan jest zbyt poważny.

– Doktorze, nie mogę mówić o szczegółach, ale gestapo nie może go dopaść – powiedziała Alicja.

– Młoda damo, domyślam się, że nie oberwał w wesołym miasteczku podczas strzelania do pluszowych misiów. Umieszczę go na oddziale gruźliczym. Gestapo raczej się tam nie zapuszcza – zdecydował ordynator.

– Profesorze, a jeśli… – zaczęła Alicja, ale przerwał jej.

– Zabierając go teraz, szanse na przeżycie ma minimalne, na gruźliczym oceniam je na siedemdziesiąt procent. – Zmarszczył czoło i dodał: – Broń na razie ukryły siostrzyczki, odbierzecie ją innym razem, ale teraz zmykajcie.

Alicja nie dyskutowała. Jeśli teraz uparłaby się, żeby „Pawełka” zabrać ze sobą, to tak jakby zostawili go tam, na ulicy, by się wykrwawił. Miała nadzieję, że ten chłopak przeżyje. Nie skończył jeszcze dwudziestu lat, całe życie było przed nim. Tak jak przed wieloma innymi, których znała, a którzy zginęli albo od kul, albo zamęczeni na Szucha. Ci, co ocaleli, jednak wciąż widzieli sens w tym, co robili. Mieli w sobie niezmierzone pokłady odwagi i wiary, że kiedyś zwyciężą.

Ona miała w sobie nieco mniej optymizmu. Gdyby była na początku swojej przygody z konspiracją, nigdy nie ryzykowałaby życia. Może dlatego, że była potrzebna swojemu synowi. A teraz było już po prostu za późno. Weszła w ten wir zdarzeń, wciągnięta trochę przez głupotę, trochę przez przypadek, i tkwiła w nim, ale wciąż szukała sposobu, by nie dać się zabić.

Sergiusz niekiedy drażnił ją swoim pragmatyzmem i dystansem do otaczającej go rzeczywistości. Jednak taki kubeł zimnej wody był jej niekiedy potrzebny, by nie planować akcji, które obarczone były zbyt dużym ryzykiem. „Kary” uważał, że tę wojnę Polska już przegrała, więc nie ma sensu poświęcać życia młodych ludzi, jeśli losy kraju i tak rozstrzygają wielcy politycy w swoich przepastnych gabinetach. Kiedyś sądziła podobnie, nawet teraz nie była pewna, czy te wszystkie działania mają sens, ale myśl, iż należało się poddać i godzić na wszystko, czego chciał okupant, sprawiała,

że zaciskała ze złości zęby. Miała wówczas ochotę, żeby pokazać Niemcom, iż nie tak łatwo złamać ich ducha.

Kiedy dotarli do punktu, worki z pieniędzmi zajmowały niemal całą powierzchnię pomieszczenia.

– Na miłość boską, Alicja! Gdzie się, do cholery, podziewaliście? – zapytał zatrwożony Chełmicki.

– „Pawełek” oberwał. I Kamil. Muszę znaleźć jakieś lokum Kamilowi, bo przecież nie może teraz wrócić do pracy w banku, jakby nic się nie stało. „Pawełek” musiał zostać w szpitalu – mówiła szybko Alicja.

– To przy okazji mnie znajdź jakiś lokal – mruknął Julian. – „Kary” jest nie do wytrzymania. Zresztą nie chcę narażać jego spokojnej egzystencji na jakieś wstrząsy.

Ostatnie zdanie Julian wypowiedział z sarkazmem, chociaż gdyby nie Sergiusz, pewnie do tej pory tkwiłby w Hiszpanii. Jednak chwilami żałował, że otrzymał pomoc właśnie od niego. Niemożność wykrzyczenia „Karemu”, że ten zachowuje się wobec niego po prostu po chamsku, była dla Juliana ogromnie męcząca.

– A Weronika? – zapytała Alicja.

– Na pewno ją odwiedzę. – Uśmiechnął się.

Lokal powoli pustoszał. „Makaron” zabrał ze sobą rannego Grotowskiego, pozostali rozeszli się. Alicja rozejrzała się po pomieszczeniu pełnym worków z pieniędzmi, za które mogłaby żyć przez resztę życia w dowolnym miejscu na ziemi. Ona i jej rodzina…

– Udało się. – Roześmiała się.

– Udało się. Jak cholera. Tutaj jest ze sto milionów. Za te pieniądze kupimy nową broń! – wykrzyknął Chełmicki, chwycił Alicję wpół i okręcił kilka razy wokół siebie.

„Zawsze taki sam. Bóg, honor, ojczyzna” – pomyślała Alicja z przekąsem, ale szanowała go za to.

W końcu zatrzymał się i spoważniał. Złapał Alicję za ramiona i popatrzył na nią.

– Alicja, wiem, że nie tak miało być. Jeszcze niedawno obiecałem sobie, że będę sam, dopóki… Nieważne, cholera, spróbujmy jeszcze raz. Proszę! – W jego głosie brzmiała już nie nadzieja, ale entuzjazm.

Położyła dłonie na jego rękach i zdjęła je ze swoich ramion. Ona także przestała się uśmiechać.

– Ależ, Julianie… Ja ochłapów nie zbieram – powiedziała zimno i opuściła magazyn na Żoliborzu.

Postanowiła, że rozdysponowaniem i rozlokowaniem pieniędzy zajmie się następnego dnia. Szła ulicą w kierunku przystanku tramwajowego. Powinna cieszyć się, że Julian w końcu się zdecydował, ale nie potrafiła. Jak to powiedziała jej babka: Alicja nie potrafiła być letnia i iść na kompromisy. Chciała mieć albo wszystko, albo nic. I nawet jeśli uczucia do Chełmickiego tliły się w jej sercu, zdecydowała, że powrót do niego nie wchodzi w grę. Mogli razem pracować, bo świetnie im to wychodziło, ale jeśli myślał, że rzuci mu się w ramiona, mając w pamięci jego zachowanie, gdy poroniła i uczuciowe rozedrganie w zależności od okoliczności, to pomylił się, jak nigdy w życiu. O Sergiusza mogła i chciała zawalczyć, o Juliana Chełmickiego już nie. Była na to zbyt dumna.

Julian pozostał sam w magazynie, otoczony niewyobrażalną ilością pieniędzy. To był naprawdę gruby numer. Największy, jaki wycięli okupantowi. Był z siebie dumny i był dumny z Alicji. Okazała się niesamowitym dowódcą i analitykiem. On myślał globalnie, ona rozkładała to na czynniki pierwsze. Cudownie się uzupełniali i idealnie do siebie pasowali, właśnie dlatego, że nieco się od siebie różnili. Gdy byli razem, było podobnie. Po prostu idealnie. I za tym tęsknił Chełmicki. Postanowił, że odzyska Alicję, nawet jeśli będzie musiał na nią czekać bardzo długo. Wiedział jednak, że jest coś winny także Weronice Sarnowskiej. Przede wszystkim uczciwość. Była cudowną kobietą. Piękną i mądrą. Jeśli zniknie z jej życia, będzie miała jeszcze szansę na normalność. I być może spotka na swojej drodze kogoś, kto nie będzie budził się codziennie z myślą, czy nie budzi się ostatni raz.

Zamknął starannie magazyn, modląc się w duchu, by żaden przypadkowy złodziej na niego nie natrafił, i wyszedł na ulicę. Zdawał sobie sprawę, że szef gestapo, Vader, zrobi w Warszawie prawdziwy horror. To musiało być upokarzające, że mając taki aparat represji, sprzęt i ludzi, dał się wystrychnąć na dudka grupce narwańców. I myśl o tym sprawiała, że Julian był jeszcze bardziej zadowolony z udanej akcji.

Dotarł na Hożą pod wieczór. Cicho zapukał do drzwi doktor Sarnowskiej. Był gotów, żeby powiedzieć jej prawdę i odejść. Nie zdążył jednak wypowiedzieć ani słowa, bo ta rzuciła mu się na szyję z głośnym szlochem. Nie-

mal siłą wprowadził ją do mieszkania, by nie wzbudzać sensacji wśród sąsiadów.

– Kochany mój… – wyrzucała z siebie słowa. – Julianie, kochany mój. Myślałam, że już nigdy cię nie zobaczę. Julianie…

– Weroniko… – Julian starał się mówić spokojnie, by doprowadzić ją do względnej równowagi.

– Kochany mój, już nic nie mów. I wybacz mi mój wybuch… Julianie, będziemy rodzicami, to prawie piąty miesiąc… Boże, odchodziłam od zmysłów. Bałam się, że nasze dziecko nigdy nie pozna ojca, a ja wydam na świat kolejną sierotę…

Słowa Weroniki docierały do Juliana Chełmickiego jakby w zwolnionym tempie. Weronika histerycznie reagująca na jego widok, Weronika w ciąży, piąty miesiąc, zostanie ojcem… Poczuł, że świat usuwa mu się spod nóg. I doszło w końcu do niego, że stracił Alicję Rosińską na zawsze i jego gorąca miłość do niej nie miała już kompletnie żadnego znaczenia.

41. Okolice Studzianek, 1944

Lato było znośne, jesień ponura, ale zima zdawała się dla Hanki i Ireny koszmarem. Lewinówna doszła do wniosku, że gdyby Irena pewnego dnia nie podjęła decyzji, by odejść od męża i przeprowadzić się na głuchą wieś, Hanka i jej dzieci umarłyby zimą z głodu albo zamarzły na śmierć. Lewinówna już nie myślała o swoich marzeniach i wielkim świecie, ale o przetrwaniu kolejnego dnia, gdy śnieg zasypywał ich chałupę aż pod parapety, mróz malował na brudnych szybach pejzaże, zaś spiżarnia świeciła pustkami. Nie pomagało też gorące uczucie, które miało rozpalić jej serce, bowiem i ono zostało zmrożone przez mróz i głód.

Irena weszła do izby, niosąc za uszy pokrwawionego zająca, którego udało się jej złapać w chałupniczo zrobione wnyki. Zdjęła sfatygowane rękawice i przytknęła dłonie do gorącego pieca.

– Piec gorący, a duje w chałupie jak na dworze – mruknęła, niemal całym ciałem przywierając do gorących kafli.

Hanka jednak była tak bardzo zadowolona ze zdobyczy „Wariatki”, że przestała myśleć o chłodzie. Oczami wyobraźni jadła już zupę ugotowaną na zajęczym tłuszczu i karmiła dzieci pieczonym mięsem. A potem… Byle do wiosny. Może wtedy Irena znowu znajdzie zajęcie, a ona posieje w ogrodzie marchew, posadzi kapustę i kartofle. O tak, wtedy będą mogły najeść się do syta. Zabiły już wszystkie kury, żeby przetrwać, ale kto wie, może na wiosnę uda się kupić chociaż kilka nowych. Na szczęście miały Maryśkę i mleko, ale ono było przeznaczone jedynie dla dzieci.

W chwilach, gdy siedziały ze skurczonymi żołądkami, żując jakieś resztki czerstwego chleba, Hanka opowiadała dzieciom o rarytasach, jakie dla nich kupi, gdy już wojna się skończy. Grześ niewiele rozumiał z opowieści swojej mamy, ale Nadia słuchała z wypiekami na twarzy o czekoladzie spływającej strumieniem ze specjalnej fontanny, maślanych tortach przyozdabianych owocami, wreszcie o prawdziwym kakao z pianką, które dzieci uwielbiały pić.

Niekiedy, gdy już wszyscy spali, Hanka zapalała łojową lampę i chociaż Irena rugała ją za marnotrawstwo tak cennego surowca, wyciągała stare listy od Hermanna Ritza, by przypomnieć sobie, że kiedyś była prawdziwą kobietą. Jakby w tej strasznej egzystencji walczyła o resztki godności, należne jej z racji urody i młodości. Niekiedy powracała także do tego ostat-

niego, który od niego dostała, choć robiła to rzadko, ponieważ był to list smutny oraz przepełniony goryczą i żalem. Kiedy wiekowy listonosz przywiózł go z poczty, lato zbliżało się ku końcowi. Dni robiły się krótsze, a wieczory już tak chłodne, że niekiedy musiały przepalać w piecu, by nie zmarznąć. Ucieszyła się z niego, jak zwykle, bo dzięki tym kilku zdaniom mogła chociaż na chwilę oderwać się od ponurej i nudnej rzeczywistości, przerywanej niekiedy odwiedzinami partyzantów, którzy zabawiali ją opowieściami o tym, jak tłukli Niemców albo polowali na zwierzynę w lasach.

Otóż w tym ostatnim liście Hermann napisał, że odchodzi z jej życia, bowiem jej kłamstwa są dla niego zbyt bolesne. Zarzucił jej, iż nie przyznała się do Ottona Kriegego, który kocha ją miłością tyleż piękną, co szaloną. A spotkał go i rozmawiał, a nawet pobił się z nim, bo stanął w obronie jej honoru, chociaż swoimi kłamstwami wcale na to nie zasłużyła. Obiecał jednak, że nie zdradzi miejsca jej pobytu, bo ów zakochany mężczyzna, którego ona znać już nie chce, mógłby zrobić jej krzywdę z zazdrości. Dowiedział się o ich zażyłości, jego prawie zabił, a i ona powinna się strzec. Wszystko jednak mogło wyglądać zupełnie inaczej, gdyby mu szczerze wyznała, że niegdyś zapałała gorącym uczuciem do jego rodaka.

Ten straszny, pełen wyrzutów list przede wszystkim wywołał w niej konsternację. I złość. Nie znała żadnego Ottona Kriegego ani nie przypominała sobie, aby w kręgu jej wielbicieli był kiedykolwiek oficer formacji spod trupiej główki. Nawet gdyby Ritz nie zakończył swojego wywodu prośbą, by już więcej do niego nie pisała i tak nie zrobiłaby tego. Jeśli nie chciał jej wierzyć, nie zamierzała powtarzać wciąż i wciąż, że nazwisko Kriege kompletnie nic jej nie mówi.

I kiedy tak zastanawiała się nad słowami Hermanna, na pierwszy plan wysuwały się stwierdzenia o owej szalonej i gorącej miłości, jaką ów nieznajomy jej oficer do niej pałał, i nagle przyszło olśnienie. Taką miłością kochał ją tylko jeden mężczyzna – Igor Łyszkin. Nikt inny. Zapewne udawanie przez niego szwaba nie było rolą, z którą by sobie nie poradził, skoro tak świetnie potrafił się wcielić w postać księdza. A jeśli to on?

Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy: „Boże, dziękuję, że przeżył”, druga: „Boże, on wie o mnie i Hermannie” i trzecia, że na pewno ją zabije, gdy ją kiedyś odnajdzie. Obawiała się, że nawet owa gorąca i namiętna miłość nie powstrzyma go, żeby, jak to określiła niegdyś Alicja, obedrzeć ją ze skóry. Postanowiła jednak nie oddawać się aż tak czarnym myślom, a jedy-

nie tej, że wciąż żyje i nie zapomniał o niej. A jeśli kiedyś się spotkają? Była pewna jednego: nie powie mu prawdy, by go nie stracić. Pozwoliła sobie raz jedyny na utratę zmysłów w ramionach Hermanna, a on i tak to odkrył. Musiał być naprawdę zdeterminowany, by ją odszukać, jeśli przyjechał aż do Hermanna, do Zamościa. Zapewne doniesiono mu w Magnuszewie o jego awansie i błyskotliwej karierze w nowym miejscu. Ale skąd, u licha, mógł wiedzieć, że wyjechała do Magnuszewa, jeśli profesor Litwin nie żył, a do Alicji nie dotarł na pewno? Poczuła lęk, że teraz przestanie ją kochać, jednak nie chciała dopuszczać do siebie takiej myśli zbyt często, bo była wystarczająco przygnębiona innymi okolicznościami.

– Jak nie będzie wyjścia, to okradnę kogo w Studziankach – dotarł do niej głos Ireny.

Hanka przykryła dłońmi listy Hermanna i popatrzyła na „Wariatkę” znad łojowej lampy.

– Co ty wygadujesz, Irena? – zapytała.

– A co będzie robić? Kartofle się skończyły, nawet te zmarznięte, Maryśka mleka tyle daje, że szkoda gadać, a z zagajnika to już chyba wszystkie zające wyłapałam. Żeby choć tu dziki żyły, tobym się z widłami gdzie zasadziła, ale jeszcze żadnego nie widziałam.

– Ja sarny widziałam. Takie małe jeszcze były – bąknęła Hanka, chcąc zachęcić Irenę do polowań na zwierzęta, a nie na sąsiadów.

– Wiem, ostatnio Ziutek taką dorwał, ale zeżarł wszystko do cna. Muszę co wymyślić, jak się na te małe cholery zasadzić – mruknęła Irena i powróciła do łóżka.

Teraz, zimą, wszyscy spali w jednej izbie, żeby było cieplej, i nakrywali się stosem piernatów, byle nie zamarznąć. Hanka przymknęła powieki i zacisnęła zęby. Postanowiła, że ostatni raz spędza zimę, głodując i marznąc do szpiku kości. Choćby miała się łajdaczyć za pieniądze, to nie dopuści, by kolejny raz przezimować w ten sposób. Przypomniała sobie swój piękny dom w Konstancinie. Wygodne łóżka, ogień trzaskający w kominku i tyle ciepłej herbaty z maślanymi ciasteczkami, ile tylko potrafiła zjeść. Ale wtedy pozwalała sobie na skosztowanie jednego lub dwóch, by pozostać wiotką i dobrze prezentować się w brokatowych sukniach. Dzisiaj za łyk prawdziwej herbaty i maślane ciastko mogłaby zabić. Od dawna już nie myślała o swojej figurze, a robiła się coraz szczuplejsza. Wystawały jej obojczyki i kości biodrowe, a policzki zapadały się jak u starej, steranej życiem kobie-

ty. Igor Łyszkin, udający niemieckiego oficera, zapewne wciąż wyglądał przystojnie i zdrowo. Może to i lepiej, że jej teraz nie mógł zobaczyć. Wtedy mógłby spostrzec, że po tej dziewczynie z rumiankiem we włosach, która śpiewała mu *Uliczkę w Barcelonie*, już nic nie zostało. Jedynie wspomnienie. I ono było chyba teraz lepsze dla Igora niż okrutna rzeczywistość.

42. Seehag/Jabłonka 1944

Niedzielne nabożeństwo w kaplicy w Seehag jak zwykle zgromadziło większość mieszkańców okolicznych wsi. Przyjeżdżali saniami, niektórzy nawet samochodami, a ci, co mieli najbliżej, po prostu przybywali piechotą. Kobiety wkładały na tę okazję futra i kapelusze, a mężczyźni kożuchy lub długie płaszcze z futrzanymi podpinkami. Każdy chciał się pokazać w swoim odświętnym stroju, bo wiadomo było, że po nabożeństwie jeszcze przez przynajmniej godzinę ludzie będą się witać, tworzyć grupki i gwarzyć o wszystkim, co ważne i mniej istotne.

Walter von Lossow przybywał do kaplicy furmanką, wraz z panią Lagendorf i jej córką, Brygide. Ze śpiewnikami w dłoni zasiadali w trzecim rzędzie od końca i obserwowali przybyłych do kaplicy sąsiadów. Walter jak zawsze wypatrywał Lilly Berg, która przyjeżdżała z rodzicami, ubrana w krótkie królicze futerko i fikuśny kapelusik, spod ronda którego spoglądały bystre oczy. Ona także szukała wzrokiem Waltera, by posłać mu spojrzenie pełne miłości i słodki uśmiech, co doprowadzało do szału panią Gertrude, która w takich chwilach trącała łokciem swoją córkę, jakby dając jej znak, by ta bacznie obserwowała tę parę. Jednak Brygide myślami była zupełnie gdzieś indziej, a zabiegi Lilly kompletnie jej nie obchodziły. Była wciąż szaleńczo zakochana w Janku i z radością wysłuchiwała komunikatów, że Niemcy zaczynają wycofywać się na zachód, co dawało nadzieję na rychłe zakończenie wojny. Inni mieszkańcy także pragnęli pokoju, ale łudzili się, że zwycięzcami zostaną Niemcy, a im nie spadnie włos z głowy. Dzielni chłopcy powrócą z frontu, a spacyfikowani mieszkańcy podbitych terenów będą stanowili tanią siłę roboczą, która pozwoli im żyć dostatnio.

– Jak tam, *Herr* Gąska, bydło wyzdrowiało? – zapytała Gertrude Lagendorf z zaciekawieniem, bowiem martwiła się, że i jej nieliczne stadko może podobną zarazę złapać.

– Nie – ze smutkiem odpowiedział Gąska. – Wczoraj padła kolejna krowa, nawet ściągnąłem weterynarza z Neidenburga, ale on twierdzi, że na tę zarazę lekarstwa nie ma. To pryszczyca, pani Lagendorf. Trzeba całe stado wybić.

– To niedobrze, panie Gąska, trzeba by nasze bydło jakoś odizolować, bo to przecież roznosi się… – westchnęła Gertrude.

– No właśnie… Pani Lagendorf, ja wyczuwam tutaj sabotaż. Ktoś mi te krowy zaraził i pewnie dalej nie odpuści. Ten weterynarz mówi, że to prosta rzecz, jak komuś zależy. Bo to i od ludzi można tę zarazę złapać. – Gąska zacisnął zęby.

– Panie Gąska, co pan za panikę siejesz? A kto niby miałby się na nasze krowy zasadzać? – Pani Lagendorf prawie go wyśmiała.

Stary Gąska nachylił się do Gertrude i szepnął jej do ucha:

– A z tego obozu to przecie te łajzy do rzeki, do roboty prowadzą, a i te Polaczki, co u was pracują, są mocno podejrzane – konspiracyjnie powiedział Gąska.

– Coś pan, panie Gąska, piwska się pan ochlałeś czy co? Moi robotnicy są pilnowani. Franz Bauer ma na nich oko. I po co niby mieliby panu truć bydło? A nasze zostawiliby w spokoju? – zirytowała się pani Lagendorf i nie chodziło o to, że pałała specjalną sympatią do tych dwóch chłopaków, ale ona za nich odpowiadała i mogła mieć kłopoty, gdyby ktoś rzucił na nich podejrzenie.

– Ten jeden, Janek mu na imię, to podżega na polu innych, wyklina na nasze władze i nieraz słyszałem, jak Niemcom złorzeczył – prychnął Gąska.

– Toż on tylko w gębie mocny. – Gertrude machnęła ręką, kompletnie ignorując podejrzenia sąsiada.

– Może tak, a może nie. Wczoraj nadałem list do Neidenburga, na gestapo, żeby przyjechali i dobrze się tym ptaszkom przyjrzeli. A jak świadków znajdę na to, że wyklinali na władzę i mi bydło trują, to zabiorą ich i dopiero w więzieniu się nauczą szacunku – stanowczo dodał Gąska.

– Panie Gąska, co pan wygadujesz? Toż pan dopiero co z nabożeństwa wyszedł – burknęła Getrude Lagendorf.

Nie wzięła zbyt serio słów sąsiada. Znała go lat trzydzieści i niejeden raz słyszała jego teorie spiskowe, których nikt z mieszkańców nie brał na poważnie. Nie inaczej było, gdy zniknął jego syn. Każdy żałował kulawego Hansa, jednak nie wierzono w jakieś podejrzane historie. Więc gdy powtarzał każdemu, kto chciał słuchać, że syna mu zamordowano, kiwano tylko głowami, by w zaciszu domowym opowiadać sobie, że Gąskę podwójna tragedia spotkała, bo i syna stracił, i rozum.

Walter von Lossow jednak nie był taki spokojny, gdy stojąc obok rozmawiającej z ojcem Hansa pani Lagendorf, usłyszał teorie Gąski. Stary był nieobliczalny, więc jeśli wysłał donos na gestapo do Neidenburga, nieba-

wem zjawią się tajniacy, by zebrać informacje o Janku. Może nie wykryją bzdurnego spisku, jakoby zarażał krowy pryszczycą, bo było to niedorzeczne, ale mieszkańcy z pewnością opowiedzą o tym, co mówi, a nie było to dla władz niemieckich zbyt pochlebne. Może jeszcze rok czy dwa lata wcześniej zignorowano by takie donosy, ale im gorzej Niemcy sobie radzili na wschodzie, tym bardziej byli zacietrzewieni. Każda okazja była dobra, by nie tylko siać terror, ale także móc się pochwalić jakimkolwiek sukcesem. Nie było dobrze.

Lossow podszedł do Lilly rozmawiającej z przyjaciółką, przywitał się oficjalnie i powiedział:

– Musimy już wracać, Brygide.

– Daj nam trochę porozmawiać, Franz. A gdzie nam się śpieszy? – zapytała leniwie.

– Musimy porozmawiać – szepnął jej do ucha, po czym odszedł, by odwiązać konia i podjechać furmanką pod kaplicę.

Powróciwszy do domu, Franz zaproponował Brygide spacer, ku zadowoleniu jej matki i trwodze głównej zainteresowanej, bowiem taka prośba Franza Bauera mogła oznaczać jedynie komplikacje i kłopoty.

O tej porze roku nie było tak jak latem, gdy każda ścieżka i fragment brzegu zachęcały, by nieco poobcować z przyrodą i zachwycać się mazurskimi widokami. Zimą, gdy śnieg zalegał niemal wszędzie, pozostawała jedynie główna droga i kilka wydeptanych ścieżek, prowadzących do zamarzniętego jeziora, na którym wyłupywano przeręble, by łowić ryby i wpuścić pod lód nieco tlenu.

– O co chodzi? – zapytała Brygide.

– Gąska doniósł na gestapo, na Janka. Wysłał list, więc pewnie mamy kilka dni, ale mam obawy… – bez ogródek powiedział Lossow.

– Niech go szlag! – syknęła Brygide. – Ten chłop jest niespełna rozumu. Myślisz, że Janek może mieć przez to duże kłopoty?

– Znasz Janka. Chlapie ozorem, co mu ślina na język przyniesie. Ludzie nieraz słyszeli. Jak ich gestapo na spytki weźmie, pewnie powiedzą, że dowcipy opowiadał i wykrzykiwał: „Hitler kaput”. Z nimi żartów nie ma – zatrwożył się Walter.

– I co teraz? – Brygide spuściła głowę.

– Jedyne, co przyszło mi do głowy, to umożliwić Jankowi ucieczkę. Dam mu swoje papiery, które wystawił mi leiter w Orszy, i niech się zwija. A ja

zgłoszę zagubienie dokumentów lub kradzież, jak już Janek będzie daleko.

Lossow wymyślił ten plan, wracając z nabożeństwa. Nie zrobił tego z jakiegoś sentymentu dla Janka Solskiego ani nawet dla Brygide, ale bał się, że jak gestapo zacznie węszyć, może zainteresować się i jego osobą. Minęło, co prawda, wiele miesięcy, odkąd popełnił zbrodnię, ale wciąż był podszyty irracjonalnym lękiem, że wszystko się wyda, zwłaszcza że stary Gąska wciąż podsuwał mieszkańcom teorię o morderstwie, zapewne popełnionym przez któregoś z przymusowych. Był jeszcze jeden powód: jeśli Polak zniknie, a Gąska zarazi swoimi podejrzeniami gestapo, wówczas pierwszym podejrzanym stanie się Janek Solski spod Bydgoszczy. Nie było to może godne pochwały, by kierować podejrzenia na osobę niewinną, ale Walter chwilami myślał, że zwariuje. Szczególnie gdy ojciec Hansa opowiadał mieszkańcom swoje spiskowe teorie.

Brygide stała w oborze, gdzie sypiali Janek i Władek, i szlochała wtulona w ramiona kochanka. Obok stał Walter i przypatrywał się tej rozpaczliwej scenie pożegnania.

– Brygide… – powiedział cicho i dotknął ramienia dziewczyny. – Nie mamy czasu.

Odsunęła się od Janka i popatrzyła z żalem na Waltera, jakby szukała u niego ratunku.

– Franz… Ja ucieknę razem z nim – wyłkała.

Lossow był zaskoczony. Panna Lagendorf była naprawdę gotowa pójść na poniewierkę, byle być z ukochanym. Janek co prawda miał niemieckie papiery, ale jego język prezentował się mizernie. Zapewne Brygide przy jego boku rozwiązywałaby ten problem.

– Nie mogę ci niczego zabronić ani niczego narzucić – powiedział dyplomatycznie.

Sprawę jednak rozwikłał sam uciekinier.

– Brygidko, to biegnij do domu i spakuj tobołek. Nie obiecuję ci cudów, ale jesteśmy młodzi, zaradni i odważni. Damy sobie radę – powiedział do niej.

On także był zakochany w dziewczynie, ale nie chciał, by ryzykowała dla niego i rezygnowała ze spokojnego życia, by tułać się po świecie. Jeśli jednak sama zaproponowała wspólną ucieczkę, nie miał nic przeciwko temu.

Dziewczyna od razu poweselała i przemknęła do domu, by spakować plecak pozostały po starszym bracie i przebrać się w strój odpowiedni na tę

porę roku. Nie zastanawiała się nad tym, co poczuje jej matka, gdy zostanie kompletnie sama. Postanowiła, że napisze do niej, kiedy już nieco się urządzi. To było jej życie, miała już dwadzieścia lat i chciała o nim sama zdecydować. A teraz liczył się tylko Janek.

Walter nawet trochę mu zazdrościł, bo jego Lilly, krucha i cicha, nie odważyła się na taki krok, by uciec z nim w nieznane.

– Franz… – powiedział Janek, gdy zostali tylko we trójkę. – Nie wiem, jak mam ci dziękować. Szwab nie szwab, ale porządny z ciebie gość. Nikt nie zdobyłby się na coś takiego. Swoje dokumenty chowam tu, na belce. Może kiedyś ci się przydadzą, jak Ruskie przylezą ze wschodu. – Wskazał miejsce przy suficie i puścił oko do Waltera. – I Władkowi nie daj krzywdy zrobić, bo jak ucieknę, to mu żyć nie dadzą.

Lossow pokiwał głową, ale wcale nie był pewien, czy uda mu się ochronić Władka przez konsekwencjami, bo nikt zapewne nie będzie chciał uwierzyć, że ten o planach swojego kompana nie miał zielonego pojęcia.

Kiedy Janek ściskał mu dłoń i dziękował wylewnie za ostrzeżenie go przed gestapo, co różnie mogło się skończyć, Walter von Lossow kolejny raz poczuł się jak świnia. Może i w oczach Janka uchodził za „porządnego chłopa”, ale on wiedział, że jego intencje nie do końca były czyste. Za wszelką cenę pragnął odsunąć od siebie jakiekolwiek podejrzenia starego Gąski, a ucieczka Janka była ku temu doskonałą okazją. Pomyślał też o pani Lagendorf, której zawali się świat, jeśli dowie się, że jej jedyne ocalałe dziecko uciekło w nieznane z polskim robotnikiem przymusowym. Zapewne wciąż łudziła się, iż jej zięciem zostanie Franz, para przejmie po niej ziemię i wszystko ułoży się po jej myśli. Tymczasem nie dość, że straci córkę, spotka ją jeszcze jakaś kara za niedopilnowanie robotników. On co prawda także będzie narażony na niewygodne pytania, ale może ktoś pożałuje mężczyzny, którego opuściła kobieta dla innego, i w dodatku Polaka.

43. Kołyma, 1944

Olga potarła zmarznięte dłonie, poruszyła palcami i powróciła do przygotowywania porcji leków. Ustawiała potem małe naparstki na tacy i chodziła między łóżkami, by dawać je swoim pacjentom. Jeśli jednak widziała, że ktoś kona, odstawiała na bok naparstek i szła dalej. Taki był rozkaz: jeżeli ktoś przestawał rokować, przenoszono go do umieralni, a lekarstwo przeznaczano dla kogoś innego. Nie było czasu na rozczulanie się nad kolejnym przybyłym do ambulatorium więźniem.

Obóz był gotowy, więźniowie pracowali na *zaboju*, a wielostopniowy mróz nie tylko dziesiątkował ludzi, ale także niszczył ludzkie sumienia. Walka o przetrwanie łamała każdego. Nikt nie patrzył na przyjaźnie, altruizm, tylko żeby przeżyć. Normy wydobycia były drakońskie. Ale ich realizacja dawała możliwość otrzymania większej porcji jedzenia. Cóż jednak z tego, skoro wycieńczały organizm do tego stopnia, że najczęściej owi przodownicy nie mieli siły, by podnieść strawę do ust. Ci zaś, którzy starali się oszczędzać w pracy, przegrywali walkę z głodem. Olga zauważyła dziwne zjawisko: najszybciej umierali potężni, silni mężczyźni, zaś ci niewysocy i chuderlawi radzili sobie całkiem dobrze.

Olga nie wracała nawet myślami do człowieka, któremu kiedyś pomogła odejść z tego świata. W tym miejscu, zwłaszcza gdy nadeszły siarczyste mrozy, śmierci było więcej niż życia. Codziennie umierało kilka, a niekiedy kilkanaście osób. Nikt nie użalał się nad losem zmarłych, bo tu nie istniały prawdziwe przyjaźnie czy związki miłosne, nie było zatem po kim płakać. Martwych rozbierano do naga, przyczepiano do dużego palca u nogi tak zwaną *birkę* i dyżurni wozacy wywozili furmankami trupy daleko za obóz, by tam je wrzucać do bezimiennych grobów. Szkoda bowiem było ubrań dla osób, którym one już nie mogły się przydać. Bycie takim cmentarnym wozakiem to był dobry interes w „Raju”. Za ubrania, resztki machorki czy buty mogli dostać inne dobra. Pieniądz właściwie nie istniał w zbiorowej świadomości, więc handel kwitł jedynie wymienny. Jeszcze przed wojną płacono więźniom, licho bo licho, ale można za to było kupić w obozowym sklepie machorkę czy coś do jedzenia. W czasie wojny dla Związku Radzieckiego liczyła się każda kopiejka, zatem władze doszły do wniosku, że płacenie więźniom jest po prostu rozrzutnością.

Drzwi ambulatorium otworzyły się kolejny raz tego dnia, wdmuchując do wnętrza śnieżny pył, który tworzył biały dywan przed wejściem i nawet nie miał kiedy zamienić się w kałużę wody.

– Zamykajcie te drzwi szybciej! – ryknęła Olga, bo w istocie ciągłe ich otwieranie wyziębiało pomieszczenie.

– Olga? – zapytała przygarbiona kobieta, omotana jakąś wynędzniałą wełnianą chustą. Miała spierzchnięte usta i zapadnięte policzki, czyli po prostu wyglądała jak inni.

Olga zaczęła przypatrywać się postaci, która zwróciła się do niej po imieniu, i jęknęła ze zgrozą:

– Natasza Pakunina…

– Ty wyglądasz pewnie lepiej niż ja. Może to i dobrze, że tu nie ma lusterek – powiedziała cicho, po czym osunęła się na podłogę, tuż przy drzwiach.

Chwilę za nią weszła funkcyjna z baraku i powiedziała, patrząc na leżącą kobietę:

– O, właśnie. Chciałam powiedzieć, że przyprowadziłam jedną. Mocno krwawiła, zababrała całą pościel. Aż dziw bierze, że jeszcze ma okres, bo w naszej brygadzie wszystkim już się zatrzymał. Zajmijcie się nią.

Olga zawołała doktora i jeszcze jednego pielęgniarza, po czym przenieśli Nataszę Pakuninę na łóżko do badań. Ernst nie rozpoznał w swojej kolejnej pacjentce kobiety, która rzuciła się na niego, gdy rozpoczął tu pracę, bo pobyt w łagrach Kołymy zmieniał każdego. Rozebrali pośpiesznie pacjentkę i lekarz rozpoczął badanie, wyganiając Olgę i pielęgniarza, Iliję, do zajęcia się innymi sprawami. Po kilkunastu minutach zawołał Olgę do siebie.

– To nie miesiączka. Ona po prostu dostała krwotoku, była w ciąży – powiedział beznamiętnie Ernst. – Powinniśmy podać jej krew, ale przecież nie mamy. Jej organizm musi sam się obronić, inaczej trzeba będzie ją przenieść do *aktirowki*.

Podobne diagnozy słyszała już nie raz. „Nie ma krwi”, „antybiotyki tylko dla *bajców* i *smotritieli*” – przywykła do tego tak bardzo, że nie robiło to na niej żadnego wrażenia. Ale Natasza była jedyną osobą, jaką znała w „Raju”, zanim tu trafiła. Poznały się w więzieniu, w Leningradzie, i trochę zaprzyjaźniły. Kiedy jednak Olga zdecydowała się na pracę w ambulatorium, Natasza przestała w ogóle się do niej odzywać. Teraz jednak to nie było ważne, Olga bardzo chciała, żeby przeżyła.

W nocy Natasza nieco doszła do siebie, ale nie miała siły, żeby mówić. Wodziła jedynie pustym wzrokiem po baraku, by co jakiś czas zapadać w krótkie drzemki. Olga Iwanowna spędzała przy jej łóżku każdą wolną chwilę, przez całą noc nawet nie zmrużyła oka, chociaż wiedziała, że sen daje jej siłę do pracy następnego dnia, a dyżur nocny zgodnie z grafikiem miał Ilija.

Następnego dnia Olga była nieprzytomna ze zmęczenia. Przysnęła przy stole, gdy piła paskudną poranną kawę zbożową. Chwilę potem zrobiło się zamieszanie, bo wybuch w *szurfie* przysypał kilku więźniów i jednego *smotritiela.* Przez cały dzień zmieniała opatrunki, podawała leki, by w końcu pod wieczór na powrót usiąść przy łóżku Nataszy.

– Jak się czujesz? – zapytała niepewnie Olga, bo nie bardzo wiedziała, czy przyjaciółka zechce w ogóle z nią rozmawiać.

– Jakie to łóżko jest miękkie… – powiedziała cicho. – I ciepło jest…

– Na pewno jest tu lepiej niż w baraku albo na *zaboju.* – Olga uśmiechnęła się delikatnie.

– Głupia byłam, że się na tego szkopa rzuciłam. Miałabym tutaj jak u Pana Boga za piecem. A tak… Wiesz, myślałam sobie, że duma mnie ogrzeje i nakarmi, ale tak się nie stało – westchnęła.

Olga nie wiedziała, jak powiedzieć Nataszy, że straciła dziecko. A może ona w ogóle nie wiedziała, że jest w ciąży? Niekiedy kobiety bardzo późno orientowały się, że są przy nadziei, bowiem brak miesiączki nie był niczym niezwykłym przy takim trybie życia.

– Nataszo, wiesz, że byłaś w ciąży? – zapytała delikatnie.

Natasza przymknęła powieki.

– Tak się domyślałam, ale pewnie już nie jestem, i dobrze. Jakbym miała się jeszcze o dziecko martwić, to z pewnością zwariowałabym. – Zupełnie beznamiętnie podeszła do przekazanej wiadomości.

– Masz kogoś? – zapytała z zaciekawieniem Olga, mając nadzieję, że Pakunina nie padła ofiarą „nocnych łowów", które urządzali sobie *urkowie*.

– Mam protektora. Jest nadzorcą na naszym *zaboju*. Ja go zadowalam, a on mnie zaspokaja, dając mniejsze normy i trochę więcej chleba. Czasami trochę juszki wieczorem mi przynosi, jak mu się bardzo spodoba to, co robię.

– Kochacie się? – trochę niepewnie zapytała Olga, nieco oderwana od obozowego życia.

– Olgo Iwanowna, tutaj nie ma czegoś takiego jak miłość. Takie uczucie nie ma szans, żeby się urodzić, a jeśli nawet, nie jest w stanie się rozwinąć. Więc umiera, zanim zacznie żyć, jak wszystko tutaj. Obcowanie z mężczyzną to tylko zaspokajanie jego fizjologicznych potrzeb, taka, wiesz, dodatkowa miska zupy. Grigorij jest paskudny, ciało ma pokryte krostami i bywa niekiedy brutalny, ale gdy mnie wybrał do swoich zabaw, cieszyłam się jak dziecko. Bo to zawsze mniej roboty, a i z żarcia coś więcej skapnie. Obserwuję kobiety z brygady, bo każda się wdzięczy do niego, by zająć moje miejsce, dochodzi nawet do bijatyk. A one pewnie zostawiły gdzieś swoich mężów czy narzeczonych… Olgo, to jest prostsze niż miłość – stwierdziła ze smutkiem Natasza. – I wiesz co, teraz myślę jedynie o tym, żeby mi go żadna nie podebrała, jak za długo będę tu leżała. To jest naprawdę cholernie proste. Coś za coś. Handel wymienny. Kupczy się wszystkim. Machorką, *kubankami* ukradzionymi trupowi albo własnym ciałem.

Oldze zrobiło się niewymownie smutno. Jeśli gułag złamał taką kobietę jak Natasza Pakunina, to znaczy, że był w stanie złamać każdego bez wyjątku.

44. Moskwa, 1944

– Odpoczęliście, kapitanie? – zapytał Sudopłatow, widząc w drzwiach Igora Łyszkina.

– Można tak powiedzieć, generale, chociaż wolałbym nigdy nie oberwać i nie mieć wakacji – odparł.

– Ale z waszą ręką wszystko w porządku?

– Tak, chociaż pewnie już zawsze będę odczuwał ból, gdy ją nadwyrężę.

– Nasi specjaliści robili, co mogli, żeby w ogóle była sprawna – mruknął Sudopłatow.

– Tak, wiem, generale, i bardzo dziękuję, że tak dobrze się mną zajęliście – powiedział Łyszkin, zupełnie szczerze, bo w istocie Sudopłatow poruszył niebo i ziemię, żeby operowali go najlepsi lekarze, a potem oddał go na wiele miesięcy w ręce rehabilitantów, by odzyskał sprawność.

– Tak czy inaczej, Otton Kriege odchodzi w zaświaty czy gdzie tam… – mruknął generał. – Pomijając tę niefortunną akcję w Zamościu, wasza działalność to było pasmo sukcesów. Miałem trochę żalu do was, że postanowiliście wykonać egzekucję mimo pojawienia się świty Globocnika, bo tak nie robi profesjonalista, ale teraz patrzę na to nieco inaczej. Po prostu jesteście dzielnym i niezłomnym oficerem i doceniam to. Bardzo chciałbym was widzieć w naszym zespole. Potrzebuję najlepszych ludzi, bo i zadanie jest niezwykle odpowiedzialne. Jak wiecie, jakiś czas temu powołano Komitet do spraw Energii Atomowej, jednak nie działał zbyt prężnie, bo mieliśmy inne sprawy na głowie, ale teraz… Teraz to zupełnie co innego.

– I czym miałbym się zajmować? – zapytał rzeczowo Łyszkin.

– Przede wszystkim musimy znać plany naszych, że tak powiem, sojuszników, bo wrogów pokonamy lada dzień – powiedział Sudopłatow.

– A to nie są już naszymi sojusznikami? – trochę złośliwie zapytał Igor.

– Wiecie, jak to jest z przyjaciółmi… Różnie – mruknął Sudopłatow. – Teraz najcenniejszą waszą umiejętnością jest dobra znajomość języków.

– A ja myślałem, że umiejętność zabijania.

– W rzeczy samej… Ale do rzeczy, Łyszkin. Zanim wyjedziecie do Stanów Zjednoczonych, będziecie potrzebni w Polsce. A gdy już będzie nasza, wtedy pojedziecie dalej, by Związek Radziecki rósł w siłę – patetycznie oznajmił generał.

– Tak, słyszałem o Teheranie. Towarzysz Stalin to prawdziwy strateg. Ale Polacy nie są takim łatwym do podbicia narodem. To odważni ludzie, trudno im będzie narzucić cudzą wolę. W Warszawie… – Nie dokończył, bo generał mu przerwał.

– Sami się wykrwawią, a ci, co zostaną, przyjmą nas z otwartymi ramionami. Resztę niedobitków zaś ujarzmimy, tak jak niezwyciężoną Rzeszę. I dopóki tego nie zrobimy, będziecie potrzebni w Polsce. Pojawiły się plany ogólnonarodowego powstania, jednak Polacy są zbyt słabi. Jeśli jednak uwierzą, że im pomożemy, ruszą do boju. I wy musicie nam w tym pomóc. Muszą uwierzyć, że będzie jak kiedyś. Przed wojną.

– A alianci? – zdziwił się Igor.

– Zapewne ruszą im na pomoc… Tak samo, jak w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym – zarechotał Sudopłatow. – Nie chcę się wdawać z wami w polityczne dyskusje, nie jesteśmy od tego. Musimy wypełniać polecenia Kremla.

– Tak jest. – Łyszkin wyprostował się, dodając: – To kiedy powrócę do pracy?

– Najpierw spotkacie się z ludźmi, którzy będą wprowadzali w Polsce nowy porządek, a potem będziecie ich wspierali na miejscu – odpowiedział dowódca.

– Generale… – zaczął niepewnie Łyszkin – wiem, że z rozkazami się nie dyskutuje, ale czy mógłby generał rozważyć oddelegowanie mnie do innego kraju niż Polska?

– Dlaczego, Łyszkin? – Sudopłatow aż podniósł brwi.

– Z przyczyn osobistych. – Igor spuścił głowę.

– Myślę, że to nie jest powód, jeśli matka Rosja was potrzebuje, a tymczasem spotkacie się z niejaką Julią Dreger, działaczką Związku Patriotów Polskich. Jest w zarządzie. Gdy nadejdzie pora, ma zostać przeniesiona do Polski, by pilnować porządku. Sprawdzicie ją. Jutro przylatuje do Moskwy. Porozmawiacie z nią, posłuchacie, co myśli o nowej Polsce i ewentualnie zarekomendujecie. Podejrzewam, że te awanse to nie zasługa Dregerowej, ale jej kochanków. To wysoko postawieni dysydenci, jeśli ma coś na sumieniu, pociągnie za sobą ważnych ludzi, a do tego nie możemy dopuścić – powiedział Sudopłatow.

– Generale, oczywiście, nie dyskutuję z rozkazami, ale czy jestem właściwą osobą, by kogoś rekomendować na takie stanowisko? – ze zdziwieniem

zapytał Igor.

– To jak w tym powiedzeniu: krowa, która dużo ryczy, mało mleka daje. Więc chcę, żebyście sprawdzili, czy tylko ryczy… Łyszkin, jeśli miała katar w szkole, wy musicie o tym wiedzieć.

Igorowi przyszły do głowy dziwne skojarzenia, ale odpędził tę myśl, bo naszła go inna refleksja. Może szukano wrogów tam, gdzie ich nie było? Nie podobało mu się to, ale cóż mógł zrobić?

***

Julia Dreger nie wyglądała jak prawdziwa radziecka aktywistka, ale dama z wyższych sfer. Miała dość ładną twarz i fatalną figurę, ale nadrabiała to pewnością siebie, bystrym spojrzeniem i nie chodziła, jak wiele kobiet, zamaszystym, męskim krokiem, tylko delikatnie stąpała, poruszając pośladkami, co w przypadku jej kanciastej postaci wyglądało nie tyle kobieco, co groteskowo.

– Julia Dregerowa. – Wyciągnęła dłoń w kierunku Igora i uścisnęła ją.

– Iwan Dudajew – przedstawił się Igor swoim kolejnym wcieleniem.

– Towarzyszu Dudajew, podobno doskonale znacie Polskę. U nas jest wielu polskich patriotów, którzy chcieliby dobra swojej ojczyzny. Ale nie wszyscy Polacy tak myślą. Jakie macie rozeznanie, jeśli chodzi o działające w Polsce organizacje?

– Wiemy, że podczas niemieckiej agresji na terenie byłej Polski działało około tysiąca różnych organizacji. W tym komunistyczne. Wszystkie walczyły z niemieckim okupantem. Najważniejsza jest Armia Krajowa, podległa rządowi londyńskiemu, i Narodowe Siły Zbrojne, właściwie niesłuchające nikogo.

– Będą z nami walczyć – bardziej stwierdziła, niż zapytała Julia Dreger, wyciągając z wymiętoszonej paczki ostatniego papierosa. Podpaliła go i wypuściła smugę dymu wprost w twarz Igora. Nienawidził tego.

– Tego nie wiemy – burknął Łyszkin.

– Wy, towarzyszu Dudajew, przystojni jesteście, ale widać, że na ludziach to się słabo znacie. Nie wystarczy im powiedzieć, że to dla ich dobra, czasami trzeba użyć innych metod. Pamiętacie, jak przed wojną tępiono naszych towarzyszy w tym kraju? Nawet wysługiwano się gestapo. Ale nasza

idea musi wyjść poza Związek Radziecki i być eksportowana wszędzie. Lud jest najważniejszy – górnolotnie stwierdziła Dregerowa.

– Widzę, że towarzyszka myśli internacjonalistycznie – odpowiedział jej z lekkim sarkazmem.

– Globalnie, towarzyszu, globalnie. Powoli instalujemy komisariaty NKWD w Polsce. Rzesza to trup i to jest ten moment, żeby powiedzieć Polakom, co jest dla nich najlepsze, a te ich nacjonalistyczne bojówki to zwykli bandyci – stanowczo orzekła Dregerowa.

– Bardzo wyraziste sądy wyraża towarzyszka. Armia Krajowa walczy ramię w ramię z Armią Czerwoną. – Ta rozmowa zaczęła go irytować.

– W tej chwili to jestem głodna, zjecie ze mną obiad. W komitecie dają naprawdę smaczne. Zorganizuję wam kartki. Chodźcie – powiedziała rozkazująco.

Igor cieszył się, że nie będzie musiał słuchać tych sloganów. Wyrósł już z pięknych ideałów, jak z za małych spodni. Pięknie brzmiały, ale niewiele miały wspólnego z rzeczywistością. W Związku Radzieckim, kraju, gdzie władzę dzierżył Stalin, przymuszano obywateli do innego myślenia, ale uważał, że wielu ludzi z aparatu władzy pięło się po szczeblach kariery z czysto osobistych pobudek. Władza dawała przywileje, ot i cała filozofia.

Przeszli do stołówki komitetu partii, gdzie w istocie wydawano posiłki, o jakich zwykli ludzie nie mogli nawet pomarzyć. On nie mógł narzekać, spędzając miesiące w dyskretnym sanatorium, gdzie doprowadzano jego rękę do stanu sprzed wypadku, jadał naprawdę dobrze. Jednak Dregerowej zdawało się, że właśnie jej doradca do spraw polskich otrzymał wyjątkowe wyróżnienie.

Julia Dreger podczas obiadu nie mówiła już o polskich bandytach i sposobach ich eliminowania z życia społecznego, tylko opowiadała o swoim mężu, z którym się rozwiodła, życiu w więzieniu, do którego trafiła w latach trzydziestych, a wreszcie o ukrywaniu się przed niemieckim okupantem. W istocie był to życiorys godny prawdziwej patriotki i komunistki. Pozornie mogło się wydawać, że Dregerowa żyła tylko ideą i była zdeterminowana, by osiągnąć swój cel. Oprócz tego sprawiała wrażenie zimnej suki, czyli idealnie nadawała się do aparatu bezpieczeństwa. Igor wyczuł w tej kobiecie osobę, której zależy po prostu na władzy, a nie pięknych ideałach. Chociażby ci jej kochankowie… Żaden z nich nie był osobą z jej ukochanego ludu.

45. Warszawa, 1944

Kolejna akcja miała być następnym spektakularnym osiągnięciem Alicji i Juliana. A im bardziej wróg tracił siły i wycofywał się na zachód, tym bardziej ta dwójka zrobiła się zuchwała. Słuchali doniesień z tajnych rozgłośni o potyczkach Armii Czerwonej z Niemcami, gdzie walczyli dzielnie także żołnierze Armii Krajowej. Rozkazy były jasne: Rosjanie to sprzymierzeńcy, należy się ujawniać i bić się ramię w ramię z okupantem.

Mimo że Julian był świeżo upieczonym ojcem małej Amelii i mężem Weroniki Sarnowskiej, więcej czasu spędzał na akcjach i z Alicją niż z własną rodziną. Weronika wyjechała ze swoim synem, Pawełkiem, i córką Juliana do Bełchatowa i tylko od czasu do czasu przybywała do Warszawy, by sprawdzić, czy jej nowo poślubiony małżonek nie zbliżył się zanadto do swojej byłej narzeczonej. Julianowi było to na rękę. Ożenił się z Weroniką tylko dlatego, że tak nakazywały mu honor i odpowiedzialność, jednak małą Amelkę kochał całym sercem. Niekiedy, gdy do późna omawiali z Alicją kolejne akcje dywersyjne, patrzył na nią smutnym wzrokiem i żałował, że to nie ona urodziła mu dziecko i nie została jego żoną. Musiała mu wystarczyć jej obecność i zastanawiał się, co będzie, jeśli pewnego dnia wojna się skończy, a ich drogi rozejdą się na zawsze.

Alicja, gdy dowiedziała się, że Weronika zostanie matką i panią Chełmicką, poczuła się, jakby uderzył w nią rozpędzony pociąg. Największe marzenia ukradła jej inna kobieta i nienawidziła jej za to z całego serca. Cieszyła się, że ta opuściła Warszawę i nie musi jej widywać, bowiem widok tej szczęśliwej rodzinki był niczym rana posypywana solą. Może nie przeżyłaby tej całej sytuacji tak mocno, gdyby nie to, że jej życie uczuciowe po prostu legło w gruzach. Jeszcze niespełna rok temu martwiła się, że stoi przed trudnym wyborem pomiędzy świeżym uczuciem do Sergiusza i dawną miłością do Juliana, gdy tymczasem obaj ją porzucili i poukładali sobie życie na nowo. Nie spodziewała się bowiem, że „Kary” będzie żył w celibacie i wzdychał do niej latami, jak średniowieczny trubadur.

Spotykała go niekiedy, bo wciąż dostarczał im broń albo materiały wybuchowe, ale gdy tylko widział ją i Juliana razem, zaciskał zęby i sprawiał wrażenie człowieka, który jak najszybciej chce opuścić ich towarzystwo. Próbowała go odzyskać, sądziła, że ślub Juliana z Weroniką zmieni jego nastawienie i uspokoi, ale myliła się. Wciąż uważał, że ma być antidotum na

jej złamane serce, a fakt, że kochanek odszedł do innej, odwetem na nim. Przestała próbować. Była zła na cały świat, a na nich dwóch najbardziej. Jeden myślał, że zostanie jego cichą kochanką, drugi zaś sądził, że będzie za nim biegała jak pies za rowerem i żebrała o wybaczenie. Starała się skupić na zadaniach i walce, niekiedy wymykając się pod Kielce, by pobyć trochę z synem.

Teraz planowali w ramach akcji „Główki" zamach na bardzo ważną osobę w aparacie represji, szefa policji i SS całego dystryktu. Przybył do Warszawy pół roku wcześniej, bo był wyjątkowo zajadły i bezwzględny w walce z organizacjami podziemnymi. Niektórzy uważali, że jest to pomysł szalony nie tylko ze względu na ryzyko wpadki, ale spodziewano się, iż po takim bezczelnym zamachu gubernator Fischer nakaże wymordować pół miasta. Tak bowiem postanowiono rozprawiać się z zuchwałymi akcjami, jak ich nazywano, „polskich terrorystów". Po każdym, nawet najmniejszym akcie dywersji czy sabotażu rozstrzeliwano od kilku do kilkuset osób, licząc, że zastraszeni mieszkańcy będą donosić na każdego, kto wyda im się podejrzany. Dlatego zdecydowano, że ten szubrawiec, który podobne represje stosuje, pozna siłę gniewu i odwetu na własnej skórze. Tym bardziej że zupełnie przypadkowo jeden z chłopaków odkrył, gdzie w dzielnicy policyjnej mieszka ów bezwzględny funkcjonariusz, *SS*-*Brigadeführer* i *Generalmajor* Franz Kutschera.

– „Kary" ma dzisiaj przywieźć cztery nowe steny i skrzynkę „filipinek" – poinformował Julian.

Powiedział to ze spokojem, jednak spotkaniom tych dwóch mężczyzn zawsze towarzyszyło napięcie. Chełmicki nie miał pojęcia, dlaczego Alicja nie jest z Dargiewiczem, który kochał ją bezgranicznie, ale gdzieś wewnątrz siebie cieszył się z tego. Wciąż ją kochał i były chwile, gdy był gotów złamać dla niej przysięgę małżeńską, ale Alicja była w tym względzie nieprzejednana. Zachowywała się z dystansem, pogratulowała mu ożenku i potomka, tak jak gratuluje się przyjacielowi. Unikała rozmów na tematy niezwiązane z ich działalnością i sprawiała wrażenie, jakby ta część życia Chełmickiego kompletnie jej nie obchodziła.

Sergiusz przyjechał pod wieczór i wyglądał na wycieńczonego. Miał podkrążone oczy i kilkudniowy zarost pokrywający nieco poszarzałą twarz. Alicja patrzyła na niego z trwogą i po tym wszystkim, co dla niej zrobił, po prostu musiała zapytać, czy nie potrzebuje pomocy. Wypakował broń

i szybko opuścił magazyn, ledwie kiwając dłonią na pożegnanie. Alicja wybiegła za nim.

– Wszystko w porządku? – zapytała.

– Aż tak źle wyglądam? – Uśmiechnął się smutno.

– No, nie najlepiej. – Także się uśmiechnęła i dodała: – Jeśli potrzebujesz pomocy, możesz na mnie liczyć.

– Wiem – odpowiedział. – Nic się nie dzieje, jestem jedynie wykończony. Wożę chłopakom broń na wschód, nie spałem od trzech dni. Ale dzisiaj wyśpię się i następnym razem będę wyglądał jak młody bóg.

– To dobrze, bo martwiłam się…

– A co u ciebie? – zapytał pierwszy raz od wielu miesięcy, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że zachowuje się jak gówniarz, ignorując Alicję.

Jednak ona odbierała to inaczej, uważała, że jest to kara przez milczenie. Dla takiej osoby jak ona – najgorsza z możliwych.

– Pojutrze jadę na kilka dni do Mateuszka – powiedziała.

Zawsze, gdy czekała ją akcja narażona na wysokie ryzyko utraty życia, jechała pod Kielce, by zobaczyć rodzinę, być może ostatni raz.

– O, proszę. Już sobie radzisz bez „Karego”. – Sergiusz uśmiechnął się smutno.

– Muszę. Pojutrze mam zamiar pojechać pociągiem. Czasami zabieram się z jakimś transportem, różnie bywa.

– Jak się wyśpię, a pewnie ze dwa dni mi z tym zejdzie, będę jechał na Rzeszowszczyznę. Mogę zabrać cię ze sobą. – Wzruszył ramionami i dodał, puszczając do niej oko: – A może babcia Alutka da mi nocleg.

Alicja ucieszyła się. Przede wszystkim dlatego, że spędzą ze sobą trochę czasu i może rozbiją mur, jaki znowu między nimi powstał.

***

Jadąc w kierunku Kielc, oboje doszli do wniosku, że milczeć nie wypada, a na pewne rozmowy jest albo zbyt wcześnie, albo już za późno. Alicja chciała go zapytać o tak wiele rzeczy, o całe życie, które wiódł bez niej. On także był ciekaw, jak Alicja radzi sobie z sytuacją, gdy codziennie widuje Juliana. A jednak pewne pytania nie padły, jakby oboje obawiali się odpowiedzi, które mogliby usłyszeć.

– Uważam, że akcja „Burza” to kompletne nieporozumienie. Jestem pewien, że Ruskie wystrychną nas na dudka. My będziemy ginąć, by mogli pokonać Niemców, a oni nam później zafundują masowe groby – powiedział „Kary”, by przerwać niezręczną ciszę panującą w szoferce.

– Taki był rozkaz z Londynu. Więc chyba wiedzą, co robią. – Wzruszyła ramionami.

– Śmierć Sikorskiego i trzydziesty dziewiąty niczego was nie nauczyły? – zapytał kąśliwie.

– Myślisz, że Stalin byłby taki bezczelny?

Sergiusz roześmiał się.

– Kochana moja, Stalin jest bardzo bezczelny i bardzo przebiegły. Jeśli sądzisz, że dzięki przelewaniu krwi naszych chłopców podaruje nam wolność i demokrację, to pomyliłaś się, jak nigdy w życiu.

– Przebąkuje się o powstaniu, a Rosjanie byliby naszymi sprzymierzeńcami. My im, oni nam. Bo sami nie pokonamy Niemców, nawet gdybyś przestał w ogóle spać i tylko dostarczał broń – nieco ironicznie zauważyła Alicja.

– Naprawdę chciałbym się mylić, ale wiem, dlaczego uciekłem stamtąd i co zrobili z moimi rodzicami. Nie wierzę im. Żeby nie wiem co obiecywali. Wtedy zresztą też obiecywali… – stanowczo odpowiedział jej „Kary” i nagle zdecydował się, by zadać pytanie, na które odpowiedź bardzo go nurtowała: – A jak sobie radzisz z nową sytuacją? No, wiesz, Julian ma dziecko z inną, a Weronika nazywa się Chełmicka, choć pewnie na razie nie używa tego nazwiska.

Alicja odwróciła głowę w jego stronę.

– Posłuchaj, Sergiusz… – powiedziała zdenerwowanym tonem. – Ile razy będę ci powtarzać, że między mną a Julianem wszystko było skończone, zanim się ożenił i zanim Weronika Sarnowska obdarzyła go potomstwem. Tak bywa. Ale pracujemy razem i w tym, co robimy, jesteśmy po prostu dobrzy. Więc gdyby na przykład miał problemy, zrobiłabym wszystko, żeby mu pomóc. I nie dlatego, by go przysposobić na swojego kochanka. Nie liczą się prywatne animozje i wzajemne żale, jesteśmy kompanami, którzy mogą na siebie liczyć. I czy byłbyś ze mną, czy nie, tak by było. Ty jesteś samotnym wilkiem, pomagasz komu chcesz i kiedy chcesz. U nas jest inaczej. Zaryzykuję życiem dla każdego z naszych, czy nazywa się Chełmicki, czy Mali-

nowski. Nie kocham Juliana, ale jestem gotowa oddać za niego życie, bo tak nakazuje honor i braterstwo.

– Teraz to mi dałaś prztyczka w nos – przyznał z uśmiechem.

– Należało ci się – mruknęła, niby rozzłoszczona, ale także się uśmiechnęła.

Oddałaby duszę diabłu, gdyby teraz Sergiusz powiedział jej, że tęsknił za nią, że kocha ją całym sercem i pragnie być tylko z nią, ale ten, jak na złość, milczał.

Dotarłszy na miejsce, Alicja już nie myślała o „Karym”, przytulając mocno Mateuszka i ciesząc się każdą minutą z nim spędzoną. Sergiusz zjadł jedynie placki kartoflane, które specjalnie dla niego przygotowała babka, i pożegnał się, obiecując, że zjawi się w drodze powrotnej, by zabrać Alicję do Warszawy.

Chociaż nie padły pewne słowa ani deklaracje, Alicja poczuła, że jednak ów mur między nimi nieco się skruszył i znowu nabrała nadziei, że pewnego dnia całkiem runie.

46. Warszawa, 1944

Mimo niepokojących wieści dochodzących ze wschodu Renate Zoll wciąż miała nadzieję, że to Niemcy wygrają tę wojnę. Nie chodziło nawet o względy patriotyczne, ale panna Zoll nie widziała innej opcji funkcjonowania w Polsce. Jeśli ta wojna skończyłaby się porażką Rzeszy, jej marzenia o dostatnim życiu i niemal nieograniczonej władzy przy boku Ericha Vadera musiałyby runąć. Jednakże plan awaryjny, który podsunął jej Emil, na wypadek gdyby wkroczyli tutaj Sowieci, nie był wcale taki głupi. Było tylko jedno „ale”… Renate Zoll nienawidziła być czyjąś zakładniczką, tak jak niegdyś, gdy mieszkała z surowym ojcem i wrednymi braćmi albo gdy sama się zniewoliła uczuciem do Waltera, przez co wpadła w niemałe tarapaty. Z dopadnięcia Hanki Lewin i jej przyjaciółki zrezygnowała, ponieważ obie jakby zapadły się pod ziemię. Vader także porzucił nadzieję, że Renate mu pomoże, i stracił nią zainteresowanie. Jej wizyty na Szucha stały się rzadkie, a propozycje wspólnego obiadu czy kawy jeszcze rzadsze. Musiała wobec tego dać mu coś w zamian, a przy okazji pozbyć się niewygodnych świadków swojego czynu sprzed dwóch lat.

Zaczęło ją to wciągać, jak krzyżówka w gazecie. Wciąż miała na oku mężczyznę, który spotykał się z Emilem na Kercelaku. Często zmieniał miejsce zamieszkania, ale widywał się z ludźmi, którzy czuli się nieco pewniej niż on. Otworzyła zeszyt, wyciągnęła z szuflady ołówek i dopisała kolejne nazwisko i adres. I podobnie jak to było przy innych obserwowanych osobach, zrobiła krótką notkę, co ów człowiek robi, z kim i gdzie się spotyka. Całe swoje śledztwo przeprowadzała w sposób dyskretny, nawet oficjalnie rejestry w administracji sprawdzała przy okazji załatwiania innych spraw. Skonfrontowała to z osobami siedzącymi na Pawiaku, których akta wnikliwie studiowała, i właściwie miała już cały obraz siatki komunistycznej organizacji działającej na terenie Warszawy, będącej częścią Gwardii Ludowej. A ta miała na sumieniu całkiem dużo i z pewnością rozpracowanie jej zyskałoby uznanie w oczach Ericha Vadera. Musiała jednak uczynić to tak, żeby ani Lewin, ani jego mocodawcy nie rzucili na jej osobę choćby cienia podejrzeń.

Popatrzyła w swój kajecik raz jeszcze. Wyglądało to jak drzewo genealogiczne, idealnie rozrysowana siatka powiązań. Renate pomyślała, że świetnie nadawałaby się na śledczego w gestapo. Wytypowała także dwóch męż-

czyzn, wśród których mógł znajdować się świadek ucieczki Juliana Chełmickiego z Pawiaka. Jeden z nich, Stefan Czerniewski, lat dwadzieścia, pracował od roku jako sanitariusz na Wolskiej. Wcześniej był tam praktykantem. Drugi, nieco starszy, wykonujący ten sam fach, od trzech lat pracował w szpitalu Dzieciątka Jezus. Nazywał się Zygmunt Kolasa. Jakkolwiek Chełmicki należał najpewniej do odłamu podlegającego rządowi londyńskiemu, a Kolasa wielbił komunistów, nie wykluczało to wzajemnej współpracy. W końcu to też byli Polacy.

Postanowiła wykorzystać Szymka Wielopolskiego, aby trzymać się jak najdalej wytypowanych osób. Ostatnio co prawda jej relacje z tym gówniarzem ponownie uległy ochłodzeniu, bo Szymek okazał się mało przydatny, ale przecież drobne gesty uprzejmości mu okazywała, a na pewno nie wrogość. Powinien jej pomóc, zwłaszcza jeśli w grę wchodziłoby bezpieczeństwo pana Lewina, którego wielbił wręcz bałwochwalczo.

Tym razem nie wygłupiała się z wystawnymi obiadami i słodyczami, postanowiła zagrać w otwarte karty. No, może jej były odrobinę znaczone…

– Szymek! – zawołała. – Przyjdź no do mnie. Pogadać musimy.

– Słucham, panno Zoll. – Chłopak wszedł do pokoju, ziewając.

– Siadaj. Muszę ci coś powiedzieć. Wiesz, kto to jest komunista? – zapytała.

– Czerwony. Taki, co to z Ruskimi trzyma sztamę. Tak powiedział pan Lewin. – Wzruszył ramionami.

– To źli ludzie… – złowróżbnie powiedziała Renate.

– E tam, szwaby gorsze. – Machnął ręką, ale zaraz zakrył dłonią usta, jakby się zreflektował nagle, że palnął głupstwo.

– Nieważne – mruknęła Renate. – Czerwoni to tacy, że jak kto tylko się trochę wzbogaci, to go nienawidzą i albo okradną, albo takiego na latarni powieszą. Takie łajzy…

– No, pamiętam jeszcze sprzed wojny. Jak jaki obszarpaniec po Kercelaku lazł, to pewnikiem komunista. Tak mówili wszyscy dookoła. Ale nie mówili, że są juchacze – powiedział Szymek.

– Posłuchaj, panu Lewinowi grozi śmierć. I za to, że się wzbogacił, i za to, że mu władze na to pozwalają. Taki jeden, znam go, to już od roku na Emila się zasadza. Ale wiesz, komunista też człowiek i podjeść sobie lubi. Zapakuję ci do koszyka trochę kiełbasy, puszkę z kawą, takie tam, wiesz,

rarytasy. Pracuje w szpitalu Dzieciątka Jezus. Zaniesiesz mu i powiesz, że to od pana Lewina. Nic więcej. Dobrze? – zapytała Renate.

– E tam, jak miarkuje panu Lewinowi krzywdę zrobić, to taki koszyk mu wystarczy, żeby już nie chciał? – bystro zauważył Szymek.

– Jak co tydzień taki dostanie, to mu może przejdzie ochota… – bąknęła Renate. Miała świadomość, że opowiada Szymkowi głupoty, ale nie spodziewała się, że ten chłopak wcale nie jest taki głupi, jak jej się dotychczas wydawało. Ucięła więc temat: – Po prostu zrób, o co proszę, dobrze?

Szymek wzruszył ramionami i pomyślał, że jeśli ma wyświadczać pannie Zoll podobną przysługę i on może poprosić ją o coś. A w czerwonych czyhających na pana Lewina po prostu nie uwierzył. Jednak to nie była jego sprawa, komu i po co panna Zoll chce zanosić takie rarytasy.

– Mogę pójść, ale nie za darmo – mruknął Szymek.

– A ile chcesz, gówniarzu? I za to, żebyś panu Lewinowi pary z pyska nie puścił? – Renate zacisnęła ze złości zęby.

– Nie chcę mamony. Potrzeba mi tylko takiego jednego znaleźć. Robiłem z nim interesy na getcie, ale teraz to tam tylko kupa gruzu. Strażnikiem tam był. Niemiec. Dawał zarobić… – gładko skłamał Szymek.

– Dobrze. A jak się nazywa? – Renate stwierdziła, że jeśli taka jest cena Szymka, to niezbyt wygórowana. Przynajmniej nie będzie musiała opowiadać mu głupot.

– Nie wiem. – Szymek wzruszył ramionami.

– No to jak mam ci pomóc? Pracowało ich tam setki! – rozzłościła się Renate.

– Żydy na niego „Szmata” mówili – bąknął.

– Żydów to już nie ma w Warszawie… – mruknęła Renate, ale pomyślała, że w końcu może podpytać kogoś, kto w getcie miał służbę. Jeśli jego przezwisko było znane nawet Szymkowi, może i pracujący tam Niemcy będą je kojarzyli.

– To nie da pani rady? – Chłopak wyraźnie posmutniał.

– Zobaczę, co się da zrobić. Ale jeśli wyjechał z Warszawy, to już nic nie pomogę.

Szymek jedynie pokiwał głową, ale obudziła się w nim nadzieja, że w końcu trafi na ślad „Szmaty”, a potem sam wymierzy mu sprawiedliwość za śmierć Noemi.

Wbrew pozorom zadanie powierzone jej przez Szymka nie okazało się trudne. Wśród strażników z getta, którzy teraz pracowali w więzieniach albo najnormalniej w świecie chodzili w patrolach, owo przezwisko było powszechnie znane. Oczywiście sam zainteresowany udawał, że o tym nie wie, bo było ono zbyt obraźliwie, ale jego koledzy dobrze je pamiętali.

Erwin Koppler pracował obecnie jako strażnik na Rakowieckiej. Jak by to powiedzieć… był jej kolegą po fachu. Renate pomyślała sobie, że i ona ma swój przydomek na Pawiej i tak samo, jak Erwin Koppler udaje, iż go nie zna. „Biała Suka” – tak na nią mówili więźniowie. Prawdę powiedziawszy, miała to gdzieś.

Szymek Wielopolski aż przełknął ślinę, gdy dowiedział się, nie tylko jak nazywa się znienawidzony przez niego „Szmata”, ale nawet to, gdzie pracuje. Bez szemrania wziął koszyk z wiktuałami i ruszył w kierunku szpitala Dzieciątka Jezus. Wręczył go sanitariuszowi, wydukał, że to od pana Lewina, i opuścił szpital, pogrążony w swoich zbrodniczych myślach.

Zygmunt Kolasa bardzo się zdziwił, gdy zajrzał do środka. Były tam towary, jakich nie miał w ustach od czterech lat. Próbował sobie przypomnieć wdzięcznego pacjenta o takim nazwisku, ale potem doszedł do wniosku, że tylu ich miał, iż szkoda czasu na szukanie tej informacji w głowie. Pomyślał jedynie o nim ciepło, bo rzadko kiedy ktoś pamiętał o personelu pomocniczym, najczęściej obdarowując prezentami lekarzy. Ten zapewne docenił pracę ludu pracującego.

Kiedy tylko do domu powrócił Szymek i oznajmił, że zadanie wykonał, a potem bez słowa opuścił mieszkanie, Renate chwyciła słuchawkę telefonu i wykręciła numer na Szucha. Anonimowo złożyła donos na niejakiego Zygmunta Kolasę, nie omieszkując wspomnieć, by funkcjonariusze gestapo dobrze przejrzeli zawartość koszyka z artykułami spożywczymi. Miała nadzieję, że ów koszyk do końca dyżuru Kolasy wciąż będzie w szpitalu. A w nim funkcjonariusze gestapo znajdą dowody przestępczej i konspiracyjnej działalności sanitariusza, jak również listę nazwisk, które tak pieczołowicie panna Zoll zapisywała w swoim notesiku.

47. Okolice Studzianek, 1944

Hanka Lewin przestraszyła się, gdy usłyszała głośne pukanie do drzwi. Była sama z dziećmi, bo Irena poszła do lasu po chrust do paleniska. Postanowiła nie otwierać, a dzieci zaprowadziła do małego pokoju Ireny. Było tam co prawda zimno, ale miała nadzieję, że intruz zaraz sobie pójdzie, nie słysząc żadnych odgłosów dobiegających z wnętrza.

Jednak ten ktoś nie zamierzał rezygnować. Nacisnął klamkę, po czym, gdy okazało się, że drzwi są zamknięte, ponowił pukanie. Hanka bała się podejść do okna w kuchni, by sprawdzić, kim jest ten człowiek, ponieważ obawiała się, że zostanie zauważona. Jakiś czas temu mogłaby się łudzić, że może to Hermann do niej przyjechał, ale tak dawno straciła z nim kontakt, iż było to mało prawdopodobne. Raczej stawiała na wygłodniałych partyzantów, ale myśl, że zjedliby i tak nędzne resztki zapasów, sprawiła, że postanowiła siedzieć cicho. Po chwili pukanie ustało, usłyszała skrzypienie śniegu pod butami przybysza i prawie odetchnęła z ulgą, gdy nagle rozległ się huk wyważanych drzwi. Porywisty wiatr zaświszczał w izbie, nawiewając do wnętrza drobiny śniegu, i w progu stanął okutany w jakieś szmaty człowiek. Zdjął z ramienia karabin, wycelował w Hankę i powiedział po rosyjsku:

– *Dawaj piszu.*

Hanka nie zamierzała dyskutować. Może gdyby w domu była Irena, zebrałaby się na odwagę, ale była sama, a za ścianą jej dzieci. Wskazała dłonią sagan stojący na kuchence. Mężczyzna opuścił karabin, podszedł do garnka i zaczął łapczywie wypijać zupę, posługując się wiszącą nad okapem chochlą. Lewinówna nawet się nie poruszyła. Patrzyła jedynie z przerażeniem, jak znika jedzenie, które miało starczyć na dwa dni dla nich wszystkich. Nie miały nawet chleba, by się posilić, gdy ten żołdak zje im całą zupę. Nie miała także pojęcia, skąd wziął się ten Rosjanin tutaj, w Polsce. Nie zamierzała jednak pytać.

Rosjanin odwinął starą, dziwaczną chustę z głowy, równie stare rękawice i przewiesił przez drążek przy kuchni. Hanka aż przymknęła powieki. Miała nadzieję, że przybysz zje i odejdzie, ale on najwyraźniej chciał się tutaj rozgościć. Na nieszczęście wciąż w jednej ręce trzymał karabin. Lewinówna modliła się w duchu, aby w końcu sobie poszedł, zanim wróci Irena. Obawiała się, że ta rzuci się na nieznajomego i kto wie, czy go nie poturbuje za

to, że zjadł ich posiłek, a on wówczas może ją zastrzelić. Gdy tak rozmyślała, mężczyzna podszedł do niej, bez skrępowania złapał za pierś i zaczął ją miętosić w brudnej, odmrożonej dłoni.

– *Krasawica.* – Lubieżnie oblizał wargi i zaczął gmerać przy guzikach w rozporku.

– Nie! – Hanka odruchowo odsunęła się od intruza.

Mężczyzna przestał dotykać jej piersi i z całej siły uderzył ją w twarz. Hanka zatoczyła się na ścianę, ale ten podszedł do niej, złapał ją za włosy i rzucił na łóżko. Lewinówna bała się krzyknąć, żeby Nadia przypadkiem nie wyszła z pokoju albo Grześ nie zaczął płakać. Jeszcze ten bydlak gotów zrobić krzywdę dzieciom. Oprawca rzucił się na nią i próbował pocałować, ale odwróciła twarz, bo odór wydobywający się z jego ust wywołał u niej odruch wymiotny. Kolejny raz uderzył ją w twarz, by po chwili włożyć dłoń pod jej spódnicę. Jęknęła przerażona, by po chwili zacisnąć powieki i nie myśleć o tym, co się zaraz wydarzy.

Mężczyzna sapał jej nad uchem, rzucał przekleństwa po rosyjsku, gdy nagle jego ręce przestały błądzić po jej ciele, a głos ucichł. Otworzyła oczy i ujrzała stojącą nad nimi Irenę, trzymającą ociekającą krwią siekierę w dłoni. Hanka wygramoliła się spod ciała Rosjanina i z przerażeniem popatrzyła na zakrwawione łóżko i martwe ciało. Obejrzała się odruchowo, by sprawdzić, czy dzieci nadal są w pokoju Ireny, a potem wyjęła z dłoni „Wariatki” przypadkowe narzędzie zbrodni.

– Zatłukłam go? – zapytała zdziwiona.

– Tak. Ale to był zły człowiek. Zjadł nam całą zupę i chciał mnie zgwałcić – powiedziała Hanka, bo Irena zdawała się być w szoku.

– A gdzie był Ziutek? – zapytała wciąż oszołomiona Irena.

– Zamknęłam go w obórce z Maryśką, bo wiało… – mruknęła Hanka.

– Zjadł nam zupę? – Nie przestawała pytać Irena.

– Tak. Ledwo co zostało. Irena… – Lewinówna próbowała doprowadzić „Wariatkę” do względnej równowagi.

Ta popatrzyła na intruza, potem na Hankę, z obłędem w oczach chwyciła siekierę i kolejny raz trzasnęła Rosjanina w głowę, bo najwyraźniej pozbawienie ich ostatniego pożywienia było dla niej gorszym przewinieniem niźli próba gwałtu.

– Przestań, Irka, on już zdechł. Uspokój się, musimy coś z jego trupem zrobić, bo pewnie nie przybył sam do Polski i zaraz jego kompani zaczną

go szukać – złowróżbnie powiedziała Hanka. – I pościel trzeba wyrzucić. Siennik też pewnie krwią nasiąkł. Będziemy musiały od ciebie przynieść. Słyszysz, Irka?

– Do dzieci zajrzę – powiedziała wolno.

– Zajrzyj i wracaj, bo musimy go stąd wynieść i zakopać gdzieś. Ziemia zmarznięta, cholera jasna! – Hanka starała się nie rozklejać, tylko działać.

– Nie pójdziemy na posterunek? – Kolejne pytanie padło z ust „Wariatki”.

– Ja tam wolę policji na oczy się nie pokazywać. Nie będę przez jakiegoś bydlaka na Pawiaku siedziała – ze złością uznała Hanka.

Irena jakby otrzeźwiała.

– To ty idź, Hanka, do dzieci. Ja go zawinę w piernaty i do Maryśki wyniosę. A potem za oborą dół wykopię. Maryśki gówna tam wyrzucam, to ziemia nie taka zmarznięta.

Hanka odetchnęła z ulgą. Gdyby Irena nie powróciła do równowagi, Hanka nie dałaby rady ani wynieść mężczyzny, ani wykopać dla niego grobu. Resztkami zupy nakarmiła dzieci i starała się je zabawić, zwłaszcza Nadię, by ta nie miała ochoty wychodzić z pokoju. Po jakimś czasie Irena załomotała do drzwi i obwieściła:

– Już jest czysto w chałupie.

Jednak Lewinówna nie mogła usiedzieć w miejscu. Zastanawiała się, czy Irena, mimo ogromnej siły, poradzi sobie ze zwłokami radzieckiego partyzanta, czy kimkolwiek był ten człowiek. Założyła palto i chodaki, po czym zostawiła dzieci w chałupie i pobiegła za obórkę. Irena z wysiłku poczerwieniała na twarzy, ale nie przestawała kopać w zmarzniętej ziemi. W końcu obie uznały, że dół jest wystarczająco duży. Poczekały, aż nastanie zmierzch, po czym przeniosły trupa i wraz z zakrwawioną pościelą umieściły w grobie. Siennik rozerwały, upchnęły siano i płótno, po czym zasypały wszystko ziemią i obornikiem.

– Zachciało ci się cudzej zupy i cudzej dupy, to będziesz gnił pod gównami – mściwie powiedziała Irena i ledwie powłócząc nogami, powróciła do chałupy.

Hanka dreptała za nią, wciąż oglądając się za siebie, jakby napastnik miał nagle powstać z grobu i rzucić się na nią. Potem w chałupie doszorowały siekierę i resztę plam na podłodze, a pepeszę, radziecki pistolet maszynowy, ukryły na piecu, dochodząc do wniosku, że skoro mają taki sprzęt, to już żaden bydlak nie ośmieli się napaść na ich dom.

48. Kleine Seedorf/Natać Mała, 1944

– Doprawdy nie chciałbym rzucać podejrzeń, może te dokumenty wypadły mi gdzieś na drodze albo… Nie wiem – jąkał się Walter, nie chcąc za żadne skarby świata pokazywać ich funkcjonariuszom gestapo.

– Jestem przekonany, że to ten morderca je panu ukradł – stwierdził gestapowiec.

– Ale przecież to wcale nie jest pewne, że on zabił Hansa Gąskę. Pan Gąska przecież nie widział tego – upierała się Gertrude Lagendorf.

Nie kierowały nią specjalne sentymenty do Polaka, który, uciekając, naraził ją na nieprzyjemności i karę finansową, ale obawiała się, że i jej córkę będzie ścigało jeśli nie gestapo, to kripo.

– To dlaczego uciekł? – badawczo zapytał funkcjonariusz.

Gertrude wiedziała, że musi powiedzieć o ucieczce córki. Wolała jednak, żeby kwestia dotyczyła szalonej i zakazanej miłości niż morderstwa. W razie gdyby ich znaleźli, ocali chociaż swoje dziecko.

– Panie oficerze, no mieli się ku sobie. Broniłam jej, krzyczałam, ale nie usłuchała i wolała uciec z chłopakiem, niż słuchać zakazów matki. Pan Bauer może potwierdzić i jej przyjaciółka, Lilly Berg, też pewno o tym wiedziała. A stary Gąska nie może się pogodzić ze śmiercią syna, to gada, co mu ślina na język przyniesie – cierpliwie tłumaczyła Gertrude.

– Jednak ten człowiek podobno niezbyt pochlebnie się o nas wyrażał. Słyszała kiedyś pani?

– Nie, nigdy. – Kobieta uderzyła się w pierś na znak, że mówi prawdę.

– A pan? – zwrócił się do Waltera.

– Naprawdę pan myśli, że był takim idiotą, by przy mnie albo kimkolwiek z Seedorf mówić takie rzeczy? – prawie retorycznie zapytał Lossow, by odsunąć podejrzenia od Janka Solskiego i skupić się na jego romansie z Brygide.

Funkcjonariusz pokiwał głową, bo przecież Niemcom mógł wierzyć. Zresztą i we wsi nikt nic nie słyszał, oprócz zdruzgotanego ojca Hansa Gąski.

Walter odetchnął z ulgą, gdy gestapowcy opuścili dom pani Lagendorf. Stwierdzili, że sprawą ewentualnego morderstwa Hansa Gąski powinno za-

jąć się kripo, i dość grzecznie pożegnali się, nakazując pani Lagendorf zgłosić się do Arbeitsamtu oraz informując, że umieszczą na liście poszukiwanych Jana Solskiego, który może posługiwać się dokumentami obywatela niemieckiego, Franza Bauera. Walterowi zaś nakazali zgłosić oficjalne zaginięcie dokumentów i wyrobić sobie nowe.

Lossow miał nieco wyrzutów sumienia z powodu Janka, ale uznał, że teraz temat śmierci Hansa Gąski zostanie zamknięty, bo dla kripo brak zwłok będzie oznaczał brak sprawy.

– Boże, co ja ci zrobiłam, że mi wszystkie dzieci zabrałeś… – załkała Gertrude, gdy zostali już sami.

– Brygide żyje i gdy wojna się skończy, albo kto wie, może i wcześniej, wróci do domu. Tutaj miała spokój, a jak na tułaczkę pójdzie i jeszcze będzie się musiała z tym swoim absztyfikantem ukrywać, to od razu miłość jej z głowy wywietrzeje – pocieszał Walter.

– Ja myślałam, Franz, że ty moim zięciem zostaniesz. Już teraz rozumiem, dlaczego moja Brygidka nie reagowała, jak jej mówiłam, że ty i Lilly Berg coś ze sobą kombinujecie – westchnęła.

– Nie chcieliśmy pani martwić… Na początku Brygide nawet mi się podobała i ją adorowałem, ale powiedziała mi pewnego dnia, żebym planów sobie nie robił, bo ona innego kocha. Nie wiedziałem, że tego całego Janka. No to co miałem robić – skłamał Walter.

– No tak, no tak… – Pokiwała głową i po chwili dodała: – Lilly Berg to w sumie porządna dziewczyna, jak cię moja Brygidka nie chciała, to lepiej trafić nie mogłeś. Bo te Gąskowe córki to głupie jak i on. I widać Bóg tak chciał, że wam z drogi tego pijusa Hansa zabrał. Poczciwy to był chłopak i zawsze pomógł, jak trzeba było, ale co z tego, kiedy po pijaku to szmergla dostawał. Mnie to się zdaje, że on w Bergównie to się od małego kochał, ale nic mojemu Rudolfowi nie mówiłam, bo i po co miał się zamartwiać, przyjaciółmi przecież takimi dobrymi byli. Cholerna wojna…

Walter nic nie mówił. Nie chciał nawet sugerować pani Lagendorf, że gdyby nie obłąkana miłość Hansa do Lilly, jej syn mógłby żyć i powrócić z wojny cały i zdrów. W tym momencie i tak nie miało to już znaczenia, bo młody Gąska nie żył. Cieszył się jednak, że chociaż nie będzie musiał ukrywać swoich uczuć do Lilly. Miał świadomość, że ich związek będzie się opierał na wielu kłamstwach, jednak wciąż nie potrafił przyznać się dziewczynie, że to on zabił jej wielbiciela, którego nie znosiła z całego serca. Nie

był bowiem pewien, czy uzna go za oprawcę, czy za bohatera. A bardzo chciał uchodzić w jej oczach za tego drugiego.

Tego wieczoru jednak nie poszedł na spotkanie z nią. Chciał zostać z panią Lagendorf, by nieco ją pocieszyć po ucieczce jedynego dziecka. Zastanawiał się, czy mógł temu zapobiec, czy było inne wyjście i w końcu czy jego czyn zasługiwał na potępienie. Może uratował życie temu polskiemu robotnikowi, a może jedynie odsunął podejrzenia od swojej osoby, jednocześnie pozbywając się Brygide, która zdołała poznać jego tajemnice.

Pod wieczór włączyli trzeszczące radio, by rozweselić się nieco muzyką, ale skończyło się na słuchaniu ponurych wiadomości o wycofujących się ze wschodu niemieckich wojskach. Walter von Lossow wiedział, że los tej wojny został już przesądzony i Niemcy ją przegrają. Nie obchodziło go to. Interesowało go jedynie, co stanie się z nim i czy kiedykolwiek na powrót stanie się Walterem von Lossowem i odnajdzie swoją rodzinę.

49. Moskwa, 1944

– I co z tą Dregerową? Nie kombinuje nic? – zapytał Sudopłatow, ziewając, ponieważ owo zadanie wydało mu się niegodne urzędu, który piastował.

– Nie, należała do Międzynarodowej Organizacji Pomocy Rewolucjonistom na Ukrainie, współpracowała z NKWD i donosiła nawet na kolegów partyjnych, że ośmielili się przyjąć dwa kilogramy ryżu i worek mąki z darów od rządu Sikorskiego. Studiowała w Paryżu – wygłaszał monolog Igor.

– Podobno była modelką samego Picassa. – Sudopłatow ziewnął kolejny raz.

– Wysoce prawdopodobne, w końcu był mistrzem kubistycznych obrazów. – Łyszkin parsknął śmiechem.

Sudopłatow pokręcił głową i też się roześmiał.

– No dobrze, spotkajcie się z nią kilka razy, napiszcie raport i zamykamy temat. A potem… na pewno się ucieszycie… Wracacie na stare śmieci. Do Warszawy – powiedział Sudopłatow.

Łyszkin momentalnie przestał się śmiać. Nie miał najmniejszej ochoty tam wracać. Nie dlatego, że się bał, ale zostawił w tym mieście wiele wspomnień. Miał jednak nadzieję, że nie zabawi tam długo i w istocie wyląduje w Londynie albo Stanach Zjednoczonych. „Byle jak najdalej od niej… Może wtedy zapomnę” – pomyślał.

Opuścił biuro generała i szedł powoli w stronę moskiewskiego mieszkania. Postawił kołnierz płaszcza, bo chłodny wiatr przenikał do szpiku kości, i zastanawiał się nad własnym postępowaniem. Tak szybko ocenił Hankę, nie mając pojęcia, co właściwie się wydarzyło, jednak jej znajomość z oficerem niemieckim uwierała go niczym za ciasny but. Poza tym miał dziecko. Mógł uciekać przed Hanką, nawet na drugi koniec świata, by o niej zapomnieć, ale jak mógł zapomnieć o tym, że ma syna? Zastanawiał się, jak wyglądał i do kogo był podobny. Jak każdy dobry ojciec powinien chronić swoje dziecko, ale w jaki sposób miał to zrobić, jeśli nie wiedział, gdzie teraz jest? Hanka mogła schronić się gdziekolwiek i pod dowolnym nazwiskiem, zwłaszcza mając takiego protektora, jak Hermann Ritz. Kiedyś jednak wojna się skończy, patrząc na poczynania Armii Czerwonej powinno to nastąpić niebawem, a wówczas Hanka na pewno powróci do Warszawy. Igor zdecydował, że zrobi wszystko, by na nią poczekać, zanim Sudopłatow

oddeleguje go dalej. Tak, to był już jakiś plan. I zdecydowanie lepszy niż ten, który świtał mu jeszcze kilka minut temu. By uciec jak najdalej.

Teraz została mu jeszcze ta przeklęta Dregerowa, pieprząca się jak marcowa kotka ze wszystkimi dygnitarzami, którzy ją promowali, a on musiał sprawdzać, czy godna jest zaufania najwyższych władz. Swoją drogą najwyraźniej musiała mieć coś w sobie, jeśli uwiodła nawet sekretarza Związku Patriotów Polskich. Nie miał ochoty na spotkania z nią i wysłuchiwanie banałów, ale wiedział, że im szybciej to odbębni, tym prędzej pozbędzie się tej sprawy i wyjedzie do Warszawy.

Dregerowa mieszkała po drugiej stronie rzeki Moskwy w wynajętym przez Kreml mieszkaniu. To tam wyznaczyła mu kolejne spotkanie, by zapytać o obecne nastroje w Polsce. Wszedł nieco niepewnie, jakby z obawy, że natknie się na jakiegoś kochanka Julii, ale ta najwyraźniej nie zamierzała tego dnia przyjmować nikogo, oprócz niego. Oficjalnie był jej podwładnym, kilkutygodniowym doradcą do spraw bezpieczeństwa w Polsce i znawcą patriotycznych nastrojów w tym kraju, więc musiał być grzeczny, miły i uczynny. Na samą myśl robiło mu się niedobrze.

– Jesteście żonaci? – zapytała w pewnym momencie Dregerowa, stawiając przed nim stakan z herbatą doprawioną wódką. – Pijcie, pijcie, rozgrzejecie się.

– Nie jestem – mruknął Igor i siorbnął łyk herbaty.

– Taki przystojny mężczyzna? – zapytała słodko i posłała mu powłóczyste spojrzenia.

„O, nie, do licha. Tylko niech tej babie nie przyjdzie do głowy, żeby mnie zaciągnąć do łóżka” – pomyślał Igor i siorbnął raz jeszcze, tylko znacznie głośniej. Miał nadzieję, że jej wielkoświatowe maniery, mimo komunistycznej duszy, nieco ostudzą jej zapędy. Miał jeszcze w planach nie używać chusteczki, tylko pociągać nosem oraz rzucać przekleństwami.

– Wojna jest, towarzyszko. Wszystko poświęcam dla matki Rosji, jak to powiedział towarzysz Stalin – mruknął Łyszkin i pociągnął nosem, czego nie cierpiał, jednak z dwojga złego wolał zrobić to, niż kłaść się do łóżka z tym kwadratowym babskiem, nie wspominając nawet o tym, że była od niego grubo starsza. Nie przeszkadzałoby mu to, gdyby choć odrobinę go pociągała, ale Julia Dreger nie miała w sobie nic, czym mógłby się zachwycić.

– Jednak pożycie intymne wspiera umysł, odpręża ciało i zwiększa wydajność. – Dregerowa puściła w jego stronę kolejny sygnał.

Kiedy nie skomentował i tylko wzruszył ramionami, kobieta przewróciła oczami i westchnęła, jakby miała do czynienia z kompletnym tępakiem.

– A wiecie, że mogłabym zrobić z was kogoś ważnego? Na przykład swoją prawą rękę. A gdy w końcu powrócę do Polski, będziecie mogli mieć swój udział w odbudowie nowego ładu społecznego. Nie chcielibyście powrócić do ojczyzny? Ale jako ktoś, kto bierze udział w czymś doniosłym… – Nie dawała za wygraną.

– Biuro Polityczne wyznaczyło mnie na inny odcinek, towarzyszko – burknął nieco niegrzecznie.

Dregerowa zrobiła się czerwona ze złości. Nie tego się spodziewała. Odkąd stała się kimś ważnym i przyjaciółką samej Wandy Wasilewskiej, nikt nie ośmielił się nawet mrugnąć okiem, gdy bardziej lub mniej dosadnie proponowała mu łóżko. A ten tak po prostu wzruszał sobie ramionami? Postanowiła, że nikt nie będzie jej tak traktował, a na pewno nie jakiś chłystek. W pewnej chwili położyła mu rękę na kroczu i zaczęła masować intensywnie, patrząc Łyszkinowi w oczy.

– Spaliście kiedyś z kobietą, Dudajew? – zapytała ostro.

Igor pokiwał głową i przełknął ślinę. Miał ochotę strącić dłoń kobiety ze swoich spodni, ale przecież był tylko jej „giermkiem”.

– A może wy, Dudajew, jesteście burżuazyjny homoseksualista? – zapytała, badawczo mrużąc oczy.

– Ja? Skądże? – wydukał, wiedząc, że osoby o takiej orientacji od razu kwalifikowane były jako wrogowie ludu. A wówczas musiałby się ujawnić, co w jego fachu było niedopuszczalne.

Gdyby tylko ten jeden raz udało mu się wymknąć ze szponów tego rozpustnego babska, byłoby to coś. Albo napisałby raport od razu, albo spotykał się z nią już jedynie w Biurze Politycznym. Nie miał pojęcia, jak wybrnąć z tej sytuacji, zwłaszcza że dłoń Dregerowej wciąż masowała mu krocze.

– Więc co? Jestem odpychająca? – zapytała ostro.

– Ależ, towarzyszko Dreger, jesteście niezwykle piękną kobietą – zaprzeczył gorliwie i podjął decyzję, w jaki sposób wybrnie z tej sytuacji. – Ale wie, towarzyszka… Pouzywałem sobie w polowych warunkach i jakąś francę złapałem. Lekarz powiedział, że to tryper. Jak idę za potrzebą, to

mam gwiazdy przed oczami, tak mnie przyrodzenie piecze, ale jak towarzyszce to nie przeszkadza… – Po czym sięgnął do spodni i zaczął odpinać pasek.

Ręka Dregerowej zniknęła z jego przyrodzenia szybciej, niż się spodziewał. Popatrzyła na niego groźnie i zażądała:

– Idźcie już. A jak się wyleczycie… powrócimy do tematu.

– Szkoda – westchnął i z powrotem zapiął pasek.

Po kilku minutach opuścił mieszkanie Dregerowej, wdychając ostre, mroźne powietrze. Było to znacznie przyjemniejsze niż duszna atmosfera mieszkania wielkiej działaczki komunistycznej. Miał nadzieję, że po wypełnieniu zadania już nigdy więcej nie zobaczy jej na oczy.

50. Warszawa,1944

– Za każdym razem, gdy opuszczam Mateuszka, myślę, że jestem złą matką. Moje miejsce powinno być przy dziecku. A ja? Jedno straciłam przez głupotę, a teraz narażam siebie. Weronika, gdy tylko wyszła za Juliana, wyjechała z Warszawy, by chuchać i dmuchać na siebie i swoje nienarodzone dziecko – z westchnieniem powiedziała Alicja, gdy opuszczała z „Karym" leśniczówkę.

Wbrew temu, co sądziła, między nią a „Karym" nie doszło do żadnego pojednania polegającego na rzucaniu się w ramiona, słodkich wyznaniach i szeptaniu o tym, jak szczęśliwie będzie wyglądać ich życie, gdy już wojna się skończy. Alicja pomyślała, że te piękne chwile spędzone na podłodze w jej mieszkaniu już nigdy więcej nie powrócą, bo chociaż przyrzekła mu wówczas, że będzie szczera bez względu na to, co się stanie, złamała tę przysięgę niemal od razu. Czuła się trochę winna, ale, do cholery, nie zrobiła nic złego, nie okłamała go, a jedynie zataiła prawdę. A to w jej oczach robiło różnicę. Najwyraźniej dla „Karego" nie miało to znaczenia i było dowodem, że Alicja kryje w swoim sercu jakieś sekreciki, w czym była nawet odrobina prawdy. Jednak sama musiała uporać się z uczuciami, które niegdyś żywiła do Juliana Chełmickiego.

– Taką wybrałaś drogę. Historia oceni, czy słuszną. – Sergiusz wzruszył ramionami.

– Walka o wolną ojczyznę zawsze jest słuszna. Kiedyś tak nie myślałam, ale teraz…

Przerwał jej:

– Ale teraz nie potrafisz na chłodno ocenić faktów. A powiem ci, że nasz londyński rząd i świętej pamięci generał, którego tak wszyscy kochali, mieli podwójne standardy i to nadal ma miejsce. Walczymy u boku morderców, którzy zagrabili nam pół Polski, a na Wołyniu przez kilka miesięcy tłukli naszych obywateli i nic nie zrobiliśmy. Ocknęliśmy się, jak już krew naszych rodaków spływała strumieniami. Więc jak to jest, Alicja? I Niemcy, i Związek Radziecki to agresorzy i barbarzyńcy, więc jak to się dzieje, że jednym psujemy krew, a dla drugich ją przelewamy? Uważam, że Narodowe Siły Zbrojne postępują bardziej racjonalnie, żeby nie używać patetycznych słów, patriotycznie – powiedział „Kary", który od wielu tygodni do-

starczał broń oddziałom walczącym na Wołyniu i miał poczucie, że z mordercami uzbrojonymi w kije i siekiery należało rozprawić się dużo szybciej.

– Z kimś trzeba trzymać – westchnęła Alicja. – Sami tej wojny nie wygramy.

– My już ją przegraliśmy, więc nie ma powodu, żebyśmy trzymali z kimkolwiek. Należy jeszcze ratować, co się da i nie oglądać się na innych. Nikt mnie nie przekona, że Stalin nas na końcu nie okpi i nie wyrżnie w pień – stanowczo odparł Sergiusz.

Chociaż nigdy nie należał do żadnej organizacji i robił głównie interesy z bronią, miał bardzo skrystalizowane poglądy. Kiedyś nawet patrzył z nadzieją na rząd w Londynie, ale odkąd alianci zaczęli nisko się kłaniać Stalinowi, wiele stracił w jego oczach. Nie chodziło o wymachiwanie szabelką „Wielkiej Rosji”, daleki był od bycia Konradem Wallenrodem, ale nie rozumiał, jak jednego wroga można nienawidzić, a drugiego hołubić. Dlatego nie czuł ani krzty wyrzutów sumienia, gdy korumpował niemieckich urzędników i dzięki nim mógł przewozić ciężarówki z bronią niemal pod ich nosem, nie robiąc żadnemu z nich krzywdy, a jedynie sowicie im płacąc.

– Mówi się, już właściwie głośno, o powstaniu w Polsce i o tym, że Armia Czerwona i nasza, Berlinga, nam pomoże. Ludzie naprawdę mają dość. Przez pięć lat nas tępili jak wszy na kołnierzu, traktowali jak bydło i unicestwiali na masową skalę, czasami po prostu ma się dość… – mruknęła Alicja.

Była przekonana, że kiedy niemiecki okupant odejdzie, wszyscy poczują powiew wolności. Nie była jednak w stanie przekonać do tego „Karego”, ponieważ przybył do Warszawy z miejsca, które zaanektowali Rosjanie we wrześniu 1939 roku, mordując przy okazji całą jego rodzinę. Rozumiała go i nie rozumiała wielkiej polityki, przekonana, że tam, w dowództwie, siedzą mądrzejsi od niej i wiedzą, co robią. Zresztą Julian myślał podobnie, mimo że był niegdyś kurierem i widział, jak potrafią zachowywać się alianci. Ale on był obeznany i biegły w tych tematach, więc można było mu wierzyć, że sprzymierzenie się ze Związkiem Radzieckim to jedyne rozwiązanie, bo wraz z nimi są Brytyjczycy.

Ale co tam wielka polityka, co tam poświęcenie dla wielkiej sprawy, jeśli jej serce czuło się zranione przez Sergiusza, a tęsknota za nim odbierała jej niemal oddech…

– Wejdziesz…? – zapytała cicho Alicja, gdy zatrzymali się przed kamienicą na Brzeskiej.

– Nie dzisiaj. – Uśmiechnął się smutno i zerknął w lusterko. – Wyglądam jak dzikus.

– Przestań… Nieraz cię widziałam w takim stanie – mruknęła.

– Dobrze, w takim razie nie jestem jeszcze gotowy, w porządku? – Sergiusz nie bardzo miał ochotę, by ciągnąć tę rozmowę.

Alicja rozzłościła się. Minęło tyle miesięcy, Chełmicki zdążył założyć rodzinę, ona zupełnie ostudzić swoje uczucia do Juliana, a ten jej mówi, że „nie jest jeszcze gotowy”? Ale ona była gotowa już dawno…

– Żebyś tylko pewnego dnia się nie zdziwił, bo może się okazać, że ja straciłam gotowość. Nie będę żebrała o twoją miłość tylko dlatego, że coś sobie ubzdurałeś – burknęła i wysiadła z furgonetki, głośno trzaskając drzwiami.

Odkręcił szybę i krzyknął za nią:

– Nie musisz żebrać o moją miłość, bo ja cię wciąż kocham, ale cholernie nie lubię czuć się jak frajer!

Wzruszyła ramionami, prychnęła pod nosem coś w rodzaju „ja też”, po czym odeszła swoim tanecznym krokiem w stronę bramy. Sergiusz zdenerwował się. Spodziewał się raczej gorliwego zapewnienia, że nie musi się niczego obawiać, jakichś słów o jej wielkiej miłości do niego i oddaniu, a ona tymczasem mu tu pogardliwie prychała. Nienawidził jej za to i paradoksalnie właśnie za to ją kochał najbardziej. Miała charakterek, jeśli jednak myślała, że trafiła na mięczaka, w życiu się tak nie pomyliła. Patrzył, jak idzie, nie oglądając się za siebie, a jej pośladki kołyszą się ponętnie.

„Ja ci pokażę. Jeszcze będziesz prosiła, żebym przestał” – pomyślał „Kary”, wyłączył stacyjkę i wysiadł z samochodu. Szybkim krokiem ruszył za Alicją i złapał ją za rękę, gdy weszła do ciemnej sieni kamienicy. Odwrócił ją gwałtownym ruchem i przycisnął do ściany. Poczuła na sobie ciężar jego ciała i pomyślała, że już od bardzo dawna nie kochała się z mężczyzną.

– A jakbyś tak odrobinę stępiła pazurki, to co by się stało? – zapytał cicho.

– Niedoczekanie – mruknęła, wbijając w niego ostry wzrok.

– Nie kochasz mnie? – zapytał przeciągle. – Wtedy, w pralni, mówiłaś coś innego…

– Właśnie. – Rozejrzała się dookoła i powiedziała słodko: – Ale teraz nie widzę niczego, czym mógłbyś rzucić. Jeszcze zechcesz mną…

– Dobry pomysł. – Roześmiał się i wziął ją na ręce.

– Przestań, wariacie! – Także zaczęła się śmiać. – Mieszkam wysoko.

On jednak nie słuchał. Zmienił jedynie pozycję i zamiast subtelnego uchwytu przerzucił ją przez ramię i ruszył schodami w górę. Nie spodobało się to Alicji, która miała nadzieję na bardziej romantyczną sytuację.

– Puść mnie, do cholery, nie jestem workiem kartofli – syknęła.

– Zapomnij – warknął.

– Jasne, jak brakuje argumentów, to należy pokazać siłę mięśni – sarkała.

– I za to mnie kochasz… – Zaczął się śmiać.

– A wcale, że nie… – jęknęła.

– Jak powiesz, że za wyrozumiałość, oberwiesz klapsa – burknął.

Dotarł na piętro, gdzie mieszkała Alicja, nieco zasapany, po czym postawił ją na podłodze i powiedział rozkazująco:

– Otwieraj.

Alicja zaczęła powoli gmerać w torebce, na złość Sergiuszowi przedłużając moment otwarcia drzwi, by nieco go ukarać za tę obcesowość. Jednak on jedynie uśmiechnął się pod nosem i zaczął rozpinać jej kożuch, potem bluzkę i spódnicę, nie krępując się kompletnie tym, że w każdej chwili na klatce może pokazać się któryś z sąsiadów.

– Jeśli będziesz robiła mi na złość, zrobimy to tutaj – warknął i zaczął całować jej szyję.

Otworzyła w końcu drzwi i stwierdziła, że już nie chce dłużej się droczyć, tylko poddać uczuciu i rozbić ten mur, który stał między nimi. Wbrew temu, czego się spodziewała, Sergiusz nie był już ani odrobinę brutalny. Całował ją delikatnie, tak jakby muskał zaledwie, doprowadzając ją do obłędu. Jego dotyk był czuły i tak inny niż Juliana Chełmickiego. Alicja pomyślała, że to idiotyzm porównywać ich w tej chwili do siebie, bo już nie chciała innych dłoni na swoim ciele, tylko „Karego”. Miała wrażenie, że ten przedłuża w nieskończoność akt miłosny, na który oboje tak długo czekali. Miała ochotę krzyczeć, żeby w końcu ją zaspokoił, pokazał tę siłę, którą jeszcze niedawno tak się chełpił, ale on jakby robił jej na złość, doprowadzając do stanu wrzenia. Całował jej piersi, lizał jej płaski brzuch i muskał dłonią wewnętrzną stronę ud. Zaciskała usta i patrzyła mu w oczy, jakby wysyłała niemą prośbę o rozkosz, którą tak pięknie zapowiadał pieszczotami.

– Zróbmy to w końcu – poddała się.

– Tak sobie myślę, co by zrobiła moja słodka Alicja, gdybym ją teraz zostawił w takim stanie… – Uśmiechnął się szelmowsko, nie przestając wodzić dłońmi po jej ciele.

– Nie zrobisz mi tego, prawda? – zapytała głosem małej dziewczynki.

I wtedy Sergiusz poczuł, że właśnie teraz, być może na bardzo krótko, ujarzmił tę niesforną, pyskatą i pewną siebie kobietę.

– Kochanie, tobie bym to zrobił, ale sobie nie… – Uśmiechnął się i wszedł w nią, nie przestając patrzyć jej w oczy. On także nie mógł wytrzymać tego napięcia, atmosfery pożądania, która chwilami była nie do zniesienia.

Aż do rana nie mówili prawie nic, nie droczyli się i nawet nie uśmiechali się do siebie, kompletnie pochłonięci swoją bliskością, dotykiem ciał i zapachem, tak jakby pragnęli nigdy więcej nie stracić się z oczu chociażby na minutę. Alicja nie pamiętała, kiedy ostatnio czuła się taka szczęśliwa i pewna, że wszystko jest takie, jakie być powinno, a Julian jako mężczyzna przestał znaczyć dla niej już cokolwiek.

O świcie, gdy Sergiusz spał, lekko pochrapując, pocałowała go w czoło, uśmiechnęła się i podniosła się z łóżka. Najchętniej nie wychodziłaby stamtąd przez następny tydzień, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Za godzinę musiała rozpocząć obserwację w dzielnicy policyjnej, przy alei Róż, gdzie mieszkał człowiek, który za kilka dni musi zginąć z rąk jej kompanów. Żałowała, że nie jest już tą samą Alicją, która zawsze wybierała własne szczęście i wygodę. Teraz była elementem większej całości i wiedziała, że nie może zawieść, mimo że muskularne ciało Sergiusza było bardzo kuszące.

– Wychodzisz już? Masz jeszcze mokre włosy… – zapytał ledwie rozbudzony Sergiusz, patrząc na ubierającą się Alicję.

– Za późno wstałam, ale założę czapkę. Nic mi nie będzie. – Uśmiechnęła się do niego i dodała: – Pośpij sobie, wrócę po południu.

– Chodź do mnie na chwilkę – poprosił cicho.

Położyła się koło niego, nie przestając się uśmiechać, i wtuliła się w jego ramiona.

– Mam do ciebie tylko jedną, jedyną prośbę – wyszeptał.

Alicja pomyślała, że ta piękna noc niczego między nimi nie zmieniła i za chwilę znowu usłyszy coś na temat jej współpracy z Julianem.

– Mów – powiedziała z westchnieniem. – Bo mi tramwaj ucieknie.

Przycisnął ją mocno do siebie, niemal pozbawiając ją oddechu.

– Nie daj się zabić – wyszeptał i pocałował ją w czoło.

***

Przechadzając się w okolicach domu, w którym zamieszkiwała kolejna ofiara Kedywu, znienawidzony i bezwzględny oprawca, Alicja Rosińska wyglądała jak niegdyś, gdy jej kochankiem był Martin Gross. Wilgotne jeszcze włosy wcisnęła pod elegancką czapkę obszytą futerkiem, szyję owinęła lisią etolą, a usta pociągnęła karminową szminką. Teraz jednak jej ubrania były jedynie rekwizytami zakładanymi na potrzeby akcji. Ucieszyła się, że „Kary” zasnął, zanim była w pełni gotowa. Jeszcze pomyślałby, że stroi się tak dla Chełmickiego. Oczywiście, to była bzdura. Spędzali z Julianem bardzo wiele czasu i w rozmaitych okolicznościach, zatem ten widywał ją i wówczas, gdy wyglądała jak bogini, jak i wtedy, kiedy mogłaby straszyć dzieci swoim widokiem.

Opel admiral podjechał przed budynek, adiutant otworzył tylne drzwi i chwilę potem z budynku wyszedł szef policji. Alicja spojrzała na zegarek. Była dziewiąta, zatem *generalmajor* miał wciąż ten sam rytm, jeśli chodzi o wyjście z domu. Musiała teraz poczekać i trochę bez celu pokręcić się po dzielnicy, by sprawdzić godzinę powrotu. Tym razem szef policji przybył do swojej kwatery kwadrans przed piętnastą.

W stolarni byli już wszyscy, którzy mieli uczestniczyć w akcji. Alicja złożyła raport i zaczęto wnikliwie go analizować wraz z tymi, które dostarczyli inni. Ustalono termin na następny dzień i godzinę, a potem rozpoczęło się żmudne opracowywanie szczegółów akcji. Dosłownie każdej jej sekundy. Dodawanie kroków liczonych na poszczególnych odcinkach, rozdawanie zadań. Wyznaczono także osoby, które miały ukraść samochody wykorzystane później do akcji.

– Boże, kilka razy w życiu prowadziłem samochód – jęknął jeden z chłopaków. – Co będzie, jak skrewię?

– Ja ani razu – roześmiał się jego kolega stojący obok. – Więc można powiedzieć, że w porównaniu ze mną jesteś mistrzem kierownicy.

– Nie mamy nikogo innego – westchnął Julian, po czym zwrócił się do Alicji: – Przydałby się nam ktoś taki jak „Kary”. Ten powozi znakomicie. Ale on musi zarabiać pieniądze…

Alicja wyczuła odrobinę sarkazmu w jego głosie.

– On ma inne zajęcia, wozi broń chłopakom na wschód, bo my jesteśmy zajęci wspieraniem wujka Stalina – odpowiedziała Alicja, również z nutką złośliwości.

Chełmicki zrezygnował ze złośliwego tonu i powiedział ciepło, chcąc nieco załagodzić swoją niefortunną wypowiedź:

– Wyglądasz… hm… bardzo elegancko. Zdejmij czapkę, chcę cię obejrzeć w pełnej krasie.

Alicja zrobiła, o co poprosił i spod czapki wysypały się potargane włosy, które schnąc pod grubą dzianiną, utworzyły strzechę zamiast fryzury. Julian popatrzył nieco zdziwiony, a Alicja roześmiała się w duchu, widząc jego zawiedzioną minę. Tak, kiedyś, nawet całkiem niedawno, nie chciałaby się mu tak zaprezentować, ale teraz… jakież to miało znaczenie?

– Niech każdy powtórzy swój plan działania – zaordynował ostro Chełmicki, zdając sobie sprawę, że Alicja naigrawa się z jego prób zbliżenia się do niej.

Nie dziwił się jej i wiedział, że sam postępuje niewłaściwie, ale cierpiał za każdym razem, gdy ją widział i nawet odwiedziny Weroniki i Amelii nie mogły wymazać z jego głowy obrazu Alicji. Miał również świadomość, że koncertowo spieprzył sprawę, ale łudził się, że jeszcze kiedyś zobaczy w oczach Alicji ten sam żar i tę samą miłość, co niegdyś. Chciał chociaż wiedzieć, że to, co było między nimi, nigdy nie umarło. Ona jednak była zimna, zdystansowana i skupiona jedynie na sprawach oddziału.

– Gdy zobaczę, że wsiada do samochodu, przechodzę na drugą stronę ulicy – zaraportowała Alicja.

– Kiedy zobaczę Ewę po drugiej stronie, zdejmuję kapelusz – odezwał się kolejny.

I tak minęło całe popołudnie. Nieco znużona Alicja powróciła do domu i z ulgą zdjęła eleganckie kozaczki i pozostałe części garderoby. Sergiusz krzątał się po kuchni.

– Obraza boska, żebym ja ci obiad gotował, a ty latasz z karabinem. – Uśmiechnął się do niej i dodał: – Ale jak już z tym skończysz, nie będziesz miała ze mną tak dobrze.

– O, Boże! – jęknęła. – Czy ja naprawdę muszę przez cały dzień słuchać rozkazów.

– Za taką zupę? Musisz. – Puścił do niej oko.

– Dzisiaj muszę się wyspać… Figlowaliśmy całą noc, jestem nieprzytomna. Jutro… – Chciała powiedzieć, że następnego dnia czeka ją kolejna ryzykowna akcja, ale nie mogła i bardzo tego żałowała.

– Jeśli zginiesz, nigdy ci tego nie wybaczymy. Ani ja, ani Mateuszek – powiedział ostro Sergiusz.

– Nie dobijaj mnie…

– To skończ z tym. Są na to sposoby – mruknął „Kary”.

Podszedł do niej i wziął ją za ręce. Po chwili zaczął mówić szybko, żeby opowiedzieć jej swój plan, póki miał odwagę, by to zrobić.

– Posłuchaj, zdobędę dla naszej trójki brytyjskie i niemieckie paszporty. Przedostaniemy się na Zachód, wiesz, że nie jest to dla nas czymś karkołomnym. A potem popłyniemy do Ameryki. Zaczniemy od początku. Bez wojny, bez ciągłego strachu. Mam pieniądze, siły i głowę pełną pomysłów. Żyjmy normalnie, jak zwykli ludzie, którzy się kochają, mają plany, marzenia i pragną szczęścia dla swoich dzieci… Kochanie, błagam. To nie ma sensu, ta walka, to ciągłe narażanie życia. Co komu przyjdzie z tego, że umrzesz? Co po sobie zostawisz? Kto będzie o tym pamiętał, gdy przyjdą Rosjanie i dokończą to, co zaczął Hitler? Mamy tylko jedno życie…

Słowa „Karego” docierały do niej jak przez ścianę. Co oznaczało „żyć normalnie”? Miała zostawić ich wszystkich i uciec? Bo tak było prościej i wygodniej? Jeszcze dwa lata temu nie wahałaby się, ale teraz tak wiele się zmieniło. Miała poczucie misji, bez względu na to, jak bardzo to wyglądało groteskowo na tle tak potężnej siły, jaką wciąż byli Niemcy. Łzy napłynęły jej do oczu, broda zaczęła drżeć. Pokręciła przecząco głową.

– Nie mogę, Sergiusz. Po prostu nie mogę. Jeśli jednak ty chcesz żyć normalnie, zrozumiem. Będzie mi ciężko, ale nie potępię cię.

– Bez ciebie to nie ma najmniejszego sensu. Jesteś dla mnie najważniejsza… – powiedział cicho. – Połóż się. Jutro czeka cię trudny dzień.

Popatrzyła na niego zdziwiona. Skąd wiedział o czymś tak tajnym? Nie pytała jednak, ufała mu bezgranicznie.

Zasnęła niemal natychmiast i spała do następnego dnia. Przebudziła się tylko na chwilę, gdy poczuła, jak oplatają ją silne ramiona Sergiusza. Pomyślała przez moment, jakby w półśnie, że jeśli taki mężczyzna jest przy niej i kocha ją, nic złego nie może jej się przytrafić.

51. Warszawa, 1944

Renate Zoll weszła do karceru, w którym leżał pobity sanitariusz. Nachyliła się nad nim, sprawdziła, czy jest przytomny, po czym wcisnęła mu w dłoń kawałek papieru z grypsem od kompanów, którzy jeszcze ocaleli.

– Połknij go, jak przeczytasz – szepnęła konspiracyjnie. – Mam na imię Renate, jestem tutaj strażniczką.

Więzień zamrugał powiekami. Wiedział, kim była ta kobieta. Ostatnio zmusili ją, żeby z nimi współpracowała. Ale czy ona wiedziała, kim on jest? Miał nadzieję, że nie. Nic o tym nie świadczyło, bo przede wszystkim nie otrzymałby od niej żadnych grypsów od chłopaków. Renate opuściła celę i nakazała przenieść więźnia do izby chorych, wręczając polecenie samego dyrektora więzienia. Mimo że panna Zoll była strażniczką na oddziale żeńskim, każdy wiedział, że jest też ulubienicą dyrektora całego więzienia.

Po godzinie sanitariusz leżał już w izbie chorych, opatrzony i ubrany w świeże ubranie. Po dwóch godzinach znowu zjawiła się Renate Zoll i z troską zapytała Zygmunta Kolasę:

– Jak się pan czuje?

– Jak po przesłuchaniu na Szucha – mruknął.

– Odpisał pan? – zapytała z troską w głosie.

Pokiwał głową i podał Renate gryps. Wsunęła go do kieszeni munduru i już nie musiała udawać.

– Panie Kolasa… – powiedziała stanowczo. – My się znamy, prawda?

– My? A skąd? – udawał zdziwionego.

– Proszę nie robić ze mnie idiotki. Tej nocy, gdy wyjechał stąd niejaki Robert Jaworski albo, jak pan woli, Julian Chełmicki, przyjechał pan sanitarką wraz z jednym oficerem niemieckim i pewną lekarką – ciągnęła Renate.

– Nie wiem, o czym pani mówi – bąknął.

Popatrzyła na owinięte bandażami kolana sanitariusza, po czym uderzyła z całej siły w to miejsce swoją skórzaną pałką. Więzień zaskowyczał.

– Przypomniał pan sobie? – zapytała słodko.

Jednak Zygmunt Kolasa milczał.

– Powiesz, kim była ta lekarka, a ja załatwię ci zwolnienie z więzienia – wycedziła.

– Pocałuj mnie w dupę, suko – wycharczał.

Renate Zoll wpadła we wściekłość. Zawołała strażników i kazała zaprowadzić więźnia do pokoju Edmunda Lenera. Wiedziała, że ten ma w swoim gabinecie cały arsenał przyrządów doprowadzających niesfornych więźniów do porządku. Gdy doszli do punktu przeznaczenia, Renate stanęła twarzą w twarz z Lenerem, obleśnym typem, który ślinił się na jej widok, odkąd przyszła tutaj do pracy.

– Edmundzie, pomóż mi i wydobądź od niego tylko jedno nazwisko, a potem niech zdechnie. – Uśmiechnęła się do niego promiennie.

– E… Renatka, a co ja jestem twój chłoptaś na posyłki? – zapytał.

– Ależ skąd, ja cię tylko ładnie proszę – powiedziała słodko.

Lener oblizał wargi. Podszedł do więźnia, po czym zaprowadził go pod ścianę i przykuł kajdankami do wiszącej na suficie belki. Sanitariusz ledwie dotykał stopami podłogi.

– Niech kruszeje, jak zając. – Zarechotał i wziął pod ramię Renate.

– Gdzie, u licha, mnie prowadzisz? – warknęła panna Zoll.

– Chcę odebrać swoją zapłatę – mruknął, po czym otworzył pomieszczenie, w którym składowano środki czystości, kubły, miotły i inne rzeczy służące do utrzymania porządku na piętrze.

Renate wiedziała, co się za chwilę stanie, ale była gotowa zapłacić tę cenę, by już nigdy nie obawiać się, że będzie szantażowana. Lener odwrócił ją tyłem, oparł o metalowy regał i podwinął jej spódnicę. Wszystko trwało zaledwie kilka minut, podczas których Lener nawet nie wyjął z ust papierosa. Zapiął rozporek, klepnął Renate w pośladek i poszedł do swojego pokoju, by wypełnić służbowe obowiązki. Renate natomiast starała się nie myśleć o obrzydliwym Lenerze, ale niemal natychmiast pobiegła do łaźni dla personelu i wyszorowała się karbolowym mydłem.

Po kilku godzinach Lener złapał ją, gdy sprawdzała kolejną celę.

– Weronika Sarnowska, lekarka ze szpitala Dzieciątka – wysapał jej do ucha.

– A on? – zapytała.

– Hm… No cóż, nie przeżył – beznamiętnie stwierdził Lener i puścił do niej oko.

– To dobrze – mruknęła i już chciała odejść, gdy ten zagrodził jej przejście.

– Może powtórzymy nasze małe co nieco?

– To był interes, nie przyjemność. Nie jesteś z mojej bajki – warknęła i odeszła do swojego pokoju.

Miała nadzieję, że ten sanitariusz nie powiedział nic więcej Lenerowi, bo gdyby to uczynił, ten z pewnością wspomniałby o tym i wykorzystał, by kilka razy dziennie opierać Renate o metalowy regał.

Kiedy opuściła gmach więzienia, odetchnęła z ulgą. Pozostała jej już tylko jedna osoba, która znała prawdę o tamtej nocy, gdy w imię miłości popełniła fatalny w skutkach błąd. A oprócz tego dokonała czegoś naprawdę spektakularnego. Rozbiła komunistyczną szajkę, co z pewnością zaimponuje Vaderowi, który potrzebował sukcesów, bo ostatnio nie mógł się za bardzo nimi pochwalić.

„Weronika Sarnowska” – pomyślała Renate. Nie miała pojęcia, kim była ta kobieta, ale tamtej nocy udzielała pomocy Chełmickiemu, więc być może znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, gdzie ten gagatek obecnie przebywa. Jednak wolała nie ryzykować jej aresztowania. Postanowiła, że załatwi sprawę po cichu, a w najgorszym razie kolejny raz wykorzysta Lenera i jeszcze raz oprze się o brudny regał w kantorku gospodarczym.

***

Szymek Wielopolski kolejny dzień kręcił się z metalowym wózkiem koło głównej bramy więzienia na Rakowieckiej. Denerwował się, bo wciąż w żadnym z wchodzących za bramę strażników nie rozpoznał „Szmaty”. Już sam nie wiedział, czy obawia się bardziej, iż go nie spotka, czy tego, że w końcu na niego trafi i już nie będzie odwrotu, by pomścić małą Noemi. Wciąż o niej myślał, bo była jedyną przyjaciółką, jaką miał. Teraz pewnie wyglądałaby inaczej, nie jak dziecko, ale jak młoda, prześliczna dziewczyna, która spędza z powiek sen nastoletnim chłopcom. Ale ona lubiłaby tylko jego i wszyscy zazdrościliby mu takiej przyjaciółki. Jednak nie dostała tej szansy, bo jakiś pijany drab postanowił ją zastrzelić dla zabawy.

Minęła piętnasta i Szymek już chciał wrócić do domu, gdy dostrzegł wychodzącego mężczyznę w mundurze. Pchnął wózek przed siebie i przedostał się na drugą stronę ulicy. Mężczyzna przeszedł obok, nie zwracając uwagi na obszarpanego chłopca, ale Szymkowi serce zaczęło łomotać jak oszalałe. To był „Szmata” i nie było mowy o pomyłce. Poznałby tę twarz po

licznych skazach na twarzy, będących najpewniej następstwem przebytej ospy.

Chłopak doszedł do zakrętu, po czym wsunął wózek do najbliższej bramy i poszedł za „Szmatą”. Nie przejmował się, że ktoś ukradnie ów zdezelowany wehikuł, bowiem Szymek także go ukradł pewnemu sprzedawcy warzyw na Różycu. Była zima, wózek nie był za bardzo potrzebny handlarzowi, więc nawet nie zwrócił uwagi na młodego chłopaka, który się przy nim kręcił.

Starał się dotrzymywać kroku idącemu mężczyźnie i od razu zrobiło mu się cieplej. Pociągnął nosem, potarł zmarznięte dłonie i modlił się, by mężczyzna poszedł prosto do domu i nie zachodził nigdzie po drodze, na przykład na kufel piwa. Erwin Koppler mieszkał przy Kazimierzowskiej, w niezbyt okazałej kamienicy z brudnymi oknami i przepełnionymi śmietnikami na podwórzu. Szymek wyciągnął zza pazuchy pistolet i odbezpieczył go, tak jak nauczył go pan Lewin. Wszedł do klatki za „Szmatą” i zapytał uprzejmie:

– *Herr* Koppler?

– A o co chodzi? – warknął mężczyzna, widząc jakiegoś małego obszarpańca.

– O Noemi – powiedział Szymek.

– O kogo? – zdziwił się „Szmata”. – Nie znam nikogo takiego.

Szymek wycelował w Kopplera. Drżała mu ręka, a w oczach zbierały się łzy. „Szmata” zabił Noemi i nawet tego nie pamiętał. Wystrzelił. Mężczyzna krzyknął, chwycił się za rękę i uciekł po schodach na górę. Szymek usłyszał dźwięk otwieranych drzwi, wystraszył się i wybiegł na ulicę. Gnał przed siebie, nie zwalniając ani na chwilę, i dopiero po kilku minutach spostrzegł, że wciąż trzyma w ręku broń. Schował ją w wewnętrznej kieszeni kapoty i dalej pędził przed siebie, nie patrząc ani na mijane ulice, ani na ludzi. Miał oczy pełne łez, zasmarkany nos i myślał tylko o tym, że ten drań, „Szmata”, nawet nie pamiętał, że zamordował Noemi.

Kilka przecznic dalej zatrzymał się, bo już nie mógł złapać oddechu, zaczął kaszleć, a potem zwymiotował na pobliski skwer. Żałował, że nie zabił Kopplera i że ten zobaczył jego twarz. Zapewne zaalarmuje służby, a on będzie musiał bardzo uważać, by pewnego dnia go nie spotkać. Potem jednak doszedł do wniosku, że przynajmniej go ranił, a to już było coś, jak na takiego młodego chłopaka.

52. Okolice Studzianek, 1944

– Hanka, Hanka! – krzyczała Irena, biegnąc przez łąkę i oglądając się za siebie. – Słyszałaś? Podobnież Ruskie już są blisko, a Niemcy z drugiej strony, zaraz tutaj będzie jatka!

Hanka przeżegnała się.

– Jezu Chryste, i co my teraz zrobimy?

– Jak to co? Uciekamy. Spakujemy w wózek, co najpotrzebniejsze, Maryśkę z boku przywiążemy i idziemy, byle dalej. We wsi mówią, że tu będzie takie piekło, jakiego świat nie widział – panikowała Irena.

– Może zaraz będzie koniec wojny, jak się za łby chwycą – z nadzieją powiedziała Hanka.

– A Ruskie myślisz to lepsze, jeden już pokazał, co potrafi. – Wskazała brodą obórkę.

Hanka zamyśliła się i dopiero po chwili zarządziła:

– Zrobimy tak, dojdziemy do Magnuszewa, zostawimy Matczakowi krowę i Ziutka, może nas dowiezie do Warszawy. Albo doktora ubłagamy, żeby nam za krowę furmankę oddał. Chyba że ty do Kazia wrócisz i ja sama do tej Warszawy…

– Nie ma mowy! Gdzie taki świat drogi ja bym cię wypuściła. Z dwójką dzieci na dodatek. To lecę pakować graty – stanowczo oznajmiła „Wariatka” i w tym momencie rozległ się rozdzierający płacz Nadii.

Hance wypadło z ręki wiadro z wodą, które niosła do chałupy, po czym podbiegła zatrwożona do córki.

– Nadia, kochanie, co się stało? – zapytała czule.

– Ja chcę Ziutka. A ty chcesz go oddać – darła się wniebogłosy.

– Dobrze, już dobrze, Nadiu. Weźmiemy Ziutka ze sobą – uspokajała córkę, chociaż nie miała pojęcia, jak Emil zareaguje, gdy sprowadzi się do niego z Ireną, dwójką dzieci i psem wielkością przypominającym wymizerowaną Maryśkę.

Nazajutrz o świcie, póki jeszcze upał nie doskwierał zbyt mocno, wyruszyły, niczym Cyganie swoim taborem, do Magnuszewa. Miały do przebycia kilkanaście kilometrów, co biorąc pod uwagę wyładowany wózek, zdawało się drogą niemal na Golgotę. Dotarły do wsi pod wieczór i Irena ulokowała ich w swojej własnej stodole. Hanka patrzyła na przyjaciółkę, jak ta

z żalem spogląda na murowany dom, ciężkie od owoców czereśnie i drewniany stół stojący w cienistym ogrodzie.

– Idę Kazika poszukać – powiedziała, głośno wzdychając, i zniknęła, zamykając szczelnie wierzeje stodoły.

Hanka jednak uchyliła je nieco, bo w środku było parno i unosił się duszący pył z pryzm siana.

Po jakiejś godzinie Irena powróciła, a wraz z nią zapłakany Kazio Bednarek, który począł niemal na klęczkach przebłagiwać Irenę, by do niego wróciła. Hanka zauważyła, że jej przyjaciółka zaczyna się łamać i nie miała sumienia namawiać ją na podróż do Warszawy, chociaż nie miała pojęcia, jak sobie sama poradzi.

– Wezmę furmankę i konia, dasz sobie radę przez parę dni, a jest już po żniwach. Ja odwiozę Hankę i dzieciaki do Warszawy, a potem wrócę do ciebie, Kazik. Tylko mnie tu musisz przyrzec przed Hanką, jak przed ołtarzem, że wódki do gęby nie weźniesz. Bo ja z moczymordą żyć nie będę – zagroziła Irena.

Kazimierz Bednarek był tak przejęty faktem, że ma jeszcze szansę na powrót połowicy, iż bez dyskusji zgodził się wypożyczyć furmankę, po czym zaprosił wszystkich do domu i zaproponował nocleg. Wieczorem zapanowała w domu Bednarków familijna atmosfera. Irena przygotowała porządny posiłek, nie zabrakło na stole nawet kiełbasy i boczku, a potem Hanka i „Wariatka” w końcu wyspały się w normalnych, szerokich łóżkach.

– Ruskie idą, Niemcy walą w nich jak w kaczy kuper i strzelają, gdzie popadnie. Uważajta na siebie, bo jak jaka bomba na was spadnie, to gówna i kapcie zostaną – ostrzegł złowróżbnie Bednarek.

– A głupot to takich nawet nie gadaj! A co one do nas mają? Czy my mundury nosimy? Ani my Niemcy, ani Ruskie, niech się tłuką między sobą. – Irena wzruszyła ramionami i powróciła do pakowania rzeczy na furmankę.

Hanka niemal połowę z nich kazała na śmietnik powyrzucać, bo w stolicy będą całkiem nieprzydatne. Irena posłuchała, ale zakazała wyrzucać, jak to określiła, „nowiuśkiego wiadra” i „prawie dobrej miednicy, bo tylko w jednym miejscu dziurawej”.

***

Wyruszyły na Warszawę. Dzieci i Ziutek spały w piernatach, a one siedziały na koźle i rozglądały się nerwowo za każdym razem, gdy słyszały strzał, dźwięk samolotu albo wybuch bomby.

– Trzeba nam było w Magnuszewie zostać – sarkała Irena. – Kto to widział w takie coś się do Warszawy pchać.

– Ty, Irena, to i dom murowany masz, i kawał pola, a i mąż się tobą zaopiekuje. A mnie tylko brat został na świecie. Więc do kogo mam iść, jak nie do niego.

– A żeby ich pokręciło… – jęknęła Irena, widząc w oddali lecący samolot.

– Bierzmy dzieciaki i do tego rowu się schowajmy! – krzyknęła Hanka i chwyciła małego Grzesia.

Irena złapała Nadię jak worek ziemniaków i podobnie jak Hanka rzuciła się w rozpadlinę.

– Ziutek! – wrzasnęła nagle Nadia, wygramoliła się z rowu i zaczęła biec w kierunku pozostawionego na drodze wozu, do którego na czas podróży przywiązały Ziutka rzemieniem, by nie spanikował, gdy usłyszy odgłos moździerzy.

„Wariatka” nie zastanawiała się ani sekundy. Rzuciła się w pogoń za małą i w tym momencie lecący tuż nad ich głowami samolot rozpoczął ostrzał. Wszystko działo się bardzo szybko, ale i tak Hanka miała wrażenie, że ogląda film w zwolnionym tempie. Miotający się i rżący koń, Ziutek wyrywający się z uprzęży i leżąca przy drodze Irena. A pod nią płacząca Nadia. I nagle zrobiło się bardzo cicho. Jakby świat na jedną chwilę zamarł w bezruchu. Nie słychać było ani strzałów, ani nadlatujących samolotów, jedynie łąka wydawała z siebie ciche dźwięki wygrywane jak melodia przez owady. Nawet Hanka mogłaby pomyśleć, że to wszystko jej się zdawało, a kilka minut wcześniej nic się nie wydarzyło, gdyby nie ogromne ciało Ireny leżące w bezruchu. Lewinówna podbiegła do Nadii, z trudem wyciągnęła spod martwej „Wariatki” i przytuliła ją, jednocześnie patrząc na kobietę, która kolejny raz uratowała życie jej córce, tym razem sama je tracąc.

Irena „Wariatka” – najlepsza z ludzi, jakich spotkała na swojej drodze. Niezłomna, odważna i uśmiechająca się nawet wtedy, gdy nie było ku temu powodu. Kobieta, która opiekowała się nią i jej dziećmi, rezygnując z własnego szczęścia. Hanka Lewin poczuła, że została kompletnie sama na świecie. Nawet nie miała czym ani jak wykopać tej kobiecie grobu, przy-

kryła ją jedynie prześcieradłem, podłożyła pod głowę jasiek i łkając, powiedziała:

– Śpij, Irenka, śpij. Mam nadzieję, że jest ci wygodnie. Noce teraz ciepłe…

Po chwili rozpłakała się na dobre, klęcząc przy martwej przyjaciółce i myśląc o tym, jak wiele ta kobieta dla niej zrobiła. Musiała jednak pozbierać się, bo czas naglił, Nadia płakała, Grzesio piszczał, a Ziutek wył, żegnając się w ten sposób ze swoją panią.

W końcu Hanka ruszyła przed siebie, wciąż wstrząśnięta i przerażona, bo nie miała już nikogo, kto byłby gotów tak się poświęcić dla niej i dzieci. Jeszcze kilka razy ewakuowała się do rowów, gdy nadlatywały samoloty, ale na szczęście już żaden nie dokonywał ostrzału. Dotarła do stolicy następnego dnia po południu. Dzieci spały, zmęczone podróżą, pogodą i emocjami, a Hanka patrzyła na swoje ukochane miasto, gdzie kiedyś spełniły się jej wszystkie najpiękniejsze marzenia. Patrzyła na swoją Warszawę.

53. Warszawa, Stare Miasto, 1944

Łyszkinowi wydawało się, że bojowa atmosfera wręcz rozsadza miasto od środka. A on miał być jednym z tych, którzy mieli jeszcze bardziej tę atmosferę podgrzewać. Oto Armia Czerwona lada moment dotrze do Warszawy i odbije ją z rąk niemieckiego okupanta, przy wsparciu żołnierzy z Armii Krajowej i innych ugrupowań polskiego podziemia. Z zachodu zaś napływały w okolice miasta coraz to nowe oddziały niemieckie, złożone z największych zwyrodnialców i sadystów. Szykowała się prawdziwa bitwa. Jednak rozkaz komendanta Armii Krajowej wciąż wisiał w powietrzu. Do boju zachęcali także alianci, aczkolwiek – jak to Brytyjczycy – robili to na swój, flegmatyczny sposób. Zapewne najgoręcej było w Londynie, bo najłatwiej było na odległość nakłaniać garstkę słabo uzbrojonej młodzieży do heroicznych czynów. Igor był przekonany, że alianci nie kiwną palcem, gdy dojdzie do powstania, i uważał, że jedynie jego kraj będzie w stanie stawić opór niemieckiemu najeźdźcy.

Siedział w jednej z kawiarni, sączył kawę i słuchał swojej wtyczki. Człowiek ten został zrzucony z brytyjskiego samolotu z workami wypchanymi pieniędzmi, które miały wesprzeć oddziały zbrojne w Warszawie.

– No mówże, bo tutaj jest jak w tyglu, a nadal nic nie wiadomo – niecierpliwił się Igor.

– Będzie powstanie. Bo tak chce towarzysz Stalin i tego pragnie Churchill. A ten drugi jeździ po Mikołajczyku jak po szmacie. Przybyli już wysłannicy z Londynu i mają nadzieję w końcu złamać Bora-Komorowskiego, by ten wydał decyzję – wywiadowca mówił niemal szeptem.

– Co zatem może sprawić, że w końcu podpisze rozkaz? – zapytał Igor.

– Chyba tylko informacja, że Armia Czerwona jest w Warszawie.

– Są już blisko, więc niewykluczone – mruknął Łyszkin.

Mężczyzna upił łyk kawy i uśmiechnął się, nieco złośliwie.

– To będzie… jak to się mawia, „nowina tygodnia”. Armia Czerwona zdobyła przyczółek mostowy na Pradze, przełamała linię wroga i prze do przodu.

– Będziemy mieli trochę problemów, Niemcy szykują się, by nie oddać Warszawy. Zwłaszcza Himmler jest zajadły. Nie wiem tylko, dlaczego Mo-

łotow upierał się, żeby Brytyjczycy zaprzestali zrzutów broni i pieniędzy – dziwił się Igor.

– Chłopie, co tyś robił przez ostatnie dwa lata, żeś ciemny jak tabaka w rogu? – prychnął wywiadowca.

– Udawałem oficera SS i tłukłem szwabów. – Łyszkin uśmiechnął się sztucznie, wciąż czując łupanie w ramieniu, będące pokłosiem jego ostatniej akcji w mundurze Ottona Kriegego.

Wywiadowca jednak zamilkł i zaczął dłubać zapałką w zębach. Pomyślał, że nie będzie bardziej wtajemniczał Igora, niż to było konieczne. Jego rola w Polsce była inna, a jeśli ten wierzył w prawdziwość przekazywanych Polakom wieści, tym lepiej.

– Ale wiesz, że w Lublinie powołano nową polską władzę? Socjalistyczną – powiedział wywiadowca, by powiedzieć cokolwiek.

– No nie rób ze mnie durnia, druhu. To, że nie jestem na bieżąco z tymi zakulisowymi rozgrywkami, nie oznacza, że jestem kompletnie niezorientowany. Zatem jak tylko nasi wejdą na Pragę, mam rozpowszechnić tę wiadomość, żeby dotarła do właściwych osób? – zapytał.

Wywiadowca potaknął.

– Tak, to zdecydowanie będzie… gwóźdź programu.

– Ale dlaczego wobec tego zwlekają? Napięcie wśród żołnierzy Armii Krajowej sięga zenitu – jakby głośno myślał Igor.

– Przechwyciliśmy depeszę z połowy lipca, Bór-Komorowski wysłał ją do Londynu. Uznał powstanie w Warszawie za nierealne do przeprowadzenia. Dlatego musimy coś zrobić – wyjaśnił wywiadowca.

– Gwóźdź programu… – westchnął Łyszkin. – A co, jeśli to mu nie wystarczy?

– Mamy jeszcze swojego człowieka – „Kobrę”. Najbardziej zakonspirowanego sojusznika. Wódz naczelny wysłał go z misją, by zapobiegł powstaniu, ale on… przekazał takie informacje, jakie chcieliśmy. A oprócz tego chojrak z niego, bo jak my lubi gorzałkę, a wtedy – jak wiadomo – każdy bohater. – Wywiadowca roześmiał się rubasznie i zapytał: – Radiostacja działa?

– Bez zarzutu, może dlatego, że od punktu dowodzenia nie dzieli mnie duża odległość – mruknął nieco złośliwie Igor.

– To dobrze… Przekażą ci dalsze instrukcje – dodał wywiadowca i opuścił lokal.

Igor pozostał jeszcze w kawiarni, patrząc na ulice Warszawy przez duże witryny okienne. Zastanawiał się, co będzie z tymi wszystkimi ludźmi, gdy wybuchnie w niej powstanie. Patrzył na kobiety pchające wózki z małymi dziećmi, starców idących o lasce i myślał, jak bardzo niefrasobliwi muszą być dowódcy, by zdecydować się na walkę nie na polach bitewnych, nie w lasach czy w górskich ostępach, ale w miejscu, gdzie toczyło się życie zwykłych ludzi. Czy oni chcieli ginąć od niemieckich kul, czy z równym entuzjazmem czekali, aż „to" się stanie? Wreszcie, co powiedzieliby na to, gdyby ich ktoś zapytał, czy chcą umierać w nierównej walce, być ofiarami czyichś decyzji? Problem w tym, że nikt ich nie zapytał…

A może czuli powiew wolności, patrząc na hordy, niegdyś tak dumnych, żołnierzy Wehrmachtu, którzy uciekali przez Warszawę na zachód? Pokonani, ze spuszczonymi głowami, przegrani. Jadący na furmankach, stłoczeni jak bydło i nieszczęśliwi. Spoglądają na tych, którzy ich poniewierali i mordowali, i teraz chcieli odwetu za pięć lat terroru i poniżenia? Tak, coś wisiało w powietrzu. Niby nieuchwytne, niewidzialne, a jednak prawie namacalne. Wzajemna nienawiść, pragnienie zemsty, bo na wybaczenie już nikogo nie było stać.

Jednak Niemcy nie czekali z założonymi rękami. Chcieli jeszcze pokazać, że mają coś do powiedzenia. Tuż na wschodnim przedpolu pojawiły się oddziały Totenkopf, Hermann Göring i Wiking. Łyszkin znał tych barbarzyńców, przez dwa lata był jednym z nich. Był ciekawy, co teraz porabia jego przyjaciel, Julian Chełmicki. Wierny żołnierz, miłośnik ojczyzny. Igor był przekonany, że już od miesiąca śpi z karabinem pod poduszką, czekając na rozkaz do walki. Bez względu na to, czy miało to jakiś sens, czy żadnego. A widział wiele takich beznadziejnych widoków, jak chociażby obronę Kijowa, gdzie pod niemieckim walcem zginęło kilkaset tysięcy żołnierzy. Zapewne nie chcieli umierać, byli młodzi i mieli całe życie przed sobą, ale ktoś rozkazał im, by poświęcili je w obronie ojczyzny.

Powrócił do swojej kwatery i wyjął radiostację. Nadał komunikat o panice wśród niemieckiej administracji, zamykaniu urzędów, masowym opuszczaniu miasta przez folksdojczów i wydanym rozkazie władz, by każdy warszawianin zdolny do pracy stawił się w wyznaczonych miejscach do kopania okopów w związku z nadciągającymi wojskami bolszewickimi. Mieszkańcy jednak zignorowali rozkaz. Represji nie było.

Kilka dni później Łyszkin dodał jednak coś jeszcze, co udało mu się ustalić. Ta sytuacja panicznego, jakby się mogło wydawać, lęku Niemców nagle uległa zmianie. Na ulicach pojawiło się więcej patroli, masowe ucieczki ustały. A działo się tak dlatego, że Niemcy zdołali poznać całą strukturę i liczebność armii Polaków, która miała ich zaatakować. W wyniku operacji wywiadowczych doszli do wniosku, że panika wśród niemieckiej administracji jest zupełnie bezpodstawna. „Niemcy szykują się do kontrnatarcia. Koniec meldunku” – zakomunikował. Kiedy skończył nadawać, usłyszał tylko jedno słowo: „Czekamy”.

54. Warszawa, Praga, 1944

– Ta sytuacja jest nie do zniesienia! – krzyknął wściekły Julian i rzucił kawałkiem drewna o ścianę.

„Następny miłośnik rzucania przedmiotami” – pomyślała z przekąsem Alicja, ale nie powiedziała tego. Spokojnym głosem oznajmiła:

– Jeśli kolejny raz przekładają decyzję o wybuchu powstania, oznacza to, że mają wątpliwości.

– Jakie? Rosjanie już są tuż-tuż… – warknął Chełmicki.

– „Kary” uważa, że to wcale niedobrze, a my jesteśmy bandą frajerów – powiedziała stanowczo i zupełnie niepotrzebnie, bo Julian wściekł się jeszcze bardziej.

– Pewnie, on najchętniej walczyłby o wolność cudzymi rękami! Pieprzony tchórz! – ryknął.

Teraz Alicja się zdenerwowała.

– Ten pieprzony tchórz dostarczył nam więcej broni niż umiłowany rząd londyński i ten pieprzony tchórz przejechał pół Europy, żeby cię odnaleźć! W przeciwnym razie do tej pory pasłbyś krowy na andaluzyjskich łąkach.

Po tych słowach opuściła stolarnię i ruszyła w kierunku Brzeskiej. To, co powiedział Julian, było cholernie nieuczciwe i żadne zdenerwowanie nie mogło tego usprawiedliwić. Nawet to, że był piekielnie zazdrosny o „Karego”. Jakby wciąż byli rywalami i walczyli o palmę męskości. Był czas, gdy jeszcze kochała Juliana do szaleństwa, że nienawidziła Weroniki Sarnowskiej, a jednak nigdy nie pozwoliła sobie, żeby ją obrażać w towarzystwie Chełmickiego. Już szybciej obraziłaby ją bezpośrednio i pewnie kilka razy to się zdarzyło. Wciąż miała o niej złe zdanie. Do tego stopnia ją irytowała, że jej powrót do Warszawy, by w razie wybuchu powstania być na posterunku w szpitalu, uznała za akt zazdrości, a jej przyjazd miał być nakierowany na pilnowanie małżonka, który zdawał się zapominać, że ma rodzinę, i jeździł do Bełchatowa nader rzadko. Oprócz tego bredziła, że śledzi ją jakaś podejrzana kobieta, co sprawiło, że natychmiast Julian załatwił jej lewe papiery, dyskretne mieszkanie, a dzieci i teściową wywiózł do jakiejś głuszy. Alicja kpiła z tych podejrzeń, uznając, że Weronika Sarnowska posunęła się nawet do takiej mistyfikacji, by mieć ukochanego na oku.

Zarówno napięcie związane z ciągłym przekładaniem ataku, jak i powrót Weroniki do Warszawy sprawiły, że Julian był wciąż podminowany i wybu-

chał gniewem z byle powodu. Tymczasem Alicja zdawała się siłą spokoju. Wcale nie chciała, żeby wybuchło powstanie, bo w domu czekał na nią najcudowniejszy mężczyzna na świecie, Sergiusz. Z każdym dniem kochała go coraz mocniej i z każdym dniem wspomnienie miłości do Juliana Chełmickiego bledło. Nie chciała umierać, gdy była taka szczęśliwa i z głową pełną marzeń. Nie chciała zdychać za ojczyznę w nierównej walce, bo miała dla kogo żyć. Jej opór wobec walki był tym silniejszy, im bardziej dramatyczne wizje przedstawiał jej „Kary", nazywając dowódców Armii Krajowej idiotami.

Wróciła na Brzeską i obmyła spocone od upału ciało, który zdawał się oddawać atmosferę panującą w mieście. Owinięta jedynie ręcznikiem, usiadła na tapczanie obok Sergiusza, przytuliła się i pozwoliła sobie na chwilę zapomnieć o tym, co może się wydarzyć nazajutrz. Ta niepewność dobijała ją. Już ogłoszono mobilizację, wydano broń i podzielono ich na grupy, by po kilku godzinach nakazać powrót do domu. Następnego dnia pojawiła się kolejna plotka i znowu wszyscy czekali w napięciu, niemal wstrzymując oddech, czy to już.

– Musimy porozmawiać – powiedział Sergiusz.

– Jak to poważnie brzmi. – Uśmiechnęła się.

– Bo to jest poważne. To będzie jedna z najpoważniejszych decyzji, jakie podejmiesz w życiu – westchnął.

– Tak, kochanie, oczywiście, że wyjdę za ciebie. – Pocałowała go w usta.

– O tym porozmawiamy innym razem – mruknął, wziął ją za rękę i posadził przy stole.

Wyciągnął z regału swoją starą, powycieraną na brzegach skórzaną teczkę i wyjął z niej trzy paszporty brytyjskie i trzy niemieckie dokumenty tranzytowe. Zarówno jedne, jak i drugie były puste. Alicja patrzyła na niewypełnione blankiety, a potem spojrzała na Sergiusza pytającym wzrokiem.

– To, co leży przed tobą, to jest nasze życie. Twoje, moje i Mateuszka. Składam je w twoje ręce. Wiem, powinienem dać ci klapsa i po prostu zapakować do pociągu, ale wiem, jaka jesteś. I niestety taką cię kocham. – Uśmiechnął się smutno. – Jeśli uznasz, że powinniśmy uciec stąd, z tego domu wariatów, po prostu je wypełnij. Jeżeli zaś uznasz, że twoje miejsce jest tutaj, do samego końca będę przy tobie. W końcu użyję karabinu, których sprzedałem ostatnimi laty tysiące. Nie czuj się do czegokolwiek przymuszana, wiem, jak bardzo to wszystko, co robisz, jest dla ciebie ważne

i szanuję to. Nawet cię podziwiam za tę twoją donkiszoterię. Taką cię pokochałem, taką kocham i nie zamierzam cię zmieniać. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że masz wybór.

– Naprawdę myślisz, że będzie aż tak źle? – zapytała cicho.

– Nie wiem, jak będzie. Gdybym wiedział, to chyba naprawdę bym cię zmusił do ucieczki. Jednak nie widzę tego dobrze, Alicjo. To, co się stało podczas akcji „Burza", po prostu nie wróży nam szans na zwycięstwo.

– To teraz mi dałeś zadanie – mruknęła.

– To nie zadanie, kochana. To wybór. – Pogłaskał ją z czułością po głowie.

Przytuliła się do niego i wyszeptała:

– Nikt nigdy nie kochał mnie tak jak ty. Nie zasłużyłam na ciebie.

– Pewnie, że nie, ale zawsze możesz się postarać. – Klepnął ją w pośladek.

Tej nocy Alicja prawie nie zmrużyła oka. Sergiusz spał, a ona przy otwartym oknie, paląc jednego papierosa za drugim, wpatrywała się w leżące na stole paszporty. „Boże, znowu każesz mi wybierać" – popatrzyła w sufit i gdzieś nad ranem, gdy lipcowe słońce już prawie zupełnie wzeszło, przypomniała sobie słowa pewnego księdza, któremu zupełnie przypadkowo uratowała życie. Żeby kierowała się sercem. Na razie było rozdarte, ale wiedziała, że nadejdzie chwila, gdy nie będzie miała wątpliwości, co zrobić.

55. Warszawa, Wola, 1944

Hanka zatrzymała furmankę przed kamienicą na Woli. Miała nadzieję, że jej brat wciąż tam mieszkał.

– Nadiu, zostań z Grzesiem i Ziutkiem. Mamusia sprawdzi, czy wujek jest w domu i zaraz do was wróci – powiedziała zmęczonym głosem.

Była wykończona i przybita. Droga do Warszawy trwała niemal dwa dni, podczas których prawie nie spała, ale to nie ten fakt był jej największym zmartwieniem. Nie mogło do niej dotrzeć, że Irena „Wariatka" nie żyła. Straciła nie tylko oddaną przyjaciółkę, ale także grunt pod nogami. Poczuła się pokonana przez życie. Jak Hiob, któremu Bóg wyrywa wszystko po kawałku, by w końcu nie zostawić nic. Nie miała pojęcia co dalej. Weszła powoli po schodach i pomyślała, że gdy brat ją ujrzy, może nawet jej nie rozpoznać, bowiem po dawnej diwie i hrabiance Niechowskiej nie zostało już nic.

Stanęła przed drzwiami i zadzwoniła. Przygładziła włosy i poprawiła bluzkę, chociaż miała świadomość, że na niewiele zdadzą się te zabiegi, by wyglądać mniej niechlujnie. Usłyszała szczęk otwieranej zasuwy i w drzwiach ukazała się kobieta. Blond piękność. Seksowna strażniczka z gumową pałką.

– Słucham panią? – zapytała nieprzyjemnym tonem. Dokładnie takim samym, gdy stojąc w drzwiach celi, wyzywała ją od świń i śmierdzących szmat.

– „Biała Suka" – jęknęła Hanka.

Kobieta zmrużyła oczy i przyjrzała się gościowi. I właśnie pomyślała, że jej modły zostały wysłuchane, a ona już bez przeszkód będzie mogła wcielić w życie swój chytry plan. Za rozbicie siatki komunistów Vader znowu się do niej zbliżył, ale za Hankę Lewin ją ozłoci.

– Hanka Lewinówna? Wejdziesz? Tutaj mieszka twój brat – powiedziała, uśmiechając się obłudnie.

– Pies cię srał, suko! – warknęła Hanka i zaczęła zbiegać ze schodów.

Była zmęczona i obolała, dlatego nie robiła tego zbyt szybko. Renate nie spodziewała się takiej reakcji, ale ze spokojem pomyślała, że ta wycieńczona kobieta i tak za chwilę trafi w jej ręce. Zatrzasnęła drzwi i zaczęła zbiegać za Hanką, gotowa nawet obezwładnić ją albo chociaż pójść za nią

i sprawdzić, dokąd się udaje. Była bowiem przekonana, że ta nie uda się nigdzie indziej, jak tylko do tej podstępnej dziwki, Alicji Ross.

Hanka dopadła furmanki, wsiadła i ściągnęła cugle, ale Renate już wybiegała z bramy.

– Ziutek! – krzyknęła zdesperowana Hanka i ruszyła.

Ogromny, włochaty mieszaniec w mig pojął, czego oczekuje od niego jego pani. Zeskoczył z furmanki i dopadł Renate Zoll w bramie, zanim ta zdążyła wybiec na ulicę. Hanka usłyszała jedynie głośny wrzask „Białej Suki”. Była pewna, że w tej potyczce ta podła kobieta będzie bez szans.

Jechała tak szybko, jak tylko zdołała. Czekało ją kilkanaście kilometrów szaleńczej podróży, zanim dotrze do pralni „Karego”. Miała także nadzieję, że Ziutek, przyzwyczajony do wsi, po wykonaniu polecenia nie zgubi się na warszawskich ulicach. Jednak już kilka przecznic dalej usłyszała krzyk Nadii. Zwolniła nieco i odwróciła się. Ziutek z zakrwawionym pyskiem biegł co tchu w ich kierunku. Po chwili wskoczył na furmankę, a Hanka nakryła go kocem, by jego pysk nie za bardzo rzucał się w oczy.

– Dobry piesek – powiedziała z szyderstwem w głosie, po czym ściągnęła cugle i pojechała w kierunku mostu wiodącego na Pragę.

Wciąż oglądając się za siebie, prawie bez przeszkód dotarła do oficyny, gdzie w suterenie mieściła się pralnia „Karego”. Co prawda zatrzymał ją patrol, ale Stefania Koniuszko była jedynie wiejską kobietą, która wracała z dziećmi od krewnych ze stolicy. Ściągnęła dzieci z furmanki i weszła do chłodnej pralni. Jej wejście uruchomiło brzęczyk i chwilę potem zza kotary wyłoniła się ogromna postać „Karego”.

– Hanka! – jęknął, widząc wymizerowaną postać kobiety, a obok niej stojącą dwójkę umorusanych maluchów.

– Sergiusz… – powiedziała cicho. – Dotarłam…

Po czym osunęła się na podłogę pralni i zemdlała.

56. Warszawa, Śródmieście, 1944

W pomieszczeniach piwnicznych budynku przy Pięknej, którą obecnie przemianowano na Piusa, kolejna grupa mężczyzn debatowała nad taktyką, jaką należałoby zastosować podczas powstania. Rotacja w tych zespołach była spora, na spotkania ze sztabem zapraszano najlepiej wyszkolonych oficerów, by wykorzystać ich wiedzę, a przede wszystkim doświadczenie w walce. Zwłaszcza przydatne były wszelkie uwagi dotyczące działań wojennych w dużym mieście.

Mimo wcześniejszego entuzjazmu, jaki okazywał Julian Chełmicki, teraz jego głowę spowiły czarne myśli. Odnosił wrażenie, że otaczają go nie wielcy stratedzy i dowódcy, ale amatorzy, którzy zamiast strategii mieli pobożne życzenia. Wcześniej Julian nie miał świadomości, że sztab jest kompletnie na tę rewolucję nieprzygotowany, ani jeśli chodzi o broń, ani zawarte sojusze.

– Jeśli dla powodzenia akcji na wschodzie przewieźliśmy tam najlepszą broń, to znaczy, że nasz arsenał został uszczuplony o poważne zasoby. A to oznacza kolejną poprawkę w rachubach i nawet co drugi żołnierz czy ochotnik nie będzie miał broni? – z niedowierzaniem zapytał Chełmicki.

Nauczono go, że by wygrywać bitwy, należy mieć broń, bo ona daje szanse na zwycięstwo. W przeciwnym razie byliby jak Zulusi, którzy włóczniami próbowali przeciwstawić się dominacji brytyjskiej i zostali niemal zmieceni z powierzchni ziemi.

– Broń trzeba zdobyć – hardo zauważył jeden z generałów i ostro spojrzał na Chełmickiego, że ten zamiast podsuwać kolejne pomysły, zaczyna dyskusję od krytyki.

– Słuszne założenie, generale – ostrożnie zaczął Julian, bo ostra reakcja generała jednak nieco przytemperowała jego chęć kontestowania. – Jakże jednak mamy tę broń zdobyć? Gołymi rękami? Przecież nie mamy szans, a każdą potyczkę należy rozpatrywać w kategorii szans i zagrożeń. Uczono mnie tego jeszcze w podchorążówce. Tutaj nie mamy szans żadnych, a jedynie zagrożenia.

– Nie widzi pan, kapitanie, jak nasza młodzież, synowie i córki naszej polskiej ziemi, rwą się, by w końcu pokazać okupantowi, że mają już

dość…? Nawet ludność cywilna zagrzewa nas do boju. Pójdą na wroga z czymkolwiek. Łomy, kije, siekiery, każdy coś znajdzie, by ruszyć do boju. Harcerze przygotowują butelki z benzyną, potężny arsenał. Otoczymy wroga zewsząd jak w kotle i wtedy zaatakujemy z całą naszą siłą – perorował generał, jakby był nieco odurzony alkoholem. Po chwili dodał, jakby nagle zreflektował się, że trochę się zagalopował w swoich śmiałych życzeniach: – Rosjanie lada moment tutaj będą i nas wesprą. Poza tym skierowałem do naszych sojuszników na Zachodzie bardzo jasne wytyczne. Czekamy na odpowiedź.

Generał podał Chełmickiemu kartkę z dokładnie rozpisanymi punktami zrzutu przez Brytyjczyków broni, ludzi i lekarstw. Julian przesuwał wzrokiem po maszynopisie i już nawet nie był zdegustowany, ale wstrząśnięty. Spędził w Wielkiej Brytanii długi czas, wiedział, jakim sprzętem dysponują i jak trudno było przeforsować loty, by mogli zrzucić cichociemnych do kraju. Samoloty musiały mieć powiększone zbiorniki z paliwem, wlatywać w polską strefę powietrzną nocą, a dokładność zrzutu była taka, że on wylądował kilkaset kilometrów od Warszawy. Rozpisywanie wytycznych, jakoby zrzuty miały następować w miejscach typu place, skwery czy skrzyżowania, było po prostu nierealne. Niemcy mieli obronę przeciwlotniczą, zapewne z wściekłości będą bombardować miasto „krowami”, pojawi się ogień, dym, a widoczność spadnie do zera. Julian wiedział, że nikt nie zaryzykuje. Brytyjczycy nie byli Rosjanami, szanowali życie swoich żołnierzy, zwłaszcza jeśli ryzyko było zbyt duże. Generał był w Wielkiej Brytanii, dobrze znał, a przynajmniej powinien znać, prawidła prowadzenia wojny, natomiast zachowywał się, jakby nie miał o tym pojęcia. Sytuacja przedstawiałaby się inaczej, gdyby Rosjanie udostępnili aliantom swoje lotniska, ale najwyraźniej w tej materii nie zapadły żadne wiążące decyzje.

Chełmicki nie odzywał się jednak. Szansą byli Rosjanie i nowy polski rząd w Lublinie, który co prawda był z nadania Stalina, ale jednak ich popierał, a to dawało szansę, że owa bezsensowna bitwa, jaką chce rozpętać komendantura, będzie trwała bardzo krótko. Na szczęście wśród generałów znaleźli się i tacy, których racjonalne myślenie i wiedza stopowały pozostałych przed szalonymi pomysłami. Chełmicki najbardziej zawiedziony był postawą komendanta głównego. Ten był apatyczny, małomówny, a gdy w końcu się wypowiadał, dawał się rugać przez pozostałych jak uczniak

i kompletnie nie reagował na słowa jednego z generałów, jakoby był tchórzem i nie doceniał potencjału, odwagi i heroizmu swoich żołnierzy.

Julian jednak nie mógł nic zrobić, oprócz wyrażenia swojego zdania, z którym i tak nikt się nie liczył. W końcu przestał się odzywać, a jedynie słuchał z trwogą, jak pieczołowicie przygotowywany plan powszechnego powstania ulega jedynie niewielkim modyfikacjom, gdy tymczasem ani jedno z jego głównych założeń nie zostało spełnione.

57. Warszawa, Stare Miasto, 1944

Po drugiej stronie Komendy Głównej Armii Krajowej Igor Łyszkin baczenie obserwował wchodzących i wychodzących stamtąd ludzi. Wiedział, że gdy zapadnie decyzja o wybuchu powstania, ta informacja będzie wymalowana na twarzach osób opuszczających gmach. Rodzaj ekscytacji, a może smutek? Nie bawiło go to zajęcie ani trochę, ale obserwacja należała do jednych z wielu rzeczy, do których niechętnie musiał przywyknąć.

Około dziewiętnastej pierwsza osoba opuściła budynek, ale na jej obliczu Igor nie dostrzegł niczego, co mogło świadczyć, że podjęto jakąś konkretną decyzję. Następny mężczyzna przykuł jego uwagę. Do licha, to był Julian Chełmicki. Igor opuścił lornetkę i zbiegł ze strychu kamienicy, na który się włamał, by móc obserwować sztab Armii Krajowej. Chełmicki szedł szybko, lekko przygarbiony, jakby coś go przytłaczało, i Igor musiał mocno przyspieszyć, by w końcu go dogonić.

– Witaj, przyjacielu – powiedział, gdy znalazł się tuż za nim.

Chełmicki rozpoznałby ten głos na końcu świata. Odwrócił się i uśmiechnął szeroko.

– Boże… To naprawdę ty. – Uścisnął przyjaciela.

– Jaki Boże? – zaśmiał się Łyszkin. – Nie mam z tym panem nic wspólnego.

– Chodźmy gdzieś… – powiedział Chełmicki i rozejrzał się, jakby zastanawiając się, gdzie mogliby spokojnie porozmawiać. Publiczny lokal nie wydawał mu się najlepszym miejscem. Zaprosiłby go do siebie, ale tam była Weronika, a przy niej nie mógłby być do końca szczery.

– To może do mnie… – zaproponował Igor, chociaż wiedział, że łamie podstawowe zasady konspiracji. Jednak Julian tym restrykcjom nie podlegał.

Lokum Łyszkina było skromnie urządzoną kawalerką, znajdującą się w kamienicy przy cichej uliczce Kapitulnej, tuż nieopodal rynku Starego Miasta.

Wypili butelkę wódki i Chełmicki zaczął mówić bełkotliwie:

– To się musi stać… Po prostu. Wszyscy o tym wiemy i tylko czekamy na rozkaz. Ale przeraża mnie, że jesteśmy bez szans. Cholera, Londyn daleko,

broni mamy dwadzieścia razy mniej niż szkopy i tak naprawdę jedynie na was musimy liczyć. Widzisz, a jednak… Nie pomyślałbym, że zostaniemy przyjaciółmi.

– Sądziłem, że nigdy nie przestaliśmy nimi być. Jeszcze tylko Lossowa brakuje. – Igor czknął.

– To by dopiero było… Jako sojusznicy musielibyśmy mu obić mordę. – Julian stuknął kieliszkiem.

Mógł się upić tego dnia, bo wiedział, że jeśli nadejdzie rozkaz do stawienia się w punktach mobilizacyjnych, na pewno nie nastąpi to nazajutrz.

– Walter prysnął z SS i ze wschodniego. Mam nadzieję, że zadekował się gdzieś i przeżyje tę wojnę, a my kiedyś znowu się spotkamy – ze smutkiem powiedział Łyszkin.

– O, proszę. Ja wiedziałem, że on się na wojnę nie nadaje. Za wrażliwy był… – Chełmicki machnął ręką i dodał: – Tylko dziwki odpadają, bo już dałem się zaobrączkować. I mam córkę. Amelię. Jest śliczna, jak jej mama.

– Ja mam syna. Grzesia. A z kim się ożeniłeś? Z tą wielkopańską lalką? – zapytał Igor.

– Adrianna nie żyje. Pamiętasz Weronikę, nocowałeś u niej, jak ostatnio byłeś w Warszawie? To ona została moją żoną – odpowiedział Chełmicki.

– Nie słyszę entuzjazmu, przyjacielu? Czy mi się wydaje? – zapytał Igor.

Był nieco zdziwiony, bo zdawało mu się, że jego przyjaciel powinien być szczęśliwy i dumny, a tymczasem nie widział tego w jego oczach. Być może wymalowany na jego twarzy smutek był spowodowany oczekiwaniem na wybuch powstania i obawy z tym związane, ale wolał się upewnić.

– Tobie mogę powiedzieć… Tak, tobie i nikomu innemu. Kocham inną kobietę… Straciłem ją, bo nie umiałem jej wybaczyć, że zadawała się ze szwabem. Rozumiesz, jaki to był dla mnie cios? A kiedy przyszło wybaczenie, gdy w końcu dotarło do tego mojego durnego łba, że czasami trzeba się zeszmacić w imię wyższych celów, było już za późno… Zresztą coś jeszcze się wydarzyło, a ja, idiota… Nieważne już. Muszę żyć dalej. Chociaż nie wiem jak długo – westchnął Julian.

Łyszkin zamyślił się. On też osądził Hankę. Szybko i bez zastanowienia. Bo Ritz był Niemcem. Ale Walter von Lossow także, a nigdy nie myślał o nim źle. Gdyby Hermann Ritz był kimś innym, też byłby wściekły i zapewne dałby mu po mordzie, ale na pewno nie zrobiłby nic ponadto, dopóki nie wysłuchałby Hanki.

– A wiesz, ja mam syna z Hanką Lewin. Nigdy go nie widziałem, a Hankę ostatni raz wtedy, gdy jako ksiądz czekałem na nią w szpitalu. Ot, spędziliśmy ze sobą kilka godzin i mamy syna. Mam nadzieję, że kiedyś ich odnajdę – cicho powiedział Łyszkin, czując, że cała złość na Hankę gdzieś się ulotniła.

Chciał mieć nadzieję, bo była dla niego wszystkim. I stanowili teraz rodzinę. Wierzył również, że i ona wciąż go kocha, myśli o nim i tęskni za tym, by było jak kiedyś, w Bocianowie.

– I pomyśleć, jak wiele dzieci przychodzi na świat przez przypadek – wybełkotał Julian i wypił kolejny kieliszek wódki.

Chełmicki po północy zasnął w kwaterze Łyszkina niemal kamiennym snem. Igor miał nieco mocniejszą głowę niż jego kompan, więc gdy usłyszał chrapanie, wyciągnął radiostację, przeniósł do kuchni i nadał meldunek.

58. Warszawa, Praga, 1944

Alicja z trwogą przyglądała się twarzy śpiącej przyjaciółki. Hanka była wymizerowana, miała głębokie cienie pod oczami i matowe włosy. Wyglądała prawie jak wtedy, gdy zobaczyły się po raz pierwszy po jej wyjściu z Pawiaka. Wezwany przez Sergiusza doktor orzekł, że Lewinównie nic nie dolega, oprócz wyczerpania i wygłodzenia. „Kary" z godną podziwu cierpliwością zajął się maluchami Hanki, a piękną Zosię, która pomagała mu w pralni, posłał po Alicję. Chciał zrobić na odwrót i powierzyć dzieci dziewczynie, ale ta omal nie rozpłakała się, słysząc, że będzie musiała zmienić pieluchę, a potem jak najszybciej wyszorować dzieci w wannie, serwując im przy okazji proszek DDT.

Hanka otworzyła oczy i uśmiechnęła się, widząc siedzącą obok na krześle przyjaciółkę. Po chwili spoważniała.

– Irena nie żyje…

– Przykro mi – szepnęła Alicja.

– Ciągle widzimy śmierć, tak często, że już spowszedniała, ale gdy ginie ktoś taki jak Irena, po prostu zaczynam nienawidzić tego świata – ponuro stwierdziła Hanka.

– Nie musisz mi mówić… Tu, w Warszawie, ciągle widzi się trupy na ulicach, niemal codziennie któryś z chłopaków ginie i wtedy kołata mi w głowie pytanie: „Kiedy ja albo ktoś z moich bliskich?". – Alicja machnęła ręką, nie chcąc poddawać się ponuremu nastrojowi.

Lewinówna podniosła się z kozetki i przygładziła włosy. Popatrzyła w okno i powiedziała:

– Moja Warszawa… Nawet nie umiem się cieszyć, że tutaj jestem.

– I nie bardzo masz z czego. Lada moment wybuchnie powstanie – odpowiedziała Alicja i poklepała przyjaciółkę po dłoni.

– Alicja… – szepnęła Hanka. – Ja już nie mam siły… Ten ostatni rok pozbawił mnie nadziei, po prostu straciłam ochotę do życia. Jedyne, co mnie powstrzymuje, by nie nadziać się na kulkę jakiegoś szwaba, to dzieci. Niczego dobrego nie zaznały, a najgorsze jest to, że straciłam wiarę, iż kiedyś zapewnię im normalność. Nie chcę niczego więcej. Tylko tego, żeby budziły się radosne, najadły się do syta i miały za przyjaciół dzieci w swoim wieku, a nie psy i króliki. Moja Nadia… Ona jest jak dzikuska. Bez przyjaciół, zabawek i rozrywek właściwych swojemu wiekowi. Widziała, jak umiera

Irenka. Uratowała jej życie, czego pewnie moja córka jeszcze nie rozumie, ale patrzyła na zakrwawione ciało, które okryłam prześcieradłem, bo nic innego zrobić nie mogłam. Tak, Alicja, nie pragnę niczego więcej, prócz normalności. Niech będzie nudno i przewidywalnie, ale chcę się budzić i nie czuć lęku, ani o siebie, ani o swoje dzieci. Przyjechałam do Emila, a tam zastałam „Białą Sukę", opowiadałam ci kiedyś o niej, przybyłam do mojego ukochanego miasta, a ty mi mówisz, że lada moment wybuchnie tu rewolucja i znowu będę musiała gdzieś się ukrywać, uciekać, kluczyć. Alicja, ja naprawdę już nie mam siły…

Głos Lewinówny był jednostajny i monotonny. Alicja znała swoją przyjaciółkę nazbyt dobrze i wiedziała, że nie zdoła wlać w nią ani grama optymizmu, tak jak wtedy, gdy zastała ją siedzącą na podłodze w Bocianowie. Jej przyjaciółka po prostu doszła do kresu i nie miała nikogo, kto mógłby ją wesprzeć, jak niegdyś Irena „Wariatka". Teraz tylko ona jej pozostała. Ale co mogła zrobić, gdy sama uciekała i ukrywała się niczym szczur w kanałach, jak przepowiedział jej to niegdyś Martin Gross, a niebawem miała ruszyć do boju, z którego być może nie wyjdzie żywa? A jednak musiała coś zrobić. I nawet wiedziała co, a podpowiedziało jej to serce i miłość do ukochanej przyjaciółki. Jedynej, jaką miała.

Napoiła Hankę gorącym, tłustym rosołem i nakazała spać, a oniemiałemu „Karemu" pozostawiła na głowie dwójkę niesfornych maluchów, okutanych w jego ogromne koszule. Poszła na Brzeską, wyciągnęła z szuflady brytyjskie paszporty i dokumenty tranzytowe, a potem zapaliła lampkę przy biurku, odkręciła kałamarz i starannym pismem, jakiego uczono ją w New Forrest, zaczęła wpisywać nazwiska do dokumentów. Nazajutrz postanowiła dopełnić kwestie związane z fotografiami, po czym wyciągnęła z bieliźniarki zawinięte w gazetę pieniądze i policzyła je. Pomyślała, że powinny wystarczyć na podróż trzem osobom i na jakiś czas po przybyciu do Londynu. A tam Hanka w końcu zazna spokoju, który będzie musiał jej zapewnić małżonek. Nie chciała prosić o wsparcie finansowe „Karego", chociaż on z pewnością nie odmówiłby jej, ale wystarczająco źle się czuła, że nie spełni jego marzeń o wyjeździe do miejsca, gdzie mogliby normalnie żyć.

59. Warszawa, Śródmieście, 1944

Alicja patrzyła na nieco wymizerowaną twarz Chełmickiego i powiedziała z udawaną złością:

– Ależ, Julianie, chyba trochę wczoraj popiłeś. Nieładnie, dowódca oddziału daje taki zły przykład.

Wiedział, że żartuje, więc tylko uśmiechnął się kwaśno.

– Cholera, sam wiem, że nie powinienem, bo głowę mi rozsadza, ale okazja była wyjątkowa.

– Czyżby Weronika znów była przy nadziei? – nieco złośliwie zapytała Alicja.

Machnął ręką.

– Jeszcze tylko tego by mi brakowało, jak tu zaraz będzie rozpierducha, jakiej świat nie widział – mruknął.

– No przecież nie możesz się doczekać… – Uśmiechnęła się do niego, po czym zapytała, nieco poirytowana: – Julianie, po co właściwie mieliśmy się spotkać, jeśli jeszcze rozkaz nie nadszedł?

Tego dnia wieczorem Hanka opuszczała Polskę i nie było wiadomo, kiedy spotkają się następnym razem i czy w ogóle się spotkają. Chciała wykorzystać każdą chwilę, by z nią pobyć.

Chełmicki spoważniał.

– Byłem w sztabie. Jedna wielka awantura. Tymczasem Rosjanie siedzą na dupach, a Niemcy szykują się na ewakuację ludności, by potem nas wybić w pień. A wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że Brytyjczycy nie pomogą nam. W każdym razie nie tak, jak życzyłoby sobie dowództwo. Ci dla odmiany zachowują się jak lokalni watażkowie, kłócą się, a ich pomysły są po prostu szalone. Alicja… – Ściszył głos i zakrył dłońmi twarz. – Alicja, wystrzelają nas jak kaczki, zginiemy jak ofiary losu, jak przegrani, jeśli wydadzą rozkaz przed wkroczeniem Rosjan.

Nie widziała go w takim stanie od dawna. Jakby stracił ducha walki i wiarę w zwycięstwo. A to oznaczało, że sytuacja naprawdę nie wyglądała ciekawie. Jej wcale nie było śpieszno do tego powstania, wolała rozkoszować się swoją miłością i marzeniami na przyszłość, ale Chełmicki gadał o tym nieprzerwanie, a teraz jakby zgasł.

– Nie będzie tak źle, przecież w Głównej nie siedzą idioci, nie wyślą swoich żołnierzy na pewną śmierć ani nie narażą półmilionowego miasta na zagładę. – Poklepała go po ramieniu i dodała: – Przepraszam cię, ale jeśli nie ma nowych rozkazów, opuszczę cię. Dzisiaj Hanka wyjeżdża z Warszawy do Berlina, a potem do Londynu, chciałabym spędzić z nią te ostatnie chwile…

Chełmicki podniósł głowę i popatrzył zdziwiony.

– Lewinówna jest w Warszawie? – zapytał.

– Jeszcze jest, ale przeszła przez piekło, lepiej żeby jej tutaj nie było, gdy wybuchną walki. Ma dwójkę maluchów, niech ucieka… – powiedziała Alicja.

– O której wyjeżdża? – zapytał i poderwał się z krzesła.

– O siedemnastej, z Głównego. Do Berlina. Ma świetne papiery, ale sam rozumiesz, że nie będę mogła jej nawet odprowadzić na dworzec, bo teraz trzepią każdego. „Kary” podwiezie ją do Śródmieścia, a potem złapie rikszę. Folksdojcze spieprzają na potęgę, nie wzbudzi więc podejrzeń. A potem dotrze do Francji i stamtąd promem do Londynu. W Rzeszy zajmą się nią nasi ludzie.

Tak, wszystko było tak pięknie przygotowane. Dla niej, Mateuszka i Sergiusza. Nie żałowała jednak. Cieszyła się wręcz, że jej przyjaciółka w końcu spełni swoje marzenia i posmakuje spokojnego życia. A jej i Sergiuszowi pozostanie dzielny i oddany Ziutek. Musiała tylko obiecać Nadii, że za parę miesięcy wyśle go paczką do ich nowego domu. Alicja miała nadzieję, że przez ten czas mała Nadia będzie miała już nowego psa i przyjaciół i nie będzie tak bardzo tęskniła za ogromnym mieszańcem, który pozwalał jej ciągnąć się za ogon, woził ją na grzbiecie i lizał ogromnym jęzorem, gdy płakała.

– Dobrze, leć – powiedział Julian. – Ja też muszę załatwić jedną sprawę.

Było już późno i Chełmicki wiedział, że nie ma za wiele czasu. Żywił jednak nadzieję, że uda mu się złapać Łyszkina i ten chociaż na chwilę spotka się z Hanką. I może w końcu zobaczy, jak wygląda jego syn… Swoją drogą los pisał przedziwne scenariusze. Igor i Hanka wciąż kochali się do szaleństwa, a dane im było spędzić ze sobą tak mało czasu. On i Alicja od pewnej chwili byli nierozłączni, mieli siebie na wyciągnięcie ręki, a jednak oboje spieprzyli sprawę.

60. Warszawa, Wola, 1944

Emil Lewin siedział na jednej ze swoich przepastnych waliz i patrzył w punkt na ścianie. Przeklinał wojnę, państwo podziemne i wszystko to, co odbierało mu spokój. „Zachciało im się powstania, cholera jasna. Lepiej niech od razu ustawią się w szeregu i palną sobie kolektywnie w łeb. Przynajmniej normalni ludzie ocaleją. Ciekawe, kto potem będzie budował tę ich umiłowaną ojczyznę, jak Niemcy wyrżną to całe towarzystwo” – myślał ze złością Emil. Wiedział jednak, że opór warszawiaków wzrasta z każdym dniem. Niemcy kazali robić okopy, z każdego megafonu straszono represjami w przypadku odmowy, ale gdy zgłosił się i poszedł do wskazanego punktu, znalazł tam tylko garstkę zdziwionych Polaków i dwa oddziały równie zdziwionych żołnierzy niemieckich. Pomyślał, że dobrze nie jest i naprawdę ci szaleńcy wywołają tutaj jakąś grandę.

Mimo że towar schodził jak świeże bułeczki, zwłaszcza artykuły pierwszej potrzeby, postanowił jednak nie ryzykować i opuścić Warszawę, zanim na ulicach rozpocznie się regularna bitwa. Wszystko było zaplanowane i dopięte na ostatni guzik, gdy wydarzyło się nieszczęście. Renate została tak dotkliwie pogryziona przez jakiegoś psa, że nawet nie mogła mówić. Leżała w szpitalu Dzieciątka Jezus z zabandażowaną twarzą i ranami na rękach, ledwie żyła. Skąd, u diabła, wzięło się to psisko, nie mógł odgadnąć, ale sąsiedzi twierdzili, że ten potwór był ogromny, włochaty i posiadał ogon wielkości lisiego kołnierza, którym Renate owijała się, gdy nadchodziła zima. A potem rzucił się jej wprost do gardła. Miała wielu wrogów, ale zachodził w głowę, dlaczego ktoś miałby napuszczać na nią psa, który jako bezrozumne stworzenie mógł doprowadzić władze do swojego pana, zamiast najnormalniej w świecie ją zastrzelić. Lekarze mówili, że wyjdzie z tego, ale pozostanie oszpecona na zawsze. Być może to właśnie miało być dla niej karą dotkliwszą niż śmierć.

Zatem wyjazd stanął pod znakiem zapytania. Emil jednak nie rozpakował bagaży, tylko bił się z myślami. Na wypadek powstania Renate będzie zapewne bezpieczna w szpitalu, a oni co? Nikt się nie będzie nad nimi użalał ani ich oszczędzał. Po kilku godzinach podjął decyzję. Zawołał Szymka.

– Wyjeżdżamy z Warszawy – powiedział.

Chłopak spuścił głowę i zapytał:

– A co z panną Renate?

– Ona to w szpitalu warunki ma jak królowa angielska, a nas będą łomotać, aż zdechniemy. Trzeba nam się ukryć na ten czas. A z Renate to i tak nawet porozmawiać nie ma jak, bo tylko ma taką bułę na twarzy z dziurami na oczy. – Lewin machnął ręką.

– Ale jak tak wszyscy wezmą nogi za pas, to kto będzie do szkopów strzelał, panie Emilu? – zapytał chłopak.

– Słuchaj no, Szymek, to, co oni chcą zrobić, to jak zasadzać się z siekierą na czołg. Jakby cię komar dziabnął, to tak Niemcom zaszkodzi to nasze machanie szabelką. A Karolek jest mały, o nim też trzeba mi myśleć, bo jak dzieciaka ubiją, to co mi po tym, że drasnę jakiegoś drania. – Emil próbował tłumaczyć z pozoru oczywiste sprawy, ale Szymkowi też udzieliła się ta podniosła atmosfera, że czas już odgryźć się za te lata zniewolenia. On również miał ze szwabami swoje rachunki do wyrównania. Za rodziców w trzydziestym dziewiątym i za Noemi w czterdziestym drugim.

– Ja chcę zostać i tłuc szwabów – stanowczo oznajmił Szymek.

– Co ty za brednie wygadujesz? – Emil zaczął się irytować. – Mało ci było, jak się strachu w getcie najadłeś? Ja cię drugi raz pod gruzami szukał nie będę.

– Kiedy ja muszę… – błagalnie jęknął Szymek.

Lewin podszedł do niego, chwycił za ramiona i patrząc mu w oczy, powiedział łagodnie:

– Wiesz, co musisz? Musisz żyć. Jeśli zginiesz, nigdy nie będziesz mógł się wykształcić ani zdobyć majątku. Nikomu do szczęścia twoja krew nie jest potrzebna.

– Panie Lewin, pan jest dla mnie jak ojciec i matka w jednym, ale nie mogę pana usłuchać. Mam pistolet, sprytny jestem, na pewno mnie wezmą do oddziału, jak i harcerzy biorą. Nie chcę zdychać i nie zdechnę, panie Lewin, ale przez tę wojnę to się sam jak ten palec zostałem. Nie podaruję skurczybykom. – Szymon zacisnął zęby.

Emil widział, że już niewiele wskóra. Wysupłał z kieszeni zwitek banknotów i podał Szymkowi.

– Masz, może ci się przydadzą. Nie pytam, skąd wziąłeś pistolet, ale może to i lepiej, że go masz. Gdyby tutaj zrobiło się gorąco, będę pod Nadarzynem. Tu masz adres. Nie zgub. A jakby już całkiem rozpierducha była, szukajmy się tutaj, w tym domu. I do pioruna, nie daj się zabić, bo ja cię to jak własnego syna… – Lewinowi zaczął łamać się głos.

Przełknął jednak ślinę i nie powiedział nic więcej. Gdyby nie Karolek, pewnie zostałby w Warszawie z uwagi na narwanego Szymka. Jednak miał jeszcze jedno dziecko i o nie także musiał się martwić. Łudził się również, że gdy Szymek pojawi się na placu boju, po prostu go pogonią. A może wybuch powstania był tylko plotką powtarzaną wśród mieszkańców, by wywołać w okupancie obawę? Musiało być jednak coś na rzeczy, skoro Franek „Diamentowa Rączka" również spakował co się dało, wynajął furgonetką i wyjechał na jakąś zapyziałą wioskę, gdzie diabeł mówi dobranoc.

Pod wieczór Szymek został w mieszkaniu zupełnie sam i zrobiło mu się przeraźliwie smutno na myśl, że wraz z nastaniem zmierzchu nikt nie pojawi się w domu. Nie będzie słychać śmiechu Karolka, tubalnego głosu pana Lewina i nie będzie czuć eleganckich perfum panny Zoll. Poczuł się jak wtedy, gdy siedział samotnie w cuchnącej i czarnej jak noc piwnicy, nasłuchując dobiegających zewsząd dźwięków nasuwających mu myśli o wygłodniałych szczurach, wampirach czających się za drzwiami czy duchach zmarłych, którzy niegdyś zamieszkiwali tę starą kamienicę. Uważał jednak, że nie mógłby postąpić inaczej, jak zostać tutaj i dołączyć do tych, co będą bić szkopów.

Poszukał jeszcze w szufladzie pana Emila nabojów do visa, a przy okazji znalazł zdjęcie panny Adrianny. Lubił ją bardzo, zwłaszcza gdy i ona go polubiła, i był przekonany, że to właśnie za sprawą Niemców stracił także i ją. Schował fotografię do kieszeni i pomyślał, że jeśli ktokolwiek zapyta go o nią, powie, że widnieje na niej jego mama. Panna Adrianna była taka piękna, tak samo, jak siostra pana Lewina, której zdjęcie stało na komodzie w stołowym pokoju.

Powiódł jeszcze wzrokiem po mieszkaniu, które stało się dla niego prawdziwym domem, a na pewno lepszym niż zatęchła piwnica, gdzie żuł w samotności kawałki suchego chleba i przykrywał się zawszawionym kocem. I chociaż nie zawsze czuł się tutaj dobrze, to przecież miał pana Lewina. Dla niego – najważniejszego człowieka na świecie. Kiedyś Szymek był małym obszarpańcem, dla którego szczyt marzeń stanowił fach doliniarza, a teraz chłopcem zaradnym, z niezłymi manierami i celem w życiu. I to wszystko zawdzięczał panu Emilowi Lewinowi.

61. Warszawa, Dworzec Główny, 1944

Igor Łyszkin patrzył w lustro, poprawiał nieco już przydługie włosy i sprawdzał, czy dokładnie się ogolił. Gdzieniegdzie na policzku miał przyklejony kawałek papieru, bo zaciął się kilka razy podczas tej czynności. Wszystko dlatego, że drżały mu ręce ze zdenerwowania. Niebawem miał zobaczyć Hankę, swoją ukochaną. Tak dawno jej nie widział, że gryzł się, czy Lewinówna jeszcze go kocha, czy był tylko kaprysem wielkiej diwy, a jedynie przypadek sprawił, iż urodziła mu syna.

Podszedł do szafy i wyciągnął z niej mundur Ottona Kriegego, którego nigdy więcej miał nie zakładać i musiał jedynie posłużyć się nim na czas podróży do Warszawy. Nie rozumiał tych wytycznych, uważał bowiem, że póki co bezpieczniej jest poruszać się po mieście w niemieckim mundurze. Założył spodnie i górę od munduru, po czym naciągnął czapkę i był gotowy do wyjścia. Skropił się nawet wodą kolońską, po czym opuścił kwaterę i ruszył w kierunku dworca głównego.

Tego dnia przy gmachu dworca kłębiło się sporo ludzi. Może nie było już ich tak wielu, jak jeszcze dwa tygodnie wcześniej, ale panował duży ruch. Patrole wnikliwie kontrolowały podróżnych, zapewne czyhając na wywrotowców chcących opanować jeden z najważniejszych strategicznie obiektów, a być może chciano pokazać, że czas paniki i rozprężenia już minął.

Igor podążył w kierunku hali głównej, by stamtąd udać się na peron, skąd odjeżdżał pociąg do Berlina. Rozglądał się jednak dookoła, jakby trochę w panice. Ona gdzieś tutaj była, może tuż za nim, a być może nawet się miną gdzieś w pobliżu, a on tego nie zauważy. Potok walizek, śpieszących się ludzi, duszna i lepka aura, niewyraźny głos dobiegający z megafonu. Łyszkin już dawno nie czuł takiego zdenerwowania i zagubienia. Spojrzał na żołnierza przeglądającego dokumenty jakiejś szczupłej kobiety w letniej sukience w niebieskie kwiaty, płaczącą dziewczynkę i wózek stojący obok sporych rozmiarów walizki. Pewnie przeszedłby obok, jedynie kodując w głowie obrazek, gdyby nie ten zawodzący płacz dziewczynki i dającą się zauważyć w ruchach jej matki nerwowość. Spojrzał raz jeszcze na twarz kobiety. I pewnie nie rozpoznałby w niej Hanki Lewin od razu, gdyby nie gest, jakim poprawiała upięty kok, a co zawsze było u niej oznaką zakłopo-

tania. Przyjrzał się bliżej i rozpoznał te oczy, teraz niewymownie smutne, i usta przypominające swym kształtem serce. Zapewne ową płaczącą dziewczynką była Nadia, a śpiącym w wózku dzieckiem – mały Grześ, jego syn. Z drżącym sercem i kroplami potu na czole, które pojawiły się nie tylko z uwagi na ciężkie, wilgotne powietrze, ale i zdenerwowanie, podszedł do Hanki i wykrzyknął po niemiecku:

– Nareszcie jesteście! Ileż można czekać, zaraz pociąg odjedzie bez was!

Po chwili zwrócił się z pewnością w głosie do przeglądającego dokumenty żołnierza:

– Żołnierzu, doprawdy, czy nie lepiej szukać w tłumie polskich bandytów, zamiast nagabywać Bogu ducha winne kobiety z małymi dziećmi?

Funkcjonariusz jak na komendę wyprostował się, oddał honory oficerowi SS, po czym szybko zwrócił kobiecie dokumenty.

– Chodźmy, moja droga – Igor zwrócił się do Hanki, wziął w dłoń stojącą obok wózka walizkę i chwycił Lewinównę pod rękę.

W przeciwieństwie do Łyszkina Hanka rozpoznała od razu człowieka, który zbliżył się do nich. Była jednak tak wystraszona i jednocześnie zszokowana jego widokiem, że zabrakło jej głosu. Nie dotarło do niej, iż właśnie widzi przed sobą swoją największą miłość, ale powróciły wyrzuty sumienia spowodowane zdradą, tak jakby miała wytatuowaną szkarłatną literę, którą każdy mógł ujrzeć niemal od razu. Przeciskając się przez tłum podróżnych w kierunku peronu, nie mówili nic, by nie zwracać na siebie uwagi, Hanka jedynie czuła żelazny uścisk Igora, jakby za chwilę miał ją zmiażdżyć, byle tylko nie wymknęła mu się z rąk. Przeszli przez peron, mijając oczekujących na pociąg, i w końcu zatrzymali się pod jednym z filarów. Oparła się o betonowy słup, przymknęła powieki i jęknęła:

– Igor…

Patrzył na nią jak na ułudę, by przenieść wzrok najpierw na małą Nadię, trzymającą palec w ustach, a potem na śpiące w wózku dziecko.

– To Grześ? – zapytał.

Zakryła twarz rękoma. Więc on wiedział, zapewne nie tylko to. Musiał znać całą ponurą prawdę o niej. Pokiwała jedynie głową. Łyszkin pochylił się nad wózkiem i wyciągnął z niego śpiącego chłopca. Popatrzył na Grzesia, a potem przytulił, mówiąc:

– Jaki on do mnie podobny.

Hanka kolejny raz jak automat pokiwała głową. Igor znowu popatrzył na nią. Na wymizerowaną, smutną twarz kobiety, która jeszcze kilka lat temu promieniała szczęściem. Nie był zły, jak się spodziewała. Kiedyś tak, czuł do niej niechęć i był zawiedziony, ale na twarzy Lewinówny odciśnięta była gehenna ostatniego czasu i wszystkie żale ustąpiły miejsca ogromnej trosce o jej los i o to, co przeżyła. Odłożył Grzesia do wózka, który nawet się nie obudził, i ukucnął obok Nadii.

– Ależ z ciebie duża i ładna dziewczynka, Nadio – powiedział łagodnie, ale ta odwróciła głowę i schowała się za fałdy matczynej spódnicy, nie mając pojęcia, z kim ma do czynienia.

– Igor… – powiedziała Hanka kolejny raz. Jej głos drżał, oczy wypełniły się łzami, a głowa wątpliwościami i lękiem, czy jeszcze ją kocha. – Ja… jestem taka nieszczęśliwa.

– Kochana moja – odpowiedział jedynie i przytulił ją do siebie, wdychając jej zapach i czując jej drobne ciało pod materiałem letniej sukienki. – Musiałem cię zobaczyć. Haniu, błagam, nie wyjeżdżaj. Zostań ze mną, zaopiekuję się tobą, wojna niedługo się skończy.

Tak bardzo chciała być przy nim, czuć jego obecność, ale ona już straciła wiarę, że kiedykolwiek to piekło się skończy, on nie będzie musiał uciekać i będzie przy nich przez cały czas. Nie była sobie w stanie wyobrazić, że ten wyjazd w kolejne obce miejsce nie będzie jej ostatnim. Nie mogła wykrzesać z siebie już ani odrobiny siły na walkę o spokój i lepszy los. Widząc na ulicach przelewające się tłumy niemieckich mundurów i jadące dostojnie samochody wroga, po prostu nie wierzyła już, że ta cholerna wojna kiedyś dobiegnie kresu. Nie chciała być tutaj ani chwili dłużej.

– Nie zostanę, Igorze, choć Bóg mi świadkiem, że kocham cię, jak nikogo w życiu. Nie mam już siły i boję się, że jeśli kolejne tygodnie spędzę w ciągłym lęku, po prostu palnę sobie w głowę. Muszę ratować dzieci, muszę zapewnić im spokojne życie… Igor, nie dam rady, nie dam już rady… – łkała, kręcąc głową i wtulając się w jego mundur.

Odsunął ją od siebie i uśmiechnął się smutno. Wiedział, że nie ma prawa jej zatrzymywać. Nie miał pojęcia, co będzie i czy pewnego dnia rozkazy nie rzucą go znowu gdzieś daleko od niej. Ona miała rację, ta wojna jeszcze się nie skończyła.

– I co ja bez ciebie zrobię? – zapytał bezradnie.

Hanka rozkleiła się na dobre. Łzy płynęły jej po policzkach i pomyślała, jak los okazał się łaskawy, bo mogli się zobaczyć, i jak parszywy, że znowu wyrywali życiu dosłownie minuty.

– Zawsze będziesz w moim sercu… I mamy Grzesia – wyłkała.

On także miał ją w sercu, od wielu lat, i nie sądził, żeby kiedykolwiek mogło się to zmienić. Nie mógł jednak nie zadać jej pytania, które tłukło mu się po głowie, odkąd dowiedział się, że w jej życiu był inny mężczyzna.

– A Ritz? – zapytał, patrząc na nią przenikliwie.

– Gdyby nie on, nie rozmawialibyśmy dzisiaj – powiedziała smutno.

– Nie o to pytam. Chcę wiedzieć, czy on także jest w twoim sercu? – nie odpuszczał Igor.

Hermann Ritz był w sercu Hanki, ale nie w taki sposób, jak Igor Łyszkin. Wiele zawdzięczała temu człowiekowi, przede wszystkim to, że przetrwała. Nie był to jednak czas, by mogła wyjaśnić Igorowi pewne sprawy.

– Kocham tylko ciebie – powiedziała cicho i mimo że nie odpowiedziała na pytanie, które zadał Igor, owo wyznanie było prawdziwe.

Jednak kochała także swoje dzieci i była gotowa zrezygnować ze swojego uczucia i własnych pragnień, byle zapewnić im szczęśliwe dzieciństwo.

– I co powiesz swojemu mężowi? – nieco złośliwie zapytał Igor, bo miał świadomość, że gdy Hanka dotrze do Londynu, takie spotkanie będzie nieuniknione.

– Żeby dał mi rozwód – odpowiedziała z pełnym przekonaniem.

Chciał ją zapytać, czy będzie czekała, ale nie chciał jej wiązać żadnymi przyrzeczeniami, bo nie wiedział, gdzie rzuci go kolejny rozkaz. W Polsce albo w Związku Radzieckim pewne sprawy byłyby prostsze, ale Londyn znajdował się bardzo daleko. Kochał Hankę tak bardzo, że pragnął jej szczęścia nawet kosztem własnego. Po prostu nie mógł jej o to prosić, by znowu tęskniła i czekała na niego, rezygnując z marzeń, pragnień i spokojnego życia.

Odprowadził ją do przedziału, ulokował walizkę na półce i niewiele mówił. Również z uwagi na siedzących wokół ludzi. Patrzyła na te zabiegi, zatrwożona, tak jakby miała go nigdy więcej nie zobaczyć. Wyszła za nim na korytarz, gdy już pociąg prawie odjeżdżał i powiedziała spanikowanym głosem:

– Błagam, zrób coś. Jedź z nami. Potem możemy popłynąć do Ameryki, zacząć nowe życie, proszę, nie zostawiaj nas…

– Nie mogę, Haniu. Naraziłbym ciebie i dzieci, bo oni… nie odpuszczają. Taka to służba. Bądź szczęśliwa, Haniu. Przysięgam, że jeszcze kiedyś się spotkamy. Niech tylko ta wojna się skończy. Przyjadę wtedy po was… Ale jeśli nie będziesz czekała, jeśli znajdziesz spokój i szczęście beze mnie, zrozumiem – powiedział szybko, bo to były najtrudniejsze słowa, jakie przyszło mu wypowiedzieć.

Musiał zwrócić jej wolność, chociaż serce podpowiadało mu zupełnie coś innego. Pragnął krzyczeć: „Czekaj na mnie i kochaj mnie, nawet jeśli to potrwa kolejne kilka lat”, ale zdawał sobie sprawę, że nie ma prawa odbierać jej szansy na szczęście. Jego wiązała praca, która nie zważała na sercowe rozterki i dylematy. Z miejsca, w którym tkwił, nie można było odejść, a jedynie uciec. Jego służba nie wybaczała zdrady, musieliby się wciąż ukrywać, a tego nie mógł zrobić Hance. Nie zasłużyła sobie na to, by znowu uciekać i obawiać się każdego kolejnego dnia. Może kiedyś coś wymyśli, może uda mu się to wszystko jakoś poukładać, ale pewnie nie w Londynie czy Ameryce. Sądził, że Hanka ma w sobie siłę i determinację, by pozostać i godzić się na niewiadome, ale w jej oczach widział taką rozpacz, że nie miał siły kolejny raz proponować jej niepewnego jutra.

Poczekał, aż pociąg odjedzie. Patrzył na kłęby pary wydobywające się z lokomotywy, słyszał zgrzyt kół i gwizdek zawiadowcy. Patrzył, jak odjeżdża kawałek jego duszy, w istnienie której przez tyle lat nie chciał uwierzyć.

62. Warszawa, Praga–Stare Miasto–Śródmieście, 1944

Chełmicki stał w korytarzu mieszkania na Brzeskiej, nieco onieśmielony obecnością Sergiusza. Alicja jednak nie zwracała uwagi na takie drobiazgi, niemal siłą wciągnęła go do pokoju i poczęstowała prawdziwą herbatą.

– Pij, bo nie wiadomo, co się wydarzy jutro i być może o takiej herbacie będziesz mógł jedynie pomarzyć – powiedziała ze śmiechem.

– Myślę, że to już nawet nie kwestia dni, ale godzin, kiedy Bór wyda rozkaz. – Chełmicki był podekscytowany.

– Ostatnio byłeś co najmniej przerażony, co więc się zmieniło? – podejrzliwie zapytała Alicja.

– Rosjanie zdobyli przyczółek i są już na Pradze. Niedługo będziesz mogła zobaczyć ich z okna. – Uśmiechnął się szeroko.

– Jeśli Ruskie nam pomogą, to mi kaktus na ręku wyrośnie – mruknął „Kary".

– Nie jestem sympatykiem Rosjan, ale to powstanie to także sygnał dla nich. Że oto możemy być co najwyżej partnerami, a nie wasalami. To my odbijemy Warszawę, a oni nam jedynie pomogą. Gdyby było na odwrót, przez następne pięćdziesiąt lat by po nas jeździli i oczekiwali wdzięczności. – Julian po dniach kompletnego załamania sytuacją nagle nabrał nadziei i ożywił się.

– Obyś się nie mylił. – Sergiusz wciąż był nieufny. Może po prostu po tym, co przeżył, nie był w stanie uwierzyć w dobre intencje Stalina.

– Najważniejsze, że są już blisko i wciąż posuwają się naprzód. – Chełmicki zakończył rozmowę i opuścił mieszkanie na Brzeskiej.

Miał nadzieję, że Alicja ucieszy się równie mocno, co on, ale ten malkontent „Kary" zepsuł tę chwilę radości.

Złapał tramwaj i wysiadł w Śródmieściu, by poczuć tę atmosferę oczekiwania na najważniejszą bitwę tej wojny i nerwowość wroga. „Tak, skurwysyny. Zobaczycie, że z Polakami nie należy zadzierać" – myślał mściwie. Nie tak miało wyglądać życie jego ani bliskich mu osób. Ale te pięć lat poniżania, łapanek i rozstrzeliwań w końcu dobiegło kresu. Ich akcje, chociażby ta ostatnia udana, na Kutscherę, były jak kąsanie krowiego zadu przez muchy. Większą bolączką, będącą pokłosiem owej akcji, była nałożona na

miasto kontrybucja w wysokości stu milionów złotych i rozstrzelanie stu więźniów na Pawiaku. Teraz jednak wszystko miało ulec zmianie, a hitlerowcy zostać rzuceni na kolana.

Przeszedł nieopodal Starego Miasta, gdzie mieli stawić się z Alicją po otrzymaniu rozkazu i oczami wyobraźni widział padających pokotem szkopów. Postanowił ostrzec Igora Łyszkina, że on gdzieś tutaj będzie prowadził bitwę z Niemcami i lepiej byłoby, gdyby go przypadkiem nie trafił. Tak, Chełmicki był w wyjątkowo bojowym nastroju.

Zastukał do znajomych mu drzwi mieszkania, w którym całkiem niedawno upił się ze swoim starym kompanem. Musiał chwilę poczekać, zanim Igor mu otworzył.

– To ty… – jęknął.

– A co robiłeś? – ze śmiechem zapytał Julian. – Gruchałeś z Hanką?

– Hanka wyjechała, tak jak zamierzała – odpowiedział smutno Łyszkin.

– Przykro mi, stary. – Julian poklepał go po plecach. – Ale może to i lepiej, bo lada moment Warszawa nie będzie najbezpieczniejszym miejscem na świecie. Chciałem przekonać Weronikę, żeby została z Amelią na wsi, ale uparła się. Prawdziwa z niej wojowniczka, zupełnie jak Alicja.

– Chcecie popełnić zbiorowe samobójstwo? – zdziwił się Łyszkin i ziewnął, bo wiedział, że nikt przy zdrowych zmysłach w podobnej sytuacji nie podjąłby takiej decyzji, gdy pod Warszawę nadciągały coraz to nowe oddziały Niemców, nad miastem krążyły samoloty gotowe w każdej chwili do ostrzału, a na ulice wtaczały się wozy opancerzone i czołgi.

– Oj, Łyszkin, Łyszkin, rozumiem, taka robota, ale co ty durnia mi tu kleisz? Przecież to chyba żadna tajemnica, że zdobyliście przyczółek mostowy i wkroczyliście na Pragę. – Julian puścił do niego oko.

Igor patrzył na swojego przyjaciela, jakby ten postradał zmysły. Nie miał pojęcia, skąd Chełmicki wytrzasnął podobne rewelacje. Tę fałszywą informację Łyszkin sam miał rozpowszechnić, ale dopiero za kilka dni. Po chwili usiadł przy stole i potarł rękoma zmęczoną twarz. Jednak to nie tylko praca go wycieńczyła, ale dwie bezsenne noce, które spędził po wyjeździe Hanki i dzieci. Widział ich przez niespełna pół godziny, a w przypadku syna jedyne dwa kwadranse w życiu. Tęsknił za nimi jeszcze bardziej, niż zanim się z nimi spotkał, jednak musiał się pokazać Hance. Chciał, żeby wiedziała, że żyje, i musiał zadać jej to najważniejsze pytanie, czy wciąż go kocha. Nie zdążyli sobie nic wyjaśnić ani powiedzieć prawdy, co się z nimi działo

przez te trzy lata. On wiedział o Ritzu, ale nie miał pojęcia, jak zareagowałaby Hanka, gdyby dowiedziała się o Helenie i wreszcie Marinie. Żywił jednak nadzieję, że ich miłość jest silniejsza niż cokolwiek innego i mimo że zostawił Lewinównie wolną rękę, wierzył, że będzie na niego czekała.

Teraz jednak naprzeciwko niego siedział Julian Chełmicki, przyjaciel, który kiedyś uratował go przed tragicznym losem. I nadszedł moment, aby mu się za to odwdzięczyć.

– Julianie, wiesz, dlaczego kazałem ci tak długo czekać pod drzwiami? Musiałem schować radiostację. I powiem tak… Na Pradze nie ma naszych i nie zanosi się na to, by mieli zamiar szybko tam się znaleźć. To kłamstwo, które rozpowszechnia nasza agentura i ludzie nam przychylni. Nie będzie żadnego wsparcia ze strony Armii Czerwonej, chociaż zagrzewano was do walki. Stalin ma swój plan. I na pewno nie jest nim pomoc powstańcom. Julianie, jeśli masz dla kogo żyć, jeśli kochasz swoje dziecko, uciekaj. Bo znając Himmlera, nie zostanie tutaj kamień na kamieniu – cicho powiedział.

– Łyszkin, przyjacielu… – Chełmicki nieco pobladł. – Czyś ty się upił?

– Posłuchaj! – Igor zdenerwował się i szarpnął Chełmickiego za koszulę. – Uratowałeś mi życie. Wyciągnąłeś mnie z gówna i poniekąd dzięki tobie dorobiłem się syna, więc, *do kurwy matieri*, dlaczego miałbym cię okłamywać? Mam pozostać w mieście, dopóki będzie to w miarę bezpieczne i meldować codziennie, jak się wykrwawiacie.

Chełmicki usiadł, słysząc słowa Igora. On nie mógł się mylić i nie okłamałby go. Przez chwilę myślał o tym, co się stanie, jeśli ten czarny scenariusz się spełni. Nie musiał długo się zastanawiać. Przegrają i zginą. Łyszkin miał rację. Jeśli Sowieci nie przyjdą z odsieczą, nie zostanie tu kamień na kamieniu.

– Boże, Boże, Boże… – szeptał, szukając ratunku i rozwiązania u Najwyższego, bo w tej sytuacji tylko on mógł pomóc.

– Nie ma Boga, Julianie. Nie ma… Jest tylko ludzka tęsknota za dobrem. Bóg jest kłamstwem wymyślonym, by maluczcy myśleli, że mogą być wielcy poprzez swoją ofiarę – powiedział cicho Igor.

Chełmicki zerwał się nagle z krzesła, podziękował Igorowi, że go ostrzegł, i wybiegł z jego mieszkania. Rozejrzał się za rikszą, ale nie ujrzał żadnej, więc pobiegł co sił w nogach w kierunku Pięknej, potrącając po drodze przechodniów, i zwalniał jedynie wówczas, gdy widział idący na-

przeciwko patrol. Zbliżała się osiemnasta, ale miał nadzieję, że w kwaterze głównej zastanie jeszcze generała.

Wpadł zdyszany do budynku i kierował się w stronę gabinetu komendanta, gdy natknął się na szefa wywiadu. I wtedy pomyślał, że zanim rozpęta piekło, upewni się, czy na pewno Igor znał prawdę. Jakby nie chciał w sobie gasić tej iskierki nadziei, że może Łyszkin nie wiedział wszystkiego.

– O, to ty. – Pułkownik Iranek-Osmecki sam zaczepił Chełmickiego. – Gdzie tak pędzisz? Generał właśnie wychodzi.

– Przyszedłem go ostrzec, ale nie wiem, pułkowniku, czy moje informacje są w stu procentach prawdziwe. Dowiedziałem się, że Rosjan nie ma na Pradze, że nie zdobyli przyczółka, że te czołgi… że to nieprawda – mówił zdyszanym głosem Chełmicki.

– Twoje informacje są prawdziwe. Generał też już wie – za smutkiem powiedział pułkownik i poklepał Juliana po ramieniu. – Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

– Ale… – próbował coś jeszcze powiedzieć, ale pułkownik jedynie machnął ręką i poszedł w kierunku drzwi wyjściowych.

Julian był nieco zdezorientowany postawą szefa oddziału informacyjno-wywiadowczego. Czyżby tak bardzo śpieszyło mu się do boju, by przegrać? Trudno mu było w to uwierzyć, więc nie zawrócił, tylko poszedł w kierunku pokoju generała.

Drzwi były otwarte, a generał siedział kompletnie sam, jakby otępiały. Patrzył gdzieś w przestrzeń nieprzytomnym wzrokiem.

– Generale… – powiedział cicho Chełmicki. – Muszę poinformować pana, że jestem w posiadaniu informacji, iż nasza wiedza na temat wkroczenia Armii Czerwonej do Warszawy jest błędna.

– Wiem. – Powoli pokiwał głową.

– Generale? – zapytał w końcu Julian. – Czy dobrze się generał czuje?

– Nie, nie czuję się dobrze. Jutro o siedemnastej rozpoczynamy powstanie – odpowiedział cicho i wstał zza biurka.

– Ale, generale, zostaliśmy sami… Przecież… Generale, wszyscy zginiemy – rozpaczliwie mówił Julian, chcąc za wszelką cenę odwrócić bieg wydarzeń.

To miało być zwycięstwo, a nie druzgocąca klęska. A bez pomocy Rosjan nie było szans na nic więcej oprócz porażki. Tylko kompletny laik mógłby myśleć, że ta źle uzbrojona garstka żołnierzy Armii Krajowej i ochotników

zaopatrzonych w kije i łomy będzie w stanie zagrozić potędze militarnej Niemiec.

– Za późno… Za późno. Nie możemy nic zrobić – odpowiedział cicho generał i ruszył w stronę drzwi.

– Ależ, generale, musi pan odwołać rozkaz. Rosjan tu nie ma, a Niemcy szykują się do kontrnatarcia. Na Boga, panie generale… – Chełmicki robił się bezczelny.

– Nie mogę już nic zrobić… Za późno… za późno – powtarzał przygnębiony generał, niczym katarynka ulicznego grajka.

– Do diabła, panie generale, wszyscy zginiemy… Niechże pan coś zrobi – jęknął zrozpaczony Julian.

– Nie mogę już nic zrobić… Za późno… – powtórzył kolejny raz generał i opuścił budynek na Pięknej, nie żegnając się z podwładnym.

Chełmicki stał jeszcze przez chwilę na ulicy i bezradnie rozglądał się dookoła. Czuł, że ziemia osuwa się pod jego nogami, i tym razem nie widział w swojej wyobraźni glorii chwały, ale śmierć i klęskę.

63. Warszawa, Śródmieście, 1944

– Wszyscy mają opaski? – zaświergotała młoda, może siedemnastoletnia dziewczyna.

– On jeszcze nie ma – mruknęła Alicja i pokazała palcem na stojącego przy niej Ziutka.

– Jaki słodki psiak – rozczuliła się dziewczyna.

Alicja popatrzyła na nią nieco zdziwiona, bowiem o Ziutku można było powiedzieć różne rzeczy, ale na pewno nie to, że jest słodkim pieskiem. Poza tym nie podzielała entuzjazmu ani owej dziewczyny rozdającej biało-czerwone opaski, ani mieszkańców, którzy witali ich jak bogów zwycięstwa i chwalili się, ile zapasów zgromadzili, by wykarmić powstańców. A wszystko za sprawą Juliana, którego nastrój z euforii zamienił się w totalne przygnębienie. Teraz nie tylko „Kary", ale i ona z Julianem mieli wrażenie, jakby za chwilę mieli trafić wprost do paszczy lwa.

Poczuła szarpnięcie za rękaw. Odwróciła się gwałtownie, a Ziutek wydał z siebie ostrzegawczy pomruk.

– Pani Aldona? – zapytał Szymek.

– Boże, Szymek! – Alicja uśmiechnęła się i zapytała ostro: – Co ty tutaj robisz?

– Do powstania przyszedłem. Mam pistolet, najprawdziwszy vis. Ale ta kobita, co tam stoi… – Wskazał dłonią dziewczynę sprawdzającą stan uzbrojenia. – …kazała mi do pani przyjść. Że niby pani tu najważniejsza.

– Tak, dowodzę tym oddziałem. I co z tego? – mruknęła.

– A to z tego, że mam się pani Aldony o pozwoleństwo spytać. Czy mogę z wami na powstanie iść? Ja z Woli przyszedłem piechtą, bo wiedziałem, że co jak co, ale o plac Zamkowy, to na pewno bić się będziemy. – Szymek pociągnął nosem.

– My będziemy, ty wrócisz do domu i przeczekasz najgorsze. Dzieci nie biorę, bo ich miejsce jest w domu. To nie są żarty ani zabawy na podwórku. – Alicja mówiła coraz ostrzejszym tonem. Nie rozumiała, jak inni dowódcy bez żadnej refleksji wyznaczali role młodym chłopakom, niekiedy czternastoletnim. Ona się na to nie godziła. Były jakieś granice poświęcenia.

– Ale kiedy ja chcę szwabów tłuc. A pan Lewin wyjechał, sam zostałem. To przyszedłem z pistoletem, żeby jak wszyscy… – jąkał się Szymek.

– Posłuchaj, zmiataj stąd, pókim dobra. Wracaj do domu. A jak taki samotny się czujesz, to zaopiekuj się tym tutaj brytanem. Ziutek się nazywa i też lubi towarzystwo, bo się za mną przypałętał. – Alicja nie dawała za wygraną. – I nie kombinuj gdzie indziej, bo ja już tak załatwię sprawę, że każdy dowódca cię pogoni.

– To może bym chociaż meldunki przenosił – upierał się Szymek. – A ja to przecie dzieci z getta na własnych plecach… – Już chciał dokończyć swoją sztandarową opowieść, ale zdał sobie sprawę, że to właśnie Alicja mu wówczas towarzyszyła i wcale nie był taki skory do pomocy i narażania życia.

– Zmiataj stąd, bo dostaniesz w skórę. I mam na imię Ewa. – Alicja rozzłościła się na dobre.

W końcu jednak Szymek odpuścił, pokręcił się jeszcze przy Ziutku, któremu bardzo spodobały się żarty chłopca, gdyż z natury darzył dzieci sympatią. Lubił swawolić, a dorośli nie bardzo się do tych zabaw garnęli.

– Pani Ald… pani Ewo, on mnie chyba polubił. Zobaczy pani, jak się łasi, skubany – ucieszył się Szymek.

– To zabierz go ze sobą do domu. Psy jak słyszą strzały, to świra dostają. Widzisz, i przydasz się na co, bo może temu zwierzakowi życie uratujesz. A on na Niemców cięty, obroni cię w razie czego – pocieszająco powiedziała Alicja i spróbowała przemówić do Ziutka, jak Hanka, gdy się z nim żegnała.

– E… A co pani z nim jak z człowiekiem gada? – prychnął Szymek.

– Nie bój się, on bardziej gramotny niż niejeden człowiek. I idźżeż w końcu, bo my ruszamy i zaraz się Niemcy wściekną – zrugała go Alicja.

Szymkowi Wielopolskiemu, który oprócz Noemi nigdy nie miał przyjaciela, tak bardzo spodobała się obecność Ziutka, że nawet mu ochota na wojaczkę przeszła. Ruszył z powrotem na Wolską, opowiadając swojemu nowemu kompanowi, co zjedzą w domu, bo czego jak czego, ale jedzenia w spiżarni Emila Lewina nigdy nie brakowało. Tuż przed siedemnastą dotarł z psem do mieszkania, przez nikogo nie niepokojony, i jak na gospodarza przystało wyprawił sobie i gościowi sutą ucztę, dzieląc się uczciwie i pętkiem kiełbasy, i chlebem ze słoniną.

A gdy nasycili się, Ziutek z racji swojej wielkości nawet bardziej, Szymek rozłożył psu starą derkę w przedpokoju, a sam poszedł spać do ogromnego łóżka pana Lewina i panny Zoll, i już nie czuł się taki samotny.

64. Warszawa, Szpital Dzieciątka Jezus, 1944

Weronika Sarnowska chodziła po salach wraz ze swoim niemieckim zwierzchnikiem. Robili obchód i szykowali się do przyjęcia pierwszych ofiar powstania. Niestety, niemieckich, co doprowadzało Weronikę do rozpaczy. Nie miała najmniejszego zamiaru brać dodatkowych dyżurów, bo planowała zaraz po skończonej pracy udać się do jednej z kawiarni na Starym Mieście, gdzie znajdował się punkt medyczny dla powstańców. Zapewne jej pomoc będzie nieoceniona, a i przy okazji znajdzie się blisko swojego męża.

Podeszli do kolejnego łóżka.

– Renate Zoll. Pogryziona przez psa – powiedziała Weronika.

Niemiecki lekarz o „przykrym nazwisku" – jak mawiała Sarnowska – Bormann, popatrzył na nią zdziwiony i pokręcił głową, jakby nie dowierzał, że ktoś został tak dotkliwie zraniony przez zwierzę, gdy inni umierali od kul, tyfusu czy gruźlicy spowodowanej tragicznymi warunkami sanitarnymi.

– Proszę ją przenieść do innej sali, przywieziono przed godziną dwudziestu sześciu niemieckich żołnierzy z ranami postrzałowymi. Niestety, pani Zoll już nie może mieć tego ogromnego pomieszczenia jedynie dla siebie – zaordynował Bormann.

Weronika podeszła do pacjentki i powiedziała:

– Panno Zoll, nazywam się Weronika Sarnowska, przeniesiemy panią na chirurgię.

Spod ogromnej bryły bandaży owiniętych wokół głowy pacjentki rozległ się ni to skowyt, ni to jęk. Weronika była przekonana, że poraniona kobieta protestuje w ten sposób przed wywiezieniem jej z sali, gdzie była jedyną pacjentką. Jednak Renate Zoll było wszystko jedno, gdzie będzie leżała, pozbawiona połowy swojej pięknej twarzy. Za wszelką cenę nie chciała, by opiekowała się nią właśnie ta pani. Musiałaby ona w końcu, wcześniej czy później, skojarzyć nazwisko Zoll z Walterem von Lossowem i chcąc uchronić Chełmickiego, po prostu ją zamorduje. Jednak Weronika nie miała pojęcia, z kim ma do czynienia i szczerze żałowała tej kobiety, która nie dość,

że została oszpecona na resztę życia, to jeszcze nie była w stanie wymówić ani słowa.

Po obchodzie Bormann zarządził:

– W związku z toczącymi się walkami i faktem, że na terenie szpitala przebywają zarówno obywatele niemieccy, jak i polscy, proszę zwołać kierownictwo szpitala, by stawiło się w kaplicy szpitalnej. To będzie moja polisa, że polscy lekarze nie będę pomagali moim rodakom odchodzić na tamten świat.

– Ależ doktorze! – żachnęła się Weronika. – Zawsze mieliśmy w naszym szpitalu mieszanych pacjentów i nigdy nikomu nie przyszło do głowy uśmiercać tych, którzy nie są Polakami.

– Pani doktor, ale przyzna pani, że sytuacja się zmieniła. Polscy bandyci opanowali miasto, próbują zdobyć wszystkie obiekty w mieście, ustawiają barykady, a nasze wojsko obrzucają butelkami z benzyną – stanowczo stwierdził Bormann.

– Przecież kazał pan rozbroić nawet niemieckich żołnierzy i powiedział, że szpital nie bierze udziału w powstaniu – próbowała bronić swoich racji Weronika.

– Wolę jednak dmuchać na zimne, a jeśli nie macie nic na sumieniu, o swoje kierownictwo możecie być spokojni – mruknął doktor i opuścił towarzystwo Weroniki.

Ta powróciła do swojego gabinetu i wciąż myślała o Julianie. Pożegnał się z nią, jakby nigdy więcej mieli się nie zobaczyć. Jednak ona wciąż miała nadzieję. Niektórzy przybywający pacjenci triumfalnie informowali ją, że oto Armia Krajowa zdobywa kolejne punkty w mieście, a mieszkańcy Warszawy witają powstańców oklaskami i wspierają ich nie tylko duchem, ale dostarczają jedzenie, koce, a na ulicach budują barykady z regałów, komód, a nawet trafił się jeden fortepian. To dawało Weronice nadzieję, że zwyciężą, wbrew logice, wbrew wiadomościom płynącym z niemieckiego radiowęzła, wbrew wszystkiemu…

65. Warszawa, Stare Miasto, 1944

Alicja siedziała oparta o rachityczne drzewko na niewielkim podwórku Starego Miasta i drżącymi rękami wyjadała z puszki rozgotowaną kaszę. Ta prowizoryczna miska miała poszarpane, ostre brzegi i Alicja co chwilę kaleczyła sobie palce, chcąc wydobyć resztki jedzenia. Obok niej siedział Julian i patrzył w światło niewielkiej bramy, prowadzącej do ocienionego podwórka.

– Zjedz coś, bo potem może być krucho – wybełkotała Alicja z ustami pełnymi kaszy.

– Nie chcę. Mnie trzyma adrenalina. Każdy potwór, którego trafiłem, był jak uczta złożona z dwóch dań – powiedział.

– Siły nie będziesz miał, żeby tę swoją „Baśkę" podnieść – mruknęła i wskazała brodą jego stena.

– Masz jakieś wiadomości o „Karym"? – zapytał w końcu.

Pokręciła przecząco głową.

– Ostatnie, co wiem, to że wciąż dzielnie trzymają się na politechnice. Ale to było… pięć dni temu. A co z Weroniką? – zapytała łagodnie.

– Też nie mam o niej żadnych wieści, odkąd… przestała nam pomagać. Najpewniej nie jest w stanie przedrzeć się przez miasto – westchnął.

Kiedy tak rozmawiali, korzystając z tych kilku chwil wytchnienia, na podwórko wbiegł młody chłopak w za dużym ubraniu, które groteskowo na nim wisiało, i krzyknął:

– Chodźcie! Prędzej! Chłopaki na Kilińskiego zdobyli czołg.

Alicja i Julian poderwali się z miejsc. To było naprawdę coś. Wydawało się, że pewne rzeczy nie mogą się udać, a tu, proszę, nareszcie jakiś namacalny sukces. Zaledwie zdążyli wybiec za młodym chłopakiem za bramę, gdy rozległ się niesamowity huk, który przyćmił swoją siłą wszystko, co słyszeli do tej pory.

– Boże, zaczęli bombardować nas na całego – jęknął Julian, odruchowo łapiąc wpół Alicję i chowając się w bramie.

Po chwili jednak eksplozje umilkły. Alicja wyswobodziła się z ramion Juliana i zaczęła biec w kierunku placu Zamkowego. Kiedy znalazła się w jego pobliżu, usłyszała krzyki, jęki i zawodzenia. Nie wiedziała jeszcze,

co się stało, mijała jedynie zszokowanych, zakrwawionych ludzi, którzy nie byli w stanie wydobyć z siebie nic prócz szlochu. Rozejrzała się za jakimś żołnierzem, ale nie dostrzegła nikogo ze swoich kompanów. Dotarła do placu i wtedy jej oczom ukazał się widok, który wmurował ją w chodnik. Setki ciał rozrzuconych bezładnie po bruku, niektóre porozrywane na strzępy, leżące gdzieś fragmenty rąk i nóg. Siła uderzenia musiała być potężna, bo dostrzegła ciała nawet zwisające z drzew, powykrzywiane, jakby pozbawione kości i kręgosłupa. A pośrodku wyrwa w ziemi i jakieś resztki złomu, jeszcze dymiące, jakby ostrzegały, że to nie koniec eksplozji. Alicja kompletnie nie mogła pojąć, co się stało.

Zaczepiła idącą obok młodą kobietę. Miała pokrwawioną twarz i dłonie, ale szła wyprostowana i rozglądała się dookoła, jakby wciąż nie dowierzając, że doszło do czegoś podobnego.

– Co tu się stało? – zapytała gromkim głosem Alicja, chcąc przekrzyczeć lament i krzyki ludzi.

Kobieta popatrzyła na nią pustym wzrokiem. Dopiero wówczas Alicja spostrzegła, że kobieta trzyma w dłoni zakrwawioną dziecięcą stopę, obutą w niebieski sandałek.

– Nie widziała pani mojej córeczki? – zapytała drżącym głosem. – Miała… miała takie sandałki. Niebieskie miała. I sukienkę w groszki. Trochę się ubrudziła… Ale groszki też niebieskie. I kokardę. Ona czerwona ta kokarda była…

– Dopiero przyszłam… – wydukała Alicja, patrząc ze zgrozą na małą stópkę w dłoni kobiety.

– A to przepraszam… – Odeszła kawałek dalej i zaczepiła mężczyznę podpierającego się drewnianą laską. – A pan nie widział mojej córeczki…? Miała takie sandałki.

Alicja przymknęła powieki. Widziała wiele rzeczy w ciągu ostatnich dni, niekiedy mrożących krew w żyłach. Nie rozklejała się jednak, bo wiedziała, że jej żołnierze patrzą na nią i oczekują od niej wewnętrznej siły. Musiała być dla nich kimś, kto nie mięknie, gdy sytuacja jest trudna. Zakładała więc niekiedy maskę hartu ducha i wewnętrznej równowagi, chociaż każda informacja o kolejnym zabitym koledze wypełniała jej duszę ogromnym poczuciem straty. A najgorsze było to, że przestawała wierzyć. Po dwóch dniach niemal spektakularnych sukcesów i opanowania miasta przez powstańców, nadeszła chwila, gdy dalszą walkę uznała za niepotrzebną ofiarę. Nie chcia-

ła umierać. Nie chciała ginąć męczeńską śmiercią, która nikomu nie przyniesie pożytku. „Kary” miał rację. Od samego początku. I przez nią został w tym mieście i być może przez nią zginie. Docierało do niej to wszystko powoli, by w końcu przywieść ją do miejsca, w którym teraz stała.

Podeszła do mężczyzny z laską.

– Proszę pana, czy ten czołg to była pułapka? – zagadnęła go.

Mężczyzna otarł łzy.

– Przyszliśmy tutaj, bo… to było jak święto. Ci młodzi chłopcy tak dumnie jadący na tym wozie, bo wie pani, to nie był czołg, tylko jakiś taki dziwny pojazd… Tyle ludzi, tyle ludzi… Klaskaliśmy, a i oni tacy szczęśliwi. I nagle… Ja stałem w tej bramie, właśnie miałem podejść bliżej. Moi sąsiedzi tam byli. Dzieci, kobiety…

– Już wezwaliśmy ludzi z punktów medycznych i mamy szpitale, i doskonałych lekarzy – jąkała się Alicja, jakby czuła się winna. Bo w głębi duszy tak właśnie było. Po raz kolejny widziała ofiary wśród cywilów, ludzi, którzy liczyli na tak wiele, a przede wszystkim na wolność. A dostali jedynie śmierć.

Pomyślała, że nie czas jednak na rozważania. Zaczęła podbiegać do leżących i sprawdzać, czy jeszcze żyją. A miała co robić, bo ofiar były setki. Do zmierzchu ratowali, kogo się dało, wywozili pod obstrzałem do szpitali i punktów medycznych, a potem patrzyli jedynie, jak żywi próbują odnaleźć swoich bliskich albo żegnają się z nimi, patrząc w niebo i prosząc o cud.

Poczuła delikatne szarpnięcie.

– Chodź, Alicja, odpoczniesz trochę – powiedział zatroskany Chełmicki.

Położyła mu głowę na ramieniu, a potem przytuliła się do niego. W tych warunkach otuchy dodawał jej już sam fakt, że on wciąż żył.

– Julianie, co myśmy zrobili? – zapytała niemal retorycznie.

Uścisnął ją mocno i nie powiedział ani słowa. Wciąż tuląc Alicję, zaprowadził ją do punktu, gdzie leżały ich brudne posłania. Co mógł jej powiedzieć w takiej chwili? Że te ofiary były potrzebne, że Warszawa i cały kraj nigdy nie zapomną o tych ludziach? I co z tego, jeśli kolejna matka straciła syna albo jakieś dziecko zostało sierotą?

Trzymał ją w objęciach, póki nie zapadła w drzemkę, przez cały czas szepcząc słowa otuchy. Głaskał ją po policzkach i włosach, sztywnych od

popiołu i kurzu, jak kiedyś, gdy chciał ją pocieszyć i dać nadzieję, że przeżyją to piekło i wyjdą cało z każdej opresji.

– Umrzemy, prawda? Wszyscy zdechniemy – powiedziała cicho, jakby budząc się z drzemki, bo właśnie przyśnił jej się jakiś koszmar.

– Nie wiem, kochana. Ale jeśli zginę, chcę, żebyś wiedziała, że nigdy nikogo nie kochałem tak bardzo, jak ciebie. Wiem, jestem idiotą i wiele czasu musiało minąć, bym w końcu to zrozumiał, ale… Nieważne, po prostu chciałbym, żebyś to wiedziała.

Alicja nie odpowiedziała. Kiedyś, zwłaszcza gdy wciąż czuła oddech śmierci, takie słowa dodawały jej otuchy, wlewały w nią nadzieję i budowały jej siłę. Jeśli Julian ją kochał, wszystko musiało się ułożyć. Teraz jednak było inaczej. Spaprali sprawę i nie było od tego odwrotu. Była tylko tęsknota za tym, co już nie powróci. Pomyślała o Sergiuszu i przepraszała go za to, że teraz ona leżała zdruzgotana w ramionach innego, a on? Nawet nie wiedziała, czy wciąż żył. Politechnika jeszcze się trzymała, ale kosztowało to wiele ofiar ich towarzyszy broni z Narodowych Sił Zbrojnych. Już nie było podziałów i wzajemnych pretensji. Armia Krajowa walczyła ramię w ramię z komunistyczną Gwardią Ludową, a nieprzychylne im Siły Zbrojne zdobywały kolejne obiekty, okupując to krwią swoich kompanów. Bo wszyscy byli Polakami.

Następnego ranka atmosfera solidarności wśród mieszkańców Starego Miasta zaczęła pękać. Masakra, jaką spowodował ów dziwaczny pojazd wypełniony po brzegi materiałami wybuchowymi, sprawiła, że pierwotny entuzjazm cywilnej ludności spadł do zera. Niektórzy pytali, jak to możliwe, że żołnierze dali się tak sprowokować i wysadzili w powietrze nie tylko siebie, ale około trzystu mieszkańców stolicy.

Alicja zebrała swój oddział, by udać się na stanowiska. Mijali właśnie grupkę ludzi, gdy nagle jedna z kobiet podeszła do Alicji i powiedziała ze złością:

– Wynoście się stąd! Mordercy! Wynocha, barbarzyńcy!

Ktoś próbował uspokoić wzburzoną kobietę i odciągnąć od Alicji, ale ta wyrwała się i zaczęła krzyczeć jeszcze głośniej:

– Ludzie was nienawidzą. Mordercy, mordercy…! Córkę i matkę mi zabiliście. Słyszycie? Nie Niemcy, ale wy!

Alicja odruchowo przysunęła się do ściany budynku, ale nie powiedziała ani słowa, bo czuła się dokładnie tak, jak jej to wykrzyczała ta zrozpaczona

kobieta. Nie zmieniła jednak nawet wyrazu twarzy ani nie spuściła wzroku. Ona była żołnierzem, chociaż tak bardzo nie chciała nim być w tym momencie.

66. Warszawa, Wola, 1944

Szymek Wielopolski nie miał pojęcia, która była godzina, gdy usłyszał łomotanie do drzwi i ostry głos nawołujący do wyjścia przed budynek. Ziutek od razu zerwał się z posłania i najeżył sierść, ale chłopiec pogłaskał go po wielkim łbie i pies uspokoił się nieco. Do jego uszu dobiegł kolejny ryk po niemiecku, żeby otwierać drzwi, bo w przeciwnym razie zostaną wyważone, a mieszkańcy rozstrzelani na miejscu. Jakkolwiek jeszcze chwilę wcześniej Szymek miarkował, że będzie siedział cicho i poczeka, aż żołnierze sobie pójdą, tak teraz nie wahał się ani chwili, tylko wyszedł na klatkę schodową i – tak jak mu nakazano – z rękami w górze zszedł na podwórko. Na szczęście Ziutek dał susa zdecydowanie szybciej i potrącając swoim ogromnym, włochatym cielskiem schodzących ludzi, wybiegł na zewnątrz. Z jednej strony Szymkowi było żal, że jego przyjaciel go opuścił, i to w chwili, gdy bał się tak samo, jak niegdyś siedząc w bunkrze warszawskiego getta, z drugiej zaś pomyślał, że dzięki tej ucieczce Ziutek zdoła się uratować.

Popychani przez żołnierzy mieszkańcy kamienicy wylegli na ulicę. Ta już była zaludniona, a ludzie patrzyli na siebie pytającym wzrokiem. Szymek przystanął z boku i poczuł, że ta wycieczka nie zakończy się dla niego dobrze. Ze złością pomyślał o pannie Aldonie. Tak bardzo chciała go ochronić i przegoniła od partyzantów, a tu nie minęło kilka dni i będzie trupem, nie zdążywszy nawet zastrzelić żadnego szwaba. Nie łudził się, że tym razem obędzie się bez egzekucji. Na całej Woli trąbiono, że partyzanci zostali zabici, a Niemcy w odwecie rozstrzeliwują kogo się da. Teraz i na niego trafiło. Ale czyż on miał dla kogo żyć, jeśli nawet pies od niego uciekł? Pan Emil, jego mentor i wybawca, opuścił Warszawę i pewnie już nigdy do niej nie wróci, zaś panna Zoll dogorywała w szpitalu w charakterze zabandażowanej mumii.

Kolumna ludzi ruszyła do przodu. Wzdłuż niej kroczyli uzbrojeni po zęby żołnierze, od czasu do czasu wyciągając z tłumu jakąś kobietę. Wprowadzali ją potem do bramy i pewno tam mordowali, bo żadna nie powróciła do szeregu. Niektórzy płakali, dzieci darły się wniebogłosy, a zewsząd słychać było cicho deklamowane modlitwy. Szymek pomyślał, że i jemu nic więcej nie zostało, tylko zmówić pacierz. Poza tym bał się tak okropnie, że szeptanie, jak mantry *Ojcze nasz* koiło jego nerwy. Oddech robił się wolniejszy

i nie czuł już łomotania własnego serca, które chciało mu wyskoczyć spod koszuli.

Tłum ludzi dotarł do fabryki Pfeiffera. Była to sporych rozmiarów garbarnia z niewielkim dziedzińcem, otoczona murem. Brama była już otwarta i Szymek spostrzegł leżące niemal jeden na drugim trupy. Po chwili usłyszał serię z karabinu i donośny głos żołnierza, żeby wchodzić na dziedziniec po dwadzieścia osób. Gdy tylko kolejna grupa przekraczała bramę, dobiegał do uszu Szymka lament, błaganie o litość chociaż dla dzieci i ostre słowa żołnierzy. „Mogłem zginąć jak partyzant, a zdechnę jak upolowana kaczka” – myślał z goryczą Szymek i przypomniał sobie rozmowy, jakie toczyli żydowscy partyzanci w getcie. Mówili, że lepiej jest zginąć, jak ktoś w plecy strzeli podczas ucieczki, niż tak stać i czekać na śmierć. „Może mieli rację? Przecie nawet nie będę widział, jak jeden z drugim wyceluje, tylko od razu do świętego Piotra pójdę. A może Noemi, choć Żydówka i świętego Piotra nie uznaje, będzie gdzieś się tam kręciła i znowu pójdziemy na spacer? No bo jak tam wlezę, za tę bramę, to już grób i mogiła”.

Wzdłuż muru okalającego fabrykę biegła wąska ścieżka. Okrążając fabrykę, mógłby przedostać się na drugą stronę i znaleźć schronienie na którymś z cmentarzy, a jak go tam dopadną, to chociaż od razu pochówek mieć będzie. Przecisnął się przez grupę osób i znalazł się dokładnie przy ścieżce, do której dostępu bronił uzbrojony żołnierz. Szymek zawahał się, ale kiedy znowu usłyszał serię z karabinu i łoskot upadających ciał, wyminął żołnierza i pędem ruszył na ścieżkę. Usłyszał słowo „halt” i zgrzyt przeładowania broni. Pomyślał w tej ostatniej być może chwili życia o mamie, ojcu i Noemi, i wtedy padł strzał, raniąc go w łydkę. Byłby upadł, ale złapał równowagę i zaczął kuśtykać. Nie wiedział, ile czasu minęło i jakie myśli zdążyły przebiec mu przez głowę, wiedział jednak, że żandarm nie poprzestanie na tym jednym strzale. Nagle poczuł, że się przewraca, przygnieciony ogromnym cielskiem Ziutka, który jakby wyrósł spod ziemi i z niewiadomych mu powodów zaczął warczeć i szarpać go za kołnierz koszuli, rozrywając ją na strzępy. Usłyszał z oddali śmiech, ale strzały już nie padły. Najwyraźniej ci zwyrodnialcy pomyśleli, że większą karą będzie dla tego gówniarza, gdy zostanie rozszarpany przez ogromnego, agresywnego i zapewne wygłodniałego psa. Ziutek tymczasem wciąż wydawał z siebie złowrogie pomruki i szczeknięcia i bez opamiętania szarpał Szymkowi koszulę i portki.

– Czyś ty zdurniał, Ziutek? – odezwał się w końcu nieco poirytowany Szymek.

Pies na chwilę przestał wygryzać mu odzież i polizał wielkim jęzorem twarz chłopca. Szymek podniósł głowę z ziemi i zobaczył, że kolumna ludzi przesunęła się już pod samą fabrykę, a wraz z nimi żołnierze. Poleżał jeszcze na ścieżce kilka minut i dopiero gdy ujrzał niemal pustą ulicę, przeczołgał się na tyły fabryki. Stała tam stara drewniana szopa z zardzewiałą kłódką na drzwiach. Całość jednak sprawiała wrażenie, jakby za chwilę miała się rozlecieć, a wyłamanie spróchniałych desek nie powinno nastręczać żadnych trudności. W istocie, Szymek szarpnął za kłódkę i momentalnie została mu w dłoni, a drzwi stanęły otworem. Wszedł do środka razem z Ziutkiem i usiadł na brudnym klepisku. W końcu mógł odetchnąć. Spojrzał na swoją nogę. Najwyraźniej został jedynie draśnięty, bo nie krwawił obficie i w ogóle mógł poruszać nogą, chociaż gdy dotykał rany, czuł piekący ból, jakiego nigdy wcześniej nie zaznał. Pociągnął za strzęp swojej koszuli i zrobił sobie coś w rodzaju opatrunku. A potem przytulił Ziutka i rozpłakał się. Nie tylko dlatego, że uszedł cało z życiem, ale również z powodu powrotu przyjaciela, który w całej swojej psiej mądrości upozorował szarpaninę, by zostawiono Szymka w spokoju. Jeszcze niedawno naigrawał się z panny Aldony, że gada z psem, jak z człowiekiem, ale okazało się, że Ziutek nie był takim sobie zwykłym zwierzakiem.

67. Warszawa, Stare Miasto, 1944

– No, chłopie, to żeś sobie urlop zafundował. – Barczysty mężczyzna o nieco ogorzałej twarzy poklepał Łyszkina po plecach, niemal nie odbijając mu płuc.

– Ech! – Igor machnął, niby od niechcenia. – Sądziłem, że potrwa to ze dwa dni i będzie po imprezie.

– Jak my zaczęliśmy rządzić, to na pewno rozprawimy się z tym dziadostwem raz-dwa. – Pijany żołnierz beknął i dolał wódki do metalowego kubka Igora.

Łyszkin ostatni meldunek nadał sześć godzin wcześniej. Nakazano mu ewakuację z Warszawy, ale jak, u diabła, miał to zrobić, jeśli wzdłuż całej Wisły rozstawiono gotowe do ataku niemieckie oddziały. Takie otrzymał informacje, nie mówiąc już o tym, że Niemcy skutecznie rozdzielili zarzewia powstania i przedarcie przez miasto zdawało się niemożliwe. Być może gdyby wychował się tutaj i znał Warszawę na wylot, wymyśliłby jakąś drogę ucieczki, ale nawet plany otrzymane od powstańców nie przewidywały aż takich problemów. Zaznaczone na nich drogi ewakuacji lub przemieszczenia się do kolejnych dzielnic były już nieaktualne. Jedyne, na co wpadł, to wykorzystanie kolejny raz munduru Ottona Kriegego. Zniszczył radiostację i wszelkie ślady swojej agenturalnej działalności, po czym opuścił mieszkanie z myślą przedostania się na tereny zajęte już przez Niemców, którzy tłumili powstanie z taką samą zaciętością, jak i skutecznością.

Ominął szerokim łukiem oddział pijanych żołnierzy Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii Ludowej, zdrajców, w szeregach których znaleźli się ludzie, którzy powinni tłuc Niemców, a nie być ich sprzymierzeńcami. „Najgorsze szumowiny” – tak o nich myślał Igor i nie miał najmniejszego zamiaru szukać u nich wsparcia. Bez problemu przepuścili go na następną ulicę, zajęci sadystycznymi zabawami z młodziutkimi warszawiankami. Leżały na podwórkach kamienic, obdarte z ubrań i godności, pobite na śmierć, jakby gwałty rozpasanych żołnierzy były niewystarczającym upokorzeniem.

Minął z trudem ustawioną jeszcze przez Polaków barykadę. Jakiż to był przygnębiający widok. Kanapy, fotele i kredensy, niekiedy jeszcze nie do końca opróżnione z osobistych rzeczy. Czyjeś życie podeptane na ulicy albo

fruwające w powietrzu, ciężkim od dymu płonących budynków. Przecisnął się przez stertę połamanych mebli, machając na pożegnanie rodakom, których najchętniej postawiłby pod ścianą i rozstrzelał za zdradę ojczyzny.

Zachwiał się na jakimś obitym zielonym suknem oparciu fotela i jedynie stojąca obok ogromna szafa sprawiła, że się nie przewrócił. Zaklął pod nosem, gdy drzwi owego wiekowego mebla otworzyły się i spostrzegł, że w środku siedzi skulona młodziutka dziewczyna. Popatrzyła na Łyszkina z przerażeniem, by chwilę potem zamknąć powieki, jakby chciała, żeby obraz oficera niemieckiego był jedynie ułudą, która zniknie, gdy ponownie otworzy oczy.

– O, proszę, jak nam się tutaj schowała, *krasawica* – ryknął żołnierz z RONA i chwiejnym krokiem podszedł do barykady.

– A już się ucieszyłem, że sobie trochę poużywam, bo lubię takie młódki – zaśmiał się nieszczerze Igor.

Pijany żołnierz machnął ręką i powiedział łaskawym tonem:

– To bierz ją, a jak skończysz, to ją nam oddaj. Przyda się naszym chłopakom, bo oni niewyżyci po wschodnim. Z Białorusi wracamy, a tam tylko lasy i partyzanty.

Łyszkin pokiwał głową i sztucznie się uśmiechnął, ostatkiem sił powstrzymując się, by nie odstrzelić draniowi łba.

– Chodź – powiedział ostro po niemiecku do dziewczyny.

Ta jednak kręciła jedynie przecząco głową, kurczowo trzymając się ściany szafy.

– Wyłaź, do cholery! – warknął, bo każda sekunda zwłoki mogła się okazać ostatnią w życiu tej dziewczyny.

Wygramoliła się z szafy niemal na czworakach. Wciąż łkała i zakrywała twarz rękoma. Była niska i drobna, dlatego Łyszkin bez trudu zdołał ją popchnąć do najbliższej bramy.

– Uciekaj – powiedział cicho po polsku.

Dziewczyna przestała łkać i rozejrzała się dookoła. Po chwili spuściła głowę i powiedziała drżącym głosem:

– Nie mam dokąd. Moja rodzina… Myśmy w piwnicy siedzieli wszyscy i oni nas stamtąd wypędzili. Wszystkich zabili. Są wszędzie i znajdą mnie. Wszystkich zabili…

– Posłuchaj, nie mogę ci bardziej pomóc. Mogę najwyżej zaprowadzić cię na sąsiednią ulicę, ale tam siedzą Niemcy i robią pewnie to samo, co ci tu-

taj. – Igor był nieco bezradny.

– Wolę już Niemców od tej hołoty. – Wzruszyła ramionami i zapytała: – Ma pan coś do jedzenia? Od pięciu dni nic nie jedliśmy, bo nawet pluja nie było z czego zrobić, a chleb już dawno się skończył.

Igor otworzył teczkę i wyciągnął z niej jabłko. Podał dziewczynie. Nie miał nic innego do jedzenia. Chwyciła je i zaczęła łapczywie gryźć. Zaczął się zastanawiać, jak uratować to jedno ludzkie istnienie, jeśli już postanowił ochronić ją przed barbarzyńskimi gwałtami żołnierzy z RONA.

Chwycił ją pod rękę i szarpiąc, wyszedł na ulicę.

– Mogłabyś trochę pokrzyczeć – mruknął jej do ucha.

Dziewczyna zrozumiała i w istocie zaczęła się szarpać, krzyczeć, by nie robił jej krzywdy. Usłyszeli rechot stojących żołnierzy i przeszli do następnej przecznicy. Gdy tylko zniknęli za rogiem kamienicy, Łyszkin puścił dziewczynę i ta niemal od razu zniknęła w jednej z bram budynku. Nie miał pojęcia, czy zdoła uciec, czy podzieli los wielu swoich rodaków. Szanse miała niewielkie, jednak nieco większe niż wówczas, gdy wpadłaby w łapy tych drani.

Kiedy tylko stracił ją z oczu, przemknął między budynkami do najbliższego patrolu pilnującego kwartału i spostrzegł, że po zdrajcach i bandytach rosyjskich trafił na najbardziej okrutną niemiecką jednostkę Dirlewangera. Teraz siedział z nimi w jednym ze zrujnowanych mieszkań i raczył się wódką, przy której zwyrodnialcy opowiadali o swoich sukcesach. Formacja ta składała się ze wszelkiej maści morderców i zboczeńców, którzy w ramach resocjalizacji trafili pod skrzydła Oskara Dirlewangera, by tam zrehabilitować się, a przy okazji mogli robić to, co najbardziej lubili. Z tą różnicą, że teraz mogli dostać za to medal, zamiast trafić na stryczek lub do więzienia. Byli przy tym tępi i chamscy, jednak bez mrugnięcia okiem przyjęli informacje Ottona Kriegego, że oto musi dostać się w okolice cytadeli, by przekazać ważne meldunki.

– Lepiej napij się jeszcze, bo jak cię dopadną te ścierwa, to przynajmniej będziesz miał lekką śmierć – zarechotał kolejny raz jego kompan i dodał: – Tylko nas jakoś dopaść nie mogą. Zabiliśmy ich ze dwie setki, a u nas jedynie Kurt został trochę dziabnięty w nogę. Broń mają gorszą niż sto lat temu, jakieś stare pistoleciki albo butelki z benzyną. Porywają się z motyką na słońce… A najlepsze to było na cmentarzu. Nie strzelaliśmy do frajerów,

tylko w płyty nagrobne. Tak się pięknie kule odbijały, że padali skurwiele jak muchy.

Łyszkin pokiwał głową i pomyślał, że ów żołnierz ma sporo racji. To była walka Dawida z Goliatem i zapewne nikt nie zdecydowałby się na tak desperacki krok, gdyby wiedzieli, że w istocie Rosjanie nie zajęli miasta. A mieli ku temu potencjał, ponieważ mimo zaskoczenia i przegranej potyczki pod Wołominem dysponowali czterokrotną przewagą zarówno liczebną, jak i siłą militarną. Jednak Igor wiedział już od ostatnich dni lipca, że Rosjanie nie mają najmniejszego zamiaru mieszać się do powstania. Propaganda zrobiła swoje i Polacy uwierzyli, iż Stalin zdecyduje się na walkę ramię w ramię z nimi. Tak, jego wódz miał swój plan i wcielił go w życie po mistrzowsku. Kiedy ustalił już w Teheranie strefę wpływów, ostatnią rzeczą, jaką potrzebował, była zgraja narwańców z polskiego podziemia, która będzie mu bruździć we wprowadzaniu nowego porządku. Plan tyleż okrutny, co genialny. Pozbyć się niewygodnych ludzi rękami Niemców, dając złudną nadzieję na pomoc. Wykorzystanie do tego nowego rządu w Lublinie i nadawanie audycji poprzez radio Kościuszko było majstersztykiem manipulacji, której nie powstydziłby się nawet mistrz w tym fachu, Joseph Goebbels.

Łyszkin postanowił, że jeśli został tak życzliwie przyjęty przez niemieckich kolegów, wykorzysta to i przenocuje pod ich czujnymi skrzydłami, a następnego dnia podejmie kolejną próbę przedostania się do Wisły, a potem na drugi brzeg, by znaleźć się po właściwej stronie barykady.

Wieczorem słyszał nadlatujące samoloty, przeraźliwy huk „krów” niszczących to piękne miasto, i pomyślał, że właśnie pada ostatni bastion jego wspomnień z czasów, gdy bawił się w tym mieście ze swoimi przyjaciółmi, po raz pierwszy spróbował zbliżyć się do Hanki Lewin, by dostać bolesnego kopniaka, i widywał swoich rodziców, których nie doceniał, bo śmieli nie wielbić bolszewizmu. Przebył długą drogę i ciężką służbę dla swojego kraju, by przekonać się, że nie ma systemów idealnych ani ludzi, którzy w istocie pragną społeczeństwa opartego na równości i wolności. Zastanawiał się, o co tak naprawdę walczył przez lata. O kolejne medale dla swoich przełożonych, o stołki dla aktywistów… Aż wreszcie przypomniał sobie słowa człowieka, którego spotkał w ośrodku pod Moskwą. W pijackim widzie ten chłopak powiedział mu wówczas głęboką prawdę. Gdy przestanie być potrzebny, pozbędą się go i nikt o nim nie będzie pamiętał. Mimo dra-

matycznej sytuacji wciąż kazali mu siedzieć w Warszawie i nadawać meldunki. I cieszyli się, gdy donosił, że kolejne oddziały powstańców padają jak muchy, a ludność cywilna jest brutalnie mordowana.

Polska była poniekąd też jego ojczyzną, a Warszawa po trosze jego miastem. I świat pozwalał, żeby została unicestwiona i zrównana z ziemią. A o niego nikt kompletnie się nie martwił, bo teraz, gdy Armia Czerwona parła na Berlin, Otton Kriege nie był już im do niczego potrzebny.

68. Warszawa, Szpital Dzieciątka Jezus, 1944

Doktor Weronika Sarnowska nigdy nie pomyślałaby, że jedynym ratunkiem dla niej i pacjentów szpitala, w którym pracowała, może okazać się jej niemiecki zwierzchnik. W chwili, gdy szpital został zajęty przez własowców, Bormann zwolnił zakładników, a w końcu zdesperowany poprosił Wehrmacht o pomoc w ratowaniu szpitala przed tymi barbarzyńcami, sugerując, że placówka służy nie tylko Polakom, ale i Niemcom. Na ironię losu zakrawał fakt, że żołnierze niemieccy ulokowani w izbie przyjęć zapobiegali morderstwom dokonywanym przez własowców, chociaż i jedni, i drudzy walczyli po niemieckiej stronie. Ci ostatni, rekrutowani wśród różnych narodowości, nocowali przed szpitalem, pod gołym niebem, targając z pobliskich domów łóżka i pościel. Bez przerwy upijali się wódką i szukali ofiar wśród kobiet, by bezpardonowo je gwałcić. Wynosili ze szpitala wszystko, co w ich mniemaniu mogło mieć jakąś wartość i sprzedawali, by te parę moniaków zamienić na wódkę. Byli do tego stopnia prymitywni, że z lewatywowych kanek robili sobie urządzenia do palenia tytoniu. A kiedy mieli ochotę na rozładowanie seksualnego napięcia, gwałcili nawet obłożnie chore pacjentki i siostry zakonne, nie zważając ani na wiek, ani na ich wygląd.

Weronika dziękowała Opatrzności za zesłanie szpitalowi osoby doktora Bormanna, bo była przekonana, że gdyby nie jego stanowcze żądania i ona padłaby ofiarą rozpasanych własowców. Jedyny oddział, na jaki się nie zapuszczała ta dzicz, to neurologia, bowiem ci ograniczeni wojacy na dźwięk słów *dusziewnyje bołnyje* po prostu truchleli ze strachu. Sarnowska, która już od wielu dni nie mogła opuszczać szpitala, nawet nocowała na oddziale neurologicznym, by uniknąć zabaw serwowanych przez własowców. W ciągu dnia jednak musiała powrócić do swoich pacjentów, co często wiązało się z niebezpiecznymi sytuacjami.

Jak niemal każdego dnia, Weronika chodziła po salach i sprawdzała stan zdrowia pacjentów. Niekiedy robiła obchód sama, zwłaszcza gdy przywożono wielu rannych, a czasami w asyście innych lekarzy. Tym razem również nikt jej nie towarzyszył.

Poczuła szarpnięcie za włosy.

– Ty tutaj jesteś kto? – zapytał podchmielony żołnierz.

– Jestem lekarzem. Przyszłam od *dusziewnyje bołnyje* – skłamała.

Własowiec od razu ją puścił, jakby obawiając się, że może za jej sprawą zarazić się chorobą psychiczną. Nie miała pojęcia, jak ten człowiek znalazł się na oddziale, bo obiekt był chroniony przez Wehrmacht, ale nie był to najlepszy moment, by się nad tym zastanawiać.

– Gdzie pielęgniarki i te siostrzyczki w długich kieckach? – zarechotał żołnierz.

– Jestem teraz sama – mruknęła i bez słowa ruszyła na obchód sal.

Własowiec poszedł za nią, zataczając się i przy okazji przewracając wózek, na którym poustawiane były przydziały leków. Żadna z pielęgniarek nie odważyła się jednak, by wyściubić nos z pokoju, wiedziała bowiem, że może paść ofiarą brutalnego gwałtu. Sarnowska modliła się, żeby jak najszybciej zjawił się Bormann, bowiem niemieccy żołnierze po prostu nie słuchali skarg polskiego personelu.

– A to co? – Żołnierz ryknął śmiechem, widząc leżącą na łóżku szpitalnym „mumię”.

– Niemka – powiedziała Weronika.

– A to niech się odezwie – wybełkotał.

– Nie odezwie się, bo nie może. – Sarnowska starała się, aby jej głos brzmiał łagodnie.

– Niech gada! – wrzasnął żołnierz i kolbą karabinu uderzył w brzuch leżącą Renate Zoll.

Kobieta wydała z siebie charkot, ale nie wymówiła ani słowa. W końcu stwierdził, że jest mu wszystko jedno. Zdarł kołdrę z Renate i podwinął do góry koszulę nocną, odkrywając jej łono, i uśmiechając się lubieżnie, zaczął rozpinać spodnie. Renate próbowała szarpać się i bełkotała coś niezrozumiałego, ale to chyba jeszcze bardziej pobudziło amatora gwałtów. Weronika patrzyła bezradnie na te zabiegi własowca i pomyślała, że bez względu na to, czy na łóżku leży Polka, czy Niemka, nie zasłużyła sobie na podobny los.

– Żołnierzu… – powiedziała łamanym rosyjskim na tyle spokojnie, na ile ją było stać. – Ona jest śmiertelnie chora… Zarazisz się i też umrzesz.

Mężczyzna momentalnie zostawił Renate w spokoju i jeszcze raz popatrzył na Weronikę. Najwyraźniej doszedł do wniosku, że obcowanie z nią jest bezpieczniejsze, bo kolejny raz chwycił ją za włosy i zaprowadził do jej

gabinetu. Bez zbędnych dyskusji uderzył ją z całej siły w twarz i rzucił na łóżko, na którym zwykła badać swoich pacjentów. Po chwili spocony i śmierdzący alkoholem, zaczął ją obmacywać i rozpinać lekarski fartuch. Gdy próbowała krzyczeć, kolejny raz dostała cios w twarz. Wiedziała, że to nic nie pomoże, dlatego zaczęła w panice rozglądać się po stoliku stojącym obok łóżka, by znaleźć coś, co mogłoby unieszkodliwić napastnika. Dostrzegła ostre nożyczki do cięcia bandaży i plastrów, szybko chwyciła je w dłoń i wycelowała prosto w oko żołnierza. Ryk, jaki z siebie wydał, był ogłuszający i Weronika przestraszyła się, że mógł być słyszany nawet na zewnątrz. Po chwili usłyszała rumor na korytarzu i kilka sekund potem w drzwiach stanął szpitalny palacz, który latem pełnił funkcję kogoś w rodzaju złotej rączki. Mężczyzna ujrzał, że pijany własowiec z nożyczkami tkwiącymi w oczodole próbuje złapać Weronikę i zmusić ją, by ta udzieliła mu pomocy. Zapewne uczyniłaby to, gdyby nie to, że zaraz potem ów żołnierz po prostu zamordowałby ją.

– Pani doktor, idzie pani ze mną. Tutaj zaraz się zlecą jego kompani. Albo szwaby, jedna hołota! – krzyknął palacz i pociągnął Weronikę w stronę drzwi.

Zamknął je na klucz od zewnętrznej strony i ciągnąc lekarkę, dopadł windy towarowej. Otworzył ją i zjechali w przepastne piwnice szpitala.

– Musi pani uciekać – powiedział do niej konspiracyjnym szeptem.

Weronika jednak stała, wciąż oszołomiona, by po chwili wydobyć z siebie jęk:

– Jak, na Boga, panie Zenku? Cały szpital obstawiony. Jak nie tymi prymitywami, to oddziałami SS, które w niczym im nie ustępują, jeśli chodzi o tępienie Polaków.

– Niech się pani najpierw przebierze. – Mężczyzna podał jej pielęgniarski fartuch. Po chwili dodał: – Niedługo wyjeżdża stąd sanitarka po rannych Niemców. Będzie prowadził Maksymilian, porządny chłopak. Weźmie panią do szoferki, bo sanitariusze będą siedzieli w środku, i wypuści w miejscu, skąd będzie pani miała blisko do partyzantów. Lepiej zdechnąć, ratując swoich.

Sarnowska zamyśliła się. Nie chciała opuszczać swoich pacjentów, bez względu na to, kim byli, ale wiedziała, że własowcy nie podarują jej tego, co zrobiła i zechcą dokonać odwetu za zranionego kompana. Nie miała wyjścia, poza tym powróciła do Warszawy, by ratować również rannych po-

wstańców, a tymczasem zdołała być w punkcie medycznym na Starówce zaledwie dwa razy.

Godzinę później siedziała już w sanitarce, która poruszała się powoli, zatrzymując się co chwilę, by pilnującym ulice patrolom okazywać przepustki albo w momentach, gdy wyrastały przed nimi zbudowane przez Polaków barykady. Miasto wyglądało tragicznie. Weronika nie opuszczała szpitala od niemal trzech tygodni i widok, jaki ujrzała, przeraził ją. Warszawa wyglądała jak pole bitwy, a wszędzie unosiły się kłęby dymu i języki ognia wydobywające się z płonących obiektów. Zewsząd docierały do jej uszu strzały i wybuchy armatnich dział. Niemal na każdej szerszej arterii panoszyły się niemieckie czołgi i wozy opancerzone. Miasto, ulica po ulicy i budynek po budynku, było niszczone i równane z ziemią. Niemiecki walec pokazywał swoją siłę i potęgę, jednak mając za przeciwników słabo uzbrojonych i kiepsko wyszkolonych partyzantów, było w tym więcej złości i zajadłości niż rzeczywistej potrzeby. A wśród tych zgliszczy kroczące pochody ludzi, zmierzające w kierunku dworca. Zapewne zarządzono ewakuację ludności cywilnej i wywózkę do obozu przejściowego w Pruszkowie, tak jak nakazano to chorym mężczyznom z jej szpitala. Trudno było orzec, co ich czeka, gdy już tam dotrą. W najlepszym razie roboty w Rzeszy, w najgorszym piekło piekieł – Auschwitz.

– Stare Miasto jeszcze się broni, pani doktor – poinformował młody kierowca.

– To dobrze – uśmiechnęła się i pomyślała, że jeśli ten rewir wciąż jest w rękach partyzantów, istnieje nadzieja, że jej mąż ocalał.

W pewnym momencie kierowca zatrzymał się i powiedział:

– Niech pani idzie do nich. Dwie ulice i natknie się pani na naszych. Niech żyje Polska.

Weronika nic nie powiedziała, bo jej Polska właśnie dogorywała. Wysiadła z sanitarki i pobiegła w stronę staromiejskich uliczek.

69. Warszawa, Stare Miasto, 1944

Punkt medyczny, znajdujący się w jednej ze staromiejskich kawiarni, wkrótce zamienił się w szpital, salę operacyjną i aptekę. Weronika Sarnowska i towarzyszący jej lekarz ze szpitala maltańskiego dokonywali heroicznych wysiłków, by w tak prymitywnych warunkach przeprowadzać zabiegi, usuwać kule i amputować kończyny. Nie mieli nawet środków znieczulających, bo zapasy morfiny już dawno się skończyły. Musieli jednak działać, bo przewiezienie pacjentów do szpitali, z których i tak większość była już spacyfikowana przez Niemców, nie było po prostu możliwe.

Alicja pamiętała tę knajpę jeszcze z przedwojennych czasów. Przychodziły tu z Hanką, by oczarowywać swoich wielbicieli. Jeden z nich był tak zachwycony talentem Lewinówny, że opłacił grajka, by ten akompaniował na fortepianie jego faworytce. Hanka, o której wówczas mało kto w Warszawie słyszał, stała w długiej, czerwonej sukni, otulona lekkim szalem, opierała się nonszalancko o fortepian i śpiewała zmysłowym, chrapliwym głosem najpopularniejsze ballady. Za owe kameralne występy przez następny tydzień obie jadły kolacje w najelegantszych lokalach stolicy.

Teraz na fortepianie leżało prześcieradło, a instrument został zamieniony na stół operacyjny. Większość stolików i krzeseł stało bezładnie w kącie kawiarni, a dębowy parkiet pokrywały materace z leżącymi nań rannymi. O jedzeniu wolała nawet nie myśleć, bo nie miała nic w ustach od kilku dni, a i wcześniej to, co spożywała, trudno było nazwać posiłkami. Już nawet przestała pytać, co pływa w podanej misce zupy, bo tłuszcz mógł pochodzić od kota, psa albo szczura. Nikt jednak nie zwracał na to uwagi, żołądek domagał się strawy i nieważne było już jakiej.

Alicja siedziała na krześle i czekała na swoją kolej. Najpierw bowiem ratowano tych, których życie było zagrożone, a kula spoczywająca w jej ramieniu do takich przypadków jej nie kwalifikowała. Próbowała zmienić pozycję i kolejny raz poczuła piekący ból. Na czoło wystąpiły jej krople potu i pomyślała, że zaraz zemdleje. Albo z bólu, albo z głodu.

Po godzinie podeszła do niej Weronika i ostrożnie rozcięła jej rękaw koszuli. Popatrzyła wprawnym okiem i zapytała:

– Masz wódkę?

– Że co? – Alicja nie zrozumiała.

– Jeśli masz wódkę, to uchlaj się, bo nie mam cię już czym znieczulić. – Sarnowska odgarnęła z czoła kosmyk mokrych od potu włosów.

– Jak inni dali radę, ja też dam – hardo odparła Alicja.

– Poczekaj – mruknęła Weronika i zniknęła na zapleczu kawiarni. Po chwili wyszła, niosąc metalowy kubek. Podała Alicji i powiedziała ostro: – Pij i nie zgrywaj chojraczki. Będziesz rżnęła bohaterkę na barykadach.

Alicja pomyślała, że w takich warunkach nawet z tej wyniosłej paniusi ulotniły się gdzieś dobre maniery. Bez słowa przechyliła kubek i łyknęła. Ostry i piekący smak wódki o mało nie wypalił jej wyjałowionego przełyku, ale dzielnie popijała trunek, by w istocie poczuć się kompletnie otumaniona. Chwiejnym krokiem podeszła do fortepianu, podtrzymywana przez Weronikę, położyła się na nim i ryknęła:

– A gdzie gromnice?

– Zaraz przyniesiemy – mruknęła zmęczonym głosem Weronika. – Leż spokojnie…

– Gdzie jest maestro? Niech zagra *Ta ostatnia niedziela*. No, gdzie on jest, do pioruna? – bełkotała Alicja.

Sarnowska zawołała sanitariuszy, by unieruchomili niesforną pacjentkę, po czym zabrała się za wykonywanie zabiegu.

Mimo wypitego alkoholu Alicja jednak nie zniosła tego dzielnie, jak to chwaliła się Weronice. Miała wrażenie, że ta nie tylko wyciąga jej z ramienia kulę, a obcina je jakimś tępym narzędziem. Sam strzał i zranienie nie było tak koszmarne, jak ten cholerny zabieg. Przed oczami widziała wszystkie kolory tęczy, mdliło ją z bólu i marzyła o tym, żeby stracić przytomność i pozbyć się tego cholernego łupania w ramieniu. Jej prośby w końcu zostały wysłuchane, bo po chwili straciła świadomość.

Obudziła się o świcie z tępym bólem głowy, suchością w gardle i zdrętwiałą ręką. Światło poranka niemrawo wpadało do wnętrza kawiarni, a wokół panowała nienaturalna cisza. Alicja zobaczyła śpiącą na krześle Weronikę. Z trudem podniosła się z materaca i podeszła do niej.

– Czemu śpisz na krześle? – zapytała, dotykając jej ramienia.

Sarnowska ocknęła się i spanikowana rozejrzała dookoła.

– Przywieźli w nocy jeszcze kilku chłopców, już nie wystarczyło dla mnie miejsca.

– Połóż się na moim materacu, ja czuję się świetnie – skłamała Alicja.

Weronika nie dyskutowała nawet. Powłócząc nogami, podeszła do posłania, na którym noc spędziła Alicja, i zasnęła w ciągu kilku sekund, nie zwracając uwagi na otaczający ją świat. Alicja wyszła na zewnątrz i powiodła wzrokiem po okolicy. Wszystko wydawało się wymarłe, nawet pył i kurz zdawały się opaść i odsłonić kawałek normalnego nieba. Wciąż lekko chwiejąc się na nogach, poszła poszukać swojego oddziału. Po drodze natknęła się na Juliana. Miał spuszczoną głowę i był bardzo przygnębiony.

– Widzisz, nic mi nie jest, nie martw się. Jestem jedynie odrobinę wstawiona, nie było… – zaczęła mówić, ale Chełmicki przerwał jej.

– Hrabina Tarnowska właśnie negocjuje warunki kapitulacji… Żoliborz się poddał.

Położyła mu rękę na ramieniu.

– Przecież tak musiało się stać. I lepiej teraz, gdy jeszcze żyjemy – powiedziała cicho.

Julian popatrzył na nią wzrokiem gorszym, niżby wyrzucił z siebie stek przekleństw.

– Nie rozumiesz? – warknął. – Przegraliśmy.

– Julianie… Oboje wiedzieliśmy od początku, że nie mamy szans. Przynajmniej ocaleją mieszkańcy i reszta naszych… – mruknęła.

Chełmicki miał łzy w oczach.

– Wciąż miałem nadzieję… Przez cały czas miałem tę cholerną nadzieję… – niemal wyłkał i odszedł, zostawiając ją samą.

Nie chciała nawet za nim iść i próbować go pocieszać. Ona uważała, że straty są zbyt duże, i dobrze się stało, że dowództwo w końcu podjęło decyzję o kapitulacji. Poczta powstańcza donosiła o rzeczach, które nie mieściły jej się w głowie. Miasto płonęło, a duża jego część to były ruiny. Cywile ginęli pod gruzami albo w masowych egzekucjach. Gdzieś musiał być kres tego cholernego szaleństwa.

Cisza i spokój nie trwały jednak długo. Kolejny kurier przybiegł z informacją, że Rosjanie rozpoczęli ostrzeliwanie niemieckich pozycji, lada moment nadlecą samoloty aliantów z uzbrojeniem, a pertraktacje z Niemcami zostały zerwane. Zanim zdyszany chłopak skończył mówić, zaczęło się piekło. Niemcy zaczęli wdzierać się do serca Starego Miasta. Alicja przeklinała w duchu tych cholernych bohaterów z bożej łaski, ludność cywilna wpadła w coraz większą panikę, a oblężenie zaczęło się zacieśniać. Nie mogła

nawet trzymać karabinu, zamieniła go więc na stare parabellum, swój największy atut oddając jednemu z chłopaków. Ukryła się w jednej z kamienic i obserwowała rynek. Ujrzała kroczących nieco podchmielonych żołnierzy ze znienawidzonego oddziału Dirlewangera. Chciała już zdjąć jednego z nich, gdy od strony ulic Zakrzewskiego i Dekerta padły serie z karabinów maszynowych, wystrzelone przez jej kompanów. Jednak za chwilę pojawili się kolejni żołnierze, a za nimi własowcy, Uzbecy i Kałmucy. „Najbardziej zwyrodniałe towarzystwo" – pomyślała Alicja i powoli zaczęła się żegnać ze światem. Nie obchodziło jej to, że zginie jak bohaterka, ale fakt, że już nigdy nie przytuli syna i nie będzie w białej sukni szła obok Sergiusza do ołtarza. Uchyliła się przed gradem kul i przeczołgała do wyjścia. Na klatce zobaczyła kilku swoich chłopaków.

– Ewka! – krzyknął jeden. – Wycofujemy się do Śródmieścia. Kanałami na placu Krasińskich. Oddział Piotra będzie nas osłaniał.

Alicja oniemiała. Oddział „Piotra" to byli żołnierze oddziału Juliana. A to oznaczało dla niego pewną śmierć. Nie mogła jednak zastanawiać się nad tym zbyt długo, musiała jak najszybciej zebrać wszystkich i ruszyć w kierunku placu Krasińskich. Ponownie usłyszała strzały i przykucnęła tuż pod oknem. W końcu znalazła się na ulicy i zaczęła biec w kierunku miejsca, skąd kanałami ostatni żołnierze mieli przedostać się do Śródmieścia. Zanim jednak udała się we wskazane miejsce, podbiegła do kawiarni, gdzie poprzedniej nocy była operowana, by ostrzec personel i zarządzić ewakuację rannych kolegów.

Brzęczek przy drzwiach zaświergotał, ale kompletnie nikt nie wyszedł jej naprzeciw. Cała sala, łącznie z fortepianem, przy którym niegdyś śpiewała Hanka Lewinówna, była unurzana we krwi. Materace z rannymi przesiąkły czerwonym kolorem, a niektórzy pacjenci wciąż mieli otwarte oczy, wpatrzone w jeden punkt.

– Weronika! – zaczęła rozpaczliwie krzyczeć Alicja. – Weronika, do cholery, odezwij się! Gdzie jesteś?

Zaczęła miotać się po sali, zajrzała na zaplecze, a nawet odwracała leżących na plecach chorych, by sprawdzić, czy pod którymś nie leży Sarnowska. Przecież musiała gdzieś być. Żywa lub martwa. Za kotarą prowadzącą do baru zobaczyła drugiego z lekarzy. Leżał z przestrzeloną skronią. Sprawdziła każdy kąt, jednak nigdzie nie było Weroniki. Alicja nie miała pojęcia, co się mogło wydarzyć, ale pomyślała, że może lekarka zdążyła uciec,

a może Chełmicki ją zabrał. Wybiegła z kawiarni i nagle przez światło sąsiedniej bramy zobaczyła ją. Klęczała pochylona nad jakimś człowiekiem, a wokół stało trzech partyzantów. Weszła powoli na podwórko i z bijącym sercem zaczęła się zbliżać w kierunku prowizorycznych noszy. Najpierw poznała buty, Julian kupił je na Kercelaku, nawet razem je wybierali. Wojskowe, ciężkie, z wysokimi cholewami. Świat zawirował wokół niej. Julian nie mógł zginąć, to nie mogła być prawda… Nachyliła się nad Weroniką. Chełmicki żył, spoglądał raz na jedną, raz na drugą, a potem zamknął powieki i uśmiechnął się. Był ranny w brzuch. Sarnowska zrobiła mu prowizoryczny opatrunek, a stojący wokół mężczyźni wzięli nosze i szybkim krokiem opuścili podwórko.

– Zanieście go do Maltańskiego, tam są świetni lekarze, tam go uratują, to blisko – bełkotała Weronika.

– Szpitala już nie ma… – powiedziała cicho Alicja. – Teraz pracują na Zgodzie.

– Wiemy! – krzyknęli partyzanci i truchtem pobiegli dalej.

Weronika Sarnowska wciąż klęczała. Jej fartuch nasiąknął krwią, ale wciąż nie ruszała się z miejsca.

– Kobieto, rusz się, bo zaraz nas wszystkich wybiją! – ryknęła na nią.

Weronika podniosła głowę. Broda jej drżała i oczy miała pełne łez.

– Nie mogę… Ja tu zostanę…

– Co ty bredzisz? Julianowi nic nie będzie, to twardy chłop. A nawet jeśli, masz jeszcze córkę. Więc bierz dupę w troki i ruszamy.

Pokręciła głową i zdjęła ręce z ud. Jedna jej noga tonęła we krwi, podobnie jak dłonie, którymi próbowała ją zatamować. Ratowała męża, wyjęła jej z ramienia kulę i nie zdążyła pomóc sobie.

– Dasz radę wstać? – zapytała Alicja.

– Wstać tak, ale nie dam rady iść. Uciekaj, Alicjo, ty też masz dziecko – bąknęła.

– Jezu, przestań! Wstań i powiedz, co mam robić. W końcu to ty jesteś cholernym lekarzem – warknęła i wyciągnęła zdrową rękę w kierunku Weroniki.

Ta wstała i wysunęła z fartucha pasek. Obwiązała sobie nogę powyżej rany, a potem wyjęła z kieszeni bandaże i z pomocą Alicji zrobiła prowizoryczny opatrunek. Pokuśtykała, opierając się o zdrowe ramię dziewczyny. Nie miały sił biec, więc szły powoli, z trudem pokonując kolejne metry.

I jakby obie zobojętniały na huki bomb, serie z karabinów i spadające z budynków fragmenty tynku.

– Po co to robisz? Zabrałam ci chłopaka – gorzko stwierdziła Weronika.

– Wyciągnęłaś mi kulę. Po mistrzowsku – burknęła Alicja.

– On i tak kocha ciebie – wymamrotała.

– Nie pleć głupot, dobrze? Julian taki jest. Zawsze wzdycha do czegoś, co jest nieosiągalne. A kocha jedynie ojczyznę, o ile to dla ciebie jakieś pocieszenie – zdenerwowała się.

– Źle cię oceniłam. Myślałam, że jesteś zimną suką bez serca – powiedziała Weronika i wykrzywiła twarz w bólu.

– Cholera jasna! – krzyknęła Alicja i popchnęła Sarnowską w kierunku zrujnowanej kamienicy.

Chwilę potem na uliczce, po której szły, wybuchł granat. Gdy kurz opadł, Alicja otrzepała się zdrową ręką, po czym wyciągnęła ją w kierunku Weroniki. Po chwili dodała:

– Bo jestem zimną suką bez serca.

– Nie rozumiałam, jak mogłaś narażać się… Ale kiedy zrobiłam to samo, w końcu do mnie dotarło, że to nie tak… – Weronika wciąż głędziła, co doprowadzało Alicję do szału.

– Zamknij się w końcu, jasne? – burknęła, co niespodziewanie poskutkowało i szły dalej w milczeniu.

W okolicach wejść do kanałów kręciło się sporo osób. Jakiś mężczyzna zarządzał zejściem, sprawdzając jakieś kartki, które wręczano mu, a potem schodzono do podziemi. Inni odchodzili z kwitkiem.

– Uprawnione? – zapytał ich mężczyzna.

– Tak – warknęła Alicja, bo sam pomysł z podobną reglamentacją wejść wydał jej się absurdalny.

– Kwit. – Człowiek przy włazie nie był jej dłużny.

– To jest mój kwit. – Wskazała na zabandażowane ramię. – Kapitan Ewa Szwoleżer, jednostka…

– A ta druga…? – Nie dawał za wygraną mężczyzna.

– Porucznik Weronika Sarnowska. Doktor Weronika Sarnowska – burknęła Alicja.

– Muszę mieć kwit… – upierał się żołnierz.

Alicja miała ochotę strzelić go w pysk. Nawet zbierała się do tego karygodnego czynu, gdy ktoś ze stojących krzyknął:

– Proszę je wpuścić, to nasze!

Człowiek przy włazie od razu zmiękł i wskazał wejście. Alicja jednak nie byłaby sobą, gdyby nie wtrąciła kilku zdań:

– A co jeśli ktoś nie ma kwitu? Pozwolicie mu zdechnąć? Bydlaki…

– Przestań, Alicja, błagam – wycedziła przez zaciśnięte zęby Weronika. – Zaczyna mnie brać gorączka. Jeśli nie wyjmą mi kuli i nie zdezynfekują rany, to lepiej zwolnię miejsce komuś bardziej potrzebującemu.

W istocie Alicja już przestała dyskutować i powoli zeszła po drabince w czeluść kanału, po czym, stojąc już na dole, niemal złapała w locie zsuwającą się po drabince Weronikę.

– Witaj w piekle – mruknęła do niej i powoli zaczęła iść w głąb kanału.

70. Warszawa, Wola, 1944

Szymek długo się zastanawiał, co ma zrobić, gdy już udało mu się ujść z życiem. Nie mógł bez końca siedzieć w starej szopie. Był głodny, a wieczory stawały się coraz chłodniejsze. Bał się jednak wyściubić nos, bo wciąż słyszał strzały, wybuchy bomb i głośne krzyki niemieckich żołnierzy. W końcu wpadł na pomysł, by dostać się do sierocińca. W końcu nie miał matki i ojca, więc może daliby mu miskę zupy i miejsce do spania. A gdy pan Lewin wróci, zabierze go stamtąd. Wyszedł więc ostrożnie i chowając się za murami, w ogródkach warzywnych, gdzie udało mu się nawet znaleźć tylko trochę nadgniłego pomidora, czołgając się na otwartych przestrzeniach, a wreszcie kryjąc się w zrujnowanych kamienicach dotarł na miejsce. Cieszył się, że jest taki sprytny i przechytrzył szwabów, gdy ujrzał widok, który pozbawił go nadziei na schronienie się w wolskim sierocińcu.

Ukrył się w dorodnych krzewach i obserwował budynek. Przed wejściem, tuż przy szerokich schodach prowadzących do środka, stali esesmani i gdy tylko jakaś grupka dzieci pojawiała się na zewnątrz, od razu mordowali je, uderzając kolbą karabinu albo strzałem w głowę. Szymek zamknął oczy, nie chcąc na to patrzyć, ale musiał się rozglądać, żeby jakiś szubrawiec nie zaczaił się na niego. Kolejna grupka dzieci w podobnym do niego wieku pojawiła się na schodach. Jedna z dziewcząt przypominała mu Noemi. Również miała długie ciemne warkocze, ładną buzię i ogromne oczy. I nagle jakby cofnął się w czasie do chwili, gdy żegnał Noemi, ciesząc się jak głupi z prezentu i całusa, jaki od niej otrzymał, a chwilę potem „Szmata” ją zastrzelił. Teraz patrzył na podobną scenę. Idąca dziewczynka z warkoczami i nagle strzał, po którym mieszkanka sierocińca osunęła się na chodnik.

Po tej egzekucji zamknął oczy. Zacisnął z całej siły powieki, jak gdyby pragnął, by ów straszny obrazek zniknął mu sprzed oczu i pomyślał sobie, jak bardzo nienawidzi Niemców, wojny i śmierci. Teraz jednak musiał coś postanowić. Stwierdził po chwili, że jeśli mieszkańców z jego kamienicy już wymordowali, to pewnie więcej się szkopy tam zapuszczać nie będą. Jeśli nie spłonęła, może udałoby mu się coś zjeść, przebrać się, a wreszcie wydobyć z łazienkowego rezerwuaru pistolet i zabić kilku oprawców. Odczekał, aż esesmani dokończą swoje okrutne dzieło i odjadą.

Po dwóch godzinach, wciąż śmiejąc się hałaśliwie, jak gdyby właśnie zakończyli swawolną zabawę, wsiedli do ciężarówki i odjechali. Szymek na-

wet nie wiedział, czy bardziej zszokował go widok leżących ciał, czy szyderczy śmiech żołnierzy. Przedostał się na drugą stronę, gdzie znajdował się cmentarz prawosławny i postanowił, że tą drogą uda się do swojego mieszkania. Tutaj także natknął się na trupy. Ciało mężczyzny wpatrzonego niemym wzrokiem w niebo, leżący na plecach chudy chłopak z kulą w głowie, a kawałek dalej następna dziewczynka z warkoczami. Przechodził niemal na czworakach między nagrobkami i jedynie martwił się o Ziutka, którego ogromna postura mogła rzucać się w oczy. Na szczęście pies naśladował ruchy swojego nowego pana i gdy ten padał na ziemię i czołgał się, ten robił to samo. Kilka razy Szymek już myślał, że po psie, gdy Ziutek wybiegał na ulicę, a potem dumnie kroczył tuż przed nosem żołnierzy. Niektórzy nawet głaskali go po wielkim włochatym łbie, by chwilę potem tą samą ręką pociągnąć za spust i pozbawić życia kilka osób.

Szymek usłyszał czyjś jęk. Przestraszył się, w końcu był na cmentarzu i nasłuchał się opowieści o duszach uwięzionych na ziemskim padole, które wydają z siebie takowe dźwięki, by oznajmić światu, że cierpią nawet po śmierci. Jednak owe jęki brzmiały zbyt ludzko i Szymek przestał się bać. Skierował się w stronę, skąd dochodziły i zobaczył skuloną dziewczynkę, która trzymała się za policzek, a pomiędzy jej palcami ściekała krew. Szymek zapewne powinien się przywitać i przedstawić, ale sytuacja nie była ku temu sprzyjająca, dlatego urwał kolejny strzęp swojej koszuli i podał dziewczynce.

– Bardzo boli? – zapytał.

Pokiwała jedynie głową.

– Tyś z tego sierocińca? – ciągnął dalej Szymek.

Kolejne kiwnięcie głową.

– Odjechali. Wszystkich wybili i pojechali dalej – powiedział ciepło i nagle wpadła mu do głowy pewna myśl. – Słuchaj no, to jak tyś z tego sierocińca, to pewnie znasz to miejsce. Teraz, kiedy Niemcy odjechali, można by się jakoś piwnicą dostać i może gdzie jakiś kawałek chleba znajdziemy. Od trzech dni nic w pysku nie miałem. Ziutek, mój pies znaczy, przywlókł mi zdechłą wronę, ale ani to jak ugotować, ani na surowo zeżreć też nie ma jak. A i może jakie bandaże znajdziemy i ci tę dziurę w twarzy zakleimy – zagadnął.

Wciąż milczała, wpatrzona w twarz Szymka, jakby nie wiedziała, co zrobić.

– Ty możesz gadać, czy ci szwaby język poharatali? – zapytał w końcu chłopak, nieco poirytowany milczeniem dziewczynki.

– Zosia mam na imię – wybełkotała i dodała: – Od cmentarza jest wejście. Krzaki tam rosną i go nie widać.

Podeszli niemal na czworakach do budynku sierocińca, a potem przebiegli do miejsca, które wskazała Zosia. W istocie, między bujnymi krzewami można było dostrzec obłupane schodki prowadzące do zaśniedziałych drzwi.

– A czy one otwarte aby? – zatroskał się Szymek.

Zosia pokiwała głową.

– Tutaj nikt nie wchodził, bo mówili, że straszy. Więc jak woźnemu klucz zginął, to nawet nowego nie robił, tylko powiedział, żeby tam nie łazić, bo duchy cmentarne tam się ukrywają i nas poduszą.

– Ja tam bardziej się tych skurczygnatów boję niż duchów. Te przynajmniej karabinów do łba nie przystawiają – szepnął Szymek i dał susa na schodki.

Zosia i Ziutek pobiegli za nim. Stare drzwi zaskrzypiały tak głośno, że Szymkowi zdawało się, iż słychać je na pół dzielnicy i zaraz zleci się cała kompania esesmanów. Weszli do kompletnie ciemnego korytarza. Bez większych nadziei Szymek poszukał włącznika i przekręcił go, ale zgodnie z przewidywaniami światło nie rozbłysło. Musieli jednak przymknąć drzwi, żeby nikt nie zwrócił na nich uwagi, i tak znaleźli się w kompletnym mroku.

– No to teraz z cmentarza prostą drogą do grobowca weszlim – burknął Szymek.

– Idź za mną i trzymaj się ściany – powiedziała cicho Zosia.

– Dobrze ci mówić, ale kiedy ja cię nijak w tej ciemnicy nie widzę. To jak ja mam za tobą leźć? – rozzłościł się.

Po chwili poczuł, że dziewczynka łapie go za rękę.

– Teraz się nie zgubimy, a pies to zwącha, gdzie ma iść.

Szli powoli przed siebie, a Zosia obmacywała ściany, by w końcu znaleźć kolejne drzwi. Otworzyła je i egipskie ciemności ustąpiły. Światło dnia, wpadające przez niewielkie piwniczne okienko, pozwoliło im rozejrzeć się po pomieszczeniu. A stały tam skrzynie z warzywami. Niemal puste, ale udało im się znaleźć kilka marchewek, które Szymek połknął niemal od

razu, nieco nadgniłe główki kapusty i trochę ziemniaków. Usiedli pod jedną ze ścian i Szymek mruknął:

– Tylko bandaży żadnych nie ma ani jodyny. A trzeba by ci coś z tym policzkiem zrobić.

– Ja na górę nie wejdę za żadne skarby świata, nawet gdybym miała z tą dziurą w gębie cały czas chodzić – stanowczo odparła Zosia.

– Myślisz, że tam jakie szwaby siedzą? – zapytał niepewnie.

– Oni są wszędzie – wyszeptała.

– To posiedzimy tu do nocy, a potem pójdziemy do mojego domu. Jak stoi jeszcze, to się najemy do syta i ci zakleimy policzek.

Dziewczynka pokiwała głową i sięgnęła po marchewkę. Po chwili odłożyła ją i wykrzywiła twarz w grymasie bólu. Była głodna, ale pogryzienie twardego warzywa było ponad jej siły.

– W domu to ci kaszy nagotuję. Mama mnie nauczyła – powiedział Szymek i wyciągnął z kieszeni portek wymięte zdjęcie Adrianny Daleszyńskiej. – To moja mama. Ładna, prawda?

Dziewczynka wzięła do ręki fotografię i wyznała ze smutkiem:

– Bardzo ładna. Ja swojej nigdy nie widziałam.

– Tera to my wszystkie sieroty jesteśmy… – pocieszająco stwierdził Szymek i poklepał dziewczynkę po dłoni.

Gdy zapadła noc, wyszli z ciemnej piwnicy i powoli zaczęli kierować się w stronę kamienicy Szymka. Mimo że nie paliły się latarnie i próżno było szukać świateł w oknach, nad miastem unosiła się łuna tak jasna, że wszystko dookoła wyglądało jak spowite poświatą zachodzącego słońca. Niemieckie patrole snuły się po ulicach, ale nie zaglądały w każdy kąt, bo większość mieszkańców albo rozstrzelano, albo wyprowadzono w nieznane. Wciąż pod murami domów czy w ruinach można było dostrzec leżące trupy, niektóre powyginane, jakby ludzie dostali podczas ucieczki, inne ułożone w rządku i czekające na uprzątnięcie. Kiedy trwała okupacja, po każdej strzelaninie ktoś odważny stawiał zapalony znicz w hołdzie poległym z rąk barbarzyńskiego okupanta, teraz już nie było nikogo, kto by to zrobił, bo większość spotkał podobny los.

Kamienica wyglądała żałośnie. Ciemna, złowroga, z oknami bez szyb. Z jednej strony jakby osmalona, z drugiej pogruchotana pociskami.

– A to się na nas nie zawali? – zapytała cicho Zosia.

– Nie wiem. – Szymek wzruszył ramionami i zaczął powoli wchodzić po schodach. Jednak ujrzawszy Ziutka, który to wbiegał na górę, to powracał na dół, uspokoił się nieco. Jeśli pod nim nic się nie zarwało, to i zapewne dwójka dzieci może być spokojna.

Drzwi do mieszkania były otwarte na oścież, a wnętrze sprawiało wrażenie kompletnie zrujnowanego. W pokojach i kuchni było pełna szkła, a ze ścian pospadały obrazy, lustro i wieszak na ubrania. Pocieszające było to, że budynek nie spłonął, więc istniała szansa, że znajdą w tych zgliszczach wszystko, czego potrzebowali, by przeżyć. Szymek pierwsze kroki skierował do łazienki. Ta wyglądała dokładnie tak, jak w dniu, gdy wypędzono go z mieszkania. Sięgnął po omacku do rezerwuaru i wyciągnął swojego visa. Potem odnalazł szafkę z lekarstwami i wygrzebał dużą butlę jodyny i bandaże. Znalazł też świece, których zapas zrobiła jeszcze panna Adrianna, gdy często wyłączano światło, oraz paczkę zapałek.

– Wejdź do łazienki, tam się nie pokaleczysz. Jak znajdę jakie piernaty, to ci w wannie takie legowisko zrobię, że mucha nie siada. Kaszy raczej ci nie ugotuję, ale może znajdę coś innego – powiedział ciepło do Zosi. – Ale najsampierw muszę ci ten policzek opatrzyć.

Nie wiedzieć czemu Szymkowi sprawiało ogromną przyjemność udawanie dorosłego i opiekowanie się kimś. Tak jak niegdyś Noemi. Czuł się wtedy jak prawdziwy mężczyzna. A przede wszystkim miał wrażenie, że jest komuś na tym świecie potrzebny.

Leżącym w szufladzie kluczem otworzył spiżarnię i wszystko, co zdołał unieść, przyniósł do łazienki. Znalazł nawet czerstwy chleb i butelkę oleju. Maczał kawałki pieczywa, by zmiękło i podawał Zosi małymi kawałkami. Potem w istocie przyniósł piernaty i przygotował w wannie iście królewskie posłanie.

– A ty? – zapytała cicho Zosia.

– A ja na podłodze się prześpię. Jakoś się z Ziutkiem zmieścimy. Śpij, bo przed świtem musimy stąd wiać – powiedział życzliwie.

– Dokąd? Tylko dokąd? – zapytała bezradnie.

– Nie wiem… Ale na pewno coś wymyślę. Z getta, jak uciekałem, to żem kanałami się wydostał.

– Jesteś Żydem?

– Nie, ale ratowałem żydowskie dzieciaki. Na plecach żem je wynosił… – zaczął swoją opowieść Szymek, a gdy skończył, Zosia już spała.

71. Warszawa, Praga, 1944

Łyszkinowi zdawało się, że już wszystko w życiu widział, zwłaszcza gdy towarzyszył żołnierzom z Einsatzgruppen. Jednak na to, co się wyprawiało w Warszawie, po prostu nie mógł patrzyć. Żołnierze Oskara Dirlewangera przechodzili samych siebie. Z ludzi robili pochodnie, najczęściej dotykało to małe dzieci, dopuszczali się zbiorowych gwałtów na kobietach, by potem je patroszyć jak kurczęta, posypywali ofiary wapnem i wiecznie chodzili napruci wódką, którą popijali od początku dnia, zamiast porannej kawy. Najgorsza była bezradność, bo co mógł zrobić sam jeden w towarzystwie tej zgrai zwyrodnialców? Wehrmacht zdawał się jawić jako potulne stadko owieczek.

Na szczęście poranna wódka, którą go częstowano, nie otumaniała go. Miał mocną głowę do trunków i jeśli chciał, potrafił doskonale kontrolować sytuację. Towarzystwo bandy Dirlewangera miało też swoje pozytywne strony. Bezpiecznie dotarł do brzegów Wisły i jedyne, co musiał zrobić, to przedostać się na drugi brzeg. Rozpoczęcie działań przez Rosjan mogło być w tym bardzo pomocne, chociaż wzdłuż rzeki wciąż stali Niemcy. Z jednej strony w mundurze niemieckiego oficera mógł się czuć bezpiecznie, z drugiej mały chaos ułatwiłby mu przeprawę przez most.

– A gdzie się pan tam pcha, *Obersturmführer*. Tam już Rosjanie się panoszą – zapytał stojący na warcie żołnierz.

Tuż obok posterunku stały wozy opancerzone, a obok ciężarówka, z której wyładowywano skrzynie i bele ze zwiniętymi drutami. Igor nie musiał być specjalistą, żeby odkryć, że Niemcy przygotowują się do zaminowania mostu.

– Muszę przekazać meldunki. Jak most pierdyknie, nikt nie może pozostać na tamtym brzegu, bo go Ruskie żywcem obedrą ze skóry – powiedział Igor.

– Dobrze prawi pan *Obersturmführer*. Ruskie to dzicz. – Żołnierz machnął ręką.

Łyszkin miał wielką ochotę powiedzieć temu człowiekowi kilka cierpkich słów. Rosjanie może nie byli zbyt finezyjni, a też mieli w swoich szeregach zwyrodnialców, ale przy brygadzie Dirlewangera wyglądali jak dziewice orleańskie przy starych wyjadaczkach. Przeszedł przez szlaban i jeszcze raz spojrzał na chmurę dymu i pyłu unoszącą się nad Warszawą. I chyba pierw-

szy raz pomyślał, że nienawidzi wojny. Wcześniej traktował ją jako coś oczywistego. Wróg napadł na jego ojczyznę, jedną i drugą, należy więc go unicestwić każdą metodą. Nawet będąc na Ukrainie, gdy psychicznie dochodził do ściany, myślał o tym, jak pięknie będzie, gdy już to piekło się skończy. Jednak budził się następnego dnia gotowy do działania, do walki. A teraz… po prostu już mu się nie chciało. Marzył o tak zwanej emeryturze i pragnął jedynie odnaleźć swoją rodzinę. Najpierw wyjechali rodzice, teraz Hanka z dziećmi, a on znowu poczuł ogromną samotność. Był tak blisko ludzi, których kochał, miał ich na wyciągnięcie ręki, a jednak kolejny raz musiał ich pożegnać w wielkim pośpiechu. Gdyby nie ten cholerny Ritz, odnalazłby ich szybciej. A może wówczas wszystko wyglądałoby inaczej i ukryłby Hankę na wschodzie, skąd Niemcy uciekali jak szczury z tonącego okrętu.

Minął kilka przecznic i zobaczył w oddali radziecki czołg. Ulica była pusta, budynki częściowo zrujnowane albo spalone, a on szedł na wprost swoich towarzyszy, z rękami uniesionymi do góry i z nadzieją, że nie zastrzelą go, zanim im powie, kim jest.

Gdy tylko się zbliżył, od razu kilku żołnierzy podbiegło, celując do niego z karabinów.

– Jednostka specjalna NKWD, towarzysze. Kryptonim Alfa – powiedział Igor.

Opuścili broń i zaprowadzili Igora do dowódcy, by ten mógł potwierdzić prawdziwość słów przybyłego oficera.

– Mieliście szczęście, żeśmy was od razu nie zdjęli – powiedział jeden z żołnierzy.

„A może to wcale nie tak dobrze? – pomyślał Łyszkin. – Może lepiej byłoby umrzeć i nie czuć już nic?”. Nie miał już po co i dla kogo żyć, bo wszyscy, których kochał, byli już bardzo daleko.

– Widzę, że atakujecie pełną parą – powiedział, gdy znalazł się w mieszkaniu przysposobionym na punkt dowodzenia.

– Wysłaliśmy naszych i Polaków, zostali wybici niemal w pień. Jeszcze nie nadeszła pora na… – mruknął pułkownik Nieborow.

– Jeszcze się nie wykrwawili do końca, czyż nie tak, pułkowniku? – zapytał gorzko Igor.

– Towarzyszu kapitanie, od tego typu decyzji mamy generałów – mruknął Nieborow.

– Zrozumcie, pułkowniku, Polska to w połowie moja ojczyzna – westchnął Łyszkin.

– Proszę się nie martwić, kapitanie. W Polsce będzie jak w Związku Radzieckim. Odzyskacie waszą ojczyznę – żarliwie zapewnił pułkownik. – Musicie się uzbroić w cierpliwość.

Igor spuścił głowę i wyszedł na klatkę schodową. Wspiął się na najwyższe piętro kamienicy i przyglądał się płonącej Warszawie, tak jak niegdyś patrzył na ogień trawiący Kijów. I w obu przypadkach jego rodacy mieli krew na rękach. Był przekonany, że gdyby Polacy wiedzieli, iż nie otrzymają pomocy od Związku Radzieckiego, nigdy nie podjęliby tej strasznej decyzji. Nie z uwagi na żołnierzy, ale dlatego, by uchronić cywilów przed tak okrutnym losem, jaki spotkał ich z rąk okupanta. Dla nich nie istniała żadna świętość ani międzynarodowe umowy. Mordowali każdego, kogo spotkali na swojej drodze. Kobiety, dzieci i starców. Ofiary wielkiej polityki.

72. Warszawa, Śródmieście, 1944

Kanał zdawał się nie mieć końca. Na szczęście, na razie szli po kolana w wodzie i nie musieli przesuwać się, kucając, co z uwagi na stan Weroniki mogło być zajęciem karkołomnym. Można więc było uznać, że sytuacja nie przedstawiała się najgorzej, gdzieniegdzie nawet paliło się mdłe światło. Jednak niepokój kobiet wzbudził fakt, że z każdym zrobionym krokiem poziom wody odrobinę się podnosił.

– Jeśli zamoczę ranę w tej brudnej wodzie, dostanę zakażenia. Już i tak czuję, że bierze mnie gorączka – powiedziała Weronika, z trudem przesuwając się do przodu, nawet przy wsparciu Alicji.

– Jak zrobi się głębiej, przeniosę cię na plecach – wysapała Alicja.

– Przepraszam cię. Za wszystko. A zwłaszcza za to, że musisz się teraz ze mną męczyć. Jesteś na mnie zła? – wybełkotała Weronika.

– Tak, jestem zła. Za to, że pozwoliłaś, by chłopcy przenieśli Juliana do szpitala, a ty jak sierota Boża zostałaś ranna na podwórku. I już nawet nikt nie został, by pomóc – burknęła Alicja. – Wszystkim pomagałaś. Wyciągałaś kule, opatrywałaś złamania i słaniałaś się na nogach, żeby ratować nam życie. A potem uznałaś, że tobie taka pomoc się nie należy.

– Myślałam… że już tam zostanę i albo umrę, albo ktoś mi w tym pomoże – jęknęła.

– Moja droga, umrzeć jest najprościej. Dużo trudniej walczyć o życie. Więc skończ te swoje gorzkie żale i myśl o tym, jak będzie pięknie, gdy się już stąd wygramolimy…

Alicja nie dokończyła, bo nagle w kanale zrobiło się zamieszanie. Idący z przodu zaczęli zawracać i w panice przewracać innych. Alicja przesunęła się pod ścianę, oparła o nią coraz bardziej zmożoną gorączką Weronikę i krzyknęła:

– Co wy, do cholery, robicie?

– Zawracamy, gaz puszczają! Zaraz się wszyscy podusimy! – krzyknął ktoś z czeluści kanału.

Alicja pomyślała, że nie ma wyjścia i wycofała się wraz z innymi do miejsca, gdzie mogli poczuć się względnie bezpiecznie. Był to punkt, w którym

rozchodziły się na boki inne nitki kanałów i było dość sucho. Alicja posadziła Weronikę na drabince prowadzącej do włazu i syknęła do pozostałych:

– Bądźcie cicho, bo zaraz i tu nam jakieś gówno wpuszczą.

W jednej chwili wśród zgromadzonych nastała kompletna cisza. Jakiś ranny jęknął, ale za chwilę ktoś go uciszył. Ten brak jakichkolwiek dźwięków był przerażający. Nie słychać było nawet chlupotu wody rozbryzgującej się pod nogami idących wcześniej uciekinierów. Strzały i wybuchy także zdawały się nie istnieć. Alicja pomyślała, że tak właśnie musi wyglądać grobowiec.

Popatrzyła na Weronikę. Miała spierzchnięte usta, a na czole pojawiły się krople potu.

– Ktoś ma wodę? – zapytała cicho.

– Mało jej wody – zachichotała jakaś dziewczyna, która chyba uznała, że w takich warunkach jedynie śmiech jej pozostał.

Jakiś mężczyzna wyciągnął zza pazuchy manierkę i podał Alicji. Dałaby sobie jeszcze raz zrobić operację, byleby mogła pociągnąć choć łyczek, ale wiedziała, że Weronika potrzebuje jej bardziej. Przechyliła manierkę i podała Sarnowskiej. Po chwili któryś z mężczyzn powiedział:

– Idę na zwiady. Może już wywietrzało.

– Trzeba ze dwie godziny odczekać najmarniej – odezwała się jakaś harcerka.

– Przez dwie godziny to wszyscy zdążymy zdechnąć – mruknął mężczyzna i ruszył powoli przed siebie.

Jednak gdy minęły owe dwie godziny, co sprawdził jeden z żołnierzy na starym zegarku po dziadku, a człowiek, który poszedł na zwiady, nie powrócił, ruszyli wolnym, miarowym krokiem przed siebie. Alicji wydawało się, że ciągle tkwią w tym samym miejscu albo kręcą się w kółko. Smród był tak przeraźliwy, że czuła, jakby mieszał jej w głowie, pozbawiał innych zmysłów i oszukiwał rodzące się w głowie myśli. Zaczęła opadać z sił, być może dlatego, że Weronika była coraz słabsza i coraz bardziej przypominała swoim ciężarem bezwładny worek kartofli. Wody robiło się coraz więcej, ale mimo złożonej obietnicy nie miała siły, by przenieść Weronikę na plecach. Zdawało jej się, że każda noga waży kilkaset kilogramów, a każdy krok będzie ostatnim, jaki postawi.

W pewnym momencie potknęła się i runęła prosto pod wodę, a wraz z nią na wpół omdlała Weronika. Podniosła się szybko i zaczerpnęła zatęchłego

powietrza, a potem zaczęła kasłać i wypluwać wodę. Stwierdziła, że potknęła się o leżącego w wodzie trupa i zajęło jej kilka sekund, zanim zauważyła, iż Weronika wciąż znajduje się pod wodą.

– Weronika, błagam, wstawaj! Ludzie, pomóżcie mi… – łkała.

Jednak idący przed nią partyzanci albo nie słyszeli, albo nie mieli siły wrócić, zbyt otępiali i walczący ostatkiem sił o własne życie. Ci zaś, którzy szli za nimi zostali daleko w tyle. Ostatkiem sił wyciągnęła Weronikę spod wody. Ta charczała, pluła i z trudem łapała powietrze, ale żyła. Oparły się o ścianę i ciężko dysząc, próbowały powrócić do równowagi.

– Alicja, idź sama. Umrzesz razem ze mnę. Zostaw mnie tutaj, ja nie mam siły… – jęczała Sarnowska.

– Nie pleć. Słyszysz? Przestać pieprzyć i weź się w garść! Te trupy to od gazu, a to oznacza, że zaraz miniemy najgorsze. Przecież mówili, że gaz wrzucili na placu Piłsudskiego, a to już chwila i będziemy na miejscu. Wyjdziemy na placu Bankowym. To niedaleko. Całe przejście ma z półtora kilometra, codziennie partyzanci tędy chodzili w tę i z powrotem. Zaraz będzie skręt w ten mały kanał. Ale tam będzie sucho. Rozumiesz? Sucho. Głupie kilkaset metrów nam zostało, słyszysz?

Alicja mówiła jak nakręcona, byle tylko Weronika zebrała w sobie dość sił i broń Boże nie traciła przytomności. Gdyby było sucho, poszłaby sama i sprowadziła pomoc, ale w tej sytuacji skazałaby Weronikę na pewną śmierć. Powoli zaczęły iść naprzód. Alicja ostrożnie stawiała kroki, by kolejny raz nie potknąć się o leżące w wodzie ciało.

– Tak, to tylko półtora kilometra. Codziennie tędy śmigali kurierzy. Przecież to pestka – mamrotała do siebie.

W końcu ujrzała mniejszy kanał, niespełna metrowy, a nad nim napis, że oto dzieli je zaledwie kilkaset metrów, by przez właściwy właz znaleźć się w Śródmieściu. A tam wciąż rządzili partyzanci. Zatrzymała się przy rozwidleniu.

– Weronika, posłuchaj. Jesteśmy już bardzo blisko, ale musimy teraz iść albo na kolanach, albo kucając. Wejdź i spróbuj zgiąć nogę. Wiem, że będzie bolało, ale spróbuj nie krzyczeć – błagała Alicja.

– Boże, tam jest światło. – Weronika uśmiechnęła się smutno.

Alicja spojrzała w głąb kanału, ale jedyne, co ujrzała, to przerażającą ciemność. A nie miały nawet latarki.

– Tak… – powiedziała cicho. – To światło. Widzisz, mówiłam, że to już niedaleko.

Weronika jak na komendę kucnęła, ale ryk bólu, jaki z siebie wydała, sprawił, że Alicja zatkała jej dłonią usta. Ranna wbiła w nią zęby i wtedy Rosińskiej także się zdawało, że widzi mrugające światełka wokół głowy. Najchętniej również wydałaby z siebie krzyk bólu, ale ostatkiem sił się powstrzymała. Sarnowska puściła rękę Alicji, wzięła kilka głębszych oddechów i pokiwała głową, że jest już gotowa do dalszej przeprawy.

– Kąsasz jak owczarek niemiecki na usługach gestapo – mruknęła Alicja. – Idź przodem. Ten kanał jest lekko pochyły, jeszcze mi się gdzieś sturlasz, kobieto…

73. Kleine Seedorf/Natać Mała, 1945

– Po jakiemu oni śpiewają? – zapytała ze śmiechem Lilly.

– Po włosku. To Italiańcy – odpowiedział Walter.

– O mój Boże, a skąd oni się tutaj wzięli?

– Byli w obozie. Straż niemiecka uciekła, a oni są wolni – odparł Walter.

Szli ścieżką leśną, spoglądając na niemal bezchmurne niebo. Tak, wojsko niemieckie uciekło na zachód, więc lada moment powinien nastąpić koniec wojny, a wtedy będzie mógł powrócić do domu i ożenić się z Lilly Berg. Te mrzonki przerwał jednak widok inny niż tylko idący ze śpiewem na ustach Włosi. Na drodze pojawił się radziecki gazik, a w nim siedziało trzech uzbrojonych żołnierzy. Walter szarpnął Lilly i schowali się za grubym pniem drzewa. Wolał nie wchodzić im w drogę. Gazik zatrzymał się i jeden z żołnierzy próbował porozumieć się z maszerującymi więźniami. Walter zdołał jedynie usłyszeć krzyk jednego z nich.

– My nie Giermańcy, my Italiano…

Nic więcej nie zdołał wykrzyczeć, bo padły strzały. Dwóch pozostałych zaczęło uciekać, ale i ich dosięgły kule wypluwane z karabinu. Radziecki żołnierz założył z powrotem broń na ramię, wsiadł go gazika i samochód odjechał, przejeżdżając po ciele jednego z nich.

– Boże, wszystkich nas wymordują – jęknęła Lilly.

– Nie wymordują… – Walter wziął ją za rękę, a drugą wyciągnął z kurtki dokumenty. – Teraz nazywam się Janek Solski i byłem tutaj na przymusowych robotach. A ty jesteś moją narzeczoną. Zapamiętasz?

– Skąd to masz? Przecież to narzeczony Brygide nazywał się Janek Solski – zdziwiła się Lilly.

– Tak, kochana. Ale gdy uciekał, zostawił w oborze swoje dokumenty. Władek już wrócił do domu… więc ja zostanę Jankiem Solskim, a potem… zobaczymy, co będzie. Pewnie będziemy musieli wyjechać do Rzeszy.

– Wszystko nam rozkradli, wiesz? A Karen spod lasu to nawet… nawet nie chcę mówić. Tak bardzo się boję… – Lilly była naprawdę przerażona obecnością Rosjan.

– Oni nie na takich jak wy polują, ale na niemieckich i polskich żołnierzy. Może rozkradną, może i wypędzą, ale musieliby całe Mazury zmieść z po-

wierzchni ziemi – pocieszająco powiedział Walter. – Trzeba zebrać chłopów z wioski i pochować tych Włochów. Wracali do domu… i nie zdążyli nawet wyjechać z Kleine Seedorf.

– Mam nadzieję, że chociaż my zdążymy – jęknęła Lilly.

Wracali do domu, wciąż oglądając się za siebie i nasłuchując, czy nie nadjeżdża kolejny gazik z uzbrojonymi żołnierzami.

Tak, Walter obiecywał wciąż przerażonej Lilly różne rzeczy, ale nie miał pojęcia, czy spełni którąkolwiek z obietnic. Nie wiedział, co będzie, gdy dotrą do Rzeszy. Nie miał też pojęcia, czy jego rodzice wraz siostrą wciąż żyją i czy mieszkają tam, gdzie dotychczas. A może przenieśli się do domu dziadków pod Berlinem? Rosjanie byli coraz bliżej zdobycia stolicy Niemiec i zakończenia żywota spektakularnie odrodzonej Trzeciej Rzeszy. Co pozostawią po sobie idący na zachód Rosjanie? Było wiele znaków zapytania, jednak Lilly, żyjąca w swojej małej społeczności, we wsi, gdzie nie było wojny i wielkiej polityki, a jedynie ożywcza przyroda, dawała się zbywać komunałami i wierzyła Walterowi bez reszty.

Niekiedy naiwne postrzeganie świata przez Lilly przerażało go. A jeszcze bardziej to, że wciąż musiał kłamać, by ją uspokoić i wlać w nią wiarę, że istnieje dla nich inny, piękniejszy świat. Obawiał się, że w przeciwnym razie Lilly uprze się, by tutaj zostać, w tym swoim małym światku, gdzie nawet marzenia zdawały się ograniczone lasami i dużym jeziorem. A on nie chciał tutaj zostać. Po niemal dwóch latach zaczynał się dusić w tym pięknym miejscu. Myślał niekiedy, że to duch Hansa Gąski, unoszący się złowrogo nad jeziorem, nie pozwala mu poczuć się szczęśliwym. Wydawało mu się, iż zawsze będzie tutaj obcy. Wśród ludzi, którzy dumnie nazywali się Mazurami. Kiedy przybył do tego urokliwego zakątka, sądził, że będzie szczęśliwy i właśnie tego szukał przez całe życie. Ale „całe życie” okazało się jednak zbyt krótkie. Miał także nadzieję, że jego podążanie za szczęściem, za złudzeniem wiecznego zadowolenia, nie sprawi, iż jego Lilly zostanie tego szczęścia pozbawiona. Łudził się, że odnajdzie się w jego świecie. I chociaż nie będzie już to ten sam świat, na jaki patrzył przed wojną, wiedział jedno: Kleine Seedorf nie było jego miejscem na ziemi.

74. Kołyma, 1945

– No to wojna prawie się skończyła – westchnęła Olga, gdy kolejny raz podano przez obozowy radiowęzeł, że Armia Czerwona spycha na zachód wojska niemieckie.

– A jakaż to różnica, Olgo? – zapytał Ernst. – Przecież tutaj nic się nie zmieniło. Ani jak wyparliście Niemców z Białorusi i Ukrainy, ani jak zdobyliście Warszawę. Tutaj wciąż ludzie umierają z wycieńczenia i chodzą do pracy w *zaboju*. Tak samo głodują, a *urkowie* nie przestali brutalnie gwałcić *krasawic*. Tutaj zawsze będzie tak samo…

– Może chociaż normy nam zmniejszą z tej okazji? – Olga próbowała znaleźć jakąś pozytywną stronę wygranej Związku Radzieckiego.

– Nie zmniejszą, bo teraz muszą odbudować to, co zostało zniszczone. – Ernst machnął ręką.

– Ale Leningrad jest już wolny. Po tylu miesiącach oblężenia ludzie w końcu przestaną umierać z głodu… Powrócą artyści. Pojawią się nowe symfonie, obrazy, wiersze… A ja staram się o skrócenie wyroku, więc może wyjdę już w przyszłym roku, a nie za lat dziesięć. – Olga Iwanowna tryskała optymizmem.

W drzwiach stanął Antonow.

– Olgo Iwanowna, komendant was wzywa – powiedział.

– Będę modlił się za ciebie. Żeby wypuścili cię za rok. – Ernst uśmiechnął się delikatnie.

– Czuję, że będzie dobrze – powiedziała Olga, narzuciła na siebie palto i wybiegła z ambulatorium.

Stiepan Kaganowski powitał ją z minorową miną. Poprosił, żeby usiadła, a nawet poczęstował ją papierosem.

– Wystawiłem wam znakomitą opinię – odezwał się w końcu, po kilku minutach grobowego milczenia. – Jestem zadowolony z waszej pracy. Moim zdaniem zasłużyliście na wcześniejsze zwolnienie z łagru.

Olga kręciła się niespokojnie na krześle. Chciała, żeby jak najszybciej Kaganowski przeszedł do sedna sprawy.

– Niestety, sąd odrzucił twoje podanie i nie zgadza się na twoje przedterminowe zwolnienie. O następne możecie się starać za cztery lata.

Kaganowskiemu naprawdę było przykro. Jakkolwiek Olga Iwanowna była niemal niezastąpiona w tym, co robiła, jej zachowanie było godne naj-

wyższego uznania. Nie rozumiał decyzji sądu, ale nie miał w tej materii nic do powiedzenia.

Gdyby w tym momencie nadjechał rozpędzony pociąg i z impetem uderzył w Olgę, byłaby mniej zszokowana niż tym, co przed chwilą usłyszała. Kolejne pięć lat spędzi w tym piekle. A jeśli i wówczas sąd odrzuci jej podanie, następne pięć. Nawet jeśli przeżyje, będzie już wówczas wrakiem człowieka. Nie pamiętała, czy pożegnała komendanta, ani jak dotarła do ambulatorium. Ernst jedynie popatrzył na nią i wiedział już, że wieści, jakie nadeszły, nie były dobre. Nie powiedział ani słowa, bo nie było takich słów, którymi mógłby w tym momencie pocieszyć Olgę. Tak bardzo żywiła się nadzieją, każdą minutą starała się zasłużyć na opuszczenie tego strasznego miejsca i okazało się, że nic z tego nie będzie.

Olga zamknęła się w swoim pokoiku wielkości trumny i nie umiała się już cieszyć z tego, że ma lepiej niż inni. Nie umiała dziękować losowi, że nie musi chodzić do *zaboju* przy pięćdziesięciostopniowym mrozie, ani za to, iż nie musi sypiać z brygadzistami, by dostać miskę cienkiej zupy. Nie potrafiła już. Jej świat kompletnie się zawalił. Pomyślała, że nie wytrzyma już kolejnego roku w tym miejscu, gdzie jedynie śmierci było pod dostatkiem, ani nie zniesie życia wśród pozbawionych duszy ludzi, bo one znikały przy zwierzęcej walce o przetrwanie. Nie miała pojęcia, jak przeżyje kolejny dzień bez nadziei, że będzie wolna, powróci do swojego pięknego Leningradu i będzie cieszyć się wszystkim, co zobaczy, bo na baraki i jątrzące się rany patrzyć już nie mogła…

75. Warszawa, 1945

– Pamiętasz mnie, miss Daisy? – zapytał ironicznie mężczyzna po drugiej stronie stołu.

– Kto by nie pamiętał takiego fałszywego przyjaciela, Wiktorze? – złośliwie odpowiedziała Alicja.

– Byłaś pupilką brytyjskiego wywiadu… – stwierdził z udawanym westchnieniem Wiktor. – No wiesz, za to, że puszczałaś się z… Jak to on się nazywał? – Zajrzał do rozłożonej na biurku teczki. – Ach, już mam. Martin Gross. – Kolejny złośliwy uśmiech pojawił się na twarzy starego znajomego z SOE.

– Dzięki temu twoi radzieccy bracia dowiedzieli się, kiedy Hitler napadnie na Związek Radziecki – mruknęła Alicja.

– Tak, miss Daisy. Odwaliłaś kawał dobrej roboty. I dla tych bandziorów z Armii Krajowej również. Zawsze jednak byłaś egocentryczką. Może źle to zabrzmi, ale właśnie dlatego siedzisz tutaj, popijasz najprawdziwszą kawę i palisz amerykańskiego papierosa, a nie gnijesz w naszym więzieniu, jak twoi kompani – perorował Wiktor.

– Pilnuj swojego nosa, Wiktor – burknęła Alicja.

– Doprawdy nie wiem, dlaczego się sadzisz, Daisy. – Wiktor zmarszczył brwi.

– Nazywam się Alicja Rosińska – powiedziała z naciskiem.

– A nie Chełmicka… To musiało boleć – warknął.

– Nie tak bardzo, jak ci się wydaje. Więc… – Alicja miała już dosyć tych podchodów.

– Więc… bardzo byśmy chcieli, abyś dla nas pracowała. Twoje kontakty są dla nas nieocenione. Zwłaszcza u Anglików i Niemców.

– Gross nie żyje. Zastrzeliłam go. I kilku innych także. Innych tego typu znajomości nie zawierałam. – Wciąż była nieprzyjemna. Ten dureń naprawdę sądził, że ona zgodzi się na współpracę. Widocznie zapamiętał zupełnie inną Alicję.

– Tak, wiemy, że możemy wysłać cię do Londynu, a ty pryśniesz, ale mamy swoich ludzi wszędzie. A tam będziesz bardziej pilnowana niż niemieccy szpiedzy na Łubiance. Jeśli jednak się wykażesz, będziesz się miała jak pączek w maśle. – Wiktor snuł przed oczami Alicji piękne wizje.

– Wsadź sobie w dupę te swoje pączki. Masło w tym celu ci się przyda – syknęła kompletnie rozzłoszczona Alicja.

Ledwie uszła z życiem, a jej ręka do tej pory nie odzyskała pełnej sprawności, tylko dlatego, że wujek Stalin perfidnie ich oszukał. I miałaby wejść z deszczu pod rynnę? Nigdy w życiu. Jeśli udało jej się przetrwać w tym piekle, jakim było powstanie, wyczołga się spod każdego kamienia.

– W porządku, miss Daisy. Chciałem po dobroci, no i po starej znajomości, załatwić ci świetną fuchę w naszym resorcie wywiadu, ale widzę, że jeszcze nie dość dostałaś w kość. Przekonywałem towarzyszy, że należy z tobą postąpić inaczej niż z tymi bandziorami, ale jak widzę, nie doceniasz tego zupełnie. Może wciąż masz do mnie żal za te pieniądze, które chciałem ci odebrać? Rozumiem. Dlatego za kilka dni ktoś inny spróbuje cię przekonać do naszej słusznej sprawy. W Moskwie. A uwierz, moi towarzysze potrafią przekonać każdego i do wszystkiego. – Wiktor przestał się uśmiechać, po czym krzyknął: – Wyprowadzić! Przewieźcie ją na Rakowiecką!

Alicja wstała z krzesła, oparła dłonie na blacie biurka i plunęła Wiktorowi w twarz.

– Zdrajca! – syknęła.

Wiktor zerwał się z fotela, wytarł rękawem twarz, a chwilę potem spoliczkował Alicję.

– Niemiecka kurwa i służąca Churchilla nie będzie mnie nazywała zdrajcą. Mam nadzieję, że zdechniesz na Łubiance – warknął.

Po chwili do pokoju weszło dwóch przedziwnie ubranych mężczyzn i wyprowadzili Alicję z budynku.

***

Emil Lewin chodził po gruzowisku kamienicy przy Wolskiej i płakał. Całe jego życie leżało w tych ruinach, ale nie to było najważniejsze. Wciąż nie wiedział, co dzieje się z małym Szymkiem, którego dość niefrasobliwie pozostawił w stolicy.

– Jak oni mogli do tego dopuścić? Zniszczyli całe miasto. Głupcy, głupcy! – powtarzał, łkając. Dla niego jedynymi winnymi byli ci, którzy wzniecili powstanie. Banda idiotów, którym wydawało się, że mogą zagrać na nosie Niemcom.

Przyjeżdżał do Warszawy już piąty raz, nie tracąc nadziei, że znajdzie jakąś wiadomość od Szymka. Jednak wciąż widział to samo gruzowisko i nic więcej. Tęsknił za tym dzieciakiem, bo wiedział, że był jedynym stworzeniem, które akceptowało go takim, jakim był. Poza tym przywyknął do niego i wciąż dręczyły go wyrzuty sumienia, że go tutaj pozostawił. Nie spodziewał się jednak, że to wszystko przybierze taki obrót. Miasto zrównane z ziemią, dwieście tysięcy ofiar, pozostałe wywiezione do obozów, po prostu prawdziwa katastrofa. Warszawa była wymarłym miejscem. Pełnym duchów, którzy stracili tutaj życie. Jak mógł się łudzić, że nastoletniemu chłopcu mogłoby się udać tutaj przetrwać? A może go ewakuowano, może wywieziono do jakiegoś sierocińca? Emil Lewin łapał się każdej nadziei.

Renate też zniknęła, ale ją zapewne wywieziono w bezpieczne miejsce, zanim weszli Rosjanie. Zresztą na niej nie zależało mu tak, jak na Szymku. Był jak jego ukochany syn, a on okazał się dla niego wyrodnym ojcem. Ale, do licha, nie mógł wiedzieć, zapewne nawet sami powstańcy nie wiedzieli, do czego może doprowadzić ten zryw. Romantyczna wojna, o której zapewne będą uczyć w szkołach i będą o tym wspominać przy każdych rocznicach. I co z tego, jeśli on stracił kogoś najbliższego jego sercu. Reszta nie znaczyła kompletnie nic.

76. Londyn, 1945

– Wyduś to w końcu z siebie. Ile chcesz, by mój syn był wreszcie wolnym człowiekiem? – zapytała hrabina Niechowska.

Hanka Lewinówna czuła się jak Kopciuszek na królewskich salonach i w dodatku otoczona nieprzychylnie nastawionymi do niej ludźmi. Miała na sobie niemodną i mocno spraną sukienkę, którą otrzymała w londyńskim Czerwonym Krzyżu, a jej włosy już od lat nie widziały fryzjera. A teraz ubrana w kostium Chanel kobieta próbowała z niej zrobić bez mała krwiożerczą amatorkę cudzych pieniędzy. Nie zamierzała jednak odejść z niczym. Chciała, by jej córka, Nadia Niechowska, otrzymała coś z racji urodzenia w tej znamienitej rodzinie.

Siedzieli teraz we czworo w pięknej podlondyńskiej rezydencji otoczonej wypielęgnowanym ogrodem i popijali małymi łyczkami prawdziwą indyjską herbatę. Oprócz matki Tomasza obecny był on sam i jego starszy brat, Piotr.

– Chciałabym jedynie, aby Nadia otrzymała niewielki posag. Może jakiś fundusz powierniczy, by mogła się wykształcić? – dukała Hanka, onieśmielona zarówno przepychem, jak i napastliwością hrabiny Niechowskiej.

– Dobrze, wobec tego… – bąknęła – skonsultujemy się z naszym adwokatem, ty porozmawiaj ze swoim i ustalimy kwotę.

Hanka Lewin o mało nie wypluła herbaty z powrotem do filiżanki. Czy to babsko naprawdę nie widziało, że suknie ma z demobilu i żyje z niewielkiej zapomogi socjalnej? „Adwokat – dobre sobie” – myślała ze złością.

Po chwili zwróciła się do Tomasza:

– A ty? Nic nie powiesz? Przecież Nadia to twoja córka – stwierdziła z wyrzutem.

– Powiedziałem jasno: albo zabieram Nadię do siebie i zostaję jej jedynym prawnym opiekunem, albo do pełnoletności będziesz sama o nią dbała, a ode mnie nie dostaniesz złamanego pensa. Zrobiłaś sobie dziecko z innym i uważasz, że możesz tu przyjeżdżać i stawiać warunki? Nasi adwokaci rozszarpią cię na strzępy! – wybuchnął Tomasz Niechowski.

Jego matka położyła mu dłoń na ramieniu i upomniała spokojnie:

– Uspokój się, Tomaszu. – Po chwili zwróciła się do Hanki. – Moja droga, dobrze wiesz, że nie zapewnisz Nadii tego, co my. Gdy weźmiemy ją do siebie, będzie chodziła do najlepszych angielskich szkół i zrobimy z tej ma-

łej dzikuski prawdziwą damę. A gdy osiągnie właściwy wiek, wyswatamy ją z jakimś odpowiednim mężczyzną. Umówmy się, twoja kariera już przebrzmiała, nie znasz języka, nie masz wykształcenia, możesz co najwyżej dostać pracę w jakiejś fabryce albo na którejś z farm. I wrócisz, że tak powiem, skąd przybyłaś. Do obory. Chcesz, żeby twoja córka była nikim, tak jak ty?

Lewinówna nie mogła dłużej tego słuchać. Być może nie była w stanie zapewnić Nadii tego, co Niechowscy, ale mogła dać jej miłość i matczyne ciepło, czego próżno było szukać w tym domu.

– Przestańcie, do diabła! – niespodziewanie ostro odezwał się Piotr Niechowski. – Co wy wyprawiacie?

Tomasz i hrabina popatrzyli z przerażeniem na Piotra. Ale ten nie przestraszył się tego spojrzenia pełnego wyrzutu.

– Odwiozę cię do Londynu – zwrócił się do Hanki, a potem do matki i brata: – A wy ochłońcie w międzyczasie i powstydźcie się trochę za swoje zachowanie.

Hanka była wdzięczna Piotrowi, że stanął w jej obronie. Bez słowa pożegnania opuściła przepastny dom hrabiny i wsiadła do luksusowego jaguara starszego z braci.

– Dziękuję ci, Piotrze – powiedziała cicho. – Ja… nigdy nie oddałabym Nadii. Ale przeszłyśmy przez piekło i będę walczyć do ostatniego tchnienia o lepszy los dla niej.

– Wiesz, że oni zrobią wszystko, by ci się to nie udało?

– A ja zrobię wszystko, żeby było dokładnie odwrotnie… – odpowiedziała Hanka z zaciętością w głosie.

– Pomogę ci – zaproponował Piotr.

– Nie chcę twoich pieniędzy. To nie ty jesteś ojcem Nadii – mruknęła.

– Ale jestem jej wujem. I nie proponuję ci pieniędzy. Pomogę ci na powrót stać się wielką gwiazdą. A wtedy pieniądze Niechowskich nie będą ci już potrzebne do szczęścia…

KONIEC tomu IV